

AUTORKA ŚWIATOWYCH BESTSELLERÓW

NORA ROBERTS



Życie nocne

Świat Książki

Nora Roberts

Życie nocne

Tłumaczenie Jan Kabat

Wydawnictwo Świat Książki

Warszawa 2023

Jasonowi i Kat
Moim teatralnym dzieciakom



CZEŚĆ PIERWSZA

Chłopiec

*Wola chłopca jak wiatr nieokielznana,
A myśli młodości w nieskończoność wybiegają.*

Henry Wadsworth Longfellow

Z cudzego bólu łatwo się śmiać.

William Szekspir, *Wiele hałasu o nic*, akt III, scena II, przeł. Stanisław Barańczak

Rozdział 1

Został złodziejem, kiedy miał dziewięć lat. To wtedy rak porwał jego matkę do pierwszego śmiertelnego tańca. W tamtym czasie nie był to świadomy wybór, przygoda ani dreszczyk emocji – choć znacznie później z tym właśnie kojarzył swoją karierę. Wówczas młody Harry Booth kradzież utożsamiał z przetrwaniem.

Musieli przecież coś jeść i spłacać hipotekę oraz lekarzy, a także kupować leki, także wtedy, gdy matka była zbyt chora na pracę. Jak zwykle, rzecz jasna, starała się ze wszystkich sił; harowała do utraty tchu, nawet gdy jej włosy garściami wypadały, a ciało, i tak już szczupłe, coraz bardziej traciło na wadze.

Niewielki interes, który założyła wraz z siostrą, jego zwariowaną ciotką Mags, nie nadążał za kosztami, które pochłaniał rak, za tą mnogością dolarów o najróżniejszych nominałach, jakich wymagała walka z tym, co wtargnęło do jej ciała. Na nieszczęście, to ona stanowiła trzon firmy sprzątającej „Siostry – wszystko na błysk”, i nawet kiedy Harry pomagał w weekendy, i tak tracili klientów.

Brak klientów równał się brakowi dochodu. A brak dochodu oznaczał, że musieli na gwałt szukać pieniędzy, żeby móc spłacać hipotekę przytulnego domu z dwiema sypialniami w West Side w Chicago.

Może i nie było to okazałe lokum, ale należało do nich – no i do banku. Mama Harry’ego nigdy nie przeoczyła raty, póki nie zachorowała. Tyle że banki nie przejmowały się czymś takim jak choroba, kiedy ktoś zaczynał zalegać ze spłatami.

Wszyscy oczywiście chcieli swoich pieniędzy, a potem i ich, i jeszcze więcej, gdy się nie regulowało należności na czas. Jeżeli się miało kartę kredytową, można nią było kupować rzeczy w rodzaju leków czy butów – stopy Harry’ego bezustannie rosły – ale skutkowało to tylko zwiększającą się liczbą rachunków, opóźnionych płatności i tak dalej; nieraz słyszał, jak matka płacze po nocach, przekonana, że syn śpi kamiennym snem.

Wiedział, że ciotka Mags im pomaga. Naprawdę ciężko pracowała, żeby utrzymać stałych klientów, i z własnej kieszeni pokrywała niektóre rachunki i zaległości. Tylko że to nie wystarczało.

Co oznacza egzekucja mienia, dowiedział się w wieku dziewięciu lat. Z grubsza biorąc, znać, że można wylądować na ulicy. W odróżnieniu od słowa „zajęcie”, które oznaczało, że obcy ludzie mogli zabrać czyjś samochód.

Poznał zatem brutalną prawdę o życiu już w tym wieku: przestrzeganie zasad – niewzruszona dewiza jego matki – nie robiło wrażenia na typach w eleganckich garniturach i krawatach, z nieodłącznymi walizczkami w rękach.

Wiedział, jak się dobierać komuś do kieszeni. Jego zwariowana ciotka Mags pracowała dwa lata w wędrownym cyrku i poznała przy tej okazji kilka sztuczek. Nauczyła ich siostrzeńca, traktując to jak dobrą zabawę.

Ponieważ okazał się w tym dobry, a nawet cholernie dobry, z powodzeniem wykorzystywał swój talent. Wszystko to, czego matka go nauczyła o tym, co dobre, a co złe, poszło w diabły podczas chemioterapii, gdy wstrząsana torsjami kulila się w łazience po kolejnej sesji terapeutycznej albo kiedy zawiązywała chustkę na tysej głowie i wlokła się posprzątać czyjś wymyślny, elegancki dom z widokiem na jezioro.

Nie to żeby miał pretensje do ludzi mieszkających w wymyślnych, eleganckich domach z widokiem na jezioro albo w ekskluzywnych penthouse’ach czy w lśniących biurkach. Wcale nie. Mieli po prostu więcej szczęścia w życiu niż jego mama.

Wypatrywał ofiar podczas podróży pociągami albo nawet zwykłej przechadzki ulicą. Miał do tego oko. Okradzionymi bywali nieuważni turyści, facet, który wypił w barze o jednego za dużo, albo kobieta zbyt zajęta wystukiwaniem esemesa, żeby pilnować torebki.

Nie wyglądał na złodzieja – ot przeciętny, szczupły chłopiec, który nie zdążył jeszcze

wystrzelić w górę, z czupryną kędzierzawych włosów i intensywnie niebieskimi oczami, od których emanowała niewinność.

W zależności od potrzeb potrafił uśmiechać się czarująco albo nieśmiało. Jednego dnia wkładał na głowę czapkę Chicago Cubs obróconą daszkiem do tyłu (głupkowaty wygląd), a drugiego dnia ujarzmił niesforne loczki, snobując się na ucznia szkoły prywatnej (noblewaty wygląd).

Kiedy jego matka była zbyt chora, by wiedzieć, co się dzieje, cichaczem spłacał hipotekę – Mags nie pytała o to, a on nic nie mówił – oraz rachunki za prąd, dzięki czemu go nie wyłączano. Miał też dość pieniędzy na buszowanie po lumpeksach w poszukiwaniu potrzebnej odzieży.

Tak nabył starą kurtkę szkolną, spodnie od dresu oraz spłowiałą bluzę z emblematem Chicago Bears. Na wewnętrznej stronie zimowego płaszcza z drugiej, a może i trzeciej ręki powszywał dyskretne woreczki i kieszenie.

I kupił sobie swój pierwszy w życiu komplet wytrychów.

Nie opuszczał się w nauce. Odznaczał się bystrym, chłonnym umysłem, zdobywał pilnie wiedzę, odrabiał lekcje i unikał kłopotów. Zastanawiał się, czyby nie założyć własnego biznesu – odwalania prac domowych za innych. Harry dobrze rozumiał, że większość dzieciaków to mistrzowie ściemy.

Po lekcjach ćwiczył ze swoimi wytrychami i ślęczał przed komputerem w bibliotece, chłonąc wiedzę o najróżniejszych systemach alarmowych oraz zabezpieczeniach.

A potem matce nieoczekiwanie się polepszyło. Mimo że wciąż wychudzona i blada, nabierała stopniowo sił. Lekarze określali to jako remisję.

Stało się to jego ulubionym słowem – remisja.

Następne trzy lata ich życia wydawały się dość normalne. On wciąż obrabiał kieszenie. I wciąż kradł w sklepach – aczkolwiek bardzo ostrożnie. I nigdy nic zbyt kosztownego, nic łatwego do zidentyfikowania. Wszedł też w korzystny układ z lombardem w South Side.

Mieli istną górę rachunków do spłacenia – a pieniądze, które zarabiał na korepetycjach, nie wystarczały.

Poza tym znalazł upodobanie w złodziejskim fachu.

Po jakimś czasie matka i ciotka Mags znów rozkręciły interes i Harry przez trzy lata, w porze wakacji, sumiennie sprzątał, szorował i przy okazji dokonywał rozpoznania w sprzątanym domach i lokalach.

Można powiedzieć, był młodym człowiekiem z jasną wizją przyszłości.

Później, kiedy góra długów zmalała do niewielkiego wzgórzka, a z matczynych oczu zniknęła dawna troska, rak zaprosił ją do następnego tańca.

Swego pierwszego włamania Harry dokonał dwa dni po dwunastych urodzinach. Obleciał go strach na myśl, że zostanie przyłapany i zawleczony do więzienia, a trauma tego doświadczenia sprzymierzy się z rakiem i zabije jego matkę, lecz o dziwo! lęk ów znikł jak kamfora w chwili, gdy znalazł się z ciemnościami tchnących niezmaconą ciszą.

W późniejszych latach, kiedy patrzył wstecz, zrozumiał, że właśnie w tym momencie odnalazł cel swego życia. Może nie był on zbyt chwalebny ani akceptowalny w dobrym towarzystwie, ale cóż... jego własny.

Oto stał tam, wysoki, szczupły chłopiec, który wystrzelił wreszcie w górę, i spoglądał przez szerokie okna na blask księżyca godzący swym ostrzem w taflę jeziora. Wszystko zdawało się pachnieć różami, cytrynami i wolnością.

Tylko on jeden wiedział, że tu jest. Mógł dotknąć wszystkiego, czego tylko chciał, i wziąć, co tylko chciał.

Wiedział, jaką cenę mają elektronika, srebro, biżuteria – choć ta wartościowa byłaby dobrze schowana. Nie zorientował się jeszcze, jak sforsować sejf. Ale z czasem dałby sobie i z nim radę; przyrzekł to sobie.

Nie miał czasu ani możliwości wynieść tych wszystkich błyszczących rzeczy.

Chciał teraz tylko tak stać i napawać się swoimi umiejętnościami, ale w końcu zmusił się do roboty.

Wiedział, bo przekonał się o tym już wcześniej, że ludzie plotkują bez żenady w obecności służby domowej. Zwłaszcza gdy ta służba to dwunastolatek szorujący podłogę w kuchni, podczas gdy pracodawczyni i jej sąsiadka rozprawiają w salonie nad kawą o jakiejś imprezie dobroczynnej.

Wtedy właśnie, nie podnosząc głowy i nie przerywając pracy, nadstawił uszu; dowiedział się o kolekcji znaczków, którą zgromadził mąż sąsiadki jego klientki.

Bawiło ją to.

– Dasz wiarę? Dostał prawdziwej obsesji od chwili, gdy w zeszłym roku odziedziczył kolekcję swojego wuja. Czy ty wiesz, że wydał właśnie pięć tysięcy dolarów na jeden z tych małych skrawków papieru?

– Na znaczek?!...

– Nie mówiąc już o urządzeniach, które utrzymują w gabinecie właściwą temperaturę i wilgotność, tam gdzie przechowuje tę swoją kolekcję. Kiedyś kpił z wuja i jego hobby, a teraz sam siedzi w tym po uszy. Bez przerwy przeszukuje jakieś aukcje i strony internetowe. To niby inwestycja, więc w porządku. Co mnie zresztą obchodzi, że trzyma w biurku mnóstwo jakichś idiotycznych znaczków? Ale wiesz, on śledzi bezustannie aukcje i oferty handlarzy nawet w Rzymie. Chce być na bieżąco, kiedy tam pojedziemy w przyszłym miesiącu.

– A niech sobie kupuje te swoje znaczki! – prychnęła lekceważąco klientka Harry’ego. – Ty przecież kupujesz sobie buty.

Harry skrzętnie zakonotował sobie to wszystko i doszedł do wniosku, że wszechświat przesłał mu oto jasny, widomy sygnał, gdy przyjaciółka klientki zaczęła mówić o przeniesieniu do samochodu pudeł z rekwizytami na imprezę dobroczynną.

Wszedł do salonu niczym uosobienie niewinności.

– Przepraszam, pani Kelper – rzekł – posprzątałem już kuchnię. Dobrze usłyszałem? Trzeba coś przenieść?

– Prawdę mówiąc... – zająknęła się. – Alva, poznaj, to jest Harry. Harry, to pani Finkle. I tak, rzeczywiście moja znajoma chętnie skorzystałaby z pomocy kogoś silnego.

Uśmiechnął się szeroko i naprężył bicepsy.

– Czemu nie? Mam chwilę, zanim pomogę ciotce posprzątać na górze.

Tak więc udał się wraz z panią Finkle do dużego, pięknego domu tuż obok, z dużym, pięknym widokiem na jezioro.

Kiedy weszli do środka, od razu obrzucił wprawnym okiem zabezpieczenie alarmu. Ani śladu psa, jak spostrzegł. Nieodmiennie plus.

– Hm, przeprowadzka? Pani Finkle?

– Co proszę? – Zerknęła na niego nieuważnie, gdy szli przez szeroki przedpokój. – Ach, pudła. Nie, nie, chodzi o imprezę charytatywną, to tak zwana niema aukcja. Pozycje katalogowe to moja działka.

– Miło, że się pani tym zajmuje.

– No cóż, trzeba wspomagać tych, którym się nie poszczęściło.

„Jasne”, pomyślał Harry, rejestrując w pamięci otwarty plan parteru i korytarz prowadzący w lewo. Oraz podwójne oszklone drzwi – teraz zamknięte – które wiodły do męskiego gabinetu.

Zaczął wynosić pudła i umieszczać je w bagażniku lśniącego białego SUV-a mercedesa.

I choć bardzo tego pragnął – jakżeż by mu się to przydało! – odmówił przyjęcia pięciodolarowego napiwku.

– Chodzi o dobroczynność – wyjaśnił. – Ale mimo wszystko dziękuję.

Wrócił do pracy i przez resztę słonecznego letniego poranka zanurzał dłonie w gorącej mydlanej wodzie.

Po pracy wrócili z ciotką do domu pociągiem podmiejskim. Oboje milczeli, przypadał bowiem akurat dzień chemioterapii, a Mags przez całą drogę medytowała i ścisnęła w dłoni jeden ze swoich magicznych kamyczków, by wzbudzić lecznicze wibracje. Czy coś innego.

Po powrocie pojechali wraz z matką do szpitala. Miała na głowie tę swoją jasnorożową chustkę.

Spędzili tam swój najlepszy zarazem i najgorszy dzień.

Najlepszy, bo pielęgniarka – Harry wolał ją od lekarza – powiedziała, że matce się polepsza. Najgorszy, bo zabieg przyprawiał matkę o silne wymioty.

Siedział przy niej, czytając jej na głos z książki, którą zwali swoim brewiarzem. Przymykała oczy, gdy maszyna pompowała w nią leki, ale uśmiechała się, a nawet parskała śmiechem, kiedy Harry odgrywał różne postaci, zmieniając przy tym komicznie głos.

– Jesteś najwspanialszy, Harry – wymamrotała.

Po turecku siedziała u jej stóp Mags i wyjaśniała jej, jak sobie wyobraża olśniewająco jasne światło, które niszczy swym blaskiem nowotwór.

Jak zwykle w taki najlepszy (jednocześnie najgorszy) dzień ciotka przygotowywała coś w rodzaju kolacji, która miała jakoby uzdrowicielskie właściwości i wydawała woń chyba gorszą, niż smakowała.

Palila kadzidełka, rozwieszała kryształki, zawodziła monotonna, gadała coś o przewodnikach duchowych i tego rodzaju rzeczach.

Aczkolwiek, mimo że zdrowo stuknięta, zawsze zostawała z siostrą w dniu chemioterapii, śpiąc na materacu obok jej łóżka.

Jeśli wiedziała, że Harry wymyka się często z domu, to nigdy nie wspomniała o tym słowem. I jeśli się może zastanawiała, jak zdobywał te kilkaset dolarów ekstra, to nigdy o to nie pytała.

Teraz stał w domu państwa Finkle, z widokiem na jezioro, w ciszy zapierającej dech w piersiach. Krążył po nim bezgłośnie, choć nikt i tak by go nie usłyszał, nawet gdyby się zbliżył z głośnym tupotem do tych podwójnych szklanych drzwi.

Już w gabinecie zaczerpnął powietrza, które pachniało lekko dymem i wiśniami. „Cygara”, pomyślał Harry, dostrzegając humidor na szerokim, zdobionym biurku.

Zaciekawiony uchylił wieka pudełka i powąchał. Wziął do ręki cygaro, a potem udał, że zaciąga się kilka razy. „A tam, do diabła!” – ostatecznie miał dwanaście lat – i schował je do plecaka.

Następnie usiadł w skórzanym fotelu koloru porto, z wysokim oparciem, i zaczął się huścić w przód i w tył i wykrzywiać przy tym złośliwie, jak według niego zwykł robić bogaty człowiek podczas jakiegoś ważnego spotkania.

– Zwalniam was wszystkich! – rzucił, dźgając palcem w powietrze i parszcząc śmiechem.

Wreszcie zabrał się do roboty.

Kiedy tu szedł, był przygotowany na sforsowanie zamkniętej na klucz szuflady, ale okazało się, że nie musiał tego robić – najwidoczniej Finkle uważał swój dom za dostatecznie zabezpieczony.

Gdy oczom Harry’ego ukazały się klasery – łącznie cztery – wziął je do ręki, po czym, posługując się latarką kieszonkową, zaczął przeglądać jeden po drugim.

Nie zamierzał wszystkich zabierać. Nie wydawało się to uczciwe, a poza tym trwałoby za długo. Jednakże w ciągu trzech ostatnich tygodni dowiedział się aż nadto o znaczkach.

Finkle umieścił swoje skarby na czarnym papierze bezkwasowym i zabezpieczył je dodatkowo, wsuwając w przezroczysty foliowy rękaw. Harry miał przy sobie pęsetę, ale nie chciał ryzykować. Nie mając praktyki ani wprawy, mógł naderwać lub zniszczyć jakiś znaczek i tym samym obniżyć jego wartość.

Większość rękawów zawierała dwadzieścia cztery egzemplarze, w rzędach po cztery na sześć. Wybrał jeden z pierwszego klasera i przeniósł go ostrożnie do segregatora, który ze sobą przyniósł.

Jeden znaczek z każdego klasera – to wydawało się całkiem w porządku, odłożył więc ten pierwszy i sięgnął po drugi. Nie spieszył się tym razem, a ponieważ Finkle dołączył do każdego klasera poręczny arkusz z listą znaczków i ich wartością, nie musiał się nawet szczególnie wysilać.

Akurat kiedy wyjmował rękaw z ostatniego albumu, po drugiej stronie szklanych drzwi błysnęło światło.

Serce podeszło mu do gardła, mimo to wsunął szufladę z ostatnim albumem, chwycił rękaw i zanurkował z nim pod biurko.

Ktoś był w domu. Ktoś oprócz niego.

Drugi złodziej. Dorosły. Trzech dorosłych. Z bronią.

Wtargnęli do jego umysłu – trzech mężczyźni ubrani na czarno, wszyscy z gnatami. Może nie zależało im na znaczkach? Może nawet o nich nie wiedzieli.

Jasne, że wiedzieli i za chwilę tu wejdą. Znajdą go, to pewne, strzelą mu w łeb i zakopią go w płytkim grobie.

Starał się skurczyć, wyobrazić sobie, że jest niewidzialny. I pomyślał o matce, która zamar-

twia się o niego na śmierć.

Musiał się stąd natychmiast wydostać, przemknąć obok nich niezauważony albo znaleźć sobie lepszą kryjówkę. Zaczął liczyć do trzech. Przy słowie „trzy” zamierzał wypełznąć spod biurka.

Usłyszawszy nagle ryknięcie muzyki, drgnął tak mocno, że z całej siły walnął głową o spodnią część biurka. Ujrzał przed oczami wszystkie gwiazdy.

Ogarnęła go złość. Jego biedny skołowany mózg zaczął mu podsuwać wszystkie zakazane brzydkie słowa, jakie znał. Powtórzył je dwa razy.

Drugą wiązkę rzucił pod swoim adresem. Za własną głupotę.

Złodzieje nie zapalali przecież cholernego światła ani nie puszczały na cały regulator muzyki.

Bez wątplenia ktoś był prócz niego w domu, i okej, ale nie był to gang uzbrojonych złodziei, którzy palnęliby mu w łeb.

Ostrożnie – zwłaszcza że wciąż mu drżały dłonie – wsunął rękaw ze znaczkami do skoroszytu i schował go do plecaka.

Wygramolił się spod biurka i, nie odrywając wzroku od szklanych drzwi, odczołgał się od światła. W trakcie tej wędrówki zauważył jakiegoś faceta – trochę od niego starszego, ale nie starszego – w bokserkach.

Stał w kuchni i nalewał do dwóch kieliszków płyn przypominający wino. Harry zdołał niemalże skryć się w cieniu, kiedy w pole jego widzenia wkroczyła tanecznym krokiem dziewczyna.

W bieliźnie. W koronkowym staniku i stringach – takich jak w katalogach Victoria's Secret, które mama jego przyjaciela Willa dostawała pocztą i które oglądali razem z Willem i kilkoma jeszcze chłopakami przy każdej okazji.

Czerwień bielizny odcinała się jaskrawo od jej nagiej skóry na tyłku, który – to trzeba jej przyznać – był na swoim miejscu. Dokładnie na swoim miejscu. Piersi sterczały nad górą stanika i podrygiwały przy każdym ruchu, gdy dziewczyna podnosiła ramiona albo kręciła biodrami.

Gdyby spojrzeli w stronę oszklonych drzwi, na pewno by go zauważyli, lecz mimo to nie był w stanie choćby drgnąć. Miał tylko dwanaście lat i był chłopakiem, gwałtowna erekcja, której dostał, dosłownie przykuła go do miejsca.

Dziewczyna miała czarne włosy, długie, bardzo długie czarne włosy, które niedbale odsunęła, by wziąć kieliszek z winem. Popijając, zbliżyła się do faceta w bokserkach, jak gdyby tańczyła. On też tańczył, ale w oczach Harry'ego jawił się tylko jako niewyraźna plama.

Istniała wyłącznie dziewczyna.

Teraz sięgnęła ręką za plecy i rozpięła stanik. Kiedy osunął się na podłogę, każda kropla krwi w ciele Harry'ego spłynęła mu do krocza.

Nigdy wcześniej nie widział piersi żywej dziewczyny. Były zdumiewające.

Kołysały się i podskakiwały w rytmie niesamowicie zgodnym z muzyką.

Kiedy doznał pierwszego oszalamiającego orgazmu, rozbrzmiewały dźwięki *Dance, dance* zespołu Fall Out Boy. Bał się, że oczy wyjdą mu z orbit. Bał się, że przestanie mu bić serce. A potem chciał już przez resztę życia leżeć na lśniącej drewnianej podłodze.

Teraz jednak facet dobrał się do dziewczyny na całego, a ona dobrała się na całego do niego. Wyczyniali różne rzeczy, mnóstwo różnych rzeczy, w tym on ścigał jej stringi.

„Jezu! ona jest goła jak ją Pan Bóg stworzył”. Harry słyszał jej westchnienia, bo zagłuszały nawet muzykę.

A potem oboje wylądowali na podłodze i zaczęli to robić. To! Dokładnie tam, przy czym to dziewczyna dosiadała faceta, nie na odwrót.

Chciał tylko patrzeć, nic innego się nie liczyło. Ale złodziej w ciele chłopca wiedział, że najwyższy czas się ulotnić. Dopóki tamci byli zbyt zajęci sobą, żeby móc cokolwiek zauważyć.

Odsunął ostrożnie drzwi, przeczołgał się przez próg, a potem, posługując się stopą, zasunął je z powrotem.

Dziewczyna wyła już teraz na całego:

– Terry! O Boże, Terry!

Harry dźwignął się na czworaka, wziął głęboki oddech, po czym skoczył do wyjścia. Wymknąwszy się na zewnątrz, zdążył usłyszeć krzyk ekstazy.

Do pociągu szedł na piechotę, tak by móc na nowo przeżywać każdą minioną chwilę.

Ukradzione znaczki sprzedał paserowi za dwanaście tysięcy dolarów. Miał świadomość, że dostałby więcej, gdyby wiedział więcej. I gdyby nie był jeszcze dzieciakiem.

Ale i tak dwanaście tysięcy dolarów równało się fortunie. I było tego o wiele za dużo, by trzymać to w pokoju.

Musiał się udać do swojej zwariowanej ciotki Mags.

Zaczekał, aż zostaną sami. Mama upierała się, że też będzie pracować, ale nadawała się tylko do lekkiej roboty, i to w jednym domu dziennie, a we czwartki sprząтали dwa.

Pomagał Mags zdejmować poszewki w eleganckim mieszkaniu samotnego faceta. Kiedy pracowali zgodnie, w okna bił dokuczliwy deszcz. Mags włączyła sprzęt grający klienta, chciała posłuchać jakiegoś chłamu spod znaku New Age.

Miała na sobie ufarbowany na fiolet i zieleń podkoszulek. Włosy, tym razem w głęboko śliwkowym kolorze, zakryła zieloną chustką. Z uszu zwisały jej kamyczki, na szyi nosiła łańcuszek z różanym kryształem z kwarcu, zapewniający miłość i harmonię.

– Chcę sobie założyć konto w banku – oświadczył.

Zerknął na nią z ukosa, kiedy wrzucała brudną bieliznę do kosza. Miała chabrowe oczy tak jak on i mama, ale te jej odznaczały się delikatniejszym odcieniem, bardziej marzycielskim.

– Niby dlaczego, dziecinko?

– Dlatego.

– Ehe.

Rozłożyła prześcieradło z gumką, a potem strzepnęli je razem i zaczęli przykrywać nim łóżko.

Harry wiedział, że ciotka na tym poprzestanie. Że to „ehe” może ciągnąć się w nieskończoność.

– Mam prawie trzynaście lat i zaoszczędziłem trochę pieniędzy, chcę więc założyć sobie konto bankowe.

– Gdyby była to w pełni prawda, a nie tylko częściowo, rozmawiałbyś o tym ze swoją mamą zamiast ze mną.

– Nie chcę zawracać jej głowy.

– Ehe.

Zajęli się teraz wierzchnim prześcieradłem.

– Potrzebuję osoby dorosłej, która pójdzie ze mną do banku i będzie pewnie musiała podpisać jakieś papiery.

– Ile pieniędzy?

Gdyby zgodziła się z nim pójść, i tak by się dowiedziała, toteż popatrzył jej prosto w oczy.

– Prawie piętnaście tysięcy.

Odpowiedziała mu twardym spojrzeniem. Małeńki niebieski kamyczek z boku jej nosa błysnął.

– Zechcesz mi powiedzieć, skąd wytrzasnąłeś tyle pieniędzy?

– Udzielałem korepetycji, odstawiałem fuchy, sprzątałem domy. Niewiele na siebie wydaję.

Odwróciła się, by wyjąć kołdrę, czarną jak noc i miękką jak obłok.

– Ehe – rzekła tylko.

– To moje pieniądze, można będzie za nie spłacić kilka rachunków, także hipotekę. Znowu zaczynamy zalegać, a ostatnio w domu zjawił się facet z windykacji. Mama powiedziała, żebym poszedł do swojego pokoju, ale usłyszałem wystarczająco dużo.

Skinęła głową, kiedy przykrywali łóżko kołdrą, a potem zaczęli powlekać poduszki.

– Jesteś dobrym synem, Harry, i nie pójdziesz z tym do Dany, bo ona nigdy by się na coś takiego nie pisała. To wymaga zadania zbyt wielu pytań, ale niestety, sama ci ich muszę kilka zadać, nim dojdziemy do porozumienia.

– W porządku.

– Zabiłeś kogoś albo skrzywdziłeś dla zdobycia tych pieniędzy?

– Chryste, nie. – Na jego twarzy malował się szok. – Skądże znowu!

Ułożyła starannie poduszki.

– Handlujesz narkotykami?... choćby trawką, Harry?

Tak się składało, że wiedział przypadkiem, że Mags pali trawkę, ilekroć może ją zdobyć, ale nie o to chodziło.

– Nie.

Obrzuciła go powłóczystym spojrzeniem tych swoich marzycielskich oczu.

– Sprzedajesz się za pieniądze, kochanie? Seks?

Odniosł wrażenie, że szczeka mu spada do podłogi.

– Jezu! Nie. Po prostu... nie.

– To dobrze. Kamień spadł mi z serca. Jesteś taki przystojny, Harry. Byłbyś cennym kąskiem dla niektórych, trochę się martwiłam. A co? Myślisz, że nie wiem, jak się wymykasz w nocy z domu? – spytała, niosąc ozdobne poszewki na poduszki. – Miałam nadzieję, że chodzi o dziewczynę albo że spotykasz się dla zabawy z przyjaciółmi. – Przyglądając mu się uważnie, bawiła się swoim kryształkiem na łańcuszku. – Cokolwiek robisz, robisz to dla mamy. I wiesz, że kocham ją tak samo jak ty.

– Wiem.

– Nie mam pojęcia, dlaczego wszechświat skazał ją na taki mrok, a nie jestem fanką pieniędzy, które go rozjaśniają. Ale w jej przypadku rozjaśniają, zważywszy na te wszystkie rachunki, którymi się zamartwia.

Cofnąwszy się o krok, Mags chwilę oceniała wzrokiem łożkowy pejzaż, nim wreszcie skinęła z aprobatą głową.

– Nie potrzebujesz zwykłego konta bankowego, Harry. Potrzebujesz konta maklerskiego. Pieniądze robią pieniądze, taki jest smutny stan rzeczy.

Nie ulegało wątpliwości, że Mags miewała dziwne pomysły, ale Harry też wiedział, że ciotka jest nie w ciemną bita. Słuchał więc i się zastanawiał.

– Konto maklerskie?

– Zamierzasz... hmm... oszczędzić jeszcze więcej?

– Tak. Nie chodzi tylko o rachunki. Kiedy gość naprawiał ostatnim razem piec centralnego ogrzewania, to powiedział, że więcej się nie da go naprawiać, a przed zimą będziemy potrzebowali nowego.

– Konto maklerskie. Chodziłam kiedyś z jednym gościem, który zajmuje się takimi sprawami. Zbyt uczciwy, żeby kręcić jakieś numery, ale powie nam, co i jak. – Zbliżyła się do niego i położyła mu dłonie na policzkach. – Jesteś dobrym synkiem i bystrym chłopcem. – Poklepała go po twarzy. – Tak trzymaj.

Usłyszeli o Wielkiej Kradzieży Znaczków Finkle'a, kiedy pani Kelper podlewała swoje rośliny na tarasie. Czuł na sobie zimne spojrzenie z ukosa, którym obrzuciła go Mags, kiedy mył szklane drzwi tarasu i polerował urządzenia kuchenne z nierdzewnej stali.

– Przykro mi to słyszeć – oznajmiła Mags. – Były cenne?

– Najwidoczniej, ale co gorsza, ich syn Terry miał letnie zajęcia na uczelni, ale olał to i pod nieobecność rodziców imprezował tydzień. W ich własnym domu. Musiałam powiedzieć Alvie, że widziałam światła i słyszałam muzykę i że podjeżdżały samochody. Musiał więc to zrobić jeden z jego przyjaciół albo przyjaciel przyjaciela – sama pani wie, jak wyglądają te ich studenckie imprezy.

„Znak”, pomyślał Harry, polerując na wysoki połysk lodówkę z najwyższej półki cenowej.

Jak powiedziałaaby Mags: wszechświat rzucił promień światła.

A jego matce nagle się polepszyło.

*

Kiedy miał szesnaście lat, Harry zakochał się w blondynce o sarnich oczach. Miała na imię Nita. Królowała w jego snach i sprawiała, że przemierzał korytarze szkolne jak na skrzydłach. Udzielał jej korepetycji z hiszpańskiego – gratis – i pomagał w pracach domowych z algebry.

Chodzili do kina albo na pizzę, czasem sami, a czasem z Willem i jego dziewczyną. Zaprosił Nitę na bal z okazji zakończenia roku szkolnego; zgodziła się.

Ograniczył działalność – sprzątanie i włamania – żeby spędzać z nią więcej czasu. Bądź co bądź, zainstalowali nowy piec, spłacili rachunki za leczenie i regulowali resztę na bieżąco.

Oczywiście, nadal pracował, sprząając wraz z matką i Mags w sobotnie popołudnia. Prócz

tego dwa razy w miesiącu gdzieś się włamywał, zasilając konto.

Wciąż mieli rachunki do spłacenia. A i studia lada chwila miały się zacząć.

Matka darzyła Nitę sympatią; uwielbiała, kiedy się zjawiali razem w domu i oglądali filmy na DVD albo oddawali się grom wideo. Trzeci rok nauki w szkole średniej miał już na zawsze pozostać jednym z jego najcenniejszych wspomnień.

Przed balem na zakończenie roku zebrał forszę z Willem – zafundowali sobie limuzynę. Kupił bukiet i wypożyczył smoking.

Kiedy wynurzył się z sypialni, Dana przysunęła dłonie do twarzy.

– Och, och! Spójrz tylko, Mags! To Booth, nasz Harry Booth. Pamiętaj, żadnych martini, drogi synu. Wstrząśniętych czy zmieszanych.

– Słowo harcerza. – Uniósł dwa palce, po czym je skrzyżował, rozśmieszając je przy okazji.

– Zdjęcia! – Matka chwyciła telefon, ale Mags wyrwała go jej z dłoni.

– Stań tam z tym swoim przystojnym chłopcem. Boże, Dana, jaki on do ciebie podobny.

– Miłość mojego życia – mruknęła Dana, opierając głowę o ramię syna.

Objął ją i przyciągnął do siebie.

– Najlepsza ze wszystkich mam.

Odwróciła się i pogłaskała go po włosach.

– Jesteś taki wysoki. Mój dzieciak jest dorosły, Mags, i wybiera się na bal na zakończenie trzeciej klasy liceum. No dalej, teraz ty i Harry.

Dana i Mags zamieniły się miejscami. Mags wspięła się na palce, żeby pocałować Harry'ego w policzek, i szepnęła:

– Włożyłam ci do prawej kieszeni marynarki prezerwatywy. Lepiej dmuchać na zimne.

Tego wieczoru, po magii towarzyszącej zabawie szkolnej, podczas późniejszej imprezy w domu Willa na chłodnej podłodze gościnnej łazienki Harry odebrał dziewictwo Nicie, a ona jemu.

Zaczął swoje ostatnie szkolne wakacje szczęśliwy jak nigdy.

Nim lato dobiegło końca, rak puścił się w ostatni taniec.

Rozdział 2

Harry nigdy nie wątpił w miłość swojej ciotki do siostry. Przeszłość tej kobiety obejmowała pracę w wędrownym cyrku, różne komuny hipisowskie i złoty czarownic. Przejechała autostopem cały kraj, pracowała – krótko – jako showgirl w Vegas, performerka, asystentka iluzjonisty i kelnerka w barze dla kierowców ciężarówek, gdzie poznała mężczyznę, którego określała mianem swego byłego męża.

Jednak ta sama Mags okiełznała na dziesięć lat umiłowanie do włóczędzy, by trwać przy swojej młodszej siostrze. Sprzątała domy, mieszkania i biura i nawet w dobrych czasach rzadko kiedy spędzała kilka dni tak, jak chciała.

W złych czasach natomiast jawiła się jako skała – barwna, acz niewzruszona. Nigdy by nie przegapiła wizyty u lekarza czy dnia chemioterapii. Kiedy Dana była już zbyt słaba, by o siebie zadbać, Mags ją kąpała, a potem ubierała – odrzucając pomoc oferowaną przez Harry'ego.

– Syn nie kąpie swojej mamy – oświadczyła. – Nie w sytuacji, kiedy mama ma siostrę.

Pojął jednak w pełni, jak głęboka i wszechogarniająca jest ta miłość, kiedy rak po raz trzeci pozbawił jego matkę włosów.

Przyrządził wspólnie z Daną kolację. Miała akurat dobry dzień, dzień pełen siły i wytrwałości. Może martwiły go ciemne obwódki wokół jej oczu i to, jak chuda się wydawała – skóra obciągnięta kośćmi – kiedy ją obejmował, ale twarz wyglądała zdrowo, a oczy w tych ciemnych obwódkach były jasne i szczęśliwe.

Dokończył pracę domową i zerknął na zegarek, Mags miała wrócić około ósmej. Mógł wyjść z domu bez obaw i spędzić jakiś czas z Willem. Zamierzał potem, przed powrotem, sprawdzić jeszcze jeden adres.

Nieoczekiwanie ten dobry dzień przeistoczył się w dziwaczny i dość zaskakujący, gdy Mags pojawiła się dwie godziny wcześniej.

Oto kobieta, która uwielbiała farbować swoje włosy na najbardziej zwariowane kolory, która wplatała w nie często najróżniejsze paciorki i piórka, stała teraz przed nim z łysą czaszką pokrytą jedynie brokatem.

Łyżka, którą Dana trzymała w dłoni, spadła z brzękiem na podłogę.

– O Boże, Mags! – zawołała. – Coś ty ze sobą zrobiła?

– Nieźle wygląda, co? – Mags przybrała szczególną pozę; oparła dłoń na biodrze, a drugą położyła sobie za uchem. – To ten brokat, jak mi się zdaje. Używałam tęczowego jako hołdu wobec swoich przyjaciół, lesbijek i gejów, a także wrogów i nieznajomych, więc to jest poniekąd podwójna łysa pała.

– Ale twoje włosy, twoje piękne włosy...

– Przekazałam je na cele charytatywne. Ach, więc to jeszcze jedna łysa pała. – Wysunęła oskarżycielsko palec, kiedy Dana zaczęła płakać. – Przestań. Co jest na kolację?

– Mags, Mags, nie musiałaś...

– Nic nie muszę. Jestem wolnym duchem i robię to, na co mam ochotę i kiedy akurat mam ochotę. – Weszła do kuchni i powąchała zawartość patelni. – Przyjemnie pachnie.

– To... kurczak. Ale jesteś wegetarianką...

– Nie dzisiaj. Dzisiaj jestem mięsożerna, więc lepiej, żeby wystarczyło też dla mnie.

– Wystarczy. – Harry się bał, że też wybuchnie płaczem, zdjął więc czym prędzej patelnię z ognia, żeby potrawa się nie przypaliła, a potem otoczył ramionami obie kobiety i je przytulił. – Zawsze będzie wystarczać.

Po kolacji, kiedy Mags namówiła jego mamę na scrabble w specyficznej odmianie – ekstra punkty za najlepsze wymyślone słowa – Harry przeglądał się w łazienkowym lustrze.

Lubił swoje włosy. Zawsze zwlekał ze stryżeniem możliwie jak najdłużej, gdyż nieodmienne ścinali mu włosy krócej, niż sobie tego życzył.

I naprawdę podobało mu się to, jak bawi się nimi Nita.

Rozumiał jednak, że to, co zrobiła Mags, było wyrazem najczystszej miłości, wsparcia i do diabła! prawdziwej solidarności.

Wziął do ręki swoją maszynkę elektryczną – nie golił się żyletką – po czym odetchnął głęboko parę razy i gdy zobaczył w końcu w oczach, które spoglądały na niego z lustra, więcej determinacji niż strachu, przyłożył ostrze do skóry nad czołem.

Kiedy przejechał maszynką po włosach – niemal przez sam środek głowy – a gęste pukle jeden po drugim zaczęły spadać na podłogę, nagle zgiął się wpół i chwycił szafki.

Nogi zrobiły się pod nim miękkie, żołądek przeszył bolesny skurcz, a oddech utknął w krtani.

– Jasna cholera! – Zmusił się, by znów spojrzeć w lustro, i zobaczył, jak wytrzeszcza oczy.

– Jasna cholera! No nic. Nie ma odwrotu. Uporajże się z tym do końca.

Drugi ruch maszynką wywołał w nim tę samą reakcję, ale z każdym kolejnym czuł się już pewniej. Ponieważ maszynka nie należała do najlepszych, Harry sądził, że skrócił jej żywotność o połowę. Pozostawiła na jego głowie szczecinę, ale uznał, że i tak liczy się idea, a nie efekt końcowy.

Uświadomił sobie, że wygląda... no cóż, doprawdy dziwnie. Jak nie on, absolutnie. Zaświatało mu raptem, że będzie musiał wkładać do nocnej roboty wełnianą czapkę, ale zaczął też rozważać bardziej radykalne zmiany wyglądu i to, jak wzbogacą one repertuar jego sztuczek.

Pozbierał po sobie włosy i wrzucił je do torebki foliowej, po czym znów przyjrzał się swemu odbiciu. I uświadomił sobie coś jeszcze.

To, jak musiała się czuć jego matka, patrząc w lustro. Nie miała wyboru, jeśli chodzi o utratę włosów. Rak i terapie pozbawiły ją tej możliwości.

Gdy patrzyła na własne odbicie, widziała stratę, brak tego wyboru i kogoś, kto w niczym nie przypominał jej dawnej siebie.

– Jeszcze jeden powód, dla którego Mags to zrobiła – mruknął. – Żeby mogła czuć, widzieć i wiedzieć to, co mama.

Przemknął chyłkiem do swojej sypialni i włożył świeżą koszulę. Następnie przymierzył okulary – z przezroczystymi szklami – których używał czasami w celu zmiany wyglądu. Wreszcie zdecydował się na okulary przeciwsłoneczne.

Zmrużył powieki i wyobraził sobie, że ma króciuteńką kozią bródkę. Niewykluczone, że mógłby zmienić swój wygląd dzięki obciętym włosom i rekwizytom, jakimi posługiwano się w szkolnym kółku teatralnym.

Zadowolony z perspektywy możliwych efektów ubocznych, wziął torebkę z włosami i czapkę.

Kiedy się zjawił w salonie, obie siostry były pochłonięte bez reszty grą.

– Jękwou! Daj spokój, Mags.

– Żalony głos wołu cierpiącego na zatwardzenie albo samicy wołu w połogu. – Mags uśmiechnęła się i mrugnęła, kiedy Dana przewróciła oczami. – Premia za siedmioliterowy wyraz. Zdrowo ci dokładam, Dana.

– Czekaj no, poradzę sobie. Nie spiesz się tak.

Harry patrzył, jak jego matka układa litery, i wtem poczuł do obu tych kobiet nagły przypływ miłości, który owionął go niczym ciepły wiatr.

– Dodam w do jednego z twoich słów i wyjdzie mi wariatki – oznajmiła Dana. – Wariatki, dwie łyse baby, które popijają tanie wino i wymyślają jakieś nieistniejące słowa w scrabble'ach. – Podniosła swój kieliszek. – I kto komu dokłada?

– Noc jeszcze młoda.

– Zostawiam was, wariatki, i idę posiedzieć z Willem – rzekł Harry.

– Baw się dobrze, kochanie, i... – Dana odwróciła się do syna i umilkła gwałtownie. Zakryła dłonią usta, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Harry... och, Harry.

– Co? – Uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Rany. Zapomniałem zapiąć rozporek?

– Nie mogę uwierzyć, że... ty nawet jako dziecko nie byłeś łysy. Urodził się z czupryną włosów. Pamiętasz, Mags?

– Tak, pamiętam. Chcesz trochę brokatu, dziecinko? Mam go mnóstwo.
– Nie, dzięki.
– Boże, spójrz na nas. – Dana zaczęła się śmiać, a z jej oczu popłynęły łzy. – Tylko spójrz na nas. – Chwyliła dłoń siostry i sięgnęła do ręki syna. – Jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Nieoczekiwanie Nita też się rozplakała, tyle że jej łzy nie miały w sobie nic z pociechy.

– Jak mogłeś to zrobić? – zirytowała się. – Nie raczyłeś nawet ze mną o tym porozmawiać.

– To są moje włosy. – Wzruszył ramionami. – Czy raczej były.

Jej oczy ciskały gromy, czekała ich prawdziwa awantura.

– Jak byś się czuł, gdybym to ja obcięła włosy albo ufarbowała je na niebiesko jak jakaś świruska?

– To twoje włosy.

– Och, łatwo ci mówić, bo wiesz, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła.

– Nie obchodzą mnie twoje włosy. Ty mnie obchodzisz. I zrobiłem to dla swojej mamy.

Na co wzięła głęboki i odpowiednio głośny oddech, jak zwykle, kiedy zamierzała go do czegoś przekonywać za pomocą rozsądnych argumentów, na ogół do tego, że znowu coś schrząnił. Jak się zdążył zorientować w ciągu minionych ośmiu miesięcy, w przekonaniu Nity dość często coś chrząnił.

– Przykro mi z powodu twojej mamy, wiesz o tym. To okropne, przez co przechodzi. Nienawidzę tego. I rozumiem, że musisz pomagać jej w pracy i być przy niej, a my nie możemy spędzać ze sobą tyle czasu, ile byśmy chcieli, ani wychodzić tak często jak inne pary.

– Ale...

Harry wiedział, że zawsze jest jakieś „ale”, kiedy odzywa się ta rozsądna Nita.

– Ale to nasz ostatni rok w szkole, w przyszłym tygodniu zaczyna się zjazd dawnych absolwentów. Będą zabawy i tańce! W przyszłym tygodniu, Harry. Przecież włosy ci nie odrosną przez tydzień. I co? Jak my się tam pokażemy, skoro wyglądasz jak jakieś dziwadło?

To przeważało. Nie miał pojęcia, że można odkochać się w jednej chwili.

– Moja matka straciła włosy – rzekł twardo. – Po raz trzeci. Myślę, że czyni to z niej potrójne dziwadło.

– Wiesz, że nie to miałam na myśli. To głupie tak mówić. Twoja mama... jest ofiarą. A ty zrobiłeś to specjalnie i nie spytałeś mnie nawet o zdanie.

Nie miał też pojęcia, że kiedy człowiek się odkocha, to przenika go taki chłód.

– Moja mama nie jest niczyją ofiarą. To cholerna wojowniczką. I nie muszę pytać ani ciebie, ani nikogo innego o to, co zamierzam dla niej zrobić. A to? – Wskazał na swoją głowę. – Nie odrosną, dopóki nie stanie się to z jej własnymi. A ponieważ stałem się dziwadłem, z którym nie chcesz być widywana, z nami koniec.

Otworzyła szeroko oczy, w których od razu błysnęły łzy.

– Zrywasz ze mną?... – wyjąkała. – Golisz głowę i zrywasz ze mną przed samym zjazdem absolwentów? Nie możesz czegoś takiego zrobić.

– Ogolenie głowy nie miało z tobą nic wspólnego, za to ty właśnie dałaś mi jasno do zrozumienia, że nie chcesz się ze mną nigdzie więcej pokazywać.

– Przygotowałam już sukienkę!

– Więc włóż ją albo i nie. Nie mój problem.

– Nie możesz tak po prostu... Uprawiamy seks.

– Już nie.

To rzekłszy, oddalił się. Zostawiając ją, czuł się jednocześnie lodowato spokojny i wolny. I doszedł do wniosku, że decyzja, by się z nią spotkać w drodze do domu Willa, otworzyła mu świat na nowo.

Zawsze tak było: dobrze się między nimi układało, kiedy jego matka znajdowała się akurat w fazie remisji. Ale psuło się, kiedy rak znów brał górę, a on nie mógł wychodzić z Nitą tak często ani poświęcać jej tyle uwagi, ile pragnęła.

I chyba dawała mu to subtelnie do zrozumienia, jak się teraz zorientował. Ale zarazem dostatecznie mocno, by się czuł winny i rozdarty.

No cóż, koniec z tym.

Przypuszczał, że będzie mu brakowało jakiejś dziewczyny, a już na pewno seksu – ilekroć udawało im się go uprawiać. Miał jednak czym wypełnić sobie czas. Szkoła – wciąż liczył na stypendium w Northwestern University – przyjaciele, praca, mama, nocna robota.

Z rękami w kieszeniach i ze spuszczoną głową, podle się czując, dowlókł się do domu Willa. Zapukał do drzwi pogodnie białego bungalowu.

Otworzył mu tata Willa, ubrany w bluzę z emblematem Chicago Bears, i przekrzywił głowę. Następnie ściągnął Harry'emu czapkę z głowy i uśmiechnął się szeroko.

– O rany, chłopie! – Przesunął mu dłonią po szczecinie. – Mogę ci to wyrównać, jeśli chcesz.

– Potrafi pan?

Tata Willa pogłaskał się po swojej gładkiej czaszce.

– Mam wprawę. – Gdy położył dłoń na ramieniu Harry'ego, w jego oczach pojawiło się wzruszenie. – Porządny z ciebie gość, Harry Booth. Pakuj tu swój chudy biały tyłek.

*

Rzeńska, barwna jesień przemieniła się brutalnie w szarość i biel zimy, ta zaś okładała bezlitośnie pięściami i owiewała miasto lodowatym oddechem, jakby chciała je na dobre zmrozić.

Nowy piec dawał sobie nieźle radę, niestety, w pewien lutowy poranek wiekowy grzejnik wody wydał ostatnie tchnienie. Dzień ów zaczął się od minus trzynastu stopni.

Wprawdzie Harry miał dość odłożonych pieniędzy na nowy grzejnik, ale musiał okłamać matkę, jeśli szło o koszty zakupu i robocizny. Nie było to pierwsze kłamstwo, którym uraczył ją tej zimy, i zapewne nie ostatnie.

Powtarzał sobie, że matka wygląda już lepiej i że jak tylko skończy się zima, znów będzie mogła wychodzić i spędzać czas na świeżym powietrzu, i na pewno wróci do pełni formy.

List z Northwestern University, informujący o przyjęciu jej syna na studia i przyznaniu mu stypendium, ożywił ją. Mogła teraz ślęczeć uszczęśliwiona nad broszurami uczelnianymi, przglądać odpowiednie strony w internecie i spisywać wieczorami to, czego według niej mógł potrzebować w akademiku.

On jednak skalkulował sobie wszystko.

– Zamierzam dojeżdżać na pierwszym roku – oznajmił. – Będę mieszkać w domu. To darmowe lokum i opierunek.

– Chcę, żebyś w pełni doświadczył uroków nauki. Ty pierwszy w naszej rodzinie idziesz do college'u. I to tak dobrego. Chcę...

– Mam mnóstwo doświadczenia, jeśli chodzi o uroki nauki, i nie muszę spać w jednym pokoju z kimś, kogo nie znam. Najpierw przyjrzę się wszystkiemu, poznam nowych przyjaciół i wtedy się zastanowię, czy zamieszkać w przyszłym roku na kampusie.

– Ale ominą cię różne zajęcia i imprezy.

– Chcesz, żebym brał udział w pijackich balangach?

Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Coś w tym rodzaju. Chcę, żebyś miał swoje życie.

– Mam swoje życie.

– I poświęcasz mi go zbyt wiele. Wiem, że mieszkanie na kampusie będzie sporo kosztowało, a stypendium nie pokryje wszystkiego, ale możemy wziąć pożyczkę studencką.

– W przyszłym roku.

Wyprostowała się.

– Zastanawiałam się, czyby nie wziąć drugiego kredytu pod zastaw hipoteczny.

– Nie ma mowy.

Skrzyżowała ramiona na chudej piersi.

– Posłuchaj no, Harrisonie Silasie Boocie. Kto tu rządzi?

– No cóż, Dano Lee Booth, sama powiedziałaś, że chcesz, bym miał własne życie, a to oznacza, że sam podejmuję decyzje. A moja decyzja jest taka, że przez pierwszy rok będę mieszkał w domu.

– No dobrze. Jeden semestr. W akademiku. To dobry kompromis, Harry. Rozejrzysz się przez ten czas, poznasz nowych przyjaciół.

– Widzę, że chcesz się mnie pozbyć.

Dotknęła jego dłoni.

– Chcę, żeby mój ptaszek się opierzył. Chcę zobaczyć, jak latasz, Harry. Spędź na uczelni pierwszy semestr, a potem się zastanowimy.

– Okej. Pierwszy semestr, w zamian ty dajesz sobie spokój z kredytem pod hipotekę.

– Mogę się na to zgodzić. Rozejrzymy się za pożyczkami studenckimi. Będiesz mógł znaleźć pracę na kampusie. Jest taki piękny.

Nie miał nic przeciwko temu, by matka snuła te marzenia; widać było, że sprawiało jej to przyjemność.

Czekała go jednak robota, a on zamierzał ją wykonać, gdy tylko matka się położy.

Małżeństwo młodych wykształconych ludzi, przebywających w samym lodowatym sercu lutego w swoim wakacyjnym domu w Arubie, mogło się pochwalić bardzo ładną kolekcją markowych zegarków – damskich i męskich.

Bulgari, Rolex, Chopin, Baume & Mercier, TAG Hauer. I, jak się dowiedział, dwa egzemplarze firmy Frederic Graff.

Wątpił, czy zabrali je wszystkie ze sobą.

Nawet gdyby mu z nimi nie wyszło, to i tak ludzie, którzy potrafili kolekcjonować zegarki o wartości pięciocyfrowej kwoty, musieli mieć mnóstwo innych dóbr. Do wyboru, do koloru.

Liczył głównie na zegarki – po jednym od każdego z małżonków; nie był potworem. Gdyby trafił się wśród nich jakiś graff, mógłby go sprzedać i miesiącami opłacać koszty leczenia, utrzymania domu i studiów.

Odwiedził ten dom minionej wiosny, kiedy właściciele przeprowadzili wstępną rozmowę z matką i Mags na temat gruntownych porządków, ale ostatecznie zrezygnowali, znał więc dokładnie rozkład pomieszczeń. Znał też system antywłamaniowy, łatwo mógł sobie z nim poradzić.

Wiedział również, że Jenkinsonowie mają dwa sejfy – jeden w gabinecie, a drugi w garderobie przy głównej sypialni.

Przypuszczał, że tam właśnie znajdują się zegarki.

Wcześniej zainwestował w kupno identycznego sejfu. Wynajął niewielki magazynek, coś w rodzaju tymczasowego schowka na rzeczy. I tam tygodniami ćwiczył się w sztuce otwierania sejfów.

Nie zafundowali sobie niczego z górnej półki, niczego wysokiej klasy, najprawdopodobniej z korzyścią dla niego, a mimo to Harry uważał, że ma smykałkę do tej specyficznej sztuki. Z tą nową umiejętnością i przy odrobinie szczęścia zaczęłyby jesienią studia wolny od wszelkich długów. Albo prawie wolny.

Martwił się, że zostawia matkę samą, chociażby na dwie godziny – góra trzy – których wymagała robota. A jeśli z powodu burzy dojdzie do wyłączenia prądu? A jeśli matka poczuje się źle i zacznie go wołać?

A jeśli?... a jeśli?...

Lecz gdyby powiodło mu się z tym włamaniem – a był tego pewien – mógłby upłynniać łup powoli, spłacając wszystko, i powiedzieć matce, że znów udziela korepetycji.

Tak czy siak, wiedział, że coś wymyśli.

Wsiadł do kolejki miejskiej, ot, niczym się niewyróżniający nastolatek opatulony po uszy, jak wszyscy w ten wietrzny, śnieżny wieczór w Chicago.

Wysiadł przystanek wcześniej przed celem podróży, włożył do wewnętrznej kieszeni okulary w grubych oprawkach, które miał na sobie podczas jazdy. Zamienił czapkę futbolową na hokejową, po czym ruszył w przejmującym chłdzie w kilometrową wędrówkę.

Każdy, kto by miał choć odrobinę oleju w głowie albo nie zamierzał się nigdzie włamywać, siedziałby o pierwszej w nocy w ciepłym domu. Jego jedynym zmartwieniem było ryzyko napotkania na swej trasie jakiegoś radiowozu, a następnie przesłuchania na okoliczność tego, co on robi, u diabła, na dworze w nocy w taką pogodę.

„Byłem u dziewczyny, rozumie pan”, ćwiczył w głowie. „Teraz idę na przystanek, żeby wsiąść do pociągu i wrócić do domu. Żaden problem, panie władzo”.

Szczerze nie napotkał jednak patroli i kiedy dotarł do miejsca przeznaczenia, zwolnił kroku.

Przyszło mu do głowy, że idzie zbyt szybko i zwraca na siebie uwagę.

Nie okazując wahania, podszedł wprost do drzwi wejściowych.

Zamki nie stanowiły szczególnej przeszkody, służyły raczej ozdobie niż bezpieczeństwu – pojedynczy cylinder i klasyczna zasuwka w obudowie pokrytej imitacją brązu.

Mechanizm ustąpił w ciągu minuty.

Zsunął buty, wszedł do środka w grubych skarpetkach, schował obuwie do plastikowej torby i we wszystkich tych czynnościach odliczał w myślach sekundy.

Teraz zamknął drzwi i podejść wprost do skrzynki alarmowej.

Tu też zdecydowali się na podstawowy model. Otworzył drzwiczki, wyłączył alarm i zanurzył się z lubością w otaczającej go zewsząd ciszy.

Ulubiony moment, jak musiał przyznać. Po wszystkich żmudnych przygotowaniach, ćwiczeniach, rozpoznaniu – nadchodziła oto chwila, kiedy mógł tylko stać w ciszy i chłonąć doznania. Czuł, jak jego puls przyspiesza pod wpływem emocji.

Kradzież, zysk? To była po prostu robota.

Ale ten moment, ten spokój – były wyłącznie jego doznaniem.

Rozkoszował się nim przez chwilę, potem przystąpił do działania.

Poszedł lekko schodami na górę, minął podwójne drzwi na lewo, a wreszcie stanął przed tymi prowadzącymi do garderoby na prawej ścianie.

Mieli mnóstwo ubrań – od cholery butów. Tych dwoje miało prawdziwego świra na punkcie odzieży. Siłą rzeczy jednak podziwiał garnitury męczyzny – doskonałą wełnę – i koszule z monogramem na rękawach. Oraz miękką skórę butów od znanych projektantów.

Docenił też kolekcję swetrów pani domu. Kaszmir, wełna merynosów. Naszła go pokusa, by wziąć jeden – tylko jeden – dla matki. Taki ciepły i mięciutki.

To jednak prowokowałyby pytania, a on nie chciał kłamać.

Przesunął więc snopem światła latarki po sejfie. I uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Cześć. Pracuję od jakiegoś czasu z twoim bratem. Zapoznajmy się. – Pokręcił głową, wyjmując stetoskop. – Zamek z podstawową kombinacją. Powinni się byli lepiej postarać.

Najpierw ustalili długość kombinacji. Aby się upewnić, że wszystkie bolce cofnęły się, obrócił pokrętko trzy razy zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Następnie przyłożył słuchawkę stetoskopu obok pokrętkła i zaczął nim obracać w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Kiedy usłyszał dwa pierwsze kliknięcia, zatrzymał się i zapamiętał cyfrę.

Powtórzył czynność dwukrotnie, by się upewnić.

– Dobry początek – mruknął.

Przesuwając pokrętko przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, zatrzymał się przy pierwszej cyfrze. Cofał się – powoli, ostrożnie – do miejsca, w którym zatrzymał bolce, nasłuchując kliknięć i zapamiętując kolejne cyfry, aż w końcu nic nie dobiegło jego uszu.

„Czterocyfrowa kombinacja”, pomyślał.

Teraz do gry wkroczyły jego zdolności matematyczne – kto powiedział, że życie nie wymaga stosowania algebry?

Nakreślił dwie linie i oznaczył je. Oś X dla punktu początkowego, oś Y dla prawego punktu styczności.

Zresetował zamek, po czym ustawił pokrętko na zerze.

Pracował w ciszy – słyhać było tylko kliknięcia – pracował cierpliwie, odnotowując każde miejsce kontaktu, a potem nanosił to odpowiednio na oś X albo Y.

Ta wyczerpująca praca zabrała mu dokładnie trzydzieści trzy minuty – uważne nasłuchiwanie, wykorzystywanie matematyki, żeby ustalić cztery cyfry.

8–9–14–2.

Teraz potrzebna mu była prawidłowa kolejność. Zaczął od sekwencji, w jakiej zapisał cyfry, potem zatrzymał się.

– To data. Jezu, walentynki. Prawdopodobnie data ich pierwszej randki czy coś w tym rodzaju. W roku dziewięćdziesiątym ósmym. Czyżby to miało być tak łatwe?

Czterocyfrowa kombinacja mogła oznaczać blisko dwa tysiące zmiennych. Wykluczone, by udało mu się za pierwszym razem.

Ale mimo wszystko spróbował.

2-14-9-8.

I kiedy pociągnął za rączkę sejf, jego drzwiczki otworzyły się z gładkością jedwabiu.

– Cholera! Otworzyły się tak po prostu.

Przeszył go dreszcz niemal podobny do tego pierwszego, dziwnego, szokującego orgazmu w wieku dwunastu lat.

Wyjął stoper i wyłączył go.

– Trzydzieści pięć minut, dwanaście sekund. Nieźle, ale poprawię ten wynik.

Wyjął z sejf, kasetkę ze szklanym wieczkiem – bez zamka – która mogła pomieścić z tuzin damskich zegarków. Teraz znajdowało się w niej siedem. A jednym z nich był graff.

Wyjął go i obejrzał uważnie w świetle latarki.

Nigdy nie miał w ręku niczego równie drogiego. I jakże to było piękne, jak sobie to uświadomił. To, jak diamenty jarzyły się w blasku światła, a umieszczone obok nich szafiry dyskretnie błyszcząły.

Przyrzekł sobie, że odrobi lekcję i dowie się więcej o kamieniach szlachetnych. No cóż, skrywały w sobie historię. I sprawiały więcej radości niż znaczki czy stare monety.

Włożył zegarek do sakiewki, którą przyniósł ze sobą, odstawił kasetkę na miejsce, wyjął następną i zaczął przeglądać męską kolekcję. Zdecydował się na rolexa – klasyka – po czym odłożył kasetkę.

Wyjął pozostałe kasetki – spinki do mankietów, kolczyki, bransoletki, naszyjniki. Drobną kolekcją, jak sądził, ale robiąca wrażenie.

I kusząca.

Upomniał się w myślach, że musi dotrzeć do domu, następnie zaś udać się do magazynku schować tam towar.

Ostatecznie jednak sięgnął po diamentowe kolczyki. Małe, ale z klasą, i prawdopodobnie niełatwe do wytropienia.

Zamknął sejf, wprawił w ruch pokrętło. Potem rozejrzał się dla pewności, że niczego nie pozostawił po sobie.

Ruszył w drogę powrotną i brnąc przez gęsto padający śnieg, w niespełna godzinę dotarł do domu.

Z dwustoma tysiącami w plecaku, jak obliczał.

Zamierzał upierać się przy dwudziestu procentach. Przystałby i na dziesięć, ale będzie naciskał na więcej. I może zdoła uzyskać piętnaście.

A dysponując trzydziestoma tysiącami dolarów, z pewnością uporałby się z cholerną górą rachunków za leczenie.

Wiosną mieliby świeże powietrze – a rachunki za ogrzewanie zniknęłyby nareszcie. Może – choć wydawało się to mało prawdopodobne – zdołałby namówić matkę na letnie wakacje. Sprzedali dawno temu swój stary wóz, ale mogliby wynająć inny. Uzyskał pozwolenie swojego nauczyciela jazdy. Odbył kurs w szkole, a tata Willa wozził go swoim samochodem, miał więc praktykę. Mógł zrobić prawo jazdy; wypożyczyliby samochód i pojechali nad ocean.

Matka często mawiała, że bardzo chciałaby go zobaczyć. Poza tym morskie powietrze odznaczało się właściwościami leczniczymi i tak dalej.

Mogliby wynająć na kilka dni pokój niedaleko plaży. Podróż tam i z powrotem to też byłyby wakacje. Nie wyjeżdżali na nie od czasu...

„Od czasu, kiedy zachorowała na raka”, jak przyszło mu do głowy, zaraz jednak stłumił w sobie tę refleksję.

Przeżył wspaniałą noc, nie było sensu jej psuć. Czas pomyśleć o wiosnie, o lecie, o studiach jesienią.

Jednak na razie zima trwała z uporem. Zimny marzec odszedł z taką samą zajadłością, z jaką się zjawiał.

Nim nastąpiła połowa kwietnia, Harry doszedł do wniosku, że Chicago bardziej przypomina pokrytą wiecznym lodem planetę Hoth z *Gwiezdnych wojen* aniżeli amerykańskie miasto.

Aż wreszcie pod koniec kwietnia wiosna zaczęła z wolna przełamywać mroźny uścisk zimy.

Coraz śmielej otwierali już okna na oścież i wpuszczali świeże powietrze. Oczywiście, musieli je na noc zamykać, jeśli nie chcieli zamarznąć na śmierć, ale był to już jakiś początek.

Harry czuł, że rozkwita w nim nadzieja. Przypominała te krokusy, które matka posadziła, kiedy był małym chłopcem.

Spotykał się nawet z nową dziewczyną, Alyson. Miała świra na punkcie nauki, ale była absolutnie urocza. Nie, nie znaczyło to nic poważnego; nie pragnął tego przed początkiem studiów. Ale miał z kim pójść na bal maturalny, i to się liczyło.

Wracał do domu w upojnym, niemal balsamicznym powietrzu, zastanawiając się nad wieczornymi zajęciami.

Lekcje do odrobienia – musiał dostawać dobre stopnie – trochę nauki o kamieniach szlachetnych. Kolacja – może udałoby mu się przekonać mamę do zamówienia pizzy.

I pojawił się też potencjalnie lukratywny cel, któremu chciał się bliżej przyjrzeć.

Wszedł do domu w doskonałym nastroju.

– Cześć, mamó! Przekaszę coś. Chyba świetnie mi poszło z testu z chemii. Mam od cholery pracy domowej, ale zaraz się do niej zabiorę.

Trzymał w ręku torebkę Doritos, a w drugiej puszkę coli, kiedy mama wyłoniła się z sypialni.

– Zawsze po szkole jadłeś kanapkę z dżemem.

– Czasy się zmieniają. Potrzebuję na gwałt dużej ilości węglowodanów i kofeiny do wypracowania. Muszę coś napisać na temat...

Utkwiła w nim spojrzenie, które natychmiast przebiło balonik jego dobrego humoru.

– Co się stało? – spytał z wysiłkiem.

– Usiądźmy, Harry.

– Mamó...

– Proszę. Usiądźmy. Może przyniosłbyś mi colę?

Stłumił wszelkie myśli; tylko tyle mógł zrobić. Nalał jej swojej coli do szklanki z lodem, bo taką lubiła. Po czym usiadł z nią przy kuchennym stole.

– Poszłam dzisiaj na badanie. Tomograf.

– Co? Nic mi nie mówiłaś. Poszedłbym z tobą.

– Masz na głowie szkołę. Mags ze mną poszła. A nie powiedziałam ci, kochanie, bo to lekarz chciał mnie zbadać. Dlatego, że... kochanie... chemia nie poskutkowała tym razem.

– Nieprawda. Powiedzieli, że skutkuje. Tak powiedzieli.

– Owszem, działała przez krótki czas zeszłej jesieni i na początku zimy, ale już nie teraz, Harry. Od jakiegoś czasu już nie.

Wiedział o tym, prawda? W głębi ducha. Obwódki wokół jej oczu, wyraźniejsze i ciemniejsze, energia znikająca podobnie jak ciało na jej kościach.

– No to spróbują z nową terapią.

– Harry... – Ujęła jego dłonie. – Są przerzuty. Zrobili wszystko, co w ich mocy.

Miał wrażenie, że jej ręce to kościste pióra. Takie lekkie, cienkie i ostre.

– Nie wierzę w to. Ty też nie możesz w to uwierzyć.

– Chcę, żebyś był dzielny. Wiem, że to nie jest w porządku. Nie powinnam cię o to prosić. Nic nie było ani nie jest w porządku. Pozbawiło cię dzieciństwa, a ja tego nienawidzę. Nienawidzę. Nie twierdzą, że nie będą walczyć. Ale dajemy sobie spokój z chemią.

– Mamó, proszę...

– Może przedłużyłaby mi życie o kilka miesięcy, a ja bym ciągle rzygała. Ale to wszystko. Chcę ten czas, który mi jeszcze pozostał, spędzić z tobą, być twoją mamą, przynajmniej tak długo, jak to możliwe. – Ścisnęła mu dłonie. – Sześć miesięcy. Osiem albo dziewięć, Harry, przy zastosowaniu innych terapii. Podałabym się temu sto razy, kochanie, gdyby to oznaczało, że będę widziała, jak dorastasz. Kończysz studia, zakochujesz się, zakładasz rodzinę. Ale nie mogę. Moje serce pragnie tego – jesteś dla mnie wszystkim – ale ciało mi na to nie pozwoli.

– Dałaś wcześniej radę.

– Ale nie tym razem. Pomóż mi przeżyć jak najlepiej te sześć miesięcy.

– Dałaś wcześniej radę – powtórzył z uporem.

Kiedy otoczyła go ramionami, znów był dzieckiem. I to dziecko przycisnęło teraz twarz do matczynej piersi i cicho załkało.

Rozdział 3

W ostatnim dniu nauki szkolnej, pod koniec dwunastoletniego rozdziału jego życia, jak zwykł myśleć o tym Harry, usłyszał donośny śmiech wylewający się z otwartych okien domu, gdzie w pomalowanych doniczkach obok drzwi wejściowych rosły kwiaty.

Matka śmiała się teraz częściej i sprawiała wrażenie tak pogodnej i szczęśliwej, że mógł sobie wmówić – no prawie – że udało im się mimo wszystko pokonać na dobre tego wroga, który się w niej zadomowił.

Sadziła kwiaty, sprzątała domy, słuchała muzyki, chodziła na zakupy. Kupiła nową sukienkę z myślą o jego promocji.

Mawiała, że każdy dzień to dar, więc i on próbował patrzeć na to w ten sposób.

Czasem jednak, nocą, w ciemności, przychodziło mu do głowy, że każdy upływający dzień to o jeden dzień mniej.

Dzisiaj słyszał, jak się śmieje – chichocze niczym któryś z jego szkolnych kolegów.

Teraz już byłych kolegów.

Wszedł do domu i zobaczył matkę i Mags, które zanosily się śmiechem przy stole kuchennym.

Od szczeciny na głowie ciotki bił oślepiający szafirowy blask.

Nie dziwił się temu, ale widok króciutkich włosów na matczynej głowie w różowym kolorze gumy do żucia odebrał mu mowę.

Obie uśmiechnęły się do niego jak na komendę.

– I co myślisz? – spytała Dana.

– Myślę... że wyglądacie jak jaja wielkanocne – odparł. – Gdyby je mieli na Marsie.

Wywołało to kolejny atak szaleńczego śmiechu.

– Wystarczy mi obu kolorów, żeby i tobie ufarbować włosy, Harry. Chcesz? Pomieszam jeden z drugim i otrzymam ładny fiolet. Masz fryzurę jak George Clooney w filmie *Ave, Cezar* – zauważyła Mags. – Fiolet ją ładnie podkreśli.

– Nie ma mowy.

Dana wstała i wzięła z lodówki puszkę coli, zanim zdążył wziąć jedną dla siebie.

– Zakryję sobie głowę chustką przed uroczystością wręczenia świadectw – powiedziała. – Nie martw się.

Wziął colę, a potem się schylił i pocałował ją w policzek.

– Nie zrobisz tego. Założę się, że nikt nie ma mamy – ani ciotki – z różowymi i niebieskimi włosami.

Uściskała go.

„Jakaż ona szczupła, jaka szczupła”. Odepchnął od siebie tę myśl i upomniał się: „Jest tutaj, jest i jest szczęśliwa”.

– Mags namówiła mnie na to, kiedy uporałyśmy się z domem Gobble’ów. Pomyślałam sobie, a co mi szkodzi, do diabła. I w tym całym podnieceniu zapomniałam o wielkiej chwili! – Chwyciła się za twarz. – To ostatni dzień w szkole. Mój dzieciak, mój mały dzieciak o wzroście ponad sto osiemdziesiąt centymetrów, właśnie ukończył liceum.

– Oho, chyba nastawię jakąś sentymentalną muzykę.

– Już rozbrzmiewa mi w głowie – zwróciła się Dana do Mags. – Wciąż cię widzę, mój mały chłopczyku, jak idziesz pierwszego dnia do szkoły w tej swojej czerwonej kurteczce, z pudełkiem na lunch. Kiedy tam dotarliśmy, powiedziałeś po prostu: „Cześć!”, i sam wszedłeś do budynku. Niczego się nie bałeś. Zawsze taki byłeś.

Pamiętał to, ponieważ pamiętał wszystko.

– Dziękuję swojej mamie.

– Przygotuję ci przekąskę. Pewnie wybierasz się dziś na przyjęcie. Idziesz z Alyson? To

przemiała dziewczyna. I taka bystra.

– Owszem, jest miła i bystra, ale mam dziś randkę z kimś innym. Prawdę powiedziawszy, z dwiema osobami.

Dana obróciła się gwałtownie.

– Nie spędzisz chyba pierwszego wieczoru reszty twojego życia ze mną i Mags!

– Myślę, że sam mogę decydować o tym, gdzie i jak chcę spędzić ten pierwszy wieczór, poza tym mam pewne plany.

– Jakie plany?

– Swoje plany. Zostało nam kilka godzin, więc najwyższy czas na tę przekąskę. Zrób dostatecznie dużo dla nas wszystkich. Potem skoszę trawnik.

Co, wzięwszy pod uwagę jego rozmiary, zabierze dziesięć minut.

– To niespodzianka – ciągnął, uprzedzając pytania. – Jesteście odpowiednio ubrane. Może przyda się wam sweter czy kurteczka, ale to wszystko.

– Tajemnica. Psst – powiedziała Mags. – Tajemnicza niespodzianka. Już mi się podoba.

Nie miały pojęcia, dokąd jadą, kiedy wsiadały do pociągu, a on milczał jak zakłęty. Ale im bliżej byli celu i im więcej wsiadało ludzi w charakterystycznych czapeczkach i kurtkach, tym bardziej stawało się jasne, gdzie jadą. Mags trąciła Harry'ego w ramię.

– Stadion Wrigley. Zgadza się? Wieczorny mecz z Miami Marlins.

– Może i tak.

– Przecież nie przepadasz za bejsbolem – zaczęła Dana. – Nigdy nie rozumiałam, w którym momencie popełniłam błąd i nie wpoilałam ci miłości do tego sportu, ale...

– Nieprawda. Podoba mi się. No i moje panie go uwielbiają.

– Pewnie, bo jest wspaniały. Niesamowity. Człowieku, powinnam chyba wzmocnić się energią z mojego krwawnika. Nie, nie, raczej z czarnego onyxu. – Mags zaczęła grzebać w swojej torebce. – Mam tu coś chyba? O rany! Moja szczęśliwa czapeczka Cubsów została w domu, ale potrafię ją sobie wyobrazić. Kto gra na pozycji miotacza? Za nic sobie nie przypomnę.

– Sergio Mitre – podsunął Harry.

– Okej, w porządku. Będę wyobrażała ją sobie z całych sił.

Podobało mu się, jak rozmawiają o meczu, jadąc pociągiem, a potem w drodze na stadion i pod wielkim czerwonym transparentem.

Podobała mu się ich paplanina i otaczający ich gwar.

– Ja stawiam – oznajmiła Dana. – Z okazji ostatniego dnia w szkole.

– Za późno. – Harry wyjął z tylnej kieszeni spodni bilety. – Już załatwione. Proszę: dla kobiet, które mi pomogły przebrnąć ten ostatni dzień nauki.

– Harry... to miejsca w łoży. Nie możesz...

– Już załatwione. I wszyscy dostaną czapeczki na szczęście.

– Nie psuj chłopakowi planów. – Mags ścisnęła Danie dłoń. – Przyjmij dar.

– Tak, tak, masz rację. Nie widziałyśmy nawet meczu w ostatnim sezonie, a teraz? Miejsca w łoży. Och, Mags, spójrz tylko. Tam! Przy pierwszej bazie, tuż za ławką trenerską!

Kupił im po czapeczce i jedną wziął sobie.

Kiedy weszli na stadion, usłyszał nabożne westchnienie matki. Ich oczom ukazały się zielona murawa, charakterystyczne brązowe podwyższenie dla miotacza i białe linie pól gry.

– Och! Jesteśmy prawie na samym boisku! – gorączkowała się Dana. – Czuję zapach skoszonej trawy! Mags, pamiętasz, jak oglądałyśmy mecze, siedząc na dachach? – Wskazała budynki otaczające stadion.

– Jasne, że pamiętam. Zabierał nas tam wuj Silas, obdarowywał hot dogami i piwem korzennym. Opowiadałam ci, Harry, o wuju Silasie, bracie twojej babki?

– Noszę po nim drugie imię.

– No tak. A wiesz, że zakochał się w kobiecie, która nigdy nie odwzajemniła jego miłości, przez co usychał za nią z tęsknoty, aż wreszcie umarł. Nigdy się nie ożenił. Uwierzyłybyś? Dostał ataku serca, kiedy byłeś niemowlęciem.

Harry znał tę historię. Ojciec Mags i Dany zwiął, gdy ta druga była jeszcze w pieluchach. Ich matka pracowała wtedy w sklepie rzeźniczym u swego brata i wychowywała dwie dziewczynki.

Zginęła, trafiona zbląkaną kulą wystrzeloną z pędzącego auta, kiedy jego własna matka

miała siedemnaście lat.

„Była w tym samym wieku co ja teraz”, uświadomił sobie nagle.

– Może i miał słabe serce, ale czułe, dobre, przesłodkie. Ech... To były dobre czasy. – Mags poklepała Danę po udzie. – Naprawdę dobre.

– Owszem. – Jej siostra westchnęła głośno. – Ale teraz czasy są jeszcze lepsze.

Jedli hot dogi i popijali piwo. Choć nie miał na to zbytnej ochoty, Harry pociągnął trochę z matczyne go kubeczka.

Solidarność.

Dopingowali, gwizdali, buczeli, spierali się o decyzje sędziowskie.

Matka wyglądała promiennie – takie właśnie słowo przyszło mu do głowy. Zerwała się z miejsca, by móc lepiej obserwować lot długiej piłki, i gwizdnęła na palcach, kiedy zawodnik pola środkowego przechwycił ją dosłownie kilkadziesiąt centymetrów od ściany, a wreszcie jęknęła, gdy wyeliminowano pałkarza.

Po zachodzie słońca zapalono światła.

Nagle, bardziej przez przypadek niż celowo, Harry pochwycił piłkę, która poleciała wprost w jego stronę. Matka zerwała się z miejsca i zaczęła tańczyć.

– Masz zręczne dłonie – zauważyła Mags, patrząc na niego znacząco. – I dobry refleks.

Kiedy już odzyskał czucie w palcach, podał piłkę matce.

– Twoja pamiątka, madame.

Czy zdecydowały o tym czapeczki na szczęście, czy krwawnik, który Mags wygrzebała z torebki, czy dobra gra Chicago Cubs, tak czy siak, Mitre dobrze rzucał przez cały pełny mecz i kiedy chłopcy schodzili z boiska, mieli na koncie zaliczonych czternaście biegów.

Choć Harry nie podzielał matczynej pasji do bejsbola, wiedział, że żaden zapalony kibic nie szalałby z radości na widok takiego wyniku.

Gdy ludzie opuszczali trybuny, matka wsparła mu głowę na ramieniu. Wciąż siedzieli na swoich miejscach.

– Wiesz, co jest lepsze od letniego wieczoru na tym stadionie? – spytała.

– Co? – odparł machinalnie.

– Nic.

Kiedy później wysiedli z kolejki jeden przystanek wcześniej, wszyscy troje kupili sobie rożki lodowe i odprowadzili Mags do jej mieszkania.

Wieczorem wracali już sami do domu położonego kilka przecznic dalej. Harry otoczył matkę ramieniem, tak jak ona otaczała niegdyś jego.

– Jesteś pewnie zmęczona.

– Trochę – przyznała. – Ale to dobre zmęczenie. Sprawiliś nam niesamowitą niespodziankę. Prawdę mówiąc, ty sam byłeś zawsze moją najlepszą niespodzianką. Nigdy nie pytasz o swojego ojca.

– A o co tu pytać? – Wzruszył ramionami. – On się przecież nie liczy.

– Liczy, bo gdyby nie on, nie miałabym ciebie. – Wsparła się na nim i westchnęła. – Powinam ci powiedzieć, bo zwyczajnie powinieneś wiedzieć. Byłyśmy młode. Kiedy straciłyśmy z Mags matkę, odczuwałam smutek. Ona nie posiadała się z rozpacz, a ja nie mogłam się uwolnić od smutku. Choć wuj Silas pocieszał nas jak mógł, i jemu nie było lekko. Tak czy inaczej, wtedy właśnie zjawił się chłopak i mnie zapragnął. A ja zapragnęłam jego. Nie darzyliśmy się miłością. Bynajmniej. I nie chcę, żebyś myślał, że złamał mi serce, bo tak nie było.

Skręcili w stronę domu; zatrzymała się przy drzwiach.

– Posiedźmy tu chwilę – zaproponowała i usadowiła się na werandzie porośniętej kwiatami. – Byłyśmy razem tylko kilka tygodni i w zasadzie zdążyliśmy się już rozstać, kiedy sobie uświadomiłam, że jestem w ciąży. On zaczął studia, Mags wyruszyła w trasę ze swoim cyrkiem, a ja pracowałam w sklepie rzeźniczym. Wiem, dziwnie to zabrzmiało, ale nie wpadłam w panikę ani nie zastanawiałam się, co robić. Od pierwszej chwili ogarnęła mnie ekscytacja. Młoda, głupia, podekscytowana. I wszelki smutek gdzieś się ulotnił. Musiałam o tym powiedzieć chłopakowi i nie byłam zdziwiona jego reakcją. Nie mogłam go o to winić i nigdy nie winiłam. – Spojrzała na syna zmęczonym, ale twardym wzrokiem. – I ty też nie powinieneś, dlatego ci o tym mówię. Miał ledwie osiemnaście lat, dopiero wkraczał w dorosłe życie, tak jak ty teraz. Nie kochaliśmy się ani nie pra-

gnęliśmy nawzajem. Wiem, że mogłam nalegać, by się poczuł do odpowiedzialności, i może tak należało zrobić. Nie wiem. Nie chciałam jednak. Byłeś mój i po co miałbyś mieć w życiu kogoś, kto cię nie chciał, skoro ja cię chciałam? Wyrzekł się i ciebie, i mnie, tak jak mój ojciec wcześniej wyrzekł się matki, mnie i Mags. Nie zamierzałam cię skazywać na coś takiego. To niełatwa droga.

– Nie chciałbym, żeby było inaczej, jeśli mnie o to pytasz.

– To dobrze. To bardzo dobrze. Tak czy inaczej, Mags wróciła na kilka tygodni przed twoimi narodzinami i została przy mnie, kiedy się pojawiłeś. A potem znowu wróciła, kiedy umarł wuj Silas. Szkoda, że go nie pamiętasz, ale nie mogłeś, byłeś małym dzieckiem. Uwielbiał cię. Odziedziczyłam po nim w spadku dostatecznie dużo, by móc wpłacić depozyt na ten dom. Później rozkręciłyśmy z Mags interes i po jakimś czasie zaczęłyśmy całkiem nieźle sobie radzić, to było jakoś wtedy, kiedy poszedłeś do szkoły. No i tak. – Podniosła na niego oczy. – Z tego smutku wzięłeś się ty, mój największy dar, moja największa miłość. Chcę, żebyś o tym zawsze pamiętał. I wiesz co? – Pocałowała go hałaśliwie w policzek. – Żadnego smutku dziś wieczorem.

– Tak, nie pamiętam go, to znaczy wuja Silasa, ale znam go dzięki tobie i Mags. Mam w głowie wszystkie wasze opowieści.

Uśmiechnęła się i postukała go palcem w skroń.

– Czarodziejska pamięć.

– Tak.

Wiedział, że nigdy nie zapomni tej wspólnej chwili na werandzie w letni wieczór, w otoczeniu jej pięknych kwiatów.

Ufarbowała włosy na różowo i włożyła nową sukienkę z okazji jego promocji, a potem, wraz z Mags, pomogła mu wyprawić przyjęcie dla jego przyjaciół.

Kiedy czerwiec dobiegał końca, przechodząc z wolna w lipiec, wokół jej oczu znów pojawiły się ciemne obwódki. Coraz częściej malował się w nich ból. Zbyt często go dostrzegał. Później, kiedy już ledwie mogła przejść przez pokój, nie tracąc przy tym oddechu, uznał, że pora, by z nim usiadła i porozmawiała.

– Podjąłem decyzję – oznajmił.

Popijała jakąś dziwną herbatkę, która według Mags miała jakoby właściwości lecznicze.

– To znaczy?

– Zrobię sobie rok przerwy.

– Harry, posłuchaj...

– Nie, to ty mnie posłuchaj. – Wiedział, że nie może się z nim spierać, i w jakimś stopniu nienawidził się za to – nienawidził świadomości, że jest zbyt słaba, by mu się przeciwstawić. –

Wielu ludzi tak robi i ja też tak zrobię. Mags potrzebuje mnie teraz w firmie. Ty mnie potrzebujesz, mammo. Muszę tu być. Po prostu muszę. Uniwersytet nie zajac, nie ucieknij.

– Ale twoje stypendium... pracowałeś tak ciężko.

– Odłożę to na później.

– Przepraszam. – Zacisnęła powieki. – Niestety, nie potrafię się z tobą spierać. Nie mogę cię zmusić, żebyś odszedł. Chciałam patrzeć, jak idziesz na studia, tak jak poszedłeś pierwszego dnia do szkoły. Pragnęłam tego. I boli mnie myśl, że tego nie zobaczę. Posłuchaj... – Potrzebowała chwili. Był to jeden z tych gorszych dni i oboje o tym wiedzieli. – Rozmawiałam z Anitą z hospicjum. Jest wspaniała i rozumie, że nie chcę iść do szpitala. Chcę zostać tutaj. Będziesz potrzebował pomocy.

– Zajmiemy się tobą, ja i Mags.

– Tak, wiem. Ale jeśli będziecie potrzebować pomocy, zwróć się do ludzi z hospicjum. Wszystko spisałam. Zdaję sobie sprawę, że trudno ci o tym rozmawiać, ale to konieczne.

– Okej. – Ogarnął go mdlący strach, ale opanował się i skinął tylko głową.

– Kremacja, takie jest moje życzenie. Żadnej nadętej ceremonii, nic w tym guście. Oboje z Mags zdecydujecie, gdzie rozsypać moje prochy. Może być gdziekolwiek.

Na te słowa poczuł, jak skręca mu się żołądek, a gorący pot oblepia niczym wstrętą skorupa, ale ponownie skinął tylko głową.

– Okej, mammo, nie martw się.

– Dom przepisałam na ciebie, zrobiłam to wiele miesięcy temu, więc będzie twój. Powinieneś go sprzedać. Po splaceniu wierzytelności sporo ci zostanie. Będziesz miał pieniądze na studia.

Ceny nieruchomości idą teraz w górę. Jest mnóstwo chętnych, którzy zechcą go kupić i zrobić z niego luksusową rezydencję. – Sięgnęła do jego dłoni, a on wyczuł drżenie jej rąk. – Nie zmarnuj swojej inteligencji, Harry. Jesteś taki cholernie bystry. Idziesz na studia. Znajdź swoją pasję. Odkrywaj świat. Podróżuj, odwiedzaj różne miejsca. Wszelkiego rodzaju. Jesteś twardy, synku. Bystry i silny, i szczodry. Odwaliłam kawał dobrej roboty.

– Tak, to prawda.

– Pomagaj Mags. Może i jest twoją szurniętą ciotką, ale nigdy nas nie zawiodła. – Odsunęła kubek z herbatą. – Nawet jeśli stara się wmusić we mnie to paskudztwo.

– Może chcesz coli?

Uśmiechnęła się.

– Z chęcią.

Lato przygasało, a wraz z nim gasły jej siły.

Mags wyprowadziła się ze swojego mieszkania i spędzała teraz noce na dmuchanym materacu obok łóżka siostry.

Harry całymi dniami sprzątał z ciotką domy i dzięki pieniądzom zaoszczędzonym z nocnej roboty opłacał dla matki fachową pomoc, kiedy nie starczało pieniędzy ze sprzątanania.

Jesienią większość jego przyjaciół wyjechała na studia. Czuł ukłucie bólu, które dopadało go w najbardziej zaskakujących chwilach. Kiedy wynosił śmieci albo wiązał sznurowadła, albo wybierał się do biblioteki wypożyczyć książki, które czytał potem matce.

Kupili jej wózek inwalidzki, żeby mogła spędzać czas na słońcu i świeżym powietrzu. Ale marzła nawet w błogim cieple babiego lata, jeśli byli poza domem więcej niż godzinę.

Nim zrobił się listopad, świat Dany skurczył się do rozmiarów jej sypialni. Jadła jak ptaszek, za to długo spała. Wynajęli regulowane łóżko szpitalne, przenieśli też starą komodę do salonu, by zrobić miejsce dla dwóch łóżek i dwóch krzeseł.

Od przyjaciół, sąsiadów i klientów wciąż nadchodziły kwiaty albo jedzenie – albo i jedno, i drugie. Wiedział, że nigdy nie zapomni, że matka Willa zjawiała się trzy albo cztery razy po pracy, żeby posiedzieć z Daną, nie przejmując się tym, że chora przesypia całą wizytę.

– Wyjdź z ciotką i postaw jej kawę – mówiła mu.

Więc wymykali się z domu, w którym zbytnio pachniało kwiatami i chorobą, i wychodzili na ostre listopadowe powietrze.

Mags wzięła go za rękę.

– Kochanie, musimy pozwolić jej odejść. – Próbował uwolnić dłoń z jej uścisku, ale nie pozwoliła mu na to. – To miłość ją tu trzyma, miłość do ciebie i do mnie. Ale ona cierpi. Leki pozwalają jej wprawdzie znosić ból, lecz go nie powstrzymają. Marihuana pomaga na mdłości, ale i to żadne rozwiązanie. Twoja matka trwa z minuty na minutę, uwięziona między dwoma światami, i trzyma się uporczywie tego doczesnego z myślą o nas.

Chciał ją przekląć i odtrącić, patrzył jednak tylko uparcie przed siebie, niczego nie widząc.

– Powiedziała, że każdy dzień to dar – rzekł. – I pytała panią Forester o Willa, kiedy wychodziliśmy. Wybrała nową książkę na dzisiejszy wieczór.

– Ma tak silną wolę, bo cię bardzo kocha. Czuję się koszmarnie, mówiąc to chłopcu, który skończył właśnie osiemnaście lat. Ale ona nie odejdzie, póki jej nie zapewnisz, że sobie poradzisz.

– Więc jesteś gotowa pozwolić jej umrzeć.

Mags puściła jego dłoń.

– Nie. I nigdy nie będę na to gotowa. Ale wiem, że ona jest gotowa.

Nie rozmawiali już więcej ani o tym, ani o czymkolwiek innym, spacerowali tylko po okolicy, a on czuł, jak wzbiera w nim sprzeciw niczym pomruk burzy. Miał jeszcze tak wiele do powiedzenia. Przrzekł sobie, że powie, kiedy mama Willa sobie pójdzie, a jego własna matka położy się spać.

I niech go diabli porwą, jeśli ta jego zwariowana, głupia, samolubna ciotka będzie mu mówić, co ma robić, czuć, myśleć. A jeżeli jest już zmęczona opieką nad siostrą, to niechże sobie idzie do diabła.

Sam sobie poradzi.

Kiedy weszli do domu, Mags skierowała się do kuchni.

– Podgrzej trochę zupy dla Dany. Też masz ochotę?

– Nie.

Z sypialni wyłoniła się matka Willa.

– Ucięłyśmy sobie miłą pogawędkę. – Podeszła do Harry’ego i go lekko uściskała. – Nie denerwuj się tym, że jesteś teraz w domu, a nie na uniwersytecie. Twoja mama jest trochę splątana i zagubiona.

– W porządku, pani Forester. Doceniam to, że przyszła nas pani odwiedzić.

– Przyjaźnię się z twoją mamą od czasu, jak chodziłeś z Willem do przedszkola. – Uściskała go jeszcze raz. – Wracam do domu. Mags! – zawołała. – Daj mi znać, gdybyś czegoś potrzebowała.

– Jasne. Dzięki, Keisha.

Matka Willa poklepała Harry’ego po ramieniu.

– Dbajcie o siebie.

Pomyślał, że zadba o wszystko. I powie ciotce, gdzie może sobie wsadzić te swoje rady.

Najpierw jednak musieli się postarać wmusić w mamę trochę jedzenia. Wiedział, jak sobie poradzić, jak sprawić, by wszystko inne zniknęło poza ścianami tego domu, i sprostać zadaniu.

Zdjął kurtkę i miał ją właśnie odwiesić, kiedy usłyszał, że matka coś mówi. Nie wołała go, po prostu mówiła. I śmiała się.

Wciąż z kurtką w ręku wszedł z zaciekawionym do sypialni.

Opierała się o wezłowie łóżka, oczy jej błyszczały podejrzanie. Miała na sobie czerwony sweter, ten sam, który Mags jej zrobiła na drutach jako dodatek do bładoniebieskiej koszuli nocnej. Uśmiechała się do niego.

– Cześć, kochanie! – zawołała. – Witaj w domu. Mówiłam właśnie wujowi Silasowi, że przyjeżdżasz na weekend. Kupił po okazyjnej cenie chude kotlety wieprzowe i przyniesie je na kolację.

Zabrakło mu słów, stał tylko i patrzył. Zjawiała się Mags z tacą.

– Mam nadzieję – ciągnęła Dana – że poda się je z tłuczonymi ziemniakami i bez odrobiny szpinaku.

– Groszek – wtrącił Harry. – I rogaliki francuskie.

– Chyba walnę pięścią w stół – oburzyła się Mags.

– Zawsze to robisz – rzekła Dana.

– Jestem twoją starszą siostrą.

– Nie jestem właściwie głodna – oznajmiła Dana, kiedy jej siostra nabrała na łyżkę trochę zupy.

– Nie zjesz minestrone przyrządzonej przez panią Cardini? To twoje ulubione danie.

Harry poczuł wstyd – zalał go gorącą falą, kiedy patrzył, jak ciotka wlewa w usta matki odrobinę zupy.

– Robi najlepszą – mruknęła chora.

– Zgadza się. I Harry poczyta ci nową książkę, jak będziesz jadła. O czym to jest?

– Historia niezwyklej podróży zwykłego człowieka. Przygoda! Odkupienie! Miłość!

– A seks?

– Nie będę czytał na głos o seksie własnej mamie i ciotce.

– Twój chłopak jest pruderyjny, Dana, ale wie, jak czytać z dramatycznym wyczuciem.

– Czyta na studiach książki i będzie znowu grać w przedstawieniach szkolnych. Nie mogę już więcej zjeść, Mags. – Odwróciła głowę. – Wyjęłam walizkę, prawda? Muszę się spakować.

Mags odłożyła łyżkę i odstawiła tacę. Harry dostrzegł łzy w jej niebieskich oczach.

– Już się spakowałaś – powiedziała.

– Och, dobrze. No tak, widzę. – Dana uśmiechnęła się do czegoś, co tylko ona widziała gdzieś w głębi pokoju. – Jestem spakowana i gotowa do drogi. Będziesz zbyt zajęty, synku, żeby za mną tęsknić, mając tyle nauki na głowie. – Wciąż uśmiechnięta – oczy miała takie jasne i takie zapadnięte – sięgnęła do jego dłoni. – Przyślę ci pocztówkę. Chcesz? Możesz sprawić sobie album, w którym będziesz trzymał pocztówki ode mnie. Zawsze chciałam taki mieć. Poradzisz sobie? Prawda, Harry? Jesteś dorosły. Poradzisz sobie, kiedy wybiorę się w podróż?

Ujął jej dłoń, czując pod powiekami palące łzy.

– Tak, poradzę sobie.

– Będziecie się o siebie troszczyć, ty i Mags.

– Tak, będziemy. O nic się nie martw.
– Jestem trochę zmęczona. Później dokończę pakowanie.
Zamknęła oczy i odpłynęła w sen. Mags wstała i wzięła tacę.
– Muszę się napić – rzekła i wyszła z pokoju.
Kiedy i on wyszedł, nalewała już dwa kieliszki.
– Kiepskie wino z kartonu to wciąż wino – oznajmiła – tak jak kiepska pizza to wciąż pizza.
– Przepraszam. – Kiedy pokręciła tylko głową, brnął dalej. – Przepraszam za to, jak się zachowałem. Za to, co powiedziałem. Za to, co sobie pomyślałem.
– To twoja mama.
– To twoja młodsza siostra.
Mags łyknęła wina, a po jej policzkach ciekły łzy.
– Jestem taka wkurzona, taka kurewsko wkurzona na tego, kto jest za to wszystko odpowiedzialny. Po co? W jakim celu ona ma przez to przechodzić? Jaki jest tego sens? Żaden! I nie obchodzi mnie, co kto powie. – Opadła bezwładnie na krzesło przy kuchennym stole i otarła podbiciami dłoni łzy, rozmazując tusz. – Przez ostatnich kilka nocy gadała z wujem Silasem albo z naszą matką. I... i jest taka szczęśliwa, kiedy to robi. Nie obchodzi mnie, czy wierzysz, że ich naprawdę widzi. Każdy ma prawo wierzyć, w co chce, dopóki tym nie zdręczy innych. Ale ja w to wierzę. Wierzę, że oni tam na nią czekają.
Usiadł, skosztował wina. „Odrobinę lepsze niż tanie piwo”, pomyślał.
– Nie wiem, w co wierzę. Ale wiem, że miałaś wcześniej rację. Ona walczy dla nas i to jej sprawia ból, a on odbiera wszystko. I pod jeszcze jednym względem miałaś rację. Rzeczywiście chciała wiedzieć, że sobie poradzę.
– Harry, ja też nie chcę jej pozwolić odejść.
– Wiem.
– Chcę cię prosić, żebyś na razie nie wychodził wieczorami, aż... no wiesz, nie mogłabym się z tobą skontaktować, gdyby...
– Dobrze, nie będę wychodził na razie.
Dana odeszła dwa dni później. Wymknęła się, kiedy jej czytał, a Mags robiła na drutach swój niekończący się szalik.

*

Nie życzyła sobie pogrzebu, więc go nie było. Ludzie mimo to przychodzili do domu i przynosili kwiaty i jedzenie. Był zdziwiony tym, ilu jej dawnych klientów odbyło tę podróż albo przysłało kartki z kondolencjami.

W zimny wietrzny listopadowy wieczór uporał się z zabezpieczeniami przy wejściu na stadion i zaprowadził Mags do miejsca, które w czasie sezonu byłoby ostatnią bazą.

– Zorientowałam się, że robisz właśnie coś takiego. To znaczy włamania. Nie przyszło mi jednak do głowy, że jesteś w tym taki biegły.

– Dziwnie tu pusto... zima coraz bliżej. Ale podobałoby się jej chyba, prawda?

– O tak. Byłaby zachwycona. To odpowiednie miejsce. Dana była dziewczyną z Chicago w każdym calu.

– Wobec tego w porządku. Chcesz... nie wiem... zrobić coś, powiedzieć?...

– Jej duch już uleciał. Niech reszta uleci wraz z nim. Wystarczy.

Otworzył urnę i podniósł ją wysoko nad głowę, a wiatr porwał prochy.

– Patrz, jak odchodzi, Harry. Jakaś jej cząstka na zawsze tu pozostanie, dopingując swoich Chicago Cubs. Nigdy się nie dowiedzą, jakie mają szczęście, że ona tu jest. Ale my wiemy.

– Wiemy.

Patrzył, jak wiatr porywa prochy, niesie je w dal, wiruje nimi.

Kiedy wracali kolejką do domu, Mags poklepała go po udzie.

– Co zamierzasz zrobić z domem? – spytała.

– Możesz tam mieszkać, jak długo zechcesz – odparł.

– Nie da rady. Chwilowo, póki nie zdecydujesz, owszem. Ale na dłuższą metę nie mogłabym tam mieszkać bez niej. Chicago bez Dany to nie samo Chicago. Wyprowadzę się, kiedy już zdecydujesz się na studia. Mógłbyś zacząć nawet w przyszłym miesiącu.

Pokręcił głową.

– Nie mogę. W moim przypadku jest tak samo. Nie chcę tu bez niej być.

– Wobec tego gdzie?

– Nie wiem. Może na początek gdzieś, gdzie jest ciepło. Z dala od tego cholernego zimna.

No a ty?

– Ja? – Rozmarzyła się. – Mam na oku pewnego starego volkswagena. Busa.

Popatrzył na nią z zaskoczeniem. Jej włosy miały teraz barwę dojrzałego bakłażana.

– Żartujesz.

– Wcale nie. Myślę o wyjeździe na zachód. I znów mogę zacząć biznes z telefonicznym wróżbiarstwem. Madame Magdelaine wie wszystko i widzi wszystko.

– Kupię ci porządny samochód.

– Bus volkswagena to klasyk, i nie bez powodu, kolego. Mam miłe wspomnienia z dawnych lat. Niejedno się robiło w tym samochodzie.

– W takim razie załatwię ci cholernego busa, dopilnuję, żeby był odnowiony i w dobrym stanie. Nie chcę sobie wyobrazać, jak rozkraczasz się na jakiejś drodze obok pustyni. Pozwól, że zrobię to dla ciebie – w jej imieniu. Oczekiwałyby tego po mnie.

– Nie skłonisz mnie do płaczu, tu, w tym pociągu. Masz takie pieniądze?

– Mam dosyć i zamierzam sprzedać dom, więc będę miał jeszcze więcej.

– Chciała, żebyś studiował, Harry. Bardzo tego pragnęła.

– Będę studiował. Przyrzekam.

Wiedział, że powinien poczekać do wiosny – ze względu na korzystniejszy rynek nieruchomości – ale wystawił dom na sprzedaż. Niedługo potem upłynął go za dwa tysiące więcej, niż początkowo żądał. Zajęło mu to niespełna dwa tygodnie. Sam sobie kupił używane volvo – z niskim przebiegiem i w dobrym stanie.

Najtrudniejsze okazało się opróżnienie domu ze wszystkich rzeczy należących do matki. Lecz kiedy się wreszcie z tym uporał, stanął razem z Mags na małym podjeździe od frontu. Miała na sobie czerwony pulower i nosiła kolczyki jego matki.

Jej volkswagen – w dwóch kolorach, czerwonym i białym – parkował obok jego volvo.

– To cholernie nudny samochód, dziecinko – zauważyła.

– Nudne samochody nie przyciągają uwagi. A ty w swoim będziesz bulić mandaty przy każdej kontroli, nim dotrzesz do Iowy.

– Kiedy nadejdzie dzień, w którym nie oczaruję gliniarza i nie przekonam go do niewlepiania mi mandatu, pozbędę się tego wozu. – Odwróciła się do niego. – Do rzeczy. Trzeba zawrzeć pakt.

– Okej.

– Raz w roku – częściej byłoby jeszcze lepiej, ale musi być przynajmniej raz w roku – spotkamy się. Przyjadę do ciebie albo ty przyjedziesz do mnie, i gdzieś się spikniemy, nieważne gdzie. Spędzimy razem kilka dni. Jesteś wszystkim, co mi z niej pozostało, Harry. Jesteś moją jedyną rodziną.

– Ustalmy może od razu pierwszą datę, co do miejsca umówimy się później. Wcześniej też może być, ale niech to będzie pierwszy kwiecień.

– Prima aprilis?

– Łatwo zapamiętać. Spotkamy się pierwszego kwietnia. To co? Piątka?

– Ech, dziecinko... Spróbujmy czegoś innego.

Objął ją ramionami. Pachniał swoją matką – jej ulubionym szamponem – i ukrył twarz w jej włosach.

– W porządku – rzekł. – Umowa stoi. Staraj się unikać kłopotów.

– A co to za radocha? Brak kłopotów? – Uwolniła się z jego objęć i położyła mu dłonie na policzkach. – Dzwon do mnie o każdej porze. Jeśli ktoś będzie musiał wpłacić za ciebie kaucję, to jestem do dyspozycji.

– I nawzajem. Gotowa?

– Na przygodę? Zawsze. Ty też sobie nie żałuj, Harry. To znaczy przygód. Pierwszy kwiecień – przypomniała, kiedy ją odprowadzał do volkswagena. – Nie wystaw mnie do wiatru.

– Przypieczętowaliśmy umowę. Kocham cię, Mags.

– Kocham cię, Harry. – Wsiadła do wozu i włożyła okulary przeciwsłoneczne ze szklami w kolorze tęczy, w oprawkach w kształcie kocich oczu. Wyjęła jeden z kryształków i podała mu przez otwarte okno samochodu. – Biały kamień księżycowy, odmiana ortoklazu, będzie cię chronił w podróży.

– A gdzie twój?

Wyciągnęła łańcuszek zza koszuli.

– Do zobaczenia, dziecinko.

Uruchomiła silnik – pracował bez zarzutu – i odjechała. Czekał do chwili, aż zniknie mu z oczu, a potem wsiadł do volvo.

Pomyślał, „tam do diabła”, i powiesił kryształek na lusterku wstecznym.

Obejrzał się po raz ostatni na dom.

I odjechał, nie oglądając się więcej za siebie.

Rozdział 4

Harry ruszył trasą międzystanową numer 65 przez Indianę. A ponieważ prócz Illinois był to jedyny stan, jaki kiedykolwiek odwiedził, też chciał się z niego wydostać.

Udać się gdzie indziej, znaleźć się w innym miejscu, byleby było ciepło.

Trzymał się autostrady, słuchał radia rozkręconego na cały regulator, włączył też ogrzewanie na maksimum. I kiedy przekroczył granice Kentucky, poczuł przypływ sił – fizycznych sił. Zjechał z drogi na chybił trafił. Postanowił zrobić sobie postój, może powłóczyć się przez jakiś czas po okolicy.

„Stan niebieskiej trawy... oficjalnie Commonwealth of Kentucky – skorygował, przywołując zgromadzone w myślach fakty. – Stolica to Frankfurt. Aha, konie, bourbon, pieczone kurczaki, Derby, blues, Fort Knox”.

To ostatnie kazało mu się zastanawiać, co zrobiłby ze sztabami złota, gdyby mu udało się je ukraść. Powód do niesamowitej chwały, tyle że mógłby go zaprowadzić do więzienia w Kansas. Albo w Leavenworth. Albo do jego odpowiednika w Kentucky.

Poza tym trudno byłoby zmieścić złote sztaby w plecaku.

Zatrzymał się, żeby opróżnić pęcherz i zatankować bak, kupił Doritos – wciąż jego ulubione – i colę.

Podobał mu się widok wzgórz, pofałdowania, które widział tylko na zdjęciach albo w kinie. Wyobraził sobie, jak wyglądają w letniej zieleni, wznosząc się i opadając, za polami, na których pasą się konie.

Może zakosztowałby wiejskiego życia. Może.

Ale choć powietrze nie porażało zimnem, wciąż jednak było chłodne.

Ruszył dalej, kierując się na południe, i gdy Doritos nie wypełniły mu pustki w żołądku, podjechał pod McDonalda na big maca z dużymi frytkami.

Kobieta, która go obsługiwała – mniej więcej w jego wieku – podała mu z uśmiechem torebkę.

– Proszę, synu – rzekła. – Zjedz to od razu, słyszysz?

Uznał, że ma ciepły, przyjazny akcent.

– Tak, proszę pani.

Rzeczywiście zjadł od razu, przekraczając granice Tennessee.

– Whiskey, Elvis, Dolly Parton, farmy tytoniowe, barbecue i blues, i Smoky Mountains – wyrecytował półgłosem.

Dla chłopaka, który nigdy się nie oddalił od domu dalej niż na trzysta kilometrów, było to jak odkrywanie nieznanego lądu. Czy nawet całego świata.

Odkrywał smak wolności. Mieszał mu się on ze smakiem sekretnego sosu McDonalda.

Zastanawiał się, czy nie pojechać na południowy wschód, do Memphis i nie odwiedzić Graceland. Nie uważał się za wielkiego fana Elvisa, ale ta ikona rock and rolla wciąż miała dużą siłę przyciągania.

„Innym razem”, zdecydował, i ruszył na południowy wschód.

Początkowo zamierzał pojechać nad ocean. Nigdy nie widział oceanu na żywo. Dlaczego by nie zacząć od tego?

Kiedy po raz pierwszy zobaczył łańcuch Great Smoky Mountains, rozdziawił usta jak jakiś turysta na Times Square. Ponieważ ocean donikąd się nie wybierał, Harry skierował się wpierw ku góróm.

Wcześniej określenie „rozległe” odnosiło się do równin poza miastem. Do bezkresnych płaszczyzn, po których hulał wiatr, a od czasu do czasu wirowały trąby powietrzne. Teraz oznaczało to bajkowy krajobraz złożony z zielonych szczytów i rozciągających się pod nimi dolin.

Wierzchołki ginęły w chmurach. Przypominały one trochę dym. Słońce rzucało długie cie-

nie, zimowe zaś niebo zniżalo się ukośnie, wydając się liche. Pierwszy raz podążał tymi krętymi drogami i ponieważ pragnął zobaczyć wszystko od razu, jazda serpentynami nie sprawiała mu trudności.

Na przemian to wspinał się, to zatrzymywał przy tarasach widokowych i wysiadał z auta chłonać oczami każdy szczegół. Robił zdjęcia telefonem. Pomyślał, że je prześle Willowi i Mags.

Kiedy dzień miał się ku końcowi, zaparkował na dobre i tym razem wyjął z plecaka niewielką buteleczkę.

Nie powiedział Mags, że zabrał odrobinę matczynych prochów, nim się wybrali na stadion. Zamierzał rozsypać je na oceanicznym wietrze, ale przyszło mu do głowy, że uwolni ich też trochę i w tym miejscu.

I podzieli się z mamą tym rytuałem.

– Znajdujemy się naprawdę wysoko, to niemal dwa tysiące metrów. Popatrz tylko, jak to wszystko biegnie w dal, jak zmierza ku Karolinie Północnej. A więc był to bardzo udany pierwszy dzień. Cztery stany. I chyba znajdę jakiś motel czy cokolwiek. Ale najpierw...

Odkorkował butelkę i wytrząsnął z niej trochę popiołu. Wiatr uniósł jego matkę hen wysoko w powietrze. Pofrunęła ku szczytom.

Po wszystkim wszedł w zapadającym zmierzchu do samochodu, gotów zmierzyć się z wyzwaniem, jakim była nocna jazda w tym górzystym terenie.

W pewnym momencie zatrzymał się gwałtownie i rozdziawił usta ze zdumienia, kiedy zobaczył, jak niedźwiedź – tak, prawdziwy niedźwiedź – przebiega swoim ciężkim krokiem drogę, jakby zmierzał do domu po dniu pracy.

Postanowił skierować się do najbliższej cywilizacji.

Znalazł motel, który przycupnął między podnóżami wzgórz, jak przypuszczał. Piętrowy kompleks składał się ze ścian z żużlobetonu pomalowanego na czerwono, wysypanego żwirem parkingu i restauracji z neonem JEDZENIE!

To przeważało, znów umierał z głodu.

Zameldował się w motelu u brodatego faceta z wielkim piwnym brzuchem wystającym mu spod białego podkoszulka. Zapłacił za jedną noc gotówką, dostał klucz i usłyszał, że posiłki wydawane są do dziesiątej.

Jego pokój, jak zauważył, wnosząc do środka torbę podróżną i plecak, mógł się poszczycić pojedynczym łóżkiem przykrytym zielono-niebieską narzutą, toaletką, na której stał toporny telewizor, a także zielonym dywanem i beżowymi ścianami.

Po obu stronach łóżka stały na stoliczkach lampki, była też maleńka łazienka, która – jak ocenił, omiółszy ją fachowym wzrokiem – sprawiała wrażenie stosunkowo czystej.

Zaciągnął zasłonę przy oknie, a następnie, rozbierając się, włączył dla rozproszenia ciszy telewizor.

W łazience wyjął z opakowania gratisowy kawałek mydła i wziął długi prysznic.

Nikt nie wiedział, kim jest ani gdzie się teraz znajduje, uznał to za fascynujące. Wyzwalające. Zamierzał się skontaktować z Mags, przesłać jej zdjęcia, ale poza tym był nikim i jednocześnie każdym z osobna.

Ubrał się, przesunął palcami po włosach. Znowu wyrosła mu gęsta czupryna, czuł się z tym dobrze.

Kiedy wyszedł na dwór, odniósł wrażenie, że znalazł się na planie filmowym. Automat z lodem, dwa automaty z napojami, i ten zniewalający zapach sosen w zimnym powietrzu – nie zimnym jak w Chicago, ale wciąż zbyt chłodnym na cokolwiek z wyjątkiem nocnego postoju. Ciszę zakłócał jedynie dźwięk szemrającego telewizora za zamkniętymi drzwiami.

Wrażenie to pogłębiło się w dwójnasób, gdy wszedł do restauracji.

Kształt każdego elementu otoczenia podkreślało ostre jasne światło. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęła się długa lada z pojemnikami na placki albo ciasta, od razu za nią zaczynała się otwarta kuchnia.

W powietrzu unosiły się zapachy tłuszczu, kawy i smażonego mięsa. Obsługa ograniczała się do dwóch kelnerek, jedna była mniej więcej w jego wieku, druga dostatecznie stara, by móc być jej babką; obie nosiły różowe sukienki z białymi fartuszkami.

Na siedzeniach boksów, na krzesłach i na okrągłych stołkach barowych królował pomarań-

czowy winyl. Na białych laminowanych stolikach stały serwetniki, stojaczki z przyprawami i odwrócone do góry nogami kubki na kawę.

Siedząca w jednym z boksów para sprawiała wrażenie zmęczonej, usilnie starając się zapamiętać nad dwójką małych dzieci. „W drodze na wakacje”, pomyślał. „Zmierzają pewnie przez rzekę i lasy do domu babci”.

Uznał, że dwaj mężczyźni spierający się o jakiś mecz futbolowy nad pieczenią rzymską to miejscowi.

W kącie obok szafy grającej mrugała choinka, gdzie – o tak, doskonale! – Dolly Parton błagała Jolene, by nie odbierała jej męża.

– Zajmij miejsce, kochanie! – zawołała starsza kelnerka. – Zaraz do ciebie podejdziemy.

Wybrał boks i wyjął ze stojaczka na przyprawy laminowane menu.

– Masz chęć na kawę, przystojniaku? – zagadnęła.

Podniósł wzrok na kobietę z plakietką, na której widniało imię MERVINE. Miała umalowane na czerwono usta i jeszcze czerwieńsze włosy.

Jej akcent różnił się od tego, którym mówiła pracownica McDonalda. U Mervine brzmiał on tak, jakby mogła śpiewać niczym sama Dolly.

– Nie, proszę pani, dziękuję – odrzekł. – Mogę dostać colę?

– Jasne. Z daleka jedziesz, co? – Wzięła dwa kubki do kawy. – Aż z północy.

– Tak, proszę pani. Z Chicago.

– Ooo, to kawał drogi. Chcesz się chwilę jeszcze zastanowić nad wyborem?

– Och, chyba tak.

Oparła na biodrze dłoń z kubkiem zaczepionym uszkiem o kciuk. Przekrzywiła głowę.

– Powiem ci, czego chcesz.

– Tak?

– Mam do tego smykałkę. No dobra, uprzedź mnie, jeśli się mylę i jesteś wegetarianinem czy innym tarianinem, ale podpasuje ci kurczak z sosem, tłuczonymi ziemniakami i zieloną fasolką. Dostaniesz do tego chleb kukurydziany, który wyrabiamy tu na miejscu. I zamienisz tę colę na dobrą słodką herbatę. Zafunduj sobie porządną posiłek, przystojniaku.

– Brzmi... naprawdę obiecująco.

– Gwarantowane. – Mrugnęła do niego, zanim się oddaliła. – Darcia, podaj temu młodemu ładnemu człowiekowi trochę słodkiej herbaty. A ty, Herschel, przygotuj mi gorącego ptaka w sosie, górę ziemniaków i fasolkę.

Pochłonał wszystko w okamgnieniu i wypił dwie szklanki słodkiej herbaty.

Na koniec miejscowa Dolly postawiła przed nim słuszny kawałek szarlotki z porcją lodów waniliowych na wierzchu.

– Proszę pani... – jęknął słabo.

– Deser na koszt firmy. Musisz nabrać trochę ciała. A wierz mi, jeśli jest na świecie jakiś facet, który by nie lubił szarlotki z lodami, no to ja go jeszcze nie spotkałam. A spotkałam większość.

– Czyli że wciąż pani nie spotkała tego jednego – zauważył, skłaniając ją do śmiechu.

– Masz smutne oczy, przystojniaku. Przekonamy się, czy dzięki tej szarlotce nie pojawi się w nich odrobina wesołości.

Po spałaszowaniu deseru zostawił jej dwudziestodolarowy napiwek i doszedł do wniosku, że nie on pierwszy musiał ulec trochę jej czarowi.

Zastanawiał się, czyby nie spalić kalorii z szarlotki za sprawą spaceru, ale przypomniał sobie o niedźwiedziu i poszedł wprost do swojego pokoju.

Zrobił kilka pompek. Nie uważał, że musi nabrać ciała, ale z pewnością powinien wzmocnić mięśnie.

Zdjął z łóżka narzutę, nigdy nie wiadomo, ile gołych tyłków się na niej sadowiło, a potem wyjął z torby książkę. Znów włączył telewizor, żeby coś grało i wypełniło niepokojącą ciszę.

Wystukał wiadomość esemesową, wysłał ją i się odprężył, kiedy dostał odpowiedź od Mags z informacją, że zatrzymała się na noc w Nebrasce.

Ułożył dwie grube poduszki i otworzył książkę.

Obudził się, wciąż w ubraniu, przy zapalonym świetle i szemrzącym telewizorze, a także

przy akompaniamencie płaczu jakiegoś dzieciaka, który domagał się oglądania kreskówki.

Potrzebował chwili, żeby sobie przypomnieć, gdzie jest. Wciąż jeszcze zamroczony, zastanawiając się, co u diabła pod jego oknem robi dzieciak w środku nocy, podszedł do okna.

Kiedy odciągnął roletę, w oczy uderzył go blask słońca. Zakrył je dłonią i czym prędzej zasłonił okno, mrugając. Spojrzał na zegarek.

Wpół do dziesiątej? Przespał prawie dwanaście godzin. Nie pamiętał, kiedy ostatnim razem przespał osiem godzin, nie mówiąc o dwunastu.

No ale też nigdy wcześniej nie spędził za kółkiem więcej niż godzinę za jednym zamachem ani nie prowadził w górach.

Umył się, pozbiierał swoje rzeczy, kupił w automatach colę i paczkę chipsów – śniadanie mistrzów – i wyruszył przed dziesiątą na wschód.

*

Oczekiwał, że zakocha się w oceanie natychmiast, gdy tam dotrze. Przemierzył kawał Karoliny Północnej między granicą Tennessee a Atlantykiem. Obliczył, że szybszą trasą dojechałby na miejsce w ciągu ośmiu czy dziesięciu godzin, zależnie od tego, jak często i na jak długo by się zatrzymywał. Doszedł jednak niemal od razu do wniosku, że nie chce ani nie musi się spieszyć.

Oczekiwał, że zakocha się w oceanie, ale nie oczekiwał, że zakocha się w górach.

Jeśli Great Smoky Mountains zasiały w nim ziarno zauroczenia, to Pasma Błękitne i Appalache sprawiły, że z tego ziarenka wyrósł piękny kwiat. Zamiast jechać autostradami i międzystanówkami, przemierzał boczne drogi. Podobały mu się te wzniesienia i nagłe spadki, wspinaczka, a potem znowu jazda w dół, gdzie za każdym zakrętem otwierał się nowy widok.

Zatrzymał się na chwilę przy jeziorze Norman – nie mogło się równać z jeziorem Michigan, ale i tak było ładne. Podobały mu się drzewa i ta przejmująca grudniowa cisza, kiedy jadł burrito, które kupił w niewielkim supermarkecie.

Zerknął do mapy, postanowił, że przemierzy coś, co nazywało się Uwharrie National Forest, a potem zboczy z trasy i pojedzie do Chapel Hill, gdzie obejrzy miasteczko uniwersyteckie.

Gdyby wyglądało to obiecująco – chciał podjąć w pewnym momencie studia, i to zdecydowanie – może udałoby mu się znaleźć jakiś motel w okolicy i poczuć atmosferę miejsca.

A następnego dnia wyruszyliby na wybrzeże... albo może drugiego dnia.

Las obudził w nim nowy zachwyty. Ponieważ już żałował, że nie pospacerował po górach, zaparkował przy jednym z dobrze oznaczonych szlaków turystycznych.

Wziął telefon, kluczyki, pół butelki coli i baton czekoladowy Kit Kat, a potem ten urodzony, wychowany w mieście chłopak wyruszył w swoich trampkach na wędrowkę po interesującej trasie.

Pachniała igliwem sosnowym i dzikością. W porównaniu z grudniem w Chicago dziesięć stopni Celsjusza w zacienionych miejscach przywodziło na myśl wiosnę. Nie mógł się nadziwić ciszy. Mógłby powiedzieć, że dorastał w spokojnej okolicy, ale jawiła mu się teraz jak dom wariatów wobec tej leśnej głuszy.

Usłyszał śpiew ptaków, zobaczył wiewiórkę skaczącą zwinnie po drzewie i dotarł do strumyka, gdzie woda bulgotała na kamieniach.

Zastanawiał się, czy mógłby osiąść w takim miejscu. „Nie na zawsze”, pomyślał, podążając szlakiem. „Ale może w trakcie wakacji? W tymczasowej kryjówce”.

Potrzebował jednak innego lokum, w miejskim centrum albo w jego okolicach. Gdzieś w każdym razie. Facet musiał na siebie zarabiać, bądź co bądź.

Może Atlanta lub Miami? Huston? Może Raleigh?

Zorientowałby się prawdopodobnie, gdyby takie miejsce zobaczył. A pewnego dnia – absolutnie tak – poleciałby do Europy. Do Florencji, Paryża, Londynu. Madrytu i Pragi, i wszędzie indziej. Wszędzie.

Musiałby się mnóstwo nauczyć i mnóstwo zarobić przed tym pewnym dniem. W tej chwili jednak chciał tylko wędrować po lesie i wybrać się nad ocean.

Jego przechadzka trwała ponad godzinę, gdy usłyszał nagle coś innego niż tę ciszę, te dziwne dłań odgłosy lasu; zanim usłyszał cokolwiek, co świadczyło o obecności ludzi.

Silnik – kilka silników.

Z tego, co wyczytał w swoim telefonie, zorientował się, że słyszy dźwięk wozów tereno-

wych. Nigdy takimi nie jeździł, ale chętnie by kiedyś spróbował.

W tej chwili jednak uznał to za ingerencję w swoją wędrówkę, więc zawrócił.

Kiedy drogę przeciął mu jeleni, przystanął pełen podziwu. Zwierzak spojrział na niego wyniośle. „Najtrafniejsze określenie”, pomyślał Harry, powoli i ostrożnie wyjmując z kieszeni telefon.

W chwili, gdy robił zdjęcie, coś znowu wzbudziło jego zdumienie – ostro zakończone rogi. Gdyby Bambi – ludzie zapominali, że Bambi był twardym gościem – postanowił zaszarżować, to on, Harry, skończyłby z licznymi dziurami w ciele.

– Jestem w porządku – rzekł do niego półgłosem. – Obaj jesteśmy w porządku, zgadza się? Ja tylko chodzę po szlaku.

Jeleń wydał z siebie jakiś dźwięk. Może wyrażał w ten sposób szyderstwo, lekceważenie albo obrzydzenie, tak czy siak, zszedł ze szlaku i zniknął między drzewami.

– Dobrze. To dobrze. Dla każdego.

Resztę drogi do samochodu Harry pokonał lekkim truchtem.

Chciał przecież eksplorować, jak sobie przypominał, uruchamiając silnik. Pragnął przygody. No cóż, cel osiągnął.

Następnie, zgodnie z planem, skierował się na uniwersytet i tam odnalazł kolejną miłość.

Główny kampus znajdował się na dużym, rozległym terenie, coś w sam raz dla niego, jeśli chciał kontynuować naukę na poziomie pomaturalnym. Stanowił piękny, harmonijny kompleks klasycznych, szacownych budowli oraz trawiastych dziedzińców, a on pożałował piękna, jeśli mógł je osiągnąć.

Jak zwykły mawiać Will, Harry pragnął się uczyć, on sam zaś z łatwością wyobrażał sobie, jak zaspokaja tutaj to pragnienie. „Przez semestr albo dwa”, pomyślał, wysiadając z samochodu, by przejść się po kampusie.

Nie rzucał się w oczy. Ot jeszcze jeden student w trampkach, znoszonych dżinsach i zbyt obszernej kurtce.

„Przewinęły się tu tysiące”, pomyślał. „Przemierzały dziedzińce, siedziały w aulach podczas wykładów, spieszyły korytarzami na zajęcia”.

Mógł być jednym z nich.

Może wiosną albo jesienią, gdyby zrobił sobie cały rok przerwy. Ale pragnął tego, co tutaj serwowali.

Pragnął wiedzy.

Tak jak wcześniej w lesie, spacerował i obserwował.

Wmieszał się w grupę przemierzającą się między zajęciami i wślizgnął do budynku i biblioteki.

Przechadzał się między regałami, chłonał zapach książek. I nikt nie zwracał na niego uwagi.

Nim ukończył ten nieformalny obchód – zwiedziwszy tylko niewielką część kampusu – wiedział, że spędzi tu jakąś część swego studenckiego życia. By dobić targu sam ze sobą, udał się do jednego ze sklepów i kupił bluzę z emblematem Uniwersytetu Karoliny Północnej.

Pełno tu było sklepów, jak zauważył, wkoło mnóstwo restauracji, klubów, knajpek. I gdy objeżdżał samochodem okolicę, dodał w myślach do tej listy kilka okazałych, ładnych domów. Ładnych domów, gdzie ludzie trzymali ładne rzeczy, które przedsiębiorczy młody człowiek mógł łatwo upłynnić.

Tym razem wybrał na nocleg inny motel, zamówił porządną pizzę z kiełbasą i oliwkami, a potem usadowił się z laptopem z zamiarem przeprowadzenia rozpoznania.

Sporządził listę kursów, które go zainteresowały. Po czterech latach szkoły średniej nieźle opanował hiszpański, postanowił więc na początek zająć się francuskim. Literatura angielska, oczywiście, no i historia sztuki, w razie gdyby – nie, nie gdyby, lecz kiedy by – rozszerzył działalność o kradzieże dzieł sztuki, musiałyby wiedzieć, na co polować. Weźmie dodatkowe zajęcia z informatyki. I więcej matematyki. I ostatecznie gemmologia. Mógłby też od biedy liźnąć inżynierii.

Żadnych klubów, bractw studenckich, dziewczyn na poważnie. Życia w akademiku. Musiałyby zamieszkać poza kampusem.

Studenci z kółka teatralnego na ogół nawiązywali bliskie relacje. Więc zdecydowanie: żadnych występów na scenie, choć bardzo za tym tęsknił. Ale może poświęciłby choć jeden semestr na

zglębieńnię tajników techniki teatralnej, kostiumów, makijażu i tak dalej?

Usatysfakcjonowany tym rodzącym się w głowie planem, wykonał wieczorną serię pompek. Przeszło mu przez głowę, że mógłby nawet kupić sobie hantle, gdyby gdzieś już zamieszkał, i na poważnie zajął się muskulaturą.

Rano włożył nową czystą bluzę, po czym wymeldował się z motelu i wstąpił do jednej z kawiarenek na kampusie. Zamówił latte i bajglę, wydało mu się to czymś w studenckim stylu.

Jadł na zewnątrz, obserwując wartki strumień uczestników uniwersyteckiego życia i przyznając się w duchu do zazdrości. I przysłuchując się rozmowom.

Miejscowi posługiwali się charakterystycznym płynnym akcentem, który ćwiczył sobie w głowie podczas obchodu następnej części kampusu. Dolatywały go strzępy rozmów, począwszy od profesora o ksywie Piła, przez imprezy w akademiku, a skończywszy na dotrwanu do przerwy zimowej.

Wślizgiwał się do budynków i opuszczał je niezauważony, i choć odczuwał wyrzuty sumienia, podwędził jakiemś facetowi o wyglądzie uniwersyteckiego sportowca portfel. Ponieważ ofiara nosiła koszykarskie buty Air Jordan XX w cenie prawie dwustu dolców, wyrzuty sumienia nie okazały się zbyt dręczące.

Nie mógłby dobrze podrobić legitymacji studenckiej, nie mając wzornika.

Z wyjęciem portfela wstrzymał się aż do postoju za Raleigh.

Carson Edward Watt III. To, co zrobił, nie było w zasadzie słuszne, ale imię i nazwisko, a także pogardliwy uśmiezek na zdjęciu stłumiły skutecznie resztki wyrzutów sumienia. C.E. – Harry był pewien, że tak nazywano faceta – miał prawo jazdy wystawione w stanie Karolina Północna, a więc syn tej ziemi. Miał też złotą kartę American Express, platynową Visy, dwie karty studenckie i sto osiemdziesiąt dwa dolary w gotówce.

Harry wyjął z plecaka nożyczki i pociął prawo jazdy i karty kredytowe. Schował do kieszeni gotówkę i kondomy, a kawałki kart i prawa jazdy wrzucił do dwóch śmietników.

Portfel – włoskiej marki Fendi, z czarnej skóry – mógł zastąpić jego własny. Odłożył legitymację studencką do plecaka ze świeżą gotówką. Stary portfel, po opróżnieniu, też wrzucił do plecaka.

Ruszył w stronę Nags Head, zostawiając za sobą Pamlico Sound, a przed sobą mając Atlantyk. Wiedział, że musi znaleźć jakiś pokój, ale zamiast tego spacerował po wydmach, po piasku albo po prostu stał.

Fale spokojnie biły o brzeg, głęboka zieleń zwieńczona bielą i chłostana wiatrem. Jego wiatr też chłostał, chwytając za sweter i mierzwiąc mu włosy.

Zieleń płowiała, przechodząc w błękit, a ten pogłębiał się w miarę, jak woda ciągnęła się w dal, w dal, w dal, aż na koniec świata.

Przybijała, uderzała o brzeg z chłopotem, po czym zwijała się w sobie i oddalała, po chwili cały ten spektakl zaczynał się od nowa. I tak raz za razem. Bezustannie. Nad jego głową krzyczały mewy, a nieopodal jakieś maleńkie ptaszki o patykowatych nóżkach zabawnie podrygiwały na mokrym piasku.

Po plaży spacerowali też inni ludzie. Para młodych ludzi z dużym, pięknym golden retrieverem na czerwonej smyczy. Starsza para, która trzymała się za ręce jak kochankowie. Tata z uśmiechniętym brzdącem na ramionach. Długonoga kobieta w stroju do biegania. Jej stopy plaśkały hałaśliwie o mokry piasek, kiedy zaliczała kolejny kilometr.

Ujrzał też pozostałości ogniska ze spalonym drewnem niczym czarnymi kośćmi. I maleńkiego półprzezroczystego kraba, który czmychnął do jakiejś dziury.

Usadawiwszy się na chłodnym piasku, obserwował fale, chłonał słony zapach powietrza, poddawał się podmuchom wiatru.

Kiedy słońce zanurzało się na zachodzie, równoległe niebo na wschodzie pogłębiło swą barwę, tak zresztą jak morze.

Gdy jego oczom ukazały się pierwsze gwiazdy, wstał, żeby podejść do linii wody. Wsunął dłoń do kieszeni i zacisnął palce na buteleczce zawierającej resztki matczyńskich szczątków.

Nie sądził, że będzie to takie trudne, ten ostatni rytuał. W końcu dlatego przyjechał nad morze, prawda? Ale żal uderzył go z taką siłą, że Harry mógł tylko stać i pograżać się w żalobie.

– Synu? – dał się nagle słyszeć czyjś męski głos.

Uwięziony w bańce smutku, nie usłyszał, że ktoś się zbliża. I kiedy się odwrócił, zobaczył przed sobą policjanta. Starał się przybrać niewinny wygląd turysty, ale mimo wysiłków zadrżał mu lekko głos.

– Tak, proszę pana?

– Dowiedziałem się, że siedzisz tu od dwóch godzin, a może i dłużej.

– Tak, proszę pana. Nigdy wcześniej nie widziałem oceanu. Siedziałem i patrzyłem na niego.

– Uhm.

Wyglądał niedźwiedziowato, miał szopę siwych włosów na głowie, ogorzałą czerwoną twarz i oczy, których nie dało się oszukać.

– Ile masz lat, chłopcze?

– Osiemnaście. Mogę panu pokazać dowód tożsamości.

Musiał natychmiast przyznać, że postępuje głupio, wyjmując swój nowy portfel. Od razu się czymś wyróżniał.

– Harrison Booth z Chicago w stanie Illinois. – Policjant skinął głową i oddał mu portfel. – Daleko od domu, co? Jest tu z tobą jakaś rodzina?

– Nie, jestem sam. Panie władzo...

– Zastępca szeryfa. Zastępca szeryfa, Prince.

– Nie robiłem nikomu krzywdy, szeryfie Prince. Chciałem tylko posiedzieć na plaży.

– Uhm. Masz jakiejś narkotyki?

– Nie, proszę pana.

– No cóż, chciałbym zobaczyć, co trzymasz w kieszeni.

– Szeryfie...

– Do diabła! Ciemno tu, nawet przy tym księżycu. I zimno. Może zechcesz mi łaskawie pokazać, co masz w tej kieszeni, a potem obaj ulotnimy się z tej ciemnicy i zimna.

Harry pomyślał, że właściwie mógłby odmówić. Lecz wtedy ktoś o oczach szeryfa Prince'a znalazłby powód, żeby go zatrzymać.

Wyjął buteleczkę.

– No dobrze, co tam jest? – podjął przesłuchanie szeryf.

– To... resztki prochów mojej matki – odrzekł Harry. – Umarła. Miała raka i umarła, a zawsze chciała zobaczyć ocean.

Policjant spojrział Harry'emu w oczy. Harry wiedział, że pod powiekami wzbierają mu łzy, ale niech go diabli, jeśli się rozplacze w obecności gliny.

– I przejechałeś taki szmat drogi, żeby to dla niej zrobić?

– Była moją matką.

– Tak... to cholerna strata... matka. Swoją straciłem dwa lata temu i wciąż to odczuwam. Przykro mi, Harrisonie. Masz się gdzie zatrzymać?

– Jeszcze nie. Zamierzam znaleźć jakiś motel, może zatrzymam się tu na jakie dwa dni.

– Pojedź na południe. Czteryście metrów stąd, po lewej stronie, zobaczysz Gull's Nest. Powiedz tam, że ja cię przysłałem. To przyzwoite i czyste miejsce, no i są zniżki po sezonie.

– Dobrze. Tak zrobię. Dziękuję.

– Nie siedź tu zbyt długo. Niebawem zrobi się jeszcze zimniej.

To powiedziawszy, szeryf oddalił się po piasku. Kiedy Harry znów został sam na plaży, obrócił twarz w stronę morza i otworzył butelkę.

– Dojechaliśmy, mamó – powiedział. – Tęsknię za tobą, ale dam sobie radę. Wszystko będzie w porządku. Żegnaj.

I uwolnił prochy.

Rozdział 5

Został trzy dni, nastawiając za każdym razem budzik, by móc spacerować po plaży i oglądać wschód słońca. Zrobił, jak mu się wydawało, dość przyzwoite zdjęcia cudnego spektaklu światła rozlewającego się złotem, czerwienią i migotliwym różem nad taflą oceanu.

Zjadł niesamowite barbecue, odkrył też smak ciasteczek z ciasta kukurydzianego.

Następnie się spakował i ruszył na południe trasą numer 12 do Hatteras. Zrobił zdjęcia latarni morskiej, gdyż... była to latarnia morska, spenetrował też plaże. Były o wiele spokojniejsze niż Nags Head czy Kitty Hawk. Gdyby wracał tędy, może wynająłby jeden z domków albo wykosztował się na tygodniowy pobyt w apartamencie z widokiem na ocean.

Chwilowo jednak ruszył na koniec wyspy, do przystani promowej w Ocracoke. Kolejny pierwszy raz, kiedy wjechał samochodem na pokład statku, następnie zaś stał przy relingu, podczas gdy prom przemierzał z warkotem silników cieśninę. Obserwował kilwater i mewy krążące w górze.

Kiedy dobili do brzegu, pojechał na drugi koniec wyspy i tam załadował się na duży prom płynący na Cedar Island. Z Hatteras mógł dotrzeć na ląd stałymi drogami i mostami, ale rejsy oznaczały, że mógł posiedzieć na pokładzie albo stać, patrzeć, czuć i chłonąć zapachy.

Po raz pierwszy od wielu lat nie kierował nim żaden konkretny plan, nie potrzebował go wcale. Nigdzie nie musiał być ani niczego ważnego nie musiał zrobić.

Wiedział, że niebawem się to zmieni, ba, czekał nawet na to niecierpliwie. Ale na razie żył chwilą i bardzo mu się podobało.

Kiedy się znalazł na stałym lądzie, ruszył wzdłuż wybrzeża na włóczęgę, przemierzał kręte drogi, zatrzymując się tu i tam pod wpływem nagłego impulsu czy głodu. Ot, jeszcze jeden motel i jeszcze jedna kolacja.

Dowiedział się przez tych kilka dni włóczenia się po Karolinie Północnej, że ciasteczka kukurydziane są odlotowe, że można się raczyć kaszą kukurydzianą z serem i że z miejscowym barbecue nic się nie równa.

Przekroczył granicę Karoliny Południowej pewnego pogodnego grudniowego popołudnia, dostatecznie ciepłego, by móc opuścić szyby w samochodzie.

Stolica Columbia. Bawełna, Fort Sumter, Clemson University.

Plaże. Mnóstwo plaż.

Łaził po nich cały dzień, posilał się pieczonymi kurczakami – wiedzieli tu, jak je przyrządzać. Ćwiczył lokalny akcent i sfabrykował odpowiednią historyjkę dla kelnerki, kiedy go spytała, dokąd jedzie.

– Do domu, na ferie, proszę pani, z UF... och... z Uniwersytetu Florydy.

– To kawał drogi. Gdzie mieszkasz, kotku?

– Kill Devil Hills... Odbył się tam pierwszy lot braci Wright.

– Naprawdę? No cóż, jedź ostrożnie i spędź z rodziną miłe święta.

– Nie mogę się już doczekać.

Nim dotarł do Georgii – brzoskwinie, Atlanta, orzeszki ziemne, Jimmy Carter – postanowił spędzić kilka dni w jednym miejscu, a Savannah idealnie się do tego nadawało.

Podobały mu się powykręcane drzewa, brukowane uliczki, nabrzeże, urocza architektura i dziwnie swobodna atmosfera.

Wynajął pokój w Thunderbird Inn, gdyż spodobała mu się nazwa motelu, jego wygląd oraz bliskość dzielnicy historycznej. Poklepał z zadowoleniem żywego konia zaprzęzonego do wozu – zbliżały się obfite łowy – i obrobił dwie zasobne kieszenie podczas spacerów pod pnączami srebrzystego mchu hiszpańskiego.

Spędził wigilię, racząc się szarpaną wieprzowiną i nachosami oraz prowadząc rozpoznanie nadzwyczaj obiecującego domu – posiadłości – położonego kilka kroków dalej.

Opląciło się mieć uszy i oczy otwarte z myślą o jakiejś okazji. Rodzina Carlyse'ów wydała duże, wystawne przyjęcie tego wieczoru, a nazajutrz organizowano obiad bożonarodzeniowy

dla bliskich przyjaciół. Następnego dnia lecieli – prywatnym odrzutowcem – na coroczną wyprawę narciarską w Vermont. Gdzie mieli swój drugi dom.

Wydawało się Harry’emu, że są nie tylko przyzwyczajeni ubezpieczeni, ale że i stać ich na to, by stracić odrobinę i w ten sposób pokryć koszty jego podróży.

Przeczytał kilka artykułów na temat Jeba Carlyse’a – mieszkańca Savannah w czwartym pokoleniu, zamożnego biznesmena. Okazało się, że te statki, które wpływały do portu i ruszały w morze, należą przynajmniej po części do niego. Żona, Jaylene, też pochodziła z bogatego rodu. Mieli posiadłość w Savannah, domek myśliwski w Vermont, dom przy plaży na Kajmanach. I tam właśnie, jak Harry mógłby przysiąc, odchodziły niezłe szachrajstwa z unikaniem podatków. Mieli troje dzieci, syna J.B., lat dwadzieścia jeden, zaręczonego z jakąś dziedziczką fortuny, a jakże. Syna Josuaha, lat dwadzieścia sześć, zatrudnionego w rodzinnym biznesie, i córkę, Juliet, lat dwadzieścia, studiującą na Uniwersytecie Georgii w Athens.

Wielcy mecenasowie sztuki, jak przeczytał Harry, przeżuwał nachosy. Znaczna kolekcja drogich dzieł. Dom znajdował się w spisie zabytków, był otwarty dla zwiedzających przez jeden dzień każdej wiosny. Znalazł mnóstwo zdjęć.

I jeszcze więcej tych, które przedstawiały Carlyse’ów na różnych galach i naprawdę wyrafinowany gust Jaylene, jeśli chodziło o biżuterię.

Po namyśle postanowił się wybrać na wigilijny spacer i przyjrzeć domowi. Gdyby udało mu się podejść dostatecznie blisko i ocenić system alarmowy oraz inne zabezpieczenia...

Włożył przyzwoitą koszulę i swoje najnowsze džinsy. Przechadzając się, podziwiał iluminacje świąteczne i cieszył z dźwięków muzyki i rozmów. Pomyślał, że tego wieczoru odbędzie się niejako przyjęcie, i stwierdził, że wraca myślami do wigilii z przeszłości.

Drzewko w oknie frontowym, zawsze w tym samym miejscu, i święty Mikołaj, który wyglądał jak naćpany, a którego Harry zrobił dla matki w podstawówce. Pończochy na wieszakach od płaszczy, kolędy, cała ta świąteczna otoczka.

Single Bell Rock było sygnałem do tańca. *Santa Claus Is Comin’ to Town* w wykonaniu Springsteena oznaczało powtarzanie refrenu na cały głos.

Nie chciał teraz myśleć o tym wszystkim, nie chciał się rozwodzić nad pierwszymi spędzonymi samotnie świętami Bożego Narodzenia. Wolał spożytkować ten czas na przygotowania do nocnej roboty.

Usłyszał dolatujące z pobliskiej przecznicy odgłosy przyjęcia, a wcześniej spostrzegł światła. Ładny dwupiętrowy budynek tonął w nieskazitelnie białej iluminacji, którą migotały też drzewa porośnięte mchem. Na ulicy dało się słyszeć dźwięki muzyki; odniósł wrażenie, że gra ją orkiestra na żywo.

Z wnętrza domu wylewał się strumień ludzi – na werandę, balkony, nawet na chodnik; trzymali w dłoniach kieliszki do szampana i szklaneczki do whiskey.

I, rany, oczekali. Diamentami, rubinami, szmaragdami.

To się nazywa najwspanialsze przyjęcie bożonarodzeniowe w dziejach. Mógłby w ciągu pięciu minut zdobyć tyle gotówki, że byłoby go stać nawet na Harvard.

Przystanął, tak jak uczyniłby każdy na jego miejscu, i zaczął się przyglądać tej scenie.

Okna jarzyły się światłem, za szybami przesuwały się sylwetki ludzi ubranych w sukienki koktajlowe albo eleganckie garnitury. Naliczył trzy drzewka, po jednym na każdej kondygnacji, ślicznie przystrojone i migoczące. Poinsecje w doniczkach – białe – ustawiono wzdłuż podjazdu i na schodach, i one były obwieszane światełkami. Wokół kolumnienek werandy wiły się zielone krzewy z czerwonymi kokardami i – znów, z małańkimi żaróweczkami.

– Co myślisz? – zagadnęła nagle gospodyni.

Rozpoznał w niej Juliet Carlyse za sprawą przeprowadzonych poszukiwań, aczkolwiek pomyślał teraz, że na żywo wygląda o wiele lepiej. Obcięła włosy na miejscową modłę i było jej do twarzy z tą bladozłotą koroną. Powabną dodawały smukła szyja i wielkie niebieskie oczy.

– To piękne – odparł.

– Nie za dużo tego?

– Niczego nie jest za dużo w Boże Narodzenie.

Uśmiechnęła się, łyknęła szampana z kieliszka.

– Znamy się?

– Nie wydaje mi się. A chciałabyś się poznać?

Roześmiała się.

– No może. No cóż, rozgość się.

– Och, nie, tylko tędy przechodziłem. Nie jestem zaproszony.

– Mieszkam tutaj, więc jesteś zaproszony. – Wyciągnęła rękę. – Juliet.

– Silas... – Od razu podjął decyzję. – Silas Harrison.

– Śmiało, Silasie Harrisonie. Dołącz do naszej zabawy. Co porabiasz, spacerując tak samotnie w wigilię Bożego Narodzenia?

– Poznaję miasto. Jestem tu pierwszy raz.

– Super.

Wprowadziła go do domu, który pachniał sosną, perfumami i woskiem świec.

Hol wejściowy wydawał się niesamowicie wysoki; i tu po kręconych schodach wspinały się poinsecje lśniące świecidełkami. Na dużym okrągłym stole wznosił się największy bukiet białych i czerwonych róż, jaki kiedykolwiek widział. Wszędzie przechadzali się elegancko ubrani ludzie.

Widać ich było jeszcze więcej za dużymi otwartymi drzwiami, także kominiek z trzaskającym ogniem. Jego gzymś przystrojono zielonymi gałązkami i świeczkami. W wielkim oknie stało ogromne drzewko migoczące lampkami.

Na parkiecie uwijali się kelnerzy w białych koszulach, czarnych spodniach i czerwonych muszkach. Dźwigali w dłoniach tace pełne drinków i przekąsek.

Juliet wzięła od jednego z nich dwa kieliszki szampana i odstawiła swój już niemal opróżniony.

– Wesołych świąt – powiedziała.

Stuknęła się z nim.

– Wesołych świąt – odparł.

– Głodny?

– Prawdę powiedziawszy, jadłem już, ale dziękuję. Każdy jest tu tak przyjaźnie nastawiony?

– Gościnność to w Savannah religia. Skąd pochodzisz?

Ponieważ posługiwał się akcentem Karoliny Północnej, kontynuował ten kierunek.

– Florence. – „Prosta trasa numer 95”, przypomniał sobie. – Jadę do Jacksonville, chcę zrobić dziadkom niespodziankę. Miałem zamiar dotrzeć do nich dziś wieczorem, ale trafiłem na spory ruch. Więc zostanę tu do rana. Wolałem nie zjawiać się tam głuchą nocą. Wystraszyłbym ich na śmierć.

– Słodki jesteś. – Popatrzyła na niego w sposób, który kojarzył się wyłącznie z flirtem. – Sam podróżujesz?

– Z bratem. Rozczula się nad sobą, gadając przez telefon ze swoją dziewczyną, bo wzięłem w trasę tylko jego. – Opowieść wypływała z niego lekko i swobodnie. – Straciliśmy zeszłego lata tatę, mama zmarła, kiedy Willy był małym chłopcem, zostaliśmy tylko my dwaj.

– Tak mi przykro. – Dotknęła jego dłoni. – To dobrze, że jedziesz zobaczyć się z rodziną, i myślę, że twój brat będzie długo rozczulał się nad sobą. Chodź, zakosztuj atmosfery. Na górze są tańce. – Podprowadziła go do schodów. – Czym się zajmujesz we Florence?

– W tej chwili stolarką. Firma mojego ojca. Robię sobie rok przerwy z powodu wszystkiego, co się wydarzyło, ale Willy, da Bóg, pójdzie jesienią na studia, a ja będę mógł wrócić do Karoliny. Uniwerek. No a ty?

– Przyjechałam do domu na ferie. Uniwersytet Georgii. Tradycja rodzinna.

Wzięła go za rękę i poprowadziła na pierwszą kondygnację.

– Ten dom jest niesamowity – zauważył.

– To nasza duma.

Jego pierwotny plan sprowadzał się do tego, żeby wejść tu, udać się wprost do głównej sypialni i sejfu, który – jak doszedł do wniosku – musiał tam właśnie się znajdować. Zlustrował wprawnym okiem zamki i skrzynkę alarmową; wiedział, że sobie poradzi.

Teraz jednak wydało mu się czymś prostszym i niejako grzeczniejszym ściągnąć z czyjś poręcznego nadgarstka albo szyi sztukę biżuterii i na tym poprzestać.

„Nie jej”, pomyślał, to byłoby jawnie grubiańskie, choć nie uszły jego uwagi potrójna bardzo ładna diamentowa bransoletka na prawej ręce i zegarek od Choparda na lewej.

Pomachała wesoło do mężczyzny w ciemnym garniturze i czerwonym krawacie, Harry rozpoznał w nim Jeba Carlyse'a.

– Tato! Napotkałam tego oto zbłąkanego wędrowca na ulicy i sprowadziłam go tutaj, żeby się z nami trochę zabawił.

Gospodarz położył dłoń na ramieniu córki i obrzucił Harry'ego uważnym, niewzruszonym spojrzeniem.

– Tak? A skąd to przywędrowałeś?

– Z Florence, proszę pana. Jadę do Jacksonville, do dziadków. Zatrzymaliśmy się na nocleg w Savannah i... jestem tu nieproszonym gościem.

– Zaprosiłam cię – przypomniała mu Juliet. – Nie jesteś już nieproszony.

– Czym się zajmujesz we Florence?

– Ciesielstwem, proszę pana. Nie posiadam może takich umiejętności jak mój ojciec, ale wiem, że stolarka w pańskim domu jest doprawdy niezwykła.

– Jego tata zmarł zeszłego lata, Silas opiekuje się młodszym bratem, póki ten nie pójdzie na studia. Potem nasz gość wróci na uniwersytet.

– Studiujesz na Uniwersytecie Karoliny Północnej?

– Tak, proszę pana. Wracam tam jesienią, kiedy Willy już okrzepnie.

– I co studiujesz?

– Tato, jak długo jeszcze będziesz przesłuchiwać biednego Silasa w zamian za drinka i tańce?

– To może być ostatnia okazja.

– Studiuję literaturę. Jak większość studentów literatury zamierzam uczyć, by nie umrzeć z głodu, pisząc jednocześnie wielką powieść amerykańską.

Reakcją na te słowa był półuśmiech i skinienie głową.

– Thriller w stylu amerykańskiego Południa?

Harry roześmiał się.

– No, owszem, proszę pana. Tak bardzo to widać?

– Żyję tu. No dobrze, chłopcze, napij się, potańcz sobie. Dobrej zabawy.

– Dziękuję za gościnność, panie... Przepraszam, nie wiem nawet, gdzie się znalazłem.

– Carlyse. Spróbuj musu krewetkowego. Jest cholernie smaczny.

– Najpierw taniec.

Juliet pociągnęła go w stronę sali balowej, bogato przystrojonej, rzeczywiście z grającą na żywo orkiestrą i szeroko otwartymi drzwiami, które wiodły na balkon.

Więc zatańczył. Szło mu nieźle, matka uwielbiała tańczyć, a on jej służył często za partnera. Ograniczył picie do połowy kieliszka, choć stwierdził, że szampan smakuje mu bardziej niż mus krewetkowy.

Upatrzył sobie dwie ofiary. Nieoczekiwanie jedna z nich wpadła mu w ręce, i to niemal dosłownie – zatoczyła się na niego na parkiecie. Kobieta mniej więcej po czterdziestce, jak ocenił; bynajmniej nie ograniczała się do połowy kieliszka.

Miała na sobie obcisłą, uwydatniającą imponujące piersi srebrzystą sukienkę. Jej kasztanowe włosy falowały już niesfornie. Jej brązowe oczy śmiały się do niego.

– Ojej! – zawołała, zamykając go w ramionach. – Trafił mi się, Juliet, porywam go więc. Ożeż! Ten chłopak naprawdę umie się ruszać! Pokaż mi kilka kroków, kochanie!

Przytrzymał ją i dla większego efektu posłał Juliet pełne paniki spojrzenie. Dziewczyna przewróciła tylko wymownie oczami.

– Śmiało, zakręć panną Mazie – rzekła do niego, a następnie zwróciła się do kobiety: – Potem go sobie odbiorę.

– Jeśli ci się uda!

„Nie jest do końca pijana”, doszedł do wniosku Harry, kiedy obracał nią w tańcu. „Choć niewiele jej brakuje”. W czasie gdy ona chichotała, flirtowała, zwieszała się na nim, on otworzył zapięcie jej bransoletki, zwolnił zacisk i po chwili wsuwał już do kieszeni bardzo ładny komplet diamentów i szafirów.

– Rany! Ty naprawdę się umiesz ruszać – oceniła, gdy przycichła muzyka. – Juliet trwoni twój talent na parkiecie, jeśli chcesz moje zdanie.

– No, no, panno Mazie. – Juliet oderwała ją od Harry’ego. – Wprawia pani w zakłopotanie mojego gościa. Wstyd. Teraz ja go porywam.

– Nie marnuj go, moje dziecko – rzuciła kobieta i oddaliła się, wypatrując kogoś, kto znów by nią zakręcił.

– Powinna zaczerpnąć świeżego powietrza – rzekł.

– Och, nic jej nie będzie. To się co roku powtarza.

Odańczył z Juliet jeszcze jeden numer, żeby nie wzbudzać podejrzeń i dlatego, że po prostu chciał.

– Naprawdę muszę już wracać. Nie spodziewałem się, że zniknę na tak długo.

– Wiesz co, jeśli Willy wciąż nie śpi i użala się nad sobą, to przyprowadź go tutaj. Uwolnimy go od smutku. Wierz mi, przyjęcie potrwa całą noc.

– Czemu nie. Chętnie.

Sprowadziła go na dół na parter, a potem ruszyła w kierunku przeciwnym do schodów.

– Daj mi jeszcze minutę.

Ruszyła szerokim korytarzem; znaleźli się przy jakimś pokoju. Jej sypialni, jak się zorientował, kiedy go wepchnęła do środka, zamknęła drzwi i się o nie oparła.

– Jestem pewna, że Willy da sobie jeszcze chwilę radę – stwierdziła – a mnie cholernie nudzą te imprezy. Masz jakiś pomysł, który uwolni mnie od tej nudy?

– No, może... skoro o tym wspominasz.

– Tutaj. – Uśmiechnęła się, zdejmując przez głowę sukienkę i odrzucając ją na bok. Stała w mikroskopijnym staniku i majteczkach. – Teraz. Zerznij mnie na tych drzwiach, Silas. Ostro i szybko.

– To dopiero wesołe święta.

Przeszło mu przez głowę, że ma w kieszeni bransoletkę, nie mógł pozwolić, żeby mu wypadła. A potem obsłużył dziewczynę.

Wracał do motelu oszołomiony. Gdyby nie ciężar bransoletki w kieszeni, przysięgłby, że to wszystko mu się przyśniło. Kiedy dotarł do swego pokoju, usiadł na łóżku i zaczął ponownie to przeżywać. Zwłaszcza końcówkę.

Kiedy objęła go w pasie nogami... kiedy wbijała mu paznokcie w ramiona... Gdy doszedł, to była to istna eksplozja.

Nie zdawał sobie sprawy, że to może pójść tak szybko, tak intensywnie, tak gorąco.

Żałował tylko jednego; wiedział, że nie może tam wrócić i zrobić tego jeszcze raz.

Wyjął bransoletkę, wziął lupę i przyjrzał się kamieniom w świetle lampki.

– O tak, wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku.

Nastawił budzik – najlepiej wyjechać o brzasku – i wpełzł do łóżka.

*

Plan, by ruszyć na południe i zjechać Florydę wzdłuż i wszerz, spędzić ze dwa tygodnie na odkrywaniu plaż, być może dotrzeć do samego archipelagu Keys, uległ zmianie. Nie było sensu jechać do Jacksonville, skoro sam zdążył już je wskazać, jakby umieścił strzałkę na mapie. Na wypadek, gdyby ktoś skojarzył zniknięcie szafirowo-diaamentowej bransoletki z chłopakiem tańczącym z jej pijaną właścicielką i chciał zadawać za dużo pytań.

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia spędził we własnym towarzystwie, przejeżdżając przez Georgię do Alabamy. Nie chciał się wdawać w rozmowy typu „Co robisz sam jak palec w święta, chłopcze?”. Podróżując przez łagodne wzgórza Piedmon zatrzymał się przy przydrożnym automacie i zakupił chipsy, krakersy z masła orzechowego, Oreos i batony Hersheya.

Pobudzony węglowodanami i cukrem, minął Chattahoochee i pojechał wprost do Montgomery do niepozornego motelu, gdzie przespał dwanaście godzin.

Myślał o Juliet ze słoneczną aureolą włosów i gibkimi nogami, która leciała właśnie na północ na narty. Wszystko to zdawało mu się snem, dopóki nie obejrzał bransoletki.

Choć obliczył, że od Savannah dzieli go dostatecznie wiele kilometrów, nie chciał ryzykować i zbyt szybko upłynniać towaru.

Nauczył się kochać Południe, jego atmosferę, jedzenie, głosy i powolny, swobodny rytm bocznych dróg.

Sylwestra spędził w Mobile, racząc się zimną pizzą i patrząc w telewizji w swoim motelo-

wym pokoju, jak opada noworoczna kula na Times Square. Po przekroczeniu granicy z Missisipi pierwszy dzień nowego roku poświęcił na podziwianie plaży nad Zatoką Meksykańską.

Zastanawiał się, czy nie osiąść tam na jakiś czas, może znaleźć sobie pracę, odwalić nocną robotę. Tymczasem zastawił bransoletkę w lombardzie i ruszył dalej.

Kiedy dotarł do Nowego Orleanu, zakochał się w nim bez pamięci.

Było tam wszystko: woda, zgiełk, jedzenie, muzyka, architektura. Oraz turyści z wypchanymi portfelami, nie wspominając o pełnej bogatych posiadłości zabytkowej części miasta.

I był Tulane University – trochę za mały, by warto było ryzykować udział w kilku zajęciach, ale pomyślał, że dałby radę.

Po dwóch dniach eksplorowania dzielnicy francuskiej zorientował się, że dobrze jest zaglądać do najpodlejszych knajp i jeść w nich jak król. Przechadzał się wzdłuż Bourbon Street po zmierzchu, chłonąc dźwięki głośnej muzyki dobiegającej z domów i oglądając odurzonych koktajlem Hurricane turystów, których mógł uwalniać od zegarków i portfeli ile dusza zapagnie, po prostu przypadkiem na nich wpadając.

Podjął decyzję i wynajął umeblowane mieszkanie przy Burgundy Street, założył konto w miejscowym banku i – choć trochę go to kosztowało – nabył cholernie dobrze podrobione prawo jazdy na nazwisko Silas Booth.

Przedsiębiorczy gość, ten od prawa jazdy, niejaki Jacques Xavier, miał kuzynkę, specjalistkę od tarota, która wieczorami pracowała jako barmanka – Dauphine LeBlanc. Odznaczała się migdałowatymi, smutnymi oczami i burzą czarnych włosów.

Nie miała nic przeciwko temu, żeby przesiadywał czasem w barze, słuchał muzyki, popijał colę albo słodką herbatę i namierzał potencjalne ofiary.

Nosiła obcisłe barwne koszule i łańcuszki z kryształkami. Właśnie te kryształki sprawiły, że pewnego wieczoru w połowie stycznia, kiedy zespół muzyczny grał z wolna głębokiego, mrocznego bluesa Deltę, powiedział jej, że przypomina mu jego ciotkę.

Wysunęła swe ładne, pełne wargi i przekrzywiła głowę.

– Siedzisz tu sobie, *doudou*, i powiadasz, że patrząc na taką doskonałość jak ja, widzisz swoją *tante*?

– Nie, to nie tak. Ona też lubi kryształy i pracuje przez telefon jako wróżbitka. No i jest niesamowita.

Mags rzecz jasna nigdy nie pojawiała się w jego erotycznych snach, podczas gdy Dauphine ze dwa razy odegrała w nich główną rolę. W wieku dwudziestu dwóch lat traktowała go trochę jak zagubionego, bezdomnego psa, który zjawił się pod jej drzwiami. Serdecznie, ze sporadyczną i nieznaną czułością, aczkolwiek bez cienia jakiegokolwiek ściślejszej więzi.

No ale on tęsknił za ściślejszą więzią.

Popijał słodką herbatę i cieszył uszy muzyką, podczas gdy ona obsługiwała klientów. Po chwili wróciła do niego dolać mu do szklanki.

– Powinieneś przyjść do sklepu, powróżyłabym ci z kart.

Nie zrobiłaby tego za darmo. Jej kuzyn Xavier go uprzedził, że Dauphine nie daje się wodzić za nos pod tym względem. „Powróż komuś gratis, a jego przyjaciele i krewni zaczną do ciebie walić drzwiami i oknami”, przestrzegł ją.

– Może – bąknął. – Kiedyś pewnego dnia.

– Już widzę to, co widzę. Pochodzę z rodziny o wróżbiarskich tradycjach. Wiemy to, co wiemy. Ty też mnóstwo rzeczy widzisz. – Nachyliła się ku niemu. Miał sposobność przyjrzeć się jej wspaniałemu biustowi, ale ponieważ dobrze go wychowano, nie oderwał wzroku od jej twarzy. – Na przykład tamten stolik, przy którym siedzi facet tak biały, że aż świeci, kiedy się poci przez tę swoją superodlotową koszulę i popija whiskey z limonką. Widzisz, tak jak ja go widzę, wielki, paskudny złoty zegarek na jego nadgarstku i wiesz, że kobieta, która z nim jest i której nogi głaszczcze pod blatem, to nie jego żona.

– Jego żona siedzi w mieście takim jak Toledo, podczas gdy on zabrał swoją dupę na lokalny festyn, gdzie może dzięki służbowej karcie odstawić wielkiego gościa.

Dauphine postukała wierzch jego dłoni palcem.

– Ty widzisz, ja widzę. Ale dlaczego akurat Toledo?

– Albo tamten rejon. Akcent.

– Ach, *bien sur*. Jankesi, wydaje mi się, że wszyscy gadają tak samo. Masz dobry słuch.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł, postanowił więc kontynuować.

– Ile byś brała za to, żeby mnie uczyć francuskiego?

Zbyła go machnięciem ręki i ruszyła w głąb baru obsługiwać klientów. Wiedział już, że nawet w przypadku krótkiej znajomości trzeba czasem poczekać.

Tymczasem kapela podkręciła tempo i ludzie zaczęli przytupywać. Pojawiła się grupka dziewcząt – w typie studentek, doszedł do wniosku – i skupiła się przy barze.

Dauphine zażądała od wszystkich dowodów tożsamości, a jemu przyszło do głowy, że jeśli którakolwiek z nich ma fałszywy dokument, to może to zawdzięczać jej kuzynowi.

Po chwili wróciła do niego i postawiła na kontuarze pulpety z raków i musztardę kreolską. Przedstawiła mu rachunek, ale nie mógł mieć o to do niej pretensji.

– Po co się chcesz uczyć francuskiego?

– Lubię poznawać nowe rzeczy.

Przeglądała mu się, wycierając bar.

– Jakiej odmiany francuskiego chcesz się uczyć? Jest francuski taki jak w Paryżu, Luizjański kreol, cajun i jeszcze więcej.

– Wszystkich albo tyle, ile znasz.

– Dobra, załatwione. Dam ci jedną lekcję, jedna godzina, pięćdziesiąt dolarów, a jeśli zobaczę, że jesteś imbecylem, *c'est tout*. Jeśli zobaczę, że nie marnujesz mojego czasu i swoich pieniędzy, będziemy kontynuować. Dwadzieścia pięć dolarów za lekcję.

– Stoi. Przekonasz się, że nie jestem imbecylem.

Nie sprawiała wrażenia przekonanej, ale kiwnęła głową.

– Jutro wieczorem, o ósmej. Postawisz mi kolację i dobrą butelkę wina. Jedna godzina, na poważnie.

Tego wieczoru, zanim się położył, schował w skrytce pod łóżkiem złoty zegarek – od Gucciego – i gotówkę z portfela, który zwędził. Postanowił, że zegarek zachowa przez kilka tygodni, by dotrzymywał towarzystwa dwóm rubinowym kolczykom – każdy o wadze dwóch karatów – wysadzanej tęczowymi szafirami spince i drugiemu zegarkowi, TAG Heuer Aquaracer.

Kiedy już je wszystkie sprzeda – nie naraz, oczywiście, i nie w jednym miejscu – powiększy swoje konto bankowe. Nie będzie się już nigdy musiał martwić o to, że ktoś go pozbawi dachu nad głową ani że Mags nie będzie miała środków do życia.

Usiadł z podręcznikiem do historii sztuki, wypożyczonym z biblioteki – dzięki karcie. Uważał, że nadchodzi dzień, kiedy to jego nocna robota obejmie także i tę dziedzinę.

Musiał zapłacić komuś, żeby kupił mu wino, gdyż nawet według sfałszowanego dowodu tożsamości był niepełnoletni.

Postanowił coś ugotować. Podobało mu się, że ma kuchnię, i często pichcił jakiś posiłek. Ale chciał przyrządzić coś nieco lepszego – czy bardziej dorosłego niż mac z serem albo burger. A ponieważ uważał, że nie posiadał jeszcze wystarczających umiejętności, żeby próbować czegoś w stylu cajun czy kreol, zdał się na jeden z matczynych przepisów dla gości.

W czasach, kiedy na kolacjach zjawiali się goście.

Wybrał się na targ warzyw w poszukiwaniu czerwonych ziemniaków, znalazł wczesne szparagi, kupił bagietkę, mięso kurczaka i mały sernik.

Krojąc pomidory na ćwiartki, postanowił, że nie będzie się do niej przystawiał. Mogłaby go wyśmiać – poniżyć – albo odmówić kontynuowania lekcji. A on chciał opanować francuski.

Przyszykował więc posiłek, a choć kolejne etapy i zapachy przywołały obraz matki, nie bolało już tak jak niegdyś. Znajdował w tym pociechę.

Nakrywszy do stołu, wyjął z celofanu kwiaty, które kupił. Nie zapalił świeczek, nie włączył muzyki – byłby to niewłaściwy przekaz. Kiedy zapukała do drzwi – punktualnie o ósmej – doszedł do wniosku, że takie rekwizyty staną się odtąd częścią jego lekcji.

Miała na sobie czarną obcisłą sukienkę i nosiła czerwone szpilki, dzięki którym dorównywała mu niemal wzrostem. Upłynął blisko miesiąc od czasu jego pospiesznego, intensywnego seksu w Savannah, pomyślał więc, że może sobie wybaczyć ten nagły przypływ pożądania.

– *Bonsoir* – powiedział. – *Bienvenue*.

Skinęła głową.

– *C'est bon.*

Wszedłszy do środka, obrzuciła małe mieszkanie szybkim spojrzeniem.

– Utrzymujesz tu porządek – powiedziała. – Mam trzech braci, każdy bez wyjątku to niechluj. Ich pokoje śmierdzą jak brudne skarpety albo spleśniały chleb. Twój pachnie jak smaczny posiłek. Gotujesz naprawdę czy tylko udajesz?

– Kupiłem chleb i ciasto, resztę przyrządziłem sam.

W kilku krokach pokonała drogę do kuchni.

– Gdzie nauczyłeś się gotować?

– U matki.

Obróciła na niego z nagłym zainteresowaniem swe smutne oczy.

– Odeszła od nas? Ja też mam dobry słuch – dodała. – I słyszę smutek.

– Tak, w zeszłym roku.

– *Je suis désolé.* – Dotknęła piersi na wysokości serca. – Myślę, że byłaby dumna z twoich kulinarnych umiejętności. A teraz nalej mi wina. *Divin* – to Luizjański francuski. *Du vin* w formalnym francuskim. – Postukała się po uchu. – Musisz słuchać, żeby wyłapywać różnice.

Nalał wina, dla siebie i dla niej.

– To drugie, tak jak powiedziałaś, jest bardziej formalne. Słyszę to.

– Więc słyszysz dobrze. – Podeszła do okna i wskazała na coś. – Samochód? *Un char*, Luizjański francuski. *Une automobile* po francusku. Ale widzisz, tutaj możesz mieszać to dowolnie... choć nie we Francji, jak mi się wydaje, ale tu wolno ci się posługiwać albo jednym, albo drugim, albo obydwoma naraz. To dowodzi, że znasz kilka języków. Jak my, którzy mówimy po francusku, angielsku, kreolsku, ponieważ potrafimy.

– Najpierw trzeba opanować biegle te języki.

– *Mais oui.* Wino jest dobre. *Le vin est bon.*

Kiedy to powtórzył, wysunęła te swoje wargi i skinęła głową.

– Masz dobry akcent jak na początkującego. Możesz więc nakarmić mnie tym, co tak ładnie pachnie. Myślę, że rozmowa przy kolacji to nie najgorsza metoda nauki.

Udowodnił, że nie jest imbecylem, zgodziła się więc udzielić mu lekcji w następnym tygodniu za połowę ceny, posiłek i dobre wino.

W trzecim tygodniu odbyli lekcję nad jego debiutem kulinarnym pod postacią rakowego étouffée.

– Mógłbyś zatrudnić się jako kucharz. Znam kilka miejsc.

– Eee, to żadna zabawa, jeśli się to robi z obowiązku. Poza tym wolno mi idzie, no i potrafię przyrządzić tylko kilka potraw. I nie szukam legalnej roboty. Poprosiłem ciotkę, żeby przyjechała tu na Mardi Gras – tłusty wtorek, chcę ją oprowadzić po mieście i spędzić z nią trochę czasu.

– *Tu as un bon coeur.* – Odrzuciła do tyłu burzę włosów, rozglądając się po mieszkaniu. – Jesteś czysty i masz ładną buzię. Mówię ci, żebyś nie dobierał się do mnie, i ty tego nie robisz. Świadczy to o dobrym wychowaniu. Znasz to chyba z lekcji i piosenki. *Volez-vous coucher avec moi?*

Podniósł swój kieliszek i napił się z rozmysłem.

– Jestem heteroseksualnym mężczyzną. A ty jesteś piękna, sexy, zabawna, bystra, no i masz wspaniałe ciało. Naprawdę wspaniałe. Więc... *Absolument.*

– Nie chcę żadnego romansu. Nie mam na to ochoty. Podobasz mi się – jako przyjaciel, mądry przyjaciel. Jeśli zakochasz się we mnie, złamię to twoje dobre serce. I będzie mi przykro.

– Ja też nie pragnę romansu. Ach... *Je ne suis pas prêt. Je vous aime.*

– *Je t'aime bien* – skorygowała.

– *Je t'aime bien* – powtórzył. – Może to ty się we mnie zakochasz, a wtedy to mnie będzie przykro złamać ci serce.

– No to się dogadaliśmy. – Wyciągnęła rękę. – *Amis.*

– *Amis* – zgodził się.

– Czy w twojej sypialni jest równie czysto jak wszędzie?

– Tak.

Wstała i znów wyciągnęła do niego rękę.

– *Montre-moi.*

Rozdział 6

Długa i dzika impreza, jaką był tłusty wtorek, zaczęła się dla niego wraz z przyjazdem Mags. Upłynęły pewnie ze dwa miesiące – choć wydawało się, że więcej – ale był wręcz śmiesznie zadowolony, że ją widzi.

Jego szalona ciotka z tymi swoimi kasztanowymi włosami przeplatanyimi różowymi pasemkami objęła go rękami opalonymi od pustynnego słońca. Po wewnętrznej stronie przedramienia miała teraz tatuaż w kształcie kompasu z czerwonym serduszkim pośrodku.

– Co to takiego? – zaciekał się.

– Symbol mojej żądy podróżowania. – Znowu go mocno uściskała. – Biorąc pod uwagę te wszystkie kilometry, które już zaliczyłeś, też mógłbyś sobie taki zafundować.

Uważał, że to przesada.

– Dorzucę jeszcze wizerunek swojego zwierzęcia duchowego, kiedy już zdecyduję, jakie jest.

– Myślałem, że cię wybrało.

Roześmiała się tylko i cofnęła, by przyjrzeć się jego twarzy.

– Dobrze wyglądasz, dziecinko. Jezu, jesteś teraz wyższy. Przybyły ci ze dwa centymetry.

– Może.

– Żadne tam może. Myślałam, że przestałeś rosnać. No dobra, obejrzyjmy to twoje mieszkanie.

Rzuciła swój bagaż – dwie wielkie torby w kwiatowe wzory – przy drzwiach i rozejrzała się.

– Ładnie, bardzo ładnie jak na pierwsze lokum naszego chłopca. Świetna lokalizacja, przyjemne światło. Podobają mi się te obrazy, scenki uliczne z dzielnicy francuskiej.

– Są moje. Nie znaczy to, że sam je namalowałem – wyjaśnił pospiesznie, kiedy spojrzała na niego zdziwiona. – Mieszkanie było już umeblowane, ale powiesiłem kilka widoczków, które sobie wybrałem. Kupiłem – poprawił się. – W dzielnicy roi się od artystów.

– Wystrój dowodzi dobrego smaku, no i wsparcia lokalnych twórców. I jest olśniewająco czysto.

– Mam to chyba w genach.

– O, tak. Nie masz pojęcia, jak bardzo za nią tęsknię.

– Wiem. Ja też. Nie powiedziałem ci o tym, ale zabrałem ze sobą trochę jej prochów. Część rozsypałem w jednym miejscu w Great Smoky Mountains, a potem resztę posłałem do oceanu na plaży nad Outer Banks.

Mags westchnęła i wskazała siebie.

– Pustynia Pstra i Pacyfik.

– Naprawdę?

– Mamy chyba więcej wspólnego, niż kiedykolwiek sądziliśmy, Harry.

– Tu jestem Silas.

– W porządku.

– Pozwól, że zaniosę twoje torby do sypialni, a potem oprowadzę cię po mieście i zabiorę na lunch.

– Będę spała na kanapie.

– Moja Mags nie będzie spała w moim mieszkaniu na kanapie. – Dla podkreślenia swoich słów dźwignął jej bagaże i zaniósł do sypialni.

– Okej, uroczu tutaj. Jestem fanką skośnych sufitów, no i rany, ryciny Maxfielda Parrisha na ścianie.

– Pchli targ, wycieli je pewnie z jakiegoś kalendarza czy czegoś w tym rodzaju.

– Jeszcze więcej dobrego smaku.

Nie był to pokój, w którym można by spacerować, zważywszy na jego rozmiary, ale i tak

odbyła rundkę.

– I żonkile na toaletce. Ktoś cię dobrze wychował... Silasie.

– Dwie osoby mnie dobrze wychowały. Albo dość dobrze.

Pogłaskała go po lekkim zarostzie na brodzie.

– Lepiej oprowadź mnie po mieście, zanim się rozkleję i zrujnuję sobie makijaż.

– Nigdy tu wcześniej nie byłaś? – spytał, wyprowadzając ją z domu.

– To pierwszy raz. Chyba wszechświat zdecydował, że powinnam doświadczyć Nowego Orleanu, i to podczas ostatnich, w dodatku ze swoim siostrzeńcem.

– Jak tam Vegas?

– Ciepłe i tętniące życiem. Ale zamierzam zakosztować Santa Fe. Tam właśnie pojedę w następnej kolejności.

– A jak telefoniczny biznes? Kręci się?

– W tym cały urok, dziecinko. – Na zewnątrz odetchnęła głęboko ciepłym, wilgotnym powietrzem. – Dopóki jest gdzieś stacja przekaźnikowa, Madame Magdelaine działa. – Położyła palec na swoim tatuażu. – Więc podąża tam, dokąd prowadzi ją jej duch.

– Twój żywioł to pustynne wiatry.

– Najwidoczniej. A twój to upał, wilgoć i woda.

– Owszem, jak dotąd. Ale mam chyba słabość do wzgórz, także gór. Jeśli chodzi o miasto, Nowy Orlean to strzał w dziesiątkę. Chcę też spróbować z Nowym Jorkiem, Waszyngtonem, San Francisco, może znajdę powód do odwiedzenia Santa Fe, ale Nowy Orlean jest na szczycie listy. Bo to nie jest miasto, w każdym razie nie ta jego część. To doznanie zmysłowe.

Sklepy, ulice, bary roiły się od turystów. Wrzucali monety do kapeluszy i futerałów na instrumenty ulicznych grajków, a powietrze przepełniały dźwięki rogów, akordeonów albo głosy *a cappella*.

Spacerowali po brukowanych ulicach pod ażurowymi balkonami, obwieszonymi kwiatami i złotymi oraz fioletowymi pąkami. Przedstawił ją swojemu ulubionemu koniowi ciągnącemu dorożkę i czekał na nią, kiedy buszowała po sklepie z kryształkami, świeczkami, kadzidełkami, ażeby wzbogacić swoją i tak już bogatą kolekcję. Cekał też, kiedy wybierała podkoszulek z symbolem nowoorelańskich ostatnich.

Nim zdołała zaciągnąć go do następnego sklepu, skierował ją do ciasnej, wonnej restauracji, której większość turystów nie zaszczyliłaby nawet spojrzeniem.

U Mamy Lou na gości czekało dwanaście stolików i miejsca przy barze. Lunch oznaczał, że na każdym krześle i stołku sadowił się jakiś tyłek, Harry jednak zarezerwował wcześniej miejsce.

Mała Lou, córka Mamy, pomachała do niego, kiedy wszedł do knajpki.

– Gdzie się podziewałeś? *Cher! Assis-toi, assis-toi*. Mama! Jest tu Silas, *avec sa tante*.

Zbliżyła się truchtem – koścista kobieta po czterdziestce, z błyszczącą ciemną skórą i paciorkami we włosach, podczas gdy on popychał Mags do stolika przy małym oknie. Było to najlepsze miejsce.

Mała Lou wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

– Mama chce poznać pannę Mags. Jest zakochana w tym chłopaku.

– Z wzajemnością. Mags, to jest Mała Lou. Córka Mamy i druga najlepsza kucharka w tej dzielnicy.

– Bo Mama jest pierwsza. – Parsknęła śmiechem. – Zaraz przyniosę wam drinki. Silas chce swojej coli, *c'est vrai*?

– *Merci. Vin Blanc pour ma tante, et une bouteille d'eau pour la table, s'il te plait.*

– *Bien, bien* – odparła i oddaliła się pospiesznie.

Mags nachyliła się nad niewielkim drewnianym stolikiem, żeby stuknąć go w ramię.

– Odkąd to mówisz po francusku?

– Brałem lekcje. A oto i Mama. Jedyna w swoim rodzaju.

Mama Lou, biodrzasta kobieta licząca zaledwie sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, w swoim białym fartuszku i sukience w bratki poruszała się między stolikami niczym królowa. Choć miała sześćdziesiąt lat, jej brązowa skóra zachowała gładkość, a zielone oczy spoglądały bystro.

Silas wstał i tak jak za pierwszym razem, kiedy skosztował jej jambalayi, ujął dłoń kobiety

i ucałował.

Pozostał przy francuskim – tym formalnym, gdyż wiedział, że sprawia jej to przyjemność i ją bawi.

– *Mama Lou, permettez-moi de vous presenter ma tante, Magdelaine Booth. Et merci, merci beaucoup de l'accueillir. Elle m'est chère.*

Skinęła mu głową, po czym poklepała po policzku.

– *Bien, Cher.* – Wyciągnęła rękę do Mags. – To dobry chłopiec – rzekła aksamitnym głosem. – Moje córki są zbyt stare, a moje wnuczki zbyt młode, inaczej ukradłabym go dla którejś z nich. Sama bym go sobie wzięła, ale *mon mari* obiłby mu za to jego ładną buzię.

– Nie można do tego dopuścić. Dzięki za opiekę nad siostrzeńcem. Podoba mi się, że jest w takich dobrych rękach.

– Wciąż za chudy.

– Owszem, ale nie tak bardzo jak kiedyś.

– Przyjechałaś na ostatki, więc *laissez les bon temps rouler.* – Odsunęła się, by jej córka mogła podać drinki. – Dobrze, *tante* Mags zje gumbo, a Silas kanapkę z krewetkami. Podziel porcje, żeby każde mogło trochę skosztować. A na deser pudding chlebowy. *Bon appetit.*

Mags patrzyła, jak kobieta wraca swoim posuwistym krokiem do kuchni.

– Miałaś rację, jest jedyna w swoim rodzaju. Zawsze mówi każdemu, co ma zjeść?

– Tylko jeśli go lubi.

– Wobec tego w porządku. – Podniosła swój kieliszek i napiła się. – Niezłe. A teraz powiedz mi o tej historii z francuskim. Jak się nauczyłeś tak mówić po kilku tygodniach?

– Mam dobrego nauczyciela.

– Domyślam się. Pamiętam, że zawsze dostawałeś najwyższe oceny z hiszpańskiego i potrafiłeś gadać z prędkością toreadora. Przydaje się fenomenalna pamięć. Zajęcia na studiach, kursy dla dorosłych?

– Prywatny korepetytor. Przyjaciółka. Poznasz ją dziś wieczorem.

– Och. – Mags przeciągnęła sylabę znacząco. – Przyjaciółka.

– Tak. Polubisz ją. Wróży z tarota i czyta z ręki. Obsługuje bar przez kilka wieczorów w tygodniu.

– Przyjaciółka? Z wzajemnymi korzyściami?

Wzruszył ramionami.

– To nic poważnego. Ani z jednej, ani z drugiej strony.

– Doskonale. Możesz posługiwać się teraz trzema językami i żyć własnym życiem, i to całkiem dobrym, jak widzę, ale wciąż jesteś za młody na coś poważnego. I muszę cię spytać, bo to mój obowiązek: myślisz o studiach?

– Może w charakterze wolnego słuchacza, a może zaliczę kilka zajęć w Tulane. Po ostatkach albo następnej jesieni, jeśli jeszcze tu będę.

Mała Lou przyniosła im lunch, do tego podała kilka ciasteczek kukurydzianych.

– Wielki Boże, to mnóstwo jedzenia! – zawołała Mags.

– Nikt u Mamy nie jest głodny – pospieszył Harry z wyjaśnieniem.

Kobieta skosztowała gumbo.

– W porządku, pyszne. – Potem odgryzła połówkę kanapki. – To samo. Zamierzasz niedługo ruszyć dalej?

– Nie wiem, prócz tego, że się jeszcze wstrzymam. Przyjrzałem się z bliska Uniwersytetowi Karoliny Północnej, kiedy tam byłem, ciągnie mnie tam, więc może... Sprawdzam też inne uczelnie. Nie zależy mi szczególnie na dyplomie, Mags, chcę się po prostu uczyć tego, co mnie interesuje.

– Jestem ostatnią osobą, która by się temu sprzeciwiała. Nie osiągnąłeś jeszcze pełni szczęścia, ja też nie. Trochę to trwa. Ale powiedziałabym, że jesteś w dobrym miejscu, i to nie tylko na mapie. Tak jak ja. Więc nie jest najgorzej.

Tego wieczoru wybrali się na trasę parad karnawałowych. Chwyтали koraliki i rzucali nimi. Mags, jak to ona, tańczyła na ulicy z nieznanymi. Zajadali się kebabami krewetkowymi i gorącymi pączkami nowoorleańskimi, oklaskując przystrojone platformy.

Jakiś mężczyzna, który nie miał na sobie niczego prócz maski trefnisia i fioletowych bokse-

rek, odstawił boogie na balkonie, wzbudzając aplauz.

– Gdzie się to wszystko podziewało przez całe moje życie?! – zawołała Mags, starając się przekrzyczeć wrzawę.

Zaprowadził ją do knajpy, gdzie Dauphine i druga barmanka mieszały, nalewały i serwowały; tego wieczoru orkiestra grała zydeco.

Dziewczyna od razu ich zauważyła.

– Tito, za długo już grzejesz ten stółek – zwróciła się do klienta przy kontuarze. – Wstań i pozwól usiąść damie.

Krzepki mężczyzna o zaspanych oczach podniósł się ze swojego miejsca i skłonił Mags.

– Dziękuję, proszę pana.

– Mags, to jest Dauphine, moja przyjaciółka i korepetytorka od francuskiego.

– Jeśli miesza pani drinki tak dobrze, jak uczy francuskiego, to musi pani przyrządzić mi jednego. Silas nawija, jakby się tu urodził.

– Ma talent do języków, jak sądzę, ale musi się jeszcze sporo nauczyć. Co mogę pani podać?

– Proszę wybrać. To ostatki w Nowym Orleanie, a ja jestem gotowa na wszystko.

– Lubię ryzykantów. – Obie kobiety przyglądały się sobie przez chwilę, w końcu Dauphine skinęła głową. – Wiem, czego pani potrzeba.

Zawołała po francusku do drugiej barmanki, że robi sobie krótką przerwę z przyjaciółmi, a następnie wzięła shakera do koktajli. Wybrała ćwiartki cytryny i miętę, nalała coś z butelki i zaczęła wszystko mieszać.

– No więc, panno Mags, podoba się pani Nowy Orlean?

– Byłabym nienormalna, gdyby mi się nie podobał. A pani pochodzi... stąd?

– Tak. Mieszkam tu całe życie.

– Ten tydzień nie jest chyba dla pani specjalnie zabawny.

– Ale dochodowy. – Dodała do koktajlu łyżkę pokruszonego lodu, coś z innej butelki, trochę wody sodowej, a potem zaczęła energicznie obracać shakerem. – Wróży pani przez telefon.

– Tak. To dochodowe.

Dauphine uśmiechnęła się do Mags szeroko.

– A wróży pani z kart?

– Owszem, rozmawiając z klientem. Silas twierdzi, że pani wróży z kart zawodowo.

– Za pięciokrotność normalnej stawki. – Przełała drinka do pękatej szklanki, którą zwieńczyła gałązką mięty. – Proszę skosztować. Jeśli nie przypasuje, przyrządzę coś innego.

Mags pociągnęła ze szklanki, uśmiechając się z wolna.

– Magiczne! Co to takiego?

– Creolo. Wyrafinowane i ożywcze, tak jak pani.

– Och, podoba mi się twoja przyjaciółka, dziecinko. Zjedzmy jutro razem kolację. Zaproś nas na randkę, Silas.

– Uhm, jasne.

Dauphine ponownie uśmiechnęła się do Mags i wyjęła spod kontuaru miseczkę z orzeszkami.

– Gotuje. I to dobrze.

– Zawsze mnie w tym przewyższał. Przygotuj nam kolację, słodziutki.

Kobiety zaprzyjaźniły się w okamgnieniu. I to trwale.

Przez kolejne trzy wieczory Mags przebijała go w balowaniu, a każdy wieczór kończyła nowym koktajlem w barze.

W pierwszy dzień postu – i ostatni wieczór Mags przed wyjazdem z miasta – przyrządził im jambalayę i pokusił się o ciasteczka kukurydziane.

Nie musiał włączać się do rozmowy, kiedy panie były zajęte sobą. Rozmawiały o filmach, książkach, sztuce, modzie i, nie zważając na jego obecność, o mężczyznach. Jeśli zbaczały na sprawy seksu, a zdarzało się to nader często, ulatniał się po prostu.

Wydawało mu się to jednak nazbyt dziwne.

– Wyniosę śmieci – rzekł, kiedy obie przycupnęły przy jego małym stoliku. – I może trochę pospaceruję.

Wyszedł z domu i obszedł dwa razy okolicę pogrążoną w pokarnawałowej ciszy.

Po powrocie zauważył ze zdziwieniem, że Dauphine wróży Mags z jej kart.

– Na ile ją skasujesz? – spytał.

– Mamy umowę. Ja czytam z jej kart, ona czyta z moich. – Dauphine ujęła dłoń Mags. – Czuwa nad tobą. Widzisz? Myślę, że zawsze tak będzie. Widzę u dołu kobiecą siłę, także smutki z przeszłości, jakąś zmianę, koniec, który ciągle trwa. I syna, którym się dzieliłyście. Mam chwilowo jego cząstkę, ale ta twoja będzie zawsze do ciebie należała. Patrzy w przyszłość, ambitny, niepokojny. Tak jak ty patrzysz na wszystko, co nastąpi, teraz i potem. Może jego stopy zakorzenia się któregoś dnia, ale twoje będą wędrować, dopóki nie powstrzyma ich miłość. I nawet wtedy miłość musi być gotowa, by podążać z tobą. – Uśmiechnęła się i przesunęła palcem po karcie. – Miłość nie jest celem, ale życzeniem. Ja czuję to samo. To dar, który można wyjąć albo zostawić w pudełku przewiązanym tasiemką. Musi stanowić wybór, w przeciwnym bowiem razie nie wytrwa przy tobie. Wędrówki i podróże, ty zaś musisz dźwić ster. Bezpieczeństwo? A czymże jest życie bez przygody, bez czegoś nowego, bez czegoś, co czeka za rogiem?

Zaintrygowany podszedł bliżej, żeby się przyjrzeć, nigdy nie widział, jak Dauphine wróży. Znał się trochę na kartach tylko dlatego, że Mags bawiła się nimi czasem.

– Możesz podróżować do woli, fizycznie sama, ale zawsze zabierasz ze sobą swoje korzenie. Wiesz, jak je przesadzać, jak wyrastać tam, gdzie chcesz, dopóki nie zapragniesz innego miejsca. To jest wolność. Podziwiam to. A obfitość, którą masz w sobie? Twój kielich nigdy nie wysycha. Wypełnia go miłość, raz za razem. – Wyprostowała się. – Jesteś szczęśliwą kobietą, Mags. Taką, która niesie z sobą szczęście.

– Moja siostra przekazała mi ten dar. Co nie znaczy, bym wówczas wiedziała, co z nim robić, do diabła. I co nie znaczy, bym nie uwielbiała małych i większych dzieci. Dana była matką do szpiku kości. Chyba urodziłam się do roli ciotki. Byłam zaskoczona, dostrzegając w Silasie coś z samej siebie. Inteligencja? Nie mam pojęcia, skąd się u niego wzięła. Albo ta niesamowita pamięć.

– Mógłbym cię spytać o statystyki Chicago Cubs – wtrącił – a ty wymieniałabyś je bez zająknięcia.

– To nie pamięć, dziecinko, to bejsbol. Napijmy się jeszcze wina, Dauphine, a potem powrózę ci z twoich kart.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Jasne.

*

Kiedy Mags ruszyła na zachód swoim busikiem VW, Silas wybrał się do Tulane. Miał stosowną dokumentację – starannie, nawet drobiazgowo opracowaną – i życiorys Silasa Bootha w zanadrzu. Nie wymagało wielkiego wysiłku uzyskanie pozwolenia – przy opłaconym czesnym – na uczestnictwo w kilku kursach, na które pragnął uczęszczać jako wolny słuchacz.

Przez resztę lutego, aż do pierwszego kwietnia, który to dzień spędził z Mags w Santa Fe – siedział ze spuszczoną głową i zamkniętymi ustami, studiując literaturę angielską, impresjonistów i programowanie komputerowe.

Czuł się niemal jak typowy student tuż przed uzyskaniem licencjatu, kiedy przechadzał się po zadrzewionym, zielonym kampusie, spacerując obok azalii wybuchających kolorami. Choć nikt od niego tego nie wymagał, zgłębiał zadany materiał, pisał prace. I uczył się.

Jego lekcje francuskiego z Dauphine przybrały postać wieczornych konwersacji i okazynego seksu. Nauczył się od Jacques'a hakowania i zastosowawszy własną inżynierię zwrotną, znalazł w internecie kurs włoskiego.

Wydawało się, że warto dodać coś takiego do cv.

A potem, kiedy ciepła i wilgotna wiosna zaczęła z wolna przechodzić w gorące, landrynkowate lato, poznał Sebastiena Picota.

Silas lubił przesiadywać na ławce w nadrzecznej części Audubon Park, z dala od lepkiego gwaru miasta, i patrzeć na wielką rzekę i kursujące po niej parowce.

Ludzie za jego plecami piknikowali, rzucali frisbee albo po prostu drzemali na trawie. Miał na sobie podkoszulek z logo Green Wave – jeszcze jeden chłopak z college'u w parny majowy wie-

czór.

Zjawił się na spotkanie z Jacques'em na jego prośbę – swego fałszerza i sporadycznie pasera. Ponieważ zaczął się przygotowywać do następnej roboty – obrobienia zamożnej babki pewnej studentki, która uwielbiała przechwalać się biżuterią swej krewnej – planował przedyskutować upłynnienie wielowarstwowego naszyjnika z diamentami, który jego gadatliwa koleżanka miała nadzieję – radośnie podniecona – odziedziczyć.

Jacques przycupnął obok niego na ławce i wyciągnął rękę w celu przybicia piątki.

– Witaj, przyjacielu – rzekł.

Jeśli Silas schudł – miał te swoje hantle i pracował nad ciałem – to Jacques był w swoich koszykarskich szortach istnym strachem na wróble. Nawet siedząc w bezruchu, pozbywał się nadmiaru energii. Chłopak przypuszczał, że Jacques spala więcej kalorii, kiedy ucina sobie drzemkę, niż większość ludzi przebiegających półtora kilometra.

– Nietypowe dla ciebie miejsce, brachu – zauważył Silas.

– Ale jedno z twoich.

Musiał się z tym zgodzić.

Szeroka brązowa rzeka toczyła swe wody, a zachodzące słońce przydawało wszystkiemu odrobinę magii.

– Ktoś chce cię poznać.

Kiedy Silas przeniósł zdziwione spojrzenie z rzeki na Jacques'a, ten unióśł dłonie i uśmiechnął się szeroko. Niemal bezustannie obnosił się z uśmiechem, ukazując przy tym duże białe zęby, bo kiedy się cieszył, to na całego.

– Wrabiałbym cię? Znam tego gościa od czasu, jak obrabiałem turystów z drobniaków. Ma dla ciebie propozycję, więc albo ją przyjmij, albo nie, *ami*. Jestem tu tylko po to, by za niego ręczyć.

– Ile ci płaci?

Jacques gwizdnął przeciągle i pokręcił głową, a przy okazji warkoczykami, które okalały mu głowę jak korona.

– Gadamy tu jak przyjaciel z przyjacielem, *ça va*? Jeśli przyjmiesz tę propozycję i wszystko wypali, dostanę działkę. Jeśli nie chcesz, to jej nie weźmiesz. Nie było rozmowy.

Sypiał od czasu do czasu z kuzynką Jacques'a i wiedział, że jego przyjaciel to ceni. Wzruszył więc ramionami.

– Dobra, posłucham.

– *Bien*.

Jacques podniósł dłoń i obrócił nią dwa razy.

Silas spostrzegł kuśtykającego do ich ławki mężczyznę. Na prawej stopie miał gruby ortopedyczny but i podpierał się laską. Poza tym wyglądał na sprawnego, około pięćdziesiątki.

Trzymał na smyczy zadziornego na pierwszy rzut oka psa o krzywych nogach.

Miał może sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, pomarszczoną twarz i starannie przyściętą brodkę. Imponująca grzywa blond włosów poprzetykana była tu i ówdzie srebrnymi nitkami.

Usiadł po drugiej stronie chłopaka i odsapnął, uwalniając obutą stopę od ciężaru ciała.

Pies obwąchał podejrzliwie trampki Silasa.

– Nie gryzie za bardzo. *Assis*, Bluto, ty stary *coullion*. – Jego miejscowy akcent był jakimś cudem jednocześnie ostry i rozwlekły. – Niezłe miejsce, jest nawet trochę wiatorku.

– Zbieram się. – Jacques wstał. – Zostawiam was, poznajcie się. *À bientôt* chwilowo.

Sebastien rozsiadł się jak człowiek, któremu nigdzie się nie spieszy.

– Ten chłopak... ma tyle energii, co statek kosmiczny. Ty jesteś spokojniejszy, widzę. Sebastien Picot – ciągnął, nie zamierzając podawać mu ręki. – Podziwiam twoją robotę.

– A jakaż to robotą?

Sebastien uśmiechnął się tylko półgębkiem i dalej wpatrywał się w rzekę, podczas gdy Bluto siedział spokojnie, ale nadal obwąchiwał buty Silasa.

– Człowiek mojej pozycji, z moim doświadczeniem, zna doskonale konkurencję czy, posługując się przyjaźniejszym określeniem, kolegę. Mamy swoich odpowiedników, ty i ja, *mon ami*. Jacques'a i Burdette w Baton Rouge, Michelle w Lafayette. Są ostrożni, jak wiesz, jeśli chodzi o to, co mówią i do kogo mówią. Mnie znają od wieków, więc jak ich pytam, odpowiadają.

– A o co ich pytasz?

– *Mais*, o kilka ładnych błyskotek, które wędrują z miejsca na miejsce. Wędrują w sprytny sposób. Lubię spryt. Myślę sobie, ten jest młody i taki sprytny. Sprytny, żeby nie zostawiać po sobie żadnych okruszków, bystry, żeby zabierać trochę, ale nie wszystko. Dopatruję się elegancji, kiedy studiuje te wędrowki z miejsca na miejsce. W swoim czasie sam pomogłem przemieszczać się różnym błyskotkom. I sztuka *aussi*. Gotówka, czym jest, jeśli nie jedynie papierem? Żadnej elegancji. Bierzesz, *bien sur*, jeśli jest coś do zabrania, ale tylko błyskotki, sztukę. To jest właśnie elegancja.

Silas nie dostrzegł tutaj pułapki, nie z udziałem Jacques'a, ale nie odzywał się, kiedy Sebastien kończył swą przemowę.

Gdy tak siedzieli razem przez minutę, a potem przez dwie, rzeka wciąż toczyła ze spokojem swoje wody, a słońce równie niewzruszenie zaczynało się chylić ku zachodowi.

– Mam klienta – ciągnął Sebastien. – Jest taki bardzo ładny obraz, który ów klient pragnie mieć w swej kolekcji. Ten obraz znajduje się w innej kolekcji, rozumiesz? W prywatnej kolekcji, do której trafił kiedyś po podróży z kolekcji publicznej w Londynie. Znasz Londyn?

– Wiem, gdzie jest.

Mężczyzna roześmiał się, co zabrzmiało jak dźwięk zardzewiałej piły tnącej stare drewno.

– Nie uczestniczyłem w tej podróży, ale wiedziałem o niej. Bardzo eleganckie, daję słowo. Działo się to przed twoim urodzeniem, jak sądzę. *Mais*, ten obraz nie znajduje się już w Londynie, ale tutaj, w Nowym Orleanie, w tej prywatnej kolekcji. Klient go pragnie, a ja zgodziłem się to załatwić. Wziąłem, jak byś to nazwał, depozyt za robotę. Poczyłem do niej przygotowania. Wyzwanie, ale jestem dobry w tym, co robię.

– Okej. No cóż, powodzenia.

– *Malchance*, oto, co mi zostało. – Sebastien pochylił się i postukał w but. – Robota wymaga kogoś zwinnego, a ja będę nosił to cholerstwo jeszcze przez pięć tygodni. Obraz musi odbyć podróż w przyszłym tygodniu. Ten klient płaci bardzo dobrze, ale jest... twardy. Zwróciłbym depozyt, ale to by nie wystarczyło. Doznałbym czegoś poważniejszego niż złamanie kostki, jeśli gość nie byłby zadowolony. A ponieważ nie chcę mieć połamanych kości, potrzebuję partnera.

Silas przyrzekł sobie w duchu, że nie okaże zainteresowania, a w ogóle to powinien już odejść. Tymczasem jednak wskazał na but.

– Zdejmij to, żebym mógł dokładniej zobaczyć.

– *Alors*. – Sebastien syknął nieznacznie, ale pochylił się i odpiął rzep buta. Potem uniósł ostrożnie stopę pokrytą istną chmarą sińców. – Pęknięcie włoskowate, powiadają, a ja mówię: pieprzyć ich.

– Jak to się stało?

– Mógłbym powiedzieć, że zrobiłem to sobie, wyskakując z okna, żeby zwać przed zazdrośnym mężem, ale tak naprawdę potknąłem się o cholernego psa. Człowiek wstaje w nocy, żeby się wysikać, bo wypił mnóstwo wina, i potyka się o własnego psa. A teraz potrzebuję kogoś z głową na karku i umiejętnościami, żeby pomógł temu obrazowi w jego podróży, a jak go nie znajdę, to będę miał połamane nogi, ręce, a nawet może i kark.

– Podciągnij koszulę.

Sebastien westchnął, ale wykonał posłusznie polecenie.

– To mądre, że jesteś ostrożny. Nie potrzebuję głupka. – Nieproszony, opróżnił kieszenie. – Jacques nigdy by cię nie zdradził. Twoje serce zna tę prawdę, ale musimy iść za głosem rozumu, *oui*?

– Pracuję sam.

– Tak jak ja, no niemal zawsze. Popełniasz błąd? Tylko twoja wina. Chłapiasz jęzorem? Tylko twoja wina. No i honorarium. Tylko twoje. Ale ta robota, ten czas, ten klient... sam nie dam rady.

– Jakie jest honorarium? Myślisz o tym, ile zgarnąć dla siebie. Ile mnie skusi. Nie rób tego. Połowę swego życia zajmuję się tym, czym się zajmuję.

– *Non!* – Nie kryjąc zdumienia i podziwu, mężczyzna przyjrzał mu się z uwagą. – Zaczynałaś chyba jako *bébé!*

– Jako dziewięciolatek. Okoliczności. Nie twoja sprawa. Nie próbuj mnie wyrolować.

Sebastien stuknął go palcem w pierś.

– Podobasz mi się. Mógłbym powiedzieć mniej, ale przyciśnięto mnie do muru. Mam depozyt w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów – zachowam go, bo klient przyszedł do mnie. Kiedy obraz odbędzie podróż i trafi do niego, a następnie zostanie potwierdzona jego autentyczność – tym też się zajmę – klient przeleje honorarium na moje konto. Milion dolarów. Amerykańskich.

Przez minutę Silas nie mógł złapać tchu, dopóki jego serce nie odzyskało normalnego rytmu.

– Co to za obraz, do diabła?

– Znany jako *Wschód słońca nad Tamizą*. Namalował go Turner w dojrzałym okresie swojej twórczości. Abstrakcja. Jest niewielki, sześćdziesiąt centymetrów na sześćdziesiąt. Odbył w przeszłości wiele podróży i znajdował się ongiś w innej prywatnej kolekcji w Niemczech, nim stał się łupem nazistów. Potem odbył kolejne podróże, w końcu przekazano go w darze Tate Gallery w Londynie. Teraz odpoczywa sobie w zabezpieczonym pokoju w kolekcji prywatnej.

Silas wiedział co nieco o Turnerze dzięki swoim studiom i obiecał sobie, że dowie się więcej.

– Jest chyba więcej wart niż milion.

– *Mais oui*, ale takie jest honorarium, i dość przyzwoite, jeśli o mnie chodzi. Wezmę osiemdziesiąt procent i depozyt, bo zająłem się przygotowaniem, a klient jest mój, poza tym, jak sądzę, muszę nauczyć cię pewnych umiejętności, które przyjdzie ci udoskonalić. Płacę ze swojej części Jacques'owi za to, że cię przedstawił.

Nie potrafił sobie wyobrazić, co byłoby bliskie dwustu tysiącom dolarów. Nie wyobrażał sobie, by mógł dostać tyle za pojedynczą robotę. Nie oznaczało to jednak, że ma się od razu zgadzać na pierwszą lepszą ofertę.

– To ja się zajmę samą robotą, ja będę ryzykował. Nawet przy wpadce – ty zatrzymujesz depozyt.

Sebastien prychnął.

– Mam trzydzieści lat doświadczenia i już poświęciłem temu prawie miesiąc. Zapewniam sprzęt. Siedemdziesiąt pięć procent dla mnie, dwadzieścia pięć dla ciebie.

– Mam dwie zdrowe kostki, a ciebie goni czas. Sześćdziesiąt dla ciebie, czterdzieści dla mnie.

Był bardziej niż gotów zaakceptować siedemdziesiąt do trzydziestu, ale nawet mu nie drgnęła powieka, kiedy Sebastien wyciągnął rękę.

– Zgoda.

Ucisnął podaną dłoń i tak zaczął się następny etap jego własnej podróży.

Rozdział 7

Zanim wybrał się nazajutrz na kolację do domu Sebastiena, Silas zapoznał się z twórczością Turnera, jak i z okolicznościami kradzieży w 1983 roku, która uwolniła Tate Gallery od *Wschodu słońca nad Tamizą*.

Wypytał także zarówno Jacques'a, jak i Dauphine o Sebastiena.

Jacques twierdził, że jest solidny, godzien zaufania i uczciwy jak na złodzieja i oszusta. Dauphine z kolei uważała go za czarującego rozpustnika, któremu trzeba patrzeć na ręce, kiedy jest blisko kobiet albo zamkniętych drzwi.

Silas zastanawiał się, co mógłby zrobić z honorarium oszałamiająco bliskim pięciuset tysiącom dolarów.

Mógłby pójść na studia, mógłby podróżować. Mógłby kupić lepszy sprzęt do nocnej roboty. I gdyby jego volvo padło, nabyć coś nieużywanego.

Nie zależało mu na wielkim ani wyszukanym domu, ale mógł posłać trochę pieniędzy Mags, gdyby ona chciała mieć taki dom.

Najpierw jednak, ponieważ dziesięcioletnie doświadczenie nauczyło go, żeby nie szacować łupu przed robotą, musiał się odpowiednio do niej przygotować i sporo nauczyć.

Przyniósł ze sobą butelkę wina, bo tak należało zrobić; cieszył się, że nie musi nikomu płacić za kupno tego trunku.

Sebastien mieszkał w pobliżu starorzeczy, ale nie, jak się spodziewał Silas, w małej chacie czy prymitywnej chałupie. O nie. Był właścicielem przytulnego domku o białych ścianach i jasnoczerwonych okiennicach, otoczonego przez kwiaty, z widokiem na wodę i rosnące nieopodal cyprysy. Przy krótkim pomoście kołysała się na falach piroga.

Z przodu znajdował się kryty ganek z dwoma bujakami po obu stronach kwadratowego stołu. Pobrzękiwały na wietrze dzwonki wietrzne. Przywoływały duchy – o czym Silas wiedział.

Na żwirowym podjeździe, między domkiem i szopą, parkował czerwony pickup.

Z otwartych okien dobiegała głośna muzyka. Pies szczekał jak opętany.

Chłopak stał przez chwilę, podziwiając wodę, grę cieni i światła.

Wtem zobaczył gruzłowaty grzbiet przepływającego obok aligatora.

– Cholera! – zaklął. – Jasna cholera!

Cofnął się instynktownie kilka kroków, nim się obrócił, po czym wkroczył na ganek i zapukał do drzwi.

– Wejdz, ale najpierw wytrzyj porządnie buty. *Ferme ta bouche*, Bluto!

Pies przestał warczeć, kiedy gość przekroczył próg domu, ale podbiegł, by powąchać jego buty, a potem spojrzał na niego wrogo.

Powiedziałby, że wewnątrz jest przytulne, i pomyślał, że matka określiłaby je jako zagracone. Ale zagracone z wdziękiem.

Przypuszczał, że ściany zrobione są z drewna cyprysowego; wisały na nich dzieła sztuki pod postacią skarbów wyrzucanych na brzeg, zegar z kukułką, akty w formie szkiców ołówkiem. Salon z jego jasnoniebieską sofą i jasnoczerwonymi krzesłami prowadził wprost do kuchni, gdzie stał gospodarz w fartuchu przykrywającym bufiaste dżinsy i podkoszulek.

– Masz szczęście, *cher* – rzekł. – Złowiłem jakąś godzinę temu dwa ładne sumy. Przysmażę je. Będą świetnie smakować z sałatką ziemniaczaną i pieczoną ketmią.

Pies podbiegł do koszyka pełnego piłek, gumowych kości, poszarpanych resztek czegoś, co prawdopodobnie było niegdyś pluszakami. Chwycił jedną z kości i wskoczył z nią na krzesło. Po czym popatrzył na Silasa, jakby zachęcając go, by coś z tym zrobił. Ale ten nie odwzajemnił jego entuzjazmu.

– Co tam masz? – spytał gospodarz.

– Wino. Och, to shiraz, a do ryb powinno być chyba białe.

– E tam. Te sumy mają to w nosie. Dawaj, otworzymy je.

Wszedł do kuchni, gdzie na ścianach wisiały garnki i różne przybory. Półki ugięły się od butelek i słoików. W szafkach z oszklonymi drzwiczkami tłoczyły się półmiski i szklane naczynia. Z dzbana na kwadratowym stole wdziały się bukiet polnych kwiatów.

Sebastien polał filety rybne Bóg wie czym, chłopak poczuł, że swędzi go w nosie od tego zapachu.

– Korkociąg wisi tam, na ścianie, kieliszki znajdziesz obok.

Podczas gdy gość otwierał butelkę wina, gospodarz umył ręce w głębokim zlewie, a potem ściszył muzykę.

– Widziałem aligatora. W wodzie, ale tuż przy twoim pomoście.

– To prawdopodobnie Pierre. Lubi sobie wieczorem popływać.

Chłopak mimo woli zastanowił się, czy powinien wchodzić w układ z kimś, kto nadaje aligatorowi imię.

– Połknąłby twojego psa za jednym zamachem.

– Bluto jest zbyt łykowaty, żeby go zjeść. I ma na obroży talizman, który odstrasza *cocodril*.

– Okej.

„Ale ten osobliwy mały pies nie jest okej”, pomyślał Silas. I mimo że mógłby go bez trudu posłać kopniakiem na dobre pięćdziesiąt metrów, w co nie wątpił, czworonóg budził niejaki lęk.

– Masz na koncie dużo takich numerów jak ten, który nas czeka?

– Było tego trochę.

Sebastien łyknął wina, a potem wyjął z białej jak śnieg lodówki dwa jajka i zaczął je rozbić w miseczce.

– Jacques twierdzi, że nigdy nie wpadłeś.

– *Mais...* – Zaczął kroić strąki ketmii. – Tylko raz. Byłem w twoim wieku, jak mi się zdaje, pracowałem z kuzynem ze strony *maman*, Louie miał na imię. Zamierzaliśmy zabrać trochę świecidełek z jednego bogatego domu w Metairie. Louie nie miał zbyt wiele pod czaszką, no ale rodzina to rodzina. I co zrobił ten chłopak? Zaczął krążyć po tym bogatym domu i obudził jego właściciela, a facet miał strzelbę. – Opowiadając to wszystko, Sebastien zanurzał kawałki ketmii w rozbełtanych jajkach. – Mogłem zwać. Ten facet ze strzelbą dorwał Louie, a chłopak, jak wspominałem, nie był specjalnie bystry, ale nigdy nie pisałyby o mnie słówka. *Mais*, nie mogłem przecież dać nogi i go tam zostawić, żeby sam za to oberwał, więc wyszedłem z rękami w górze. Dostaliśmy pół roku. – Podniósł kieliszek z winem. – I to był, *mon ami*, ostatni raz, kiedy pracowałem z partnerem. Myślę, że masz dostatecznie dużo rozumu pod czaszką.

– Co się stało z Louie?

Mężczyzna uśmiechnął się, zdejmując ze ściany dwie żeliwne patelnie.

– Ożenił się i dostał pracę na kutrze. Połowy krewetek. Dorobił się pięciorga dzieci i trojga wnucząt.

– Jeśli odstawiłeś trochę numerów, to dlaczego tu mieszkasz? To ładne miejsce, ale przy twoich dochodach mógłbyś się osiedlić wszędzie.

– W jakimś dużym, eleganckim domu, do którego chciałby zakraść się ktoś inny?

– Nikt nie zna się lepiej na zabezpieczeniach niż sam złodziej.

Gospodarz parsknął śmiechem.

– No, teraz utrafiłeś w sedno. Ale nie... tu jest mój dom. Urodziłem się tu, nad tymi mokradłami. Znasz tę śpiewkę.

– Nie znałem, póki się tu nie zjawiłem.

– Moja krew jest tutaj. Moje serce. Żadne inne miejsce na świecie tak do mnie nie przemawia. Zbudowałem ten dom.

– Poważnie?

– Własnymi rękoma. Pomogła rodzina, jak to rodzina, ale to jest moje, bardziej niż byłoby moje gdziekolwiek indziej.

– Odwaliłeś kawał dobrej roboty. Mam przyjaciela, którego tata jest stolarzem, więc wiem coś na ten temat. Jeśli potrafisz tak budować, to dlaczego kradniesz?

– *Cher*, kiedy zadajesz tak głupie pytania, zastanawiam się, czy naprawdę jesteś taki bystry. Czuję *envie*, tak samo jak ty.

– *Envie*? Zazdrość? Nie w moim przypadku.

– *Non, non. Envie*. Głód. Wiem, jak to jest, kiedy analizujesz wszystko, przewidujesz kolejne kroki, jak czujesz to we krwi, kiedy przemykasz w ciemności. Jak nie ma czegoś takiego, to zostaje tylko chciwość, a chciwość cię gubi.

Silas doskonale to rozumiał. „*Envie*”, pomyślał. Owszem. Znał ten głód.

– I mam trzy córki. Moje słodkie dziewczyny i trzy byłe żony, z którymi je spółdziłem. Zapewniam im dobre życie, przyzwoite wykształcenie.

– Trzy byłe żony.

Sebastien wyjął miskę, wsypał do niej mąkę kukurydzianą, dodał soli, pieprzu i czegoś jeszcze z jednego ze słoików.

– Kocham kobiety. Kocham w nich wszystko. Bez względu na rozmiar czy kształt. Biedne i bogate, mądre i niemądre. – Mówiąc to, nie przerywał pracy, wlewał oliwę na patelnię, podkręcał ogień, zanurzał ketmię w mące kukurydzianej. – Mają swój zapach, smak, dotyk. Czy istnieje coś, co może dorównać kobiecie, i to każdej? *Elles sont belles*. Mówię sobie, nie ożenisz się z nią, Sebastien, a potem się żenię. Dobry ze mnie kochanek, robię piękne dziewczęta i jestem dobrym tatą, ale *mari*? – Podniósł dłoń pokrytą mąką kukurydzianą i poruszył nią. – *Mais*, pozostajemy przyjaciółmi, bo mamy skarby, które powołaliśmy razem do życia. – Położył panierowane filety na gorącym oleju. Powietrze wypełniły skwierczenie i dym. – Podaj talerze. To nie potrwa długo. Ryby muszą dojść.

Taki sposób załatwiania biznesu wydawał się dziwny, ale Silas nakrył do stołu. Na prośbę gospodarza wyjął z lodówki czarkę z sałatką ziemniaczaną. Kiedy przybiegł pies i zaczął się niecierpliwić, żeby i jemu dać jeść, Sebastien napełnił jego miskę suchą karmą, a potem dorzucił jeszcze kawałek ryby.

Usiedli w kuchni, przy oknach otwartych na odgłosy mokradeł; Silas raczył się pierwszym kieliszkiem wina, a Sebastien drugim.

– Ostrożnie pijesz, co?

– Prowadzę.

Gospodarz postukał się palcem w skroń.

– Dobrze być byстрыm i ostrożnym. *Mange*.

Chłopak spróbował wpierw ryby. Miała ostry smak, ale była cholernie dobra.

Wszystko miało ostry smak, ale było cholernie dobre.

– Mężczyzna, który nie ma kobiety i nie umie gotować, chodzi głodny – oznajmił sentencjonalnie gospodarz. – Nie lubię chodzić głodny. Jacques powiada, że szybko się uczysz francuskiego, znasz też hiszpański.

– Na poziomie szkoły średniej, ale to mi wystarcza. Teraz się uczę włoskiego.

– Po co się uczyć tego wszystkiego?

– Odczuwam chyba *envie*, jeśli chodzi o języki. No i stanowią narzędzie. Jakbyś udawał kogoś innego.

– Udawał? Ach, *oui*, coś w rodzaju przebrania.

– Właśnie, coś w tym rodzaju.

Sebastien pił, jadł, przyglądał się swemu potencjalnemu partnerowi.

– Jak zacząłeś tę robotę?

– Jacques ci nie powiedział?

– Mówi, że to twoja historia. Więc powiedz mi, jeśli chcesz. Mamy tutaj *veiller*.

– *Vei...* co?

– *Veiller* to... och, rozmowa z przyjaciółmi, przyjacielska pogawędka.

Pies przestał jeść i wyszedł na dwór, pchnąwszy nosem tylne drzwi z ochronną siatką. Silas zakładał, że nie stanie się przekąską dla krokodyla.

– Moja mama zachorowała, a rachunki narastały. Za leczenie, te były najgorsze, ale dochodziły też opłaty za dom i całą resztę. Razem z ciotką prowadziliśmy biznes – sprzątanie – niestety, praca we dwoje nie wystarczała, poza tym chodziłem do szkoły. No i tak.

– Syn opiekuje się swoją mamą albo nie jest żadnym synem. Polepszyło się jej?

Chłopak pokręcił głową.

– Najpierw się polepszyło, potem pogorszyło, potem znów polepszyło i znów pogorszyło.

Zmarła w zeszłym roku.

Sebastien przeżegnał się i położył sobie dłoń na sercu.

– Zapalę dla niej świeczkę w kościele.

– Chodzisz do kościoła?

– Czasem chodzę, a czasem moim kościołem jest Bayou, to starorzecze. Anioły są wszędzie, jeśli człowiek się dokładnie przyjrzy. No więc jak zacząłeś? Forsowałeś zamki?

– Obrabiałem kieszenie.

– Hm. Dobry w tym jesteś?

– Tak.

– Nie mam do tego smykałki. Moja specjalność to zamki. – Poklepał się po wąskiej piersi. –

Potrafię sprawić, że każdy zamek się we mnie zakocha. Mają teraz cyfrowe, ale i te nie są w stanie mi się oprzeć. Ten facet, ten od obrazu, mieszka w wielkim starym domu w stylu kolonialnym, wiesz, jak na dawnych plantacjach, ma służbę i ludzi, którzy strzygą mu trawnik, no tego rodzaju rzeczy. Nie traktuje ich grzecznie ani uczciwie, to ci mogę zaręczyć. Zdradza żonę. Sam miałem trzy żony, ale nigdy żadnej nie zdradziłem. Jak kochasz kobiety, to okazujesz im szacunek. Nieuczciwy facet to nie facet.

– Ma dla ciebie znaczenie, czy okradany jest dobry, czy zły?

Mężczyzna wzruszył kościstymi ramionami.

– Robota to robota. Ale jest *lagniappe*, kiedy skubie się drania.

– Mały bonus.

– *Mais oui*. Tańczysz, *garçon*?

– Tańczę? Tak. Dlaczego pytasz?

– Panie lubią, kiedy mężczyzna potrafi tańczyć, o to chodzi. Taniec? To wdzięk, rytm i równowaga. *Tu saisis*?

– *Oui*.

Sebastien tupnął swoim ortopedycznym butem.

– Z tym nie mogę tańczyć, a taka robota wymaga wdzięku, rytmu i równowagi. Stąpam ciężko jak kaleka, zamiast posuwać się bezgłośnie. Ten facet, co to zdradza żonę i jest paskudny dla pracowników, ma dom z wieloma drzwiami i oknami. A w nich mnóstwo zamków i wszystkie okablowane, *tu vois*.

– Jeśli będę wiedział, co to za system, to sobie poradzę.

– To bardzo dobry system, ale żaden nie jest doskonały, jak o tym wiemy. *Mais*, w środku ten pokój, gdzie trzyma obraz – i inne cenne rzeczy – też jest chroniony. To jak skarbiec, ten gabinet, który tam ma, wielkie pomieszczenie, też zamknięte, otwiera się je tylko przy sprzątanii. I zmienia szyfr codziennie, a przynajmniej tak słyszałem.

– Więc trzeba działać po kolei. System alarmowy... kamery?

– *Bien sûr*.

– Okej. Najpierw system, potem pokój, potem skarbiec. Na koniec odwrotna kolejność.

– Odwrotna kolejność?...

– Zostawiam wszystko tak, jak było na początku. Resetuję system. Po co mają od razu wiedzieć, że ktoś tam był?

Sebastien rozsiadł się wygodnie.

– Mądre podejście. Zabiera więcej czasu, ale może też się go zyskuje. Wszystko tak, jak wyglądało, z jednym wyjątkiem: obraz wyruszył w podróż. – Skinął głową i wstał. – Chodź, pokażę ci, co mamy.

Ruszył krótkim korytarzem do sypialni. Ponieważ znajdowały się w niej dwa łóżka – jedno ludzkie, z metalowym wezglowiem, i drugie psie legowisko – Silas doszedł do wniosku, że Sebastien tu sypia.

Na drewnianych ścianach wisiało jeszcze więcej rysunków ołówkiem – sceny z mokradel i postaci kobiet. W kącie stało drewniane krzesło, obok lampa podłogowa. Na półkach książki i bibeloty.

Gospodarz podszedł do rysunku przedstawiającego postać kobiety stojącej pod kurtyną hiszpańskiego mchu. Wsunął palec poza ramę. I nagle ściana wsunęła się w ścianę.

– Drzwi chowane. Nie zobaczysz przewodnicy, jeśli nie wiesz, gdzie patrzeć.

Nie kryjąc podziwu, chłopak zbliżył się do wnęki o powierzchni sześćdziesiąt centymetrów na trzy i pół metra.

Na wąskim biurku stał komputer wysokiej klasy. Za nim wisiała tablica, na niej, jak mógł się zorientować, materiały dotyczące roboty – plan domu, rozkład zajęć służby, nazwiska, daty, zdjęcie obrazu, zdjęcia domu i przyległego terenu z zabudowaniami. I, co najbardziej intrygujące, fotografia drzwi do skarbcza.

– Jak zdobyłeś to zdjęcie?

– To nie jest jego skarbiec, ale identyczny model.

– Nigdy nie miałem z czymś takim do czynienia.

– Zawsze jest ten pierwszy raz.

Silas wszedł w głąb pomieszczenia i zauważył półki wypełnione narzędziami ich fachu. Wytrychy, wiertarki, stetoskopy, piloty na podczerwień i telefony komórkowe, które można było przerobić – albo już zostały przerobione – by za ich pomocą radzić sobie z cyfrowymi systemami antywłamaniowymi.

Rękawiczki, papierowe ochraniacze na buty, maski narciarskie. Budząca grozę kotwiczka do rzucania. Nylonowa lina, krajak do szkła.

– Przynies mi krzesło – poprosił Sebastien, włączając komputer. – I tak już stoję za długo na tej przeklętej nodze.

Kiedy chłopak poszedł do sypialni po krzesło, pojawił się pies, który ruszył wprost do swego legowiska. Usiadł na nim i obrzucił gościa morderczym spojrzeniem.

– Psy mnie lubią zazwyczaj.

– On też cię lubi, w przeciwnym razie by warczał. Pokazuje ci po prostu, kto tu jest szefem.

– Odwrócił się do ekranu komputera. – Spójrz. Każde miejsce ma słaby punkt.

Ku zaskoczeniu Silasa mężczyzna wyświetlił zdjęcie domu i posługując się myszką, zaczął powoli obracać obraz o sto osiemdziesiąt stopni.

– Niesamowite – rzekł chłopak.

– Świat się zmienia, więc musisz się zmieniać razem z nim. To tutaj? – Postukał palcem w szklane drzwi prowadzące na patio. – Wejdiesz tędy.

Omawiali przez godzinę najbardziej podstawowe kwestie, aż wreszcie Sebastien oznajmił, że czas na kawę i wieczorny odpoczynek na werandzie.

Choć Silas nie miał szczególnej ochoty na kawę, podziwiał powolne przygasanie za cyprysami czerwieni i złota nad rzeką.

Sowy pohukiwały, owady śpiewały, żaby skrzeczały, coś pluskało w wodzie.

– Bayou... gra muzykę przez całą noc.

Dziwną, ale poruszającą muzykę w przypadku miejskiego chłopca, jak musiał przyznać Silas.

– Nie masz tu specjalnych zabezpieczeń.

– Ale mam tę groźną bestię. – Wskazał Bluta, który węszył coś przy jego stopach. – Niedawno mieszka Pierre i jego rodzina. A ten niewielki próg, który pewnie zauważyłeś na drodze? To czujnik dotykowy. Wiem, kiedy ktoś się zbliża do mojego domu. Ale urodziłem się tutaj i wychowałem, tu jest moja rodzina, ludzie mnie znają. Nikt na mokradłach nie będzie mi podskakiwał. A *po-po?* znaczy gliny... nie mają powodu, żeby tu węszyć. Jeśli zechcę, to niczego i tak nie znajdą. Tylko faceta z psem żyjącego z własnej ziemi, wykonującego drobne naprawy, to tu, to tam. Nigdy nie włamuję się do domów, w których akurat pracuję.

– Tak samo było ze mną, kiedy je sprzątałem.

Po przerwie na odpoczynek pracowali do północy, analizując kolejne kroki, systemy, obyczaje mieszkańców posiadłości. Ci nie mieli psa – co stanowiło plus – tylko kota. Czy też *minou*, jak mówił Sebastien.

Oprócz kota, mężczyzny, jego żony, dwojga dzieci – chłopca w wieku dwunastu lat i dziewczynki w wieku ośmiu – mieszkała tam jeszcze gospodyni z mężem.

Nim Silas ruszył do domu, mając umysł i oczy szeroko otwarte dzięki filizance *cafe noir*, którą Sebastien w niego wmusił, znał imię i pokój każdego z domowników, odległość od wejścia do zamkniętego gabinetu i odległość między jego drzwiami a skarbcem.

Poznał typ systemu zabezpieczeń, a ponieważ miał już z takim do czynienia, czuł się pew-

niej. Zamknięte drzwi gabinetu nie martwiły go zbyt.

Ale skarbiec? Było to nowe doświadczenie, nieznanne i skomplikowane. I miał tylko kilka dni, żeby zapoznać się ze wszystkimi jego zawiłościami i sekretami.

Napompowany kofeiną, pracował w swoim mieszkaniu przez następne dwie godziny, sporządzając notatki, obliczając czas potrzebny na poszczególne czynności, ćwicząc z przerobionym pilotem, który wypożyczył mu Sebastien. I ćwicząc ze swoim zamkiem szyfrowym.

Skarbiec wyposażony był w zamek z możliwością maksymalnej kombinacji dziewięciu cyfr; Silas zgadzał się z Sebastianem, że facet zastosował taką właśnie kombinację.

Wymagającą czasu.

Potrafił teraz w większości przypadków złamać szyfr trzycyfrowy w niespełna piętnaście minut. Szyfr dziewięciocyfrowy wydłużyłby to trzykrotnie, jak Silas doskonale wiedział. Złożoność – najprawdopodobniej wymagałaby co najmniej dodatkowej godziny. Chyba że miałby cholerne, naprawdę cholerne szczęście.

Szacował, że wejście do skarbcza zajmie mu dwie godziny.

Wejście i wyjście, jak kalkulował, zabrałoby mu trzy, trzy i pół, żeby mieć stuprocentową pewność.

To dłużej, niż był kiedykolwiek gotów zaryzykować, ale potem czekała go najwyższa stawka dzienna, na jaką się kiedykolwiek porwał.

Kiedy kładł się do łóżka, śniły mu się niezliczone kombinacje cyfr i na koniec zadowolające kliknięcia – kliknięcia zapadek zamka.

*

Darował sobie cotygodniową lekcję francuskiego i szansę na seks z Dauphine i skupił się na poprawieniu wyniku czasowego. By nic go nie rozpraszało, ograniczył się do mrożonej pizzy w mieście, gdzie jedzenie było religią.

Posługując się kawałkiem metalu, zabranym ze złomowiska, zbudował prostą makietę drzwi skarbcza, a potem godzinami zmagał się z zamkiem szyfrowym. Po dwóch nieprzespanych nocach udało mu się ograniczyć średni czas do sześćdziesięciu siedmiu minut i dwunastu sekund.

Musiał za wszelką cenę poprawić ten wynik.

Żując Doritos, studiował schematy zabezpieczeń.

Podnosił hantle, pił gatorade, odtwarzał w głowie każdy krok, każdy ruch.

Kiedy nadszedł wyznaczony wieczór, powiedział sobie, że jest gotów. Że robota to robota, ot sekwencja czynności po długich, starannych, żmudnych przygotowaniach.

Zostawił swój samochód pod domkiem Sebastiena i usadowił się wraz z psem w pickupie.

– Wsiądziesz w miejscu, które ci pokazałem, kiedy się tam przejechaliśmy, a potem ruszysz na piechotę. Mało kto jeździ tamtędy o tej porze, ale jeśli zobaczysz zbliżający się samochód...

– Zejdę z drogi – dokończył Silas. – Kiedy załatwię sprawę, włączę telefon, wyślę ci esemesa, a ty podjedziesz po mnie tam, gdzie mnie zostawiłeś.

– Zachowujesz zimną krew, *mon ami*?

– Jasne. Zawsze – dodał. – Przerabialiśmy to tyle razy, że jestem lepiej niż przygotowany.

Wszystko okej.

Parna, bezksiężycowa noc działała na jego korzyść. Wiedział, że na posesji będą się palić światła, ale łatwo mógł ich uniknąć. Okna zamknięte z powodu upału, szum klimatyzacji – dwie sprzyjające okoliczności, jak uznał.

O pierwszej w duszną i upalną noc mieszkańcy powinni już spać kamiennym snem. Jeśli nie, to będzie musiał po prostu omijać cierpiących na bezsenność domowników. Gdyby udało mu się załatwić rzecz w najlepszym osiągniętym dotąd czasie, to ze wszystkim zmieściłby się w dwóch godzinach. Gdyby nastąpiły jakiegokolwiek komplikacje, to i tak dopadłby pickupa, nim najbardziej nawet ranny ptaszek choćby drgnął.

Nie napotkali ani jednego samochodu na trzypasmowej jezdni.

Sebastien zjechał na pobocze i po raz ostatni spojrzął na Silasa.

– *Bonne chance*.

Skinąwszy głową, chłopak wysiadł z wozu, sprawdził godzinę i puścił się biegiem.

Wysoki, szczupły, ubrany na czarno, pokonał szybko pół kilometra, potem zatrzymał się pod osłoną drzew, by przyjrzeć się domowi.

Tak jak się spodziewał, zewnętrzne lampy oświetlały trawniki i srebrzyły zwisające gałęzie hiszpańskiego mchu. Latarnie po obu stronach szerokich drzwi wejściowych rzucały blask na długą werandę z jej opasłymi kolumnami.

Jednak duże okna bez wyjątku tonęły w mroku.

Kryjąc się wśród drzew i zarośli i ani na chwilę nie spuszczać oka z ciemnych okien, zbliżał się okrężną drogą do bocznej ściany domu i słabego punktu, jak to ujął Sebastien.

Powietrze przesycone było odurzającą wonią róż, lilii i letniej trawy. Z łatwością poradził sobie z prostym zamkiem przy metalowej zdobionej klamce. Już w środku, w pomieszczeniu, które domownicy zapewne nazywali pokojem rannym albo salonem, zbliżył się wprost do skrzynki alarmowej.

„Pierwszy test”, westchnął w duchu, chcąc samego siebie niejako przekonać, a ostatecznie także i Sebastiena, że wie, co zrobić z jego półamatorskim, chałupniczym z wyglądu pilotem.

Mijały sekundy, a na wyświetlaczu pokazywały się cyfry. W najgorszym razie dałby nogę.

Ale kod zapłonął na zielono.

Zamknął za sobą bezszelestnie drzwi.

Tutaj powietrze też pachniało. Kwiatami i cytrynami. I trwało nieruchomo, kiedy tak stał z zamkniętymi oczami, by wyostrzyć słuch.

Mając w pamięci schemat poszczególnych pomieszczeń, opuścił pokój i skierował się szybkim krokiem w prawo, przez rozległy hol z jego eleganckimi schodami pośrodku.

Tu skręcił w lewo, szybko i bezgłośnie, i przeszedł obok następnego salonu, pokoju bilardowego, zmierzając w stronę zamkniętych drzwi gabinetu.

Kiedy wyjmował wytrychy, coś otarło się o jego nogi i niemal sprawiło, że wyskoczył z butów.

– Miau – oznajmił rudy kot.

Choć zwierzak miał sympatyczny pyszczek, Silas nie dotknął go. Dał sobie dziesięć sekund, by ukoić nerwy, a potem zabrał się do zamka.

Kot wślizgnął się do pokoju, nim zdołał go powstrzymać, po czym usadowił się jak gdyby nigdy nic na szerokim podłokietniku skórzanej bordowej sofy. Gdyby chłopak go wysiadał, zwierzak mógłby znów zamiauczeć, zacząć drapać w drzwi albo co gorsza zrobić coś jeszcze głośniejszego i obudzić któregoś z domowników.

Silas zamknął za sobą drzwi i obrócił się twarzą do skarbcza.

Wyglądał na żywo znacznie okazalej – dziewięćdziesiąt centymetrów szerokości, sto osiemdziesiąt wysokości, spiżowa barwa. Wiedział, że te wrota mają prawie trzydzieści lat.

Zbliżył się do nich i położył dłoń w rękawiczce na zimnej metalowej powierzchni.

Następnie włączył stoper i przystąpił do pracy.

Kot za jego plecami przyglądał się temu z zainteresowaniem i mruczał. Silas skalkulował odległość dzielącą go od okna – jedynej drogi ucieczki, gdyby ktoś się zjawił.

I wówczas odgrodził się od wszelkich myśli.

Pracował w skupieniu, tak jak przy swoim pierwszym – i z perspektywy czasu niewiarygodnie prostym – sejfie. Ilekroć docierał do niego dźwięk kolejnej zapadki, doznawał cichej satysfakcji.

Wcześniej utrwalił sobie w głowie odpowiedni schemat, dokonywał obliczeń i posuwał się do przodu.

Raz znieruchomiał, usłyszawszy za sobą skrzypnięcie. Czekał, czekał, ale dźwięk się nie powtórzył. Wiedział, że stare domy wydają nocą różne odgłosy.

Ujął dźwignię drzwi i wstrzymał oddech. Matematyka nigdy nie kłamała, ale ludzka kalkulacja niejednokrotnie mogła prowadzić na manowce.

Dźwignia poruszyła się bez oporu, a drzwi skarbcza, mocno pociągnięte, otworzyły się z wolna.

Zatrzymał stoper. Pięćdziesiąt minut, co do sekundy.

Obiecał sobie, że uczci później to swoje największe osiągnięcie.

Wciąż posługując się tylko małą kieszonkową latarką, oświetlił pomieszczenie. Zauważył, że jest dwa razy szersze od samych drzwi i że na umeblowanie składa się obciążone skórą krzesło

i stół – antyk na pierwszy rzut oka. Stały na nim kryształowa karafka i niewielka szklanka.

Spostrzegł rzeźby – brązowe, marmurowe, kamienne – na postumentach. Na półkach stały mniejsze, także kolekcja nieobrobionych kamieni szlachetnych, skały księżycowej, jak przypuszczał. Jajo – zapewne Fabergé – i dwa pistolety pojedynkowe.

Na ścianach wisiały obrazy. Portret młodego człowieka z profilu, pejzaż przedstawiający pofałdowane wzgórza i drzewa w jesiennym przepychu, akwarela i abstrakcja, w której nie potrafił się dopatrzeć sensu.

A oto i Turner, mały klejnot pełen złota, czerwieni i odcieni błękitu.

Nie przypominał w niczym obrazu ze zdjęć. Robił o wiele większe wrażenie.

Żył, poruszał się, oddychał. Silas dosłownie czuł słońce budzące się do życia nad miastem, nad rzeką, i ślubował sobie, że pojedzie tam któregoś dnia i zobaczy je na własne oczy.

Wydawało mu się, że obraz promienieje, kiedy go zdejmował z czcigi ze ściany.

Miał wyciąć płótno z ramy, zwinąć je i wyjść.

Teraz jednak nie mógł tego zrobić, nie w sytuacji, kiedy widział ślady pędzla i czuł tę wspałałość. Ponieważ nie wiedział, jak uwolnić obraz z ramy, a nie miał czasu się nad tym zastanawiać, postanowił go zabrać razem z ramą.

Choć chciał – *envie!* – przyjrzeć się innym skarbowi w pokoju, oparł się tej pokusie. Wyszedł ze skarbca i zaczął zamykać drzwi.

I zdał sobie sprawę, że kot nie siedzi już na kanapie.

– Kurwa.

Zaczął go gorączkowo szukać, a potem usłyszał mruczenie. Przeklęte zwierzę usadowiło się w fotelu swego pana w jego muzeum.

Silas wsunął obraz pod jedną pachę, a pod drugą kota.

Zamknął skarbiec, obrócił pokrętkę zamka i ustawił je w pierwotnym położeniu.

Położył kota na podłodze za gabinetem i prędko zamknął drzwi, zanim zwierzę zdążyło się wśliznąć z powrotem do pomieszczenia. Uporał się z zamkiem. Kot zamiauczał nieco tęsknie, kiedy Silas ruszył w drogę powrotną.

Uaktywnił alarm, zamknął boczne drzwi na zamek i pobiegł truchtem do drogi, między drzewami, niedługo potem się zatrzymał, przesłał Sebastienowi esemesa i znów popędził ku miejscu, w którym zaparkował pickupa.

Sprawdził czas i uśmiechnął się z zadowoleniem. Od wejścia do domu do jego opuszczenia upłynęły siedemdziesiąt dwie minuty.

Rozdział 8

Znał dźwięk samochodu chlebobdawcy, ale póki nie zobaczył podjeżdżającego pickupa, trzymał się zacienionych miejsc.

– Szybka robota – pochwalił go Sebastien, kiedy chłopak otworzył drzwi po stronie pasażera. – Coś ty zrobił? Przyniosłeś go w ramie!?

– Nie ma mowy, żebym przyłożył nóż choćby do kawałka tego płótna. Człowieku, tylko popatrz.

Mężczyzna przewrócił zniecierpliwiony oczami.

– Później. I miejmy nadzieję, że żaden glina nie postanowił tu krążyć i że nie zachce uciąć sobie z nami pogawędkę, jak będziesz to trzymał na kolanach.

Zerknął przez ramię, wyjeżdżając na drogę, podczas gdy Silas wpatrywał się w obraz.

– Nie zakochaj się w nim. Teraz należy to do klienta.

– Mogę się zakochać i mimo wszystko wykonać robotę.

– Miałeś jakieś kłopoty?

– Napotkałem kota. Prawie zamknąłem go w skarbcu, nim się zorientowałem, że tam włożył. Miły zwierzak. – Przesunął się nieznacznie, ponieważ Bluto, wyczuwając najwidoczniej kota, zaczął go obwąchiwać. – Poza tym bez problemów. Miałeś rację co do bocznych drzwi. Dostałbym się prawdopodobnie dzięki plastikowemu kartonikowi, ale ten twój czytnik jest porządny. Musisz mnie nauczyć, jak samemu go zmajstrować.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę. Sam dałbym radę, bo mam trochę czasu, ale ty już wiesz. Zamierzam podszkolić się w elektronice i komputerach. Potrafię przeprowadzić proste hakowanie, ale muszę to rozwinąć.

– Ile czasu ci zajęło dostanie się do skarbcza?

– Pięćdziesiąt minut, co do sekundy. Zamierzam lepiej się spisywać. Posłuchaj, Sebastien, on ma tam pokój pełen dzieł sztuki, klejnotów i antyków. I wielki skórzany fotel, żeby w nim siedzieć i móc podziwiać to wszystko. Trzyma to pod kluczem, cieszy tylko jego oczy.

– Tacy ludzie dają nam zajęcie.

– Jeśli kiedykolwiek zdobędę taki obraz, i okaże się autentyczny, to powieszę go na ścianie na widoku. Ten twój klient... też ma taki pokój?

– Wierz mi, urządził sobie taki, że ten, w którym byłeś, wygląda jak mój schowek na miotły.

– Nie kapuję, dlaczego tego rodzaju ludzie chcą mieć coś tak pięknego, że nikt prócz nich nie może tego oglądać.

– Nie musisz kapować. Tak jak powiedziałem, dają nam zajęcie i tyle. – Skręcając w stronę mokradeł, znów spojrzał na Silasa. – Nie mają duszy, *tu sais*? Nie widzą tego, co ty widzisz, kiedy patrzysz. Oni tylko chcą, *c'est tout*. To tak, jak pieprzyć kobietę w ciemności, nie znając jej ani nie widząc, ani nie czując, ani nie troszcząc się o nic. To tylko chciwość, żadnej w nich duszy. – Podjechał pod swój dom. – Za żadne pieniądze świata, a oni mają ich większość, nie kupią sobie duszy. *Mais*, chcą tylko czegoś znowu, bo nigdy nie zobaczą tego, co ty, kiedy patrzysz.

Gdy wysiedli, zanim chłopak oddał obraz Sebastienowi, ostatni raz rzucił na niego okiem.

– Chcesz drinka? – spytał gospodarz. – Zasłużyłeś.

– Nie, już późno. Są letnie zajęcia, zamierzam się na nie zapisać jako wolny słuchacz.

– Ten twój mózg nigdy się nie wyłącza. Zadzwoń rano do klienta i pewnie zabiorę obraz w jego ostatnią podróż. Więc jutro albo, jeśli facet nie będzie jeszcze gotowy, za kilka dni przeleję twoją działkę na te konta, które mi podałeś.

– Okej.

– Nie zamierzam cię wyrolować.

– Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Poza tym wiem, gdzie mieszkasz. – Popatrzył na

Bluta. – I twój mały pies.

Mężczyzna klepnął go w ramię.

– Może kiedyś znów razem popracujemy.

– Może.

– *Bonne nuit, mon cher ami.*

Pokuśtykał w stronę domu.

– *Bonne nuit.*

Silas wsiadł do swojego samochodu i ruszył z powrotem do dzielnicy francuskiej. Jadąc przez gorącą, nieruchomą noc, uświadomił sobie, że najgłębszym źródłem ekscytacji nie było wcale honorarium, które zdobył. Nie było nim nawet sforsowanie skarbca w ciągu pięćdziesięciu minut.

Było nim to, że trzymał w rękach ten cud i spoglądał mu w serce.

Telefon obudził Silasa za piętnaście dziesiąta, wyrrywając go ze snu o zachodach słońca i seksie.

Wygrzebał komórkę.

– Tak, o co chodzi? – rzucił nieprzytomnym głosem.

– Pobudka, *garçon*. Wybierasz się w podróż ze mną i obrazem.

Ziewnął potężnie, starając się wysilić umysł.

– Dlaczego?

– Klient chce cię poznać. Ubierz się i przyjedź po mnie. Ty prowadzisz. Z tą stopą to dla mnie za daleko.

– Co znaczy za daleko? Dokąd się...

Lecz Picot już się rozłączył.

– Cholera.

Planował wstać dopiero, kiedy się obudzi, ponieważ gdy kładł się do łóżka, niemal świtało. Później miał nadzieję wkręcić się jakoś na letnie zajęcia na uniwersytecie.

Nie miał wielkiej ochoty spotykać się z klientem, ale zależało mu na honorarium. Chwyił puszkę coli i stojąc pod prysznicem, popijał dla rozbudzenia ulubiony płyn.

Wyjął najnowsze – i najczystsze – dzinsy, po czym doszedł do wniosku, że większość T-shirtów nie nadaje się na tę okazję, bo nie robił prania od ponad tygodnia. Włożył jedną z trzech przyzwoitych koszul i podwinął rękawy.

Wziął drugą puszkę coli, portfel, kluczyki i okulary przeciwsłoneczne i skierował się do wyjścia, pojadając ciasteczka Pop-Tarts.

Kiedy zjechał pod dom Sebastiena, zobaczył – i zaakceptował – że Bluto też wybiera się z nimi w podróż. Jego pan miał doczepioną do paska smycz. Niósł obraz owinięty w gruby brązowy papier, kubek na wynos z kawą i laskę.

Pies wskoczył od razu do samochodu i obrzuciwszy Silasa gniewnym spojrzeniem, przeniósł się do tyłu.

Chłopak zabezpieczył obraz pasem tylnego siedzenia.

– Byłeś kiedyś w Lake Charles? – spytał Sebastien.

– Nie – odparł.

– To dzisiaj będziesz. Najlepiej jechać tam trasą numer dziesięć. Nie jest tak ładna jak boczne drogi, ale szybsza.

– Dlaczego chce mnie widzieć?

– Nie pyta się o to takiego człowieka. Jedziemy, zapłaci nam, powiemy *au revoir* aż do następnego razu, kiedy znów będzie czegoś chciał.

Silas zawrócił auto i ruszył przed siebie.

– Nie lubisz go – zauważył.

– Nie muszę – odrzekł tamten. – A ty lubiłeś wszystkich, którym sprzątałeś domy?

– Nie.

– No właśnie. Musiałem mu powiedzieć, że potrzebowałem młodszego partnera, żeby wykonał robotę ze względu na tę moją stopę, i dlatego, że on sam nie dał mi czasu na wyzdrowienie i załatwienie tego osobiście. Obiecałem, że nie podam partnerowi jego nazwiska ani niczego innego, a on nie ma powodu w to nie wierzyć. Lepiej go nie okłamywać, *tu sais*? Ale dzisiaj chce, żebyśmy cię przywiózł. Znasz się na tej robocie, ona wymaga finezji i umiejętności, więc sądzę, że

postanowił ci się po prostu przyjrzeć.

– Dobra. Wszystko jedno.

Sebastien przez jakiś czas patrzył przez okno.

– Teraz poznasz jego nazwisko, twarz i jeden z jego wspaniałych domów. Może tak będzie dla ciebie lepiej. Tak sobie życzy. Ale to nie jest dobry człowiek. Nie lubię go.

– Już to mówiłeś.

– Gdybym nie zdobył dla niego obrazu, choć mówiłem, że zdobędę, pogruchotałby mi kości. Zapłaciliby komuś, kto by to zrobił. Nie zdobyłbym obrazu, bo popełniłbym błąd i dał się złapać? Nie martwiłby się, bo wie, że słowem bym o nim nie wspomniał. Nie byłoby to warte mojego życia.

– Zabiłby cię?

– Czuję to przez skórę. Słyszę rzeczy, które odzywają się w mojej głowie. Nie mogę powiedzieć *absolument*, ale serce i mózg mówią mi to, co mówią, a mam trzy córki, które jeszcze nie dorosły. Opowiadam ci o tym, bo cię polubiłem: zważaj przy nim na każdy swój krok.

– Dostarczamy obraz, więc nie ma problemu.

– Nie tym razem. Wielokrotnie, przez wiele lat brałem dla niego w podróż różne rzeczy. Ale on chce więcej, coraz większych rzeczy, *oui*? Bardziej wyszukanych. Kiedy chciał czegoś, czego nie mogłem zdobyć, to mówiłem mu prawdę, i nie było problemu. Pewnego dnia może już nie zechceć powiedzieć: nie ma problemu, jeśli oświadczę, że nie dam rady tego zdobyć. Ale chwilowo robota idzie w porządku.

– Kto to taki?

– Carter LaPorte.

– Dobra, tak się nazywa, tylko że nic mi to o nim nie mówi.

– Jest bogaty, od urodzenia. Człowiek, który wie życie pełne przywilejów i obfitości. Więcej niż obfitości... – mruknął w zamyśleniu Sebastien. – Brak umiaru, *oui*? Nosi z wprawą maskę, *tu saisis*? Cywilizowanego, wyrafinowanego, eleganckiego gościa. Ale pod tą maską skrywa się bezwzględność i okrucieństwo.

– To po co z nim robić interesy?

– Nosi tę maskę z wprawą – powtórzył Sebastien. – I zawsze po robocie płaci bez negocjacji. A wielu negocjuje. Mam trzy córki. – Wzruszył ramionami, jakby to wszystko tłumaczyło. – To człowiek, który trzyma w dłoni rubiny, ale dla niego to nie dość. Nigdy nie dość. Ktoś inny ma szmaragdy, więc i on musi je mieć. Wciąż więcej niż ktoś inny, więcej niż tamten, zawsze więcej. Tego, co najlepsze, największe, najcenniejsze.

– Więc jest chciwy. Jedna z moich zasad brzmi: nie bądź chciwy. To niezawodny sposób na wpadkę.

– Ludzie tacy jak LaPorte nie martwią się o to, że wpadną. Mają absolutną władzę. Widzi to, czego pragnie, i bierze – w ten czy inny sposób. Ma kobietę – najpiękniejszą, najbardziej pożądaną – ale gdy jest nią zmęczony albo widzi inną czy, co zdarza się chyba częściej, mężczyznę z kobietą, która jest piękna i godna pożądania, to chce tej jego kobiety, musi ją mieć. Bo ona należy do kogoś innego, nie do niego. Rzeczy posiadane, a kobieta jest dla niego tylko jeszcze jedną posiadaną rzeczą. Nie ożenił się. Wystrzegaj się mężczyzny, który nie ma przy boku kobiety albo, jak się to czasem zdarza, innego mężczyzny. To znaczy miłości. Bez miłości są tylko rzeczy.

Picot przesuwając nerwowo palcami po udach, podsuwając Silasowi pierwszą wskazówkę – bał się LaPorte'a.

– Boisz się go.

– Jestem rozsądnym człowiekiem. *Mais*, owszem, czuję przed nim strach. Bądź rozsądny, *mon ami*. Zawsze mówię sobie, że to ostatnia robota, którą dla niego wykonuję...

– Nigdy nie mów, że to ostatnia robota. W czymkolwiek. Twarda zasada numer jeden. Bo wtedy wszystko się pieprzy i człowiek wpada.

– Masz zasady?

– Tak. Nie bądź chciwy. Nigdy nie mów, że to ostatnia robota. Nie udawaj nawet, że masz broń. Nie okradaj kogoś, kto potrzebuje tej rzeczy bardziej od ciebie. Uciekaj, kiedy musisz – i zawsze bądź spakowany, żebyś mógł to zrobić.

– Jesteś rozsądnym człowiekiem. Zastanawiam się, jak LaPorte cię oceni.

– Dopóki płaci, może mnie oceniać, jak mu się żywnie podoba.

Sebastien polecił zjechać z trasy w stronę jeziora. Potem kazał się zatrzymać, żeby pospace-
rować z Blutem, gdyż, jak wyjaśnił, psa nie pozwolą wypuścić na terenie posiadłości.

Silas patrzył w tym czasie na jezioro, zastanawiając się, jak by to było mieszkać w domu
z takim widokiem. Jakiego rodzaju byłby ten dom. Mnóstwo okien, zdecydował, tak aby z każ-
dego móc obserwować wodę. Mała żaglówka przy pomoście. I zabezpieczony odpowiednio pokoi-
k, oczywiście. Większy niż ten u Sebastiena.

„Pewnego dnia”, pomyślał. Tak naprawdę nie potrafił sobie wyobrazić, że zamieszkałby
teraz w takim domu, nie wspominając już o jego posiadaniu.

Jednak pewnego dnia...

Niedługo potem się przekonał, że LaPorte wcale nie ma domu. Nie nazwałby tego nawet
posiadłością. To, co zobaczył, kwalifikowało się jako rezydencja.

W stylu śródziemnomorskim, z wielopoziomowym dachem krytym czerwonymi dachów-
kami. Jej ściany ze złotego kamienia upstrzone były balkonami i tarasami, a od strony jeziora cią-
gnęła się długa, kryta weranda.

Rezydencja przypominała luksusowy hotel z nieskazitelnymi trawnikami, bujnymi ogro-
dami, starymi drzewami.

Silas wyobrażał sobie, że system zabezpieczeń przedstawia nie lada wyzwanie, i zapragnął –
trwało to tylko chwilę – zmierzyć się z nim.

Ale druga zasada? Nigdy nie okradaj klienta.

Żelazna brama otwierała się na stróżówkę czy dawną powozownię o takich samych ścianach
i dachu z czerwonymi dachówkami jak główny budynek.

– Ochrona to trzech ludzi. Uzbrojonych – poinformował go Sebastien. – Zmieniają się co
dwadzieścia cztery godziny.

– Dobrze wiedzieć.

– W domu też jest ochrona. Kamerdyner, jak to się mówi, jest byłym wojskowym. A gospo-
sia? Była agentką Mossadu. Główny ogrodnik? Ekspert w różnych sztukach walki i tak dalej.

– Mądrze. Technikę łatwiej pokonać niż żywych ludzi.

Zatrzymał się przy powozowni, kiedy ze środka wyłonił się mężczyzna w garniturze i pod-
niósł rękę.

– Wsiadamy – oznajmił Sebastien. – Otwieramy bagażnik. Sprawdzą samochód i nas przy
okazji.

– Po co?

– Czy nie mamy ze sobą broni albo jakichś urządzeń. I dlatego, że mogą. Zabiorą nam
komórki. Dostaniemy je z powrotem przy wyjeździe.

– Poważnie?

– LaPorte to ostrożny facet.

Silas postanowił nie spierać się z uzbrojonym człowiekiem, który na pierwszy rzut oka
mógłby przełamać go na pół i nawet się przy tym nie spocić.

Oddał swój telefon – i poczuł się dziwnie nagi. Podniósł ręce do góry, kiedy mężczyzna
użył wykrywacza metalu, tak jak to robią na lotniskach. Poddał się też obszukaniu.

Sprawnemu i inwazyjnemu.

W przypadku samochodu strażnik posłużył się innym urządzeniem – w środku, na zewnątrz,
pod spodem.

– Jesteście czyści – zwrócił się do Sebastiena.

– Robi tak z każdym? – zaciekawiał się Silas, kiedy znów wsiedli do auta.

– Trudno powiedzieć. Nigdy nie byłem tu zaproszony na podwieczorek towarzyski. Zapar-
kuj tam, obok garażu. W cieniu.

– To garaż?

– Ma wiele zagranicznych wozów.

Ponieważ garaż był większy niż dom, w którym Silas dorastał, nie należało w to wątpić.

– Opuść szyby, tak o jedną czwartą, dla Bluta. Ty zaczekasz. – Poklepał psa między uszami
i wyjął z kieszeni małą skórzaną kość.

Kiedy wysiedli, wyjął opakowany obraz.

– Idziemy w stronę bocznej części, do tylnego wejścia, dla służby, bo uważa, że się do niej zaliczamy.

Kiedy ruszyli szeroką ścieżką wykładaną złotymi kamieniami, z domu wyszła kobieta. Cała ubrana na czarno. Krucze włosy związała na karku, nie okalając nimi olśniewającej twarzy. Po Silasie przesunęło się spojrzenie czujnych, piwnych oczu.

Niosła tace ze szklankami, małym wiaderkiem lodu i dzbankiem lemoniady, jak można się było domyślić.

– Pan LaPorte przebywa na dziedzińcu – poinformowała. – Zaprowadzę was.

– *Merci*. Mogę zanieść tę tacę.

– Dam sobie radę.

Jej obcy akcent, bardzo nieznacznym, uświadomił Silasowi, że faktycznie mogła być agentką Mossadu. Jedno nie ulegało wątpliwości: rozpaliby każdego mężczyznę.

Sebastien uniósł nieznacznie brwi, co znaczyło, że też tak uważa.

Ścieżka wiodła na ogromny dziedziniec. Otaczały go złote ściany wielkiego domu jakby na kształt litery U. Za nim znajdował się staw z migotliwą niebieską wodą, jeszcze jeden mały domek i spektakularny ogród, a także zagajnik. Silas dostrzegł drzewa obsypane cytrynami, limonkami, pomarańczami.

LaPorte był szczupłym mężczyzną z falującymi złotawymi włosami; oczekiwał na nich przy stoliku z parasolem. Miał na sobie biały garnitur, białe buty i okulary przeciwsłoneczne.

Silas wiedział, że musi opierać się na wrażeniu, zapamiętywać szczegóły. Nie było to jednak łatwe, gdyż drugą osobą przy stoliku była olśniewająca rudowłosa dziewczyna w najbardziej skąpym bikini, jakie kiedykolwiek istniało.

Kostium szmaragdowej barwy ukazywał niemal wszystko z wyjątkiem kilku centymetrów oszłamiającego ciała. Na lewej kostce nogi nosiła bransoletkę z błyszczącymi diamentami; teraz podniosła bursztynowe okulary, by mu się przyjrzeć oczami w takim samym kolorze jak te skąpe skrawki materiału.

– Ma nową – oznajmił szeptem Sebastien. – Poprzednia była brunetką.

LaPorte, poklepawszy rudowłosą po ramieniu, coś do niej mruknął. Nadała się trochę, przyprawiając Silasa niemal o ślinotok.

Po chwili wstała jednak i zarzuciła na siebie kwiecisty, przezroczysty szal. Powiewał malowniczo wokół jej nieskończenie długich nóg, kiedy kroczyła w stronę domu.

„Szkoda”, pomyślał Silas. Ale jej odejście pomogło mu skupić uwagę na LaPorcie.

Chłopak był świadom, że mimo ciemnych okularów kryjących jego oczy gospodarz przygląda mu się uważnie i go taksuje. Zakładał, że ten człowiek wie o nim już tyle, ile zdołał ustalić. Doszedł do wniosku, że najlepsza strategia to mówić mało i uważnie słuchać.

– A więc, Sebastien, przywiołeś tu swego młodego przyjaciela.

Jego głos miał akcent Południa. Bardzo bogatego Południa.

– *Mais oui*, zgodnie z poleceniem.

LaPorte nie wstał ani nie wyciągnął ręki na przywitanie, kiedy gospościa zabierała ze stolika brudne szklanki, wiaderko z lodem i opróżniony do połowy dzbanek, a na ich miejsce stawiała to, co przyniosła na tacy.

Wrzuciła do szklanek kostki lodu; trzaskały cicho, kiedy nalewała lemoniady.

Picot zaczął, aż kobieta się oddali.

– I przywiołem Turnera – dodał.

Jakiś mężczyzna otworzył gospoście drzwi, po czym zbliżył się do stolika.

„Kamerdyner?”, zastanawiał się Silas. Wyglądał na wojskowego – świadczyła o tym postura, sposób, w jaki się poruszał. Bez słowa wziął zapakowany obraz i ruszył przez dziedziniec z powrotem w stronę domu.

– Usiądźcie – poprosił LaPorte. – Napijemy się lemoniady, czekając na potwierdzenie autentyczności płótna.

– *Merci*.

– Nie słyszałem jeszcze o tym nieszczęsnym włamaniu. Choć mój znajomy nie byłby skłonny zgłaszać takiej kradzieży władzom, z pewnością coś bym o tym wiedział.

– Mój młody przyjaciel jest bardzo... skrupulatny – wyjaśnił Sebastien. – Nie zostawia za

sobą żadnych śladów. Myślę, że ten znajomy jak dotąd nie odwiedził jeszcze swojej prywatnej galerii. Będzie zdziwiony, kiedy uczyni to następnym razem.

– Wziąłeś coś jeszcze? – LaPorte utkwiał spojrzenie w Silasie.

– Nie. Wynajęto mnie do Turnera. Wziąłem Turnera.

– Dowiem się, czy to prawda.

– Więc będzie pan wiedział.

– Powiedz mi, jak to zrobiłeś.

– Nie.

Picot położył pod stołem dłoń na jego kolanie i ścisnął je ostrzegawczo. LaPorte zasznurował gniewnie usta, rozsiadając się wygodniej.

– Płacę ci. Odpowiadaj.

– Płaci mi pan za Turnera. Nie płaci mi pan za moje metody. Nie są na sprzedaż.

– Wszystko ma swoją cenę.

„Nie”, pomyślał Silas; i wierzył w to niezachwianie. Nie odezwał się jednak.

– Jesteś młody. Nauczysz się pewnych rzeczy, jeśli będziesz żył dostatecznie długo. Mogłbym skontaktować się z władzami, powiedzieć, że zjawiłeś się tu dzisiaj z Turnerem i próbowałeś mi go sprzedać. Mieliby do ciebie wiele pytań i nigdy by nie uwierzyli, że taki człowiek jak ja brał udział w czymś takim albo był związany z takimi ludźmi jak ty i Picot.

– Mogłby pan. Ale wtedy nie miałby pan Turnera.

LaPorte parsknął śmiechem, który nie miał w sobie ani krzty humoru.

– Och, tak albo i nie.

Na dźwięk komórki gospodarz wziął ze stolika telefon. Słuchał przez chwilę, po czym bez słowa odłożył komórkę na miejsce.

Uśmiechnął się nieznacznie, popijając lemoniadę.

– A gdybym ci powiedział, że obraz, który mi dostarczyłeś, jest falsyfikatem?

– *Monsieur* – odezwał się Sebastien. – Nie to pan usłyszał od tego, kto dzwonił. Droczy się pan z moim młodym przyjacielem.

„Przynęta”, pomyślał Silas, ale trzymał język za zębami.

– Zrób mi tę przyjemność i odpowiedz.

– Odszedłbym. A potem znalazł sposób, żeby znów ukraść obraz. Mogłoby to zająć lata, ale pracowałbym nad tym.

Tamten roześmiał się i tym razem zabrzmiało to szczerze.

– Ma ikrę. Dopilnuję, by dokonano przelewu, tak jak było ustalone. Sebastien, zostaw mnie na chwilę z chłopcem.

– *Monsieur*...

– Tylko chwilę. – Ten głos zmroził powietrze. – Odeślę ci go w stanie nienaruszonym.

– W porządku – powiedział Silas. – Za minutę spotkamy się przy samochodzie.

– Jest pod moją opieką – przypomniał Picot, wstając z miejsca, a następnie, podpierając się laską, ruszył przez dziedziniec i skręcił w stronę ścieżki.

– Ciekawy gość z tego Sebastiena, i inteligentny. Już od jakiegoś czasu czerpiemy obopólne korzyści z naszej znajomości. – LaPorte znowu się napił i powiódł wzrokiem po stawie i ogrodach.

– Ale starzeje się i nie jest już taki sprawny. Dlatego się zwrócił do ciebie. Myślę, że twój przelew będzie opiewał na więcej, niż według mnie chciał wynegocjować. Jaki jest twój udział?

– To sprawa między mną a Sebastienem.

– Oferuję ci większą działkę. To moje pieniądze. Myślę, że osiemdziesiąt procent dla ciebie, dwadzieścia dla niego. Będę potrzebował numeru twojego konta.

– Pan płaci Sebastienowi, on płaci mnie. Tak się umówiliśmy.

– Zmieniam warunki umowy. Ledwie go znasz i sądzę, że oferuję ci dwa razy tyle, na ile się zgodziłeś, a może i więcej.

– Doceniam to, ale pan płaci Sebastienowi, a on płaci mnie. Taka jest umowa.

LaPorte opuścił okulary i spojrzał ponad nimi zimnymi piwnymi oczami.

– Lojalność też można kupić.

– Jeśli tak, to nie jest to lojalność. – Wstał. – Dziękuję za lemoniadę. Proszę się cieszyć swoim Turnerem. Jest naprawdę piękny.

– Pewnego dnia pożałujesz, że nie wzięłaś większej działki! – zawołał za nim.

– Nie wydaję mi się.

Rozumiał teraz strach Sebastiena, kiedy sam poczuł ów dojmujący mróz w żołądku. Przyszło mu do głowy, że fertyczna gosposia albo stoicki kamerdyner czy też sztywny strażnik ze stróżówki – którekolwiek z nich albo wszyscy – mogliby z łatwością rozwalić mu czaszkę, również Sebastienowi, i wrzucić ich ciała do jeziora.

Pies z kulawą nogą by się o tym nie dowiedział.

Przypuszczał, że LaPorte też zdaje sobie z tego sprawę.

Kiedy Silas wsiadał do samochodu i później, kiedy podjeżdżali do stróżówki odebrać swoje telefony, Sebastien nie odzywał się słowem. Czekał do chwili, aż znów się zatrzymają, żeby wypuścić Bluta.

– Czego chciał? – spytał.

– Dać mi większą działkę... obciąć twoją do dwudziestu procent.

Mężczyzna skinął głową, gdy Bluto podniósł swoją krzywą nogę i zaczął sikać niczym koń wyścigowy.

– I co mu powiedziałeś?

Na jego twarzy pojawił się nagle ślad gniewu – gniewu zrodzonego ze strachu.

– Za kogo mnie masz? Zawarliśmy umowę.

Picot pozwolił psu spacerować i węszyć, węszyć i spacerować, sam zaś spoglądał na jezioro.

– Wielu z takich, co zawierali umowy, przystałoby na tę propozycję.

– Więc nie jestem żadnym z nich.

– Nie, *cher*, nie jesteś. Nie był pewnie zadowolony.

– Wiem o tym. Nikt mu się nie sprzeciwia. Chciałem się przez chwilę zgodzić, pomyślałem, że ustalimy to potem między sobą, ale pieprzyć to, Sebastien. Jedyne powody, dla którego chciał, żebym tu przyjechał, to... nie, dwa powody. Po pierwsze, żeby pograć sobie ze mną, a po drugie, żeby cię wyrolować.

– Jesteś nowy, więc go interesujesz. Stanowisz dla niego zagadkę. Może chce się z tobą skontaktować. Bezpośrednio, w sprawie nowej roboty.

– Może ją wezmę, a może nie. Zapłaci tyle, ile ustalono, i w sposób, w jaki ustalono?

– Tak, bo znów pojawi się coś, co będzie chciał mieć. Jesteś bogatym człowiekiem, mój przyjacielu. Ale mimo wszystko wracamy do dzielnicy francuskiej, a ja stawiam ci kolację.

– Najpierw mi coś powiedz. Gdyby było na odwrót i to tobie zaproponowałby nowy układ. Zgodziłbyś się?

Picot spojrział mu prosto w oczy.

– Nie, nie zrobiłbym tego. Nigdy. Przyjaciele to coś cennego. A ja nie mam ich zbyt wielu.

A teraz pouczujmy.

Zaprowadzili psa z powrotem do samochodu; Sebastien westchnął, siadając z przodu.

– A ta kobieta...? Ta rudowłosa? O la la!

Rozdział 9

Przed ukończeniem dziewiętnastu lat Silas mówił czterema językami, opanował też podstawy rosyjskiego. Zniechęcony niewielkimi rozmiarami kampusu w Tulane, skupił się na kursach dostępnych w internecie i gdy się uczył tego, czego się chciał nauczyć, odkrył, że nie daje mu to żadnej frajdy.

Od Sebastiena sporo się dowiedział o systemach elektronicznych, a zwłaszcza o tym, jak je omijać, a od Jacques'a o komputerach i hakowaniu, i to więcej niż podczas jakichkolwiek sformalizowanych zajęć. Czynił przerwy między nocnymi wypadami, narzucał sobie stałe tempo i rozszerzał teren działania, od Nowego Orleanu do Baton Rouge, aż do New Iberia i Lafayette. Zbyt dużo włamów w jednym miejscu groziło zainteresowaniem *po-po*, jak nazywał gliny Sebastien.

W Boże Narodzenie kupił sobie małe drzewko i je przystroił. Powiesił lampki w oknach; wiedział, że najwyższy czas ruszyć dalej.

Część Wigilii spędził w łóżku z Dauphine, ku obopólnej radości.

Kiedy leżeli leniwie nadzy i patrzyli na światełka w oknie sypialni, słuchając imprezowiczów, którzy wciąż bawili się w dzielnicy, ujęła jego dłoń.

– Kiedy wyjeżdżasz? – spytała.

Nie chciał udawać, że nie rozumie.

– Po ostatkach, jak sądzę – odparł. – Mags chce tu wrócić na zapusty. Nie ma się co spieszyć.

Usiadła i odrzuciła włosy do tyłu. Lubił oglądać, jak ich czarna chmura porusza się, a potem nieruchomieje.

– Mój szczodry przyjaciel dał mi to na gwiazdkę. – Postukała się w jeden z rubinowych klipsów w uszach. – Ale nie chce się we mnie zakochać.

– Obiecał, że tego nie zrobi. Kocha cię, a to jest różnica. I jest to coś rzeczywistego.

Nachyliła się i pocałowała go lekko.

– To, co czuję do ciebie, to miłość i zawsze będę ją czuła.

Kiedy się zsunęła z łóżka, Silas usiadł.

– Musisz już iść?

– Nie. Mam jeszcze trochę czasu, zanim pójdę do matczynego baru. Też mógłbyś się tam wybrać, wiesz o tym. Moja matka też cię kocha.

– Zjawię się tam na świątecznym śniadaniu, obiecuję. Później wybieram się na obiad do matki Sebastiena, a ostrzegano mnie, że trwa to pół dnia i większość nocy.

Zastygł w bezruchu, patrząc z żalem, jak się ubiera.

– Dobrze mieć w czasie świąt rodzinę – powiedział. – Czuję się tak, jakbym tu mieszkał na stałe.

– Zawsze będziesz się tak czuł – odparła. – A teraz się ubierz. Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent.

– Jeszcze jeden? Wciąż nie mogę uwierzyć, że kupiłaś mi nowe conversy.

– Te poprzednie prawie się rozpadły. Mógłbyś wydać na siebie od czasu do czasu trochę pieniędzy, *cher*.

– Rozważam to.

– Dokąd pojedziesz?

– Zamierzałem się wybrać do Karoliny Północnej i na uniwersytet, ale chyba pojedę na wschód, do Teksasu. Nigdy tam nie byłem. A tamtejszy uniwersytet jest przeogromny.

– Jak bardzo chcesz jeszcze zmańdrzeć?

– Nauki nigdy za wiele.

– Nauki, którą wpaja ci Sebastien i Jacques?

– Tak. *Et de toi*.

Uśmiechnęła się do niego, kiedy wkładał dzinsy.

– Nie jesteś już taki chudy.

– Będę szczerze tęsknił za tutejszym jedzeniem.

– Wrócisz. Wiem to nawet bez zaglądania w karty. Ale usiądziemy, a ja ci z nich powrózę. Zeszytniał, wciągając na siebie podkoszulek.

– Naprawdę?

– Nigdy mnie nie prosiłeś, żebym to zrobiła.

– Bo jesteś wtedy trochę przerażająca.

– Dziś wieczorem ci powrózę. Gratis, są święta, poza tym to prezent. – Wycelowała w niego palcem. – To niegrzeczne nie przyjąć prezentu.

Wciągnął koszulkę, myśląc, że nie zawsze potrzebowała kart, by w nim czytać jak w księdze.

Znał zasady, usiadł więc, by potasować talię, którą wyjęła z torebki. Przełożył i patrzył, jak rozkłada karty.

– Nie zaskakuje mnie to. – Postukała główną kartę, która go reprezentowała. – Mag, zwany też Kuglarzem. Sprytny i twórczy. Stale szuka nowych okazji. Oznacza to, że nawiązujesz kontakt z duchowymi i materialnymi strefami. Jesteś człowiekiem mocno stąpającym po ziemi, który wie jednak, że istnieje coś więcej. Jest w tobie siła, dlatego poszukujesz wiedzy, dzięki której będziesz mógł użyć tej siły. A tu na twej drodze staje Moc. Widzisz na tej karcie kobietę z lwem – masz tu wiele kobiet.

– Nie mogą mi się oprzeć.

– Wiele mocy, którą masz w sobie – zarówno odwagi, jak i współczucia – pochodzi od kobiet, które cię ukształtowały. Im zawdzięczasz szczęście; będziesz potrzebował tej mocy, jej energii i dobroci, w trakcie swej podróży. Wiesz już, że jest w tobie. Ponad tobą znajduje się Paź Monet. Młodość, ambicja, żądza wiedzy i podróży, która prowadzi do rzeczy doskonalszych. Patrzy przed siebie, widzisz? Zawsze ku temu, co się ma stać. Nie osiędziesz przez jakiś czas w jednym miejscu. A tu, poniżej, Królowa Kielichów, kobieta odznaczająca się dobrocią i szczodrym duchem. Twoja mama, *cher*, a także Mags. One dały ci fundament.

Popatrzyła na niego z uśmiechem w oczach. Z miłością – taką, która pochodzi z prawdziwej przyjaźni.

– Jeśli przyciągasz do siebie kobiety, to nie z powodu ładnej twarzy. Mogłabym spać z tobą właśnie ze względu na twoją ładną twarz, ale bez całej reszty nie kochałabym cię jako *mon cher ami*.

– Odmieniłaś moje życie. Nie chodzi tylko o lekcje francuskiego i seks. Chodzi o przyjaźń. – Ujął jej dłoń. – Mam w Chicago dobrych przyjaciół, ale musiałem stamtąd wyjechać i nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek się z nimi spotkam. A z tobą tak.

– Tak, spotkasz się. Nie pozwolę, by stało się inaczej. Tutaj za tobą jest Wieża. To strata, trauma, żal. Wiemy, co to w twoim przypadku oznacza, i choć masz to już za sobą, to wciąż jest część ciebie. To część mocy, fundamentu, serca. A przed tobą Cesarzowa.

– Wygląda na bogatą. Sypiam z nią czy ją okradam? Zasada stanowi, żeby nie robić tego jednocześnie.

– To szacunek. Ale tu symbolizuje kontrolę, potrzebę kontrolowania twoich działań, a jeszcze bardziej serca. Wciąż nie szukasz miłości – prawdziwej i trwałej. Znowu jest siłą i sprytem. Bogactwem, zarówno pragnieniem, jak i osiągnięciem.

– To mi się podoba.

– I wciąż nie chodzi o rzeczy, których pragniesz, nawet nowej pary butów. To świadomość, że możesz je mieć, a strata, którą przeżyłeś, bardzo wpływa na to, co widzisz i czego potrzebujesz w przyszłości. Chwilowo może chodzić o to, że potrzebujesz tej strażniczki swoich uczuć. Teraz, tutaj, ta karta dotyczy twoich uczuć.

– Tak, nigdy jej nie lubiłem. Śmierć.

– Ile razy mam ci powtarzać, że to nie jest śmierć fizyczna, a w tym układzie, z tymi kartami, to twoje myśli o stracie – o odejściu – i wolności, jaką daje. Zmiana, koniec fazy, początek następnej. Nie, nie osiędziesz w jednym miejscu jeszcze przez jakiś czas, a to, co niebawem nadejdzie, nie będzie jedyną zmianą. Jedynym końcem ani początkiem. Patrzysz w przyszłość. – Znów

postukała w Pazia Monet. – A tutaj masz wpływy i otoczenia. Królowa Mieczy. To ponownie oznacza ostrzeżenie, ale także kobietę, która się pojawi. Taka, którą zranisz. Nastąpi inny rodzaj straty i rozstanie. Zaufanie nie przyjdzie potem łatwo ani też wybaczenie. – Dziewczyna popatrzyła na niego w sposób, który mu przypomniał, dlaczego nigdy jej nie poprosił o powrót z kart. „Przerażająca”, pomyślał znowu. „Przerażająca w każdym calu”.

– Czasem patrzemy przed siebie i nie widzimy tego, co nas czeka i co żąda czegoś, co jest przed nami. Twoja podróż poprowadzi cię naprzód, hen daleko – może po to, byś chronił tę kobietę albo siebie, ale miecze przeszywają serca. Rana może wzmocnić, tak jak ty zostałeś wzmocniony przez swoje rany. I mogą one znieczulić. Uważaj, *mon ami*, żeby cię nie znieczuliły.

– Nie chcę nikogo krzywdzić. Może brzmieć to jak bzdury w ustach złodzieja, ale...

– Nie w twoich ustach. Tutaj mamy twoje życzenia i cele. Znowu Paź Monet... jakiś pieńdz, *oui*? Karta Dziewięć Denarów znowu ukazuje kobietę, zadowoloną. Pragnienie zadowolenia, osiągnięć, spełnień i zdolności do ich osiągnięcia. Bogactwo, owszem – w sensie materialnym i duchowym. Luksusem dla ciebie jest to zadowolenie i bezpieczeństwo. I dochodzimy do ostatniej karty – wyniku.

Zobaczył Kochanków i uśmiechnął się do niej lubieżnie.

– To nie seks. – Pogroziła mu palcem. – Albo nie tylko. To może być miłość – prawdziwa miłość – i jedność – odznaczająca się głębokim uczuciem. Ale symbolizuje też lojalność i zrozumienie, wybór, by nimi obdarzać, przewyciężyć coś straconego i przyjąć w pełni to, co znalezione. Myślę, *cher*, że Królowa Mieczy może do ciebie wrócić albo ty do niej, a wtedy wybór będzie należał do was obojga. Masz to, czego potrzebujesz – co zostało ci dane przez silne, kochające kobiety. Szukasz podczas podróży tego, czego potrzebujesz, patrząc przed siebie, początek i koniec, koniec i początek. I jeśli wykorzystasz wszystko, co masz, wszystko, czym jesteś, na koniec będziesz miał to, czego najbardziej pragniesz.

Przyglądał się przez chwilę kartom, potem spojrzał na Dauphine.

– Nie było to szczególnie przerażające. Właściwie był to całkiem niezwykły prezent. Dzięki.

– Jest coś jeszcze.

Zebrała karty, potasowała i znów rozłożyła. Widział już, jak to robi. Wiedział, że wybierze jedną i doda do wróżb. Coś w rodzaju zwiędzenia.

Wybrał jedną i pokazał jej.

Wyraz twarzy Dauphine znowu go przeraził.

– Jezu, co to za karta? – odwrócił ją. – Okej, Diabeł. Nic dobrego.

– To wróg. Wybierasz sobie przyjaciół i swoje kochanki. Ale ciebie wybiera wróg. Jest bezlitosny i okrutny. Pełen chciwości. Jeśli będzie cię kusił, odwróć się. Nie pozwól, by cię wybrał, w przeciwnym razie pozostawi ci blizny. Zabierze wszystko, czym jesteś, i wszystko, co możesz mieć, więc odwróć się od niego.

– Nie widzę problemu.

– Obiecuj mi. – Chwyciła go za rękę, ścisnęła mocno. – Obiecuj.

– Obiecuję. Absolutnie. Żadnych konszachtów z diabłem.

Wzięła ostrożnie kartę i włożyła ją z powrotem do talii.

– Niektórzy go nie rozpoznają, dopóki nie zawrą układu. Miej oczy otwarte, *mon ami*.

*

Kiedy Mags przyjechała na Mardi Gras, zdążył już niemal spakować wszystkie swoje rzeczy.

Nie było ich przesadnie dużo. Przyszło mu do głowy, że nie gromadził ich dlatego, że byłoby ich za wiele, gdyby się musiał przenieść w inne miejsce.

Mags ufarbowała włosy na wściekły fiolet; były w doskonałym stanie, z kosmykami opadającymi na czoło. Powinna właściwie wydawać się dziwaczką, tymczasem prezentowała się zachwycająco.

Jej żelazny uścisk przywoływał wspomnienie domu rodzinnego.

– Przestałeś chyba w końcu rosnąć – rzuciła wesoło. – Sto osiemdziesiąt osiem centymetrów?

– I kilka milimetrów. – Westchnął. – Tak, myślę, że osiągnąłem już szczyt.

– I jeszcze to. – Ścisnęła mu żartobliwie bicepsy. – Dojrzewasz, dziecinko. Co ważniejsze, widzę tu więcej szczęścia. – Postukała palcem w jego policzek.

– Uszczęśliwia mnie twój widok.

Znowu został uściskany. Następnie wskazała głową torbę podróżną w kacie.

– Naprawdę wyjeżdżasz?

– Za dwa tygodnie wybieram się na uniwersytet w Teksasie, A&M. Niejaki Lee Harrington z Florydy przenosi się, by być bliżej rodziców, bo jego ojciec jest chory. Mogę poradzić sobie z czesnym, więc dlaczego by nie spróbować?

– Wszystko już zaplanowałeś.

– Tak, wszystko ustalone. Dobrze mi było w Nowym Orleanie, ale korci mnie diabelnie zobaczyć, co się wydarzy w następnej kolejności.

– Masz się gdzie zatrzymać? – zatroskała się, kiedy wnosił jej bagaże do sypialni.

– Sprawdziłem mieszkania w internecie. Akademik odpada, ale mogę znaleźć coś niedaleko kampusu.

– Zboczyłam nieco z drogi, żeby mu się przyjrzeć. Połknie cię w całości.

– Taki jest właśnie plan. Jeśli płynie się ostrożnie, nie wzbija się fal. Może się przespacerujemy przed spotkaniem z Dauphine i Sebastienem?

– Jestem za. Nie mogę się już doczekać, kiedy poznam tego twojego przyjaciela.

*

Owszem, spodziewał się, że Mags i Sebastien przypadną sobie do gustu. Ale nie spodziewał się, że tak bardzo. Nie miał pojęcia, jak traktować to, że jego ciotka i mężczyzna, którego przyszło mu traktować jak ojca, będą flirtować w jego obecności na całego.

A pies – bo oczywiście Sebastien zabrał ze sobą Bluta – siedział i patrzył na Mags pełnym uwielbienia wzrokiem.

Nie interesował się nawet swoją kością.

Silas usiłował ignorować to wszystko, kiedy tłum uliczny coraz bardziej gęstniał, atmosfera się rozluźniała, muzyka rozbrzmiewała. Chwytał koraliki, tak jak kiedyś złapał piłkę na stadionie Wrigley. Upił łyk daiquiri, które Dauphine wzięła na wynos – nie przepadał za tym drinkiem – i wrócił do coli.

Zauważył, że bycie trzeźwym w tłumie ludzi wstawionych albo pijanych w sztok to osobliwe doświadczenie. Towarzyszyło jego drugiemu tłustemu wtorkowi w Nowym Orleanie i zapewne ostatniemu jako stałego mieszkańca, chciał więc je przeżywać w pełni.

Nie przejmował się, kiedy Mags i Sebastien zaczęli tańczyć. Mnóstwo ludzi tańczyło – w pojedynkę bądź grupami, w każdy możliwy sposób. Przytupywali, skakali i potrząsali ramionami i biodrami.

Niedługo potem radosne, podlane winem boogie przeistoczyło się nieomylnie w szal ciał. Ludzie lubieżnie ocierali się o siebie, a ich rozkołysane dłonie – Boże! – muskały się wzajem. Co gorsza, naprawdę świetnie im to wychodziło. Rytmicznie, zmysłowo, płynnie.

– Moje oczy. To mnie pali w oczy – wyznał Silas.

– Lepiej je zamknij, *doudou* – poradziła mu Dauphine. – Bo wygląda na to, że dopiero zaczynają.

Nie myliła się. Wiedział, że oboje świetnie tańczą. Dorastał z Mags i bywał na sobotnich potańcówkach u matki Sebastiena.

Jednak widok tych dwojga, tańczących razem, zmieniał postać rzeczy. Co gorsza, przyciągnęli niewielki tłumek widzów, którzy wznosili aprobujące okrzyki, przytupywali i klaskali w rytm muzyki.

Żenujące.

Wreszcie przeszli do finiszu, kończąc taniec objęci niczym papużki nierozłączki, zwarci ustami w szczerym pocałunku; widzowie gwizdali i wiwatowali jak szaleni. Kiedy przyłączyła się do nich Dauphine, Silas doznał wrażenia, iż jest jak ten samotny rozbitek na skalistej wyspie zszokowania.

I gdy Sebastien wyszeptał coś do ucha Mags, ta parsknęła głośnym szalonym śmiechem. I uszczypnęła go w tyłek.

I nagle oboje przepadli gdzieś bez śladu. Był to jego błąd, jak musiał przyznać, albowiem odwrócił wzrok, by nie pały go oczy, kiedy znów zaczęli się całować.

– Dokąd poszli? – zaniepokoił się w panice. Przesuwał wzrokiem po ruchliwej ścianie ludzi.

– Dokąd poszli?

Dauphine wzruszyła ramionami.

– Dokądkolwiek chcesz. Nie martw się, *cher*. Jest z Sebastienem.

– Właśnie dlatego się martwię.

Śmiejąc się, objęła go w pól.

– Uważasz, że kobieta tak pełna życia i namiętności jak Mags nie uprawia seksu?

– Nie myślę o tym. Nie muszę, bo mieszka daleko na zachodzie i nie robi tego na moich oczach. A tu owszem, z Sebastienem.

– Wolałbyś, żeby migdałła się kimś, kogo nie znasz, czy z kimś, kogo znasz?

– Podstępne pytanie. – Jego wzrost dawał mu niejaką korzyść, kiedy spoglądał ponad ruchliwymi falami ludzkiego morza. – Czy nie powinienem od razu dostrzec tych włosów? To naelektryzowany fiolet.

– Chodź, kupię wino na wynos, dla ciebie i dla mnie. Zapomnij o zmartwieniach, *cher*. Sebastien dostarczy ją do domu całą i zdrową.

Najwidoczniej „do domu” oznaczało trzecią siedemnaście nad ranem. Silas wiedział, która jest dokładnie godzina; słyszał, jak Mags chichocze – Jezu, chichocze! – pod drzwiami mieszkania, a Sebastien wtóruje jej gardłowym śmiechem.

Przez następne kilka minut nie słyszał już niczego ani nie starał się wyobrazić sobie, co się w tej ciszy dzieje.

Odprowadził Dauphine do domu około drugiej, po czym udał się na łowy wśród imprezowiczów, aż wreszcie dał sobie spokój i ruszył z powrotem do siebie.

Później siedział albo polegiwał na kanapie w spodenkach od dresu.

W końcu Mags wśliznęła się do mieszkania i zamknęła drzwi. Potrząsnęła niesforną grzywą włosów.

I zauważyła go.

Uśmiechnąwszy się, otworzyła szeroko oczy.

– Oho, czyżbym przegapiła godzinę policyjną?

– Zabawne. Martwiłem się. Nie odbierałaś telefonu.

– Pewnie dlatego, że ładowałam go w sypialni.

Poszła do kuchni i nalała sobie dużą szklankę wody. Wróciła z nią i usiadła naprzeciw niego. Napiła się.

– Dokąd się wybraliście? – spytał.

– Och, to tu, to tam – odparła niedbale. – Opuściliśmy na chwilę tłum, poszliśmy do baru na drinka, słuchaliśmy muzyki, zafundowaliśmy sobie tartę limonkową.

– Wiesz, że Sebastien ma trzy – słownie trzy – byłe żony.

Przyglądała się siostrzeńcowi nad brzegiem szklanki, upijając znowu wodę.

– I każda z nich obdarzyła go piękną córką. Martwisz się, że zechce zrobić ze mnie numer cztery czy że ja zechcę zrobić z niego drugiego eksmęża?

– Po prostu... chodzi mi o to, żebyś wiedziała, jak jest.

– Dziecinko, wiem, jak jest, i to od dawna, zanim się jeszcze urodziłeś. Uważasz, że jestem za stara, żeby uprawiać seks z bardzo interesującym człowiekiem?

– Nie.

Niezupełnie w każdym razie.

– To dobrze. Idę do łóżka – co za noc! Sebastien przyjedzie po mnie jutro około południa. Zamierza przygotować mi lunch w swoim domu i zabrać na przejażdżkę pirogą.

– Tam są aligatory. Prawdziwe aligatory.

– Nie mogę się doczekać zobaczenia któregoś z nich. Dobranoc. – Weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

*

Ostatnie dni w Nowym Orleanie jawiły mu się jako naprawdę dziwne. Najwyraźniej jego

ciotka i przyjaciel byli – według słów zapożyczonych od matki – zauroczeni sobą.

Wydawało mu się to bardziej niewinnym słowem niż określenie „napaleni na siebie”.

Nie mógł z czystym sumieniem twierdzić, że Mags nie spędzała z nim czasu. Każdego ranka jedli razem śniadanie. Spacerowali, włóczyli się. A ponieważ miał niebawem pojechać do college’u, nalegała, by sprawił sobie trochę nowych ubrań. Co oznaczało zakupy.

Choć koncentrował się głównie na dzinsach i podkoszulkach, uległ jej namowom na dwie koszule frakowe; uważał je za takowe, gdyż miały kołnierz i rękawy. Zaczął jednak stawać okoniem, kiedy mu podała skórzaną kurtkę.

– Nie potrzebuję...

– Nie ma mowy. Przymierz to.

Nie chcąc marnować czasu na dyskusje, włożył na siebie kurtkę. Okej, wydawała się super, ale i tak jej nie potrzebował.

– Tak, właśnie o tym mówię. – Ujęła go za ramiona i obróciła w stronę lustra. – Ekstra i sexy.

„Może. Owszem”.

Czarna, z klasycznym kołnierzykiem i skośnymi kieszeniami, sięgała mu do bioder. I rękawy – stanowiące często problem, bo miał długie ręce – leżały jak ulał.

– Wyglądasz cholernie dobrze, dziecinko, i doskonale o tym wiesz.

– Tak, całkiem nieźle.

Nie spodziewał się tego ani że będzie czuł się w niej dobrze. I wtedy spojrzał na metkę z ceną.

– Jezu! – jęknął.

– Dostajesz to, za co płacisz, a to jest cholernie dobra skóra – wyjaśniła Mags. – Miła i ekskluzywna. Będziesz ją nosił przez lata. Kupię ci ją.

– Nie. – Sama ta myśl sprawiła, że odwrócił się do niej gwałtownie. – Nie ma mowy. Posłuchaj, mam pieniądze.

– Wiem o tym, ale nie o to chodzi. Kupuję ci twoją pierwszą kurtkę skórzaną. – Ujęła jego twarz w dłonie. – I nie pozwól, by była ostatnią, jaką powieszisz w swojej garderobie. – Cofnęła się. – Jestem z ciebie dumna.

– Och, Mags.

– Jestem z ciebie dumna – powtórzyła. – I to dobrze, bo jesteś tym, co mam. A teraz kupisz sobie parę przyzwoitych pasków – czarny i brązowy.

– Mój jest w porządku.

Nie chciała nawet słuchać.

Tak jak nie chciała słuchać, kiedy go zmusiła do wybrania sobie kilku cienkich swetrów i pary wysokich butów z czarnej skóry.

Ani kiedy rozpakowała jego torbę podróżną, wyrzuciła z niej kilka sztuk odzieży na stos, który nazwała „stertą”, a potem starannie spakowała jego nowe rzeczy.

– No. – Złączyła dłonie. – Obowiązek spełniony. A teraz zabawmy się i uczcijmy twój ostatni wieczór w Nowym Orleanie.

– Nie powiedziałem, że jutro wyjeżdżam.

– Kto cię zna lepiej ode mnie? Myślamy jesteś już daleko. Twoje serce potrzebuje tej ostatniej nocy.

Pożegnał się z ludźmi, którzy się dla niego liczyli. Dauphine – podczas niespiesznej, słodkiej godziny w jej mieszkaniu w trakcie popołudnia, które Mags spędziła z Sebastienem. Z Jacques’em, z Mamą Lou, Małą Lou i wszystkimi, z którymi był w bliższych relacjach.

Tego wieczoru pożegnał się też z Sebastienem.

– Tak się zastanawiałam, czy nie zabrać się stąd jutro, jak już wyjedziesz. Ruszyć za tobą na zachód. – Mags wyjęła szminkę i z wprawą, której nigdy nie pojmował, umalowała się perfekcyjnie bez lusterka. – Ale zostanę. Jeszcze jakiś czas.

– Och. Przyszło mi do głowy... mogę powiedzieć właścicielce mieszkania...

– Nie potrzebuję lokum, dziecinko.

– Ale... och, naprawdę? Zamierzasz zatrzymać się u Sebastiena?

– Przez kilka dni. Chcę się potem chwalić, że mieszkałam na luizjańskich mokradłach. –

Podeszła do niego i wzięła go pod rękę. – Czas na zabawę. Już za tobą tęsknię, więc zabawmy się na całego.

Kiedy myślał o tym ostatnim wieczorze, przesuwiał się w jego wyobraźni jako korowód ruchu, barw i dźwięków; widział Mags i jej fioletowe włosy, słyszał jej szalony śmiech, widział Sebastiena tańczącego zydeco i Bluta, który zawodził w takt muris. Oraz Dauphine w czerwonej sukience.

Nowy Orlean wiele go nauczył. I przygarnął go, kiedy tego potrzebował, otwierał dlań nowe światy, oferował mu przyjaźnie.

Wiedział, że będzie za nim tęsknił, za jego leniwym, wilgotnym żarem, za jego niespiesznymi głosami, bezustannym rytmem muzyki i ludźmi, którzy przyjęli go jak swego.

Postanowił, że znajdzie powrotną drogę do tego miasta. Był o tym absolutnie przekonany.

Teraz jednak, kiedy wyruszał na zachód, nie chciał oglądać się za siebie.

Spoglądał w przyszłość.

*

Teksas nie przemawiał do niego tak jak Nowy Orlean, ale uniwersytet – i owszem. Bez reszty go pochłonał, tak jak tego pragnął. I uczył się. Robił wszystko, by się nie wyróżniać, starannie dobierał niewielu przyjaciół. Umawiał się z kilkoma kobietami, którym nie zależało na poważnym związku bardziej niż jemu.

Rozszerzał nocną działalność, wzbogacając swoje konto – i kupił jeszcze jedną skórzaną kurtkę.

Nie wrócił do Nowego Orleanu na Mardi Gras. Jego serce nie było na to jeszcze gotowe. Ale umówił się z Mags podczas wiosennych ferii i zarezerwował apartament hotelowy przy plaży w San Diego.

W drugim semestrze zamienił małe mieszkanie na lokum z dwiema sypialniami, w drugiej urządził coś w rodzaju gabinetu do pracy.

Nauczył się podstaw księgowości, gdyż musiał zarządzać swoimi pieniędzmi, i zapisał się na kurs dramaturgii, ponieważ wydało mu się to interesujące.

Ukończył go i przekonał się – wbrew jednemu z marzeń matki – że tak naprawdę nie potrafi pisać. Albo że nie potrafi usiedzieć dostatecznie długo, by to robić.

Kiedy już zrozumiał, że czas ruszyć dalej, sfalszował wypis ocen i stosowne dokumenty uprawniające do przejścia na inną uczelnię, posługując się nazwiskiem Bootha Harrisona.

Nie oglądał się za siebie, opuszczając Teksas, i nie spieszyło mu się do powrotu. Miał całe lato na osiedlenie się gdzieś, wyznaczenie sobie terenu, może nawet wynajęcie jakiegoś małego domku. Mógł sobie na to pozwolić; zmęczyło go już życie w niewielkich mieszkaniach.

Pragnął podwórka, trawnika, który mógłby kosić. Przestrzeni.

Wreszcie miał czas – doszedł do wniosku, że jest gotów zobaczyć, co ma mu do zaoferowania Karolina.

Rozdział 10

Zaskoczyło go to tak jak przedtem – obrazy, dźwięki, widok Chapel Hill. Doznał wobec tego wszystkiego uczucia swojskości, całkiem jak w przypadku Nowego Orleanu. I choć nie mógł sobie pozwolić ze względu na budżet – pieniądze i czas – na wynajęcie domu nad jeziorem, znalazł to, czego szukał.

Lokum przypominało mu nieco dom, w którym dorastał. Musiał je wprawdzie umeblować, ale od czego są pchle targi. Nie pragnął niczego wyrafinowanego ani stałego, raczej nadającego się do życia.

Miał tu wreszcie podwórze oraz trochę drzew i krzewów.

Zaopatrzył się w kosiarkę, zanim kupił łóżko.

Chadzał na kampus piechotą, jeśli tylko chciał się przejść na czterokilometrowy spacer – i rzeczywiście czasem szedł. Ale kupił też rower.

Jego sąsiedzi po prawej stronie, małżeństwo po trzydziestce, mieli dziecko w wieku czterech lat, drugie w drodze. Po lewej mieszkało małżeństwo po sześćdziesiątce, mieli dwoje dorosłych dzieci i dwoje wnuków, a także golden retrievera o imieniu Mac.

Postawił sobie za punkt honoru okazywać wszystkim sympatię, regularnie strzyc trawnik i nie słuchać muzyki za głośno.

Tutaj był Boothem Harrisonem, urodził się w Chicago; doszedł do wniosku, że to dość bezpieczne. Student czwartego roku na uniwersytecie stanowym Karoliny, główny kierunek: literatura, kierunki pomocnicze: teatr i języki romańskie.

Wplótł w to na tyle dużo prawdy, by rzecz wydawała się prosta. Stracił matkę, miał ciotkę mieszkającą na zachodzie i zamieszkiwał w spokojnej okolicy, bo chciał skupić się na nauce.

Lubił gotować i jako kucharz nawiązał bliskie relacje z panią Opal, babcią mieszkającą po sąsiedzku; wymieniali się przepisami kulinarnymi.

Pomógł Jacksonowi, sąsiadowi po drugiej stronie, zainstalować na tylnym ganku siatkę przeciw owadom. Facet zdał właśnie egzamin adwokacki, ale nie odróżniał młotka od śrubokręta.

Nim zaczęły się zajęcia, wchłonął w pełni swą nową tożsamość. Posługując się własnymi narzędziami, skonstruował w niewykończonyj piwnicy sejf na broń. Tam też, naprzeciw starego pieca, za solidnymi drzwiami z przyzwoitym zamkiem szyfrowym, trzymał sprzęt potrzebny do nocnej roboty i łupy.

Znalazł latem wiele okazji do pracy – poza granicami swej dzielnicy, ma się rozumieć – dzięki czemu chesne nie uszczuplało zbytnio jego zasobów.

Pierwszego dnia, w pewien ciepły wietrzny poranek, wybrał się na uczelnię rowerem. Poczł się natychmiast jak u siebie, gdy założył łańcuch blokujący na koło wehikułu i wtopił się w tłum studentów.

Przeszło mu przez głowę, że gdyby nie był złodziejem, z chęcią wcieliłby się w rolę studenta. Może nawet nauczyciela – choć nauczanie wydawało się o wiele cięższą pracą aniżeli studiowanie.

Pierwsze zajęcia ze sztuki teatralnej nadzwyczaj mu się spodobały; gratulował sobie wyboru. Wiedział, że wchłonie więcej, niżli zdołał się nauczyć w Teksasie i Nowym Orleanie o makijażu i kostiumach, a technika monologu i odgrywania scenek tylko udoskonali umiejętności potrzebne mu do stania się kimś, kim pragnął być.

Zorientował się prędko, że odznaczająca się surowym wejrzeniem pani profesor od francuskiego to synonim twardości i nieprzejednania. Podczas ćwiczeń nie wolno im było słowa wypowiedzieć po angielsku. Lektury i eseje – *en français*. Na samym początku kazała przeczytać *Le Salon*, wiersz o mydle autorstwa Ponge'a – nieżyjącego już poety francuskiego – i napisać pracę analizującą ten utwór wers za wersem.

Nie ekscytowała go szczególnie perspektywa rozbioru wiersza o mydle, ale liczył się język.

Miał dość czasu między zajęciami na zjedzenie kawałka pizzy i napicie się coli; swój pierwszy studencki lunch zjadł na ławce, obserwując życie na kampusie.

Unikał zawierania głębszych przyjaźni i jak zwykle zamierzał ograniczyć imprezowanie do minimum. Trochę zabawy, trochę randek – w przeciwnym razie człowiek wyróżniałby się wśród stada.

A przecież chodziło o wtopienie się w tłum.

Pod wpływem nagłego impulsu zapisał się do Klubu Szekspirowskiego, ponieważ wydało mu się to interesujące, a poza tym zajęcia prowadził jego drugi profesor. Dwie godziny, jeden wieczór w tygodniu. „Może być”, pomyślał.

W ten sposób, jak na ćwiczeniach z teatru, przyciągnął do siebie dwa małe kręgi znajomych. Ludzi, z którymi mógł wyskoczyć na lunch albo napić się piwa.

Wszedł do klasy – raczej auli w porównaniu z salką, gdzie odbywały się zajęcia z francuskiego. Wybrał miejsce, nie z przodu, nie z tyłu, nie dokładnie pośrodku, ale blisko środka.

Kiedy zaczęli się pojawiać inni słuchacze, wyjął tablet, mały magnetofon i notatnik. Zawsze zabezpieczał się ze wszystkich stron.

Podobał mu się cichy gwar studentów, którzy rozmawiali albo po prostu zajmowali miejsca, zapach kawy latte na wynos, czyjejs gумы do żucia – zdecydowanie wiśniowej.

Usiadł przy nim jakiś facet z gęstwiną kasztanowych włosów, które opadały mu na czoło i okulary w rogowych oprawkach.

– Widziałem cię dziś rano na zajęciach u profesor Jones, zgadza się? – zaczął niepewnie. – Jestem R.J. Doyle.

– Jak się masz? Jestem Booth Harrison.

– W porządku, brachu.

Sposób, w jaki wymówił „brachu”, dowodził tego, że gość jest pasjonatem w jakiejś dziedzinie, a do tego indywidualistą. Booth lubił takich osobników. Akcent wskazywał na tutejsze pochodzenie – ale prawdopodobnie z dalszych rejonów wybrzeża Karoliny Północnej.

– Specjalizujesz się w literaturze? – spytał Booth.

– Nie. Teatr, ale jeśli chcesz się zajmować Szekspirem, a ja chcę, to twoim szefem będzie profesor Emerson. No, ale o tym chyba już wiesz, skoro twoim głównym przedmiotem jest literatura.

– Przeniosłem się z A&M w Teksasie. To mój pierwszy dzień.

Jego rozmówca potrząsnął czupryną i poprawił okulary.

– Nie gadaj. Wielki skok, co? I to na ostatnim roku?

– Chyba tak. Dojrzałem do zmiany miejsca. Bolesne rozstanie z dziewczyną. Chciałem spróbować czegoś nowego. Na razie mi się tu podoba.

– Trafiłeś we właściwe miejsce, brachu. – R.J. podniósł dłoń i pomachał do kogoś. – Hejka!

Booth stłumił uśmiech.

Poprawka: totalny pasjonat i indywidualista.

Gość, który się do nich zbliżył, miał skórę koloru latte, oczy jak dwa pieczone kasztany i głowę pełną dredów.

Booth pomyślał, że z tymi wydatnymi kośćmi policzkowymi, pełnymi ustami i łukowatymi brwiami facet nadaje się na okładkę jakiegoś magazynu. Zwrócił na niego uwagę podczas pierwszych zajęć właśnie z powodu tej twarzy.

– Zed Warren – przedstawił ich R.J. – A to Booth Harrison, właśnie przeniósł się z innego uniwerku, przedmiot kierunkowy literatura.

– No to witamy. Skąd przybywasz?

– Przeniosłem się z A&M w Teksasie.

– Nie masz teksaskiego akcentu.

– Pochodzę z Chicago.

„A Zed”, pomyślał Booth, „gdzieś ze środkowego wybrzeża Atlantyku. Może Maryland albo Wirginia Północna. Albo Waszyngton”.

– Mam tam kuzynów, cholernie mroźne zimy. Komu kibicujesz? Cubsom? Socksom?

– Cubsom.

– Trzymaj się z dala od moich kuzynów, jak już tam wrócisz. Wdepczą cię w ziemię. Fani

Socksów.

– Wyznaję zasadę „żyj i pozwól żyć innym”.

– Wierz mi, jeśli chodzi o bejsbol, oni takiej zasady nie wyznają. – Wyjął notebooka i go włączył. – Gotowi?

– Na maksa – oznajmił R.J. i wyszczerzył zęby; jego indywidualizm wydał się wręcz nieodparty.

Do sali wszedł profesor, usadowił się za katedrą i zaczął przerzucać jakieś notatki.

Booth z miejsca doszedł do wniosku, że gdyby miał kiedykolwiek udawać profesora wyższej uczelni, to wzorowałby się właśnie na Bennecie Emersonie.

Mnóstwo gęstych włosów – kasztanowych jak oczy Zeda, ale ze znaczną domieszką siwizny na skroniach. Idealna kozia bródka, nie za długa, starannie przycięta, też ze śladami siwizny. Miękkie zielone oczy za szklami okularów w drucianych oprawkach.

Nosił brązową marynarkę, do tego biały podkoszulek i dżinsy.

Booth odnotował niezbędne szczegóły, po czym zaczął ostrożnie wodzić wzrokiem po sali – niemal pełnej – kiedy pojawiło się kilkoro spóźnialskich.

Wtedy ją zobaczył.

Przez całe życie obracał w głowie tę jedną jedyną chwilę – kiedy weszła do sali, to jakby wkroczyła wprost w niego i pozbawiła go tchu.

Była piękna, ale nie oszałamiająco czy ponętnie jak Dauphine ani nawet nie perfekcyjnie jak dziewczyny, z którymi umawiał się w Teksasie. Wysoka, acz nie przesadnie, około stu siedemdziesięciu centymetrów, jak ocenił, i szczupła niczym trzcinka w tych swoich czarnych opinających legginsach i okrywającej luźno biodra, niebiesko-białej koszuli.

Zebrałe z tyłu włosy miały kolor, który Tycjana uczynił sławnym – złotej czerwieni; mógł ją stworzyć tylko prawdziwy mistrz. Skóra odznaczała się odcieniem mleka i różanych płatków. Nie był pewien barwy jej oczu, ponieważ usiadła blisko przejścia i nachyliła się do innej dziewczyny, która najwidoczniej zarezerwowała jej miejsce.

Wiedział jednak – kiedy uśmiechnęła się do swej towarzyszki – że ma szerokie usta o idealnym kształcie.

– Dzień dobry – zaczął profesor. – Witam w świecie Szekspira.

Booth usłyszał jego głos – miał przyjemny baryton, który daleko się niósł i wskazywał na miejscowe pochodzenie – ale musiał oderwać wzrok od dziewczyny, gdyż zadzwoniło mu w uszach.

Włączył magnetofon i skoncentrował uwagę na słowach profesora Emersona przedstawiającego ogólne założenia kursu.

Żałował, że nie przyniósł ze sobą butelki coli czy czegośkolwiek do picia, usta i gardło miał suche niczym wiór. Serce wciąż tłukło mu o zębra.

„Szaleństwo”, rzekł sobie, „po prostu szaleństwo”. Nigdy jeszcze nie zareagował w taki sposób na widok kobiety. Żadnej. Zainteresowanie, sympatia, miłe ukłucie pożądania, owszem, ale nic – i nigdy – co przyprawiłoby go o wewnętrzne drżenie.

Nakazał sobie trzymać się z dala od tej rudowłosej. Nie zbliżać się do niej, nie mogło z tego wyniknąć nic dobrego.

Nachylił się do niego J.R. i szepnął:

– Zauważyłem, jak się gapisz, brachu. Miranda Emerson, córka profesora.

Booth wydał z siebie jakiś nieokreślony dźwięk i przystąpił do sporządzania notatek, których później nie mógł rozszyfrować.

„Będę się trzymał z daleka”, przyrzekł sobie w duchu. „Angażowanie się w związek z córką profesora to nie najlepszy sposób na wmieszanie się w tłum”.

Wyobraził sobie, jak chowa jej obraz do pudełka, a potem przykrywa je wiekiem. Pomogło mu na tyle, że zdołał się skupić, a nawet robić czytelne notatki.

Po zajęciach, ostatnich tego dnia, poszedł z R.J. i Zedem na nachosy i piwo. Pomyślał, że hałas, zapachy i towarzystwo pomogą mu wymazać jej wizerunek z umysłu.

Poza tym nachosy wydawały się w sam raz.

– Któryś z was coś wie o Klubie Szekspira? – zagaił Booth.

R.J. wskazał w pierw kciukiem swoją pierś, a potem skierował go w stronę Zeda.

– Weterani – odparł. – Zagłębiaamy się w jakiejś sztuce, a profesor pozwala na swobodną dyskusję, kapujesz? Raz w miesiącu organizuje spotkania w swoim domu, z pizzą i mnóstwem innego żarcia. To jest najlepsze.

– Wchodzisz w to? – spytał Zed.

– Zapisalem się. Nie wiem tylko, czy mając na głowie tyle nauki, znajdę czas.

– No to znajdź. – Zed nabrał sobie jeszcze więcej sera i guacamole. – Łączy się z kursem, ale jest mniej formalne, bardziej swobodne. Co zamierzasz zrobić z kierunkiem pomocniczym? Teatrem?

– Podchodzę do tego jak do zabawy. Podoba mi się, a inne zajęcia to kawał ciężkiej roboty. *À propos*, muszę właśnie usiąść do nauki.

– Mamy metę na kampusie. Niedługo urządzamy imprezę. – R.J. podniósł puszkę piwa w geście toastu.

– Byłoby fajnie. Na razie.

„Cholernie dobry pierwszy dzień”, pomyślał, wychodząc z knajpy. Zajęcia podobały mu się jak dotąd – wstrzymał się od wyrażenia sądu o ćwiczeniach z literatury francuskiej – poznał dwóch chłopaków i przyszło mu do głowy, że miło byłoby się zabawić z nimi od czasu do czasu.

Kampus był idealny, pogoda niewiarygodna, a on wśliznął się w uczelniany rytm zgodnie z oczekiwaniami.

Niedługo potem znowu ją zobaczył. Jakie było cholerne prawdopodobieństwo, że ją spotka na kampusie o takich rozmiarach? Ale stała oto przy jednej z fontann w niewielkiej grupce – trzy dziewczyny i dwóch chłopaków.

Nosiła okulary przeciwsłoneczne, więc wciąż nie mógł określić koloru jej oczu. Wiedział jednak, po prostu to wiedział, że są niesamowite.

Klął się w duchu, że nie ominął tej grupy – i jej przy okazji – szerokim łukiem. Tymczasem przeszedł tuż obok, niemal tak blisko, by usłyszeć barwę jej głosu.

Brzmiał ciepło i płynnie, jak letni deszcz. I jeszcze ten śmiech, nieco gardłowy.

– Nie wierzę, by ktokolwiek mógł to zrobić – przekonywała.

Teraz jej głos, jej śmiech odcisnęły się w jego pamięci tak samo trwale jak twarz. I to w chwili, kiedy już zaczął tłumić to w sobie.

Szedł przed siebie, jak gdyby nigdy nic po prostu szedł. A ponieważ zgubił drogę, musiał zawrócić i odszukać swój rower.

Jazdę do domu potraktował jak sposób na ponowne wymazanie jej obrazu z mózgu. W gruncie rzeczy zastanawiał się, czyby nie poprosić Sebastiena o przesłanie mu jakiegoś amuletu odpędzającego czar. Bo to, czego w tej chwili doświadczał, było jakimś przeklętym czarem.

Nawet jej przeciwieństwo nie znał. Mogła być suką w każdym calu, totalną snobistyczną suką bez sumienia. Postanowił tak właśnie przedstawiać ją sobie, żeby odegnać ten czar.

Miranda Emerson. Był pewien, że tata nadał jej imię postaci z *Burzy* Szekspira – pasowałyby. Ale zamiast odznaczać się niewinnością, słodkim usposobieniem i naiwnością, okazała się najprawdopodobniej osobą zimną, okrutną i wyniosłą.

Zanim dotarł do domu, niemal to sobie wmówił. Pani Opal i papa Pete, jak na ich prośbę miał się do nich zwracać, siedzieli na swoim małym frontowym ganku, popijając słodką herbatę, jak przypuszczają.

Pomyślał, że wyglądają, jakby grali scenę w jakimś filmie. Dobrą, ujmującą, acz bez przesadnej sentymentalności.

Mac, dostrzegłszy go, przybiegł w te pędy. Booth pochylił się nad psem, żeby się z nim chwilę pomocować, i pomyślał o Blucie.

– Jesteś prawdziwym psem... – mruknął. – Nie jakimś cholernym małym zmutowanym dziwolągiem.

– Jak tam pierwszy dzień na uczelni?! – zawołała pani Opal.

– Dobrze! – odkrzyknął. – Naprawdę udany.

– Chodź tu do nas i opowiedz nam o tym, a przy okazji napijesz się czegoś zimnego.

– Dzięki, ale mam dzisiaj mnóstwo nauki. – Wiedział, że to docenią, więc ciągnął: – Muszę przeczytać francuski wiersz o mydle i go przeanalizować.

– O mydle? – Papa Pete aż gwizdnął. – Chłopcze, słowo daję, widzę, że traktujesz naukę

poważnie.

– Święta prawda. I coś takiego trafiło mi się na sam początek.

– Lubię mydło, ślizga się i ucieka. Kiedy człowiek jest brudny, to czyści mu skórę.

Śmiejąc się, Booth pogłaskał Maca po raz ostatni.

– Pani Opal, myślę, że ten francuski poeta nie dorasta pani do pięt.

Pomachał im i wszedł do domu.

Uznał ku swemu zdziwieniu, że wiersz jest ciekawszy i mądrzejszy, niż początkowo zakładał, a wyzwanie, jakie stanowiła jego analiza w języku francuskim, sprawiło mu przyjemność. Zaczął też pisać pracę na zajęcia z Szekspira, co uruchomiło w nim wspomnienie rudowłosej, zrobił więc sobie przerwę, żeby przygotować coś do jedzenia i przewietrzyć umysł.

Podobał mu się ten schemat. Nauka, kolacja, naczynia, znowu nauka. Chwila oddechu przy telewizji albo muzyce, z jednoczesnym poszukiwaniem terenów do nocnych eskapad.

Około pierwszej przebrał się, po czym sprawdził starannie narzędzia, które wybrał. Kochał swą spokojną okolicę, ale ten sam spokój oznaczał też, że ktoś mógł usłyszeć, jak włącza silnik.

Miał na podorędziu historyjkę: nie mogąc otrzeźwić umysłu i zasnąć, postanowił się przejechać. Nie chciał jednak musieć uciekać się do tej opowieści, toteż nim włączył silnik, krążył cicho po ulicy.

Namierzony dom, osiemnaście kilometrów dalej, stał chwilowo pusty. Wiedział o tym, gdyż jego mieszkańcy, Jack i Elaine Springerowie, zamieszczali codziennie zdjęcia – bardzo często przedstawiające jedzenie – ze swej podróży do Włoch.

Człowiek siłą rzeczy kochał media społecznościowe.

Kiedy rano rozlewał się nad Schodami Hiszpańskimi w Rzymie – Jack i Elaine mieli na nie wspaniały widok z okna swego hotelowego pokoju – zaparkował około ośmiuset metrów od ich posiadłości, jak to nazywał.

Był to duży, choć przeciętny dom w stylu kolonialnym, z przyzwoitym i dość łatwym do obejścia systemem zabezpieczeń. Ponieważ cel stanowiły znaczki, czyli coś, o czym na swej stronie pisał Jack – i o czym dyskutował na kilku forach poświęconych filatelistyce – Booth odbierał tę robotę jak swoisty powrót do korzeni.

Dzięki dziesięcioletniemu doświadczeniu znalazł się wewnątrz domu szybciej, niż uczyniłoby to jego młodsze alter ego, ale gdy wszedł do środka, doznał tego samego uczucia zachwyty i dojmującego, niepowstrzymanego dreszczu podniecenia.

Nigdy tu wcześniej nie był, ale miał w głowie rozkład pomieszczeń. Udał się wprost do gabinetu i jednocześnie biura na parterze, gdzie Jack przechowywał w szklanej gablocie skórzane klasery z kolekcją. Znajdował się w niej słynny Penny Black z 1840 roku – pierwszy na świecie znaczek pocztowy. „Nie w idealnym stanie”, według kwiecistych zapewnień Jacka, „ale z czterema czystymi marginesami”.

Postanowił, że sam się o tym przekona, kiedy już obejrzy okaz. Gdyby Jack, jak wielu jemu podobnych pasjonatów w mediach społecznościowych, przesadził, zawsze mógł wybrać coś innego.

Sam znaczek odnalazł o dziwo z łatwością, Jack bowiem okazał się dobrze zorganizowanym kolekcjonerem. Penny Black istotnie nie był w idealnym stanie, jak uznał Booth, oglądając go pod szkłem powiększającym. I choć trzy marginesy były bardzo czyste, czwarty budził poważne wątpliwości.

I obniżał jego wartość – a przy okazji honorarium Booth'a – w znacznym stopniu.

„Mimo wszystko nie jest to jakiś chłam”, pomyślał. Zaczął wyjmować z gabloty drugi klaser, chcąc się zastanowić nad kolejnym wyborem, kiedy nagle jego uwagę przykuł obraz wiszący nad niewielkim kominkiem gazowym.

Plótno samo w sobie nie wzbudziło jego zachwyty – zbyt wyraziste kolory i zbyt ostre kształty – ale kiedy przesunął po ramie strumieniem światła z latarki, zauważył zawiasy.

– Klasyka – mruknął.

Zdjął obraz i uśmiechnął się na widok małego sejfu z szyfrem czterocyfrowym.

– Stoję tu sobie. Byłoby grzechem nie zajrzeć do środka.

Sięgnął do torby z narzędziami. Nigdy nie należał do skautów, ale cenił ich dewizę: „Bądź przygotowany na wszystko”. Wyjął magnes owinięty porządną skarpetą gimnastyczną. Dysponował też innymi metodami, ale ta nie pozostawiała śladów, a gdy okazywała się skuteczna, wymagała

niespełna minuty.

Czy też, w tym przypadku, osiemnastu sekund, w ciągu których przesuwiał magnesem w skarpecie po powierzchni drzwiczek sejfu.

Znalazł w środku mnóstwo papierów, te jednak, które go zainteresowały najbardziej, miały zielony kolor. Równiutkie pliki przewiązanych banderolą banknotów pięćdziesięciodolarowych. Tysiąc dolarów w jednym pliku.

Rozważał możliwość uzyskania dwukrotności tej sumy za znaczek – albo znaczki – wobec zdobyczy, którą trzymał w ręku.

Mógł wziąć jedno i drugie – gotówkę i znaczki – ale naruszałoby to zasadę powstrzymywania się od chciwości. W tym momencie sformułował nową.

– Zawsze bierz gotówkę.

Włożył pieniądze do torby, zamknął sejf, powiesił paskudny obraz na swoim miejscu. Następnie pożegnał się z Penny Blackiem i odłożył do gabloty nietknięty klaser.

Po niespełna godzinie, jaka upłynęła od chwili, gdy spacerował po swojej okolicy, chował w piwnicznym sejfie dziesięć tysięcy dolarów.

Kiedy kładł się do łóżka, zastanawiał się, jak najlepiej wydać swój łup. Potem pomyślał o pracy, którą zaczął pisać na temat Szekspirowskiego Henryka V i politycznych odniesień do współczesnego świata.

Uznał, że właśnie wszedł w posiadanie klucza do miejsc, jakie pragnął zwiedzić, i wyobrażał je sobie, odpływając w sen.

Koniec końców, śnił o rudowłosej.

*

Powinien był wiedzieć, że zjawi się na jego następnych zajęciach z literatury. Wybrał tę uczelnię nie tylko ze względu na możliwość jej studiowania, ale też ze względu na jej rozmiary.

I oto siedziała na jego zajęciach z literatury współczesnej, z tymi uplecionymi wyszukanie włosami, i tym razem na tyle blisko, by mógł zobaczyć jej oczy – morską zieleń z ciemnymi obwódkami wokół tęczy, co sprawiało, że nie sposób ich było zignorować.

Albo prawie, bo na tym się właśnie koncentrował. Przybył tu, żeby się uczyć, dyskutować o książkach, zagłębiać się w nich, nie zaś ulegać obsesji na punkcie jakiejś studentki.

Odwróciła głowę i na niego popatrzyła. Pomyślał, że to pewnie jego przemożna chęć ignorowania uruchomiła w niej jakiś wewnętrzny przełącznik, w każdym razie przyglądała mu się przez dziesięć długich bolesnych sekund.

Uśmiechnęła się nieznacznie, ale wystarczająco, by jego serce wykonało salto, nim ponownie odwróciła wzrok.

Reszta zajęć zlała mu się w jedną białą plamę. Musiał później zdać się na swój magnetofon i odtworzyć wszystko.

Choć starał się za wszelką cenę unikać jej do końca zajęć, nie odprężył się, dopóki nie oddał się całą duszą ćwiczeniom na temat makijażu scenicznego – stosowanego też w filmie i telewizji... oraz w nocnej robocie.

Dzień zakończył lekcją tańca. Także przydatnego podczas włamów. Trzeba było mieć wdzięk i zwinne stopy w razie natknięcia się na czujniki ruchu. A on, co oczywiste, miałby z nimi do czynienia, gdyby podjął większe wyzwania.

Pomijając rudowłosą – wierzył, że sobie z tym poradzi – Booth uznał swój pierwszy tydzień na Uniwersytecie Karoliny Północnej za najlepszy, jakiego kiedykolwiek doświadczył.

Zafundował sobie wolny wieczór piątkowy, spędził trochę czasu z R.J., Zedem i kilkoma osobami z kółka teatralnego.

W sobotę skosił trawnik, posprzątał dom – życiowy nawyk. Bawił się przez jakiś czas we frisbee z Makiem, a potem uwolnił drugiego sąsiada od próby zawieszenia na ganku huśtawki, którą ten kupił dla żony z okazji rocznicy ślubu.

Doprawdy, facet, operując narzędziami, był nie tylko żaloszny, ale wręcz niebezpieczny.

Booth odnalazł odpowiedni rytm w tych pierwszych tygodniach, znajdując równowagę między koniecznościami związanymi z wyższym wykształceniem a zawieraniem niezobowiązujących przyjaźni i prostej radości, jakie zapewniały. Z koniecznościami i czasem, jakich wymagało coś, co

uważał za swą zasadniczą pracę.

Potrafił pogodzić to wszystko – pisanie esejów, czytanie zadanych lektur oraz rozpoznanie i przygotowanie do udanej kariery w złodziejskiej sztuce.

Zdecydował się na jedną robotę w miesiącu – dwie, jeśli by trafiło się coś znieca.

I patrząc w przyszłość, tak jak przepowiedziały karty – zaczął snuć plany związane z feriami wiosennymi.

Nie wybierał się na plażę z innymi studentami, nie, chodziło mu o Włochy z Mags. Może zainspirowali go do tego Jack i Elaine? – czy też ta łatwa noc spod znaku dziesięciu tysięcy dolarów – ale pragnął zobaczyć Florencję; i pragnął, by także Mags ją zobaczyła.

Ponieważ nie przeczytał ani nie usłyszał w lokalnych stacjach nawet wzmianki o ukradzionej gotówce, zastanawiał się przez chwilę, czy Jack zgromadził te dziesięć tysięcy w sposób całkiem legalny.

Tak czy inaczej, większość owych pieniędzy miała zostać zainwestowana i przeznaczona na wykupienie dwóch biletów lotniczych w pierwszej klasie i wynajęcie apartamentu z dwiema sypialniami w ekskluzywnym hotelu.

Zamierzał się przekonać, jak by sobie poradził z językiem włoskim w jego ojczyźnie, chciał też zobaczyć dzieła sztuki i spróbować tego osławionego zachwycającego jedzenia. I czy nie byłoby super wyskoczyć gdzieś na nocną robotę w miejscu, gdzie angielski nie był urzędowym językiem?

Do przemyślenia.

Rzecz odległa jednak o kilka miesięcy, a on musiał się skupić na teraźniejszości.

Planował wykręcić się od Klubu Szekspirowskiego – zwłaszcza kiedy się dowiedział, że pierwsze spotkanie odbędzie się w domu profesora Emersona.

Wiedział, że ona też tam najprawdopodobniej będzie i że nie uda mu się jej unikać tak jak do tej pory.

Lecz R.J. i Zed przycisnęli go do ściany.

– Nie ma mowy, brachu, musisz iść. – R.J. pomachał ostatnim kawałkiem panini, sprawiając, że gęstwina włosów opadła mu na twarz. – Za jednym zamachem zapewniasz sobie wszystko: wnikliwie analizy, koleżeństwo, pierwszorzędną żarcie. U profesorka zawsze jest pierwszorzędną żarcie.

– I jeśli się zapisałeś, a zapisałeś się – przypomniał mu Zed. – I co, nie zjawić się? Spyta o to.

– A niby dlaczego miałby się przejmować?

– Facet się przejmuje.

– Mam naprawdę dużo nauki, muszę też dokończyć pracę o *Bastionie Kinga*. I napisać drugą, o jeszcze jednym niezwykłym poecie francuskim. Powiedzcie mi, po diabła zapisałem się na te zajęcia?

– Mówiłeś chyba, że świetnie ci poszło z tą poprzednią pracą. O tym facecie od mydła.

– Tak, ale...

– Zachowuj równowagę życia. Tako rzecze Zed: trzeba wyluzować. – To mówiąc, przesunął frytką po rozlewisku musztardy – odstępstwo od normy, do którego Booth nie umiał się przyzwyczaić. – Przyznaj się. Masz stracha przed córką profesora?

– Przed kim...? Co...? Nie... Niby dlaczego?

– Chłopie, tylko się nie gap na nią jak cielę na malowane wrota, jakbyś natychmiast chciał ją dorwać i przyssać się do jej szyi.

– Daj spokój, człowieku, to bzdura.

– A nie, nie, to prawda – wtrącił R.J., kończąc panini. – Możesz nas zabrać z akademika, bo masz najlepszy samochód. Zewrzymy szyki i ocalimy cię przed panną Nogi Emerson.

– Co proszę? Nogi?

– Nie przyglądałeś się jej na tyle dokładnie, by zauważyć, że babka ma nogi do samej szyi – wyjaśnił Zed. – Podjedź po nas około szóstej. To oznacza, że jesteś dziś naszym osobistym kierowcą.

Abstynencja nie wydała mu się problemem, problemem było nie gapić się ani nie zwracać na siebie uwagi.

– Dobra. Ale jeśli zawałę tę pracę z francuskiego, to będę wiedział, kto jest temu winien.

CZEŚĆ DRUGA

Złodziej

Wszyscy ludzie uwielbiają przywłaszczać sobie dobra innych. To powszechne pragnienie; jedyna różnica polega na tym, w jaki sposób się to robi.

Alain-René Lesage

[...] będę musiał od nocnych mroków pożyczyć godzinę lub dwie.

William Szekspir, *Makbet*, akt III, scena I, przeł. Stanisław Barańczak

Rozdział 11

Rudowłosa – starał się za wszelką cenę nie myśleć o jej imieniu – nie tylko była obecna, ale wręcz otworzyła im drzwi. Uczyniła to, mając na sobie przewiewną letnią sukienkę – z rodzaju tych, których faceci nie zauważają, prócz tego, że są cienkie i przewiewne i odsłaniają nogi i ręce.

Nie miała żadnych plecionek na głowie tego wieczoru, więc te włosy o barwie zachodu słońca opadały swobodnymi falami poza ramiona. Niemalże nagie ramiona.

Oczy w odcieniu morskiej zieleni uśmiechały się; szerokie i nieumalowane usta drgnęły.

– Cześć. R.J. i Zed... pamiętam was z poprzedniego roku.

Boże, ale miała głos. Słyszał go kilkakrotnie podczas zajęć i raz na kampusie, ale tym razem brzmiał jakoś inaczej. Jakby intymnie, i tuż obok.

I tak jak podczas zajęć, te oczy skierowały teraz na niego swoje spojrzenie.

– A kim jest wasz przyjaciel?

– To Booth Harrison. Przeniósł się z innego uniwersytetu. Główny przedmiot literatura, pomocniczy teatr. – R.J. poklepał Bootha przyjacielsko po ramieniu.

– Witam, Booth. Jestem Miranda.

Kiedy wyciągnęła rękę, pomyślała: „O Jezu, teraz muszę jej dotknąć”.

Uczynił to szybko, choć uściśnął jej dłoń dość mocno.

– Miło cię poznać – wymamrotał.

– Chodzimy też razem na inne zajęcia, jak mi się zdaje. Tak czy inaczej, wejdźcie. Większość już jest.

Starał się skoncentrować na domu, a nie na tym, jak się po nim poruszała. Lekko i płynnie; stawiała kroki tak, jak mówiła.

Boothowi wystarczył rzut oka, by ocenić go jako szacowny i w sumie pretensjonalny, a wzięwszy pod uwagę sąsiedztwo – widok na jezioro – rozmiary i staranne utrzymanie, doszedł do wniosku, że profesor musi skrywać jakieś rodzinne pieniądze.

Nie przypominało to siedziby Jacka i Elaine – POSIADŁOŚCI – ale starą, wspaniałą, dwuczynną siedzibę wiktoriańską.

Skreślił ją natychmiast z listy potencjalnych celów nocnej roboty. Było to miejsce, w którym ktoś taki jak on mógłby znaleźć niezły skarb, może nawet dwa, ale nie brał na cel nauczycieli.

Byłoby to niestosowne, oględnie mówiąc.

Zauważył dzieła sztuki – z klasą, interesujące – a meble, od przedpokoju aż do części mieszkalnej, wszystkie bez wyjątku były antykami. Pamiątki rodowe.

W salonie znajdowało się już co najmniej dwanaścioro ludzi. Wielka przestrzeń. Domyślał się, że dwa mniejsze saloniki przerobiono kiedyś na jeden wielki pokój.

Zachowano jednak naprawdę wspaniałą stolarkę i kasetony na suficie. Odnowiono wiekowy kominek i obudowano z obu stron sięgającymi sufitu gablotami pełnymi zdjęć, książek i bibelotów.

– Podobają ci się stare domy? – spytała Miranda.

– Co? Och, owszem – odparł Booth.

– Mnie też. Zaliczam się do czwartego pokolenia Emersonów, którzy tu mieszkali. Zapamiętasz, gdzie jest kuchnia? Są tam drinki i przekąski. Czekamy jeszcze na parę osób, więc nie ma pośpiechu.

Kiedy to mówiła, znowu rozległ się dzwonek. Odwróciła się i poszła otworzyć.

Zakochał się w tym domu. Nie udostępnił go do końca, ale pozostawili do użytku ten istny wiktoriański labirynt pokoi, wiodący do kuchni ze ścianami koloru grzanek, szerokimi szklanymi drzwiami prowadzącymi na patio, trawniki, ogrody i jezioro w dali.

Na stole stała wielka ocynkowana wanienska z drinkami – piwo, wino, woda, napoje – w lodzie.

Na dużej ustawionej centralnie wyspie rozstawiono półmiski z pizzą i różnego rodzaju prze-

kąskami.

R.J. chwycił czym prędzej talerz.

– Pierwszorządne żarcie. Kłamałem?

Booth ograniczył się do coli. Nie lubił uczucia nerwowości w żołądku – nigdy się nie denerwował. Ale ponieważ akurat tego doznawał, nie chciał pogarszać sytuacji.

Znał kilka osób z zajęć, inne z widzenia. Przypomniawszy sobie o celu spotkania.

Uczyć się, rozerwać trochę. I nawiązać niezobowiązujące kontakty.

Samotne wilki trzymały się na uboczu.

Rudowłosa usiadła na podłodze, rozmawiając z chłopakiem o wyglądzie sportowca, z którym widział ją na kampusie, i dziewczyną, która zarezerwowała jej miejsce na sali tamtego pierwszego dnia. Bezsprzecznie trio przyjaciół, jak doszedł do wniosku. Kiedy rudowłosa się rozeźmiała i trąciła sportowca przyjacielsko łokciem, Booth zaczął się zastanawiać, czy nie są parą.

Ta możliwość powinna była sprawić mu ulgę. Tymczasem doznał czegoś niemiłego – przysiągłby, że to zazdrość.

Jeszcze jedno doznanie, które mu się wcale nie podobało.

Zobaczył profesora usadowionego na podłokietniku sofy. Nawet w dzinsach i podkoszulku – bez marynarki – i gestykulujący butelką piwa, wyglądał wypisz wymaluj jak profesor wyższej uczelni.

Booth zauważył kilka składanych krzeseł po drugiej stronie pokoju i skierował kroki w tamtą stronę. Wciąż niby stanowił część grupy, ale zachowywał niejaki dystans. I to mu odpowiadało.

Gwar nie ustał, kiedy profesor podniósł się z wolna ze swojego miejsca, ale przycichł z lekka.

– Witam na naszym pierwszym spotkaniu tego roku – powiedział. – Niektórzy z was są tutaj, bo uwielbiają Szekspira, niektórzy mają nadzieję poprawić wyniki w nauce, a jeszcze inni dlatego, że dowiedzieli się o darmowym poczęstunku. Każdy z tych powodów jest godzien szacunku. Widzę znajome twarze i kilka nowych. Nie wiem ciągle, jak się wszyscy nazywacie, ale bez obaw, dowiem się tego. Należy przestrzegać kilku zasad. Utrzymujcie wokół siebie porządek, butelki i puszki przekazujecie do recyklingu, jeśli coś stłuczecie, musicie to odkupić. Poza tym interesuję mnie wszelkie wasze opinie i interpretacje. Można się z nimi spierać. Spory zresztą też mnie obchodzą. I żywe dyskusje nie muszą przechodzić w pyskówki. – Znowu usiadł, gestykulując. – A dyskusje w tym semestrze skupią się na wątkach romansowych w dziele Szekspira, na ich humorze i wewnętrznych konfliktach, na dowcipie i słowach, i na tym, jak te związki opisują erę, w której zostały przedstawione, jak współgrają z dzisiejszą wrażliwością albo jak się z nią kłóca. Na początek przyjrzymy się Beatrycze i Benedickowi, a potem w miarę możliwości skontrastujemy ich z Hero i Claudiem. – Przerwał na chwilę. – I jeśli nie kojarzycie tych imion i nie przeczytaliście *Wiele hałasu o nic*, musicie odświeżyć swoją znajomość Szekspira.

– Odświeżyć znajomość Szekspira – powtórzył R.J. zadziwiająco mocnym i śpiewnym głosem. – Proszę zacząć go cytować.

Ben rozeźmiał się i machnął ręką.

– Jeśli tego nie kojarzycie, to wypożyczcie sobie film. Choć kiedy dojdziemy do Petruchia i Katarzyny, to będziemy musieli uchylić okna, żeby pozbyć się oparów gniewu, jakimi będzie paraskać Miranda. Gdyby nasz bard żył dzisiaj, miałby na podorędziu mnóstwo epitetów pod swoim adresem w związku z *Poskromieniem złościcy*.

– Seksistowski prześladowca, który fizycznie i psychicznie torturuje silną kobietę, aż w końcu zmienia ją w uległe popychadło – odezwała się Miranda.

– I tak dalej, w tym samym stylu – dokończył Ben z uśmiechem przeznaczonym wyłącznie dla swojej córki. – Ale zostawimy to na inną okazję. Zaczniemy od Beatrycze, jeszcze jednej silnej kobiety – bystrej, przebiegłej, zgryźliwej, obdarzonej przenikliwym sądem, jeśli chodzi o męski gatunek – i widzimy to wszystko dzięki jej słowom.

– „Wolałabym słuchać psa ujadającego na wronę niż mężczyzny ślubującego mi miłość”¹.

– Czy to nie seksistowskie? – wtrącił sportowiec.

I odtąd, jak zauważył Booth, zaczęła się ogólna dyskusja.

Był to imponujący pokaz szermierki słownej; gdy tylko padały argumenty, natychmiast pod-

noszono kontrargumenty. Wszyscy sypali cytatai jak konfetti – wielkimi, barwnymi garściami.

Nie zamierzał odzywać się za często podczas tej pierwszej rundy. Uważał, że opłaca się wiedzieć, kto jest kto i jak się mają sprawy, nimby się zdecydował włączyć do akcji. Człowiek uczył się więcej, słuchając i obserwując.

Rudowłosa miała mnóstwo opinii i nie wahała się ich otwarcie wyrażać. Ocenił też po mniej więcej dwóch minutach, że jest diablo inteligentna – przynajmniej w tej dyskusji.

Zed siedział na jednym krześle z dziewczyną o imieniu Jen – okulary w czarnych oprawkach, rzeczowy, prosty czarny kuc z tyłu głowy. Sportowiec – Phil – spierał się ze wszystkimi, ale w sposób umiarkowany i wyważony. Trzecia z tego tria – Hayley – musiała widać należeć do grupy dyskusyjnej, gdyż opowiadała się za jedną stroną argumentacji i broniła jej wyraźnie dla zasady.

Profesor rzadko się wtrącał, pozwalał na swobodną dyskusję. Booth doszedł do wniosku, że jest to cecha dobrego nauczyciela i pewnego siebie lidera.

Niedługo potem R.J. wyszedł i wrócił po chwili z kolejną miską chipsów, dał mu też świeżą colę.

– Dzięki – odezwał się Booth odruchowo, bo, otwierając butelkę, brał akurat udział w dyskusji. – Claudio nie kochał jej tak naprawdę.

Ben popatrzył na niego i przechylił zaciekawiony głowę.

– Ponieważ?

– Co? Och, przepraszam. Po prostu myślałem głośno.

– Więc dokończ tę myśl.

Przyłapany nagle, poruszył się niespokojnie na swoim krześle.

– Chcę powiedzieć, że... co to za miłość? Pod wpływem machinacji Don Juana – a wszyscy wiedzą, że Don Juan jest dupkiem – uważa, że Hero pieprzy się z jakimś innym facetem. Dlaczego więc Claudio nie stara się załatwić tej sprawy od razu? Czekając aż do ślubu, potępia ją – nie mówi: co jest, u diabła? I nie przeszkadza mu, że Hero może umrzeć. Nawet jej ojcu to nie przeszkadza. Ale nikt jakoś nie mówi o gościu, który ją posuwa. Nikt nie mówi: na gałąź z nim. To ma być miłość? Jest tylko kobietą, zgadza się, ładną, a on może zdobyć następną. Benedick i Beatrycze spotykają się i stają na równych pozycjach. Hero i Claudio nie.

Wolałby nie dostrzegać, jak rudowłosa uśmiecha się do niego, kiedy skończył.

– Myślał, że go zdradziła w noc poprzedzającą ich ślub – zauważyła Hayley.

– „Myślał” to trafne określenie, nieprawdaż? O nic nie pyta, nie domaga się wyjaśnień. I nie wierzy jej, kiedy ta wszystkiemu zaprzecza. Jest bierny, podobnie jak Hero. Nie mają co się równać z Benedickiem i Beatrycze.

– Hero powinna powiedzieć Claudiowi, żeby się wypchał – wtrąciła Jen. – Wielkie dzięki, palancie.

– No nie? I może lepiej, żeby poślubiła Don Juana. Ten przynajmniej wiedział, że jest dupkiem.

Wywołało to śmiech, który Boothowi wydał się dziwnie satysfakcjonujący.

I sprowokowało dwoje uczestników kółka teatralnego do wygłoszenia kilku kwestii Don Juana i służby.

– Pozwól, że cię o coś spytam, nim zamkniemy dyskusję. Przepraszam, uczęszczasz na moje poniedziałkowe i czwartkowe zajęcia i nazywasz się...

– Booth. Booth Harrison.

– No tak. Bardzo przyzwoita praca na temat *Henryka V*. Czy te dwie pary, tych czworo żywiołowych dzieciaków poradzi sobie?

– Jasne, tak sędzę. Benedick i Beatrycze szaleją na swoim punkcie, oboje są inteligentni i nigdy się sobą nie znudzą. Claudio i Hero będą po prostu dryfować przez życie, przestrzegać tradycji, nigdy nie naruszać zasad, i będzie im z tym dobrze.

– Muszę się zgodzić, a teraz posprzątajcie po sobie i jazda z mojego domu. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu na kampusie. Przedyskutujemy związki uczuciowe w *Śnie nocy letniej*. Plus kilka magicznych zabaw, tych podczas przygotowań do następnego wesela.

Ludzie zaczęli wstawać, zabierać resztki; zrobiło się trochę głośniejsze. Ulegając utrwalonemu nawykowi, Booth pozbierał to, co pozostawili inni.

– Mam nadzieję, że cię nie wystraszyliśmy – zwrócił się do niego profesor Emerson.

– Och, skądże, panie profesorze. Było w porządku. Zaczął pan nawet od mojej ulubionej komedii.

– Mam do niej szczególną słabość. Odwalasz kawał świetnej roboty na moich zajęciach. Nie zaszkodziłoby w jeszcze większym stopniu w nich uczestniczyć.

„Cholera”, westchnął w duchu. Nie chciał się wyróżniać.

– Chyba w tej chwili bardziej mi zależy na samej nauce.

– Nie czekaj zbyt długo. Lubię słuchać głosów swoich studentów.

Pozbył się tacy, którą wziął do ręki, lecz zachował sobie pół butelki coli na drogę powrotną. A ponieważ rudowłosa tuliła się ze sportowcem – coś jednak musiało między nimi być – zdołał wyjść z domu, nie wpadając na nią ponownie.

Niektórzy kręcili się jeszcze na zewnątrz, stali na trawniku i chodniku. Niektórzy wsiadali do samochodów, inni na swoje rowery, a jeszcze inni, jak przypuszczał, ruszali w dwukilometrowy pieszy spacer do kampusu.

– Hej, Booth, podwieziesz Jen? – zapytał Zed.

Obejmował dziewczynę ramieniem, ale Booth dostrzegł w tym gest bardziej przyjacielski niżli romantyczny. Wszystko jedno.

– Jasne – odrzekł. – Wskakuj.

– Dzięki. Twoje pierwsze spotkanie, zgadza się?

– Tak. Podobało mi się.

– Mamy Klub Dramatyczny, spotykamy się w każdy pierwszy wtorek miesiąca. Powinieneś się do nas przyłączyć. Dlaczego, chłopaki, jeszcze go na to nie namówiliście?

– Odrzucił propozycję – wyjaśnił R.J.

– Nie wszystko naraz. Mam w tym semestrze mnóstwo nauki.

– Czasem się trzeba odprężyć.

Jen paplała przez całą drogę, a on wywnioskował, że musi się dobrze znać z chłopakami.

– Mogę cię podrzucić do akademika – zaproponował Booth. – Żaden problem.

– Żadnego akademika, dzięki. Mieszkam z tymi chłopakami. Nie ma mowy o skokach w bok, po prostu nasza piątka żyje w platonicznym chaosie. Chodzisz z kimś?

– Och, nie.

– Aaaa, bolesne zerwanie w Teksasie – podpowiedział usłużnie R.J.

– Rozumiem. Umówiłabym się z tobą, bo jesteś miły, ale nie w moim typie.

Spojrzał w lusterko wsteczne. Jen siedziała z tyłu, a R.J. z przodu.

– Okej, dlaczego?

– Jestem drobniutką azjatycką księżniczką o wzroście stu pięćdziesięciu trzech centymetrów. A ty jesteś długą i szczupłą maszyną. Ile mierzysz, sto osiemdziesiąt centymetrów?

– I cztery milimetry.

– Sam widzisz. Wyglądalibyśmy głupio przy różnicy trzydziestu centymetrów. Więc znów musiałyby to być relacje wyłącznie platoniczne.

– Mogłabyś włożyć szpilki.

Roześmiała się i klepnęła Zeda w nogę.

– Podoba mi się. Miałaś rację, mówiąc, że go polubię.

Jemu też się podobała, miała ten swobodny styl bycia; kiedy już ich podrzucił, pojechał do domu niezwykle zadowolony z wieczoru. Teraz, gdy już sklasyfikował rudowłosą i sportowca jako parę, mógł ją na dobre wyrzucić z myśli.

*

Zaczaiła się na niego nazajutrz. Nie zdążył się zorientować i wpadł wprost na nią.

Czekała pod salą, tam zagrodziła mu drogę.

– Hej. Cześć! – powiedział.

– Hej. Cześć! – odpowiedziała. – Chodźmy na kawę.

Całkiem go zaskoczyła, więc wolno myślał.

– Właściwie to muszę...

– Masz półtorej godziny do następnych zajęć. Ja też. Chodźmy na kawę, ja stawiam.

Nie mógł odmówić. Brak kultury był w świecie jego matki wykluczony.

– Okej. Potrzebujesz czegoś? – spytał, kiedy go wzięła pod ramię i pociągnęła za sobą.

– Tak, kawy. Zaspałam dziś rano. Nienawidzę, gdy mi się to zdarza. Ledwie miałam czas wypić jedną filiżankę, pędząc na uczelnię.

– Nie, chodziło mi o to, czego potrzebujesz ode mnie.

– Tak, potrzebuję czegoś od ciebie. Chodzi o pewne palące pytanie.

„Nie miała też czasu porządnie zapleść włosów”, pomyślał, „ale udało jej się zebrać je w długi, lśniący warkocz”. Odrzuciła go do tyłu, patrząc na niego z zaciekawieniem.

– Okej, zaczynaj.

– Wierzysz w reinkarnację? Wiesz, żyjemy wiele razy, zanim trafimy na właściwe istnienie?...

Było to ostatnie pytanie, jakiego by się spodziewał. Ale ponieważ prowadziła go ze sobą – wiedziała bez wątplenia, gdzie chce dostać tę swoją kawę – rozważył odpowiedź.

I z miejsca pomyślał o matce, o tym, jak krótkie było jej życie i jak ciężkie się ostatecznie okazało.

– Tak. Musi być coś więcej niż tylko jedna runda na tym świecie.

– Ja też tak myślę. Więc zastanawiam się, a jest to drugie moje palące pytanie, czy wyrządziłam ci jakąś krzywdę w poprzednim wcieleniu, że tak mnie nie lubisz. Na ogół uchodzę za osobę sympatyczną, ale może w tamtym przeszłym życiu udusiłam ci psa.

– Nie sądzę, byś udusiła mi psa. Ani komukolwiek innemu.

Obrzuciła go przeciągłym, pełnym zrozumienia spojrzeniem tych niezwykłych oczu.

– Przeszłe życia bywają zagadkowe.

– Poza tym to nieprawda, że cię nie lubię. Nie znam cię po prostu.

– Teraz masz szansę mnie poznać. – Skierowała się wprost do kawiarni wciśniętej między dwa sklepy, pochłaniając dystans tymi swoimi niebotycznie długimi nogami. – Wiesz, podobało mi się to, co powiedziałeś o Claudiu i Hero, masz więc szansę.

W lokalu roiło się od studentów i personelu przyrządzającego kawę, słodkie bułeczki i ciastka wielkości półmisków deserowych.

– Tak naprawdę nie pijam kawy. To znaczy nie za dużo.

Patrzyła na niego tymi dziwnie niesamowitymi zielonymi oczami.

– A jednak trzymasz się na nogach, oddychasz i normalnie funkcjonujesz. – Podeszła do lady. – Miranda funduje. – Po czym zwróciła się do obsługi: – Caffé americano, z dodatkiem espresso.

Pomyślał, że ten napój zawiera pewnie tyle kofeiny, że osiemnastokółowa ciężarówka zdołałaby na niej przejechać cały kraj wzdłuż i wszerz.

– Nie wytrzeszczysz po tym oczu jak porażony prądem kot w jakiejś kreskówce?

– Przekonamy się.

– Dla mnie vanilla latte.

– Ach, kawowy mięczak.

– Dobra, może być.

Zapłaciła i odsunęli się na bok, czekając na napoje.

Cały lokal pachniał kawą – aromatem, który nigdy nie wywoływał w nim żądzy wypicia tego, co stanowiło jego przyczynę. Ale wyczuwał przez jego zasłonę zapach dziewczyny.

Lekki, świeży.

Dlatego przypomniał sobie, że skojarzył ich w myślach ze sobą, to znaczy dziewczynę i tamtego sportowca. Phila. Phila sportowca.

– Więc... – bąknął niepewnie. – Gdzie jest Phil?

Uniosła brew – lewą. Zauważył już wcześniej, że ma tę umiejętność – raczej osobliwy nawyk – nieważne. Wyjęła z kieszeni komórkę i sprawdziła godzinę.

– Chyba jest w tej chwili na zajęciach z filmu. A dlaczego pytasz?

– Bez powodu. Tak sobie pomyślałem, że coś między wami jest.

Uśmiechnęła się tym swoim tajemniczym uśmiechem, po czym się odwróciła, żeby wziąć kubki z kawą, kiedy wywołano jej imię.

– Wyjdźmy z tym na zewnątrz, za dużo tu hałasu. „Coś między nami jest” – powtórzyła, kiedy otworzył jej drzwi. – Owszem, jest coś między nami. To się nazywa przyjaźń. Spiknęliśmy

się na drugim roku. Na drugim, bo w szkole średniej zaliczyłam wystarczająco dużo kursów na poziomie college'u i w czasie letnich ferii, żeby mnie przyjęli od razu na drugi rok. Jest mądry, zabawny, wysportowany; przechodzi na pozycję rozgrywającego. I świata nie widzi poza pewnym studentem ostatniego roku. Chadem.

– Och.

– Nie jest moim kumplem gejem na pokaz, tylko po prostu kumplem. Jakiś problem?

– Nie. Jezu, skąd.

Tyle że znów był w cholernej rozterce.

– To dobrze, bo nienawidzę bigoterii. No dobrze, przeniosłeś się na ostatnim roku. Dlaczego? – ciągnęła, kiedy szli przed siebie.

– Jeśli spędziłaś choć dwie minuty w towarzystwie J.R., to już wiesz.

Roześmiała się, wskazując pustą ławkę.

– Bolesny koniec związku uczuciowego. – Przewróciła oczami. – Większość z nas tego doświadczyła, ale na ogół nie przeprowadzamy się po czymś takim natychmiast do innego stanu.

Od razu zaczął łączyć w głowie wątki swej opowieści.

– Potrzebowałam zmiany. Odwiedziłem wcześniej tę uczelnię i naprawdę mi się spodobała, ale... zmarła moja mama.

– Och, Booth, tak mi przykro.

Nie było to z jej strony konwencjonalne. Wyczuł współczucie, kiedy dotknęła jego dłoni.

– Trwało to długo, a już po wszystkim moja ciotka... siostra matki, cały czas nam towarzyszyła... oboje chcieliśmy wyjechać z Chicago. Interesował ją Nowy Meksyk, a ponieważ na mojej liście był Teksas, pojechałem tam. To świetna uczelnia, ale gdy tylko pojawił się powód do przeniesienia się gdzie indziej, wykorzystałem go. I dobrze się tu czuję.

– Nie musisz mnie o tym przekonywać. Dorastałam tu na dobrą sprawę. A co z twoim ojcem?

– Nigdy go nie znałem. Twój jest super.

– Najlepszy z wszystkich.

Musiał się dowiedzieć o niej więcej. Nie chciał, ale musiał.

– A twoja mama?

– Hm. To długa historia. Skrócona wersja? Przestała nas kochać, zapragnęła być z kimś innym i gdzie indziej, więc odeszła.

– Teraz to mnie jest przykro.

– Nie, nie, w gruncie rzeczy wszyscy na tym dobrze wyszli. Przeżywa swój sen na Hawajach – na wielkiej wyspie – z niejakim Biffem. – Kiedy siadali na ławce, włożyła okulary przeciwsłoneczne, a teraz opuściła je, by spojrzeć na niego nad oprawkami. – Tak ma naprawdę na imię.

„Cholera, cholera, cholera!” Podobała mu się.

– No cóż, facet musi z tym jakoś żyć.

– Żyje. Oboje żyją. A mój ojciec i ja, tak jak ona to postrzega, utknęliśmy w akademickim bagnie. I chyba nam się to podoba.

Napiła się z rozmysłem kawy, następnie odchyliła do tyłu głowę i popatrzyła w niebo.

– No więc, Boocie Harrisonie z Chicago tudzież Teksasu... co chcesz zrobić ze swoim życiem?

– W tej chwili? Nic. Chcę się uczyć. Lubię się uczyć.

– Ja też. To nic złego. A co robisz dla rozrywki, która nie wiąże się z nauką?

„Włamuję się do domów”, pomyślał. „Forsuję sejfy, negocjuję z paserami”.

Może to była i robota, ale nikt nie powiedział, że nie jest zabawą.

– Lubię muzykę i towarzystwo psa sąsiadów. Wabi się Mac, golden retriever. Jest wspałały. Lubię też gotować.

Okulary znów zsunęły się na oczy.

– Gotujesz?

– Tak. Nauczyłem się tego, kiedy mama zachorowała, mam też przyjaciół w Nowym Orleanie, spędziłem tam trochę czasu. No i doskonaliłem umiejętności kulinarne.

– Nie najlepiej nam idzie w kuchni, mnie i tacie. Zatrudniłszy kogoś – Suzannę – przychodzi dwa razy w tygodniu i szykuje nam posiłki, żebyśmy nie pomarli z głodu. No dobrze, skoro już

ustaliliśmy, że nie udusiłam twojego psa w poprzednim wcieleniu, może zechcesz mi kiedyś zaprezentować te swoje umiejętności kulinarne. Tymczasem muszę przygotować się do następnych zajęć.

Tym razem uniosła okulary i postukała się palcem pod okiem.

– Są wyłupiaste?

– Nie. Są piękne.

Znowu opuściła okulary.

– Szczęśliwy traf na loterii DNA – oznajmiła. – Dobrze się rozmawiało – dodała, wstając z ławki. – Zobaczmy się niedługo?

– Tak, jasne. Dzięki za kawę.

– Trudno to nazwać kawą, ale proszę bardzo.

Zostawiła go tam siedzącego na ławce i spoglądającego w coś, co trudno było nazwać kawą. Wiedział, że wsiąkł z kretesem.

Ponieważ wszelkie próby unikania dziewczyny wydawały się teraz głupie, Booth starał się za wszelką cenę sprawić, by ich spotkania trwały krótko i były przygodne. Zjawił się na uniwersytecie Karoliny Północnej, żeby się uczyć i nabyć jak najwięcej doświadczenia na ostatnim roku studiów.

Aczkolwiek zaczął się już rozglądać za jakimiś zajęciami podyplomowymi. Bądź co bądź, po odejściu z uczelni musiałyby znaleźć jakąś dzienną pracę, która stanowiłaby przykrywkę dla jego rzeczywistej kariery.

Mógł założyć firmę sprzątającą. Miał w tym spore doświadczenie. W Teksasie, na A&M, zaliczył kilka kursów z księgowości i biznesu, miał więc i w tym orientację.

Ten rok jednak przeznaczył na czystą przyjemność zdobywania wiedzy, która do niego przemawiała.

Po zaledwie dwóch miesiącach miał najwyższe noty, niewielki krąg przyjaciół i rutynę, która go w pełni satysfakcjonowała.

A potem R.J. i Zed zaciągnęli go na mecz.

Trudno właściwie powiedzieć, żeby nie lubił amerykańskiego futbolu; jego stosunek do tego sportu był neutralny. Choć jego matka i Mags kibicowały Chicago Bears, nie czyniły tego z takim zapałem, jaki rezerwowały dla Chicago Cubs.

Sport niespecjalnie go interesował, zorientował się jednak – zwłaszcza mieszkając w Teksasie – że jeśli facet nie chce podpaść, to musi grać miejsce na stadionie podczas rozgrywek i dopinguować miejscową drużynę.

A kiedy Tar Heels spotykali się z Cavaliers na lokalnym boisku, należało pojawić się na trybunach w barwach szkoły.

Zrobił, co należy, włożył bluzę z kapturem, i z należyтым entuzjazmem wznosił okrzyki na cześć maskotki – żywego barana imieniem Ramzes. Zjadł przyzwoitą kanapkę z rwaną wieprzowiną, dał się, buczał albo przeklinał w odpowiednich momentach wraz z pięćdziesięcioma tysiącami pozostałych widzów.

I myślał z niejakim żalem o tych wszystkich pustych domach, gotowych do obrobienia w ten chłodny, krystalicznie czysty wieczór październikowy.

Wiedział wszakże dostatecznie dużo o futbolu, by się orientować, że kiedy Phil sportowiec wkraczał do gry, obrona przeciwnika robiła się dziurawa. W rezultacie Tar Heels zakończyli pierwszą kwartę z siedmiopunktową przewagą.

W połowie meczu ten wynik zmniejszył się do trzech punktów; było dziesięć do siedmiu, co podniosło na duchu kibiców miejscowej drużyny.

Ponieważ Zed zajęty był flirtowaniem ze swoją aktualną dziewczyną, a R.J. i Jen spierali się z zadziwiającą pasją na temat przewinienia popełnionego przez obronę, Booth postanowił rozprostować nogi.

I oto znów się pojawiła.

Na pięćdziesięciotysięcznym stadionie wpadł wprost na nią. Nie do wiary.

Miała na sobie dzinsy i szkolną bluzę, długie włosy odrzuciła na plecy. Ludzie obojętnie tłoczyli się obok niej i przepływali, a ona stała oparta o ścianę i kończyła wysyłać komuś esemesa.

Schowała komórkę do kieszeni na piersi.

– Miłośnik futbolu? – rzuciła.

Już chciał ją zapewnić, że tak, ale odruchowo wyznał prawdę.

– Nie, ani trochę. Presja kolegów.

Przycisnęła dłoń do piersi.

– W moim przypadku presja przyjaciela. I rodziny. Gdyby mój tata złamał sobie w jakiś sposób rękę przed meczem z Wirginią, to kazałby załodze karetki odwieźć się wpierw na stadion. – Podniosła palec do góry i wyjęła z kieszeni telefon. – To on, prosi, żebym mu kupiła trochę frytek w drodze do domu. Zjada je w czasie tych rozgrywek, to u niego nerwowe. Ma przyjaciela, który się przeniósł na Uniwersytet Wirginii, i robią zakłady przy każdym meczu.

– Naprawdę? – Profesor nie wydawał mu się typem hazardzisty. – O co?

– O srebrną monetę z wizerunkiem Waszyngtona. Tę samą – szczęśliwą. Pożądana zdobycz od siedemnastu lat, i to jeszcze nie koniec. – Wskazała jedną z budek. – Dotrzymaj mi towarzystwa, kiedy będę spełniała obowiązek córki. Słyszałam, że dajesz korepetycje Kenowi Fisherowi... prawy blokujący albo lewy. Czy coś w tym rodzaju. Phil mi powiedział, że pomagasz mu z francuskiego.

Obok kłębili się ludzie. Nie zauważał tego.

– Tak, musi mieć zaliczenie z języka obcego, a idzie mu ciężko. Profesor Relve spytała, czy mógłbym mu pomóc. Podstawy, to najważniejsze.

– Phil też mówi, że tak trzeba. Ken powinien mieć dobre stopnie, żeby dostawać stypendium i nie siedzieć na ławce rezerwowych. Masz dość czasu, żeby dawać jeszcze komuś korki?

Serce mu nagle jakby stanęło.

– Potrzebujesz pomocy?

– Ja? Nie. *Je parle français très bien. Mais j'écris français très mal.* Konwersacyjnie żaden problem, ale jeśli chodzi o czytanie i pisanie, nie jestem dość dobra, by pomóc Hayley, a ona sobie nie radzi. – Zamówiwszy frytki, odwróciła się do niego. – No więc jak, masz czas? I ile bierzesz za korepetycje?

– Mógłbym zobaczyć, co się da zrobić. Ken płaci mi dwadzieścia za sesję.

– Brzmi rozsądnie. Daj mi znać, dobrze? Zawaliła ostatnią pracę na całego i teraz się trzęsie ze strachu.

Pomyślał, że udało mu się znaleźć dzienną pracę wcześniej, niż przypuszczał.

– Mam czas między zajęciami w poniedziałek, od wpół do dziesiątej do wpół do jedenastej, i w środy, od pierwszej do drugiej. W czwartki tak samo jak w poniedziałki. Jeśli takie godziny jej pasują.

– No to cię dla niej rezerwuję.

– Okej. Jeśli się rozmyśli...

– Nie rozmyśli. Jest przerażona. Hayley nie zawała prac pisemnych. Daj mi swoją komórkę.

– Włożyła mu w dłonie pudełko z frytkami i wzięła jego telefon. – Dobra, masz mnie teraz w kontaktach. Prześlij mi wiadomość, gdyby się coś u ciebie zmieniło.

– Jasne. – Nie chciał o to pytać, wiedział, że to błąd, głupi, koszmarny pomysł, ale i tak to zrobił. – Może wybierzemy się kiedyś na pizzę?

Uśmiechnęła się, znowu unosząc po swojemu brew.

– Czemu nie. Ale wolałabym tak naprawdę przyjść do ciebie na kolację i przekonać się, czy rzeczywiście umiesz gotować.

Większy błąd. O wiele większy, ale...

– Pewnie. Och...

– Co powiesz na jutrzejszy wieczór? Siódma? Pasuje?

– Jak najbardziej.

– Świetnie. – Znowu wyjęła komórkę. – Potrzebny mi twój adres.

Podał go jej nieco oszołomiony.

– No... jakiegokolwiek, ech... no wiesz, alergię czy rzeczy, których nie lubisz albo nie tkniesz?

– Żadnych alergii i jeśli coś przygotujesz, zjem to. – Odebrała od niego pudełko z frytkami i potrząsnęła nim. – Muszę wracać, zanim wystygną. Dam znać Hayley w sprawie poniedziałku. Do zobaczenia jutro.

– Do zobaczenia. Mam nadzieję, że twój tata wygra swoją monetę.

Rzuciła mu przez ramię szelmowskie spojrzenie.

– On ma jeszcze większą nadzieję.

Wciąż oszołomiony, Booth wrócił na trybuny.

Co, u diabła, zrobił?

I co, u diabła, zamierzał ugotować?

Rozdział 12

Wywróciło to do góry nogami całą jego sobotnią rutynę, co niestety, dowodziło, że zdążył już w tę rutynę wpaść.

Zdarzało się przedtem, że gotował dla jakiejś dziewczyny – kobiety. Dauphine była zapewne pierwszą spoza rodziny, ale nie ostatnią. Co prawda, ograniczał się do sytuacji, gdy obie strony wiedziały – albo przynajmniej zakładały – że wieczór skończy się w łóżku.

Tu nie mogło być o tym mowy – rzekł już to sobie stanowczo. Poza tym spotkanie stanowiło coś na kształt pierwszej randki. Jeśli rzeczywiście była to randka. Musiał przyznać, że Miranda bezustannie wprawiała go w zakłopotanie.

Może byli tylko przyjaciółmi. Platoniczność. Wydawało się, że tak jest najlepiej. Jej ojciec był jednym z jego profesorów, na litość boską. To dopiero pech.

Mimo wszystko chciał zrobić na niej wrażenie stosownym posiłkiem. „Nic wyrafinowanego”, pomyślał, rezygnując z pół tuzina menu. Wyrafinowanie oznaczałoby przechwałki.

Ale coś smacznego... owszem.

Zdecydował się w końcu na makaron z pesto i grillowanego kurczaka. Postanowił użyć kokardek, tak żeby nikt nie musiał niczego nawijać na widelec ani siorbać. Poza tym kokardki wyglądały zabawnie, bezpretensjonalnie.

Makaron był bezpretensjonalny.

Ech, wszystko było bezpretensjonalne.

Wciąż miał do zrobienia sobotnie porządki, wstał więc wcześniej i zabrał się ostro do pracy. W tym czasie ciasto na włoski chleb już rosło.

Rzucił się w wir zwyczajowych sobotnich obowiązków; najpierw jednak upiekł chleb, a później poszedł na zakupy, żeby zaopatrzyć się we wszystko, czego potrzebował do kolacji.

Po powrocie usiadł i zajął się swoim wypracowaniem z francuskiego. Zrobił sobie przerwę, zszedł do piwnicy, nastawił minutnik i wziął się do poprawienia rekordu związanego z zamkami szyfrowymi.

Pomagało, kiedy miał czym zająć ręce i umysł. A jednak, nim wziął prysznic i zaczął przygotowania do kolacji – na dworze rozpadał się miękki, lekki deszczyk – musiał przyznać, że jest w rozsypce.

Należało poćwiczyć jogę. Mags wierzyła w jej siłę, a ilekroć on próbował, pozwalała mu się wyciszyć. Poza tym pomagała utrzymać zwinność ciała; ktoś, kto wybrał tego rodzaju karierę, musiał być zwinny.

Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że jest na to zbyt późno. Zaczął się zastanawiać, czy nie zapalić świec i nie włączyć jakiejś muzyki. I czy nie oznaczało to przesady.

Zdecydował, że świece się przydadzą; ze względu na deszcz zrobiło się trochę posępnie. Wierzył, że ich blask będzie bezpretensjonalny, jak kokardki.

Dwie minuty po siódmej – nie pilnował godziny – rozległo się pukanie do drzwi. Ścisnęło go w dołku. Nie jak jedna pięść, tylko dwie – wyzymające mokrą ścierkę.

Miranda miała na sobie sukienkę i krótką zamszą kurtkę. Na jej włosach lśniły kropelki deszczu.

Nigdy w życiu nikogo ani niczego tak bardzo nie pragnął.

Podawała mu mały bukietek.

– Myślałam o winie – rzekła – ale ponieważ nie wiedziałam, co przyrządzasz, nie miałam pojęcia, którą butelkę ojcu podwędzić.

Znowu doznał pomieszania, biorąc od niej kwiaty. „Pierwszy raz”, pomyślał. Nikt mu nigdy dotąd nie przyniósł kwiatów.

– Dzięki. Proszę, wejdź.

– Ładne mieszkanie. Rany! jak tu czysto. Prawdziwy błysk – dodała, wchodząc do środka.

Kiedy się roześmiał, uniosła po swojemu brew.

– Rodzinny żart – wyjaśnił. – Matka i ciotka prowadziły firmę sprzątającą. „Siostry – wszystko na błysk”.

– Wspaniała nazwa.

Zaczęła się przechadzać po salonie. Dość spartańskim, jak sobie uświadomił, kiedy w nim teraz stała. Ale nieskazitelnie czystym.

– Dorastałem, sprzątając domy, więc... taki nawyk.

– Gotuje, sprząta. Pewnie ci się podoba mieszkanie poza kampusem.

Wzruszył tylko ramionami i uciekł się do frazy, którą powtarzał przez całe lato.

– Lubię mieć dużo przestrzeni... podwórze... i spokój... kiedy pracuję. To znaczy studiuję.

– Masz to. Pokażesz mi, co tak ładnie pachnie?

Zaprowadził ją do kuchni, ukradkiem patrząc, jak się po niej przechadza. „Niewiele tu do oglądania”, pomyślał, „poza wiekowymi blatami, krytymi laminatem, oraz topornymi szafkami”. Zważywszy na rozmiary pomieszczenia, zainstalował na ścianie deseczkę z haczykami i idąc za przykładem Sebastiena, powiesił na niej przybory kuchenne.

– Przebywasz tu częściej niż w salonie.

– Chyba tak.

– A to włoskie. – Wskazała talerz z antipasti na jednej z szafek. – Nieodmiennie ulubione.

– Mogę ci zaproponować do tego wino, jeśli masz ochotę.

– Prawnie nielegalne aż do kwietnia, ale się napiję.

Nie miał wazonu, uznał jednak, że szklanka do mrożonej herbaty wystarczy. Włożył do niej kwiaty, nalał wino do kieliszków.

– No dobrze, nie jesteś aż taki perfekcyjny.

– Naprawdę?

– Nie wiesz, jak układać kwiaty. – Odstawiła kieliszek i zajęła się bukietem. – Hayley jest zachwycona, tak przy okazji. Ken wspomniał jej o tobie. Mówi, że jesteś zajebistym korepetytorem. W jego ustach to wielki komplement.

– Udzielałem lekcji w szkole średniej, tu i tam. Ken jest zmotywowany, ale gramatyka go wykańcza. Pracujemy nad tym.

– Szkoda, że nie specjalizujesz się w matematyce. Znam kilkoro ludzi, którzy sobie nie radzą.

– Prawdę powiedziawszy, udzielałem też korepetycji z matematyki.

Popatrzyła na niego, a potem wzięła z talerza papryczkę chili i ugryzła kawałek.

– To znaczy... rachunek różniczkowy i zaawansowana algebra. – Wzruszył ramionami, a ona znów uniosła brew. – Matematyka to tylko liczby, formułki i logika – wyjaśnił.

– Nie powiem, bym kiedykolwiek tak uważała. Ale nigdy już nie będę musiała się tego uczyć. – Spróbowała oliwki. – Dobrze. Tak czy owak, jeśli chcesz mieć więcej korepetycji, to znam parę osób.

– Jasne. Może być.

Oparła się o szafkę, popijając wino.

– Chciałbyś uczyć zawodowo?

– Raczej nie. W tej chwili chodzi o zdobywanie wiedzy. A ty?

– Może. Chciałabym pisać, ale z czegoś trzeba żyć.

– Co pisać?

– Wielkie, rozwlekłe, soczyste powieści. – Obdarzyła go tym uśmiechem. – Co wymaga czasu, talentu i najprawdopodobniej szczęścia, więc niewykluczone, że skończę, ucząc o wielkich, rozwlekłych, soczystych powieściach, które napisali inni ludzie.

„Może”, pomyślał, ale zauważył natychmiast, że w jej przypadku to nie tylko motywacja. To także pasja.

– Ale i tak będziesz pisać.

– To lubię najbardziej. Jestem pewna, że czytasz coś jeszcze poza Szekspirem.

– Wszystko jak leci. Pewnego dnia przeczytam wielką, rozwlekłą, soczystą powieść pióra Mirandy Emerson.

Śmiejąc się, odrzuciła włosy do tyłu.

- Czyż nie jest tak, że każdy student literatury chce pisać, choćby w tajemnicy? Ty piszesz?
– Matka miała nadzieję, że tak będzie. Potrafię pisać... co nieco... ale nie pociąga mnie to.

Rozumiesz.

- Tak, rozumiem. A co cię pociąga?

„Ciemne, ciche domy”, pomyślał. „Zamki, które trzeba otworzyć, sejfy, które trzeba sforsować”.

– Może zbyt wiele, nie umiem skupić się na jednym. Lubię rozgryzać różne rzeczy, sprawdzać, jak działają. Ludzi także. Jacy są? Języki... lubię się ich uczyć. To właśnie tak, jakbym coś rozgryzał. Teatr. Jak to się dzieje... bierzesz konkretną historię, scenografię, aktorów i sprawiasz, że wszystko nagle działa.

– Czekaj, cofnijmy się. – Zakręciła palcem kółko w powietrzu. – Języki? Więcej niż tylko francuski?

– Tak, hiszpański i włoski. Posługuję się całkiem niezłe rosyjskim i portugalskim. Zamierzam też spróbować swoich sił w perskim.

Wtem sobie uświadomił, że za dużo mówi. Bo to było łatwe.

– Głodna?

– Ciągle czynię spustoszenia w tym antipasti, więc owszem.

– Przygotuję makaron.

Już wcześniej zaczął grzać wodę, teraz zwiększył płomień, żeby się prędzej zagotowała.

Popijała swoje wino, potem się przesunęła, by oprzeć się o szafkę przy piecyku.

– Jak to powiedzieć po włosku? No wiesz, gotować makaron?

– *Buttare la pasta.*

– Mogłeś to oczywiście wymyślić na poczekaniu, ale brzmi prawidłowo.

Owinął zawczasu chleb ściereczką i teraz go odkrył, żeby położyć na desce do krojenia.

– Skąd wziąłeś ten chleb? – Trąciła go biodrem, nachylając się, żeby powąchać pieczywo. –

Nie upiekłeś go przecież.

Nie potrafił powiedzieć, czy jest mu głupio, czy odczuwa dumę.

– Pieczenie chleba to dla mnie odpowiednik medytacji.

– Och, przestań, serio!

Kiedy zaczął kroić chleb, chwyciła kawałek z deski i ugryzła.

– Boże, to jest niesamowite. Może powinieneś otworzyć piekarnię?

– Żartujesz? Wiesz, o której godzinie wstają piekarze? W środku nocy. Poza tym pieczenie chleba dla zarobku to żadna medytacja.

– Pewnie tak. Ale mógłbyś to zrobić, i o to chodzi. Tata i ja pieczemy razem pierniki w każde święta Bożego Narodzenia. Wierz mi, nie dalibyśmy rady otworzyć piekarni.

Przyglądała się, jak wkłada makaron do wrzącej wody, wyjmując durszlak i duże miseczki.

– Jesteś pierwszym mężczyzną, który kiedykolwiek dla mnie gotował albo przynajmniej próbował gotować, pomijając ojca.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Spytałabym, czy mogę pomóc, ale wolę nie wchodzić ci w paradę.

Dotrzymała słowa, kiedy wyjmował pomidory czereśniowe, które przekrawał wcześniej na pół, pojemnik z pesto, które przyrządził, oraz więcej świeżej bazylii i kawałek parmezanu.

Skubała z zapałem antipasti, kiedy kroił gorącego grillowanego kurczaka, wyjętego z piecyka, a potem wymieszał w misce makaron, mięso, pesto i pomidory.

– Zrobiłeś pesto z bazylii?

– Tak się je robi.

Pociął ziółko, żeby nim przystroić danie w miseczkach, na koniec posypał wszystko tartym parmezanem.

Nalał trochę octu balsamicznego do czarek z oliwą. Dip. Wszystko, łącznie z chlebem, postawił na stole.

Doszedł do wniosku, że wygląda dobrze. Cholernie dobrze. Tak jak Miranda – ona wyglądała wręcz perfekcyjnie.

– Okej, *buon appetito.*

– To zrozumiałam. – Usiadła, nabrała na widelec makaron. – W porządku. Rany. Wiesz,

kiedy wprosiłam się do ciebie na kolację, pomyślałam, że rzucisz coś na grill, może upieczesz ze dwa ziemniaki... i byłoby w porządku. Ale to jest zdumiewające. I pyszne.

– Jesteś pierwszą osobą, z którą zjadam kolację przy stole.

– A jest jeszcze jakaś inna kolacja?

– Tak, sałatka ziemniaczana Cajun, którą zanoszą do sąsiada i je pod gołym niebem. Albo dzielenie się resztkami spaghetti z dzieciakiem mieszkającym obok.

– Teraz muszę spytać, czym jest sałatka ziemniaczana Cajun.

– Coś całkowicie innego. Pewien przyjaciel z Nowego Orleanu dał mi swój sekretny przepis na tę potrawę.

– Nigdy nie byłam w Nowym Orleanie. Jest tak wspaniałe, jak pokazują w kinie i opisują w książkach?

– Nie przypomina niczego, co znasz. O dziwo! Czuję się tam pewnie i swobodnie, kiedy wszyscy się bawili. Powinnaś się kiedyś wybrać do tego miasta. To nie tylko miejsce. To doświadczenie.

– Okej. Umieszczę to na swojej liście. Gdzie jeszcze byłeś?

– Nigdy wcześniej nie wyjeżdżałem z domu, więc pojechałem w długą podróż do Nowego Orleanu, a potem do Teksasu. Złaziłem wzdłuż i wszerz Smoky Mountains. Znam Chicago, to już wiesz. – Nakreślił dłonią prostą linię. – Nigdy wcześniej nie widziałem takich gór, nie widziałem też oceanu, dlatego zwiedziłem trochę wybrzeże, obejrzałem Outer Banks. Woda mnie pociąga. Woda i góry.

– Kilka lat temu mieszkaliśmy przez tydzień w domu na przylądku Hatteras, to było latem. Pięknie tam jest.

– Gdzie jeszcze byłaś?

– W Anglii. – Oderwała kawałek chleba i zamoczyła w czarce. – Tata, rozumiesz? Anglia, bo Szekspir. Irlandia, bo Yates, Joyce i tak dalej. Olśniewająca i zielona. Maine. I jeśli lubisz ocean, to powinieneś go zobaczyć, stojąc na jednej z tych kamienistych plaż.

– Dopiszę to do listy. Gdzie jeszcze nie byłaś, a chciałabyś pojechać?

– Numer jeden? Florencja. Sztuka, architektura, jedzenie, słońce. Sklepy.

Nagle przestał odczuwać nerwowość i skrzępowanie. Przestał się martwić o to, co powiedzieć – i czego nie powiedzieć. Miał wrażenie, że siedząc z nią przy niewielkim stole, jest bardziej odprężony, niż był kiedykolwiek w życiu.

– Trafiłaś w sedno, jeśli o mnie chodzi. Szczerze mówiąc, wybieram się tam z Mags w czasie ferii wiosennych.

– Mags?

– To moja ciotka.

– Szczęściar z ciebie! Pewnie jesteś z nią blisko związany. Czym się teraz zajmuje? Wciąż prowadzi ten interes ze sprzątniem, od kiedy się przeniosła do Nowego Meksyku?

– Nie, właściwie to... – Mógł powiedzieć cokolwiek, ale wybrał prawdę. – Jest wróżbitką. Wróży przez telefon.

Czekał na jej reakcję, spodziewał się śmiechu, nawet szyderstwa. Tymczasem popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami i trąciła go lekko w ramię.

– Nie mów! Poważnie? Wróży z ręki? No tak. Nie można raczej wróżyć z ręki przez telefon, prawda? Karty tarota?

– Tak, to też, poza tym fluidy i tego rodzaju rzeczy.

– To niezwykle. Czekał. – Wskazała go palcem. – Nie wierzysz w to.

– Musiałabyś znać Mags, żeby... A ty wierzysz? W te paranormalne kawałki?

– „Więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi, niż się wydaje naszym filozofom, drogi Horacjo...”². Będąc w Anglii, pojechaliśmy do Stonehenge, zobaczyliśmy też znacznie mniejszy, ale niewiarygodny krąg kamienny w Irlandii. Jeśli nie poczuło się w tych miejscach tego „więcej”, to nigdy się nie poczuje.

Rozmawiali, bez przerwy, i było to takie swobodne. Nie umiałby powiedzieć, kiedy się przestał denerwować. Wszystko szło jak po maśle.

Książki, które przeczytali, filmy, które widzieli, muzyka, którą lubili, i jeszcze więcej, jedząc makaron i chleb, a potem racząc się włoskimi lodami gelato. Rozmawiali, gdy pomagała mu

w zmywaniu – sama się zaoferowała – i potem, gdy siedzieli jeszcze chwilę, ona z wodą gazowaną, on z colą.

Tuż po północy westchnęła.

– Muszę lecieć. Było doskonale. Chciałabym ci się zrewanżować posiłkiem, ale lubię cię, więc nie mogę fundować ci takiego horroru.

– Moglibyśmy się kiedyś wybrać na pizzę. Albo mogłabyś znowu wpaść do mnie.

– Jedno i drugie brzmi zachęcająco. Spróbujmy czegoś innego. Wybierz jakiś film, a ja zabiorę cię do kina bez ryzyka, że narażę cię na zatrucie pokarmowe. W ten sposób znów się do ciebie wproszę, z czystym sumieniem.

– Okej. Może jutro wieczorem?

Wstała i zaczęła wkładać kurtkę.

– Bardziej pasuje mi poniedziałek. Muszę do rana oddać pracę, a wymaga jeszcze poprawek.

– Poniedziałek będzie w porządku.

„Jakikolwiek poniedziałek”, dodał w myślach, odprowadzając ją do drzwi. „Każdy dzień, każda pora. Zawsze”.

– Wybierz film i prześlij mi wiadomość. – Odrzuciwszy do tyłu włosy, spojrzała mu prosto w oczy. – Dzięki za kolację. Była wspaniała.

Kiedy wyszła na zewnątrz, zobaczył, że deszcz przeszedł w mżawkę. Unosiła się w powietrzu niczym mgiełka, delikatna, chłodna, piękna. Miranda stała w otwartych drzwiach, plecami do tej mgiełki, i – po prostu stojąc – pozbawiała go bez reszty tchu.

– Muszę zadać ci pytanie – rzekła.

– W porządku. – Kiwnął głową.

– Wydaje mi się, że umiem ocenić sytuację, a oceniam, że lecisz na mnie.

– Kto by nie leciał?

– Niezliczeni – odparła swobodnie. – Ale oceniam, że ty lecisz. Dałam ci już ku temu kilka okazji, a ty z żadnej nie skorzystałeś, no to się wprosiłam. I, och, spędziliśmy dobrych pięć godzin w twoim domu, sam na sam. Dobre jedzenie, miłe towarzystwo – znowu tylko wedle mojej oceny. A ty ani razu się do mnie nie dobrałeś.

Znów przyprawiła go o zakłopotanie.

– Nie byłem pewien, czy...

– Mogłam się dobrać do ciebie... nie miałabym nic przeciwko temu. Równe prawa kobiet i mężczyzn i tak dalej. Zastanawiam się, czy wciąż przeżywasz tamto rozstanie.

– Co? Och, nie, nie. Nie – powtórzył stanowczo. – To skończone, raz na zawsze.

– Dobrze wiedzieć. Może nie masz wprawy...

Ponownie zakłopotany i zszokowany, tym razem uniósł się honorem.

– Mam wprawę. Mam cholerną wprawę.

– Może powinienes mi to pokazać. Raz wystarczy – dodała, unosząc palec. – Nie musi być wcale idealnie. Będę wyrozumiała, bo może dawno tego nie robiłeś.

Zirytowany, do czego wyraźnie chciała doprowadzić, przysunął się, po czym złapał ją za biodra, a potem, nie odrywając od niej wzroku, przesunął po nich dłońmi. Powoli. Nie ustawał, póki nie przyciągnęła go do siebie. Blisko, bliźniętko.

Dopiero wtedy przywarł ustami do jej ust.

Jakże tu nie iść na całość? Jak nie ucztować, kiedy jej pragnął... pragnął... pragnął... Mógł jednak dryfować, tak jak dryfowała wokół nich ta mgła. Dryfować niczym rozbitek tonący, a przecież łaknący smaku tej dziewczyny, jej zapachu, jej dotyku, jej wszystkiego, co ją określało.

Nie chciał brać za dużo, w myśl reguły „żadnej chciwości”, po prostu pragnął oddać się tej chwili. Objąwszy ją, rozkoszował się jej uległymi wargami, słyszał ten cichy pomruk w jej krtani.

Wsunęła dłonie w jego włosy, ich pocałunek się pogłębił. A ponieważ jego dłonie też chciały dotykać, brać, ba! chciały zbyt wiele, tylko objął jej twarz i zmienił kąt pocałunku. Zatopił się w niej bez pamięci.

Wreszcie oderwał się, cofnął i spojrzał jej w oczy, w te oczy istnej morskiej czarownicy.

– Nieźle... – wydusiła z siebie.

– Pomyślałem, że od tego zacznę.

Odwrócił ją, przycisnął plecami do framugi i trzymając między sobą a twardym drewnem, uszczknął trochę więcej. Teraz poczuł, jak łochoce jej serce, jak przyspiesza puls... i jeszcze ten dreszcz, który nią wstrząsnął.

– Też dobry wybór.

Podobało mu się drżenie jej głosu, podobnie jak nieuporządkowanie ruchu ręki, którą przycisnęła do jego piersi, by ustalić między nimi dystans.

– Dziesięć punktów na dziesięć możliwych, bez dwóch zdań. Ale teraz naprawdę muszę już lecieć.

– Albo możesz zostać.

Dotknął jej włosów, tych pięknych ognistozłotych włosów.

– Chcę, i to bardziej, niż mi się z początku zdawało, więc tym bardziej muszę iść. Mam zasady co do pierwszej randki i teraz naprawdę pragnę je podważyć, więc... nie mogę.

– Pierwsza randka już była. Piliśmy kawę.

Roześmiała się i pokręciła głową.

– Nie, nie liczy się, zdecydowanie. Zasady to zasady – dodała, wymijając go. – Spróbujmy z tym kinem, pizzą czy czymkolwiek.

– Ja też mam zasady. – A jedna z nich, niby wykuta w kamieniu, głosiła, że należy szanować decyzję kobiety. – Poniedziałek wieczorem.

– Poniedziałek wieczorem.

Patrzył, jak idzie przez mgłę do swojego samochodu, a potem odjeżdża.

I pomyślał: „O tym właśnie mówią. We wszystkich książkach, o tym właśnie piszą”.

To było zakochanie.

*

Po przyjeździe do domu Miranda odwiesiła na wieszak kurtkę, cicho i bardzo ostrożnie. Po czym bardzo cicho weszła na schody.

Wiedziała, że w sypialni ojca pali się światło, zobaczyła jego blask, podjeżdżając pod dom. Ale wiedziała też, że często zasypiał, czytając w łóżku; okulary zsuwały mu się wówczas na nos, a otwarta książka leżała na piersiach.

Nie tego wieczoru.

Usiadł, mając na sobie podkoszulek z emblematem Tar Heels, i kiedy do niego zajrzała, zamknął książkę.

– Wiesz, tato, jestem za duża, żebyś musiał na mnie czekać – oznajmiła.

– Nigdy nie będziesz na to za duża. Poza tym nie czekałem. Czytam bardzo dobrą książkę w dżdżystą sobotnią noc. Jak kolacja?

Usiadła w nogach wielkiego łóżka, należącego kiedyś do jej babki.

– Upiekł chleb.

Ben zmarszczył brwi.

– To znaczy... z drożdży i mąki?

– Tak, powiedział, że to coś w rodzaju medytacji. I przyrządził niesamowity makaron z pesto, które też przygotował od zera.

– Umiałabyś to zrobić?

– On umie. Jego dom... jest uroczy... i taki czysty, że zdaje mi się, że żeby to osiągnąć, musiałabym rano splukać swój pokój szlauchem. Jego matka i ciotka miały firmę sprzątającą, a on im w niej pomagał. Och, i jego ciotka nazywa się Mags, to wróżka! udziela porad przez telefon! Nie mogę wyjść z podziwu. Od razu widać, że ją kocha, nie tak zwyczajnie, kocham swoją ciotkę, tylko naprawdę. – Wstała i podszedłszy do okna, wyjrzała w mglistą noc. – I udzielał też korepetycji z matematyki, powiem więc Nate, żeby się z nim skontaktowała. I mówi nie tylko po francusku, ale też włosku, hiszpańsku, rosyjsku, portugalsku.

Ben poruszył się niespokojnie w łóżku.

– Jesteś pewna, kochanie, że nie zmyśla trochę?

– Nie. Przede wszystkim trzeba na początku wyciągać z niego pewne rzeczy. Nie jest nieśmiały, tylko... – zastanowiła się – ostrożny. Musiałam go sprowokować, żeby mnie pocałował.

– Och, Mirando. Ile jeszcze siwych włosów mi przysporzysz?

Podeszła znów do łóżka i przycisnęła usta do jego policzka.

– Jako mój ojciec dowiesz się z zadowoleniem, że kiedy mógł wykorzystać okazję... przepraszam, zsiwiał kolejny włos na twojej głowie... mógł i nie zrobił tego. Nie naciskał, nie był natarczywy, nie dąsał się. Ma to, co według ciebie jest takie ważne.

– Zasady.

– Właśnie. Jest wyjątkowy, tato. Różni się od innych, a ja chcę się dowiedzieć o nim jak najwięcej. W poniedziałek wieczorem zabieram go do kina.

Ujął jej dłoń i zaczął pocierać ją delikatnie.

– Będziesz ostrożna, prawda?

– Wiesz, że jestem. Zostałam odpowiednio wychowana.

– Lubię go. Jest bardzo inteligentny i odznacza się taktem, ale bez sztywności czy nachalności. Zaprosimy go kiedyś na kolację. Suzanna coś nam przygotuje, a potem ja zacznę go grillować jak rybę na ruszcie.

– Okej, może być. – Znowu pocałowała go w policzek. – Nie czytaj za długo, tato. Wiesz, że w końcu zaśniesz, a potem jak zwykle będzie cię bolała szyja.

– Masz jak zwykle rację. Dobranoc, kochanie.

Zaczekał, aż drzwi sypialni się zamkną, po czym odłożył książkę.

Nie czekał na nią wcześniej – no, niezupełnie. Czytał. Teraz jednak, kiedy najważniejsza osoba w jego świecie wróciła do domu cała i zdrowa, mógł zasnąć.

Owszem, niepokoił się trochę, widząc błyszczące oczy córki, kiedy mówiła o tym chłopaku, ale mimo wszystko mógł zasnąć.

– Sześć języków?... – mruknął Ben, gasząc światło. – W jego wieku?... Przekonamy się.

Rozdział 13

Przed poniedziałkiem Booth miał kolejnych trzech studentów. Musiał zonglować swoim czasem, ale zawsze mu się udawało. Usadawił się w jednej z sal do nauki z przyjaciółką Mirandy, Hayley. I prędko się przekonał, że dziewczyna lepiej włada francuskim niż futbolista piłką.

Co więcej, zorientował się, że na poważnie chce poprawić swoje wyniki i że w związku z tym, pomijając jej liczne potknięcia, jeśli chodzi o umiejętność czytania francuskich tekstów, poznał jej ulubione słowo.

Merde.

– Okej, czas kończyć. Posłuchaj, idzie ci nieźle w konwersacji. Musisz się tylko podciągnąć w tłumaczeniu i rozumieniu języka pisanego. Tak więc praca domowa.

– *Merde.*

– Owszem, rozumiem, ale mimo wszystko... Rób coś w rodzaju wpisów do dziennika. Wybierz dzień albo wymyśl go sobie. I tak się nie zorientuję. Pisanie pomoże ci czytać większe partie tekstu. I przejrzyj w bibliotece dział zagraniczny, wypożycz francuskie tłumaczenie jakiegoś romansu lub kryminału.

Popatrzyła na niego zmrużonymi oczami.

– Romansu, bo jestem dziewczyną?

– Wolałabyś, żebym ci podsunął Cervantesa albo Dumasa?

– Już to czytałam. Wkurzające.

– Jasne. Chodzi mi o to, żebyś przeczytała coś, co zostało przetłumaczone z angielskiego na francuski.

– Kapuję. I żeby mnie to nie wkurzało. Poza tym wiem po tej lekcji, dlaczego Miranda na ciebie leci.

Znów podskoczyło w nim serce.

– Naprawdę?

– No błagam. – Przewracając wymownie oczami, Hayley zbierała swoje rzeczy. – Nie mówiłabym tego, gdybyś już nie wiedział. Bawcie się dobrze w kinie.

– Dzięki. Do zobaczenia następnym razem.

Chwycił plecak, myśląc o tym, że kupi sobie colę, żeby przetrwać następne zajęcia. Po drodze wpadł na Bena.

– Masz chwilę, Booth? Miranda powiedziała mi, że znasz włoski.

Skinął głową, ponieważ był w stanie myśleć teraz tylko o tym, że Miranda rozmawiała o nim z ojcem. To dobrze? Źle?

Doszedł do wniosku, że obie odpowiedzi będą prawidłowe.

– Czytasz w tym języku?

– Tak, ja...

– Świetnie. Ja nie czytam. – Ben pogrzebał w swojej torbie i wyjął świstek papieru. – Możesz mi to przetłumaczyć?

Chłopak wziął karteluszek i przebiegł treść wzrokiem.

– Tak, to Dante, cytat z *Piekle*. Zna pan to po angielsku, bo jest popularne. „Nie lękaj się; nasz los nie może być nam zabrany; to dar”³.

– Och, oczywiście. Mimo wszystko... – powiedział Ben, odbierając od niego kartkę. – Wielu z nas pragnie czasami, by móc zwrócić ten dar.

– W takim razie wszystko by się zmieniło.

– Prawda. Słyszę, że udzielasz korepetycji. Francuski, rachunek różniczkowy, wybitni pisarze... Jane Austen.

– Tak, proszę pana. Jakoś tak wyszło.

– Rachunek różniczkowy i Jane Austen. Nieźle połączenie. Pozwól, że o coś cię spytam,

Booth.

Nie obrócił się w kamień, ale się spał. Nie wtopił się w otoczenie tak, jak powinien. Kiedy człowiek się wyróżniał, ludzie to dostrzegali – i zadawali pytania.

– Pamięć ejdetyczna czy rozległość zainteresowań?

Nie było to z pewnością pytanie, jakiego się spodziewał.

– Może jedno i drugie.

– Może. Stawiałem na pamięć.

– To też jakoś tak wyszło.

– Rzecz rzadka i cenna. Zdecydowanie dar, którego nie chciałbyś zwrócić.

– Czasami zapamiętywanie szczegółów nie jest wielką zaletą.

Przeglądając mu się, Ben skinął głową.

– Pewnie masz rację. Przyjdź jutro wieczorem na kolację.

– Słucham?

– Na kolację, Booth. Jutro. O siódmej. Dzięki za przetłumaczenie tekstu.

To powiedziawszy, Ben oddalił się, a Booth stał jak przykuty do miejsca.

Wiedział, że powinien odwołać tę randkę w kinie. Na dobrą sprawę powinien był pójść do domu, spakować się i wyjechać. Natychmiast. Były inne miejsca, inne uczelnie. Zawsze mógł się gdzieś wślizgnąć.

Ale pamiętał wszystko, każdą cholerną rzecz. Pamiętał, jak to jest siedzieć i rozmawiać z Mirandą, jak to jest słyszeć jej śmiech. Jak się czuło jej usta na wargach, kiedy ją całował.

Wiedział, jak to jest znowu być u siebie i znowu mieć przyjaciół – coś, czego unikał od wyjazdu z Nowego Orleanu.

Nie chciał się tego wyrzekać. Nie chciał się JEJ wyrzekać. Odsonił się bardziej niż trochę. Ale wierzył, że sobie poradzi, że się dostosuje.

Dante twierdził, że los jest darem? Hmm. Świetnie. Postanowił, że się zorientuje, jak go wykorzystać.

*

Randka w kinie, wspólny popcorn, całowanie dziewczyny na dobranoc mogło być dla większości chłopaków czymś zwyczajnym, ale w przypadku Booth'a zajmowało najwyższe miejsce na liście. Wszystko, co się łączyło z Mirandą, stanowiło szczyt listy.

Wiedział, o co chodzi w chemii, w biologii, co to są endorfiny. Tak jak wiedział, że to, co go w niej pociąga, nie jest tak zasadnicze ani elementarne jak nauki ścisłe.

Gdyby jej obecność w jego życiu, gdyby budowanie z nią życia okazało się błędem, to był gotów zmierzyć się z konsekwencjami.

Kolację z jej ojcem uważał za pierwszą z tych konsekwencji. Przygotował się do niej tak, jak przygotowywał się do skomplikowanej roboty. Wyszukał w necie artykuły, w których udzielano porad w kwestii spotkań z rodzicami sympatii. Oczywiście, poznał wcześniej profesora Emersona, ale niczego to nie zmieniło.

Przeczytał zyciorys Bena, zapoznał się też z pracami naukowymi, które opublikował. Nawet przygotowując się do roboty, którą wyznaczył sobie na czwartkową noc, zastanawiał się nad wyborem garderoby na kolację, nad odpowiednimi tematami rozmów i osobistą historią życia.

Zjawił się punktualnie o siódmej, już pragnąc, by ten wieczór dobiegł końca.

Drzwi otworzyła Miranda, przypominając od razu, dlaczego przygotowywał się na tortury. Miała na sobie dzinsy i sweter, który przypominał mu sosny na wzgórzach w Smoky Mountains.

Kiedy się uśmiechnęła, wszystko w nim zajaśniało.

– I oto zjawia się z darami – rzekła. – Domyślam się, że kwiaty są dla mnie, a bourbon dla ojca.

Wzięła od niego bukiet. Zdecydował się na czerwone róże, żeby wyglądało klasycznie.

– Wejdz, włożę kwiaty do wody. – Ujęła go za rękę i ścisnęła. – Nie będzie za bardzo bolało. Przrzekam.

Nie wierzył w to ani przez chwilę, ale dom oczarował go tak jak poprzednim razem; wyobrażał sobie, jak to jest nazywać taką siedzibę miejscem wielu pokoleń.

Ben stał w kuchni, ostrząc nóż do mięsa.

– Nie martw się. To nie na ciebie. – Brew profesora powędrowała w górę, tak jak u córki. – Na razie. Przyrządzamy pieczonego kurczaka.

– Pachnie wspaniale. Dziękuję za zaproszenie. Słyszałem, że lubi pan dobry bourbon.

– Owszem. – Ben odłożył nóż i wziął butelkę. – Woodford Reserve. Doskonały wybór. Napijesz się ze mną?

– Prowadzę...

– Właściwa odpowiedź. Mam nadzieję, że przyniosłeś ze sobą też apetyt. Suzanna przeszła samą siebie. Podobno świetnie gotujesz.

– Lubię to.

– Jeśli mogę się czymś w kuchni pochwalić, to krojeniem. Jestem wyjątkowym krajaczem. A Miranda znakomicie miesza.

– I sieka – dodała, kończąc układać kwiaty. – Jestem doskonałym siekaczem i ponadprzeciętnym obieraczem.

– Niewiele jest dań, które można by przyrządzić bez mieszania, siekania czy obierania.

– Bez wątpienia Suzanna zrobiła to wszystko. Przystąpmy do sprawdzenia, jak jej poszło.

Kurczak spoczywał na półmisku, w którym Booth rozpoznał porcelanę marki Wedgwood. Ben rzeczywiście odznaczał się pewną ręką, jeśli chodzi o krojenie, a ponieważ stół był już nakryty – w stylu elegancko wyszukany – na trzy osoby, usiedli do posiłku.

Miał kieliszek na wodę – niegazowaną albo gazowaną – i na wino. Nalał sobie połowę, ilość, którą uważał za możliwą do zaakceptowania.

Ben wznosił toast.

– Za koniec półsemestru. Jak ci poszło, Booth? Wiem, że jesteś najlepszy w mojej grupie. Świetna praca na temat roli płci w *Makbecie*.

– Dziękuję. Wiem, że wygląda to na podlizywanie, ale naprawdę podobają mi się pańskie zajęcia.

– Nie mam nic przeciwko podlizywaniu, ale wiem, że lubisz moje zajęcia. Co rozbudziło twoje zainteresowanie Szekspirem?

– Oglądaliśmy *Henryka V* w telewizji – tego z Laurence’em Olivierem – kiedy byłem mały.

Te wszystkie bitwy i wewnętrzne konflikty, odkupienie... Ale głównie chodziło o bitwy. Więc wypożyczyłem sobie z biblioteki tom dzieł zebranych.

– Ile miałeś lat?

– Jedenaście.

– Szekspir występował czasem w moich opowieściach na dobranoc – wtrąciła Miranda.

Ben uśmiechnął się do córki.

– Nigdy nie jest się za młodym na Szekspira.

– Język, rytm, wszystko to wydawało się kojące.

Ben pomachał widelcem w stronę Bootha.

– Właśnie. Nie można tego samego powiedzieć o moich kołysankach. Co cię pociąga w języku, Booth?

– Hmm... W języku nie chodzi tylko o komunikację. Jasne, jest ważna, ale liczy się też kultura, poza tym to coś osobistego, nawet intymnego. To, jak się go używa, jak brzmi i wygląda.

– Wygląda?...

– Na papierze albo pod postacią znaku migowego.

– Umiesz posługiwać się językiem migowym?

– Tak. I chyba dość niezle.

– Tata chce się tego nauczyć. Wydaje się, że nigdy nie ma na to czasu – wtrąciła znowu Miranda.

– Może mógłbyś mnie poedukować? Trener Kena powiedział mi, że chłopak dostał czwórkę z ostatniego testu z francuskiego, a to duży postęp wobec poprzedniej trójki z minusem. Musisz mieć iskrę. Nauczycielską iskrę.

– Głównie sprowadza się to do tego, żeby znaleźć słabe punkty i poradzić sobie z nimi. Poza tym Ken ma motywację. Chce być zawodowym graczem.

– Lubisz futbol?

– „Lubisz” to chyba za dużo powiedziane.

Kręcąc głową, Ben zjadł trochę kurczaka.

– Smutna sprawa. Miranda ledwie toleruje futbol.

– „Toleruje” to chyba za dużo powiedziane – zachnęła się.

Po czym popatrzyła na ojca, unosząc po swojemu brew.

– Jeszcze smutniejsza sprawa. Kiedy Miranda miała dwanaście lat, błagała, jęczała i czarowała, żeby wolno jej było przekłuć sobie uszy.

– Ojciec wyznaczył granicę trzynastu lat, co stanowiło dość arbitralne rozwiązanie.

– Granicą była zgryzota. Zniżyłem się do łapówki. Jeśli obejrzy ze mną mecz w niedzielę po południu, zabiorę ją do salonu, żeby przekłuła sobie uszy.

– A kiedy dotrzymałam warunków umowy, nie płakałam podczas zabiegu, choć ostrzegał mnie, że tak właśnie będzie.

– Sam trochę płakałem.

Roześmiała się i nachyliła, by dotknąć dłoni Bena.

– Ojciec naprawdę płakał.

Booth pomyślał, że dobrze razem wyglądają. Że do siebie pasują. Poczł przelotny smutek z powodu matki, bo przypomniało mu to, jak bardzo do siebie pasowali.

– No więc, Booth, powiedz mi, jakie masz plany? Co zamierzasz zrobić, znając te wszystkie języki. Nauczać, wybrać karierę tłumacza, zostać międzynarodowym złodziejem klejnotów?

Zamaskował nagły wstrząs, częstując się marchewką.

– Nie zdecydowałem jeszcze, ale mógłbym to wszystko połączyć. Wykorzystywać nauczanie jako przykrywkę i pomagać władzom swoimi umiejętnościami językowymi, a jednocześnie podróżować po świecie, kradnąc diamenty.

– Po prostu diamenty? – spytała Miranda.

– Mógłbym się wyspecjalizować. Różnią się kolorami, rodzajem obróbki, karatami. Ale serio mówiąc, w tej chwili zastanawiam się nad studiami podyplomowymi.

– W jakiej dziedzinie?

Historia ze studiami podyplomowymi była prawdziwa, toteż postanowił się jej trzymać.

– Na tym polega problem. Na czym się skupić. Lubię uczelnię. Podoba mi się jej struktura i cel, ale to mnóstwo możliwości i trudno mi wybrać z tego wszystkiego jedną czy dwie rzeczy.

– Jeśli zdecydujesz się na studia podyplomowe, tutaj, w Karolinie, zawsze przyda mi się dobry AW. Posmakowałbyś tego i przekonał się, czy z tej twojej iskry rozgorzeje prawdziwy płomień.

AW. Asystent wykładowcy. Człowieka, z którego córką miał nadzieję się przespać?

– Nie wiem, czy dałbym sobie radę. Uczyłem tylko pojedyncze osoby. Można się wtedy naprawdę skupić.

– Warto się nad tym zastanowić. Wielu absolwentów literatury ma nadzieję pisać.

– Nie jestem w tym taki dobry. Tworzenie czegoś to nie to samo, co analizowanie czegoś, co stworzył ktoś inny. Moja matka... – Zająknął się, mimo to brnął dalej. – Liczyła na to, że będę pisał. Uwielbiała czytać. Zaliczyłem wprawdzie kilka kursów, ale...

– Ale? – naciskał Ben.

– Wykładają tam te wszystkie zasady i zależnie od wykładowcy uważają je za niepodważalne. Potem człowiek coś czyta i ma wrażenie, że to naprawdę dobra książka, bo wciąga bez reszty i nie jest napisana według tych zasad. A potem czytam to samo, mając na względzie te wszystkie zasady, i lektura jest do niczego.

– Ale nie przestałeś czytać ani lubić książek.

– Nie, przestałem czytać z tymi wszystkimi zasadami w głowie. Myślę, że trzeba po prostu wiedzieć, jak po swojemu opowiedzieć jakąś historię. Nie mam... jak się pan wyraził... tej iskry.

Gospodarz popatrzył na córkę.

– Udziela mądrych odpowiedzi.

– Skończyłeś go grillować, tato?

– Kochanie, ledwie zacząłem filetować. Będę go grillował dopiero w czasie deseru.

Przy szarlotce istotnie zrobiło mu się trochę gorąco. Ben chciał wiedzieć to i owo o jego życiu w Chicago, o czasie spędzonym w Nowym Orleanie, w Teksasie, w trakcie podróży.

Booth już wcześniej się na to przygotował, wiedział więc, co powiedzieć i jak.

Kiedy przy kawie zeszli na temat Mags – Booth pił colę – Ben nie krył fascynacji.

– Pracowała w wędrownym cyrku – rzekł.

– Jakiś czas, owszem.

Siedzieli w salonie, ogień przygaszał.

– Kiedy obie siostry straciły rodziców, zajął się nimi brat ich matki. Potem Mags wyjechała w trasę, a mama zaczęła pracować w sklepie rzeźniczym wuja. A potem ja się zjawiłem, a Mags wróciła, żeby pomóc. Kiedy wuj zmarł, założyły firmę sprzątającą.

– „Siostry – wszystko na błysk” – wtrąciła Miranda.

– Tak. Czasem Mags mówiła, że dom klienta ma złe wibracje, więc przynosiła tam kryształki i kadzidełka z białej szaławii. Odprawiała czary. Nadal tak robi.

– A teraz wróży przez telefon.

Ponieważ Ben dopowiedział to z wyraźnym zadowoleniem, Booth uśmiechnął się do niego szeroko.

– Tak. Jest wyjątkowa.

– Jeśli przyjedzie tu z okazji otwartego dnia, to mam nadzieję, że mnie przedstawiś. No cóż, wiem, że to osobiste, ale nie wspomniałeś nic o ojcu.

– Zniknął, zanim się urodziłem.

– Ach. No cóż, mogę szczerze powiedzieć, że to jego strata. – Popatrzył na Mirandę. – Aprobuję tego chłopaka. A teraz naleję sobie dwa naporstki tego wysmienitego bourbona i pójdę na górę. Jesteś tu zawsze mile widziany, Booth.

Kiedy Ben podniósł się, on uczynił to samo.

– Dziękuję, panie profesorze. Za posiłek i wszystko.

– Ben. Tu możesz mi mówić po imieniu. I pomyśl o tej funkcji asystenta. Myślę, że masz do tego talent. – Pochylił się i pocałował Mirandę w czubek głowy. – Dobranoc, kochanie.

– Dobranoc, tato.

Kiedy Ben wyszedł, a Booth znowu usiadł, Miranda odwróciła się, ujęła jego twarz w dłoń i zaczęła go całować, aż zakręciło mu się w głowie.

– Zaproś mnie na kolację w piątek wieczorem.

– Przyjdź w piątek na kolację.

– Z przyjemnością. – Znowu go pocałowała. – Powiem tacie, żeby na mnie nie czekała.

*

Odnosił wrażenie, że to najdłuższy tydzień w jego życiu. Miał na głowie mnóstwo nauki, niezliczone godziny korepetycji i obowiązki domowe, których nie chciał zignorować.

Jakby tego było mało, zajmował się ostatnimi przygotowaniami do roboty wewnątrz ładnie odnowionego domu w stylu kolonialnym; chodziło o naszyjnik z diamentów i szmaragdów. Klejnot dowodził bezguścia jego właściciela, ale ponieważ zależało mu na kamieniach, upodobania nie liczyły się aż tak bardzo.

Miał rozległe trzygodzinne okienko, żeby wejść do środka, sforsować sejf, zabrać krzykliwą błyskotkę i wyjść. A że mieszkające tam małżeństwo, które uczestniczyło akurat w próbnym obiedzie weselnym córki, nie zawracało sobie głowy włączeniem alarmu, całe przedsięwzięcie – planował je przez dwa tygodnie – zabrało mu niespełna czterdzieści minut.

Miał dość czasu na zwędzenie kamieni i przygotowanie do wysyłki kurierskiej w słoiku z kremem Nivea. Paczka miała trafić do Sebastiena, który za wynagrodzenie związane z poniesieniem kosztów manipulacyjnych przekazałby ją odpowiedniemu kontaktowi.

System dobrze się sprawdzał.

Honorarium mogło pokryć opłatę za studia podyplomowe.

Wreszcie wraz z porywistym wiatrem, który raz po raz wstrząsał drzewami, nadszedł piątek. Booth żałował, że nie ma kominka, chodziło o atmosferę. Postanowił, że jeśli kiedykolwiek będzie miał własny dom, to tylko z kominkiem.

Ponieważ pragnął, by Miranda poczuła smak Nowego Orleanu, przygotował w garnku jam-balayę, a w piecyku zagrzał chleb kukurydziany. I tym razem nie czuł się głupio, zapalając świece. Puszczal nawet na swoim iPodzie cichego bluesa.

Pospieszna analiza nastroju dowodziła, że kiedy w końcu zapukała do jego drzwi, odczuwał

bardziej podniecenie aniżeli nerwowość.

Miała na sobie dżinsy, buty za kostkę i sweter koloru gniesionych borówek. Zamiast wina lub kwiatów trzymała w ręku niewielką torbę z osobistymi rzeczami.

– Jeśli nie wyjdzie, zabiorę to z powrotem do domu. – Postawiła ją tuż za drzwiami. – Co tak ładnie pachnie?

– Jambalaya.

– Naprawdę? Nigdy tego nie jadłam. Powiedziałabym, że nie mogę się doczekać, żeby tego spróbować, tylko że... Możemy się wstrzymać chwilę?

– Jasne.

Chciał ją pocałować, ale zaczęła krążyć po salonie.

– Świetnie, bo naprawdę chciałabym wiedzieć, czy wszystko wyjdzie jak trzeba. – Odwróciła się do niego. – Jestem trochę niespokojna... to chyba najadekwatniejsze określenie. Nie wiem, czy potrafiłabym zjeść kolację, nie wiedząc.

Uświadomił sobie, że tym razem to ona jest kłębkim nerwów. Podeszedł więc do niej, przyciągnął do siebie i przywarł ustami do jej ust. Poglębił pocałunek, pozwalając, by pochłonął bez reszty ich oboje.

Położyła mu dłoń na policzku, spojrzała w oczy.

– Myślę, że wszystko uda się znakomicie – powiedziała.

– Jeśli zmienisz zdanie... – zaczął.

– ...nie zamierzam zmieniać zdania.

– Chciałem powiedzieć – wziął ją za rękę i poprowadził do sypialni – że jeśli zmienisz zdanie, nigdy więcej nie zjem jambalaj ani chleba kukurydzianego.

– Nie mogę być za to odpowiedzialna.

Znowu ją pocałował.

– Światło zgaszone? Światło zapalone?

– Och, no cóż...

– Niech będą świece. – Ustawił kilka w niecierpliwym oczekiwaniu i nadziei. Kiedy je zapalał, przyszło mu nagle coś do głowy. Popatrzył na nią, doznając niejakiej paniki. – To nie jest chyba... no... twój pierwszy raz.

– Nie. Miałam dwóch moich niby poważnych chłopaków, więc to nie jest mój pierwszy raz.

– Podniesiona brew i uśmiech uświadomiły mu, że znów prześladowają ją nerwy. – A ty?

– Nie.

– Jak widzę, nie podajesz żadnej liczby.

– Nie – odparł zdecydowanie.

– Wnioskuje z tego, że będę w dobrych rękach.

– To, co jest teraz... wydaje się inne.

– Tak.

„I dobre”, pomyślał, przyciągając ją do siebie. „Dobre pod każdym względem”.

Nie zamierzał się spieszyć, nie w sytuacji, gdy każda chwila zdawała się małym cudem – dotyk jej ust na jego wargach, śliskość języka, zjednoczenie oddechów.

Wiedział, że to zapamięta, wszystkie te drobne cuda. Zapach jej włosów, dotyk skóry, szelest poruszanych wiatrem gałęzi za oknem.

Ciągnęła jego sweter; on ciągnął jej.

Roześmiała się i cofnęła.

– Muszę zdjąć buty – oznajmiła.

– Dojdziemy do tego. – Ponownie przyciągnął ją do siebie, po czym zdjął jej sweter przez głowę. Co wydało mu się niewiarygodne i zarazem doskonałe, skąpy staniczek miał kolor swetra. – Jesteś piękna. Boże! Po prostu piękna.

Wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Znowu ją pocałował, tym razem głęboko; jego dłonie wędrowały po niej swobodnie.

Zmuszał się do powolnego tempa, choć ta powolność była dlań istną walką. Oraz do swobody, choć i ta swoboda przychodziła mu z trudem.

W tle rozbrzmiewały ciche dźwięki *Teasin' You* Snooksa Eaglina, nowoorleańskiego gitarzysty; Boothowi, kiedy przyciskał wargi do jej serca, udzielał się ten spokojny, równy rytm

utworu.

Mirandę natomiast ten powolny rytm zaskoczył. Spodziewała się raczej pośpiechu – była wręcz gotowa dostosować się do szybkiego tempa – tymczasem długa i drobiazgowo eksploracja zdumiała ją, ale i zachwyciła, rozbudzając w niej każdy nerw.

Jej ciało raz po raz przeszywał dreszcz podniecenia. Przyprawiało ją to o dzikie rozedrganie, a jednocześnie omdlewającą słabość.

„Wprawne dłonie”, pomyślała. „Tak, jestem w dobrych, bardzo dobrych rękach”.

Nieomal unosiła się pod nimi, falując jak rzeka, całą sobą przyjmowała od niego dar bliskości i starała się ze wszystkich sił odplacić tym samym.

Miał taki długi tors, szczupły, zwarty. Gładką skórę, zadziwiające mięśnie, które napinały się i rozluźniały pod dotykiem jej dłoni. Pragnęła zatracić się, i to bardziej, niż kiedykolwiek by się o to posądzała; ściągnęła z niego sweter.

On, posługując się jedną ręką, rozpiął jej z wprawą stanik i znów przyprawił ją o dreszcz.

– Niezła sztuczka... – wymamrotała, a potem kiedy jego usta zawładnęły jej piersią, wygięła się w łuk i jęknęła z rozkoszy.

Językiem, zębami, wargami – doprowadzał ją nad skraj otchłani.

Jego dłoń zsunęła się niżej, a palce rozpięły jej dzinsy z tą samą rozważną wprawą. A potem wystarczyło tylko, że przycisnął dłoń do jej łona, a runęła na złamanie karku poza krawędź tej otchłani.

– Zdejmę ci buty – wyszeptał.

Teraz jego usta zsuwały się niżej, rozpalając w niej nowy ogień.

– Nieważne... nieważne... tylko nie przestawaj.

– Dla mnie ważne. Chcę cię rozebrać.

Nawet gdy ściągał jej buty, jego język błędził po niej, sunąc lekko po jej kroczu. Wstrząsnął nią orgazm, niczym gorący, wilgotny pocisk, który omal jej nie zmiażdżył.

Brał ją teraz dłońmi, ustami, całym sobą, wiedziała, że zdjął z niej nie tylko ubranie, ale wszystko.

Nie przejęła się tym.

Kiedy zaczął rozpinąć swoje dzinsy, sięgnęła ręką w dół.

– Pozwól mi, proszę. Pozwól mi. – Zmagala się przez chwilę z materiałem, po czym parsknęła śmiechem bez tchu. – Trzęsą mi się ręce. To nienormalne.

„Nie”, pomyślał, „to doskonałe”. Jej dłonie na jego ciele, połysk jej włosów, spokojny i niespieszny ogień w blasku świec, jej dreszcz, ponieważ pragnęła, tak jak i on pragnął.

Wreszcie się na niej położył i ich usta znów się spotkały, wygłodniałe teraz, chciwe. Otworzyła się przed nim, oplotła go długimi kończynami, z bijącym mocno sercem.

Wiedział, że zapamięta jej włosy rozsypane na jego prostej białej pościeli, jej czarodziejskie oczy wpatrzone w niego. Wiedział, że zapamięta ten oddech, który utkwiał w jej krtani, kiedy w nią wszedł.

Wiedział, że zapamięta, kiedy tak poruszali się w zgodnym rytmie, że to, co go wypełniało, było czymś więcej aniżeli tylko przyjemnością, więcej aniżeli pożądaniem, więcej aniżeli triumfem.

Oto znalazł skarb, coś drogiego, o wartości niemożliwej do określenia. Coś, o czym mógł tylko śnić.

Rozdział 14

Żałował, że nie potrafi ani pisać poezji, ani komponować muzyki, ani malować. Z pewnością ułożyłby epicki poemat, poruszającą duszę pieśń, stworzyłby arcydzieło dzięki temu, co się w nim w tej chwili obudziło.

Leżał z jej głową na swoim sercu i wiedział, że jeśli dotrwa setki, nigdy już nie zazna piękniejszej chwili.

– Naprawdę się udało – rzekła.

Rozbawiła go, a wraz ze śmiechem rozwarła się w nim przestrzeń wolności.

– No nie wiem, powinniśmy pewnie spróbować znowu, kilka razy, żeby się upewnić, że nie był to jakiś fuks.

– Sensowne. – Potarła go szybkim ruchem po piersi. – Wiesz, ukrywasz to wszystko bardzo dobrze.

– Swoje zdumiewające talenty seksualne?

– To też. Mięśnie. Jesteś całkiem muskularny jak na szczupłego faceta. Kiedy zauważyłam, że patrzysz na mnie tego pierwszego dnia na zajęciach taty, pomyślałam: ten chłopak ma naprawdę ładną twarz. I gdy widziałam cię na kampusie, pomyślałam: wysoki chłopak, klasycznie szczupły. Sądziłam, że jesteś tancerzem.

– Co? Dlaczego?

– Ze względu na to, jak się poruszasz, zwinnie niczym kot, atletycznie, ale nie na sposób sportowy. Właśnie jak tancerz.

– To mój wrodzony i znowu zdumiewający wdzięk. Nie chciałem cię wcale polubić.

– Teraz moja kolej. – Uniosła głowę, żeby mu się przyjrzeć. – Co? A to dlaczego?

– Bo gdy tylko cię zobaczyłem, wszystko inne znieruchomiło, odpłynęło, straciło znaczenie. A potem mój świat obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Fiknął kozła, innymi słowy. Naprawdę mnie wkurzyłaś.

Odrzuciła z uśmiechem włosy.

– To najwspanialszy komplement w dziejach komplementów.

– Doszedłem do wniosku, że musisz być snobistyczną, arogancką suką, inaczej nie mógłbym przestać o tobie myśleć. Okazało się, że nie jesteś, więc cały trud poszedł na marne.

– Przepraszam...?

– O nie. Żadnego przepraszam.

– Owszem. Ja też o tobie dużo myślałam. Ten tajemniczy facet z ciemnoniebieskimi oczami, przemykający po kampusie niczym cień.

– Nie jestem tajemniczy.

– Trochę jesteś. A ja lubię zagadki. Tata powiedział, że okrywa cię mnóstwo warstw. Warstw bardzo interesujących. I że jesteś szalenie inteligentny, a mówi to ktoś, kto sam jest cholernie inteligentny. I masz sztamę z kujonami, i to prawdziwą, choć sam kujonem nie jesteś. Ale lubisz przebywać sam, poza kampusem, z dala od zgiełku. Dojrzałszy niż większość. Tutaj i tutaj – powiedziała, stukając go palcem w serce i skroń.

– Na pewno nie studiujesz psychologii?

– Jestem tylko niedoszłą pisarką, która lubi rozgryzać innych ludzi. Zamierzam w końcu kiedyś o nich pisać. A że leżymy nago w łóżku, rozgryzanie jest ważne.

– Mam pewność, że jestem w tobie zakochany, jeśli jeszcze tego nie rozgryzałaś.

Znowu położyła mu głowę na sercu.

– A ja mam pewność, że mogę powiedzieć to samo. To doprawdy przerażające.

– Tak, owszem. Ale też... i wspaniale, bo nigdy się z nikim tak nie czułem. I nigdy nikogo nie pytałem, czy możemy się ze sobą spotykać, i z nikim innym.

Przywarła ustami do jego piersi.

– To już absolutnie pewne. Przynajmniej dla mnie.
– Dajesz mi szczęście, bezgraniczne. Upłynęło sporo czasu, zanim to szczęście przeniknęło przez wszystkie warstwy. – Usatysfakcjonowany, pełen nadziei, głaskał ją po plecach. – Głodna?
– Łaknąca.
– Chodźmy coś zjeść, a potem może wybierzemy się na spacer. Później wrócimy tu i znowu spróbujemy, no wiesz, żeby się upewnić, że to nie fart.
– Jestem za.
– Jeszcze jedno – dodał, podnosząc się razem z nią. – Jeśli się okaże, że nie smakuje ci jambalaya, odwołam wszystko.
– To bardzo jednoznaczne.
– Ktoś mi oznajmił ostatnio, że zasady to zasady.
Okazało się, że jambalaya bardzo jej smakowała.
*

W wieku ośmiu lat, zanim jego świat się zawalił, Booth napisał opowiadanie – była to praca domowa – o chłopcu, któremu spełniono życzenie, by cały tydzień składał się z sobót. Opowiadanie – dostał za nie najwyższą notę – utwierdziło matkę w przekonaniu, że jej syn pewnego dnia zostanie pisarzem.

Choć to urokliwe matczyne pragnienie wedle bardziej realistycznej opinii Bootha nigdy by się i tak nie ziściło, pozostało jednak jego osobistym szczytem czystej radości.

Takim właśnie szczytem stał się dlań ten krótki weekend z Mirandą. Z upodobaniem przechadzali się po jego spokojnej okolicy, tonącej w blasku jesiennego księżycy, i wymieniali niespieszne pocałunki. I choć nastąpiło południe, zanim wstali z łóżka w tę magiczną sobotę, przygotował jej śniadanie. Zgodził się też kupić ekspres do kawy, na wypadek gdyby spędziła z nim cały dzień.

Za jej zgodą zdecydował się na francuską prasówkę. Rozmawiali o pójściu do kina, ale skończyło się na tym, że wypożyczyli film i obejrzel go, przytuleni do siebie na kanapie w salonie. I kochali się na niej, gdy pojawiły się napisy końcowe.

Została, popisując się swoją umiejętnością siekania, kiedy przyrządził na kolację fajitas.

Leżąc obok niej w niedzielny poranek, myślał o tamtym chłopcu z pradawnego opowiadania i o jego cudownym szczęściu, jakim było przebudzenie w kolejną sobotę.

– Możemy udawać, że to znowu sobota – rzekł.

Opierała głowę o jego pierś. Nie był pewien, czy jeszcze kiedykolwiek, nie zaznając przyjemności jej dotyku, będzie leżał w łóżku tak szczęśliwy.

– A możemy udawać, że nie musimy mieć na jutro pracy na temat *Kupca weneckiego*? Ten profesor Emerson to żyła. I muszę jeszcze raz przyjrzeć się uważnie swojej pracy o zemście na zajęcia z twórczego pisania. Potem... – urwała, po czym uniosła głowę i popatrzyła na niego zmrużonymi oczami. – Ożeż ty! Skończyłeś już swoje szekspirowskie wypracowanie? Ty draniu!

– Wymaga jeszcze ostatniego szlifu.

– Mogłabym cię od razu zniechęcić. Ledwie uporałam się z pierwszą wersją. I, cholera, jest już prawie południe. Naprawdę muszę się zbierać.

– Mogłabyś pracować tutaj.

Przysunęła się i pocałowała go.

– Podoba mi się ten twój zarost – wymamrotała. – I nie wydaje mi się, by którekolwiek z nas zabrało się do porządnej roboty, gdybym została. Poza tym wszystkie materiały mam w domu. – Nawijała leniwie na palec kosmyk jego włosów. – Myślisz, że to... to wszystko, co się z nami dzieje, spowszednieje nam kiedyś?

– Mam szczerą nadzieję, że nie.

– Ja też. Naprawdę muszę już iść. Najpierw powinnam wskoczyć pod prysznic.

A ponieważ wskoczył pod prysznic razem z nią, odjechała do domu prawie przed drugą.

Wówczas dopiero on, człowiek, który szczycił się swoim odosobnieniem, poczuł się naprawdę samotny.

Miał jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia, zanim zobaczyliby się następnego dnia. Ten esej naprawdę wymagał szlifu, musiał też zająć się planem lekcji związanych z korepetycjami. Obo-

wiązki domowe oraz przygotowania do nocnej roboty też czekały na swoją kolej.

Włączył muzykę i zabrał się do pracy. Przy każdej czynności myślał o Mirandzie. Wypełniała każdą przestrzeń, którą pragnął zachować nietkniętą, jak mu się wydawało.

Prowokowała go do wspomnień tak samo, jak prowokowała go do pragnienia.

Zastanawiał się, czy się do niego wprowadzi. Trochę za szybko, jasne, ale może za kilka tygodni?... Wtedy przypomniał sobie swoją prawdziwą karierę, narzędzia, warsztat w piwnicy.

Jak mogłaby z nim zamieszkać, skoro skrywał przed światem te wszystkie sekretne miejsca?

Poradziliby sobie. Pomyślał, że tak właśnie robią ludzie, którzy się kochają. Radzili sobie ze wszystkim.

Mógłby z tym skończyć – może. Uważał, że dałby radę. Albo przynajmniej zrobiłby sobie przerwę. Coś w rodzaju próby. Nigdy nie myślał o tym, żeby zrezygnować ze swego prawdziwego zajęcia – tego, które wykonywał przez ponad połowę swojego życia.

Ale mógłby spróbować. Dla Mirandy mógłby spróbować wszystkiego.

Przesłała mu wiadomość i rozjaśniła cały jego dzień.

Robię sobie przerwę między Porcją a zemstą. Doszłam do wniosku, że cię nienawidzę.

Odpisał jej.

Dorzuć funt mięsa (zastaw długu w Kupcu weneckim) do swojego wypracowania o zemście. Tęsknię za tobą.

Za późno na funt mięsa. Już raczej wiadro krwi. Ja też za tobą tęsknię. Muzyka jutro wieczorem, w klubie Caro? Masz ochotę?

Brzmi nieźle.

Do zobaczenia rano.

Widzę cię wszędzie. To dziwne. Podoba mi się.

Przesłała mu serduszko i usta złożone do pocałunku. I na tym zakończyła.

Mógłby zrobić sobie przerwę, jak przekonywał się w duchu. Mógłby odłożyć robotę na bok. Niewykłuczone, że nawet spróbować jakiegoś bardziej cywilizowanego zajęcia.

Kiedy się już uporał z pracą pisemną i z planem korepetycji, a potem posprzątał w domu, pomyślał o piwnicy i przygotowaniach związanych z kolekcją monet.

Jeśli chciał odłożyć wszystko na bok, równie dobrze mógł zacząć od razu. No nie? Mógł pójść na spacer, poczytać książkę. Przesłać wiadomość R.J. i sprawdzić, co on i Zed kombinują w tej chwili.

Kiedy zapukał ktoś do drzwi, pomyślał, że to pewnie jeden z jego sąsiadów.

Nie był absolutnie przygotowany na widok Cartera LaPorte'a ani tym bardziej potężnego, umięśnionego faceta, stojącego za jego plecami.

– Witaj, Silas. Och, nie! Teraz to Booth, prawda?

– Co pan tu robi?

– Dobrze obyczaję nakazują, żebyś mnie zaprosił do środka. Przedyskutujemy to.

– Właśnie wychodziłem.

LaPorte skrzywił usta w uśmiechu. Ale jego oczy nie odzwierciedlały rozbawienia.

– Zmiana planów.

Kątem oka Booth zauważył czarnego mercedesa zaparkowanego przy krawężniku. Wiedział, że będzie musiał wymyślić jakąś historyjkę, kiedy sąsiedzi spytają go o ten samochód. A że spytają, tego był pewien.

Nie mógł jednak ryzykować głośnej wymiany zdań na progu domu. Zwłaszcza że ochroniarz potrafiłby bez wątplenia złamać go na pół.

– Proszę się streszczać. – Cofnął się. – Przyjaciele na mnie czekają.

– Przyjaciele. Tak, znalazłeś tu sobie niewielki krąg znajomych, prawda?

W tym swoim stalowoszarym garniturze i starannie zawiązanym krawacie LaPorte wydawał

się zrelaksowany. Rozejrzył się po salonie.

– Spodziewałem się czegoś więcej po młodym człowieku z twoimi talentami – rzekł. – A to tutaj jest takie... całkiem zwyczajne, co?

– Jestem studentem.

Mężczyzna obrzucił go przeciągłym spojrzeniem.

– Obaj wiemy, że jesteś czymś więcej. Niezłe się urządziłeś od czasu, kiedy się ostatnio widzieliśmy. – Podeszedł do fotela i usiadł. Rozłożył ręce. – Mam znajomości. A moje znajomości mają znajomości. Chętnie bym się napił kawy.

Booth pomyślał o ekspresie, który kupił z Mirandą. Dla Mirandy. Niech go diabli, jeśli zaparzy w nim cokolwiek dla tego faceta.

– Nie pijam kawy. Czego pan chce?

Na twarzy tamtego pojawiła się lodowata furia. „Może wyrządzić więcej szkody niż ogień i płomień”, pomyślał Booth.

– Mógłbyś zacząć od okazania większego szacunku komuś starszemu od siebie. Obecny tu David jest specjalistą w przekonywaniu ludzi, by okazywali szacunek. Mam go poprosić, by ci to udowodnił?

Ponieważ nie chciał mieć podbitego oka, połamanych palców ani czegoś gorszego, usiadł na kanapie.

– Jest pan tutaj, bo czegoś pan chce. Czekają na mnie ludzie, a pański czas jest zbyt cenny, by go marnować.

– Już lepiej. Mam dla ciebie propozycję biznesową.

– Sebastien...

– Nie nadaje się do tego. Nie przerywaj. Jest taka mała, wspaniała figurka z brązu, postać kobiety, po prostu *Bella Donna*. Wystawiono ją ostatnio na aukcji w nowojorskim Christie's, a teraz się znajduje w prywatnej kolekcji. Razem z innymi eksponatami z tejże kolekcji zostanie pokazana w Hobart Museum w Baltimore. Kolekcjoner to rodowity baltimorczyk. Wystawa potrwa od pierwszego listopada do końca stycznia. Chcę, żebyś zdobył dla mnie ten przedmiot, za którą to usługę otrzymasz półtora miliona dolarów.

„Ostrożnie”, ostrzegł się w duchu.

– Doceniam pańską propozycję, panie LaPorte, ale studiuję tu, w Karolinie Północnej, w pełnym wymiarze godzin. Poza tym nigdy nie włamaleś się do muzeum, tylko do domów prywatnych. Nie jestem odpowiednią osobą do tej roboty.

– Nie zgadzam się. Hobart to prywatne muzeum. Właściwie dom prywatny. Będziesz miał kilka tygodni na przygotowania.

– Mieszkam tutaj, chodzę na uczelnię.

– Wszystko się zmienia, jak wiesz. – Całkiem już rozluźniony, LaPorte wykonał nieokreślony gest dłonią i rozsiadł się wygodnie w swoim superdrogim garniturze bogatego człowieka w lichym fotelu z pchłego targu. – Choć twoje pragnienie zdobycia wyższego wykształcenia jest nad wyraz godne podziwu, obaj wiemy, że wiecie donikąd. A ja mógłbym z łatwością położyć kres temu pragnieniu. Kilka interesujących informacji skierowanych do odpowiednich uszu. Kim tak naprawdę jest ten Booth Harrison? Jak opłaca czesne? Dlaczego porzucił uniwersytet w Teksasie? Och, chwileczkę, nie porzucił, gdyż jego dokumentacja jest sfałszowana. Co pomyśleliby sobie ci twoi przyjaciele i ta bardzo atrakcyjna rudowłosa dziewczyna, gdyby się dowiedzieli, kim naprawdę jesteś? Tułaczem, złodziejem, kłamcą? Kimś, kto wykorzystuje ich jako przykrywkę?

– Nie wykorzystuję ich jako przykrywki. Groźby nie sprawią, że nadam się do tej roboty. I pozostaje faktem, że nie mogę już wykonywać tego rodzaju zleceń. Prowadzę zajęcia, udzielam korepetycji. Wystawiamy niedługo sztukę. Nie mogę ukraść tej figurki bez względu na to, ile mi pan za nią zaoferuje.

LaPorte wychylił się w fotelu.

– Myślisz, że możesz ot tak sobie zamknąć za sobą drzwi? – Strzelił palcami. – Jesteś tym, kim jesteś. Pojedziesz do Baltimore, wcielisz się w odpowiednią postać, tak jak to robiłeś wiele razy przedtem. I zdobędziesz dla mnie tę figurkę.

– Nie mogę, proszę pana. Proszę posłuchać, nikt nie odrzuca takiej oferty, jeśli nie ma wyboru, ale...

– A jakże się miewa twoja ciotka? – Splótlszy dłonie, LaPorte znowu się wyprostował. – Ostatnia żywa gałąź twojego drzewa rodowego, prawda?

Znał już smak strachu, który wypełnił mu w tej chwili krtań. Znał też ogień wściekłości, która w nim zapłonęła, kiedy się podniósł z miejsca.

– Ona nie ma z tym nic wspólnego. Wyjdźcie stąd.

Mięśniak bez słowa zacisnął mu dłoń na ramieniu. Booth usiłował się od niej uwolnić, ale trzymała go jak imadło, zmuszając do ponownego zajęcia miejsca.

– Może zechcesz do niej... Jakżeż ona? ... Mags, tak? Czarujące imię. Może zechcesz do niej zadzwonić. Stała się biedaczka ofiarą włamania, i to bardzo przykrego w skutkach. Nie było jej na szczęście w domu, kiedy do tego doszło. Tym razem wystarczy tylko jedno słówko z mojej strony – dodał. – Jedno słówko i znajdzie się w szpitalu. A potem niechybnie w ziemi.

Wściekłość nie mogła współzawodniczyć ze strachem.

– Dlaczego pan to robi? Może pan znaleźć sobie kogoś innego.

– Gdybym chciał kogoś innego, nie rozmawialibyśmy teraz. Jesteś bardzo zdolnym studentem, Booth, więc naucz się czegoś. Ja jestem władzą, ty jesteś narzędziem. Sprowadzasz się do określonej funkcji. Niczego więcej. Wypełnij ją i zgarnij nagrodę. Zawal sprawę, a poniesiesz konsekwencje.

– Dlaczego teraz?

– Cóż, wywarłeś na mnie wrażenie. Aż do tej pory nie potrzebowałem korzystać twoich usług. Ale ta Bella Donna! To Muzeum Hobarta! Oczekuję, że dostarczysz mi figurkę najpóźniej pierwszego lutego. – Skinął głową ochroniarzowi, który rzucił plik banknotów na stolik do kawy. – Zaliczka. Dziesięć tysięcy, więcej niż potrzebujesz na podróż i wydatki, jak sądzę. Zostanie to oczywiście potrącone z twojego ostatecznego honorarium. A to ze względu na twoje zachowanie. – Wstał. – Zejdę ci teraz z oczu. Jestem pewien, że zechcesz niebawem wyruszyć do Marylandu.

– Jeśli skrzywdzi pan Mags, zabiję pana.

LaPorte tylko zerknął na ochroniarza.

Wyprowadził cios z backhandu całkiem zniecka. Później Booth poczytywał się za szczęściarza, że nie oberwał pięścią, ale kiedy runął na podłogę, czując ogień w policzku, wcale nie uważał się za szczęściarza.

– Zachowuj się.

Tak go zostawili, a on trwał w tej pozycji, dopóki nie złapał oddechu i nie ustąpiły paskudne mdłości skręcające mu żołądek.

Wygrzebał komórkę i zadzwonił do Mags.

– Cześć, dziecinko – usłyszał w słuchawce.

Jej głos – nieco chrapliwy, jakby pozbawiony tchu – sprawił, że mocno zacisnął powieki.

– Cześć, Mags, jak leci?

– Jak szczyzny po nogach, ot co. Wróciłam jakąś godzinę temu do domu. Ktoś się tu włamał – i to w biały dzień – i w drobny mak rozpirzył mój mały domek.

– Nic ci się nie stało?

– Nie, nie. I chyba niczego nie zabrali. Tylko zdemolowali wszystko. Gliny uważają, że to zrobił ktoś na prochach. Nie mam żadnych. Prócz odrobiny trawki, którą schowałam, ale nie wspominałam o tym bardzo miłemu funkcjonariuszowi policji. A może zrobił to ktoś, kto jest na mnie wkurzony? Ale przysięgam na Dzieciątko Jezus, że nikogo ostatnimi czasy nie wkurzyłam. Wróżę trochę to tu, to tam, więc może moja wróżba komuś się nie spodobała? Nie wiem. Włamywacz stłukł moją wazę. Wiesz, tę ładną niebieską wazę twojej mamy, z wizerunkami kolibrów.

Zaczęła płakać.

– Przykro mi. Już w porządku. Wszystko będzie dobrze. Chcesz, żebym przyjechał?

– Nie, nie. To tylko rzeczy, nic więcej. Przepraszam, że tak bełkoczę. Mam tu kawałki tej wazy. Jakoś je poskładałam. Powinnam cię była posłuchać i zainstalować alarm. Nie ma nic... tak czy owak, teraz to zrobię. Powiedz mi coś dobrego. Podnieś mnie na duchu.

Usilnie starał się pomyśleć o czymś dobrym, kiedy wszystko było nie tak. Powiedział jej o Mirandzie i czuł jednocześnie, jak krwawi mu serce. Wrywało mu się z piersi, wiedział bowiem, że ten doskonały weekend to koniec.

Nigdy więcej nie przeżyje czegoś takiego. Nigdy więcej nie będzie jej miał. Nigdy więcej

nie będzie miał już niczego.

Odłożył komórkę i usiadł na podłodze. Tam, gdzie stał.

Wiedział, co musi zrobić. Że jeśli zrobi to, co należy, to Mags będzie bezpieczna.

Wstał i wykonał po kolei konieczne czynności. Spakował swoje rzeczy i narzędzia, usunął też wszystko z warsztatu w piwnicy.

Miał spory siniak na szczęce i policzku; zakrył go dokładnie starannym makijażem.

Nie mógł tak po prostu odejść – szukaliby go. I grzebali w jego życiorysie.

Po spakowaniu samochodu przesłał R.J. wiadomość.

Nagła sprawa rodzinna. Muszę natychmiast wyjechać. Nie wiem, kiedy wrócę – może nigdy. Czynsz do końca maja opłacony. Korzystaj z domu, jeśli chcesz. Zostawię klucze u pani Opal. Jeśli nie wrócę, weź sobie meble. Nie jest tego dużo, ale może komuś się przydać.

Dostał w odpowiedzi esemesa, kiedy szedł do sąsiadki.

O co, kurwa, chodzi, brachu? Co się stało? Naprawdę się zmywasz?

Tak, muszę. Potrzebuje mnie ciotka, i to natychmiast. Muszę jechać, zapowiada się dłuższa nieobecność, więc korzystaj z propozycji. Tak czy inaczej, nie będzie mnie przez kilka miesięcy. Naprawdę muszę się zbierać. Nie mogę przysłać esemesów i prowadzić.

Po wysłaniu wiadomości wyłączył komórkę, po czym zapukał do sąsiadki.

Uraczył ją odpowiednią historyjką, wzbogacając o wypadek, ciotka wymagała operacji i rehabilitacji; mówił wszystko, co mu przychodziło do głowy. Pani Opal słuchała tego w osłupieniu, ale wzięła od niego klucze.

Na koniec, zanim mu dała torebkę z ciastkami z masła orzechowego, uściskała go serdecznie. A potem uściskała go raz jeszcze.

Wsiadłszy do samochodu, pomachał pani Opal i papie Pete'owi, Macowi, aż wreszcie odjechał.

Nie myślał o Mirandzie. Absolutnie nie mógł sobie na to pozwolić.

Jechał przed siebie z pustką w głowie; w takim stanie ducha przebył Karolinę Północną, później przekroczył granicę z Wirginią, a wreszcie, przemierzywszy Wirginię, wjechał do Marylandu.

Nie czuł ani śladu tego niecierpliwego wyczekiwania, tej cudownej fascynacji, jaka mu towarzyszyła, kiedy jechał z Chicago na południe i wschód. Żadnego spoglądania w przyszłość.

Życie, które chciał sobie stworzyć i bawił się tą myślą? Fantazja. Widział to teraz z zatrważającą jasnością.

LaPorte był kłamcą i arogantem, ale w jednym miał co do niego rację.

Bez względu na imię, jakim się posługiwał, Harry, Silas, Lee, Booth – był tym, kim był.

Zameldował się w motelu jako Harry Williams – ukłon pod adresem jego starego przyjaciela – a potem poddał się zmęczeniu, któremu uległ aż do rana.

A późnym rankiem, kiedy się obudził i znowu włączył telefon, zaczął czytać esemesy i odsłuchiwać wiadomości na poczcie głosowej.

Pierwsza wiadomość od Mirandy zalogowała się o ósmej dwadzieścia osiem. Nie wysłuchał jej – nie był w stanie. Mógł sobie wyobrazić, jak go szuka podczas zajęć, a R.J. mówi jej, że wyjechał i dlaczego to zrobił.

Potem nadszedł esemes.

Booth, tak mi przykro z powodu twojej ciotki. Mam nadzieję, że czuje się dobrze. Napisz do mnie albo zadzwoń, jak tylko będziesz mógł. Tak bardzo się martwię. Kocham cię bezgranicznie.

Było potem jeszcze mnóstwo esemesów, ale nie czytał ich wszystkich. Wiedział, co musi zrobić.

Widziałem twoje wiadomości. Mags trzyma się nieźle, ale zapowiada się długa nieobecność.

Na tym zakończył, a wiedząc, co się stanie, wziął prysznic, żeby nie słyszeć, jak dzwoni telefon.

Ubrał się – porządny sweter, skórzana kurtka, dobrej jakości dżinsy. Przykleił starannie włosy do twarzy. Stylowo niechlujna kozia bródka, ciemnoblond, żeby współgrała z peruką. Jej kosmyki zebrał w krótki, gruby warkocz z tyłu głowy, a następnie zaczął przymierzać różne szkła, nim zdecydował się na druciane oprawki.

Zamienił plecak na torbę z paskiem na ramię.

Ponownie wyłączył telefon – lepiej nie narażać się na rozkojarzenie – i wyruszył przyjrzeć się Muzeum Hobarta.

Potem zamierzał znaleźć przyzwoicie umeblowane mieszkanie w pobliżu albo, gdyby uznał, że robota będzie wymagała ponad czterech lub pięciu tygodni, mały domek.

Harry Williams był niezależnym pisarzem; żył z majątku rodziców i pochodził z Baton Rouge; przyjechał do Baltimore w poszukiwaniu tematu do powieści. Samotnik, poważny mężczyzna w wieku dwudziestu trzech lat.

Bogaty, uprzywilejowany; odrobinę irytujący palant.

Wybrał się do Inner Harbor, odnotowując ruch uliczny – koszmarny – i wczuwając się w atmosferę okolicy, która roiła się od turystów. Po zaparkowaniu auta przespacerował się na przestrzeni kilku przecznic w chłodnym listopadowym wietrze. Kiedy zmarzł, zatrzymał się przy sklepie, kupił granatowy szalik i owinał nim szyję.

Zyskał dzięki temu na artystycznym wyrafinowaniu, jak sądził.

Muzeum usadowiło się między ekskluzywnymi sklepami a restauracjami i rzeczywiście było, tak jak zapewniał LaPorte, prywatną rezydencją.

Czerwona cegła, białe obramowania. I zapewne piwnica. Podwójne drzwi wejściowe, lśniące okna, mosiężny szyld – wszystko to zaświadczało o dostojności.

Zauważył kamery monitoringu, światła i małą dyskretną tabliczkę z ostrzeżeniem, że teren jest pod nadzorem firmy ochroniarskiej Guardian Security.

„Dzięki za cynk”, pomyślał i wszedł do środka.

Podłogi wykładane szerokimi drewnianymi deskami, kamery, czujnik ruchu – nieźle. Wszystko po to, by ukazać w całej pełni sztukę na ścianach, w gablotach, na postumentach.

Zapłacił za wstęp – wyjątkowo dużo – i wraz z pięciorgiem innych zwiedzających zaczął krążyć po salach.

Zauważył jednego strażnika. Drugi, jak zakładał, siedział przy monitorach. Najprawdopodobniej jeden nocny wartownik, coś, co należało mieć na uwadze.

Sporządzał notatki na temat obrazów, rzeźb, ceramiki, tak jak robiłby pisarz z prawdziwego zdarzenia.

Po raz pierwszy zobaczył wiadomą damę; była piękna. „Kształtna”, pomyślał. „Zmysłowa z tym wydłużonym ciałem, głowa ze spływającymi po niej włosami, przechylona, by spojrzeć przez lewe ramię”.

Wyciągała przed siebie lewą rękę, zgiętą w łokciu, dłonią do góry. Jakby chciała powiedzieć: „Weź to. Weź mnie. Jeśli masz odwagę”.

Musiał mieć odwagę.

Po sporządzeniu kilku notatek ruszył dalej.

Spędził tam siedemdziesiąt pięć minut, penetrując każdy skrawek muzeum, po czym wyszedł na zewnątrz i poddał inspekcji wszystkie sąsiednie budynki, ulicę, potencjalne drogi ucieczki.

W południe skorzystał z kafejki internetowej: sprawdził mieszkania pod wynajem i zarezerwował sobie przyzwoity szeregowiec w odległości niespełna trzech kilometrów od celu. Wynegocjował trzymiesięczny wynajem, zapłacił spory depozyt i uiścił opłatę za cały pobyt.

Kupił trochę jedzenia i od razu się wprowadził.

Miejsce wymagało uporządkowania, jak zauważył, ale nie dbał o to. Było dostatecznie czyste, poza tym znalazł niejaką przyjemność w rozpalaniu kominka.

Wyjął wszystkie rzeczy i umieścił narzędzia i przybory w drugiej sypialni.

Włożył zamrożoną pizzę do piekarnika, wziął colę i włączył telefon.

Komórka zadzwoniła prawie natychmiast.

– Przepraszam, przepraszam – powiedziała Miranda, gdy tylko odebrał. – Wiem, że zapel-
niałam ci pocztę głosową i skrzynkę mejlową, ale tak bardzo się martwię.

– Rozumiem.

– Jak twoja ciotka? I co z tobą? Co mogę zrobić?

– Jest stabilna. – Starał się zachować obojętny ton głosu, nadać mu trochę werwy. – Ze mną
wszystko w porządku. To nie we mnie wjechał jakiś dupek, który jednocześnie prowadził i przesy-
łał esemesa. Nic nie możesz zrobić.

– Czy to się właśnie stało? Och, Booth. W jakim jest szpitalu? Moglibyśmy przesłać kwiaty.

– Nie zna cię. – W tym momencie zdobył się na chłód i nienawidził się za to. – Słuchaj,
muszę tam wracać.

– Możesz później zadzwonić i powiedzieć coś więcej? Wszyscy o niej myślimy, o tobie
naturalnie też. Jeśli...

– Doceniam to, okej? Jestem naprawdę zajęty i nie mam czasu z tobą rozmawiać. Mags
będzie potrzebowała miesięcy rehabilitacji, jak już stąd wyjdzie.

Jej głos też się zmienił, posłyszał w nim urazę. I zdał sobie sprawę, jak go to rozdziera.

– Chcemy po prostu pomóc, Booth, w każdy możliwy sposób. Nawet jeśli wszystko sprowa-
dza się do zwykłej rozmowy. Mogłabym przylecieć na kilka dni...

Przycisnąwszy dłoń do twarzy, stłumił przygniatające go emocje, pragnienie, nawet jej
obraz w głowie.

Nadał głosowi zimny, ostry ton.

– Jezu, weź się w garść. Dobrze się bawiliśmy, zgadza się? Mieliśmy wspaniały weekend
i tak dalej. Ale to koniec. Muszę się tu zmagać z prawdziwym gównem, a to wyklucza twój udział,
polegający na tym, że przerobisz kilka randek i trochę dobrego seksu na jakąś romantyczną
powieść.

– To, co mówisz... jest okropne. To do ciebie niepodobne.

– Chyba mnie nie znasz. Muszę kończyć.

Rozłączył się, a potem zgiął wpół, żeby wcisnąć głowę między kolana.

Wiedział, że go teraz znieawidzi. A potem o nim zapomni, on zaś stanie się jakimś dup-
kiem, w którym się zakochała – na krótko – podczas studiów. Błąd. I lekcja na przyszłość.

„Błąd na całego”, powiedział sobie. „Lekcja na przyszłość dla obojga”. Postanowił, że nigdy
więcej do nikogo się tak bardzo nie zbliży. Czas się skupić, zrobić to, co zrobić należało. Tak jak
zawsze.

Kiedy rozległ się sygnał, wyjął pizzę z piekarnika.

Zaniósł ją na górę z colą, włączył komputer.

Zabrał się do pracy.

*

Zdobył damę w Wigilię.

Wrócił jeszcze raz do muzeum, wykorzystując inny kamuflaż – długie, proste kasztanowe
włosy, pełna broda, przyciemniane okulary, tymczasowy tatuaż pod postacią pacyfy na wierzchu
prawej dłoni. Snuł się nieco przygarbiony po salach, dostrzegając jeszcze więcej szczegółów.

Palila go pewna myśl, kiedy obchodził okolicę o różnych porach dnia i nocy – jak bardzo
stało się jasne, że LaPorte wcale go nie potrzebował do tej konkretnej roboty.

Zrzucał mu życie czy też to życie, jakie on, Booth, zaczął sobie wyobrażać, ponieważ
facet po prostu tego chciał. Ponieważ on, Booth, raz jeden sprzeciwił się człowiekowi, który wyma-
gał absolutnego posłuszeństwa.

Kolejna lekcja na przyszłość.

O drugiej nad ranem, w bożonarodzeniowy poranek, kiedy dzieciom śnił się święty Mikołaj,
Booth przemykał jak cień po zaciemnionych i oświetlonych miejscach, poza zasięgiem kamer. Roz-
broił alarm w ciągu trzydziestu dwóch sekund. Każdy, kto by to nadzorował, uznałby, że doszło do
drobnej awarii, i gdyby ktoś się zjawił, byłby na to przygotowany.

Przyglądał się uważnie czerwonym promieniom detektorów ruchu, czekał, by się przekonać,
czy usłyszy kogokolwiek, cokolwiek.

Wydało mu się, że słyszy głosy, gotów czym prędzej umknąć, a potem rozpoznał Geo-

rze'a Bailey'a na moście z Clarence'em w *To wspaniałe życie*. Strażnik puszczał sobie film z żelaznego gwiazdkowego repertuaru. Któż mógłby mieć o to do niego pretensje?

Booth, zdążając ku damie, płynął niczym w tańcu przez czerwone wiązki światła; spryskując po drodze obiektywy kamer czarną farbą. Ważyła swoje, ale ponieważ zapoznał się dokładnie z jej opisem, spodziewał się tego.

Usłyszał, jak strażnik parska śmiechem i woła: „Biegnij, George, biegnij!”.

Pokręciwszy głową, Booth podniósł plecak z posążkiem, po czym ruszył w drogę powrotną. Jeszcze jedna drobna awaria systemu i po chwili był na chodniku i szybkim krokiem zmierzał do samochodu.

Już wcześniej spakował swoje rzeczy – ot, zwykły facet, który wybiera się na święta do domu.

Rozdział 15

W bożonarodzeniowe popołudnie, kiedy słońce świeciło w oknach, stał w imponującym gabinecie LaPorte'a, w jego równie imponującym domu w Lake Charles.

Napędzany gniewem i żalem, od razu tam pojechał. Nie spał od trzydziestu sześciu godzin. Zamiast zmęczenia odczuwał podniecenie.

– Zadziwiasz mnie – rzekł LaPorte. – Nie spodziewałem się, że zobaczę cię tak szybko, i to w dniu Bożego Narodzenia. Jeszcze godzina czy dwie i nie zastałbyś mnie w domu.

Nie odzywając się, Booth postawił plecak na wielkim mahoniowym biurku, tuż obok zabytkowego kałamarza.

Pamiętał ten pokój i wszystko, co się w nim znajdowało. Obraz Georgii O'Keeffe nad kominkiem, szafka na książki za biurkiem, pełna cennych przedmiotów zamiast książek. Jadeitowy koń, waza z epoki Ming, paw z pracowni Daum.

Wszystkie te skarby.

Ponieważ pewnego dnia... może pewnego dnia.

Chwilowo jednak wyjął figurkę z plecaka i postawił ją na biurku.

– Ach... – westchnął LaPorte – i oto jest.

Booth dostrzegł to – tę chciwość, tę radość posiadania – kiedy mężczyzna przesunął palcem po twarzy z brązu, po całym ciele.

– Jest urocza, prawda? Silna, seksualna, niemal agresywna. Kobieta, która, jak sądzę, zna potrzeby mężczyzn i zaspokaja je, kiedy ma na to ochotę. – Podszedł do szklanego kredensu – wiktoriańskiej gabloty, jak zapamiętał Booth ze swoich studiów nad antykami – i wyjął z niego karafkę. – Drink dla upamiętnienia chwili?

– Nie. – Wyjął kartkę i położył ją obok posążku. – Proszę przesłać pieniądze na to konto.

– Twoje maniery nie poprawiły się widzę.

– To biznes. Dostał pan to, czego chciał. I nie potrzebował mnie pan do tej roboty. Nie musiał pan w tym celu wywracać do góry nogami mojego życia.

– Nie zgadzam się. – Gospodarz nalał bourbona do niskiej kryształowej szklanki. – I, jak wierzę, wyświadczyłem ci koniec końców wielką przysługę. Twoje umiejętności robią coraz większe wrażenie, a ja się cieszę, mając tak dobrze naoliwione narzędzie w mojej ekskluzywnej skrzynce. – Uniósł szklankę w geście toastu i napił się. – Muszę oczywiście potwierdzić autentyczność posążku, zanim odbierzesz swoje honorarium. A ponieważ jestem dzisiaj wieczoru zajęty, a ciebie się nie spodziewałem, załatwię przelew dopiero jutro.

– Więc niech pan prześle pieniądze jutro.

Booth odwrócił się, chcąc już wyjść.

– Cóż za zaufanie. Mógłbym zatrzymać posążek i twoje honorarium.

– Nie robi pan tego. Wiem, gdzie pan mieszka.

– Mogę o tobie powiedzieć to samo. Ale nie martw się, otrzymasz pieniądze. Zawsze spłacam swoje długi. – Znowu podniósł szklankę. – Do następnego razu. I wesołych świąt Bożego Narodzenia.

– Niech pan po prostu prześle pieniądze.

*

Kiedy Sebastien wrócił do domu po północy z długiego i hałaśliwego przyjęcia świątecznego u swojej matki, zastał pod domem samochód Booth'a.

I jego samego śpiącego na kanapie.

– Włamałeś się do mnie, *mon ami*? – zdziwił się.

Booth obudził się i stwierdził, że pies patrzy na niego wzrokiem bazyliuszka, a Sebastien stoi obok z szerokim uśmiechem i dwiema naładowanymi po brzegi torbami papierowymi.

- Przepraszam. Musiałem się przespać.
- Jakim cudem mnie nie uprzedziłeś, że przyjeżdżasz?
- Nie byłem pewien, czy to zrobię.

Kiedy Booth usiadł, potarł się dłońmi po twarzy, a potem nie oderwał od niej rąk, uśmiech na twarzy Sebastiena przygasł.

- *Cher*, wyglądasz jak chodzące nieszczęście. Robota poszła kiepsko?
- Nie, nic w tym rodzaju.

– Dam głowę, że musisz coś zjeść. Dość mam żarcia z rodzinnego stołu, żeby wykarmić całe cholerne Bayou. Chodź, posilisz się. Zajmę się tobą.

- Dzięki.

Sebastien zaczął rozpakowywać torby, a woń wiktuałów uderzyła w pusty żołądek Bootha jak młotem. Wziął talerz, który jego przyjaciel napełnił szynką, pieczonym kurczakiem i herbatnikami.

– Podgrzeję czerwoną fasolę i ryż, i trochę tych ziemniaków. A ty mi powiesz, co robisz w mojej kuchni, zamiast tulić się do swojej dziewczyny, o której mi opowiadałeś. Tej rudowłosej.

Chłopak pokręcił tylko głową, ale Sebastien nie potrzebował słów, by wiedzieć.

- Ach. Czasem miłość się od nas odwraca.

– To ja się odwróciłem. Nie miałem wyjścia. Musiałem sprawić, żeby Miranda mnie znienawidziła.

- Dlaczego?

– LaPorte – odparł krótko Booth i opowiedział wszystko Sebastienowi.

– *Picon!* A niech go pierdolony szlag trafi. Nie podejmuję się roboty na północy od wielu lat i jest to święta prawda. Ale ma od tego innych. Dla niego jesteś jak ta figurka. Chce cię posiadać.

- Tak, wiem o tym.

– Musimy to załatwić, *tu sais*? Wrócisz na uczelnię i do dziewczyny, dogadasz się z nią.

– Nie mogę. Posłuży się nią, posłuży się Mags, tobą, każdym, na kim mi zależy, żeby tylko mnie dorwać. A następnym razem może nie poprzestać na rozwaleniu mebli.

- Co chcesz zrobić? Cokolwiek zamierzasz, jestem z tobą.

– Zwędziłem kilka telefonów na kartę. Jeden wyślę Mags, a drugi zostawię tobie. Dam ci swój numer. Już pozbyłem się swojej komórki. To pewnie zbyt ostrożność, ale facet ma długie ręce. Nie będzie się mógł mną posłużyć, jeśli nie zdoła mnie znaleźć. To bezsensowne krzywdzić ludzi, na których mi zależy, jeśli nie będzie mógł mnie odszukać.

- Dokąd zamierzasz pojechać?

– Najpierw do Atlanty, sprzedam tam samochód. I tak już najwyższy czas. Zmienię ponownie nazwisko i wydam trochę jego cholernych pieniędzy na wynajęcie prywatnego samolotu. Nie prześwietlają wtedy bagażu ani niczego. Muszę kupić porządne walizki. Jakieś markowe ciuchy, tego rodzaju rzeczy. Żeby wyglądać na kogoś, kto może latać prywatnym samolotem z Atlanty do Paryża. Tam właśnie zacznę, a potem się zobaczy.

– Bogaty młody Francuz... bogata familia. Będziesz paryskim Francuzem, więc zgrywaj snoba. Bagaż od Louisa Vuittona, kup też włoskie buty i okulary przeciwsłoneczne.

- Kapuję.

– Daj mi znać, kiedy tam dotrzesz. Będę się o ciebie martwił.

– Nie martw się. Poradzę sobie. Powiadom Mags, dobrze? Powiedz jej, że za parę dni zadzwonię do niej z nowej komórki. Poradzę sobie – powtórzył. – Zawsze chciałem pojechać do Europy. Równie dobrze mogę to zrobić teraz.

Wstał i podszedł do torby, żeby wyjąć telefon.

- Jest tu mój numer, także numer komórki, którą prześlę Mags. Ruszam. Dzięki za posiłek.

– Nie musisz mi dziękować. Jesteśmy rodziną. – Ujął go za ramiona. – Możesz tu przyjechać, kiedy tylko zechcesz, rozumiesz? A jak uznasz, że jest to bezpieczne, ja przyjadę do ciebie. Przyjedziemy, ja i Mags. – Uściskał go i poklepał po plecach. – Mam trzy ładne dziewczyny. I mam też przystojnego chłopca. Może zostaniesz na noc, wypiszesz się porządnie?

– Lepiej jechać nocą. Zorientuje się, że się tu zjawiłem, więc lepiej ruszać. Powiedz Dauphine... powiedz jej, że jest mi przykro, że nie pożegnałem się z nią osobiście.

30 grudnia Henri Metarie wszedł w Atlancie na pokład prywatnego samolotu. Miał zmierz-

wione jasnokasztanowe włosy, nosił brązową skórzaną kurtkę do bioder, granatowy kaszmirowy golf, okulary przeciwsłoneczne od Armaniego i czarne obcisłe dżinsy.

Zegarek marki Piaget – podróbka, ale niezła – miał czarny skórzany pasek.

Niewiele się odzywał, posługując się perfekcyjnym angielskim ze zwartym paryskim akcentem. Stewardesa przydzielona do jego obsługi powiedziała pilotowi, że wydaje jej się znudzony i nadęty.

Czułby się z tego powodu zadowolony.

Wylądował w Paryżu w mglisty zimowy poranek i przemknął szybko przez odprawę, jak czynią to bogaci i uprzywilejowani. W jego paszporcie widniało mnóstwo pieczętek, co dowodziło, że często podróżuje po świecie.

Tutaj pojawiła się w nim pierwsza legalna pieczętka.

– *Bienvenue*, monsieur Metarie.

Skinął pracownikowi lotniska głową. Nieznacznie.

– *Merci*.

Zostawiając za sobą wszystko, na czym mu zależało, przeszedł przez halę przylotów i wkroczył w następny świat.

*

Większość czasu między dwudziestką i trzydziestką spędził w Europie – zwiedzał, pracował, uprawiał wędrówki, piesze i nawet rowerowe. We Francji skupił się na tym, co Sebastien nazywał błyskotkami; przemieszczał się między paryskim mieszkaniem, chatą w Prowansji a zamkiem-hotelem w dolinie Loary.

Brał lekcje gotowania u studentki w Le Cordon Blue i dzielił z nią łóżko, kiedy się już dowiedział, jak przygotować idealne makaroniki.

We Włoszech była sztuka, w sam raz do podziwiania i kradzieży, kiedy chłonał wspaniałość światła we Florencji, magię kanałów w Wenecji, czar starożytności w Rzymie.

Pojechał do Grecji i nauczył się tamtejszego języka, potem do Anglii i Irlandii, na Sycylię i do Toskanii. Nauczył się podróżować po Europie z taką samą swobodą, z jaką kiedyś objeżdżał rowerem swoją chicagowską dzielnicę.

Raz w roku, tak jak sobie to obiecali, spędzał kilka dni z Mags.

Wybierał jakieś miejsce – willę w Toskanii, dom w Bar Harbor w stanie Maine, wszędzie tam, gdzie im się podobało. Podróżowała często z Sebastienem, on zaś wykorzystywał ten czas, by się dowiedzieć więcej o jej życiu.

W wieku dwudziestu siedmiu lat był już bogatym człowiekiem, zaliczył mnóstwo podróży, mówił dziesięcioma językami, w tym ośmioma biegle, jak uważał. Zwiedził świat, w każdym razie wystarczająco dużo.

I pomijając tych kilka dni w ciągu każdego dwunastu miesięcy, był samotny.

Któregoś roku siedział na tarasie ładnej willi na włoskim wybrzeżu; popijał wino i patrzył na Morze Śródziemne i sunące po nim łodzie.

Mags siedziała obok niego. Przyjechała sama, ponieważ Bluto poprzedniej zimy przeniósł się do wielkiego psiego domu w niebiosach. Sebastien miał nowego szczeniaka, zabrano go właśnie od matki. Nie chciał zostawiać psiaka samego.

– Ma bzika na jego punkcie – stwierdziła Mags. – Wiem, że Wiluś pomaga mu uporać się z zalem po jego poprzedniku.

– Wiluś? Jak Kojot? Wiluś E. Kojot? Nadał psu imię bohatera kreskówki i w dodatku paskudnego gościa. No, trochę paskudnego.

Ujęła jego dłoń i po prostu ją trzymała, kiedy siedzieli tak razem.

Powiedział jej wcześniej, że wygląda fantastycznie, i nie musiał przesadzać. Wciąż nosiła długie, nieujarzmione włosy, teraz płomiennie rude, z niezliczonymi pasemkami błyszczącego złota.

– Mam dla ciebie wiadomość – oznajmiła.

– Dobrą czy złą?

– Myślę, że bardzo dobrą. Dla mnie w każdym razie. Przeprowadzam się.

– Znowu?

Wyjechała z Santa Fe, kiedy opuścił Stany, i spróbowała osiąść w Sedonie.

– Znowu. Przenoszę się do Nowego Orleanu.

Zaciekawiło go to; przysunął się do niej.

– Nie zamieszkas u Sebastiena. Wiem, że oboje... wiem o tym i kocham tego człowieka, szczerze, ale to mokrada i...

– Każde z nas lubi mieć własną przestrzeń. Biorąc pod uwagę mój biznes i pieniądze, którymi mnie obsypujesz...

– Jesteś moją rodziną.

– A ty moją, dziecinko. Tak czy inaczej, kupuję sobie lokum. Koniec z tym wynajmowaniem. Czas mieć coś własnego. Dauphine i jej facet wsparli mnie w znalezieniu odpowiedniego miejsca. A ponieważ Luc to złota rączka, pomoże doprowadzić je do porządku. Na moją modłę. To miły mały domek, zamierzam też otworzyć sklepik na parterze. Wystarczy miejsca. Jest go dostatecznie dużo, żebyś mógł mnie odwiedzać i zostawać u mnie na jakiś czas. Wiem, że nie byłeś w Nowym Orleanie od lat, więc może jest już najwyższa pora. Albo niedługo.

– Może.

– Kolejna wiadomość. Dauphine się spodziewa.

– Czego się spodziewa?

Mags parsknęła śmiechem, który przerodził się w buczenie, a potem gwałtowne sapnięcia i czkawkę, kiedy przyciskała dłonie do żeber.

– Dziecka, głuptasie.

– Co? Naprawdę? Jasna cholera! Jest szczęśliwa? Czy to dobrze?

– Jest zachwycona i jest bardzo dobrze. Tak dobrze, że Luc przekonał ją ostatecznie, żeby za niego wyszła. W przyszłym miesiącu. Dauphine ma nadzieję, że przyjedziesz, i zrozumie, jeśli ci się nie uda.

Na horyzoncie sunęły łodzie, oddzielając morze od nieba.

– Chciałbym. Naprawdę. Ale LaPorte tylko na to czeka.

– Och, kochanie, to niemożliwe, żeby ten skurwiel wciąż cię szukał. Klnę się na Boga, że mnie nie niepokoił. Powiedziałałaby ci przecież.

– Wiem o tym, ale taki osobnik jak on nie toleruje słowa „nie”. A kiedy je słyszy, słono każe za to zapłacić. Zeszłej jesieni jakoś się zorientował, że jestem w Pradze. Ostrzeżono mnie zawczasu, ale widać wciąż węższy.

– Niczym się nie zdradziłeś.

– Tylko wpadł na mój trop, to wszystko. – Pocałował jej dłoń, którą zaciskała na jego rękę.

– Powiedz Dauphine, że życzę jej wszystkiego najlepszego. Z dzieciakiem, z Lukiem. I wrócę, na pewno. Niebawem. I tak robi się tu zbyt gorąco.

– Nie masz na myśli pogody.

– Nadali mi przydomek. Ludzie, którzy szukają takich jak ja. Kameleon. Podoba mi się. Ale kiedy poznają cię na tyle dobrze, żeby obdarzyć cię takim mianem, robi się zbyt gorąco.

– Mógłbyś dać sobie z tym spokój.

Prychnął wymijająco.

– Myślałem o tym, żeby wybrać się do Rio, rzucić okiem na Amerykę Południową, Amazonkę. Może spędzę tam rok albo dwa, albo może w Stanach. Rozważam to w każdym razie. Albo Australia czy Nowa Zelandia. Jakies miłe wakacje.

– Masz po mnie tę podróżniczą żyłkę.

Popatrzył na nią, na swoją zwariowaną ciotkę Mags, jego rodzinę, wierną towarzyszkę. Nikt nie znał go tak dobrze jak ona. Nikt inny nie pamiętał tego chłopca, którym był niegdyś, jego matki, jego życia.

– Dajmy upust swojej żyłce podróżniczej i przejdźmy się do wioski. Nie miałaś jeszcze okazji zrobić zakupów.

– Znasz mnie. – Ścisnęła mu dłoń, którą wciąż trzymała w swojej. – Kto by pomyślał, że będziemy tak tu siedzieć, w willi w Sorrento, z widokiem na Morze Śródziemne.

– Świat jest jak ostryga, Mags. Trzeba tylko podważyć skorupę i wyjąć z niej perłę.

*

Będąc kilka tygodni w Rio, zrabował rubiny, a później wybrał się do Peru po szmaragdy, a przy okazji zaliczył rejs po Amazonce.

Wyrównał rachunki w Peru i znalazł sposób, by jedno z narzędzi LaPorte'a, mniej wyrefinowane i bardziej brutalne, znalazło się za kratkami.

Był usatysfakcjonowany. Miał poczucie... sprawiedliwości.

Zmusiło go to do wyjazdu z Ameryki Południowej w rejon południowego Pacyfiku.

Trzy miesiące w Australii przyniosły plon w postaci opali i interesującego monochromatycznego obrazu Seurata. Nurkował też w Wielkiej Rafie Koralowej.

Nowa Zelandia posłużyła mu za teren wypraw kajakowych i pieszych i źródło nieodmiennie budzących zaufanie pieczętek w paszporcie.

Spędził z Mags i Sebastienem tydzień na Fidzi.

Wrócił do Paryża po dziewięciu latach, które upłynęły od chwili jego pierwszej bytności w tym mieście. Jako Willem Dauphine, znawca dzieł sztuki, mieszkający obecnie w Londynie. Tym razem pomieszkiwał w secesyjnym hotelu Peninsula, w samym sercu miasta.

Willem, człowiek konserwatywny, nosił perfekcyjnie skrojone garnitury, zazwyczaj z krawatem od Hermesa i chusteczką w górnej kieszonce. Ciemnoblonde włosy strzygł na krótko i zaczesywał do tyłu, preferował też okulary w szybkretowych oprawkach i zawsze był nienagannie ogolony.

Miał niewielką bliznę po prawej stronie szczęki i wyraźny przodozgrzyz górny.

Miał też niewielkie, umeblowane mieszkanie w innej części miasta, służące za warsztat. Odwiedzał muzea i galerie, ale jego cel stanowiło muzeum sztuki współczesnej w Centrum Pompidou i jedna niezwykła martwa natura Matisse'a.

Umówił się tam na spotkanie z asystentką dyrektora, modną kobietą w średnim wieku, ubraną w surowy czarny kostium; zaproponowała mu kawę.

Poprosił o czarną, choć była tak mocna, że bał się, że rozpuści mu szkliwo na zębach.

Prowadzili rozmowę, posługując się płynnym i dość formalnym francuskim.

– Dziękuję, madame Drussalt, że zgodziła się pani ze mną spotkać. Wiem, że pani czas jest cenny.

– Jak każdy.

– Oczywiście. Reprezentuję klientkę, która odziedziczyła kolekcję dzieł sztuki, prywatną kolekcję, rozumie pani. Przekonuję czy też staram się ją przekonać, by podzieliła się nią ze światem.

– A kim jest ta klientka?

– Nie mam chwilowo prawa powiedzieć tego wprost, ale jedynie przekazać poufnie, że owa kolekcja, jakkolwiek niewielka, obejmuje według mego mniemania ważne dzieła fowizmu. Łącznie sześć egzemplarzy, które znajdują się w niej od dwóch pokoleń.

– Nic o tym nie wiem.

– Nie dziwię się, madame. Jest przechowywana w prywatnym pomieszczeniu prywatnego domu. I jak uważam, nie jest to celem sztuki, toteż namawiam swoją klientkę, by ujawniła to, co zostało ukryte i zamknięte. Jestem upoważniony, by się tak wyrazić, do prowadzenia w tej sprawie rozmów tutaj, podobnie jak w Londynie, Rzymie, Nowym Jorku, a następnie przekazania klientce więcej szczegółów, które skłonią ją do stałego wypożyczenia kolekcji.

– Chce pan, byśmy wystawili tę kolekcję, ale nie może mi pan powiedzieć niczego o swojej klientce.

– Chcę ją przekonać. To jest pierwsza przeszkoda. Będę z panią szczerą.

Machnęła ręką.

– Słucham.

– Moja klientka nie przejawia prawdziwego zainteresowania sztuką. Pragnę odwieść ją od sprzedaży obrazów, od wystawienia ich na aukcję, w której wyniku znów mogą trafić w prywatne ręce. Moja klientka nie potrzebuje czerpać z nich zysków. Nie mówię jej o przeznaczeniu sztuki, tylko o prestiżu, jaki oznacza tabliczka w wielkim muzeum, tabliczka z jej nazwiskiem jako darczyńcy. O rozgłosie, którego źródłem będzie taki dar, i tak dalej. Zważywszy na to, moja klientka jest gotowa wyrazić zgodę, bym... rozeznał się w sytuacji.

– Rozumiem.

– Mieszkam i pracuję w Londynie, madame, ale jestem Francuzem. Gdybym mógł wybierać, kolekcja trafiłaby tutaj. Jednak moim priorytetem jest to, by te dzieła zostały przekazane światu. Są inni, których priorytetem jest to, by je sprzedać albo zachować takimi, jakimi są teraz. Pragnę zapewnić ją o korzyściach wynikających z tej donacji.

– Chce pan, by dar został przekazany pod pewnymi warunkami.

– Jestem świadom określonych zasad, ale zależy mi na uzyskaniu zapewnienia, że jeśli ta kolekcja zostanie uznana za wartościową, będzie prezentowana z odpowiednią informacją. – Zamknął na chwilę oczy. – Musi znaleźć się miejsce na pamiątkową tabliczkę, a przekazanie daru powinno się odbyć z odpowiednią pompą. – Jakby zmagając się ze stresem, potarł się po karku. – Nie powinienem tego wyjawiać, madame, ale jestem pewien, że słyszała pani o Salonie Jesiennym, wystawie zorganizowanej w roku tysiąc dziewięćset piątym, i o kontrowersjach, jakie wzbudził. Wystawiono tam prace Van Dongena, nieprawdaż?

W jej oczach pojawił się błysk zainteresowania.

– Owszem, zgadza się.

– Także prace Matisse’a, Marqueta i innych. To wtedy właśnie tych artystów, za sprawą ich śmiałego posługiwania się kolorami, nazwano fowistami. Dzikimi zwierzętami sztuki. Van Dongen, jak wiemy, przeprowadził się na Montmartre i zaprzyjaźnił z Picassem. I stał się dzięki swoim portretom ulubieńcem francuskiej socjety. Może też zainteresować panią fakt, że babka mojej klientki także mieszkała na Montmartrze. Była uderzająco piękną kobietą. – Umilkł teatralnie. – Widziałem jej portret.

– Ach.

– Skoro mogę panią zapewnić, że owa kolekcja zawiera tak ważne dzieła, to zastanawiam się, czy pani z kolei może zapewnić moją klientkę, jak zostaną przyjęte? Oczywiście, hipotetycznie.

Zapewniło mu to status VIP-a, a także, z powodu większej kradzieży dzieł sztuki w maju 2010 roku, dało „gwarancje” dotyczące bezpieczeństwa.

Udał się wprost do mieszkania, żeby popracować. Po wymeldowaniu się następnego dnia z hotelu poleciał do Rzymu, gdzie powtórzył scenariusz w Galleria Nazionale d’Arte Moderna e Contemporanea. Tam z kolei dał do zrozumienia, że został wezwany do Londynu przez swoją klientkę.

Poleciał do Londynu, następnie wymazał Dauphine’a, stał się Jacques’em Picotem i pojechał nowo nabytym mini z powrotem do mieszkania w Paryżu.

Tam, z niechlujną brodą, długimi ciemnymi włosami, okularami w stylu Johna Lennona i srebrnym ćwiekiem w lewym uchu oraz wystającym nosem, pracował dwa pełne tygodnie nad planem skoku.

Tam też dowiedział się, że LaPorte nie ograniczył się bynajmniej do węszenia.

Później wyobrażał sobie, co by się mogło stać, gdyby nie postanowił wybrać się na spacer w ładne jesienne popołudnie paryskie, zafundować sobie ciastko i zawędrować z nim pod hotel George V.

Gdyby nie zobaczył wysiadającego z limuzyny LaPorte’a, który został w towarzystwie swego ochroniarza powitany przez kierownika hotelu, a następnie wszedł do starego wspaniałego budynku.

Hotel, skąd można było dotrzeć do muzeum na piechotę. I do jego mieszkania. Facet przyjechał tam ledwie kilka dni przed planowaną kradzieżą Matisse’a.

Świat był czasami mały, ale nie aż tak.

Nie uciekł, spacerował dalej i klął się w duchu za to, że wrócił do Paryża, do Europy. Należało skreślić to miasto z listy – i teraz zamierzał to zrobić.

W mieszkaniu zniszczył swój sprzęt, spakował się i wytarł starannie każdą powierzchnię. By doprowadzić sprawę do końca, skontaktował się z właścicielem mieszkania i poinformował go płacząco, że właśnie zmarła mu babka w Nicei, nagle i niespodziewanie.

Wyjeżdżając z Paryża, myślał o tygodniach przygotowań, planowaniu, podróży, przeklętym Matisse. I wszystko poszło na marne, gdyż jeden człowiek postanowił mieć go na własność.

Do diabła! musiał gdzieś zostawić ślady. Dostatecznie wyraźne, by ktoś od LaPorte’a usiadł mu na tyłku.

Gdyby nie tamto ciastko, najprawdopodobniej znów zostałby przyparty do muru. Nie wrócił

do Londynu ani nie pojechał do Nicei, tylko udał się do Calais, gdzie sprzedał mini za grosze i wsiadł do pociągu – inny wygląd, inne nazwisko – jadącego do Belgii.

Z Belgii wybrał się do Niemiec, zrzucając z siebie tożsamości niczym skórę, dopóki nie nabrał pewności, że nie czuje na plecach niczyjego oddechu.

Przybył do Nowego Jorku kilka dni przed Bożym Narodzeniem i przez większość chłodnej samotnej zimy starał się rozplątać w czeluściach miasta.

*

W tłusty wtorek Mags tańczyła na ulicy z Sebastienem. Tradycję należało szanować, bądź co bądź. Godzina była jeszcze wczesna, ale Dauphine i Luc musieli zabrać do domu swojego malucha, a Mardi Gras trwało cały dzień. Mogli tańczyć na balkonie swojego małego domu i oglądać zabawę, rzucając koraliki tym, którzy świętowali na dole.

Ale nie w tłusty wtorek.

Mags i Dauphine w tym tygodniu zajmowały się bez przerwy swoim biznesem w Kryształowej Kuli, sklepiku z pamiątkami i pokoju wróżb, umiejscowionymi na parterze pod tymże balkonem.

„Życie jest niemal doskonałe”, pomyślała Mags, kiedy wszędzie rozbrzmiewała muzyka, a koraliki fruwały w powietrzu. „Byłoby w pełni doskonałe, gdyby Harry – Booth – Silas, jakiegokolwiek imię teraz nosił, skontaktował się ze mną”.

Uprzedził ją jednak, że przez jakiś czas ich wzajemna komunikacja będzie sporadyczna.

Zawsze nosiła przy sobie telefon, tak na wszelki wypadek, ale od ponad sześciu tygodni nie zadzwonił. Więc wraz z komórką nosiła dręczący niepokój.

A potem telefon się odezwał. Poczula w kieszeni wibracje w chwili, kiedy zagrały trąbki.

Wyjęła go, upominając się w myślach, by nie posługiwać się imionami – na wszelki wypadek.

– Halo – powiedziała jedynie.

– Cześć, Mags. Wesołych świąt.

– Och, dziecinko, jak dobrze słyszeć twój głos. – Chwyciła Sebastiena za rękę, a spojrzenie, którym obdarzyła Dauphine, nieco łzawe, mówiło samo za siebie.

– I twój też.

– Możesz mi powiedzieć, gdzie jesteś?

– Stoję na balkonie twojego domu. Wyglądacie wspaniale.

– O mój Boże, jesteś tutaj! Jest tutaj! – Podniosła wzrok i zobaczyła go. – Idziemy do ciebie.

Już idziemy.

Wzięła Wilusia na rękę.

– Nigdzie się nie wybiera, *cher* – zapewnił ją Sebastien. – Po prostu wracamy do domu. – Pocałował ją w dłoń. – Spacerkiem.

Zwolniła kroku, choć wiedziała, że nie przyjechałby, gdyby nie był pewien, że jest bezpiecznie.

Dauphine otworzyła drzwi prowadzące do sklepu. Wtedy Mags ruszyła biegiem. Wcisnęła psa Sebastienowi, a potem skoczyła ku drzwiom mieszkania, już otwartym, gdzie na nią czekał.

– Jesteś! – Zarzuciła mu ramiona na szyję. – Wreszcie jesteś.

– Tęskniłem za tobą – wyszeptał w jej dzikie, nieujarzmione włosy. – I za tobą – dodał, patrząc ponad jej głowę na Sebastiena. – Nie ma co, wybierasz sobie paskudne psy.

– Ale ten ma charakter.

– Musi go mieć, żeby zrekompensować wygląd pyska.

Skierował wzrok na Dauphine, patrząc jej przez chwilę w oczy, następnie przeniósł spojrzenie na Luca, który był od niego o kilka centymetrów niższy, ale za to szerszy w ramionach. Miał krótkie kręcone włosy, a w jego oczach, jak ocenił, malowała się bezmierna cierpliwość.

– Miło mi cię w końcu poznać, Luc. Proszę, tylko mnie nie walnij.

Uwolnił się z objęć Mags, by przyciągnąć Dauphine i pocałować ją. Potem zerknął na jej wydatny brzuch.

– Oboje. Przykro mi, że nie mogłem przyjechać na wesele ani zobaczyć Giselle.

Potarła go po zaroście, przesunęła dłonią po gęstych włosach, które opadały mu na kołnierz.

– Zobaczysz ją teraz.
– Widziałem zdjęcia i filmiki. Ma twoje oczy i sposób bycia.
– Sposób bycia na pewno – potwierdził Luc.
Cofnęła się o krok i pokręciła głową.
– Wciąż masz tę ładną twarz. Cieszę się, że znów ją widzę na żywo.
– Chodźmy na górę. Usiądźmy, napijmy się, pogadajmy. – Mags ocierała oczy. – Kiedy wróciłeś? – spytała, gdy ruszyli po schodach.
– Dwa dni temu.
– Dwa dni!
– Chciałem się upewnić. A teraz jestem pewien. Podoba mi się twoje mieszkanie, twój sklep. Nieźle zabezpieczone.
– Niewystarczająco – odezwał się Sebastien.
Booth uśmiechnął się do niego.
– Ujdzie.
– Zostaniesz tutaj? – wtrąciła Mags.
Skinął jej głową.
– Chciałbym, w każdym razie przez jakiś czas. Odnowiłeś to wnętrze – zwrócił się do Luca.
– Dobra robota.
– Jedyne, jaką warto wykonywać.
Weszli do barwnego salonu Mags z jego istnym lasem poduszek i deszczem kryształków. Za rozsuwanymi szklanymi drzwiami szalał Mardi Gras.
Wiluś, uwolniony od smyczy, zbliżył się dumnym krokiem do tronu swego psiego legowiska i umościł się na nim. Po czym wyszczerzył radośnie zęby do Bootha.
– Ten mnie lubi. Nie wygląda, jakby chciał mi rozwalić mózg siłą swojego.
– Otworzę szampana, którego przechowywałaś, *cher*. A tobie dam tyle. – Sebastien pokazał Dauphine niemal złączone dwa palce. – I doleję soku pomarańczowego.
Młoda kobieta poklepała się po brzuchu.
– Da radę.
– Chłopiec – domyślił się Booth.
Uśmiechnęła się do niego.
– Tak mówią karty.
Usadowiła się w wielkim jasnoczerwonym fotelu razem z Lukiem, a Booth zorientował się, że to ich ulubione miejsce.
Pomyślał, że dobrze razem wyglądają i że do siebie pasują. Przyszło mu to samo do głowy już wcześniej, kiedy zobaczył zdjęcia ślubne i rodzinne, ale teraz się upewnił.
Usłyszał charakterystyczny dźwięk korka dochodzący z kuchni i okrzyk Sebastiena.
– Nie możesz zostać? – spytała Mags. – Po prostu osiedlić się tu i zostać? Nowy Orlean ci służy.
– Zawsze służył. Ale ten facet jest za blisko i ma długie ręce.
– Przeklinam się. – Sebastian przyniósł butelkę, kieliszki i dzbanek z sokiem na tacy. – Przeklinam się każdego cholernego dnia, że załatwiłem ci wtedy tę robotę.
– Los to los. Gdyby nie to, zdarzyłoby się coś innego. To jego wina, nie twoja. Wszystko jego wina.
– Co zamierzasz robić? – Znowu ujęła jego dłoń. – Dokąd pojedziesz? Jeśli wrócisz do Europy...
– Nie, nie tam, w każdym razie nie co najmniej przez kilka lat. – „Jeśli kiedykolwiek”, pomyślał. – Mam kilka pomysłów, trochę planów, kilka miejsc, które przychodzą mi do głowy. – Posłał jej uśmiech dodający otuchy. – Czas na urlop.
– Napiję się za to, bez dwóch zdań. – Podała mu kieliszek, kiedy Sebastien już nalał, a potem czekała, aż każdy będzie miał swojego drinka. – Za przyjemny, długi, szczęśliwy urlop.
Choć w tym momencie nie liczył na szczęście, napił się.
Wystarczało mu, że urlop będzie przyjemny i długi.

Rozdział 16

Przyjechał z Nowego Jorku do Nowego Orleanu nowym volvo, które kupił niemal tak samo przez sentyment, jak i ze względu na niezawodność. Kierując się tym pierwszym, ponownie odwiedził Smokies i Outer Banks i poczuł na ich widok taki sam zachwyt jak za pierwszym razem.

Choć nie podążał trasą, jaką pokonał w wieku osiemnastu lat, nadal wybierał raczej boczne drogi zamiast autostrad, zatrzymywał się w motelach i restauracjach, gdzie płacenie gotówką nie budziło niczyjego zdziwienia.

Nowy Orlean wciąż ogrzewał go swoją atmosferą, wciąż witał go z otwartymi ramionami, ale rozumiał, że nie jest to już jego miejsce na ziemi. Miał już na zawsze pozostać czymś w rodzaju wytchnienia, okazją do spotkań z rodziną i przyjaciółmi i wspomnieniem jego młodszego, bardziej niewinnego wcielenia.

Doświadczał czegoś na kształt przynależności i jednocześnie wyobcowania, kiedy obserwował oczywistą więź i czułość między Mags i Sebastienem. Łączyło ich niemal dziesięć lat wspólnej historii, w której uczestniczył tylko sporadycznie. A widok Dauphine z jej przemądrzałą małą dziewczynką i drugim dzieckiem w drodze tylko pogłębiał te uczucia.

Zbyt długi czas nie uczestniczył w ich codziennym życiu, by wejść w nie gładko i bez zgrzytu. Niewykluczone, że mogłoby to ulec zmianie – gdyby miał dość czasu. Lecz kwatery główna LaPorte'a w Lake Charles była zbyt blisko, by zaznać choć namiastki spokoju.

Chcąc chronić ludzi, na których mu zależało, musiał się od nich zdystansować.

A to oznaczało zdystansowanie się od siebie samego. Od swojej przeszłości, teraźniejszości i przynajmniej chwilowo od przyszłości.

– Nauczyciel? – zdziwiła się Mags, kiedy siedzieli na jej balkonie w blasku zimnego lutowego słońca.

– Zajmowałem się tym już wcześniej. I owszem, tak, z pewnością sobie poradzę z angielskim na poziomie szkoły średniej i z zajęciami teatralnymi.

– W to akurat nie wątpię. I wystarczy ci to?

– Nie wiem, ale mam dwie możliwości. Prywatna szkoła średnia niedaleko Atlanty i publiczna w Wirginii, niespełna dwie godziny drogi z Waszyngtonu.

– Georgia jest bliżej Luizjany.

– Tak, zgadza się. – Może zbyt blisko i to było ważne. – Tak czy inaczej, złożyłem podanie i odbyłem kilka rozmów przez internet i telefon. Następna odbędzie się na zasadzie bezpośredniego spotkania. Moja tożsamość to Sebastian – literuję to tak, jak się powszechnie przyjęło – Sebastian Xavier Booth, pochodzący z Chicago. Podwójna specjalizacja w literaturze angielskiej i nauczaniu, kierunek pomocniczy to sztuka teatralna na Uniwersytecie Northwestern. Poszło mi nad wyraz dobrze.

– Nie wątpię.

Wyciągnął ze swobodą swoje długie nogi.

– Zrobiłem magisterium na obu głównych kierunkach na tutejszym uniwerku Tulane. Poza tym mieszka tu moja ciotka. Zostałem trochę dłużej, żeby napisać też magisterium z teatru. W międzyczasie podróżowałem po Europie, później także. Korzystałem z funduszu powierniczego, rozumiesz.

– O, tak. – Zachichotała. – My, Boothowie, bezustannie korzystamy z funduszy powierniczych. Czy kiedykolwiek uczyłeś tak naprawdę?

– Jasne. W Nowym Jorku. Zostałem to sobie w rezerwie, kiedy spróbowałem się dostać na Broadway i grać, a potem odkryłem, że to właściwa droga. Ale Nowy Jork nie okazał się odpowiednim miejscem. Szukam spokojniejszego życia, takiego, w którym nawiążę bliższe relacje z uczniami.

Pogłaskała go po ramieniu.

– Naprawdę, dziecinko?

– Tak, wydaje się, że spokojniejsze życie to teraz dla mnie coś w sam raz. Zorientuję się, jak będzie z tą edukacją. Lubię korepetycje, ale prawdziwe zajęcia to coś całkiem innego niż praca z pojedynczym uczniem. Najważniejsze to zniknąć. Trudno mi sobie wyobrazić, by LaPorte czy ktokolwiek węszący za Kameleonem raczył choć rzucić okiem na nauczyciela szkoły średniej w jakiejś niewielkiej miejscinie.

– A co z twoją nocną robotą?

– Zobacz się. Wiem, jak zachować ostrożność, działać poza granicami własnego terenu. Dochodzi do tego urlop, spokojne życie, plan nauczania, teatr. Wszystko zależy od tego, czy zdobędę tę pracę.

– Wiem, że ci się uda, dziecinko. Zawsze dostajesz pracę, jeśli tylko chcesz. Jak, u diabła, zamierzasz przetrwać rozmowę kwalifikacyjną? Wszystko przecież sprawdzają.

– Komputery. Czy raczej technologia informatyczna. – Wykrzywił palce. – Magia. Zostawię ci jeszcze jeden telefon, a potem tchnę trochę tej magii w twój komputer. Spodziewaj się kontaktu z obiema szkołami. Będiesz doktor Sylwią Fine, dyrektorką Robinwood Academy w Nowym Jorku. Przećwiczmy to, ale wiesz co i jak. Sebastien zajmie się wszelkimi zapytaniami kierowanymi do Tulane, a ja dopilnuję Northwesternu. Nie wydaje mi się, by chcieli sięgać aż tak głęboko. Dostaną moje świadectwa, listy polecające. Spreparujemy je odpowiednio.

– Nie czujesz żalu, że musisz je preparować?

– Nie. – Pokręcił głową i wzruszył ramionami. – Nie mają znaczenia. Robiłem to, co musiałem, i z czasem to polubiłem. Do diabła, Mags, zawsze mi się to podobało.

Kiwnąwszy ze zrozumieniem głową, rozsiadła się, wyglądając przez okno i chłonąc poświęconą ciszę okolicy.

– Czytałeś ostatnio jakieś dobre książki? Na przykład thriller w stylu powieści z Południa, osadzony w środowisku akademickim?

Dotknęło go to bardziej, niż sądził.

– *Opublikuj albo umrzyj* Mirandy Emerson. Tak, czytałem. Jest dobra, naprawdę dobra. Nic dziwnego. I owszem, rozpoznałem się w postaci oportunistycznego palanta i drugiej ofiary. Zasłużyłem na przedwczesną, brutalną śmierć.

– Nie, nie zasłużyłeś. – Ten rzadko słyszany ton przygany sprawił, że znów się poczuł jak dwunastolatek. – Zrobiłeś to, co musiałeś.

– Może prawdą jest jedno i drugie. Żał mi Mirandy. Z jednej strony wyrzucam sobie, że w ogóle zaangażowałem się w ten związek, a z drugiej, że ją zraniłem dlatego właśnie, że się zaangażowałem.

– Ciebie to także zraniło.

– Poradziłem sobie z tym. – Co było, to było, dawne dzieje, powtarzał sobie i zawsze starał się w to wierzyć. – Byliśmy dzieciakami.

– Och, dziecinko, przestałeś być dzieciakiem przed upływem dziesięciu lat. – Popatrzyła na niego. – Kiedy wyjeżdżasz?

– Mam wstępną rozmowę w Georgii we wtorek po południu.

– No dobra. Wykorzystajmy czas, który nam jeszcze pozostał.

Raczyli się muzyką i jedzeniem. Gadał z Lukiem o domowych naprawach i bez reszty uległ urokowi radosnej, pełnej życia Giselle.

Ostatniego dnia wizyty siedział na ganku chaty Sebastiena z Wilusiem, który wyciągnięty jak długi drzemał na jego lewym bucie.

– Ten pies to istna paskuda, ale odznacza się niezwykłym smakiem. I w odróżnieniu od Bluta chyba mnie lubi.

– Nieprawda. Stary Bluto nigdy cię nie chciał uzrec, więc lubił cię na swój sposób. A ten młodzieniec lubi wszystkich. Musi jeszcze dorosnąć i lepiej rozeznawać się w ludziach. Powinieneś sprawić sobie psa, *mon ami*.

– Nie da się go wepchnąć do torby, kiedy trzeba wiać.

– Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale przeklinam tamtą diabelską robotę, swoją chorą nogę i tego pieprzonego LaPorte'a. – Pokręcił głową z dezaprobatą i westchnął, spoglądając na rzekę, która przepływała tuż obok domu. – Tak gładko ci to poszło! Byłeś tylko chłopcem, to

prawda, a tak gładko sobie poradziłeś. To u ciebie wrodzony talent, więc niby dlaczego nie miałeś go wykorzystać?

– Robota nie była problemem. Problemem było to, że poszła za dobrze.

– Pieprzony LaPorte. Pieprzony obraz.

– Piękne dzieło. Wciąż widzę je w swojej głowie, wciąż zastygam w zdumieniu i podziwieniu.

Pewnego dnia go ukradnę, tak jak tę figurkę.

– Trzymaj się z dala od tego świńskiego osobnika.

– Och, jasne. Ale pewnego dnia wróci do tego swojego pałacu i odkryje, że te dzieła zniknęły. I będzie wiedział, że to ja go obrobiłem. On ukradł mi jedną potencjalną przyszłość. A ja mu zabiorę to, co kocha najbardziej. To, co posiada.

Sebastien milczał przez chwilę, spoglądając na rzekę. Aż wreszcie skinął z wolną głową.

– *Maintenant, mon ami*, jeśli będziesz potrzebował w tej sprawie pomocy czy w czymkolwiek innym, zwróć się do Sebastiena. Możesz na mnie liczyć.

– Wiem o tym. Troszczysz się o Mags, a to mówi samo za siebie, jeśli o mnie chodzi.

– Kocham tę kobietę. Kocham tak bardzo, że mnie samemu moje serce wydaje się za wielkie. Dlatego nie zrobię z niej żony. I nigdy nie stanie się moją czwartą byłą.

Booth przyznał, że takie postawienie sprawy to dla niego nowość. Coś, co sprawdzało się doskonale w przypadku Sebastiena i Mags. I tylko to się liczyło.

Kiedy wyjeżdżał w poniedziałkowy ranek z Nowego Orleanu, wiedział, że ludzie, na których mu zależy, zadbają o siebie.

*

Ponieważ zamierzał pozostać w szkole, która go zatrudniła, przynajmniej przez rok – albo dwa, jak liczył – nie zastosował przebrania. Zjawił się na rozmowie jako ktoś, za kogo się teraz uważał. Sebastian Booth miał na sobie przyzwoity stalowoszary garnitur – od Hugo Bossa – i niósł w ręku skórzaną teczkę. Bądź co bądź, pochodził z bogatej rodziny, podobnie jak większość studentów z jego uniwersytetu.

Uczniowie byli jednakże ubrani w sposób formalny – w szare bluzy z czerwonym logo szkoły wyszytym na górnej kieszeni. Co do włosów nie zezwalano na żaden kolor, który nie występuje w przyrodzie, a w przypadku chłopców musiały być przycięte najdalej na wysokości kołnierzyka. Dopuszczalny był tylko jasny lakier do paznokci, poza tym żadnych widocznych tatuaży czy kolczyków, z wyjątkiem tych noszonych w uszach. I to tylko dwóch, pod postacią ćwieków.

Nie przypuszczał, że tak ściśle wymagania dotyczące ubioru będą go irytować. Lubił jednak określoną strukturę i organizację i podzielał pogląd, według którego takie odstępstwa od „normy” zakłócają edukację.

A jednak go irytowały, niemal tak samo jak atmosfera samozadowolenia, którą wyczuwało się na szkolnych korytarzach.

Nawet jeśli nosili jednakowe uniformy, bez trudu rozpoznawał sportowców, kujonów, prześladowców i prześladowanych.

Może zdołałby coś zmienić – zamierzał to uczynić, gdziekolwiek by wylądował. Ale choć otoczenie wydało mu się urocze, a architektura budynku szkolnego interesująca, wiedział już po dziesięciu minutach rozmowy kwalifikacyjnej, że akurat tu wylądować by nie chciał.

Oczywiście, przyjąłby ofertę – i dostosował się – gdyby nie wyszło ze szkołą w Wirginii. Ale uczyniłby to z zamiarem jak najszybszej zmiany.

Planował początkowo zostać tu na noc, pojeździć po okolicy, pospacerować, zapoznać się z atmosferą miejsca. Tymczasem ruszył na północ i przybył dwa dni wcześniej do urokliwego miasta Westbend – nazwanego tak, jak przeczytał, gdyż rozciągało się na zachodnim zakolu rzeki Rappahannock.

Miało swój urok ze względu na dobrze zachowaną główną ulicę w śródmieściu i w dawnej części, a także port rzeczny oraz widok na góry, wodę i las. W każdym razie wystarczająco dużo uroku, by przyciągać turystów, entuzjastów pieszych wędrówek i kajakarzy, a także niedzielnych żeglarzy. Mimo to nie stanowiło wielkiego magnesu ze względu na małe rozmiary rzeki – w przeciwieństwie do jej bliźniaczki Tappahannock płynącej na południu i nadrzecznych miast wzdłuż Chesapeake oraz ekskluzywnych nabrzeży Potomacu.

Podobała mu się jednak atmosfera tego miejsca. Miasto było dostatecznie duże, by się w nim zanurzyć, ale nie na tyle, by pochłonąć go bez reszty.

I gdyby musiał nagle wyjechać, mógłby dotrzeć do trasy numer 95 i ulotnić się w mgnieniu oka.

Przejechał wolno obok szkoły średniej; w Westbendzie znajdowała się tylko jedna, co mogło stwarzać niewielki problem, ale nie taki, z którym by sobie nie poradził. Nie miała wdzięku ani godności tamtej szkoły prywatnej w Georgii, ale podobała mu się solidność czerwonych cegieł, jej przestronność, ładny zagajnik, miękka trawa.

Zauważył bieżnię, stadion do futbolu amerykańskiego – a jednocześnie siedzibę miejscowych czempionów, Westbend Catfish.

Obejrzał dokładnie parking – tak dla uczniów, jak i dla nauczycieli – i ruszył wolniutko przez kampus szkolny, by przejechać obok mniejszej szkoły, podstawowej.

Doszedł do wniosku, że wszystko to sprawia wrażenie... normalności.

Zawrócił na główną ulicę i zatrzymał się. Pomyślał, że się przejdzie piechotą, zapozna bliżej z otoczeniem, może kupi sobie burgera.

Spostrzegł sklep z pamiątkami, księgarnię – i niech to diabli, zobaczył w witrynie książkę Mirandy. Wystawiono też inne, ale ona była wśród nich. Nie widział zdjęcia na tylnej obwolucie, ale przestudiował je przedtem dokładnie. Oszaliamająca burza włosów, rozpuszczonych z myślą o zdjęciu obejmującym głowę i ramiona, te patrzące wprost oczy morskiej czarownicy, szerokie usta wykrzywione w półuśmiechu.

Nie zastanawiając się wiele, wszedł do środka, nigdy nie potrafił się oprzeć księgarniom. Podobało mu się, że jedna jest przy głównej ulicy, gdyby zdecydował się tu zostać.

Kupił inny thriller – ten pióra Mirandy już miał – z zamiarem czytania tego wieczoru w pokoju hotelowym.

Bardzo przyjazny księgarz polecił mu grill serwujący burgery przy głównej ulicy – zaledwie przecnicę dalej.

Ruszył w tamtym kierunku i zatrzymał się przy agencji nieruchomości.

Zamierzał – ponownie, pod warunkiem, że by tu został – wynająć coś przynajmniej na miesiąc, dwa, a potem zastanowić się nad kupnem, gdyby zdecydował się zamieszkać tu przez zakładane dwa lata.

Nie brał pod uwagę domu widniejącego na zdjęciu w oknie agencji.

Przyzwoita wielkość. Nie za duży, ale z pewnością większy niż to, czego potrzebował. Poza miastem, więc dotarcie do szkoły na piechotę nie wchodziło w grę, a to stanowiło warunek zakupu. Wokół rozciągał się przeszło akr ziemi, też ponad jego potrzeby.

Im dłużej jednak stał przed witryną, tym bardziej jego wymagania i plany brały w łeb; w końcu wszedł do środka.

Kobieta – jedyna osoba obecna w biurze – odwróciła się od komputera i uśmiechnęła do niego promiennie.

– Dzień dobry – powiedziała. – Czym mogę panu służyć?

Uznał, że jest mniej więcej w jego wieku, że odznacza się krągłymi kształtami pod czerwonym swetrem i ma ładną twarz okoloną włosami o odcieniu ciemnego miodu.

– Ten dom przy Waterside Driver... – zaczął niepewnie. – Zdjęcie w oknie... cóż... zwrócił moją uwagę.

– Wspaniała nieruchomość. Pojawiła się w ofercie w tym tygodniu. Ma cztery sypialnie, jedna jest na głównym poziomie, może pełnić funkcję domowego biura lub gabinetu. Sypialnia gospodarzy wyposażona jest w łazienkę, którą ostatnio przebudowano. Jeszcze jedna kompletna łazienka jest na pierwszym piętrze, prócz tego jest też obszerna ubikacja z umywalką na głównej kondygnacji. Dodatkowo zainstalowano prysznic na zewnątrz. Wszędzie oryginalne podłogi z desek, w dobrym stanie. Kuchnia to serce domu, że tak powiem. – Znowu uśmiechnęła się promiennie. – Czy ktoś w pańskiej rodzinie gotuje? Albo może pan?

– Jestem sam. Owszem, gotuję.

„Dom jest dla mnie zbyt duży”, pomyślał. „Nie potrzebuję tej całej przestrzeni”.

– Kuchnia się panu spodoba. Piecyki z podwójnymi ściankami, do tego wmontowana pod szafki mikrofala i automat do lodu. Mała spiżarnia ze zlewem i lodówką na wino. Powinien pan to

zobaczyć na własne oczy zamiast słuchać, jak o tym opowiadam. Może od razu?

– No... jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

– Urzęduję tu dzisiaj sama. Mój wspólnik jest poza biurem. Zawieszę tylko karteczkę na drzwiach, że jest zamknięte, i zawiozę tam pana.

– Chętnie obejrzałbym tę nieruchomość, ale nie chcę marnować pani czasu. Przyjechałem tu na rozmowę o pracę i jeśli jej nie dostanę...

– No cóż, witamy w Westbendzie. – Wstała i włożyła kurtkę. Potem wyciągnęła do niego rękę. – Tracey Newman.

– Sebastian Booth.

– Witaj, Sebastianie, i życzę powodzenia, jeśli chodzi o pracę. Pokazywanie domu nigdy nie jest dla mnie stratą czasu. Mój samochód stoi na tyłach biura. – Machnęła ręką, gdzie to jest, i ruszyła w tamtą stronę. – Co to za praca? – zainteresowała się.

– Nauczanie. W szkole średniej.

– Nowy nauczyciel od angielskiego?

– I sztuki teatralnej.

Pomyślał, że może miasto jest na to za małe.

– No tak. Mój wuj jest zastępcą dyrektora, dlatego wiem, że kogoś szukają. – Wyprowadziła go na tyły biura, gdzie znajdował się parking na cztery samochody i jej kompaktowy SUV. – Zawsze jest możliwość negocjacji, jeśli chodzi o cenę, ale jest ona dość wysoka jak na pensję nauczycielską.

– Mam też inne źródła dochodu. Majątek rodzinny... – dodał po chwili zamierzonego, wstydlivego wahania.

– Ach tak. To się dobrze składa, bo to naprawdę uroczy dom. Zbiegiem okoliczności zastąpi pan w szkole panią Hubbard, a dom należy do Gayle i Roberta Hubbardsów. Rzecz jasna, kiedy dostanie już pan tę posadę. Zakładam, że tak właśnie będzie. Wierzę w pozytywne myślenie. – Wyjechała z parkingu i skręciła w boczną uliczkę. – Gayle postanowiła przejść na emeryturę i przenieść się do Kentucky, żeby być bliżej córki i wnucząt. Córka wyszła tam za tresera koni. Tak czy inaczej, po przerwie zimowej szkoła musiała szukać zastępstw w jej klasie. – Zerknęła na niego z nagłą sympatią. – Dam ci cynk. Jeśli mógłbyś zacząć pracę od razu, pójda ci na rękę.

– Myślałem, że szukają kogoś od sierpnia.

– Daję ci w zaufaniu cynk. Zakładam, że nie masz nic przeciwko temu, żeby mieszkać kawalek za miastem.

– Ani trochę. Dom jest nad wodą.

– Tak. Rozciąga się z niego wspaniały widok na rzekę, wzgórza, lasy. Na tyłach jest niewielka przystań – dom stoi frontem do drogi, płynie za nim rzeka. Z kolei pan Hubbard to zapalony ogrodnik, posesja robi wrażenie. Zamierzasz kupić łódź?

– Może kajak. Lubię pływać kajakiem.

– Polecam ci sklep Rick's Water Sport, jest na północnym krańcu głównej ulicy. Popieramy lokalny handel.

– Okej.

– Więc skąd pochodzisz, Sebastianie?

– Z Chicago, ale uczyłem w szkole prywatnej w Nowym Jorku. Potrzebowałem zmiany.

– Ze szkoły prywatnej w Nowym Jorku do szkoły średniej w Westbendzie!?! – Roześmiała się. – Rzeczywiście niezła odmiana.

Skręciła w żwirowaną drogę, która wiodła przez las i prowadziła do domu.

Dwie kondygnacje z kamienną podstawą zwieńczoną cedrowym drewnem nie przypominały pudła, zwłaszcza klóciło się z nim wybrzuszenie ku południowi – prawdopodobnie dobudówka. Od frontu miał zadaszony ganek i jak wiedział z fotografii, taras na piętrze od tyłu. „Mnóstwo okien”, pomyślał, „a więc dużo światła”.

Dom sprawiał wrażenie solidnego i prostego, a do tego ciepłego i zadbanego, z trawnikiem, który mógłby strzyc, i z ewentualnymi krzewami i ozdobnymi drzewami, które musiałby dosadzić.

„Cholera! Cholera!”, pomyślał. „Jest doskonały”.

Tracey wyczuła chyba jego wibracje, bo znów się do niego uśmiechnęła.

– Pozwól, że pierwsza powitam cię w tym domu, Sebastianie. – Wysiadła z auta i wskazała

budynek. – Sam widzisz, że nieruchomość jest dobrze utrzymana. Wnętrze, a przekonasz się, że pani Hubbard lubi mocne kolory, może wymagać w niektórych miejscach poprawek. I może zechcesz gdzieś stonować te ostre barwy.

Weszli po trzech stopniach na ganek.

– Ten daszek ma tylko pięć lat – oznajmiła. – Na ganku przydałaby się huśtawka. Swoją zabrali ze sobą. Skonstruował ją pan Hubbard z najstarszym synem, chodzi o sentyment.

Wklepała w skrzynce kod – z nawyku go zapamiętał – i wyjęła z niej klucze.

– Nie ma alarmu? – spytał.

– Nie, i przeżyli tu trzydzieści sześć lat bez żadnego incydentu. Ale jeśli jesteś zainteresowany, mogę ci polecić parę firm.

Przekręciła klucz w zamku – standardowy system, matowa czerń, bez zasuwki. Drzwi otwierały się na salon i jednocześnie wielką przestrzeń z kominkiem; linie widoczne na podłodze dowodziły, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat gospodarze wyburzyli tu kilka ścian.

Nie mylił się co do światła – wlewało się do środka nieomal strumieniami – a Tracey nie kłamała w kwestii kolorów.

Pani Hubbard preferowała coś, co przypominało terakotę, ta zaś kontrastowała z turkusem wbudowanych elementów wokół kominka.

– Śmiały wybór – zauważyła Tracey.

– Odważny. Przypomina mi moją ciotkę.

– Pozytywnie czy negatywnie?

– W jej przypadku nie ma mowy o niczym negatywnym.

– Jakież to słodkie. No dobrze. Widzisz, że podłogi są w świetnym stanie, i to wszędzie. Pan Hubbard jest budowlanem, odnawiali ten dom latami. Dobra robota.

– Tak, widzę.

Dał się oprowadzać – zwiedził toaletę z umywalką, sypialnię na głównej kondygnacji oraz domowe biuro, w pełni zmodernizowaną kuchnię, gdzie odważna pani Hubbard zdecydowała się na nieco łagodniejszy błękit szafek i mnóstwo szklanych frontów, a także białą granitową wyspę, głęboki zlew, a nad nim panel, który łączył błękity z terakotą za pomocą wzoru przywodzącego na myśl Włochy.

Ale tym, co naprawdę rzuciło mu się w oczy i wywarło na nim wrażenie, był widok za szklanymi drzwiami – na wykładane łupkiem patio i to, co rozciągało się dalej. Rzeka i jej leniwy nurt.

– Tam jest przedpokój i pralnia, a tu jadalnia. Próbowałam ich namówić, żeby mi pozwolili zaprezentować to w ofercie, ale uznali, że to niepotrzebne.

Otworzyła te szklane drzwi, następnie zaś poprowadziła go po terenie wokół domu, opowiadając o ogrodach i niewielkiej przystani. Słuchał informacji o piecu, o podgrzewaczu wody i tak dalej. Ale podjął już decyzję. Wiedział, że kupił ten dom w chwili, gdy zobaczył zdjęcie w oknie agencji.

Sporną kwestią pozostawała wciąż praca.

Mimo to zadawał właściwe pytania, typowe dla kogoś, kto nie wyobrażał już sobie nieoglądania tych widoków przez następny rok albo dwa lata, i zwiedził piętro.

Podobała mu się główna sypialnia z drzwiami prowadzącymi na taras i bardziej niż obszerną garderobą – potencjalnym prywatnym warsztatem. Musiałby przez jakiś czas żyć w tych lawendowych ścianach, ale, do diabła, miał w sypialni kominek. Niewielki wprawdzie, na gaz, za to z masywną drewnianą półką nad gzymsem.

Gdyby już uznał, że Mags może go bez obaw odwiedzić, dysponował dla niej i dla Sebastiena pokojem gościnnym. I jeszcze jedną sypialnią z osobną garderobą. Nie tak wielką jak ta główna, ale wystarczająco dużą, by zmienić jego niejasne jeszcze plany. Cała ta przestrzeń dobrze wpasowałaby się w jego potrzeby.

Nie było piwnicy i tylko wiata zamiast garażu, ale było poddasze. Jeszcze jedna interesująco rysująca się możliwość.

– Więc jak? Chcesz złożyć ofertę? – wyrwała go z zamyślenia Tracey.

– Najpierw muszą mi zaoferować pracę – odparł. – Jeśli zaoferują, to owszem, szukam właśnie czegoś takiego.

– Gotowy na rozmowę?

– W zupełności. Jest wyznaczona na pojutrze.

– A dlaczego nie teraz?

– Nie rozumiem?...

– Asystentem dyrektorki jest tam mój wuj Joe. A z Lorną, z dyrektorką Lorną Downey, jesteśmy razem w klubie czytelniczym. Może zadzwonię od razu do szkoły? A potem cię tam podwiozę?

– No... nie jestem odpowiednio ubrany na rozmowę o pracę.

– Tu jesteś. Daj mi chwilę.

Wyjęła komórkę i wyszła na zewnątrz. Usłyszał, jak mówi: „Cześć, Lorna, tu Tracey. Zgadnij, kto ogląda dom Hubbardów?”.

Zamierzał wcześniej kupić sobie hamburgera, pojeździć po okolicy. Starał się unikać impulsywnego działania, ponieważ często prowadziło do błędów, a błędy na ogół oznaczały od pięciu do dziesięciu lat w pewnej stanowej instytucji.

Ale...

Tracey weszła z powrotem do domu, zamykając za sobą drzwi na klucz.

– Dyrektorka spotka się z tobą teraz, i to bardzo chętnie.

– Rany. Dzięki. Jak sądzę...

– Coś ci powiem. Jeśli dostaniesz tę pracę, ty postawisz mi kolację. Jeśli dostaniesz tę pracę i kupisz ten dom, ja postawię ci kolację.

Popatrzył na nią, na jej ładną twarz; dostrzegł jej przebojowość.

– Wygląda na to, że chyba wygram.

Czuł, że to miasto odpowiada jego potrzebom, jeśli chodzi o tymczasowy wypoczynek. Czuł, że dom aż nadto odpowiada jego pragnieniu prywatności i właściwego nastroju.

Szkoła, kiedy się w niej zjawił, przesądziła o wszystkim.

Dzieciaki wyglądały jak dzieciaki. Podarte dżinsy, obwisłe bluzy z kapturami, pulowery, gdzieniegdzie krótka spódniczka.

I mnóstwo włosów w kolorach, które nie występują w przyrodzie.

Ponieważ przyszedł w przerwie między zajęciami, korytarze wypełniał gwar. Głosy, trzaskające drzwi schowków, dzwoniące komórki.

Zauważył gablotę z trofeami. Futbol amerykański, piłka nożna, softball, biegi, lacrosse, koszykówka.

Sport, sport i jeszcze raz sport. Dostrzegł też gablotę poświęconą chórowi – występującemu na terenie całego stanu – i drugą, dla szkolnej grupy dyskusyjnej – miejscowych czempionów. Jednak dominował sport, a wśród oglądanych tu dyscyplin dominował futbol amerykański.

Kierując się wskazówkami udzielonymi mu przez Tracey, skręcił w prawo, a potem w lewo, w stronę gabinetu dyrektorki.

W sekretariacie siedziała kobieta o wyglądzie wiedźmy. Obrzuciła go przenikliwym spojrzeniem, po czym zerknęła na chłopca, który stał z nadąsaną miną opodal biurka.

– Wracaj do klasy, Kevin – rzuciła ostro.

Chłopak niechętnie wyszedł, wciąż nadąsany, a nozdrza Bootha uchwyciły nieznaczną woń trawki, którą rozsiewała jego bluza.

– Dzień dobry. – Zbliżył się do biurka. – Jestem umówiony z panią dyrektorką Downey. Sebastian Booth.

– Wiem. Zdecydowała się przyjąć pana, rezygnując z innych, przewidzianych planem zajęć.

– Wcisnęła guzik na pulpicie. – Pani dyrektorka, jest tu ten niezapowiedziany interesant.

– Okej, Marva. Niech wejdzie.

Wskazała mu drzwi z wyrytym na szkle mlecznym słowem dyrektorka.

– Zakładam, że umie pan czytać, skoro stara się pan o posadę nauczyciela.

– Tak, proszę pani, dziękuję. Przepraszam za zakłócenie planu zajęć – dodał, podchodząc do drzwi gabinetu.

Lecz tamta tylko parsknęła.

Nim wyciągnął rękę, by zapukać, drzwi same się otworzyły.

Zdażył się już zapoznać z informacjami na temat Lorny Downey i wiedział, że nim ukoń-

czyła studia na Uniwersytecie Maryland, chodziła do szkoły, nad którą teraz sprawowała pieczę. Wiedział też, że ma troje dzieci i dwoje wnucząt. Oraz że od dwudziestu dziewięciu lat pozostaje w związku małżeńskim z Jacobem Po.

Zapamiętał, że jest w tym samym wieku – pięćdziesiąt dwa lata – co dyrektorka w Georgii. Na tym jednak, o ile mógł się zorientować, podobieństwa się kończyły.

Była niska i sprawiała wrażenie silnej z tymi rozjaśnionymi, ostrzyżonymi na krótko kasztanowymi włosami. Kiedy wyciągnęła do niego rękę, brązowe oczy przyglądały mu się z uwagą.

Nosiła koszykarski bezrękawnik w szkolnych barwach, czerwieni i bieli. Na jej lewym bicepsie widniał tatuaż, coś w dialekcie mandaryńskim.

– Dziękuję, że zjawił się pan tak szybko, panie Booth. Proszę mi wybaczyć strój i ogólny bałagan. Mamy właśnie zebranie drużyny koszykarskiej.

– Doceniam, że zechciała mnie pani przyjąć.

– Żaden problem, żaden problem. – Wskazawszy mu krzesło, podeszła do swojego biurka i wzmiankowanego bałaganu. – Kawy?

– Nie, dziękuję. – Zawsze czuł się w obowiązku wyjaśnić. – W zasadzie nie pijam kawy.

Skinęła głową, stawiając czajnik na kuchence.

– A co pan pije?

– Colę.

Uniosła do góry palec i otworzyła małą lodówkę. Miała na nadgarstku jaskrawoczerwony zegarek sportowy.

– Mam tylko pepsi – oznajmiła, podając mu butelkę.

– Jakoś to przeboleję.

Usiadła i odchyliła się w fotelu, patrząc na niego z zainteresowaniem nad brzegiem kubka z czarną kawą.

– Pańskie podanie robi wrażenie – zaczęła. – Aczkolwiek wydaje się nieco ubogie, wzięwszy pod uwagę te wszystkie podróże, które pan odbył.

– Oglądanie świata, odwiedzanie tych wszystkich krajów, gdzie angielski nie jest językiem urzędowym, to też forma edukacji. – Wskazał nieznacznym ruchem głowy jej tatuaż. – „Nauczyciele otwierają drzwi, ale musisz przechodzić przez nie sam” – przeczytał na głos. – Powiedzmy, że sam chciałem otwierać wiele drzwi.

– Zna pan dialekt mandaryński?

– Trochę.

– Nie dodał go pan do swojej listy.

– Znam go pobieżnie, więc nie mogę twierdzić, że posługuję się nim biegle.

– Ale posługuje się pan biegle kilkoma innymi językami. A jednak zdecydował się pan jako nauczyciel skupić na angielskim i teatrze.

– Udzielałem korepetycji w szkole średniej i na studiach, wiedziałem więc, na czym chcę się skupić. Nie wiedziałem jednak, że chcę uczyć, słowo daję. Uważałem to za coś rezerwowego, dopóki się tym nie zająłem na poważnie.

– Człowiek w pańskiej sytuacji, zwłaszcza finansowej, nie potrzebuje czegoś rezerwowego.

– Podróże kształcą. – Westchnął. – Są ekscytujące i satysfakcjonujące, ale same w sobie nie stanowią celu. Upłynęło trochę czasu, nim się zorientowałem, że chcę otwierać uczniom drzwi.

– Dobra odpowiedź. – Znowu łyknęła kawy. – Rozmawiałam przed chwilą przez telefon z dyrektorką pańskiej szkoły w Nowym Jorku.

– Ach tak. Co u niej?

– Najprawdopodobniej wszystko w porządku, poza tym bardzo żałuje, że pana straciła. Wychwalała pański intelekt pod niebiosa, ale zdążyłam się z nim już zetknąć, zapoznając się z pańskimi świadectwami. Zapewniała mnie, że ma pan dobry kontakt z uczniami i trafnie odczytuje ich emocje. Oraz odznacza się prawdziwym zamiłowaniem do edukacji i sztuki.

„Niezła robota, Mags”, pomyślał.

– Doceniam to wszystko. Po matce i ciotce odziedziczyłem dar w postaci miłości do książek, miłości do opowiadań. A ponieważ książki i teatr opowiadają historie i mogą przyciągnąć uczniów, chcę im pomagać otwierać te drzwi, zachęcić ich do zadawania pytań, do uczestnictwa, do okazywania większej pewności siebie.

– Zgadzam się w zupełności. Aczkolwiek czegoś jednak nie rozumiem. Mimo wszystko Westbend jest pod wieloma względami daleko od Nowego Jorku, i odległości, i kultury, i rytmu życia. No i daleko od ekskluzywnej szkoły prywatnej.

„Ta dyrektorka nie łyknie ot tak wszystkiego”, pomyślał. I uświadomił sobie naraz z całą ostrością, że chce tej cholernej pracy, właśnie tu i teraz – właśnie tej cholernej pracy, tak jak chciał tamtego cholernego domu.

Wiedział, że gładkimi słówkami nic nie wskóra, nie w przypadku tej kobiety; zorientował się, że nie da się jej wciskać kitu.

A więc tylko prawda.

– Właśnie dlatego tu jestem. Miałem kilka dni temu rozmowę o pracę w szkole prywatnej i od razu się zorientowałem, że to nie dla mnie. Jeśli złożą mi propozycję, a wy nie, to się zgodzę, zależy mi na uczeniu, ale nie będzie to mój pierwszy wybór. Chcę pracować w szkole, w której nie obowiązują sztywne reguły, gdzie nie ma mowy o przywilejach, a uczniowie są miejscowi. Tam, gdzie mieszkają, tam się uczą. Pragnę atmosfery wspólnoty i bliskości. Nie macie tu klubu szekspirowskiego.

Uniosła w zdziwieniu brwi.

– Faktycznie, nie mamy.

– Macie za to kółko dramatyczne i jest to ważne dla uczniów, którzy mają w sobie aktorską pasję. Lokuje się pewnie na samym dole łańcucha pokarmowego, by tak rzec, bez porównania z futbolem czy koszykówką. Rozumiem to oczywiście. Ale Szekspir mógłby przemówić do wielu młodych umysłów, jeśli tylko otworzy się drzwi w odpowiedni sposób. A kiedy już je przekroczą, świat stanie przed nimi otworem. Chciałbym zorganizować taki klub, jeśli dostanę tę pracę.

– Uprzedzam, że musiałyby pan poświęcić na to swój prywatny czas i że będzie to bardzo nieliczna grupka zainteresowanych.

– Mam dość czasu, a niewielka grupka nie jest problemem.

Znowu rozsiadła się wygodnie, a potem zaczęła obracać się w fotelu to w lewo, to w prawo.

– Porozmawiajmy chwilę o pańskiej filozofii nauczania – powiedziała – oraz o zasadach, które obowiązują w tej szkole.

Po czym wdali się w długą rozmowę, w trakcie której uzmysłowił sobie ze zdziwieniem, że lubi ją jako człowieka i że chciałby z nią pracować niemal tak bardzo, jak chciał tej posady i domu.

– Jest pan młody – dodała na koniec. – I cholernie przystojny. Proszę mnie nie pozywać za tę uwagę. Uczniowie będą uważali, że da się pan pożreć żywcem.

Uśmiechnął się.

– No to się dowiedzą, że trudno mnie pogryźć, a jeszcze trudniej przełknąć.

Znowu obróciła się w swoim fotelu.

– Od kiedy może pan zacząć?

– Poważnie pani pyta?

– Uczniowie w klasie pani Hubbard przerabiają nauczycieli na zastępstwo na mięso mielone, bo mogą to robić. A ponieważ mogą, nie uczą się tak, jak powinni. Wiosenny musical stanowi żelazny punkt szkolnego repertuaru, a jeszcze nawet nie wybrali tematu ani nie przeprowadzili przesłuchań.

– *Grease*. Nadawałby się, bo to o szkole średniej. Kostiumy i makijaż nie byłyby skomplikowane. Można dopasować choreografię do umiejętności poszczególnych wykonawców. Musiałbym zapoznać się ze sceną, z warunkami technicznymi, ale to prosty wybór, zwłaszcza jeśli czas nagli.

Odstawiła kubek na bok, potarła się machinalnie po oczach.

– Wystawialiśmy *Grease*... kiedy?... jakieś dziesięć, dwanaście lat temu. Tak, jakoś tak. Wciąż uczyłam, nie zajmowałam się jeszcze sprawami administracyjnymi. To był duży przebój. Więc powtarzam, od kiedy może pan zacząć?

Postanowił zagrać vabank.

– Może od razu?

Rozdział 17

Nie było to wszystko takie proste, ale też nie trudne.

W ciągu dwóch tygodni kupił dom i wprowadził się od razu, godząc się na wynajem do chwili podpisania umowy.

W tym czasie spotkał się z innymi nauczycielami, obejrzał pierwszy mecz koszykówki, zapoznał się z tymi, którzy mieli być jego uczniami.

Instagram i TikTok okazały się prawdziwymi skarbnicami wiedzy o nich, a Facebook umożliwił kontakt z rodzicami i dziadkami.

Przygotował scenariusz i uiścił opłaty za autoryzację szkolnego przedstawienia, po czym zamieścił ogłoszenie o przesłuchaniach. Drugie dotyczyło klubu szekspirowskiego.

Musiał wyposażyć dom, urządzić kuchnię; sprzęty kupował lokalnie. Powoli, uważnie i nader ostrożnie zaczął się integrować z miejscową społecznością. Przynależność do grupy oznaczała niewidzialność.

Outsiderzy rzucali się w oczy.

Czuł się w klasie dość pewnie, mimo to przerażała go nieco myśl o wystawieniu i wyreżyserowaniu szkolnego musicalu.

Niektórzy rzeczywiście próbowali go przeżuć i połknąć, ale był na to przygotowany.

Zaczęło się zaraz pierwszego dnia, i to od razu na pierwszej lekcji.

Uśmiechający się złośliwie nastolatek siedzący z tyłu na zajęciach z literatury wyróżniał się nie tylko młodzieńczym trądzikiem, ale i niewłaściwym zachowaniem.

Ponieważ nauczyciel na zastępstwie kazał w poprzednim tygodniu przeczytać *Zabić drozda*, Booth zainicjował dyskusję na temat książki. Uśmiechający się chłopak zawołał:

– Jaki jest sens czytać coś, co napisali biali faceci, którzy już nie żyją? To nie ma nic wspólnego z tym, co dzieje się teraz.

– W rzeczywistości Harper Lee to nieżyjąca biała kobieta i rozumiem... ty jesteś Kirby, tak?

Zauważył, że chłopak zareagował zdziwieniem na fakt, że nauczyciel zwraca się do niego po imieniu.

– Tak. Bo co?

– Rozumiem, że jeszcze nie zacząłeś tej książki albo nie wiesz, że ta właśnie konkretna opowieść ma wiele wspólnego z tym, co dzieje się teraz. Wobec tego możesz przysłuchiwać się dyskusji, która dziś skupi się na narracji Scout, młodej białej dziewczyny, na rasowych stereotypach, rasizmie i rasistowskiej niesprawiedliwości – a wszystko to wciąż jest obecne w przestrzeni publicznej – które autorka relacjonuje w trakcie całej powieści.

Chłopak wzruszył ramionami, po czym skrzyżował demonstracyjnie ręce na piersi i zamknął oczy, jakby zamierzał uciąć sobie drzemkę. W klasie rozległy się śmieszki.

– I, Kirby, po przeczytaniu zadanej lektury napiszesz wypracowanie na pięćset słów – w obronie twojego twierdzenia czy mojego. Obojętnie. Twój wybór.

Chcąc nie chcąc, chłopak uniósł powieki.

– Nie zmusi mnie pan do wypisywania jakichś bzdur. Tak zresztą jak nikogo innego.

– Napiszesz albo i nie. A nie? To poszukaj sobie innej klasy, bo w tej to ja rozdaję karty. Wyraziłeś opinię, a teraz albo ją poprzesz, albo się z niej wycofasz w wypracowaniu liczącym pięćset słów. Jesteś jednym z uczniów w klasie liczącej dwadzieścia cztery osoby, Kirby, i już zmarnowałeś wszystkim dość czasu swoim narzekaniem. I dodam coś jeszcze... – Odczekał, aż ucichną pomruki, chichoty i szurania. – Niektóre lektury mogą się wam wydawać nieaktualne, przynajmniej na pierwszy rzut oka. I nie wszystkie wzbudzą wasze zainteresowanie, może i większość nie. Toteż, mając to na względzie, co cztery tygodnie będziemy omawiać dowolną pozycję. Czytajcie, co chcecie, i omawiajcie to.

– *Deadpool!* – wykrzyknął ktoś.

– W porządku. Komiksy są dopuszczalne.

Jeden z chłopaków – Etan, jak pamiętał Booth – gapił się zszokowany.

– Bez żartów?... – wyjąkał.

– Na tych zajęciach szanujemy słowo pisane. Możemy się nie zgadzać z pisarzem, może nam się nie podobać treść czy bohaterowie, ale szanujemy słowo pisane i wolno nam wyrazić opinię o książce – pozytywną lub negatywną. No dobrze, wróćmy teraz do postaci Scout.

Tak przebrnął przez pierwszy dzień, potem przez drugi. Prowadził przesłuchania z pomocą nauczyciela muzyki i jednocześnie dyrygenta chóru i też sobie poradził – z bardzo miłymi niespodziankami.

Okazało się, że pod względem wokalnym dysponował kilkoma silnymi głosami. Jeśli zaś szło o stronę aktorską, kilka osób odznaczało się autentycznym talentem, a większość istotnym potencjałem.

I mnóstwem zapału.

Pocił się nad obsadą, gdyż sam dobrze pamiętał, jak to jest – kiedy jeszcze mógł – załapać się do szkolnego przedstawienia, a później czekać na ogłoszenie listy wykonawców, ekipy, dublerów.

Wkrótce z tygodnia zrobiły się dwa, z dwóch – miesiąc wypełniony planem lekcji, próbami, spotkaniami klubu – zgromadził łącznie pięcioro chętnych do klubu szekspirowskiego – naradami pedagogicznymi, oceną wypracowań.

Wiedział, oczywiście, że edukacja to coś o wiele więcej niż samo nauczanie, teraz jednak doświadczał tego na własnej skórze.

Poświęcił sporo czasu na zainstalowanie w domu systemu bezpieczeństwa i drugiego na piętrze, w sypialni, gdzie trzymał swoje narzędzia, garderobę i resztę akcesoriów potrzebnych do nocnej roboty.

Choć brała go od czasu do czasu prawdziwa chęć i nieraz pragnął stanąć w jakimś pustym, ciemnym domu, aż do końca roku szkolnego trzymał się zasad urlopu, który sobie wyznaczył.

Uczestniczył w uroczystości wręczenia świadectw na koniec szkoły średniej. Niektórzy z jego uczniów nosili na głowach kwadratowe czapki, a na ramionach togi. I doszedł do wniosku, że poniekąd sam też dostał świadectwo, tyle że w innej dziedzinie.

Udało mu się otworzyć kilkoro drzwi, poradził sobie z niejednym problemem i wyreżyserował cholernie dobrą sztukę. Co więcej, wszystko to bardzo mu się podobało.

Teraz, kiedy zbliżały się letnie wakacje, a wraz z nimi perspektywa spędzania wolnego czasu, chciał częściej pływać kajakiem po rzece, celebrować leniwe poranki albo czytać wieczorami na tarasie lub patio. Czytać raczej dla przyjemności, może zorganizować grilla dla innych nauczycieli i personelu szkoły.

A gdyby tak w trakcie tego długiego lata wybrał się w podróż na bogate przedmieścia Waszyngtonu i ich urokliwe stare domostwa pełne równie urokliwych przedmiotów? Człowiek musiał utrzymywać odpowiednią formę.

*

Początkowo planował przeżycie roku, no może dwóch lat, jako Sebastian Booth, nauczyciel szkoły średniej, zapalony kajakarz, entuzjasta teatru i miłośnik Szekspira.

Lubił samego siebie w tej roli i cieszył się, bardziej niż sobie wyobrażał, mogąc rozniecić iskrę edukacyjną w tym czy innym uczniu.

Uczestniczył w drugiej promocji, a potem trzeciej i wtedy z satysfakcją obserwował, jak Kirby – niegdyś nieprzejednany antagonistą, a teraz solidny uczeń czwórki – wchodzi na podium w czapce i todze absolwenta.

Był dumny, zarówno z chłopca, jak i z siebie, że udało mu się znaleźć klucz do tego konkretnego zamka Kirby'ego.

Podczas tego trzeciego lata począł rozważać „za i przeciw” – zostać czy ruszyć dalej.

Argumenty „za” przychodziły łatwo. Podobał mu się dom, okolica, ludzie, praca. I wszystko to ulokowane w zakątku dostatecznie odległym, by LaPorte węszył gdzie indziej. Na dobrą sprawę wydawało się prawie niemożliwe, by ten człowiek tracił czas i środki na poszukiwania jednego zło-

dzieja.

Ale „prawie niemożliwe” też niosło ze sobą ryzyko.

Czuł się dobrze w skórze Sebastiana Bootha, a to miało niebagatelne znaczenie. Fakt, że widział siebie w tej roli na dłuższą metę, też ważył na jego decyzji.

A co z argumentami „przeciw”? Jakkolwiek się czuł komfortowo w tym nowym wcieleniu, nie pozwalało mu ono nawiązywać autentycznych osobistych relacji. Zbyt wiele powodów przemawiało za unikaniem zaspokajania tej podstawowej ludzkiej potrzeby.

Przyjaźń? W porządku. Okazyjny i obopólnie akceptowany seks? Żaden problem. Nie mógł jednak ryzykować prawdziwej intymności ani trwalszego związku.

Jednakże nie bardzo sobie też wyobrażał, czy i jak mogłoby się to zmienić, gdyby stąd odszedł i kontynuował karierę gdzie indziej, jako ktoś inny.

Tutaj doświadczał zmian pór roku i widział je wszystkie z bliska. Rozkwitające święto wiosny, lepkogorące lato, przejmujące barwy jesieni i spokojny całun zimy.

Kiedykolwiek by odszedł i gdziekolwiek by się udał, musiałby znaleźć miejsce dające to samo uczucie spokoju i celowości.

Kiedy lato miało się z wolna ku końcowi, znów znalazł się w swojej sali szkolnej. Spoglądał na świeże, młodzieńcze twarze, na te oczy jedne znudzone, a inne pełne chęci, na tę całą hałastrę.

– Dzień dobry, jestem Sebastian Booth, a to są zajęcia ze sztuki języka. Będziemy analizować różne gatunki literatury, ale też wasze myślenie krytyczne i umiejętności pisania. Zaczniemy w przyszłym tygodniu dyskusję o pierwszej zadanej lekturze, *Władcy much* Williama Goldinga. Możecie ją znaleźć w bibliotece szkolnej, w bibliotece miejskiej, w księgarni przy głównej ulicy i niewykluczone, że na półce we własnym domu.

Zanotował sobie, kto wszystko to zapisuje, kto wygląda przez okno albo gapi się w sufit. Oraz parę, która siedziała w jednej ławce i przysyłała sobie wiadomości.

– Mogę wam kazać odczytać te esemesy na głos przed całą klasą, zanim zabiorę wam telefony – rzekł od niechcienia. – Albo możecie je schować.

Komórki zniknęły natychmiast w kieszeniach.

– Słuszna decyzja.

Postanowił zostać, może jeszcze przez rok, i tak również dokonać słusznego wyboru.

Pochłonęła go w pełni rutyna, wiodąc do przerwy zimowej. Lekcje, przygotowania do zajęć, spotkania klubu. Przesłuchania, potem próby do *Czterech wesel i pogrzebu*, sztuki odgrywanej przez uczniów ostatniej klasy, przeróżne skecze i monologi dla miłośników teatru. I pogłębione dyskusje oraz debaty na temat *Jak wam się podoba* w liczącym obecnie dwanaścioro członków klubie szekspirowskim.

Tak wyglądało budowanie zespołu, budowanie umysłów.

Kiedy nadszedł grudzień, postawił w oknie choinkę, rozciągnął pod dachem ganku frontowego światelka i zaopatrzył się w podwójną porcję lukrowanych, ozdobnych ciasteczek w puszcze, którą zamierzał zabrać na świąteczne przyjęcie do domu Lorny – dyrektorki Downey.

Opuścił dom w bożonarodzeniowym nastroju, wzmocnionym jeszcze przez rześkie powietrze i widok księżycy w pełni. Z niecierpliwością wyczekiwał spotkania z nauczycielami, przyjaciółmi i innymi, którzy zaliczali się do rozległego grona znajomych Lorny.

Planował większość wieczoru spędzić w domu, ale nigdy by nie przepuścił świątecznego przyjęcia u dyrektorki; sam urządził letniego grilla.

Lubił wpadać w mieście na pizzę i stał się stałym bywalcem księgarni – choć opierał się namowom na przewodniczenie klubowi czytelniczemu albo choćby na uczestniczenie w nim. Póki zima się na dobre nie zaczęła, większość weekendów spędzał w kajaku na rzece.

Przez jakiś czas zastanawiał się poważnie, czy nie wziąć sobie psa, ale doszedł do wniosku, że przeczyłoby to zdrowemu rozsądkowi, i zrezygnował z tego pomysłu.

Na podjeździe i przy ulicy w pobliżu domu Lorny i jej męża Jacoba roіło się już od samochodów.

Nie skąpili na dekoracjach świątecznych. Oba piętra wraz z garażem tonęły w powodzi światelek, podobnie jak duży klon, który ocieniał podwórze od frontu. Kryły się pod nim bożonarodzeniowe chochliki, a na dachu pędził saniami św. Mikołaj ze swoim Rudolfem.

Boże Narodzenie mogło się skończyć, a świat i tak zmierzały ku nowemu rokowi. Tutaj

jednak święta nadal żyły i jaśniały w najlepsze.

Nie musiał pukać ani naciskać dzwonka. Zaproszenie od Lorny oznaczało: nie krępuj się i wchodź do środka.

Toteż tak właśnie uczynił, wkroczył wprost w blask lampek i dźwięki kolęd. Ludzie tłoczyli się w salonie i kuchni z wyspą uginającą się od jedzenia.

Obeznany z zasadami, przywitał się ze wszystkimi i sam był witany po drodze do gabinetu, gdzie zostawił płaszcz. Następnie ruszył do kuchni, żeby wyłożyć ciastka na zatłoczony już stół deserowy.

Zbliżyła się do niego Tracey, cała w bożonarodzeniowej czerwieni, i pocałowała go w policzek.

Czasem się umawiali, dwa razy poszli do łóżka, ale zgadzali się, że w ich przypadku lepiej się sprawdza klasyczna przyjaźń.

Poprzedniej wiosny był na jej ślubie.

– Wesołych i szczęśliwych – rzuciła. – To ty przyniosłeś te przeklęte ciastka?

– Przyznaję się do winy – odparł.

– Biodra mi się rozrastają, kiedy o nich myślę.

Mimo wszystko wzięła jedno.

– Wyglądasz zdumiewająco, jak zwykle.

– I czuję się zdumiewająco. Dobiłam targu na wynajem domu, jakieś półtora kilometra od twojego. Na sześć miesięcy, w samym środku zimy. I chodzi o celebrytkę.

– O rany! Powiedz, że to Jennifer Lawrence. Skradła mi serce.

Trąciła go łokciem i roześmiała się.

– Chciałabym. Ale to celebrytka z twojej bajki. – Zaczęła wodzić spojrzeniem po tłumie gości. – Jej matka chrzestna przeprowadziła się tutaj kilka lat temu po hucznym rozwodzie, żeby zwać od tego wszystkiego, by się tak wyrazić. To stara przyjaciółka Lorny. A nasza celebrytka jest tutaj na tym przyjęciu, chce spędzić trochę czasu ze swoją matką chrzestną i pozwiedzać okolicę. A oto i ona! Jak leci? Sebastian, jest tu ktoś, kogo musisz poznać.

Odwrócił się – i świat nagle stanął w miejscu.

Ujarzmiła włosy, splatając je w dwa niewielkie warkoczyki za uszami, a resztę, o barwie spalonych jesiennym słońcem liści, rozpuściła swobodnie na plecy.

Utkwiła w nim te diabelsko zielone oczy. Malowały się w nich szok i niedowierzanie.

– Miranda Emerson, autorka bestsellerów, a to Sebastian Booth – przedstawiła ich Tracey. – Sebastian wpaja pracownicy w tutejszej szkole średniej miłość do książek i teatru.

– Sebastian... – rzekła bardzo powoli i z nieudawanym rozmysłem.

Mogła zniszczyć wszystko jednym słowem, a on w żaden sposób by jej o to nie winił. Jedno słowo, a wyszedłby stąd, złapał swoją torbę podróżną i zniknął.

Wydawało się, że nie ma to znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Ale wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

– Miło cię poznać – rzekł. – Podoba mi się twoja twórczość.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się z przymusem.

Zastanawiał się, czy tylko on dosłyszał ten twardy ton.

– Tak. Jestem w połowie *Kontrapunktu*.

– Sebastian niemal w pojedynkę utrzymuje tutejszą księgarnię na rynku – wtrąciła wesoło Tracey. – I okazuje się, że jesteście sąsiadami albo za chwilę będziecie, jak się już wprowadzisz.

– Ach tak... Sąsiedzi.

„Tym razem ani śladu ciętości”, pomyślał, „za to coś w rodzaju stłumionego śmiechu”.

– Dom Sebastiana znajduje się w odległości około półtora kilometra od twojego, Mirando, nad rzeką. Och, widzę, że Marcy Babcock znów przyparła do muru mojego Nicka. Zawsze chce kogoś pozywać. Przepraszam na moment! Pozwólcie, że go ocalę.

Odczekał chwilę, po czym wymówił jej imię, tylko imię.

– Miranda.

– Daj spokój. Nie zamierzam tu robić sceny ani wprawiać w zakłopotanie mojej matki chrzestnej, a tym bardziej Lorny. Nie tutaj, nie teraz.

To powiedziawszy, oddaliła się, unosząc wraz z sobą chmurę zapachu perfum.

Nie mógł tak się po prostu wymknąć, nie prowokując ludzi do pytań. Zamiast tego nalał sobie pół kieliszka wina. Mógł usuwać się jej z drogi przez godzinę. Nie sądził, by jego organizm dłużej to zniósł.

Machinalnie skierował się w stronę grupki gości, dołączając do niej. Zmieszał się z tłumem, podczas gdy wszystko się w nim gotowało i przewracało.

Wiedział, że musi natychmiast wyjechać, bez dwóch zdań. Jak miałby to zrobić, zależało właściwie od Mirandy. Gdyby dała mu trochę czasu, wymyśliłby jakiś nagły powód, wystawił dom na sprzedaż w agencji Tracey, poinformował Lornę, żeby znalazła kogoś na jego miejsce albo wyznaczyła nauczycieli w zastępstwie.

Lecz gdyby mu nie dała czasu, spakowałby wszystko, co nieodzowne, pożegnał się z Sebastianem Boothem i zniknął.

Może wyruszyłyby tym razem na zachód? A może na północ? Może przerażająca Alaska znajdowałaby się na tyle daleko, że los nie zetknąłby go już nigdy z Mirandą?

Nie mógłby ich nigdy więcej zetknąć, skoro budziła w nim te wszystkie dawne uczucia. Te, które starał się zamknąć na dnie serca raz na zawsze. Złamała szyfr samą swą obecnością. Te uczucia były jedynym, co nie zmieniło się przez dwanaście lat.

Wciąż był w niej zakochany.

Rozmawiał, śmiał się nawet. Obejmował Lornę i zrobił to samo, po męsku, z Jacobem. Raczył się tą połową kieliszka wina przez okrągłą godzinę. Dostrzegł ją ze dwa razy – tę kaskadę płomiennych włosów spływającą po plecach sukienki w kolorze leśnej zieleni.

Raz spojrziała mu przelotnie w oczy, kiedy siedziała z Andym i Carolyn Stoperami, właścicielami księgarni. I to spojrzenie powaliło go nieomal na kolana.

Wziął swój płaszcz, po czym wymknął się ukradkiem przez tylne wyjście – no cóż, jak złodziej.

Jechał do domu na pamięć; jego świąteczny nastrój prysł. A później, kiedy dojechał do domu, zgasił silnik i zastygł na fotelu w samochodzie. Odchylił głowę, przymknął oczy, mając wrażenie, że wszystko, co Miranda w nim uwolniła, przepływa przez niego jak rzeka.

Jego życie – to życie, które chciał zachować, jak mu się wydawało, które chciał budować, w którym chciał uczestniczyć – było skończone. I akceptował to.

Jak jednak miał zaakceptować to, że nigdy nie będzie miał prawdziwego życia? Nigdy i nigdzie? Pod żadnym nazwiskiem? Bo właśnie jej, tej jednej jedynej, mieć nie mógł?

Cóż to był za świat, skoro wymagał od niego, by czuł to, co czuł? By czuł to wszystko do kobiety będącej poza jego zasięgiem?

– Rzeczywistość... – mruknął, zatraskując drzwi samochodu. – Po prostu pieprzona rzeczywistość.

Dotarł już niemal na próg swego domu, kiedy spostrzegł światła. Poczuł, jak jego świat ponownie się chwieje w posadach, gdy ujrzał samochód, który zaparkował za jego autem.

Nie traciła czasu.

Zaczekał, gdy ku niemu energicznie szła, stukając obcasami na kamiennej ścieżce. Już chciał coś powiedzieć, nie mając pojęcia, co właściwie. Nie zdążył. Wpakowała mu pięść w brzuch, i to z niebywałą siłą.

Cios pozbawił go tchu. Musiał kilka razy wciągnąć powietrze w płuca.

– Zasłużyłem na to – wystękał.

– Zasłużyłeś na to i na to, żeby ci przywalić pięścią w twarz, ty skończony kutasie, ale podbite oko prowokowałoby do zbyt wielu pytań.

– Masz rację, Mirando, i w jednym, i w drugim. Jest zimno. Chcesz wejść do środka?

– Nie chcę, ale wejdę.

Otworzył drzwi i wyłączył alarm.

– Pozwól, że wezmę od ciebie płaszcz.

– Nie dotykaj mnie.

Zdjęła z siebie okrycie, przechodząc przez salon, i rzuciła je na krzesło.

– Okej. Mogę ci nalać czy...

– Och tak, proszę.

Wyglądała jak wojownik szykujący się na bitwę, pewien, że ją wygra. Rozpoznawał w niej

śląd dziewczyny, którą kiedyś znał i kochał, ale ta kobieta miała w sobie nieznaną mu twardość. Odznaczała się wibrującą wręcz pewnością siebie i mnóstwem niekłamanej furii.

– Sebastian Booth?! A co to za bzdura?! I nauczysz? – Jej głos ociekał jadem. – Ty masz w ogóle dyplom? Co do diabła oznacza to twoje imię i nazwisko?

– To tutaj i teraz to Sebastian Booth. Nie każ mi przytaczać imion z Szekspira. Nie powiem ci prawdy, bo tak będzie dla nas obojga lepiej.

– Jesteś kłamcą! I nie myśl, że kupię te twoje łągarstwa tak, jak to zrobiłam w wieku dwudziestu lat. Odpowiesz mi na kilka pytań, w przeciwnym razie pójdę wprost do Lorny, a twoja mała żalosna gierka wyjdzie na jaw.

– To nie gra, nie taka, jaką masz na myśli. Ale w porządku, odejdę. Wyjadę. Jeśli dasz mi kilka dni, to...

Jej policzki oblały się czerwienią pod wpływem nagłej wściekłości.

– Zwiąć tak jak wcześniej? Dać nogę? Zostawić Lornę na łodzi, opuścić dzieciaki, które jej zdaniem nauczysz w tak kreatywny sposób? Typowe dla ciebie! – prychnęła, po czym odwróciła się gwałtownie, lecz zaraz, jakby o czymś sobie przypomniała, znowu stanęła do niego przodem. – Czy ta twoja mityczna ciotka będzie miała kolejny wypadek?

– Nie jest mityczna. Nie miała wypadku, ale mityczna nie jest.

– Każdy, kto kłamie, że jego matka umiera na raka, skłamię w każdej sprawie.

– Dość. – Jego głos ciął jak bicz, on zaś stwierdził, że wzbiera w nim gniew. – Miałem dziewięć lat, kiedy matka po raz pierwszy zachorowała na raka, pierwszy raz przeszła badania, a później wszelkie terapie, od których rzygała nieomal wnętrznościami. Możesz sobie myśleć o mnie, co chcesz, masz do tego prawo, Mirando. Ale nie kpj z tego, przez co przechodziła. Nie miała nawet trzydziestki za pierwszym razem i nie dożyła czterdziestki.

– Więc po co te wszystkie kłamstwa, Booth? Złamałeś moje cholerne serce i sprawiłeś, że wstydziłam się tego, co do ciebie czułam, co z tobą robiłam. Splugawiłeś wszystko, co było mi drogie. Mnie samą splugawiłeś.

– O to mi właśnie chodziło, Mirando. Nie widziałem innego sposobu. Ktoś chciał, żebym coś dla niego zrobił, ktoś, kto nie pozostawił mi wyboru. Żeby to zrobić i uwolnić się od niego, musiałem wyjechać, po prostu natychmiast wyjechać. I myślałem – wierzyłem w to – że jeśli mnie znienawidzisz, to będzie to dla ciebie najlepsze wyjście.

– „Znienawidzisz” to jest za mało powiedziane, o wiele za mało. Wyplakałam za tobą wszystkie łzy. Zraniłeś mnie, Booth, tak jak nikt wcześniej ani potem. „Ktoś”? „Coś”? To nie wystarczy. Stoisz tu w domu, na który nauczyciela szkoły średniej nigdy nie byłoby stać, posługujesz się innym nazwiskiem i według Lorny ukończyłeś Northwestern, co jest kolejnym łągarstwem i oszustwem. Studiowałeś na Uniwersytecie Karoliny Północnej. Więc kto, co i dlaczego. – Usadowiła się na podłokietniku fotela; nie usiadła, jak zauważył, gdyż wydałoby się to zbyt swobodne, zbyt przyjacielskie. Wyciągnęła ku niemu dłoń, jakby w oczekiwaniu. – Dowiem się całej prawdy albo klnę się na Boga, że walnę cię w twarz, a później porozmawiam poważnie z Lorną.

Zobaczył coś, czego za nic w świecie nie chciał zobaczyć. Pod gniewem malującym się w tych oczach krył się prawdziwy ból.

Uświadomił sobie, że i tak jest tu już skończony. Mógł na początek wyjawic jej trochę prawdy.

– Nazywa się LaPorte i chciał, żebym ukradł dla niego brązowy posążek. *Bella Donna*, wart wtedy kilka milionów dolarów. Cena prawdopodobnie wzrosła dwukrotnie od chwili kradzieży.

Przekrzywiła głowę, uniosła brew.

– Dlaczego, u diabła, ktoś chciałby, żebyś ukradł jakiś posążek, albo oczekiwał tego od ciebie?

– Ponieważ to właśnie robię. Kradnę rzeczy.

To powiedziawszy, usiadł, jakby uwolniony od ciężaru tych słów.

Rozdział 18

Nie wierzyła mu, to było oczywiste. Zamiast okazać szok wywołany jego wyznaniem, zareagowała szyderstwem.

– Ach, więc w wieku około dwudziestu lat zostałeś zmuszony przez tego LaPorte’a do kradzieży cennego dzieła sztuki. Z powodzeniem, jak przypuszczam.

– Jestem dobry w swoim fachu.

– Słusznie. – Wstała. – Sądzę, że skończyliśmy.

– Sprawdź to. Wyjmij komórkę, wyszukaj w Google’u *Bella Donna*, brązowy posążek, artystka Julitta Castletti, figurka ukradzioną z Hobarta, prywatnego muzeum w Baltimore. Kilka tygodni po moim wyjeździe.

Wyjęła telefon i kiedy wpisywała szczegóły, ciągnął:

– Zawiozłem mu to do jego domu w Lake Charles w Luizjanie, w dniu Bożego Narodzenia. Następnie zmieniłem nazwisko i ponownie wygląd. To jeszcze jedna rzecz, którą potrafię robić. I wyczarterowałem lot do Paryża. Musiałem trzymać się od niego z daleka, bo zrobiłby to jeszcze raz i jeszcze raz. To dla niego potwierdzenie władzy.

Podniosła wzrok znad komórki.

– To, że znasz okoliczności tej kradzieży, nie oznacza, że jej dokonałeś albo że cokolwiek z tego, co mówisz, jest prawdą.

– Na litość boską. – Wstał i podszedł do kominka, ocierając się o nią przy okazji. – Rozpalę ogień. Która godzina?

Spojrzała na zegarek – bardzo ładny Baume & Mercier. Nie miała go jednak na ręku.

Pokazał go jej.

– To ten?

Teraz dostrzegł na jej twarzy jeśli nie szok, to zdumienie.

– Obrabiam kieszenie od czasu, kiedy byłem dzieciakiem. Dzieciakiem w Chicago, z chorą matką i górą długów. – Oddał jej zegarek, po czym rozniecił płomień pod podpalką i polanami. –

Wyjechałem i wykonałem tę robotę dla LaPorte’a, bo groził, że skrzywdzi Mags. Moją ciotkę. By tego dowieść, wysłał kogoś, kto pod jej nieobecność zdemolował jej mieszkanie. Skrzywdziłby ją, skrzywdziłby ciebie, moich przyjaciół, każdego, na kim mi zależy. Tak właśnie robi i jest w tym dobry. – Na jej twarzy tańczył blask ognia, gdy na nią spojrzał. – Więc wyjechałem i zraniłem cię.

– Jesteś złodziejem.

– Zgadza się. – Wyprostował się. – Głównie biżuteria i dzieła sztuki. Również znaczki i monety, ale nie dają takiej satysfakcji.

– Satysfakcji?... – Stała, wlepiając w niego oczy. – Okradasz ludzi. Jesteś przestępcą, Booth, a to żadna satysfakcja.

– Próbuję cię tylko nie okłamywać.

– Ty... wyważasz drzwi i...

– Nie, nie wyważam. Radzę sobie z zamkami oraz systemami zabezpieczeń. Niczego nie niszczę. Nigdy nie stosuję przemocy wobec ludzi czy nieruchomości. To główna zasada.

– Masz jakieś zasady?

– Tak, mam zasady. Lista jest na dobrą sprawę bardzo długa. Przyniosę wina. Możesz się napić albo nie.

Poszedł do kuchni i wybrał ze stojaka przyzwoite chianti.

– Naruszasz prywatność innych ludzi i bierzesz to, co do ciebie nie należy. Dla pieniędzy.

Wyciągnął z butelki korek i nalał do dwóch kieliszków, patrząc na nią zimnym wzrokiem.

– Nigdy, przenigdy nie musiałaś się martwić o to, czy będziesz miała nad głową dach tego dużego, pięknego domu należącego do was od czterech pokoleń. Nigdy nie musiałaś się zastanawiać nad tym, czy starczy wam pieniędzy na jedzenie. Nigdy nie słyszałaś, jak twoja mama płacze

w nocy, myśląc, że śpisz, bo przysłali rachunki. Opłaty za szpital, za wizyty u lekarza, rachunki za kredyt hipoteczny, za ubezpieczenie, które, jak się okazało, gównem ostatecznie pokryło. Dorastałaś jako osoba uprzywilejowana, więc nie praw mi z łaski swojej kazań, że robiłem coś dla pieniędzy.

– Moje dorastanie nie ma z tym nic wspólnego.

– W przeciwieństwie do mojego – odwarknął. – Mama robiła wszystko jak trzeba. Żyliśmy skromnie, ale z niczym nie zalegaliśmy. Założyła firmę i zaharowywała się na śmierć. Oszczędzała tyle, ile mogła – „poduszka”, jak to nazywała. Chciała zbierać tyle, żebyśmy mogli pojechać na wakacje, móc spędzić tydzień na plaży. Pragnęła zobaczyć ocean. A potem nie miało to już znaczenia. Robienie wszystkiego jak trzeba straciło wszelki sens. Polepszyło się jej na jakiś czas – remisja. Alleluja! Potem jednak choroba wróciła, i to ze zdwojoną siłą. Rachunki! rachunki! rachunki! a jej znów włosy wypadały garściami. Następnie znów remisja i znów nawrót choroby. Trzecie uderzenie i wypada się z gry. Widziałaś kiedykolwiek, jak ktoś, kogo kochasz, umiera na raka?

Miranda pokręciła głową, wzięła kieliszek. Napiała się.

– Więc nie praw mi proszę morałów o decyzjach, jakie podejmowałem.

– Dlaczego tu jesteś? Dlaczego uczysz w szkole średniej w Westbendzie w Wirginii?

– LaPorte zbliżył się do mnie za bardzo, kiedy jeszcze mieszkałem i pracowałem w Europie. Może stałem się nieostrożny albo poczułem się zbyt pewnie, sam nie wiem, tak czy siak, się zbliżył. Więc zamknąłem tam kramik, by się tak wyrazić. Odbyłem jeszcze później kilka podróży, a wreszcie wróciłem do Stanów. Posada nauczyciela to dobra przykrywka.

– Przykrywka.

– Nabrałaś irytującego nawyku powtarzania po mnie.

– No cóż, wybac mi, że tu stoję, a ty mi mówisz, że jesteś jakimś międzynarodowym złodziejem dzieł sztuki. Złodziejem biżuterii, znaczków i monet. Poza tym kieszonkowcem.

– Chciałaś usłyszeć prawdę, to ją słyszysz. Przyjechałem tutaj, do tej szkoły, bo mi się spodobało. Ten dom mi się spodobał. Zostałem dłużej, niż planowałem, bo mi się spodobało. Lubię to miejsce, lubię nauczanie, lubię wystawianie sztuk. Lubię patrzeć, jak dzieciaki się do czegoś zapalają. I jestem w tym dobry. No i przedłużyłem swój urlop.

– Urlop.

– Znowu robisz to samo. Powtarzasz.

Jej oczy wciąż zdradzały gniew, ale widać było, że z wolna stygły; napiała się wina.

– Więc zrobiłeś sobie urlop od kradzieży.

Też się napił i westchnął.

– Tak z grubsza.

– A to oznacza...

– Że w czasie ferii szkolnych mogę się dokądś wybrać. Praca w wakacje. Jak to brzmi?

– Jezu, Booth.

– Nie trudnię się tu nocną robotą. Nie okradam tu ludzi. Nie oznacza to, że nie mają od cholery bezcennej biżuterii i dzieł sztuki, ale po prostu tego nie robię.

– Kolejna zasada?

– Jedna z naczelnych. Nigdy nie zamierzałem tu zostać dłużej niż kilka lat, ale będzie mi przykro stąd wyjeżdżać. Chciałbym, żeby było mi przykro, że cię znowu widzę, ale nie jest. Nigdy nie potrafiłem o tobie zapomnieć na dobre.

Tym razem w jej oczach nie było ani śladu gniewu, tylko zimna stal.

– Nie zaczynaj, bo skończysz z podbitym okiem.

– Okej. Ale zważ, że oplata mnie Lasso Prawdy, ta broń Wonder Woman, muszę więc być szczerzy.

– Jak się naprawdę nazywasz?

– To, że ci nie powiem, nie będzie kłamstwem.

– Lasso tak nie działa.

– Zażyłaś mnie. Więc poprawka. Wciąż muszę chronić pewnych ludzi.

Zbliżyła się do kominka i zapatrzyła w ogień.

– Pytam samą siebie, czy jestem idiotką, bo wierzę w większość tego, co mi powiedziałaś.

– Nie ma powodu, bym kłamał, kiedy już zacząłem swoją opowieść.

– Przykro mi z powodu twojej matki, Booth. Przykro mi, że było ci tak smutno i ciężko

w dzieciństwie. Masz rację, nigdy nie doświadczyłam niczego w rodzaju tego strachu i żalu. Ale nie mogę usprawiedliwić faktu, że torujesz sobie drogę przez życie kradzieżami.

– Nie oczekuję tego. To mój wybór. Co zamierzasz z tym zrobić?

– Nie wiem. – Odwróciła się. – Masz broń?

– Broń? Nie. Po co mi?

– Żeby użyć jej w czasie kradzieży.

– Jezu, nie. Nie mam żadnej broni. Nigdy jej nawet nie trzymałem w ręku. Nie chcę. Kradnę rzeczy, Mirando. To rzeczy – piękne rzeczy, jasne, dobre. Rozsiewające blask. Nawet rzeczy ważne. Ale to nie ludzie. Nic z ciała i krwi.

– Co zrobisz, jeśli będziesz kradł i zostaniesz złapany?

– Nie zdarzyło się jeszcze.

– Nigdy?

– Nie, jestem dobry w swoim fachu. Posłuchaj, wiem, o co w gruncie rzeczy pytasz. Nie, nigdy nikogo nie walnąłem, nie postrzeliłem, nie zadźgałem, nie udusiłem ani nie wyrządziłem nikomu żadnej fizycznej krzywdy. To wyłącznie rzeczy, Mirando. Ludzie znaczą o wiele więcej niż rzeczy. – Zaczął krążyć po salonie. – I nie, nie wkładam maski, jeśli o to pytasz, i nie włamuję się do czyjegoś domu czy sklepu jubilerskiego. Nie tłukę ani nie grabię. Nie tak pracuję. – Odczuwał niezręczność i zakłopotanie, ale ciągnął: – W Europie zaczęto mnie nazywać Kameleonem. To jeszcze jeden powód, dla którego się na jakiś czas wycofałem. Jeśli ktoś orientuje się w twoim stylu, w twoich metodach, to oznacza, że zanadto się do ciebie zbliżył. To też możesz znaleźć w internecie. Znajdziesz głównie spekulacje i domysły, ale są, możesz to sprawdzić.

– Owszem, sprawdzę. Nie porozmawiam dziś wieczorem z Lorną, ale...

– W przyszłości, jeśli zechcesz dać mi dwadzieścia cztery godziny. Jeden dzień.

– Czy jeśli się zgodzę, będziesz tu jutro rano?

– Tak. Lasso wciąż się zaciska. Moje życie jest w twoich rękach. Myślę, że na to zasłużyłaś. Pozostaniesz tu przez sześć miesięcy. Nie wyjadę, dopóki nie powiesz, że nadszedł czas. Mógłbym dotrzeć do końca roku szkolnego. Może w to nie uwierzysz, ale to dla mnie ważne. Mam pod swoją opieką kilkoro dzieciaków, które... Chciałbym zobaczyć, jak kończą naukę.

– Jeśli będziesz tu rano, zgodzę się na dwadzieścia cztery godziny. Jeśli cię nie będzie, skontaktuję się z policją i opowiem o wszystkim, co od ciebie usłyszałam.

– Twardo, ale uczciwie. Dobrze. Będę tutaj.

Wzięła płaszcz.

– I zamierzam przemyśleć to wszystko, co mi powiedziałaś. Potem dam ci znać, co postanowiłam. Jeśli wciąż tu jeszcze będziesz.

Włożyła płaszcz i ruszyła do drzwi.

– Naprawdę uwielbiam twoje książki – zapewnił ją. – Choć zabiłaś mnie dość makabrycznie w *Opublikuj albo umrzyj*.

Zerknęła przez ramię.

– Podobało mi się. Było wyzwajające.

– Nie wątpię – mruknął, kiedy zamknęła za sobą drzwi.

Siedział przy ogniu z głową w dłoniach.

Mógł jeszcze uciec. Złapać to, czego potrzebował, wytrzeć dom do czysta. Dostać się do szkoły, zrobić to samo w swojej klasie. Rzeczy, które nakazywał rozsądek. Zwiąć, ponownie rozplątać się w powietrzu.

Tym razem jednak nie chciał zachowywać się rozsądnie.

Oddał swe życie w jej ręce i tam zamierzał je pozostawić.

*

Miranda siedziała z zaczerwienionymi oczami nad pierwszą filiżanką kawy w swojej uroczej małej kuchni swego uroczonego wynajmowanego domku.

Nie spała dobrze; myśli kłębiły się w jej głowie jak stado wron, prześladował ją też niepokój związany z potencjalnym włamaniem.

Nie ulegało wątpliwości, że zna kogoś, kto był do tego zdolny.

Wierzyła mu. Nie chciała wierzyć, gdyż wygodnie jej było uważać Boothę za kłamliwego

drania. Był nim, jak upominała się w myślach, mogła pławić się w tej wygodzie.

Ale wierzyła mu w kwestii złodziejstwa – i związanych z nim podróży po świecie. Tak przy okazji, musiała przyznać, że naprawdę chciałyby się dowiedzieć, jak udało mu się jednym ruchem zdjąć jej zegarek z nadgarstka tak, że niczego nie poczuła.

Z pewnością wierzyła też w opowieści o matce i doskonale rozumiała, że ta ciągnąca się w nieskończoność dziecięca trauma musiała go w jakiś sposób ukształtować.

Ale jeśli miała mu wierzyć w sprawie tego jakiegoś LaPorte'a, to zmieniało to postać rzeczy. Tu wygodne myślenie się kończyło.

Zsunęła się z taboretu przy szafce, weszła do salonu i włączyła gazowy kominek.

Przytulny dom z dwiema sypialniami i widokiem na rzekę w pełni odpowiadał jej potrzebom, przynajmniej na krótką metę, ale nie mógł się równać z dużym, rozległym domem, w którym spędziła większość życia.

Obiecała matce chrzestnej, że ją odwiedzi, a ponieważ ojciec spełniał swoje marzenie jako gościnny wykładowca na Oxfordzie, gdzie miał pozostać jeszcze przez kilka miesięcy, wydawało się, że pora jest odpowiednia.

Jeśli dodać do tego chęć opuszczenia swej – owszem, bezpiecznej strefy – by napisać książkę poza rodzinnymi stronami, to wszystko nabierało sensu.

Cesca, jej matka chrzestna, też miała uroczy mały domek, tyle że w samym mieście. Ponieważ Miranda chciała – potrzebowała – więcej przestrzeni i prywatności nieodzownych do pracy, niezwykle grzecznie, acz stanowczo odrzuciła sugestie kobiety, by u niej zamieszkała.

Sprawdziło się. Wydawało się, że sprawdza się doskonale. Do chwili, gdy kilka dni po tym, jak obchodziła święta z ojcem w swoim domu, jak już odwiozła go na lotnisko w pogodny ranek pierwszego dnia Bożego Narodzenia i jak w niespełna dwadzieścia cztery godziny po podpisaniu umowy najmu i przeprowadzce poszła na przyjęcie do Lorny.

I on tam był – chłopak, który zgniół jej serce na miazgę.

– Co zamierzasz z tym zrobić, Mirando? – westchnęła. – Co, u diabła, zamierzasz z tym zrobić?

Nie wiedziała i przez większość bezsennej nocy zastanawiała się nad odpowiedzią na to pytanie.

Co wiedziała na pewno? Pracował jako nauczyciel, nie mając do tego uprawnień. Pod fałszywym imieniem i nazwiskiem. Albo prawdopodobnie fałszywym. Skąd miała to wiedzieć?

Może niczym Fagin z *Oliwera Twista* szkolił podatne na wpływy dzieciaki, by uczynić z nich osobisty gang złodziejski.

Naciągane, owszem, ale skąd miała wiedzieć?

Zrobiła to, co zawsze, kiedy zmagала się z jakimś problemem. Usiadła z drugą filiżanką kawy i notatnikiem. I sporządziła listę.

Upewnić się, że ten sukinsyn po prostu nie zwiął.

LaPorte – Lake Charles, Luizjana – przeprowadzić rozeznanie.

„Kameleon” (Europa) – przeprowadzić rozpoznanie.

Przedyskutować – subtelnie – przypadek Sebastiana Bootha z Cesca/Lorną/Tracey.

Odwiedzić szkołę średnią. Poczytać obserwacje.

Odwiedzić miejscową księgarnię, zadać pytania – ostrożnie.

Dodałaby jeszcze co nieco do tej listy, i to bez trudu, ale uznała, że na początek wystarczy. I postanowiła zacząć od razu odhaczać poszczególne punkty.

Ubrała się, zaplotła włosy i umalowała starannie, tak by zamaskować ślady nieprzespanej nocy. Szkoła musiała poczekać do końca ferii, ale można było wstępnie rozpoznać grunt.

Choć dom Bootha znajdował się w kierunku przeciwnym do miasta, pojechała najpierw właśnie tam.

Jego samochód stał pod wiatą, a z komina unosił się dym. „To w żadnym razie nie dowód”, pomyślała, „ale wystarczający, by przypuszczać, że nie dał nogi”.

Zawróciła i ruszyła do miasta.

Podobała jej się okolica, droga podążająca wzdłuż rzeki, w tle widziane przelotnie góry, gęste połacie lasów. Pomyślała, że mogłaby na tym płótnie namalować solidną opowieść. Wyrwać się z okowów rodzinnej ziemi i zobaczyć, co się stanie.

Miasto też wzbudzało sympatię. Nie tak małe, by na każdym kroku spotykać kogoś znajomego, ale dostatecznie niewielkie, by często widzieć przyjazne, nieobce twarze.

Mały port tylko wzmacniał wrażenie miasta nadbrzeżnego, a tętniąca życiem główna ulica ze swymi odgałęzzeniami tchnęła swojskością.

Podobały jej się też lampki i dekoracje na licznych sklepach i domach; zastanawiała się, jak to wygląda, kiedy pada śnieg. Prawdziwy śnieg.

Znalazła parking i ruszyła spacerkiem w rześkim wietrze wiejącym od wody. Podczas przyjęcia z powodzeniem spełniała prośby o podpisywanie jej książki. Choć nie potrafiła sobie wyobrazić, by kiedykolwiek nie czuła się zadowolona i choć trochę zaskoczona, że ktokolwiek pragnie, by podpisała dla niego swe dzieło, chciała się wprawdzie rozejrzeć.

I naprawdę pragnęła wgrzyźć się w historię, którą ledwie zaczęła kreślić.

Nie ulegało wątpliwości, że wizyta w księgarni nie pomogłaby jej w tym, ale należało zapłacić tę cenę.

Widok jej książki na wystawie przyprawił ją o nieznaczny dreszcz zadowolenia – jeszcze jedna rzecz, która nie spowszedniałaby z upływem czasu, jak uważała. Bardzo jej się podobała aranżacja frontowego okna, gdzie wystawione pozycje wzbogacono o rekwizyty w postaci świeczek i toreb na prezenty, wiedziała też, że wyjdzie stąd z podkoszulkiem, na którym widniało hasło:

UWIELBIAM DŁUGIE ROMANTYCZNE PRZECHADZKI PO KSIĘGARNI

Weszła do środka i jak to się często działo podczas romantycznych przechadzek, trochę się zakochała.

Zobaczyła wygodne krzesło obok stolika ze stosem książek i oczywiście pełne ich półki, jak również stojak z bestsellerami. Jej książka też tam była – kolejny powód do zdumienia.

Jej pierwsza powieść szybko trafiła w dolne rejony topisty, a druga znalazła się w środku, a nawet wytrzymała tam kilka tygodni. Teraz przywarła do dna, ale zajmowała szczęśliwe trzynaste miejsce od siedmiu tygodni. Wystarczyło jej parę chwil, żeby ogarnąć wzrokiem wnętrze – poradniki kulinarne i świeczki na starym kuchennym stole, pozycje związane ze świętami obok drzewka przystrojonego dekoracjami na sprzedaż – z dziesięcioprocentową zniżką.

Powietrze przesyciła woń książek i kawy – aromat wprost idealny.

Za ladą, którą tworzyła odzyskana skądś gabłota na książki, stała Carolyn Stipper. Klasnęła w dłonie.

– Miranda! Witaj! Jak się cieszę, że wpadłaś.

– Co za wspaniała księgarnia.

– Och, nie widziałaś jeszcze wszystkiego. Pozwól, że cię oprowadzę.

W trakcie tego obchodu, słuchając trajkotu Carolyn, uznała, że to ciepłe i zachęcające miejsce w uroczym doprawdy mieście.

Zatrzymała się przy ścianie pełnej książek pod transparentem:

UCZNIOWIE Z WESTBENDU POLECAJĄ

– Uczniowie?

– Zgadza się. Podstawówki, gimnazjum i liceum. Nauczyciele przeprowadzają co miesiąc ankietę i przesyłają nam listę dziesięciu najpopularniejszych pozycji. Jeśli nie mam danego tytułu,

zamawiamy go.

– Wspaniały pomysł. Musi przyciągać dzieciaki do księgarni i do samych książek.

– Owszem. Chciałabym powiedzieć, że to mój pomysł, ale podsunął mi go Sebastian.

Miranda odwróciła w jej stronę głowę, starając się nadać głosowi neutralny ton.

– Sebastian?

– Sebastian Booth, uczy w szkole średniej angielskiego i sztuki teatralnej. Poznałaś go chyba zeszłego wieczoru u Lorny.

– Och, zgadza się. Tak. Domyślałam się, że jest niezwykle kreatywnym nauczycielem z mnóstwem wspaniałych pomysłów?

– U mnie ma najwyższe noty. Nasz najstarszy wnuk chodzi do pierwszej klasy liceum i można by sądzić, że skoro dziadkowie są właścicielami księgarni, to chłopak jest zapalonym czytelnikiem. Nic bardziej błędnego. Do niedawna. Nie określiłabyś go jako miłośnika książek, ale czyta. I będąc w klasie Sebastiana, już nie narzeka na lektury obowiązkowe. Co miesiąc uczniowie mogą sobie wybrać dowolną pozycję – jaka im się spodoba – i po to tu w głównej mierze przychodzi. – Postukała w jedną z książek, a w jej głosie pojawiła się duma. – To właśnie wybrał Robbi. I zachwyił się. To o nastolatkach i zombie w Londynie. Przeczytałam książkę, żebyśmy mogli o niej dyskutować. Tak, odbyłam dyskusję na jej temat ze swoim nastoletnim wnukiem. To niemal wystarcza, żebym kopnęła Andy'ego w tyłek i związała z Sebastianem do karaibskiej Aruby. – Uśmiechnęła się do Mirandy. – A skoro mowa o książkach...

Oczywiście zgodziła się podpisać swą powieść, kupiła też podkoszulek, trzy książki i sześć świeczek.

Potem powędrowała do agencji nieruchomości i zastała tam Tracey, która właśnie zdejmowała płaszcz.

– Cześć! Dopiero co przyszedłam, a ty minęłaś się z Derrickiem, który ma spotkanie z klientem. Jak nowe lokum?

– Podoba mi się, i to bardzo. – Wręczyła jej torbę z prezentem. – Dziękuję.

– To ja tobie dziękuję! – Zajrzała do środka. – Och, uwielbiam świeczki i mam bzika na punkcie jaśminowego zapachu.

– Tak powiedziała Carolyn.

– Może usiądziesz i napijesz się kawy?

– Wypiłam już trzy filiżanki, ale mimo wszystko dzięki. Chciałam jeszcze raz wyrazić ci wdzięczność za to, że znalazłaś mi idealne miejsce i że wszystko załatwiłaś tak szybko i sprawnie.

– Cesca jest podekscytowana na myśl, że pomieszkaś tu jakiś czas. Poza tym nie co dzień wprowadzają się do nas autorzy bestsellerów, choćby na kilka miesięcy. Czy Carolyn namówiła cię na jakąś imprezę?

– Owszem. Wieczór autorski, wiesz, podpisywanie książek, rozmowy, spotkania, gdzieś w połowie marca.

– To wspaniale, poza tym wiem, że ma w tym interes. Niezwykła okazja dla księgarni, dla głównej ulicy, dla miasta, tuż przed wiosennym musicaliem. Szkolne ulotki będą wszędzie. Słyszałam, że wystawiają w tym roku *Bye Bye Birdie*.

– To jest, och.... chodzi o tego nauczyciela, któremu mnie przedstawiłaś zeszłego wieczoru? Bootha?

– Tak. Sebastiana Bootha, prowadzi zajęcia teatralne. Wiosenny musical to tutaj poważna impreza, a on chce sobie powetować niepowodzenia. Próbował swoich sił na Broadwayu w Nowym Jorku, ale mu się nie udało. Szczerze uważam, że na tym stracili.

– Ach, więc był aktorem?

– Z tego, co mówi, był i zawsze będzie takim niespełnionym. Ale z pewnością pomaga dzieciakom zabłysnąć. Jest singlem, rozumiesz, na wypadek, gdybyś się zastanawiała...

– Nie. – Uznała, że należy się roześmiać. – Nie zamierzam się w to bawić i to jeszcze jeden powód, dla którego ten dom tak bardzo mi odpowiada. Mnóstwo spokoju potrzebnego do pisania. Ale z pewnością obejrzę ten wiosenny musical. Teraz chcę wpaść do Ceski, zanim pograżę się w tym spokoju.

Przejechała kilka przecznic, dzielących ją od domu matki chrzestnej, i zaparkowała za jej okazałym sedanem.

Może czuła się winna, planując przesłuchać kobietę, która przez większość życia zastępowała jej matkę, ale musiała to zrobić.

Cesca, z popielatymi związanymi włosami, w spodniach od dresu, rozsiewająca wkoło woń skórki pomarańczowej, co dowodziło, że zajmowała się sprzątaniem, wsparła pięść na biodrze.

– Czy nie dałam ci klucza i nie powiedziałam, że nigdy nie musisz pukać do moich drzwi?

– Tak, ale nie wiedziałam, czy już wstałaś.

– Jest jedenasta! Środek dnia. Jestem w bibliotece na popołudniową zmianę, ale to nie znaczy, że się wyleguję w łóżku cały dzień.

Wciągnąwszy Mirandę do domu, objęła ją serdecznie.

– Nie masz pojęcia, ile dla mnie znaczy, że będziesz tu przez jakiś czas. I że wiem, że możesz zajrzeć w każdej chwili, tak jak robiłaś to w domu.

Miranda też ją uściskała.

– To wciąż jest dom?

Kobieta westchnęła.

– Pracuję nad tym. Lubię swoje małe lokum i zaczynam się w nim czuć jak u siebie. A Lorna to dla mnie prawdziwa ostoja.

– Cieszę się, że miałam okazję ją poznać. I naprawdę świetnie się bawiłam na tym przyjęciu wczorajszego wieczoru. Dobrze, że mnie namówiłaś.

– Byłaś gwiazdą. A teraz chodź, usiądziemy, napijemy się kawy i zjemy ciasto kawowe, które upiekłam, mając nadzieję, że cię to zwabi, no i poplotkujemy.

– Twoje ciasto kawowe zwabiłoby mnie nawet z Timbaktu.

Usiadły w kuchni, tak jak czyniły to od czasu, kiedy Miranda była dzieckiem. Tamta kuchnia była duża i wyrefinowana w swojej achromatycznej tonacji barw i cała w nierdzewnej stali. Ta natomiast, choć niewielka, miała jasnożółte ściany, szarozielone szafki i drewniany stół, dostatecznie duży, by pomieścić dwie osoby.

Wiedziała, że rozwód był dla matki chrzestnej wstrząsem, nie rozumiała, jak mężczyzna żyjący z kobietą od ponad trzydziestu lat mógł nagle zdecydować, że nie chce dłużej pozostawać w związku małżeńskim.

Nie mieli dzieci, rozwód zostawił Cescę na lodzie. „Przeprowadzka znów dała jej poczucie stabilności”, pomyślała Miranda, kiedy jej matka chrzestna kroiła ciasto i nalewała kawę.

– Jesteś tu szczęśliwa – zauważyła. – Musiałam się o tym sama przekonać i przekonałam się.

– Jestem szczęśliwa – przyznała Cesca. – Wiesz, zaraz po studiach wyszłam za mąż. Nigdy przedtem nie żyłam na własny rachunek. Cieszę się niezależnością bardziej, niż kiedykolwiek to sobie wyobrażałam. Teraz tęsknię za tobą, za twoim tatą i przyjaciółmi – nie zamierzam powtarzać słowa „dom”. Być z powrotem w Chapel Hill, na szczęście Lorna robi wszystko, żebym znalazła tu przyjaciół. Jak twojemu ojcu podoba się w Oxfordzie?

– Jest niczym dzieciak, który codziennie budzi się w Boże Narodzenie.

– A co powiesz na to, że Deborah pojechała tam razem z nim?

Miranda wsparła brodę o pięść.

– Lubię ją, naprawdę. Nie sądzę, by któreś z nas – tata lub ja – sądziło kiedykolwiek, że on zaangażuje się w poważny związek. Ale wniosła coś w rodzaju światła do jego życia przez te dwa lata, także powiew przygody. Może i przyjąłby tę ofertę z Oxfordu, ale nie wiem, czy zrobiłby to bez zachęty z jej strony. Czy zdecydowałby się wziąć urlop na swojej uczelni w Karolinie.

„Znowu to słowo”, pomyślała. „Urlop”.

– I opuścić cię. Była dla mnie bardzo miła po odejściu Marty’ego, a ja tego nie zapomnę. Rozpostarłaś skrzydła, Mirando, wszyscy jesteśmy z ciebie dumni. Ale nie wydaje mi się, byś rozpostarła je dostatecznie, by się tu zjawić, gdyby nie wyjechał.

– Masz prawdopodobnie rację. – „Strefy bezpieczeństwa”, pomyślała. „Zagnieździłam się w swojej”. – Emersonowie zapuszczają głęboko korzenie. Odbylam tego ranka krótki, acz interesujący spacer po głównej ulicy miasta. Zajrzałam do księgarni.

– Wprawiło to Carolyn i Andy’ego w doskonały nastrój.

– Będę tam w marcu podpisywała swoje książki. Myślę, że zapewniliby mi taką możliwość już jutro, gdybym się zgodziła – dodała, kręcąc głową.

– No to uszczęśliwiłaś ich na całego. Sama nie mogę się doczekać!

– Naprawdę podobała mi się ich księgarnia, jej atmosfera. Byłam pod wrażeniem tego pomysłu z zachęcaniem uczniów do czytania. Carolyn powiedziała mi, że wpadł na to nauczyciel literatury. Sebastian Booth, tak?

– Owszem. Najwidoczniej namówił kierowniczkę biblioteki szkolnej na to samo i jest to godne pochwały. Nie znam go właściwie – nie spotkaliśmy się od czasu, kiedy się tu przeprowadziłam, ale Lorna wychwałała go pod niebiosa.

– Naprawdę?

– Tak, a wierz mi, niełatwo zrobić na niej wrażenie. Poznałam go zeszłego wieczoru. – Cesca uniosła znacząco brwi. – Przystojny i samotny, o ile się orientuję.

– Daj spokój.

– Tylko tak mówię. Claudette, kierowniczka w bibliotece, powiedziała, że uczniowie w ciągu tych dwóch lat, odkąd tu nauczają, wypożyczali Szekspira częściej niż przez ostatnie dziesięć lat. Chyba to doceniasz.

– Doceniam.

– Zorganizował klub szekspirowski.

– Naprawdę?...

– Wątpię, czy jest tak erudycyjny jak klub twojego taty, ale w przypadku małego liceum? To osiągnięcie. Muszę cię ostrzec, Lorna zamierza cię namówić, żebyś przyszła i porozmawiała z uczniami o pisaniu.

– Och, no cóż...

Matka chrzestna poklepała ją po dłoni.

– Ostrzegam uczciwie i dodam, że Lorna potrafi postawić na swoim.

Obwiniła czwartą filiżankę kawy za gwałtowny przypływ energii.

Uściskała Cescę na pożegnanie, a potem objechała miasto z drugiej strony, wracając wzdłuż rzeki, zatrzymała się nawet i zrobiła telefonem kilka zdjęć.

Żeby malować na płótnie, musiała wprawdzie je poznać.

Ponieważ gotowanie nie zaliczało się do jej wielkich osiągnięć, zrobiła postój i kupiła zupę na wynos, żeby ją później podgrzać.

Dla spokoju sumienia ponownie przejechała obok domu Boothów – wciąż tam był – nim wróciła do siebie.

„Co on tam robił?” – zastanawiała się. „Podczas ferii?”

Planował następną kradzież? Kontakt z paserem?

Czy w ogóle miał jakiego pasera? Tak to funkcjonowało?

Wciąż gotował? Bo to nie było kłamstwem. Ten mężczyzna umiał gotować. Czy też umiał jako młody chłopak.

Może piekł chleb i przyrządzał zupę, planując następny skok.

– Nie to jest pomysłem na książkę – upomniała się głośno, wyjmując z samochodu torbę z zupą i zmierzając w stronę domu. – To opowieść o sekretach miasteczka i ukrywającym się w nim mordercy.

Ale bycie złodziejem stanowiło cholerny sekret, czyż nie? Złodziej, który gotuje...? może dla jakiejś restauracji? Nie mogła zrobić z niego nauczyciela angielskiego. Byłoby to zbyt bliskie prawdy.

Włożyła zupę do lodówki z myślą o kolacji, a potem zjadła kanapkę z szynką, którą poprzedniego wieczora wcisnęła jej Lorna.

Zaniosła jedzenie i butelkę wody do drugiej sypialni, którą ledwie urządziła, nie mówiąc już o zrobieniu z niej gabinetu.

Wpatrywała się w laptop i w notatnik, zawierający jej obsesyjnie dokładne i uporządkowane zapiski. Pomyślała o stronach pierwszego szkicu powieści, już napisanego i zaczynającego się od trzęsienia ziemi, czyli zabójstwa niewiernej żony.

Mogła to zmienić. Wciąż mogła dokonać korekty.

A gdyby niewierna żona żyła chwilowo, ale stwierdziła, że diament – nie, naszyjnik z rubinami i diamentami, klejnot rodzinny – zniknął.

„Nie, nie, nie naszyjnik”, pomyślała, siadając i włączając komputer. „*Objet d'art*, bezcenne

objet d'art, znowuż klejnot rodzinny. Kryształowy ptak, usadowiony na gałęzi złotego drzewa, obok swego gniazda. W którym spoczywało diamentowe jajo”.

Jej wyobraźnia galopowała: niewierna żona, tak łatwo uwiedziona przez przystojnego złodzieja i jednocześnie szefa kuchni. Kobieta, która tak bardzo mu ułatwiła zdobycie ptaka. A jego strata miała kosztować ją życie.

– Okej, okej – mamrotała – mogłoby się sprawdzić. Przekonajmy się.

Rozdział 19

Pisała przez resztę dnia, redagując szkic w miarę konieczności. Postać kobiety wciąż funkcjonowała w swej pierwotnej postaci – tyle że pod koniec pierwszego rozdziału była już martwa.

Jednak mężczyzna, którego początkowo stworzyła jako zabójcę, nie był nim teraz, był jedynie złodziejem. W bardzo rzeczywisty sposób, tak jak to teraz widziała, też stał się ofiarą.

Nie dlatego, że wzorowała się dość luźno na Boocie, tylko dlatego, że w przypadku morderstwa nie odpowiadał jej jako przyczyna i skutek.

Mniej więcej w połowie następnego dnia miała poprawione dwa pierwsze rozdziały książki.

Odłożyła je chwilowo na bok, żeby wykreślić drugą pozycję na liście.

Pierwszy artykuł na temat Kameleona, jaki znalazła, pochodził z prasy francuskiej – z jakiegoś tabloidu.

Zdołałaby go pewnie przeczytać, ale wymagałoby to mnóstwa czasu i wysiłku. Tak dużego, że przystąpiła do nowych poszukiwań i znalazła inny artykuł, tym razem w londyńskim tabloidzie.

Przebiegła wzrokiem tekst o kradzieży szmaragdowo-diaamentowego naszyjnika z wisiosem – wartego ponad osiemset tysięcy funtów – ze skarbca w wiejskiej posiadłości lady Stanwyke w Krainie Jezior.

Uważano, że do kradzieży doszło podczas przyjęcia, krótko przed tym, jak lady Stanwyke osobiście otworzyła skarbiec, ponieważ zamierzała włożyć naszyjnik na bal, który wydawała tego wieczoru.

Organy ścigania, i tak dalej, i tak dalej, skontaktowały się ze wszystkimi gośćmi i przesłuchały członków służby, przeprowadziły też staranne oględziny. Nie stwierdzono śladów włamania ani żadnych zniszczeń w skarbcu, nie brakowało też żadnego innego przedmiotu czy przedmiotów – choć lady znana była z tego, że posiada imponującą kolekcję biżuterii i – ha ha! – *objet d'art*.

– Niektórzy przypuszczają – czytała pod nosem Miranda – że ta przebiegła i zyskowna kradzież to dzieło Kameleona, określanego tym mianem, gdyż według pewnych źródeł posługuje się przebrańiami w celu zamaskowania swej tożsamości. Jego lub jej. *Modus operandi* owego Kameleona, według wspomnianych źródeł, to brak jakichkolwiek śladów i zabieranie jednego, najwyżej dwóch cennych przedmiotów.

Kontynuowała lekturę, choć artykuł w większości opierał się na sensacyjnych doniesieniach i przypuszczeniach.

Wróciła do tamtego pojedynczego paragrafu.

– Jeden albo dwa przedmioty... to by się zgadzało... tak mi właśnie powiedział.

Wydrukowała to, co jej było potrzebne, i zajęła się LaPorte'em.

Nie знаła imienia, ale od razu wyskoczył, gdy tylko wpisała w Google nazwisko i Lake Charles.

Przeczytała z sześć artykułów na jego temat, wszystkie potwierdzały te skąpe informacje, które przekazał jej Booth.

Człowiek dysponujący bogactwem i władzą – i może historia, którą usłyszała, była trochę naciągana, jednak Miranda bez trudu dostrzegła okrucieństwo w oczach LaPorte'a.

Zapalony kolekcjoner sztuki – i hojny darczyńca w tej dziedzinie. Mężczyzna, który nigdy się nie ożenił, ale którego często widywano z jakąś olśniewającą kobietą u boku.

Wydrukowała kilka artykułów i zdecydowała, że ten facet będzie pierwowzorem jej zabójcy. Przynajmniej pod względem wyglądu i niektórych elementów, powtarzały się bowiem bezustannie określenia w rodzaju „czarujący”, „charyzmatyczny”, „wszechpotężny”.

– Sporo mnie kosztowałeś, dupku. Więc możesz mi to wynagrodzić na moich warunkach.

Spędziła sylwestrowy wieczór z Cescą i została u niej na noc, ponieważ gospodyni tę skromną uroczyść hojnie okrasiała szampanem.

Następnego ranka, bardzo wcześnie, zapukała do drzwi Booth'a.

Otworzył – kiedy jej pukanie przeszło w istne walenie. Miał na sobie coś, co przypominało wiekową bluzę z logo Tulane University, i luźne flanelowe spodnie; był boso. Zarost na jego twarzy dowodził, że nie golił się od kilku dni, włosy sterczały każdy w inną stronę; spoglądał oczami kogoś, kto dopiero co zwłókł się z łóżka.

– Jezus Maria, Miranda. Która jest godzina? Ledwie ósma rano.

– Prawie wpół do dziewiątej – odrzekła twardo, po czym nadała głosowi przesłodzony ton: – Zaspaleś?

– Tak zamierzałem. Było przyjęcie. Sylwestrowe. Piekło.

Odwrócił się, zaprosił ją ruchem głowy do środka, a potem ruszył w głąb domu.

– Niektórzy z nas planują zacząć Nowy Rok od pracy – obwieściła.

– Ja nie muszę pracować aż do pojutrze – odrzekł.

Udała się za nim do kuchni – nieskazitelnej, oczywiście – i przystanęła za oszklonymi drzwiami, zastygając na widok oszałamiającego krajobrazu rozciągającego się na tyłach domu.

Wyjął z lodówki colę i wskazał niedbałym ruchem ekspres do kawy z górnej półki.

– Nie pijam tego. Zrób sobie, jeśli chcesz.

– Jakież to łaskawe z twojej strony. Wezmę coś innego.

Otworzyła lodówkę – też nieskazitelną, z mnóstwem zapasów, co pozwoliło jej przypuszczać, że Booth wciąż gotuje – i wyjęła z niej puszkę coli.

On z kolei wyjął buteleczkę z tabletkami ibupromu i wytrząsnął z niej trzy. Popił je swoim ulubionym napojem.

– Kac? – spytała, racząc się płynną dawką cukru.

Patrzył na nią kamiennym wzrokiem, popijając colę.

– Nie miałbym go, gdybym przespał się jeszcze kilka godzin. Jeśli zjawiaś się tutaj, by mi powiedzieć, że moje dwadzieścia cztery godziny dobiegły końca, to weź tę puszkę na drogę, a ja zacznę się już pakować.

Miranda jednak siedziała zrelaksowana na jednym z jego barowych stołków, po czym zrzuciła z siebie płaszcz i rozluźniła szalik.

Może i było to z jej strony małostkowe, ale cieszyła się w duchu, że zadała sobie trud podrasowania urody, jeśli chodzi o włosy, makijaż i ubiór.

Wyglądała cholernie dobrze, a on nie.

– Przyszłam zawrzeć tobą układ – oznajmiła.

Przesunął machinalnie dłonią po włosach i zamiast usiąść, oparł się o szafkę; od jego przepastnych, ciemnoniebieskich oczu bił mrok, które to wrażenie potęgowały ciężko opadające powieki.

– Jakiego rodzaju? – spytał obojętnie.

– Po pierwsze, rozpytałam się dyskretnie w Westbendzie o Sebastiana Bootha. *Bye Bye Birdie?*

– Zgadza się. Nie zdecydowałem jeszcze, czy unowocześnić to, czy zdać się całkowicie na retro.

– Retro. Zyska na uroku. Tak czy inaczej, nie powinno mnie dziwić, że jesteś tu powszechnie lubiany. W Karolinie też tak było. Ale przyznaję, że traktujesz swoją pracę i obowiązki wobec uczniów poważnie. No ale studia traktowałeś tak samo.

– To było moje życie wtedy. To jest moje życie teraz. O jaki układ ci chodzi?

– Poczytałam też sobie co nieco o Carterze LaPorcie. Nie podoba mi się ten gość.

– Mnie też.

– I Kameleon. Tabloidy w Europie kochają go – albo ją. Co zrobiłeś z naszymi lady Stanwyke?

– Rozłupałem go, żeby uzyskać kamienie i platynę, później to upłynniłem. Dostałem... coś około trzystu piętnastu tysięcy funtów. Angielskich funtów.

– W artykule napisano, że był wart ponad dwa razy tyle.

Potarł się po skroni; podejrzewała, że boli go głowa.

– Gdybym próbował sprzedać go w jednym kawalku, uzyskałbym połowę tego, co zarobiłem. A wyjęte z niego kamienie? Połowa ich wartości to przyzwoity zysk.

„Fascynujące”, pomyślała. „I dziwny rodzaj biznesu”.

– Tak to działa... około połowy wartości towaru?

– Zazwyczaj trochę mniej, zależnie od tego, gdzie i jak się go sprzedaje. Dlaczego pytasz?

– Co robisz z pieniędzmi? – spytała ona z kolei.

Wyjęła notatnik i zaczęła spisywać.

– Wpłacam do banku... na konto tutaj albo za granicą. Inwestuję. Dlaczego cię to interesuje? – powtórzył. – Piszesz książkę?

Kiedy się uśmiechnęła, nadal notując, odsunął się od szafki.

– Nie, wykluczone.

Odłożyła notatnik i sięgnęła po puszkę coli. Owszem, było to małosłowne, ale świetnie się bawiła.

– Oto układ, Booth – nigdy nie nazywam cię głupim Sebastianem, więc masz szczęście, że przyjąłeś takie imię. A oto układ. Potrzebujesz mojej współpracy, więc możesz tu zostać, przynajmniej chwilowo. Zapewnię ci tę współpracę na następujących warunkach. Po pierwsze, jesteś tylko nauczycielem w ramach tej współpracy. Żadnych włamań.

– Skąd będziesz wiedziała, czy tego nie robisz?

– Bo zamierzasz dogadać się ze mną i jeśli naruszysz warunki układu, a ja się dowiem, nie będzie mowy o dwudziestu czterech godzinach. – Milczała przez chwilę. – Poza tym nie lubię LaPorte'a. Przemawia to na twoją korzyść. Po drugie, powiesz wszystko, co mi jest potrzebne i co chcę wiedzieć o tej... twojej profesji, bo piszę książkę. – Uniosła palec, nim zdążył zaprotestować. – Bohater, którego tworzę, może być luźno wzorowany na twojej postaci, ale nie będzie do ciebie podobny, nie będzie też wyrażał się jak ty. To szef kuchni, ma restaurację w mieście takim jak Westbend. Widzę, że wciąż gotujesz, a ja nie, więc w tym też mi pomożesz.

– Mieszasz i siekasz – mruknął.

– Zgadza się. Jeśli zamierzam pisać o szefie kuchni, to chcę, żeby odnosił sukcesy. Jego motywacje są odmienne od twoich i mogę zmienić jego... styl, jak mi się wydaje. W tym też mi dopomożesz. – Uniosła puszkę coli w geście toastu. – Jesteś moim nowym konsultantem, Booth, a dzięki temu zyskujesz co najmniej sześć miesięcy. Kiedy będę stąd wyjeżdżał, podejmiemy negocjacje na nowo.

– Nie wykorzystuj postaci mojej matki.

Jej radosny uśmiech przygasł. Jak mogłaby go nienawidzić, skoro stawiał taki warunek? I o jaki cynizm ją posądzał? Że jest gotowa wykorzystać postać tej kobiety i jej śmierć, żeby sprzedać książkę?

– Nie zrobię tego. Obiecuję. I coś ci powiem, choć na to nie zasługujesz. Miałaś rację tamtego wieczoru. Nigdy nie doświadczyłam takiej straty, nigdy nie musiałam się martwić o to, gdzie ani jak będę żyła. Pomijając odejście matki, a wiem, że oboje, ja i ojciec, tylko na tym zyskaliśmy, moje dzieciństwo było na ogół sielskie. A historia z tobą? To też przestało z czasem boleć. Tej straty również nie wykorzystam.

Podszedł do oszklonych drzwi, przez chwilę stał i patrzył.

Zastanawiała się, dlaczego nie przyjmuje tak skwapliwie jej oferty. Bez wątpienia miała nad nim przewagę, ale nie wydawało jej się, by coś tracił.

– Musisz szanować mój plan zajęć. Będzie napięty, kiedy wrócę do szkoły.

– Jestem córką profesora college'u – przypomniała mu. – Wiem, czego wymaga nauczanie. Wypracujemy harmonogram korzystny dla nas obojga. Możemy to robić za pomocą mejli...

– Jezu, myślisz, że zapisuję to wszystko? I żadnego nagrywania. Notatki mogą być, ale żadnych nagrań, mejli, esemesów czy rozmów telefonicznych na ten temat.

– Okej, rozumiem. Tylko osobiście.

Wciąż patrzył na zewnątrz, obserwując leniwy nurt rzeki. Wiedziała, że to dla niego problem. I to duży.

Wreszcie, żeby zyskać sześć miesięcy, postanowił, że to zrobi.

Podszedł do niej.

– Zgoda.

– Wspaniale. W swojej robocie musisz forsować zamki. Możesz mi pokazać, jak się to robi?

– Teraz? Chyba żartujesz. Muszę wziąć prysznic. Nie umyłem nawet zębów. Poza tym jestem w tej chwili głodny.

– W porządku, doprowadź się do ładu. Wrócę za dwie godziny.
Wzięła płaszcz i zsunęła się ze stołka.
– Zapomniałem już, jaka potrafisz być zdeterminowana.
– Nie wierzę. Niczego nie zapomniałeś.
Zabrała ze sobą colę. Kiedy został sam, wlepił spojrzenie w swoją puszkę.
Nie, nie zapominał pewnych rzeczy. A teraz przez tygodnie czy miesiące miał się zmagać ze wspomnieniami, które utkwily mu w głowie.
Jeśli chodzi o ten ich układ, to ona zrobiła na tym o wiele lepszy interes.
*

Wróciła z mnóstwem pytań. Postanowił zająć się czymś, odpowiadając na nie, i zaczął przyrządzać meksykańską zupę pomidorową. Poza tym dzięki temu miał zapewnione resztki na kolację.
Najwyraźniej jego zabiegi kulinarne ją rozpraszały.
– Nie korzystasz z przepisu.
– Znam przepis.
– Niczego nie odmierzasz.
– Robią to moje oczy.
Stwierdził, że go to bawi, kiedy zapisała ostatnie zdanie.
– Jak, u diabła, zamierzasz pisać o szefie kuchni, skoro sama nie potrafisz gotować?
– Za to ty potrafisz. Ludzie, zwłaszcza ci, którzy nie parają się zawodowo pisaniem, myślą, że trzeba pisać tylko o tym, co się wie. Dziwnym trafem nie wiem, jak kogoś zamordować, bo nigdy nie zrobiłam tego własnoręcznie. Na razie. – Uśmiechnęła się. – Ale na papierze zabiłam... chwila... siedmiu ludzi! i to na różne sposoby. Nigdy nie byłam samotnym rodzicem czy weterynarzem, a o nich też pisałam.

Przyglądała się, jak wyjmuje z zamrażarki torebki, a z każdej wyciąga zielone sześcianiki i wrzuca je do zupy.

– Co to takiego? – zainteresowała się.
– Ziola – wyjaśnił. – Hoduję je, potem siekam i zamrażam w woreczkach na lód, dzięki czemu mogę je stosować jesienią i zimą. Chcesz się czegoś dowiedzieć o tym, jak się kradnie, czy o tym, jak się gotuje?

– Główna postać zajmuje się jednym i drugim, więc chodzi mi o obie rzeczy.
Schował torebki i zamieszał w garnku.
– Wiesz, że prowadzenie restauracji to nie jest robota na pół etatu – zauważył.
– Tak jak i nauczanie – odparowała. – Ale godzisz je jakoś z tym drugim. Chcę wiedzieć jak.

– W trakcie roku szkolnego nauczanie to priorytet.
– Więc nie kradniesz, dajmy na to, od końca sierpnia do następnego czerwca?
– Od tego są ferie.
– Okej. Właśnie skończyły się te zimowe. Co ukradłeś?
– Nic.
– Obibok.

Nie odzywając się, wyjął patelnię.
Sprawiał wrażenie poirytowanego i rozdrażnionego. Miranda nie mogłaby powiedzieć, że choć trochę się tym przejmuje.

– Chyba w ciągu ostatnich dziesięciu lat zapodziałeś gdzieś swoje poczucie humoru.
Wyjął kurczaka, którego już wcześniej zamarynował, i zaczął go kroić.
– Denerwujesz mnie, Miranda.
– Dziwne, bo z miejsca, w którym siedzę, daję ci spokój. Więc dlaczego nie wykorzystałeś wolnej chwili w zeszłym tygodniu?

– Pewien wspaniały różowy ośmiokarutowy diament spoczywa sobie wygodnie w sejfie rezydencji w Potomacu w stanie Maryland. Nie wpadł ostatniej nocy w moje ręce, ponieważ ktoś postanowił odwiedzić swoją matkę chrzestną.

– Rozumiem. – Zanotowała „różowy diament”, gdyż brzmiało to bardziej romantycznie, bardziej seksownie i bogato. – Ale na przyjęcie poszedłeś. Jak byś się od tego wykręcił?

– Nie musiałbym się wykręcać. Ulotniłbym się krótko po północy, pojechał samochodem do Potomacu, odwalił robotę, wrócił do domu i poszedł spać.

Powiedział to jak ktoś, kto mówi o nabyciu kartonu mleka po pracy.

– Tak po prostu? – zdumiała się.

– Pomijając godziny poświęcone na rozpoznanie i planowanie, owszem, tak po prostu.

– Jak się dowiedziałeś o diamencie? Poznałeś tych ludzi?

– Nie osobiście. Żona udziela się za bardzo w mediach społecznościowych. – Wlał oliwę na patelnię, zwiększył ogień. – Mąż dał jej ten naszyjnik zeszłego lata z okazji rocznicy ślubu. – Kiedy oliwa się podgrzewała, wycisnął do małej miseczki sok z połówki cytryny. – Od Tiffany’ego w Nowym Jorku. Następnie jest jeszcze kwestia potwierdzenia autentyczności nabytku, identyfikacji systemu zabezpieczeń. Ale internet bardzo to ułatwia.

– Naprawdę?

– Kupili kilka lat temu dom w stylu kolonialnym o powierzchni trzystu metrów kwadratowych, mają jedno dziecko, chłopca w wieku trzech lat, żadnych zwierząt. Kobieta cierpi na alergię. Szczekający pies jest bardziej wiarygodny niż system alarmowy.

Czyniła skrzątknie notatki, kiedy on podsmażał mięso i dodawał sporą szczyptę mieszanki przypraw, którą najwidoczniej sam sporządził.

– On jest chirurgiem plastycznym, ona prawnikiem do spraw nieruchomości. Mają letni dom w Hamptons i wyjeżdżają na ferie zimowe do Vail. Lubią jeździć na nartach. On bierze lekcje lata-
nia, poza tym oboje są zapalonymi tenisistami. – Dodał do potrawy soku cytrynowego i trochę tequ-
ili. – Namierzam ich od paru miesięcy.

– I dowiedziałeś się tego wszystkiego z mediów społecznościowych?

Zanotowała sobie w pamięci, by lepiej się przyjrzeć własnym postom i ocenzurować je w razie konieczności.

– To w tym przypadku podstawa. Ona zajmuje się nieruchomościami swojego pracodawcy, więc to kolejne źródło informacji.

Musiała przyznać, że nic nie wygląda tak, jak sobie początkowo wyobrażała.

– Więc nie pojechałeś tam nawet osobiście, żeby rozejrzeć się w terenie?

Chętnie przewróciłyby oczami, ale kosztowałoby go to zbyt wiele wysiłku.

– Oczywiście, że tam pojechałem. Dwa razy. Sprawdzić otoczenie i sąsiedztwo. Ale można każdy dom obejrzyć w internecie z lotu ptaka albo z poziomu ziemi.

– Skąd wiesz, że mają sejf z biżuterią?

– Wiem, bo on kupił go sobie, kiedy urodził mu się dzieciak, a ją obdarował szafirowo-dia-
mentową bransoletką. Niebieskie kamienie, ponieważ doczekali się chłopaka. Szafiry birmańskie,
klasyfikowane podwójnym A, a białe diamenty G w skali GIA.

Zmarszczyła czoło, bazgrząc w swoim notatniku.

– Klasyfikacja w rodzaju G nie brzmi dobrze... no i co to takiego to GIA?

– Amerykański Instytut Gemmologiczny – wyjaśnił, wciąż zajmując się potrawą. – G na
skali oznacza, że kamienie są prawie bezbarwne, a IF, że są wewnętrznie nieskazitelne.

– Powinni ustalić lepszą klasyfikację, na przykład A i B.

– Skala zaczyna się od D, więc trzymaj się ustaleń Instytutu. Możesz to sama sprawdzić.

– Świetnie. – Wiedziała, że to robi. – Dowiedziałeś się tego wszystkiego wyłącznie
z mediów społecznościowych?

– O bransoletce owszem, bo kobieta miała ją na ręku, kiedy zamieszczała w internecie swoje
zdjęcie z dzieckiem. Resztę ustaliłem sam, hakując konto faceta.

– Rozumiem, okej. Będziemy musieli ustalić, jak to działa.

Zanotowała hakowanie i zakreśliła to słowo kółkiem.

– Pytanie. Ta bransoletka wygląda jak coś, co mógłbyś rozłupać, podobnie jak zrobiłeś to
w przypadku klejnotu lady Stanwyke. Nie planowałeś jednak jej zabrać?

– Dał ją żonie, kiedy wydała na świat człowieka. Po piętnastu godzinach porodu.

Zaskoczona i jednocześnie zaintrygowana, przyglądała mu się, kiedy przelewał wywar
z kurczakiem do dużego garnka.

– Stanowisz zagadkę, Booth. To kuszące uczynić mojego bohatera równie sentymentalnym,
ale...

– ...to nie tyle sentyment – przerwał jej – ile określenie celu. A moim celem jest różowy diament.

– Nie użyłeś czasu przeszłego.

– Bo muszę się jeszcze do tego zabrać.

Stukała długopisem o notatnik, kiedy mieszał zupę.

– To chyba sprawia, że jestem winna podżegania do przestępstwa.

Wzruszył ramionami, co oznaczało niedwuznacznie: to twój problem.

– Zadajesz tylko pytania.

– Przejdźmy do oficjalnego życia mojego bohatera, a ja będę się nad tym zastanawiać. Co to za zupa?

– Meksykańska, z tortillą. Taka będzie, kiedy już skończę.

– I dobierasz składniki od zera, z pamięci.

– Jeśli ten twój gość prowadzi restaurację, to musi mieć profesjonalną kuchnię, a także swojego zastępcę, głównego kucharza, personel kelnerski i temu podobne. Nie będzie dobierał składników w domu.

– Właśnie dlatego zamierzam odwiedzić kilka komercyjnych kuchni i zadać jeszcze więcej pytań. Ale chwilowo gadam z tobą. Jaką restaurację byś prowadził?

– Żadnej. – Powiedział to bez jakiegokolwiek myśli, bez wahania. – Za dużo roboty. Lubię gotować. Nie muszę gotować. A tobie przyda się dobry bar. Marze w restauracjach są wyśrubowane. Nie tak jak w barach. Drinki przynoszą zysk.

– Skąd to wiesz?

– Miałem w Nowym Orleanie przyjaciółki, które prowadziły restaurację, poza tym chodziłem we Francji z szefową kuchni, która chciała mieć własny lokal.

– Udało jej się?

– Nie wiem. Ruszyłem dalej.

Skinąwszy głową, Miranda zamknęła notatnik.

– Teraz muszę zrobić to samo i zacząć nad tym pracować. A co do kontynuacji... który wieczór w tym tygodniu najbardziej by ci odpowiadał?

– Pierwszy tydzień po feriach nigdy nie jest dobry. Egzaminacje semestralne na koniec tygodnia.

– Okej, niech będzie na razie niedziela. Powiedzmy po południu, około czternastej? –

Wstała, żeby włożyć płaszcz. – Och, niewykluczone, że będę rozmawiać z niektórymi z twoich uczniów. Lorna chce mnie namówić – zostałam już uprzedzona – żebym przyszła do szkoły i odpowiadała na pytania dotyczące sztuki pisania.

– Wspaniale. Niesamowicie.

Nastroszyła się trochę, słysząc ironiczny ton w każdej sylabie.

– Zobaczymy się w następną niedzielę. Pokażesz mi, jak sobie poradzić z zamkiem. – Owinęła szyję szalikiem. – Och, i jeszcze jedno. Jak otwierasz sejf, skarbiec, cokolwiek? Bez klucza.

– To w znacznej mierze matematyka.

– Naprawdę? Porozmawiamy o tym.

Kiedy ruszyła do drzwi, popatrzył ze zmarszczonym czołem na zupę. Nie sądził, by Miranda nie dotrzymała warunków umowy. Oczywiście, mogła to zrobić, a on byłby naprawdę skończony. Nie wierzył jednak, by to zrobiła.

Mimo wszystko myśl, że zawarli jakikolwiek układ, wprawiała go w zdumienie.

*

Wróciła następnej niedzieli, a potem jeszcze raz.

Próbował nie myśleć o tych... interludiach, nie pamiętać o nich z wyjątkiem niedzielnych popołudni.

Prowadził przesłuchania do spektaklu, sporządzał plany lekcji, oceniał prace pisemne. I na razie odłożył na bok nocną robotę. Nie mógł ryzykować.

Choć ten różowy diament wciąż go prześladował.

Zjawiła się w szkole, żeby porozmawiać z uczniami, ale przynajmniej oszczędzono mu jej spotkania z którąś z jego klas. Mimo wszystko wizyta Mirandy wzbudziła entuzjazm u nauczycieli

i uczniów.

Jaka ona bezpośrednia! Otwarta! I dowcipna!

Dzieciaki pod jego nadzorem budowały dekoracje, malowały tło, pracowały nad kostiumami. Miał na głowie choreografię i inscenizację.

Musiał radzić sobie z uczniem, który zaczął się opuszczać w nauce, ponieważ jego rodzice toczyli batalię rozwodową w sądzie, i z uczennicą, która uważała, że jej życie dobiegło końca, gdy rzucił ją chłopak.

Wziął ucznia na rozmowę po ostatniej lekcji tego dnia i natrafił na mur nastoletniego nieszczęścia pod postacią bezczelności z rodzaju „gównu mnie to wszystko obchodzi”.

– Wiem, że trudno ci się teraz skupić na nauce.

– Co pan wie? Czy pańscy rodzice chcieli sobie kiedykolwiek wypruć flaki? Czy pański tata nazywał pańską mamę suką z piekła rodem?

– Nie, ponieważ nigdy się nie pobrali. Mój ojciec zwiął, zanim się urodziłem.

Chłopak wzruszył ramionami, nadąsany, i uśmiechnął się złośliwie.

– Tak pewnie było dla pana lepiej. Nie wciskał panu kitu, że to pana nie dotyczy.

– Ale dotyczy ciebie.

Pełen bezczelności żal przerodził się w otwarty gniew.

– To nie moja wina!

– Nie powiedziałem tego, Barry. – Nie prowadził tej rozmowy przy swoim biurku, tylko na dwóch ustawionych naprzeciw siebie krzesłach. – Twoja rodzina, ta, w której dorastałeś, zmienia się, więc dotyczy to również ciebie. Masz prawo czuć się zraniony, wkurzony, nieszczęśliwy. Ale jest faktem, że oni też są zranieni, wkurzeni i nieszczęśliwi ze sobą.

– Chce mi pan powiedzieć, że nic nie mogę na to poradzić? Że mogę tylko zapanować nad swoją reakcją na to wszystko?

W klasie Booth nie tolerowałby takiego tonu ani przez sekundę. Tutaj jednak pozwalał na to.

– Nie wiem, jak to zrobisz, tkwiąc w samym środku tej wojny.

W oczach Barry’ego zalśniły piekące łzy. Gorące łzy gniewu i samotności.

– Ojciec się wyprowadził, ale skaczą sobie do oczu przy każdej nadarzającej się okazji. Moja siostra jest tym przerażona, ale to ich nie powstrzymuje. Mama powtarza w kółko bzdury w rodzaju: jesteś teraz głową domu, Barry, albo mówi mojej siostrze, że musi być dzielna i bardziej pomagać.

Booth zastanawiał się przez moment, dlaczego dorośli potrafią być tak krótkowzroczni podczas kryzysu małżeńskiego.

– Teraz standardowe pytanie. Próbowalesz o tym z nimi porozmawiać?

– Nie słuchają! Mam szlaban z powodu ocen. Mama mówi, że nie może sobie poradzić z kolejnym problemem, a tata twierdzi, że jestem leniwy.

Pomyślał, że chłopiec jest bliski załamania i że pragnie za wszelką cenę, by jego rodzice byli właśnie rodzicami, a nie śmiertelnymi wrogami.

– Chcę, żebyś czegoś spróbował.

– Niech pan tylko nie wyjeżdża z terapią rodzinną. – Te słowa przypominały smagnięcie biczem, szybkie i bolesne. – Dwa razy uczestniczyli w takiej sesji. Nic to nie dało.

– Przynajmniej starali się coś zrobić. – Uniósł rękę, zanim chłopiec zdążył się odezwać. – Zaczekaj. Nie wiem i nie mogę nic wiedzieć o małżeństwie twoich rodziców. Ale wiem coś o tobie. Jesteś dobrym uczniem. I powtórzę, masz prawo do wszystkiego, co czujesz. Chcę, żebyś to opisał.

– Och, niech pan da spokój, panie Booth.

– Opowiedz to wszystkim swoimi słowami. Opowiedz o tym, czego nie chcą słuchać. Napisz, mało albo dużo, jak chcesz. Obejrzę to i ocenię zamiast testu, który oblałeś.

– Jeśli opiszę to po swojemu, to zostanę zawieszony za wulgarny język.

– Nie, nie zostaniesz zawieszony. Dasz mi to wypracowanie we czwartek, przed zajęciami.

„Dzieciak wyzna przynajmniej, co mu leży na wątrobie”, pomyślał Booth, idąc do sali teatralnej, gdzie odbywały się próby. „Potem się zobaczy”.

*

Zjawiła się znowu w niedzielę, a on być może nienawidził się odrobinę za to, że zaczął jej wyczekiwać z niecierpliwością.

Jak zwykle odbyli „spotkanie” w jego kuchni. Nie zaprezentował jej jeszcze swojego warsztatu, ale przygotował kilka narzędzi.

Pokazał, jak sforsować prosty zamek, zademonstrował też, jak poradzić sobie z prostą kombinacją cyfr.

Miranda chciała oczywiście dowiedzieć się więcej.

– Okej, ale ludzie nie zainstalują podstawowego zabezpieczenia w sejfie, który kryje kosztowności.

– Stosuje się tę samą formułę.

Umieścił na stole małą kasetkę, obok notatnik i stetoskop.

– Lecz w przypadku prawdziwego sejfu sprawa będzie bardziej skomplikowana.

Udzielał Mirandzie lekcji z taką samą cierpliwością i nieustępliwością, jak swoim uczniom na zajęciach ze sztuki językowej i teatru.

– Wszędzie jest identyczna formuła, tyle że więcej kroków. Tak jak wcześniej ci mówiłem, ich liczba zależy od rozmiarów kombinacji. Tu ustawiłem prostą, trzycyfrową.

– Jeśli znasz już kombinację, to jaki to ma sens?

– Nie zamierzam złamać szyfru. Ty to zrobisz.

– Ja?...

Zafascynowana wpatrywała się w pokrętko zamka, po czym sięgnęła do włosów, by zapleść niesforny kosmyk.

– Pamiętasz wszystkie kroki?

– Owszem, ale i tak je sobie zanotuję. – Zaczęła wertować notatnik. – Jestem pewna, nie, wręcz przekonana, że kompletnie to zawalę.

– Pomogę ci... tym razem.

Najwyraźniej zadowolona, wzięła stetoskop i w kuchni wypełnionej aromatem potrawy wołowej umieściła słuchawki w uszach.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

– Cholera. – Chwycił kasetkę i z resztą sprzętu zaniósł do wiatrołapu na tyłach domu. – Przyszłaś, żeby przedyskutować swoje spotkanie z moimi uczniami z klasy zaawansowanej – uprzedził, wracając do kuchni.

– W porządku.

Włączył laptop stojący na blacie szafki, po czym wyświetlił widok na frontowy ganek.

– Masz zainstalowaną kamerę...

– To Barry Kolber, jeden z moich uczniów. Zaczekaj tu chwilę. – Wyłączył laptop i poszedł otworzyć. – Cześć, Barry.

– Uhm, panie Booth, ja... – Zauważył Mirandę i przestąpił nerwowo z nogi na nogę. – Przepraszam, widzę, że ma pan gościa. Zobaczymy się jutro na lekcjach.

– W porządku, wejdź.

Miranda podniosła się z miejsca.

– Skorzystam z łazienki.

Kiedy ulotniła się dyskretnie, Booth zaprosił Barry’ego gestem do środka.

– Wchodź, jest zimno na dworze. Wszystko w porządku?

– Nie tak do końca, ale trochę lepiej. Wiem, że poprosił pan moich rodziców, żeby przyszli do szkoły w piątek, i że przeczytał im pan to, co napisałem. W każdym razie tata pojawił się u nas wczoraj i rodzice porozmawiali ze mną i Becs... moją siostrą. Nie przepadają w tej chwili za sobą, panie Booth, ale powiedzieli, że jest im przykro – głos mu się trochę załamał, więc chłopak prze-rwał i zacerpnął powietrza. – Przepraszam i Becs i było to dość osobliwe. Właśnie tak. Wspaniałe i osobliwe. Powiedzieli, że spróbują, by było lepiej, że będą ze sobą rozmawiać tylko o nas. O tym, jak nas oboje kochają i tego rodzaju rzeczach. Tak czy owak, dużo rozmawialiśmy, na ogół bez wrzasków. Przyszedłem, żeby panu podziękować. A nie chciałem robić tego w szkole, rozumie pan. Jestem wdzięczny, że kazał mi pan wszystko opisać. Dał mi pan najwyższą ocenę.

– Zasłużyłeś na nią.

– Muszę lecieć. Zwolnili mnie warunkowo z tego aresztu domowego, bo czują się w tej całej sprawie paskudnie. – Uśmiechnął się. – W każdym razie dziękuję.

– W porządku.

– Było to trudne... nie mieć nigdy taty?

– Trudniejsze dla mojej mamy niż dla mnie, jak sądzę. Więc może potraktujesz ich wyrozumiale, jeśli zaczną opuszczać się w nauce.

Chłopak parsknął śmiechem.

– Tak, słusznie. Dzięki.

Kiedy Booth zamknął drzwi, zawołał do Mirandy, że teren jest czysty, i poszedł po kasetkę.

– Mogę spytać, o co chodziło? Czy to poufne?

Wzruszył ramionami i wyjął dla obojga colę.

– Jeden z moich uczniów, rodzice w samym środku paskudnego rozwodu, wykorzystują chłopaka i jego siostrę w charakterze broni. Kazałem mu opisać, jak się z tym wszystkim czuje, potem ich wezwałem i przeczytałem im to. Jezu, od razu skoczyli sobie do oczu. – Potarł się po karku na to wspomnienie. – On to, ona tamto, dopóki im nie wskazałem, niezbyt dyplomatycznie, że potwierdzają wszystko, co chłopak opisał. I że może powinni wysłuchać tego jeszcze raz. Więc znowu to przeczytałem. – Westchnął, dając upust zniechęceniu, po czym usiadł. – Mówię ci, siedziałem jak na szpilkach, bo zaczęło to wyglądać tak, jakbym wyświadczył dzieciakom niedźwiedzią przysługę, ale za drugim razem coś do nich dotarło, bo przestali skakać sobie do oczu. Barry powiedział, że usiedli wczoraj wszyscy razem i pogadali spokojnie, więc to już coś.

– Coś – rzekła cicho Miranda.

Bez względu na to, ile razy zdarzyło jej się powtarzać po nim, nieodmiennie go to wkurzało.

– Rozumiem, że ludzie mogą się zniechęcić albo przynajmniej są gotowi krzywdzić się nawzajem, bo się wkurzają i mają dosyć. Ale nie pojmuję, jak rodzice mogą tak bardzo chcieć się porąbać na kawałki, że nie dostrzegają albo mają w nosie, że ich dzieciaki krwawią przy okazji.

Pomyślał o tamtym długim letnim wieczorze po meczu bejsbolowym, kiedy siedział z matką na frontowej werandzie. Widział ją – taką wychudzoną, taką biedniutką, w czapeczce rozgrywającego na krótkiej szczecinie różowych włosów.

– Moja mama nigdy nie powiedziała złego słowa o moim biologicznym ojcu. Ani jednego, wręcz przeciwnie. Mogła przedstawiać go jako drania, ale nigdy tego nie zrobiła.

Miranda milczała długą chwilę.

– Za bardzo cię kochała. Mieliśmy szczęście, że każdy z naszych rodziców nas kochał i nie chciał obrzucać drugiego błotem.

– Tak, nie wszyscy mają tyle szczęścia.

– Nie, nie wszyscy, ale potwierdziłeś ważność uczuć Barry’ego – zapewniła go. – A to daje mu wsparcie i ochronę. Co więcej, wie, że dzięki tobie jego rodzice zaczęli słuchać, że usłyszeli jego głos, który do nich nie docierał, bo tłumili go własnymi głosami. Nigdy cię nie zapomni.

– Nie chodziło o mnie.

– Nie, ale nigdy nie zapomni, że ktoś go wysłuchał, kiedy pragnął być słyszany. I może pewnego dnia to on kogoś wysłucha, bo będzie pamiętał. – Wzięła do ręki stetoskop i bawiła się nim przez chwilę. – Trudno mi, Booth, ponownie zapalać do ciebie sympatią. Przypomnieć sobie, dlaczego kiedyś żywiłam wobec ciebie jakieś cieplejsze uczucia. Więc... jeśli poradzę sobie z tym zamkiem, to czy dostanę trochę tego, co pachnie tak cholernie dobrze na twoim piecyku?

– To gulasz wołowy... może nie tak wyszukany jak francuski boeuf bourguignon.

Jemu też było trudno, gdy znów pojawiła się w jego życiu. Tu, w tym miejscu.

– Jeśli otworzysz tę kasetkę, to dam ci porcyjkę.

Rozdział 20

Wiedział, że robi z siebie głupka, ale wyczekiwał niecierpliwie ich coniedzielných popołudni.

Pomyślał po dwóch lekcjach ćwiczeń w forsowaniu zamków, że Miranda nigdy tego w pełni nie opanuje – i nie z braku wprawy.

Kiedy połączył – na jej prośbę – otwieranie sejfów z gotowaniem, doszedł do identycznego wniosku co do jej talentów kulinarnych.

W przypadku sejfów jej piętą achillesową była matematyka, w kuchni natomiast wiara w dokładne odmierzanie składników. Nie miała smykałki ani do jednego, ani do drugiego.

W tę lutową niedzielę, kiedy za oknem sywał gęsty śnieg, wypisz wymaluj z gwiazdkowego repertuaru w TV, a ogień trzaskał na kominku w salonie, siedziała w kuchni, mozoląc się nad wyposażonym w standardową zapadkę zamkiem, który przygotował jej do ćwiczeń praktycznych.

Zostawił ją samą przy tej czynności – wiedział, że trochę to potrwa – i przystąpił do ugniatacia pięścią ciasta chlebowego, które zdążyło wyrosnąć. Odstawił je na kilka minut, a potem obserwował jej postępy.

– Musisz przy tym kluczu utrzymać nacisk – podsunął.

– Tak... tak... tak... – mamrotała.

Jego kuchnia pachniała niczym wiejski dom w Prowansji, a to za sprawą kurczaka *en cocotte*, który grzał się na piecyku. Musiał przyznać, pochylając się nad ramieniem Mirandy, że pachnie nawet smakowiciej.

– Ile sworzni podważyłaś?

– Jeden. Bardzo proszę, tylko bez złośliwych uwag.

Ponieważ męczyła się nad tym prostym zamkiem wpuszczanym od blisko dziesięciu minut i miała jeszcze cztery sworznie do pokonania, obliczył, że uporałaby się z tym zadaniem – przy takim tempie – w ciągu blisko godziny.

Wyłożył blachę papierem do pieczenia, umieścił na nim ciasto, po czym przekroił je na pół. Uformował dwie kule, zakrył je i wsunął z powrotem do piekarnika – bez podgrzewania, z zapalonym światłem – by ponownie urosły.

– Dwa! Mam dwa! – zawołała z ekscytacją. – Udało się, udało. To ten nieprawdopodobny zapach tak mnie rozprasza.

Poprosił ją o wcześniejsze zjawienie się, bo zamierzali połączyć dwie profesje jej bohatera – gastronomię i złodziejstwo. Kazał jej teraz obierać, opłukiwać i siekać warzywa.

Pomyślał, że robi to bardzo starannie. Metodycznie. Niewiarygodnie powoli. Jeśli chodzi o obsmażanie kurczaka, nie dopuścił do tego, by go spaliła, ale niewiele brakowało.

Pomimo jej braku wprawy, który, jak doszedł do wniosku, wynikał z zadziwiającego braku pewności siebie, lubił, kiedy spędzała z nim te niedziele, co w jego przekonaniu równało się głupocie.

Fascynował go jej długi warkocz. Nieco bardziej wyszukany tym razem, jak zauważył, niczym ogon ryby. Czy jego zaplecenie nie wymagało zwinnych palców? Nie potrafił pojąć, dlaczego te same palce tak męczą się z prostymi zamkami.

– Udało się! Udało! Jaki mam czas?

– Czterdzieści jeden minut, dwanaście sekund.

– Boże! – Wyprostowała się na krześle, rozluźniła zdrętwiałe palce. – A jaki jest twój wynik?

– Zabierało mi to więcej czasu, kiedy się dopiero uczyłem.

Wyjął z lodówki w kredensie butelkę Pouilly-Fuissé.

– Twój wynik?

Wzruszył ramionami, odkorkowując butelkę, ale wiedział, że chce od niego usłyszeć odpo-

wieź.

– Osiem godzin dwadzieścia cztery minuty.

– Ile miałaś lat?

– Dziesięć. Prawie. Nie powiedziałaś mi jeszcze, kiedy twój bohater zaczął uprawiać swój proceder.

– Za młodu. Jego ojciec był złodziejem, tak jak dziadek.

– Rodzinny interes.

Wzięła wino, które jej nalał.

– Właśnie. Dokładnie tak to traktuje, jakby dorastał w rodzinie hydraulików czy prawników.

Uciekam się do retrospekcji, żeby to przekazać. Nie jest w gruncie rzeczy złym człowiekiem. Moralnie słaby, ale...

– Słaby.

– Nie kradnij, Booth.

Odparował to bez trudu.

– Nie rób całego mnóstwa rzeczy, które inni robią regularnie.

– Moralnie jest słaby – powtórzyła i łyknęła wino. – Nie ma żadnych oporów przed uwiedzeniem Allison Reed, chcąc uzyskać dostęp do jej domu i opracować metodę kradzieży ptaka z Covington, bezcennej rodzinnej pamiątki.

– Sugeruje to coś słynnego, a tym samym łatwo rozpoznawalnego.

– Oczywiście, to prawdziwy unikat. Zamówiony przez pradziadka naszego zbrodniczego bohatera dla swojej narzeczonej. To kryształowy ptak o szafirowych oczach, z pracowni Waterford. Siedzi w gnieździe na gałęzi złotego, wysadzanego szlachetnymi kamieniami drzewa. Jajo ma postać rosyjskiego białego diamentu o wadze dwudziestu ośmiu karatów – D na skali, aha, i IF, czyli wewnątrznie nieskazitelny.

– Uhm. – „Sam diament byłby wart około dwóch milionów dolarów”, jak skalkulował. „Przed dodaniem reszty i całej opowieści”. – I co zamierza z tym zrobić, kiedy już to zdobędzie?

– Sprzedać. Nawet jeśli za połowę wartości, tak jak mówiłeś, i tak zgarnie za to z pięć milionów. Jego największy łup i jednocześnie ostatni, ponieważ ustawi go na... Dlaczego się tak uśmiechasz?

– Słynne słowa: „ostatni łup”. Zazwyczaj dosłownie ostatni, bo drab prosi się o przyskrzywienie.

– To brzmi jak przesąd.

– Jeśli będziesz przechodziła pod drabiną, na której stoi jakiś facet i maluje dom, to obejrujesz spadającą puszką farby. Więc nie przechodź pod drabiną.

Podszedł do piekarnika, wyjął z niego chleb i włączył funkcję podgrzewania.

Jej jednak podobał się ten pomysł – bohater planuje ostatnią robotę, wielką robotę, a później wszystko się wali w gruzy wraz z zabójstwem upatrzonej ofiary.

– Restauracja pochłania większość jego czasu, a on to lubi. Chce się oddać temu w pełni. Tak czy owak, będzie planował sprzedaż ptaka.

– Kto go kupuje?

– Myślę o nielegalnej aukcji internetowej.

Skinął głową, sprawdzając gulasz.

– Mogłoby się udać, skoro i tak zostanie złapany.

Po jej twarzy przemknął cień irytacji. Kto pisał tę cholerną książkę?

– Nie zostanie złapany. Na tym polega cały dowcip.

– Więc potrzebuje kupca. Jest złodziejem w trzecim pokoleniu, wie zatem doskonale, że nie kradnie się czegoś, gdy się nie ma pewności, czy się to upłynni. Potrzebuje kogoś z górą forsy, kogoś, kto pragnie to posiadać – wymyśl jakiś powód, który ci będzie pasował – i może to umieścić w miłym, prywatnym sejfie, a potem podziwiać. Tak czy inaczej, ta rzecz jest zbyt znana, a rozszczepianie jej na poszczególne elementy wszystko zniweczy.

Irytacja przeszła nieoczekiwanie w zainteresowanie.

– Znasz takich ludzi? Kto zapłaciłby miliony, żeby schować coś tak pięknego?

– Jasne. Pierwszą i jak sądziłem ostatnią robotą, którą wykonałem dla LaPorte'a, była kradzież obrazu Turnera pewnemu facetowi. On też go ukradł, żeby móc siedzieć w swoim wyszuka-

nym, strzeżonym pokoju pełnym innych pięknych kradzionych rzeczy, palić cygaro i podziwiać w ciszy całą kolekcję.

– Więc ukradłeś coś, co było przedtem ukradzione, żeby ten twój LaPorte mógł to sobie później oglądać w jakimś wyszukany, strzeżonym pokoju?

– W znacznej mierze tak.

Kiedy rozsiała się ze swoim kieliszkiem wina, zaczęła dostrzegać na horyzoncie jeszcze jeden wątek opowieści.

– To ciekawy motyw. Pobawię się tym.

– Dobrze. A teraz możesz pobawić się w glazurę na chleb.

– Glazura? Nie wiem nawet, co to takiego.

Skinął na nią, żeby wstała, a sam wyjął z szafki trzy małe szklane półmiski.

– To po prostu białko jajka i trochę wody. Musisz oddzielić białko od żółtka, a następnie ubić białko z wodą i posmarować nim ciasto. – Wyjął z lodówki zgrzewkę jajek. – O tak.

Rozbił jajko, po czym zaczął przelewać jego zawartość z jednej połówki skorupki do drugiej; białko lądowało w jednym półmisku, żółtko zaś w drugim.

– Chyba nic trudnego. A na co to trzecie naczynie?

– Na spieprzoną robotę.

Wyzwanie!

– Stawiam dwadzieścia dolców, że mi nie wyjdzie.

Uśmiechnął się do niej.

– Co powiesz na błyszczącą ćwierćdolarówkę?

Nie odwzajemniła uśmiechu. I żałowała, że tego nie zrobiła.

– Naprawdę wszystko pamiętasz. Okej, niech będzie błyszcząca ćwierćdolarówka. – Rozbiła jajko i naruszyła żółtko przy pierwszej próbie. – Cholera.

Wręczył jej drugie jajko.

– Spróbuj jeszcze raz.

Nie naruszyła żółtka, ale spartaczyła skorupkę, która w całości wpadła do półmiska.

– W porządku. Przyrządź sobie z tego omlet na śniadanie. Spróbuj znowu.

– Musi być do tego jakieś odpowiednie narzędzie.

– Jasne. Dla nieudaczników.

Wymagało to czterech kolejnych prób, ale w końcu jej się udało.

Kiedy już ubiła miksturę i posmarowała nią ciasto, wręczył jej słoik z nasionami maku.

– Ile?

– Ile uznasz za stosowne.

Wszystko domagało się w niej precyzji i dokładności.

– Dlaczego nie ma określonej, precyzyjnej odpowiedzi?

– Właśnie ci jej udzieliłem.

Zaczęła wysypywać nasiona.

– Wiesz co, mogę zrozumieć, dlaczego ten mój Nathan lubi kraść, ale nie pojmuję, dlaczego uwielbia gotować. Uwielbia – to jego prawdziwe powołanie. Jest tak samo szczęśliwy, a właściwie szczęśliwszy na dłuższą metę, stojąc w gorącej, hałaśliwej, pełnej chaosu kuchni restauracyjnej i przygotowując jedzenie, niż wtedy, gdy stoi w ciemnym, cichym domu, wyjmując diamenty z sejfów. No i jak, dobrze z tym odmierzaniem?

– Oceniasz to własnym okiem – przypomniał jej.

– Sądzę, że jest w porządku.

– Więc jest.

Wsunął tacę do piekarnika, nastawił minutnik.

Kiedy się odwrócił, stała przy kuchennych drzwiach, patrząc na padający śnieg. Serce ścisnęło mu się w piersi. Godził się z tym. Co innego mógł zrobić?

– Zastanawiałam się, jak to wszystko będzie wyglądać w śniegu i nie jestem rozczarowana. Wydaje się, że powoli ustaje, ale mógłbyś zrobić sobie jutro wolny dzień.

– Z pewnością ten quiz z popu, który planowałem na pierwszą lekcję, może do wtorku poczekać.

Odwróciła się ze śmiechem, a ich spojrzenia się spotkały.

Było to dla niego jak nagle uderzenie w brzuch, ciepło ramion, obietnica, odmowa – wszystko jednocześnie.

– Miranda...

– Chciałabym zobaczyć twój warsztat – rzekła pospiesznie.

Wskazała oszklone drzwi, biurko i laptop, a za nim półki wypełnione książkami.

– Nie chodzi mi o miejsce, w którym przygotowujesz lekcje. Chyba że nie masz osobnego pomieszczenia na to. – Postukała w zamek, z którym się borykała.

– Na gorze, drugi pokój gościnny.

– Przychodzę tu od ponad miesiąca, Booth. Chcę go zobaczyć. Mój Nathan urządził warsztat w piwnicy swojego domu. Chciałabym się przekonać, czy potrafię się wczuć odpowiednio w to wszystko.

– Ja korzystałem z piwnicy domu w Chapel Hills. Tu jej nie ma.

Skoordynował minutnik piecyka z tym na swoim telefonie, a potem zaprowadził ją na górę.

Stała w drzwiach, zaglądając do wnętrza atrakcyjnego, przyjaznego pokoju gościnnego, jak się na pierwszy rzut oka wydawało. Mlecznobiała narzuta na dużym łóżku, mnóstwo poduszek, fotel i lampa, stara wypolerowana na połysk komoda z lustrem. Kilka oprawionych paryskich scen na ścianie.

– Nie zamykasz drzwi na klucz?

– Zamknięte drzwi intrygują ludzi. Niewielu tu przychodzi, ale latem urządzam grilla na zewnątrz, a przed feriami zimowymi wydaję przyjęcie dla uczniów klubu. Otwarty pokój to tylko pokój. Zamknięty pokój to zagadka.

Tak, oczywiście. Uznała, że Nathan nie będzie zamykał drzwi swojej piwnicy.

– Żadnych gości, którzy nocują?

– Moja ciotka i Sebastien, ze dwa razy. – Zrozumiał jednak, o co jej chodzi. – Ale nie kobiety. To proszenie się o kłopoty.

Podszedł do garderoby i ją otworzył.

– Widzę tylko garderobę. Pełną kostiumów, strojów, peruk – rekwizytów sztuki teatralnej – poukładanych w ten twój obsesyjny staranny sposób. Bez odrobinki kurzu. Wiem, że wciąż sam wszystko sprzątasz, bo pytałam o to Patti, która sprząta u mnie raz w tygodniu.

– Ludzie, którzy sprzątają u kogoś, wiedzą o nim więcej niż inni. Wierz mi. Tak czy siak, jeśli ktoś się tu zjawia, to widzi właśnie to. Reszta jest w mojej sypialni.

Wyszedł z pokoju i skierował się do wspomnianego pomieszczenia.

Pomyślała, że jego sypialnia jest czysta, dobrze zorganizowana, atrakcyjna z tymi mglistoszarymi ścianami i ciekawymi przykładami street artu – i oczywiście ze wspaniałym widokiem na zaśnieżony taras za oszklonymi drzwiami.

„Nie spartańskie, nie proste”, jak pomyślała, „i niezwykle atrakcyjne dzięki ciemnoszarej kołdrze, mocnym niebieskim akcentom w postaci wygodnego fotela do czytania oraz tkaney ręcznie narzuty na łóżko”. Zorientowała się, że biurko i komoda z szufladami to pieczołowicie odrestaurowane antyki.

Może było to nieco zbyt minimalistyczne jak na jej gust; wyobrażała sobie, że układa stos ładnych poduszek na łóżku, stawia na biurku świece i butelki o ciekawych kształtach, a obok drzwi wysoką roślinę w barwnej donicy; po sekundzie się opanowała.

By wynagrodzić sobie to chwilowe mentalne zauroczenie, wskazała głową drzwi tarasu.

– To musi być wspaniałe... budzić się co rano, mając przed sobą taki widok.

– Nigdy nie powszednieje – przyznał i otworzył drzwi do drugiej garderoby.

Tak dobrze wyposażonej, że ogarnęła ją zazdrość.

Osobne miejsce na buty – trzy pary chucksów, kilka eleganckich pantofli, botki. Dwie wbudowane w ścianę komody, gdzie – jak to on – najprawdopodobniej trzymał ubrania, których w danej porze roku nie nosił. I pręty, na których wisały uszeregowane w bezlitosnym porządku rzeczy wedle przeznaczenia – koszule, spodnie, garnitury, kurtki. Dodatkową obrazą dla jej nawyków było ich posegregowanie według kolorów.

– Nie zasługujesz na tę garderobę, w żadnym razie. Ja na nią zasługuję. Jesteś obsesyjnie dokładny, tak obsesyjny, że wystarczyłaby ci połowa tej przestrzeni.

Nagle zapragnął jej dotknąć – musnąć jej warkocz, przesunąć palcami po ramieniu. Zamiast

tego tylko wsunął dłonie do kieszeni.

– Wykorzystanie przestrzeni w zorganizowany i wcale nie obsesyjny sposób oznacza, że nie traci się czasu, gdy się chce znaleźć białą koszulę do garnituru albo parę czarnych spodni.

– I tak masz tylko trzy białe koszule. Łatwo policzyć, bo tworzą obsesyjne trio.

– To jest minimum, którego każdy potrzebuje. – Uchwycił jej pospieszne, obronne spojrzenie. – A ile ty masz koszul?

– Nie wiem za Boga i dlatego właśnie zasługuję na tę garderobę, a ty nie.

– Z drugiej strony...

Wyjął telefon, wystukał na klawiaturze jakiś kod. Usłyszała nieznaczny, cichy sygnał.

– Zamek elektroniczny – wyjaśnił, po czym przycisnął dłoń do bocznej ściany.

Otworzyła się niczym drzwi. „Nie, przecież to są drzwi”, jak skorygowała w myślach. Zainstalowane tak niewidocznie, że stawały się ścianą.

W środku miał biurko i krzesło, laptop, trzy monitory, sejf, półki pełne zamków i elektroniki, której nie rozumiała, a także mnóstwo pilotów, kilka telefonów komórkowych i wytrychów. Pod półkami biegł długi, wąski kontuar – stół warsztatowy, jak się domyśliła.

– Po co ci tyle telefonów?

– Nie wszystkie są tylko telefonami albo w ogóle nimi nie są. Przerobiłem je, mówiąc najprościej, tak by mogły odczytywać cyfrowe i elektroniczne kody alarmowe, omijać zamki elektryczne, no tego rodzaju rzeczy.

– ...tego rodzaju rzeczy – mruknęła. – Jak się ich nauczyłeś?

– Zaliczyłem kilka kursów, poza tym mam przyjaciela, który jest utalentowany w tej dziedzinie. Dowiedziałem się od niego tego i owego, więcej niż na jakichkolwiek zajęciach.

Obróciła się twarzą do niego w tej ciasnej przestrzeni; ich ciała otarły się o siebie.

– Żadne miejsce nie jest tak naprawdę bezpieczne ani odpowiednio chronione, prawda?

– Nie, jeśli ktoś zechce poświęcić dostatecznie dużo czasu, by się zorientować, jak tam wejść. Kradzież w dużym muzeum – w Luwrze, w Smithsonian Institution – wymagałaby starannego i długiego planowania. Byłoby łatwiej z pomocą zespołu ludzi albo wtyki w tymże muzeum.

– Robiłeś to już?

– Nie lubię kraść z muzeów i zawsze pracuję w pojedynkę.

– Nie zaprzeczasz ani nie potwierdzasz.

Znowu wsunął dłonie w kieszenie spodni.

– Włamałem się do Luwru. Raz. Niczego stamtąd nie wzięłem. Chciałem się tylko przekonać, czy umiem to zrobić.

Wpatrywała się w niego w osłupieniu, w tego człowieka z kędziorami, które wymagały już przystrzyżenia, z kilkudniowym zarostem na cudownej twarzy i ciemnoniebieskich oczach, nieco rozmarzonych od przywoływanych wspomnień.

I ten mężczyzna, niegdyś chłopiec, którego kochała, włamał się do jednego z najbardziej prestiżowych, strzeżonych muzeów świata.

Tylko po to, by się przekonać, że potrafi to zrobić.

– Gdyby cię złapali...

– Nie złapali. To miejsce jest absolutnie magiczne bez tłumów, strażników, detektorów ruchu, kamer. Jest wtedy całkiem inne. Technie magią, naprawdę.

To właśnie dostrzegła w jego oczach. Utrwaloną w pamięci magię.

– Inne? Pod jakim względem?

Patrząc wstecz, wciąż to widział, wciąż to odczuwał.

– Cała ta sztuka... oddycha... Te płótna i widniejące na nich obrazy, ten marmur, granit, brąz i porcelana. Wszystkie te posążki, pejzaże, martwe natury. Wszystko, a także to, czego wymagało ich stworzenie.

– I to pragnienie ich zobaczenia, ich odczuwania... warte było tego ryzyka?

– O, tak. Myślisz, że znasz... *Monę Lisę*, powiedzmy. Ten wizerunek jest wszędzie, ikoniczna twarz, cały obraz. Widzisz ją w otoczeniu tłumów, w świetle, w gwarze i ruchu, który cię otacza, ona zaś jest czymś więcej, niż ci się zdaje. Zakochujesz się. Ale kiedy stoisz tam sam, wraz z nią, w absolutnej ciszy, pozbawia cię tchu i sprawia, że zamiera w tobie serce. Jest żywa. Wszystko jest w tej ciszy żywe. Jakbyś wsłuchiwała się w szept skąpanego w blasku gwiazd

kamiennego kręgu Stonehenge.

– Jesteś romantykiem, Booth.

– Może. – Nakazał sobie przedtem, że tego nie zrobi, ale uległ pokusie i przesunął dłonią po warkocz, który spoczywał na jej ramieniu. – Nie umiem malować, nie umiem wziąć kawałka kamienia i dostrzec w nim życie, wydobyć je, ale potrafię podziwiać rezultat i geniusz, który był jego źródłem. Stojąc w ciemności w salonie Cartiera...

– Stałeś tam?

Zignorował jej pytanie.

– Biżuteria... jest olśniewająca, zapiera wprost dech w piersiach. Owszem, wymagało wielkiej sztuki wykonanie tych przedmiotów z kamieni szlachetnych i metalu, ale to nie to samo. Nie dla mnie – wyjaśnił.

– Dlaczego?

– Bo można je wyłuskać z klejnotu i stworzyć coś innego, coś równie oszałamiającego.

A z *Mony Lisy* nie da się stworzyć czegoś innego i tak samo wspaniałego.

Przyszło jej nagle do głowy, że pojmuje w pełni tę stronę jego osobowości.

– Kradniesz więcej klejnotów niż dzieł sztuki. Właśnie dlatego... bo klejnoty to tylko piękne kamienie i metal. Nathan nie ma twojej wrażliwości.

– Mojej słabej moralności, chciałaś powiedzieć.

Wciąż unosiła głowę, jej oczy hipnotyzowały go. Wydawało mu się, że woń jej włosów i skóry wypełnia pokój. I wypełnia jego.

Gdyby pozwolił sobie na to, czego pragnął – jeszcze jeden leciutki dotyk, posmakowanie – mogłaby odejść i nigdy już więcej nie wrócić. Przypuszczał, że byłby to dla niego gest miłosierdzia.

Znowu wyciągnął rękę do jej warkocza, tego splotu o barwie zachodzącego słońca. I w tym momencie odezwał się minutnik w jego telefonie.

– To chleb. – Odniósł wrażenie, że cofa się znad krawędzi bardzo stromej zbocza. – Wyjmę go z pieca.

Zauważyła, że porusza się szybko i niemal bezgłośnie.

Uwolniła wstrzymywany oddech, który zalegał jej w płucach, i oparła się czołem o ścianę, by uspokoić myśli.

Nie wolno jej było skłaniać się ku temu, skłaniać się ku niemu, ani pozwalać, by zawładnęło nią to, co odczuwała w jego obecności.

Upomniała się, że nie ma w tym przyszłości ani żadnej realnej terażniejszości. Tylko bolesna przeszłość.

Kiedy wychodziła z jego sekretnego schowka, przyszło jej naraz do głowy, że ma wszystko, czego od niego potrzebuje, przynajmniej na razie. Przesunęła palcami po garniturach, płaszczach, starych dżinsach, wyprasowanych spodniach.

Nie musiała wcale spędzać niedzielnych popołudni w jego kuchni. Gdyby pojawiły się jakieś pytania związane z jej książką, mogłaby się z nim skontaktować, poprosić o spotkanie.

Chciała nie wierzyć w to, że dostrzegła prawdziwego Bootha, kiedy mówił o sztuce, o swoim zachwycie. Albo kiedy tak cierpliwie jej wykladał, jak oddzielić białko od żółtka cholernej jajka.

Chciała, by ta jego słaba moralność nie traciła coraz bardziej na znaczeniu, im więcej czasu z nim spędzała.

I na pewno nie chciała się do niego zbliżyć, widząc w jego oczach to pragnienie i zamiar.

Postanowiła, że przestanie tu przychodzić. Wykorzysta wszystko, co zdążył jej powiedzieć, pokazać, dać do przemyślenia i wplecenia w książkę.

Wróciłaby do domu z nietkniętym sercem i nietkniętą dumą.

Gdy zeszła na dół, woń świeżego chleba prosto z pieca wzbogaciła aromat kuchni. Nakrył do stołu – nic wyszukanego, ot para... przyjaciół przy wspólnym posiłku w zaśniewanej niedzielę.

„Mój błąd”, pomyślała. „Sama to zaczęłam”. Jedzenie, wino, rozmowa poza granicami układu, który zawarli.

On dotrzyma jego warunków, ona też. I nic więcej, z żadnej strony.

– Przestało padać. – Mówił swobodnie, jakby ta chwila na gorze – a ona wiedziała, że była

to chwila dla obojga – nigdy się nie wydarzyła. – Słyszałem przejeżdżający pług – ciągnął. – Więc droga powinna być przejezdna, kiedy zdecydujesz się wracać.

Należało zrobić to od razu, ale nakrył już do stołu. Nalał wino do jej kieliszka.

Postukał palcem w chleb stygnący na blacie kuchennej szafki.

– Dobra robota – rzekł.

– Moja słynna glazura.

Wziął półmisek i zaczął go napełniać zawartością garnka na piecyku.

– No cóż, Boże. – Woń przyciągnęła ją bliżej. – To wygląda zdumiewająco.

– Miałaś w tym udział.

– Gdzie się tego nauczyłaś? Od francuskiego szefa?

– Nie, prawdę powiedziawszy, od pewnej kobiety w Prowansji. Mieszkałem tam kiedyś kilka tygodni. Typ nadopiekuńczy – dodał. – Przekonałem ją do zdradzenia mi swojej metody.

Przyniósł półmisek do stołu, następnie ułożył na desce chleb, obok położył nóż.

Zbliżyła się do niego.

– Chyba powinnam zrobić zdjęcie i wrzucić je na swój profil społecznościowy. – Śmiejąc się, usiadła, kiedy obrzucił ją cynicznym spojrzeniem. – Ale nie zrobię tego.

Nałożyła sobie trochę kurczaka, marchewki, ziemniaków, selera i cebuli; wszystko pachniało cudownie.

I powiedziała sobie zdecydowanie, że odgrodzi się od wszystkiego, co zaiskrzyło między nimi tam, na górze.

– Powiedz mi, jak przebiegają próby.

– Nie jest źle. Nie do końca dobrze, ale nieźle. Mamy kilka silnych głosów i Kim – to Alicia Rohan grająca tę rolę – potrafi tańczyć. Nasz Hugo – Jonah Wyatt – nie umie tego, ale wykorzystuje tę nieporadność w jego postaci. Jonah obraca to na swoją korzyść.

Słuchała go, i to z przyjemnością, kiedy mówił o „swoich dzieciakach”, o ich sile, ich słabościach, o tym, jak bardzo aktorzy i ekipa techniczna związali się ze sobą.

– Nikt jeszcze nie zna swojej roli na pamięć, ale pracujemy nad tym. I Jezu, Matt – gra rolę Conrada Birdie – to aktorski nieudacznik. Wszystko kładzie. Dekoracje jakoś ujdą, próby techniczne wciąż są w powijakach... lepiej nie pytaj mnie o nic więcej.

– Nie będę. Grałam dwa razy w licealnym musicalu. Wiem, jakie to trudne i jednocześnie wspaniałe. Ale pozwól, że ci przerwę na chwilę. Powiedziałeś, że tamta nadopiekuńcza Francuzka nauczyła cię tego wszystkiego. Jesteś pewien, że była człowiekiem? A ty, który nie ważysz trzystu kilo, zjadasz to, co ugotujesz?

– Miała na imię Marie-Terese. – Widział ją teraz w obszernym kuchennym fartuchu, jej szare włosy zebrane w zwarte pukle, te oczy o barwie cyjanu, które błyszczały, kiedy jej mąż w tym swoim ogrodowym kapeluszu o obwisłym rondzie stawał na progu z bukietem kwiatów w ręku. – Ma czworo dzieci, dwanaścioro wnucząt, teraz pewnie już więcej, i męża, który wciąż ją wówczas uwielbiał po trzydziestu ośmiu latach małżeństwa.

– To urocze, taka rodzina, która trwa związana od dziesięcioleci. Żadne z nas tego nie doświadczyło.

– Masz swojego tatę. Ja mam Mags. Jak mu idzie w Oxfordzie?

– Jest zachwycony. Razem z Deborah starają się znaleźć w każdy weekend trochę czasu, żeby zwiedzać okolicę.

– Z kim? Kto to taki ta Deborah?

– Och, jest... jego... określenie „przyjaciółka” brzmi głupio, „dziewczyna” brzmi śmiesznie. Są razem od dwóch lat. Pojechała z nim do Anglii.

– Wiadomość nie z tej ziemi.

– Tak. – Zjadła trochę chleba, wciąż zaskoczona faktem, że pomogła mu w jego przyrzadzeniu. – To wspaniała osoba, świetnie się ze sobą dogadują. Jest wdową z dwójką dzieci, one też są miłe. To artystka, malarka. Tata kiedyś wybrał się na jej wernisaż i... – Miranda rozłożyła ręce.

– Poprosił ją o randkę.

– To ona zaprosiła go na kawę, a on był zbyt zauroczony, żeby odmówić. Bardzo ją lubię, zwłaszcza dlatego, że tata czuje się przy niej naprawdę szczęśliwy. Zanim wyjechali do Anglii, spytał mnie, co bym powiedziała, gdyby ją poprosił, żeby się do nas wprowadziła.

– I co mu odpowiedziałś?

– Że to doskonały pomysł. No dobrze, a jak tam Mags? – Nie rozmawiali o jego rodzinie od chwili zawarcia układu. – Wciąż wróży przez telefon?

– Po części. Razem z moją przyjaciółką prowadzą sklepik w dzielnicy francuskiej. Wróżby i rekwizyty magiczne.

– Sklep z rekwizytami magicznymi. Hmm... Naprawdę muszę któregoś dnia poznać tę twoją ciotkę.

– Związała się z miejscowym facetem, to Cajun, poza tym coś w rodzaju ojca i artysty.

– Lubisz go?

– Sebastiena? Jasne. Jest wyjątkowy, podobnie jak Mags. Zaangażował mnie do roboty zlecanej przez LaPorte'a, ponieważ potknął się przez swojego paskudnego małego psa i skręcił sobie kostkę. A ten jego pies, Bluto? Ważył może ze dwa i pół kilo i łypał na wszystkich morderczym spojrzeniem, które odstraszało nawet *cocodrils*.

– Sebastien też jest złodziejem?

Sięgając po swój kieliszek, Booth uświadomił sobie, że znów czuje się w jej towarzystwie zbyt komfortowo.

– Owszem.

– I pracuje dla tego LaPorte'a?

– Nie, to nie działa w ten sposób. To jest jak... kontrakt. Przyjął zlecenie, przewrócił się o swojego psa i nie mógł wykonać zadania. LaPorte nie jest człowiekiem, który by przejmował się czymś fizycznym urazem, więc Sebastien zatrudnił mnie do tej roboty.

– Skąd wiedział, żeby zatrudnić właśnie ciebie?

Powróciła ostrożność, choć z niejakim opóźnieniem, jak musiał przyznać.

– Za pośrednictwem wspólnego przyjaciela.

– Innego złodzieja? Znacie się wszyscy?

– Nie. Zdecydowanie.

– Nie żywisz do Sebastiena urazy, że spiknął cię z LaPorte'em?

– Wiedziałem, w co się pakuję. Albo tak mi się wydawało. Po prostu robota. Gdyby Sebastien wiedział, gdybym ja wiedział, że LaPorte postanowi dodać mnie do swojej kolekcji cennych przedmiotów, znaleźlibyśmy jakiś inny sposób. – Ton jego głosu uległ zmianie, stał się lodowaty. – Posłuchaj. Sebastien jest mi bliski niczym ojciec, okej? To nie jego wina. I to nie jest twój świat, Miranda.

– Owszem, jest, o ile należy do książki. Więc żadnej złodziejskiej dziupli, gdzie wszyscy przesiadujecie i chełpicie się swoimi wielkimi numerami?

– Zdecydowanie nie. Chełpliwość prowadzi do tego, że człowieka przyskrzyniają. Nie rzucaj się w oczy, nie ulegaj chciwości, nigdy nie noś broni, nie okradaj przyjaciół czy współpracowników. Kradnij mądrze, ciesz się swobodą.

– Jak myślisz, dlaczego LaPorte tak bardzo chce cię mieć na własność?

– To pytanie, które wielokrotnie sam sobie zadawałem. Po pierwsze? Bo powiedziałem mu „nie”. Chciał, żebym obrócił się przeciwko Sebastienowi, a ja odmówiłem. Nie wolno sprzeciwiać się LaPorte'owi.

– Tak, odniosłam to samo wrażenie, czytając między wierszami artykułów i materiałów na jego temat. A po drugie?

Może nie miała smykałki do otwierania sejfów, ale nie ulegało wątpliwości, że potrafi wyciągać z człowieka przydatne informacje. Mógł ją oświecić; nie dostrzegął w tym ryzyka. Już i tak mnóstwo o nim wiedziała.

– A po drugie, może wykonałem tę robotę zbyt gładko. Był to cholernie dobry skarbiec, a ja potrafię sobie z takimi poradzić. I patrząc wstecz, sądzę, że powinienem był skłamać, powiedzieć mu „owszem, wziąłem też kilka innych rzeczy”. Zaintrygowało go to, że tego nie zrobiłem.

– A dlaczego nie zrobiłeś?

– Bo wykraczało to poza zakres zlecenia – odparł z prostotą. – LaPorte to człowiek o długich rękach, poza tym dowiedział się o mnie dość dużo, by wiedzieć, jak pracuję. Byłem wtedy młody, miałem jakieś osiemnaście lat, dobry w tym, co robiłem, i rokowałem na przyszłość. On chce posiadać to, co najlepsze, najbardziej wartościowe, najbardziej pożądane, najbardziej... no...

wszystko. Doszedł do wniosku, że pasuję do tego albo że będę pasował. A ja powiedziałem „nie”. – Sięgając pamięcią wstecz i patrząc zarazem w przyszłość, Booth podniósł wreszcie kieliszek. – Odbiorę mu któregoś dnia i ten obraz, i ten posążek.

Zobaczyła nagle to, co jej wcześniej umykało. Tłący się ogień gniewu.

– Dlaczego miałbyś to zrobić?

– Zaczęło się od obrazu, a posążek kosztował mnie wszystko, co było dla mnie ważne. Chciałem włożyć na siebie tę cholerną czapkę i togę absolwenta, a nawet spróbować ze studiami podyplomowymi. Chciałem móc przebywać z przyjaciółmi, których poznałem, siedzieć na ganku swoich sąsiadów i popijać słodką herbatę. – Popatrzył na nią twardo. – Chciałem ciebie. – Wzruszył ramionami. – Wygrał, a ja przegrałem. Ale gra się jeszcze nie skończyła.

Czapka i toga, studia podyplomowe. Sądziła początkowo – albo przekonywała samą siebie – że posłużył się tym wszystkim jako przykrywką. Ale posłyszała w jego głosie ton prawdy, dostrzegła ją też w jego tłącym się gniewie.

I słysząc to, widząc to, doznała niespodziewanego, nagłego niepokoju.

– Powinieneś dać sobie z tym spokój, Booth. Dać sobie spokój z tym człowiekiem. Stworzyłeś tu sobie dobre miejsce, masz tu dobre miejsce. Chcąc mu odpłacić, dokonać jakiejś zemsty... czyż nie narusza to twojej świętej zasady: nie rzucać się w oczy?

– Wyjątek potwierdza regułę. – Nawet po tych wszystkich latach bolało go to do żywego: wyrazić to, co wyrazić musiał. – Zamierzałem cię wtedy prosić, żebyś się do mnie wprowadziła. Po studiach, nawet gdybym musiał tak długo czekać, skończyłbym z nocną robotą i stał się Boothem Harrisonem, może spróbował nauczania albo zastanowił się, co dalej. Może kupiłbym dom albo urządził ci pracownię, w której mogłabyś pisać. Wszystko to wydawało się czyste jak szkło. A potem on się zjawił pod moimi drzwiami i szkło się stłukło. Jest cierpliwym człowiekiem, ale ja też nim jestem. Nie mam już dwudziestu lat i nie boję się.

– Wprowadziłabym się do ciebie – wyznała po chwili. – Ale mieliśmy po dwadzieścia lat, Booth, i nie wiemy, czyby się nam udało. Czy to, co czuliśmy wobec siebie w tym wieku, by przetrwało.

– Nigdy nie mieliśmy szansy się o tym przekonać.

Jej spojrzenie złagodniało i choć nie wyciągnęła do niego rąk, niemal poczuł dotyk jej dłoni.

– Myślę, że Sebastian Booth ma wpływ na młode umysły uczniów – powiedziała – i na stałe zadomowił się w tej społeczności. Inaczej by tak się nie stało. Ponieważ nie możesz zmienić tego, co było, jest rzeczą mądrą budować na tym, co jest. I jeszcze jedno pytanie.

– Co?

– Co znaczy *cocodril*?

Był zaskoczony własnym śmiechem.

– To aligator w języku Cajun.

– Myślałam, że Cajun to francuski albo odmiana francuskiego.

– Owszem, ma też swoje idiomy, slang, rytm. Mogłabyś wyświadczyć mi przysługę i nie umieszczać tego w swojej książce.

– I tak nie pasuje. – Wstała i zgodnie ze zwyczajem, jaki już ustanowili, zaczęła sprzątać. – Mówisz w tym dialekcie?

– *Mais, cher*, jak wpadniesz w następną niedzielę, to zrobię niezłe zakupy, ja, nie kto inny. Może sprowadzisz kilkoro *bons amis* i urządzimy sobie *fais-dodo* i dobrze się zabawimy.

Śmiejąc się, pokręciła głową.

– To też twoja smykałka. Nie tylko język, ale też akcent. Można by pomyśleć, że się urodziłeś w Bayou.

– Po części to prawda. Sebastien ma tam dom. Wiele mnie nauczył.

Wkładała naczynia do zmywarki, kiedy on rozdzielał to, co zostało z posiłku. Trochę dla siebie, trochę dla niej.

– Ta twoja wróżbiarska ciotka mieszka w Bayou?

– Nie, mieszka nad sklepem w dzielnicy francuskiej. Cenią swoją prywatną przestrzeń, jak sądzę, i dobrze im z tym. Z początku myślałem, i to ku własnemu zażenowaniu, że to tylko seks ze zdrową domieszką przywiązania. Ale oni się kochają.

– Gdybym kiedykolwiek postanowiła osadzić jakąś historię w Nowym Orleanie, to oprowa-

dziliby mnie po mieście, pozwolili poznać jego koloryt?

– Jasne. Lubią twoje książki.

Takie słowa zawsze budziły jej zdumienie. I sprawiały, że czuła się zarówno podenerwowana, jak i dumna.

– Naprawdę?

– To zapaleni czytelnicy. Jeszcze jedna rzecz, która ich łączy, jak przypuszczam. Nie widziałem, by Mags wybrała się dokądkolwiek bez jakiejś książki w torbie. Albo z garścią kryształków, szminką w pięciu odcieniach, talią kart tarota czy, z powodu Sebastiena, z workiem psich przysmaków.

– Muszę ją poznać. Poważnie mówię.

Odwróciła się i wpadła na niego niechcący. Zamiast się odsunąć, Booth położył dłonie na jej ramionach.

– Nie mogę – rzekła i cofnęła się, po czym zaczęła zbierać swoje rzeczy. – Dzięki za wspa-
niały posiłek, jak zwykle. Czy raczej posiłki, bo znów spakowałeś mi dość jedzenia na jutrzejszą kolację.

– Żaden problem. Lubię gotować nie tylko dla siebie. Zadajesz mnóstwo pytań i jest to zgodne z umową, ale sam mam na języku jedno.

Włożyła płaszcz, owinęła szyję szalem.

– Okej.

– Czujesz coś jeszcze?

– Tak. – Zachowując bezpieczną odległość, popatrzyła mu w oczy i wyznała prawdę. – Zawsze coś czułam i czuję, a to oznacza, że nie mogę. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

CZEŚĆ TRZECIA

Czerwona bogini

Nie potrzeba oczu, żeby widzieć, jak się na tym świecie dzieje. Patrz uszami. Słyszysz, jak ten sędzia wymyśla byle złodziejaskowi? Powiem ci na ucho: zamień ich miejscami i zgaduj zgadula – który jest sędzią, a który złodziejem?

William Szekspir, *Król Lear*, akt IV, scena VI, przeł. Stanisław Barańczak

*Choć róża kolce ma, lecz się ją zrywa,
Sto drzwi zamkniętych miłość w lot przebywa.*

William Szekspir, *Wenus i Adonis*, przeł. Maciej Słomczyński

Rozdział 21

Nie zamierzała iść do teatru. Chciała tylko za pozwoleniem Lorny zwiedzić szkołę po lekcjach.

Usłyszała jednak muzykę, głosy i wśliznęła się do sali przez ciężkie podwójne drzwi.

Na scenie kręciło się kilkanaścioro nastolatków, a Booth zajmował miejsce po lewej stronie.

– Głośniej proszę! – nakazał.

Zgodziła się z tym w duchu i usiadła w tylnym rzędzie.

Rozpoznała dziewczynę, która grała główną rolę, i znów się musiała zgodzić co do jej umiejętności tanecznych. Młoda aktorka szła wyraźnie na całość, no ale w końcu jej bohaterka była zbuntowaną nastolatką, która wymknęła się z domu i pograżyła w nocy pełnej gniewu.

Kilka osób z chóru zgubiło rytm, a jedna obróciła się w niewłaściwą stronę.

– Wyłączyć muzykę – zaordynował Booth.

– Przepraszam, panie B.! – padło ze sceny.

– Nie przejmuj się, Carlene, od tego są próby generalne. Zapamiętajcie wszyscy, gdzie jesteście. To Lodowy Dom, zjawiliście się tu, żeby poszaleć, i, do diabła, powywiјаć zdrowo jak w tej piosence, *you've got a lot of livin' to do*⁴. Macie mnóstwo do przeżycia. Mark, wyciągaj dłonie i rozkładaj palce, a ty, Alicia, trochę ostrzej przy tym *pas de bourrée*. Nic płynnego, raczej ostro. Ruszajcie z kopyta.

Kiedy zademonstrował, o co mu chodzi, Miranda uniosła w zdumieniu brwi.

– Jeszcze raz. Zajmijcie miejsca. Muzyka.

Zauważyła kilka błędnych kroków, które Booth natychmiast spostrzegł i zajął się tym, ale i tak, biorąc wszystko pod uwagę, była to przede wszystkim zabawa.

Tak żywiłowa i radosna, że musiała się powstrzymywać od oklasków.

Przyglądała mu się przez następne dziesięć minut, jak ćwiczy z dwojgiem tancerzy. Pozostali w tym czasie oddalili się na przerwę.

Uświadomiła sobie nagle, że jest już po piątej i że Booth ćwiczy z uczniami od ponad ośmiu godzin. A po powrocie do domu zająłby się pewnie czytaniem i oceną wypracowań, a także planem zajęć.

Nie bez powodu nie poszła w ślady ojca, jak sobie teraz uprzytomniła. Żeby zostać dobrym nauczycielem, należało mieć wiedzę i odpowiednie przygotowanie, ale też niezłomną pasję.

Pomyślała, że jej tata miał to wszystko – i więcej; zdała sobie sprawę, że odnosi się to także do Bootha.

Wymknęła się ukradkiem na zewnątrz.

Kim i jej przyjaciele mieli mnóstwo do przeżycia⁵, a ona miała mnóstwo do przemyślenia.

Wbrew najlepszym intencjom Miranda dała się namówić na członkostwo klubu czytelniczego. Okazało się, że nie jest w stanie odmówić matce chrzestnej, a Cesca najwidoczniej nie była w stanie oprzeć się naciskowi Carolyn Stipper.

„Tylko jedno spotkanie”, przyrzekła sobie, parkując pod domem Ceski. Żeby odpowiadać na pytania dotyczące jej pierwszej książki – sprytnie wyznaczonej przez Carolyn na ten miesiąc – i przyciągnąć chętnych, dla których będzie podpisywać swoją powieść.

Marcowy wiatr boleśnie kąsał, ona zaś pragnęła każdym skrawkiem wyziebionego ciała zwinąć się w kłębek z książką napisaną przez kogoś innego, w piżamie, z kieliszkiem wina i posłuchać wycia tego cholernego wichru bijącego o szyby.

Tymczasem ubrała się w to, co uważała za swój służbowy strój – czarny kaszmirowy sweter, odslaniający nieco dół i mankiety śnieżnobiałej koszuli, do tego spodnie w odcieniu kamiennej szarości i czarne botki na grubym obcasie.

Włosy splotła w warkocz francuski, uszy przyozdobiła prostymi ćwiekami, na szyję włożyła naszyjnik z wisiorkiem z kamienia księżycowego w srebrnej oprawie; wyszukała go w sklepi-

przy głównej ulicy.

Zaczęła pukać do drzwi, ale mimo wiatru usłyszała głosy i śmiech, więc weszła.

– No, jest wreszcie! – Cesca zerwała się z jednego z krzesel w salonie – dostawiono do nich kilka składanych – i podbiegła do Mirandy, chcąc ją uściskać.

– Przepraszam, spóźniłam się?

– Nie, nie. Zdejmij płaszcz. Zjawiałaś się punktualnie. Nie znasz jeszcze wszystkich, więc cię przedstawię. To jest Miranda.

Na co kobiece głosy odpowiedziały zgodnym chórem: „Cześć! Miranda!”.

Niektóre piły wino, inne się raczyły herbatą lub kawą. Ich wiek wahał się od dwudziestu kilku do osiemdziesięciu kilku lat. Lecz wszystkie, bez wyjątku, patrzyły na nią z wyczekiwaniem i ciekawością.

Znów pomyślała tęsknie o swojej piżamie.

– Usiądź – odezwała się Cesca. – Zarezerwowałyśmy ci miejsce. Tracey, kochanie, bądź tak dobra i przynieś Mirandzie kieliszek wina. Możesz się napić?

– Tak, mogę się napić...

– Już się robi – rzekła Tracey, zrywając się z miejsca.

– Lubimy sobie pogawędzić, nim przystąpimy do dyskusji. Znasz Lornę i Tracey... dzięki, Tracey – dodała Cesca, kiedy agentka nieruchomości przyniosła kieliszek wina. – I Margo, właścicielka sklepu z biżuterią.

– Wspaniale wyglądasz w tym naszyjniku – pochwaliła ją ta ostatnia.

– A to Carolyn, oczywiście, i Layla. Rozmawiałaś w zeszłym miesiącu z kilkoma uczniami z jej klasy.

Po czym zaczęła jej przedstawiać pozostałe, tak że wkrótce ich imiona zaczęły się Mirandzie zlewać w jedno.

Pomyślała, że jest w tym beznadziejna. Beznadziejna w tej konkretnej dziedzinie fachu pisarskiego.

Jednak przybrała minę pewnej siebie autorki spod znaku: „Miło mi poznać”.

O dziwo! poszło znacznie łatwiej, kiedy kobiety zaczęły ją zasypywać pytaniami. Uzmysłowała sobie nawet, że jest to dość przyjemne, kiedy usiadła, a one podjęły dyskusję.

I któż nie byłby zadowolony, słuchając, jak dwie kobiety spierają się – z niekłamany zapalem – o jednego z jej bohaterów?

O bohatera, którego – luźno – oparła na osobie Bootha.

– Był dupkiem – upierała się Margo. – Mało inteligentnym przystojniakiem.

Miranda powstrzymała się od złośliwego uśmiechu, ponieważ tak właśnie chciała go przedstawić.

– Był taki młody – wzięła go w obronę Lorna. – Ledwie się zbliżał do dwudziestki.

– O nie! Perfidnie posłużył się Fioną – wtrąciła inna dyskutantka. – Wykorzystał swój czar, poza tym celowo przybrał tę pozę nieśmiałego chłopca, żeby ją zwabić. Wyłącznie dla seksu.

– Ach, dajcie spokój! Faceci w tym wieku bez wyjątku myślą kutasami.

– A kiedy przestają tak myśleć? – spytała retorycznie Cesca, na co doczekała się nieznacznego klepięcia ze strony Lorny, siedzącej obok.

Najstarsza uczestniczka dyskusji – Ester, emerytowana bibliotekarka – parsknęła śmiechem.

– Dam ci znać, kiedy i czy w ogóle.

– Wykorzystał ją niecnie – odezwała się Layla. – A potem porzucił dość obcesowo. Ale mimo wszystko zapłacił za to wysoką cenę.

– Co ty na to, Miranda? Ofiara czy dupek żołądny?

Uśmiechnęła się z pobłażaniem do Lorny.

– Możliwe, że i jedno, i drugie. I wszystkie macie rację. Był dupkiem żołądny i ją wykorzystał – a to, jak z nią postąpił, miało wpływ na jej dalsze życie emocjonalne i wybory, których dokonywała. On jednak nie miał nigdy szansy się zrehabilitować ani ewentualnie podjąć decyzji – zrehabilitować się czy nie.

Ponieważ, jak musiała przyznać w duchu Miranda, nie chciała, by Booth znalazł odkupienie ani nawet by mógł wybrać. Chciała z nim skończyć, ot co, a poprzez akt utrwalenia tego końca na kartach książki – zabić swoje uczucia.

To działało, i to przez długi czas.

Teraz bawiła się lepiej, niż się wcześniej spodziewała, i uświadomiła sobie, że jej krąg przyjaciółek ze studenckich czasów tak bardzo się rozproszył, że kontakty ograniczały się do okazyjnych – i zbyt rzadkich – kolacji, a częściej do esemesów i mejli.

Tęskniła za pełną swobody prywatnością kobiecych spotkań.

Kiedy wieczór dobiegł końca i Cesca gawędziła w drzwiach z przyjaciółkami wracającymi do domu, Miranda, z pomocą Tracey, zniosła do kuchni kieliszki i talerzyki deserowe.

– Naprawdę się cieszę, że przyszłaś. To ważne gościć tu kogoś, kto napisał książkę.

– Ważne też dla pisarki. I jestem zachwycona, widząc Cescę w towarzystwie dobrych przyjaciółek. Przeprowadzając się tutaj, dokonała wielkiego kroku.

– Tak, i było to bardzo odważne z jej strony. Kochamy ją.

– Zauważyłam. Dobrze, że miałam okazję się o tym przekonać na własne oczy.

– A skoro mowa o przeprowadzkach – nawet tymczasowych – jak ci się podoba życie nad rzeką?

– Jest wspaniale. Dom w pełni odpowiada moim potrzebom. Mam spokój, wygodę, piękne widoki.

– I atrakcyjnego sąsiada – dorzuciła Tracey. – Zauważyłam twój samochód przy jego domu.

Miranda pomyślała: „O rany!” – zachowała jednak swobodny ton.

– Och, wyjaśnia mi pewne kwestie *à propos* przyszłej książki. Tworzę postać szefa kuchni.

– Dobrze trafiłaś, bo facet potrafi gotować. Chodziliśmy ze sobą – jakiś czas temu – więc miałam próbkę jego talentów. – Oznajmiła to ze swobodą i z wdziękiem. – To poza wszystkim porządny gość.

– Też mi się tak wydaje – odparła Miranda bez zająknięcia. – Przesiedziałam dwie godziny w kącie kuchni u Renalo, więc zobaczyłam z bliska, na czym polega praca restauracyjnej kuchni. Booth natomiast pozwala mi wczuć się w czynność czy raczej sztukę przyrządzania posiłku. W moim przypadku sprowadza się to do otwarcia jakiegoś słoika i zamówienia chińszczyzny.

– Rozumiem cię. Nick i ja próbujemy nauczyć się przyrządzania prawdziwego jedzenia zamiast brać coś na wynos. To fajne, wiesz, gotować razem. I seksowne. Tak tylko mówię.

Miranda pomyślała, że nie potrzebuje wcale nikogo atrakcyjnego, kiedy następnej niedzieli pokonywała samochodem krótką trasę dzielącą ją od domu Bootha. Nie w tym wątku jej powieści i nie w życiu osobistym.

Potrzebowała jednak czegoś do swojej książki – zmysłowości wiążącej się z przyrządzaniem posiłku. Tych wszystkich elementów – woni, struktury, odgłosów skwierczenia i gotowania na wolnym ogniu, aktów krojenia, mieszania, łączenia składników. I smakowania.

Zaparkowała obok samochodu Bootha i uprzytomniła sobie naraz, że ktoś znów może tędy przejeżdżać. I snuć domysły.

Po chwili doszła do wniosku, że to bez znaczenia. I tak miała za kilka miesięcy wrócić do domu, a Booth? Cóż, zostałby na miejscu albo wyruszył gdzieś dalej.

Z okapów jego domu zwisały sople, a cichy plusk wody w tle przypominał jej o nadchodzącej wiosnie. Marzec nadszedł tak niespodziewanie – a na horyzoncie majaczyło podpisywanie książki.

Teraz jednak, zamiast zaprzętać tym sobie głowę, podziwiała śnieg.

Oczyścił, zmiotł dmuchawą podjazd i ścieżkę prowadzącą do drzwi, ale reszta leżała nieknięta niczym biały całun z cienką warstwą lodu – skutek zmiennej temperatury.

Z komina dobywała się strużka dymu, wiedziała więc, że w środku czeka już ogień.

I on.

Zdawała sobie sprawę, że stąpa po cienkiej linii, przyjeżdżając tutaj co tydzień i spędzając z nim czas w tych woniach, dźwiękach, smakach. Całym tym anturażu.

„To dla dobra książki”, upominała się w myślach. „I żeby sobie udowodnić, że umiem stąpać po tej cienkiej linii, nie zsuwając się z niej”.

Jeśli jeszcze żywiła wobec niego jakiegokolwiek uczucia, to potrafiłaby sobie z nimi poradzić.

Nacisnęła dzwonek, wytarła starannie buty o matę i przygotowała się na spotkanie.

Otworzył drzwi – miał na sobie džinsy z niewielką dziurą na kolanie, bluzę od dresu i stare buty koszykarskie jako sentymentalny dodatek do niedzielnego stroju.

– Mówiłem ci, że nie musisz pukać.

– Nie pukałam, tylko zadzwoniłam, tak czy siak, możesz o to winić moje południowoamerykańskie wychowanie.

Jego dom pachniał pomarańczami i wanilią. Ogień trzaskał, podłogi lśniły.

– Wypolerowałaś podłogi?

– Wczoraj.

Zdjęła płaszcz i szalik, a potem zrobił to, czego ona by nie zrobiła: zaniósł je do przedsionka na tyłach domu – irytująco uporządkowanego, według jej opinii – by powiesić je obok swojej kurtki roboczej, jak się domyśliła.

Wkładał ją pewnie, kiedy chciał odśnieżać czy używać dmuchawy.

– Też mam u siebie drewniane podłogi. Powinnam je polerować?

– Drewno musi być utrzymywane w czystości. Poza tym jest wtedy suche. No i ładniej wygląda. Masz w swoim rodzinnym domu piękne podłogi. Czy jakaś firma sprzątająca nie dba o ich wygląd? Nie czyści ich i nie poleruje?

– Tak, rzeczywiście czyści, skoro o tym wspominasz.

Dodała jedną czynność do listy związanej z utrzymaniem wynajmowanego domu. Zamiast pytać go, jak to się robi, postanowiła sama sprawdzić to w internecie.

Nie zniżać się.

– No więc, planuję kradzież – oznajmiła.

– Okej. – Wyjął z lodówki dwie puszkę coli. – A dokładnie?

– Zainspirowana wizją tych prywatnych skarbców, chcę, by mój bohater włamał się do takiego pomieszczenia, wziął obraz – jego autora jeszcze ustalimy – japońską drewnianą figurkę, taką, jaką nosiło się przy woreczku na pasie kimona, i rzeźbioną francuską wazę porcelanową z epoki baroku.

– Niezły łup. Preferuje dzieła sztuki?

– To jego hobby. Więc jak to zrobi?

– Sama mi powiedz.

Usiadł, ona zajęła miejsce na sąsiednim taborecie.

– To posiadłość na ogrodzonym terenie – zaczęła.

Po czym opisała dom i otoczenie i zrobiła to dość plastycznie. Mógł sobie z łatwością wyobrazić, jak znajduje słabe punkty i ślepe miejsca, jak się stamtąd wydostaje, a następnie przekazał jej to wszystko.

Przez pierwszą godzinę wymieniał kolejne kroki, pułapki, potrzebne narzędzia, a ona sporządzała notatki.

Udramatyzowałyby to, jak sądziła, wzbogacając o napięcie, skupiając się na ryzyku i zdobycy, on jednak wyjaśniał jej stronę praktyczną.

– Powiedzmy, że w tym pokoju znajduje się też skarbiec – rzuciła. – Czy próbowałby się do niego dostać?

– To zależy od czasu, jakim dysponuje, i od chciwości, jaką się cechuje – odrzekł. –

W skarbcu są pewnie ukryte pieniądze, może obligacje na okaziciela? a może biżuteria albo kamienie szlachetne? Jeśli jest przede wszystkim złodziejem dzieł sztuki, to dlaczego nie weźmie tego, co schowano w samym pokoju?

Zmarszczyła brwi.

– Sforsowałbyś skarbiec?

– Nie, jeśli to, co byłoby w środku, nie stanowiłoby mojego celu. Ale twój bohater to nie ja.

– Nie, to nie ty. Myślę, że decyduje się na to, bo kradzież to w jego przypadku nałóg. Gdyby nie dobrał się do skarbcza, byłby jak spragniony alkoholik, który odmawia następnej kolejki.

– Istny cud, że jeszcze go nie złapano.

„Może”, pomyślała, „ale...”

– Miał szczęście – tak bywa – a to z kolei podsyca uzależnienie. Zabójstwo kobiety, którą wykorzystał, zmienia w jego przypadku wszystko. Lubił ją, ale spał z nią głównie po to, żeby zdobyć ptaka. Udaje mu się, ona zaś zostaje zamordowana. Wygląda to tak, jakby zabił ją ten, który dokonał kradzieży. On to zrobił – ukradł, ale jej nie zabił. To dla niego jak *Serce oskarżycielem* Poego. Ptak go prześladowuje, a odkrycie mordercy staje się ważniejsze niż uzależnienie.

– Więc do kradzieży dochodzi przed tym ptasim prześladowaniem i morderstwem.

– Chcę zacząć powieść właśnie od tego. – „Będzie więcej redakcji, więcej przepisywania”, pomyślała, „ale gra jest warta świeczki”. – Początkowo nie zamierzałam, uzmysłowiłam sobie jednak, że muszę od razu wyznaczyć mu właściwe miejsce w tej historii, przygotować jakoś czytelnika. Chcę tego wstępnego trzęsienia ziemi, tego napięcia, pokazania, kim jest. Tym samym wewnętrzne przemiany, jakich doświadcza, odkupienie, by tak rzec, i rozwiązanie będą odznaczały się tym większą siłą. Mam nadzieję – zastrzegła. – Następnie przedstawię ten kontrast, ukazę go w trakcie gotowania, ukazę jego restaurację, jego drugie życie.

– Jakież dziesięć lat temu z domu w Houston skradziono obraz Renoira, wart wówczas około miliona dolarów. To mógłby być dobry wybór w twojej książce. Większość ludzi słyszała o Renoirze, a niewykluczone, że i o samym płótnie. *Madeleine wsparta na lokciu z kwiatami we włosach*. Możesz obejrzeć obraz w internecie.

– Obejrzę. Ty go ukradłeś?

– Nie. To było nocne włamanie z użyciem broni. Nie posługuję się nią, nie terroryzuję ludzi.

– Ponieważ chcę, by wzbudzał sympatię – i dlatego, że widzę go bardzo wyraźnie – zapożyczę to z twojego złodziejskiego kodeksu. Nie krzywdzi ludzi, a to sprawia, że poczucie winy z powodu kobiety jest tym dotkliwsze. Wie, że kradzież spowodowała jej śmierć.

Booth wstał, kiedy mówiła, i wyjął z lodówki dużą torbę, a potem wziął miskę, garnek i jakąś gazetę, na którą wysypał z torby krewetki.

– Sprawiałaś ostatnim razem, że pomyślałem o Nowym Orleanie, więc przyrządzimy *étouffée* z krewetek.

Odłożyła notatnik, ale trzymała go dostatecznie blisko, by w każdej chwili móc coś zapisać.

– Nie tylko nigdy tego nie robiłam, ale też nigdy nie jadłam.

– Dzisiaj się to zmieni. – Obrzucił ją uważnym spojrzeniem. – To ładny sweter, więc na twoim miejscu podwinąłbym rękawy. Zaczniemy od obierania krewetek. One same wylądują w misce, a ich pancerzyki w garnku. Chodzi o to, żeby uzyskać wywar.

– Przygotujemy wywar z pancerzyków?

– Tak się właśnie to robi.

Kiedy obrał około dziesięciu krewetek, a ona w tym czasie tylko jedną, syknęła poirytowana.

– Zawsze obierałam je dopiero po ugotowaniu.

– Dasz sobie radę.

Poradziła sobie, tyle że wolniej niż on, a potem umyła starannie ręce.

Booth wyjął cebulę, seler i zieloną paprykę.

– Patrz, oto święta trójca kulinariów Nowego Orleanu.

– Będziemy się nad tym modlić? Albo do tego?

– Ani jedno, ani drugie. Pokroimy połówkę cebuli, kawałek selera i wraz z górną i dolną częścią zielonej papryki użyjemy tego do wywaru.

Musiała przerwać na chwilę, żeby wszystko zanotować.

– Jak powstaje dzięki temu wywar?

– Trzeba dodać wody, posiekać odrobinę czosnku, dorzucić kilka listków laurowych, a później gotować to wszystko razem jakieś czterdzieści pięć minut.

Pokroił cebulę i zaczął ją siekać, więc ona zajęła się selerem.

– Jak to się dzieje, że nie łzawią ci oczy, kiedy kroisz cebulę?

– Zawdzięczam to swej stalowej woli.

Krojąc, udzielał jej cały czas instrukcji, a wreszcie postawił garnek na piecyku.

Następnie kazał jej ugniatąć ciasto na chleb.

Starając się robić to jak najlepiej, spojrzała na niego z ukosa.

– Nigdy nie rozważałeś kupna chleba w sklepie?

– Wiesz, jaka jest różnica między francuskim chlebem kupionym w sklepie a tym domowym? Zasadnicza. Masz dobrą rękę do ugniatania ciasta. Uformuj kulę, a potem pozwolimy jej urosnąć, a sami zajmiemy się zasmażką.

– Znam to określenie, ale co ono dokładnie oznacza?

– Mąkę i tłuszcz.

– Mniam.

Uśmiechnął się.

– Masz cholerną rację, *cher*. Brązowa zasmażka do *étouffée*? – Wlał – bez odmierzania – olej do drugiego garnka, wyjął trzepaczkę i zaczął dodawać mąki. – Musisz to mieszać cały czas na malutkim ogniu, bez przerwy. Niepotrzebne nam grudki.

– Nikt nie lubi zasmażki z grudkami.

– I lepiej tego nie przypal.

„Zamów odpowiednie produkty”, pomyślała, „i zrób sobie kanapkę; to też jedzenie”.

– Jak długo trzeba to mieszać?

– Dziesięć, piętnaście minut. Aż nabierze jedwabistej konsystencji.

Doszła do wniosku, że gotowanie na modłę Bootha to odpowiednik dnia spędzonego na siłowni. Jej mięśnie dwugłowe i trójgłowe, a także ramiona gimnastykowały się porządnie w każdą cholerną niedzielę.

– A jak już człowiekowi odpadają z wysiłku ręce?

– To dostaje się piękną, bogatą w smak zasmażkę. Mieszaj.

– Mój bohater-szef ma eklektyczną restaurację – rzekła, dzielnie próbując swych sił w mieszaniu. – Więc potrafię sobie wyobrazić, jak to robi. – Nachyliła się, żeby zajrzeć do drugiego garnka. – Zaczyna chyba wyglądać jak prawdziwy wywar.

– Bo to jest wywar. Mieszaj dalej.

– Dobra, dobra. Wyrobię sobie mięśnie dzięki temu ugniataniu, ubijaniu i mieszaniu. Och, Booth, tak przy okazji, widziałam w zeszłym tygodniu twoją próbę generalną.

Kucnął, żeby wyjąć z lodówki butelkę wina, nagle znieruchomiał i spojrzał na nią.

– Naprawdę?

– Wybrałam się do szkoły, było już po lekcjach, pomyślałam sobie, żeby zobaczyć co i jak, i usłyszałam śpiew. Ćwiczyliście *A lot of livin' to do*. Twój podopieczni są naprawdę dobrzy, Booth.

– Radzą sobie.

– Usiadłam w tylnym rzędzie... no cóż, trwało to tak długo, jak wymaga tego mieszanie tej zasmażki, i naprawdę mi się podobało. Nie miałam pojęcia, że sam opracowałeś choreografię.

– Nie stać nas na zatrudnienie kogoś z zewnątrz, a ja mam to szczęście, że moi uczniowie i ludzie z ekipy technicznej umieją tańczyć. Bardzo mi pomogli.

– Wyglądało, że świetnie się przy tym bawili.

– Inaczej nie miałoby to sensu. Pracują ciężko, więc zabawa jest ważna. – Otworzył wino, wyjął kieliszki. – Zajmę się wszystkim, a ty możesz zrobić sobie krótką przerwę, zanim zabierzemy się do warzyw.

– Czyli będzie siekanie.

– Tak. Resztki cebuli, zielona papryka, kilka jalapeños, więcej selera, więcej czosnku.

Wzięła kieliszek z winem i oparła się o blat szafki, gdy w tym czasie on kontynuował zmagania z zasmażką.

– Uczestniczyłam dwa dni temu w spotkaniu klubu książki, to znaczy klubu czytelniczego Ceski. Dobrze się bawiłam wbrew przewidywaniom. Nie lubię tak naprawdę zajmować się analizą jakiejś książki, zwłaszcza własnej. Ale to sympatyczna i dość interesująca grupa kobiet.

– Lorna próbowała mnie w to wciągnąć. „Potrzebujemy mężczyzny, Booth. Bądź tym mężczyzną” – powiedział, naśladowując bezbłędnie ton i głos Lorny. – Lubię rozmawiać o książkach, ale takie czytanie z nakazu? Mam od tego szkołę.

– Była tam też Tracey. Widziała tu mój samochód zeszłej niedzieli. Wspomniała o tym.

Zerknął na nią.

– To jakiś problem?

– Nie, powiedziała jej, że pomagasz mi przy pisaniu książki. – Wskazała garnki. – Tego rodzaju rzeczy. Nie uświadamiałam sobie, że byliście kiedyś parą.

– Nie do końca parą. Lubiliśmy się. To wszystko. Wciąż się lubimy. Poszliśmy kilka razy do łóżka. To jakiś problem?

– Oczywiście, że nie.

– To dobrze. Siekaj dalej.

Siekała.

– Wiesz, niektóre z tych czynności są jak dla mnie dziwnie kojące. Może nie jest do klasyczny zen, ale koi. To więcej pracy, niż poświęciłabym na przygotowanie własnego posiłku, ale mogłabym właściwie spróbować czegoś prostego i zaprosić tatę i Deborah na kolację.

– Zaprosić? Myślałem, że wciąż mieszkasz z ojcem.

Siekała, śmiejąc się jednocześnie.

– Boże, Booth. Jestem po trzydziestce! Mam własny szeregowiec. Własną przestrzeń. Widuję tatę cały czas, ale wyprowadziłam się od niego już lata temu. Przez chwilę, a dokładnie pięć minut, bawiłam się myślą, czy nie pójść w ślady Zeda i R.J. i nie spróbować Nowego Jorku. Wiedziałeś, że się tam przenieśli latem, zaraz po studiach?

– Widziałem Zeda kilka lat temu na Broadwayu.

– Widziałeś?! Rozmawialiście?

Pokręcił głową.

– Lepiej unikać kłopotliwych pytań. Ale dobrze sobie radził – grał Billy’ego Flynna we wznowieniu *Chicago*. Utrzymujecie kontakt?

– Sporadycznie. Wiem, że R.J. właśnie się zaręczył. Nie wspiął się tak wysoko jak Zed, ale grywa poza Broadwayem i na prowincji.

– A co z Hayley?

– Mieszka w Los Angeles. Jest scenarzystką. Bardzo jej się tam podoba. Wyszła w zeszłym roku za mąż.

– Może widziałem coś, nad czym pracowała?

– Zajmuje się serialami na platformach streamingowych. *Cold Play*. Drugi sezon.

Wydawało się normalne, że rozmawiają o ludziach, których oboje znali albo znali niegdyś. Nie było w tym nic drażliwego; sprawiało raczej zadowolenie.

– Obejrzę to. Teraz trzeba wrzucić warzywa. Nie czosnek, ale całą resztę.

Wziął drewnianą łyżkę i mieszał, kiedy dodawała warzywa. Stali blisko siebie w ciepłe dobywającym się z garnków.

– Musi się pogotować kilka minut, potem dodamy czosnek i zostawimy na ogniu przez dwie minuty.

– Nie płacze ci się to wszystko w głowie?

– Jest w niej mnóstwo przegródek. Wyrabiaj ciasto na chleb... pamiętasz, jak się to robi?

– To moja ulubiona czynność poza jedzeniem.

– Wyrabiaj, następnie podziel ciasto, zakryj je i zostaw na desce.

Było to... ciekawe, jak doszła do wniosku, i dające zadowolenie – przynajmniej na tyle, by mogła obdarzyć tym uczuciem swojego bohatera.

– Nigdy nie pokocham gotowania, ale rozumiem, dlaczego inni je kochają. Wszystkie te zapachy, kolory, faktury; to, jak się dotyka dłońmi ciasta.

Pokazał jej, jak dodać wywar do garnka, a później uformować chleb przed ponownym wyrośnięciem.

Usiadła ze swoim winem.

– Ta potrawa wymaga wysiłku – westchnęła.

– Jest tego warta. Niedługo będziesz podpisywać książkę. Termin jest coraz bliżej.

– Za blisko.

Usiadł na chwilę obok niej.

– Nie lubisz tego?

– Trudno powiedzieć, że nie lubię. Zawsze czuję się trochę dziwnie, tak przynajmniej było na początku. To w gruncie rzeczy wspaniałe móc spotykać się z czytelnikami. Z ludźmi, którzy zasiadają gdzieś, by przeczytać z uwagą to, co się napisało. Kończy się na tym, że czuję się podbudowana, ale i wyczerpana. Lubię spokój i ciszę – wyznała. – Co jeszcze dziwniejsze, ale tłumaczy ostatecznie, dlaczego nie wyjechałam do Nowego Jorku, Los Angeles czy gdzie indziej. Podróże są wspaniałe. Tak. Zwiedzanie, doświadczanie, wszystko to super. Ale lubię wiedzieć, że gdzieś tam czeka na mnie spokój. A ty? Dlaczego nie przeniosłeś się na przykład do Nowego Jorku? Wydaje się, że mógłbyś tam zniknąć, jeśli taki jest cel twojego tymczasowego urlopu?

– Też lubię spokój. – Przeniósł spojrzenie za oszklone drzwi na tyłach kuchni. – Lubię

patrzeć na coś takiego zamiast na samochody czy ulicę, ludzi spieszących z jednego miejsca na drugie.

Tak jak i ona, o dziwo.

– Jakim cudem staliśmy się tacy nudni, Booth? Choć przyznam, że to, czym się zajmujesz, nudne nie jest.

– To zajęcie, to praca, to wybór kariery. – Zbył te słowa wzruszeniem ramion. – I wymaga mnóstwa spokoju. Jak pisanie.

– Myślę, że to właściwie jedyne podobieństwo.

– Nie wiem. – Rozsiadł się i wyciągnął nogi. – Człowiek planuje, dokonuje obliczeń, ma w głowie jakiś cel, wprowadza konieczne korekty i pracuje sam. A teraz zrobisz jeszcze jedną glazurę.

– O Boże.

– Dodamy krewetki, przygotujemy trochę ryżu, upieczemy chleb. A później uruczmy się bardzo dobrym posiłkiem.

Rozdział 22

Nie kłamał.

Miranda skosztowała trochę, podniosła palec do góry, znowu skosztowała.

– To jest doskonałe. Miło szczypie w język. I ładnie wygląda. – Spróbowała chleba i westchnęła. – Okej, może miałeś rację, że wszystko sprowadza się do różnicy.

– Ty to przyrządziłaś.

– Pomogłam tylko.

– Nie, to ja pomogłem – sprostował. – Pracowałaś na każdym kolejnym etapie. Teraz będziesz chyba mogła pokazać swojemu szefowi kuchni, jak przygotować takie danie.

Jedząc, zastanawiała się nad swoim bohaterem, nad jego wadami i nieco chwiejną moralnością.

– Pociąga go, fascynuje zmysłowość gotowania. To najważniejsze, nawet w chaosie komercyjnej kuchni. Dym, para, skwierczenie, aromaty. A złodziejski proceder to biznes – rodzinny biznes i nałóg. Gotowanie natomiast jest pasją. Może pod koniec zaprzestanie wiadomego fachu i przejście na emeryturę albo przynajmniej spróbuje to zrobić. Sama jeszcze nie wiem. – Podniosła oczy na Bootha. – Myślałeś o tym kiedykolwiek? Nie jest to w twoim przypadku rodzinny interes, ale mógłbyś w pewnym sensie powiedzieć, że w tym dorastałeś.

– Tak, zastanawiałem się nad tym podczas studiów. Teraz mam dłuższą przerwę, niż planowałem, i prowadzę takie, a nie inne życie.

Chodziło jej o książkę, nie dało się jednak zaprzeczyć, że chciała po prostu wiedzieć ze względu na niego.

– Czy to trudne, a może nawet dezorientujące? Skończyć nagle z jednym życiem i zacząć inne?

– Nie wiem. – Nie mógł powiedzieć, by się nad tym zbyt głęboko zastanawiał, ale... – To głównie granie na scenie, i żeby wejść w rolę, naprawdę cechować się jakimś charakterem, trzeba się nim stać. I czasem jest to wyzwalające. Swoista *tabula rasa*, można zobaczyć, co zostanie napisane na następnej tabliczce.

– To interesujące. – Uniosła widelec. – Przypuszczam, że każdy w którymś momencie pragnie wytrzeć swoją tabliczkę do czysta, zacząć od nowa, być kimś innym, robić i mieć coś innego. – Zamyślona zgarnęła z talerza porcję *étouffée*. – Tak chyba zrobiła moja matka.

– To wciąż doskwiera?

– Nie, nie, raczej nie. Staram się to traktować jak niezbyt dokuczliwe otarcie. Kiedy akurat czuję się z tym paskudnie. Ale tak naprawdę to tylko część mojej historii.

– Wciąż jest na Hawajach?

– Owszem, choć już nie z facetem, z którym odeszła.

– Biff – przypomniał, a ona parsknęła śmiechem.

– Tak. Nie ma już Biffa. Rozstali się jakieś pięć, sześć, siedem lat temu, sama nie jestem pewna. Najwidoczniej zrobił jej to, co ona zrobiła tacie, ale zabrał ze sobą większość ich pieniędzy.

– Miły gość.

– No cóż, dostajesz to, za co płacisz, by tak rzec. Wiem o tym wszystkim, bo się skontaktowała z tatą i błagała go o pożyczkę. Powiedziałam „nie”, ale on uchylił mój sprzeciw.

– Matka dała mu ciebie.

Skinęła głową nad kawałkiem chleba.

– Tak właśnie powiedział i zgasił wszelkie moje obiekcje. Tak czy inaczej, przesłał jej pieniądze – „żadna pożyczka, proszę, bierz” – żeby mogła znów stanąć na nogi. Prowadzi teraz salon tatuażu, sama ma wytatuowane ręce, powiększyła sobie piersi i znalazła chłopca do zabawy, chyba w moim wieku. – Napiła się wina i uśmiechnęła nad brzegiem kieliszka. – Media społecznościowe. Nie mogłam się powstrzymać.

– Czyli zaczęła zapisywać następną tabliczkę.

– Tak... To musi być trudne... być co kilka lat rozczarowanym własnym życiem, nigdy nie móc znaleźć w nim niczego wartościowego. Powinnam jej właściwie współczuć, ale nie jestem na tyle wyrozumiała.

– I tak nie miałyby to dla niej znaczenia – zauważył. – Po co się więc wysilać?

– Doskonała uwaga. Z tobą sprawa wygląda zgoła inaczej. W twoim przypadku wartość ma to, czym się zajmujesz. Nie ulega wątpliwości, że jesteś szczęśliwy w życiu, jakie teraz prowadzisz.

– Jasne. Po części dzięki temu, gdzie ostatecznie wylądowałem i gdzie znalazłem przypadkiem ten dom, zanim jeszcze zaklepałem sobie pracę. Niekiedy jest to prawdziwy kierat, trzeba się zmagać z dzieciakiem, który jest zdecydowany spieprzyć sobie życie albo twoje, gdyby mu się udało. I wtedy myślę sobie, hej! mógłbyś siedzieć na tarasie willi na Korfu, patrzeć na Morze Jońskie i sączyć ouzo.

Dziwne, ale choć miał na sobie starą bluzę od dresu i złachane dzinsy, potrafiła go sobie tam wyobrazić.

– Wróciłbyś następnego dnia.

– Bo następny dzień roznieca jakąś iskierkę i widzisz, naprawdę widzisz, że coś zaskakuje w głowie jakiegoś dzieciaka, widzisz, jak otwierają się drzwi. Albo widzisz grupkę dzieciaków na scenie, jak chcą coś osiągnąć. I wiesz, że niektóre zamierzają przy tym wytrwać. – Wzruszył ramionami. – A Morze Jońskie nie zniknie.

– Nigdy nie byłam w Grecji. Spodobałaby mi się?

– Mnie się spodobała. Kultura, sztuka, starożytności, jedzenie, wszystko.

– Jestem pewna, że nauczyłeś się języka.

– Dość, by się dogadać.

– Powiedz coś po grecku.

Spojrzał jej w oczy – w te oczy morskiej wiedźmy.

– *Echeis ta matia mias thalassias magissas.*

– Brzmi jak coś więcej niż tylko proste słowa, które służą temu, by się dogadać. Co konkretnie powiedziałeś?

– „To miłe mieć towarzystwo przy dobrym posiłku” – skłamał.

– Owszem. W domu w takim dniu otworzyłabym prawdopodobnie puszkę zupy i dorzuciła sałatkę z supermarketu.

Skrzywił się.

– To rani moje serce, wierz mi.

Uniosła brew.

– Mogłabym odrobinę zaszaleć i spryskać kilka krakersów dipem z topionego sera.

– Przestań.

– Szybko, poręcznie, smakowicie. Tak czy owak, opowiedz mi proszę o jednym ze swoich wyczynów. Nie, nie o jakimkolwiek – zastrzegła. – O tym pierwszym. Wtedy, kiedy się włamałeś do domu i wszedłeś do środka.

Wiedział, że Miranda znowu ma na myśli swoją książkę, i powiedział sobie, że to zaakceptuje.

– To było niezłe, tak szczerze mówiąc. Kiedy sprzątałyśmy z Mags w jednym domu, zjawiała się raptem sąsiadka klientki, obie siedziały w jadalni, popijały kawę i rozmawiały. Szoruję podłogę w kuchni, a tu obok babka narzeka i żartuje sobie z mężowskiej kolekcji znaczków. Twierdzi, że facet ma na tym punkcie fioła, i podaje niebotyczną sumę, jaką zapłacił za pewien znaczek w swoich zbiorach. – Podniósł kieliszek. – Nie zaprzątałem sobie wówczas głowy znaczkami, ale ten akurat przyciągnął moją uwagę.

– Ile miałeś wtedy lat?

– Około dwunastu. Zastanawiam się nad tym, kiedy one rozmawiają o zbiorce pieniędzy na cele charytatywne, więc ofiarowuję się pomóc sąsiadce przenieść rekwizyty aukcyjne z jej domu do samochodu.

– Więc wszedłeś do jej domu.

– Pomogłem jej z tymi pudłami, przyjrzałem się przy okazji alarmowi. Umiałem sobie z nim poradzić. W gruncie rzeczy obejrzałem też gabinet męża. Ptaszek jakby sam wpadł mi w ręce.

– W dwunastoletnie ręce.

– Tak, dwunastoletnie. Nie spieszylem się. Sąsiedzi mieli plany wakacyjne, więc zaczekałem do chwili, kiedy się upewniłem, że w domu nikogo nie ma. Ładny wielki budynek, dość ładne i przede wszystkim spokojne sąsiedztwo. Pokonanie zamków i alarmu nie wymagało zbyt wielkiego wysiłku. – Milczał przez chwilę, przypominając sobie to wszystko, każdy najdrobniejszy szczegół. – Wydawało mi się to niewiarygodne. Nie ma sensu twierdzić, że było inaczej, kiedy tak stałem tam w ciemnym, pogrążonym w ciszy domu, gdzie nie powinno mnie w ogóle być. Wiedziałem, że mogę go przetrząsnąć, wziąć wszystko, co chcę, i nikt by się nigdy nie zorientował.

– I to właśnie zrobiłeś?

– Co? Nie, nie zrobiłem.

– Dlaczego? Miałeś dwanaście lat i mogłeś wziąć wszystko.

– Bo to tak nie działa, przynajmniej nie w moim przypadku. Sama świadomość, że mogłem to zrobić, była magiczna. Cel roboty stanowiły znaczki. Tak czy siak, znalazłem się w jego gabinecie i zacząłem przeglądać klasery. Skatalogowałem je nadzwyczaj starannie. Wziąłem to, co zaplanowałem wziąć i... nagle rozbłysło światło, a zaraz potem rozległa się ogłuszająca muzyka.

W tejże chwili Miranda dosłownie podskoczyła, po czym roześmiała się z samej siebie.

– Okazało się, że wcale nie wyjechali na wakacje?

– Nie, wyjechali, nie wiedziałem tylko, że ich syn się urwał z uczelni, żeby urządzić w domu przyjęcie. Przycupnąłem pod biurkiem w gabinecie tego faceta, a do kuchni wchodzi przez oszklone drzwi ten jego synalek. I jest na dobitkę z dziewczyną, a ona ma na sobie tylko skąpą bieliznę. Nalewają sobie wina i zaczynają seksownie tańczyć. Struchlałem.

Miranda tak się zaczęła śmiać, że w końcu złapała się jedną ręką za brzuch, a drugą przysunęła do twarzy.

– O Boże! I co zrobiłeś?

– No cóż, patrzyłem tylko i próbowałem jednocześnie wykombinować, jak zwiąć z tymi znaczkami – ale głównie chowałem się w ciemności i czailem. Później zaczęła się rozbierać, wciąż kręcąc tym swoim cholernym tyłkiem. Powiedzmy, że doznałem dość przemożnej reakcji.

Znowu parsknęła niepowstrzymanym śmiechem.

– Nie wątpię.

– Nigdy wcześniej nie widziałem gołej dziewczyny na żywo. Gość zdjął bokserki, a potem zaczęli się migdalić na kuchennej podłodze. Orientowałem się, jak to jest i na czym polega, ale nigdy nie widziałem tego na własne oczy.

Zachwycona oparła się łokciem o stół i przywarła brodą do dłoni.

– Znaczki albo porno na żywo. Co robi w takiej sytuacji chłopak w okresie dojrzewania?

– Ha! Trudny wybór, ale musiałem stamtąd czmychnąć, dopóki byli jeszcze zajęci sobą, wziąłem więc znaczki, wyczołgałem się stamtąd, potem popełniłem jeszcze kawałek, zresetowałem alarm i zwiąłem. – Wstał, żeby sprzątnąć ze stołu. – Nigdy się nie skapowali, kto to zrobił, uznali po prostu, że ktoś się obsłużył podczas jednego z przyjęć urządzanych przez synalka. A ja spłaciłem dzięki tym znaczkom mnóstwo rachunków, wydałem też trochę na edukację.

„W wieku dwunastu lat”, pomyślała, pomagając mu sprzątać.

– Jednym słowem przestałeś być odtąd kieszonkowcem?

– Nie do końca. Po prostu zdywersyfikowałem działalność.

Zaczęła wkładać naczynia do zmywarki, co było sygnałem, że ich niedzielna sesja dobiega końca. Jeśli tego żałowała choć trochę, to było to naturalne.

– Możesz mi pokazać, jak to zrobiłeś z moim zegarkiem? Jak mi go zdjąłeś? Tak, że nic nie poczułam?

– Wymaga to lekkiego i szybkiego dotknięcia. – Musnął dłonią jej nadgarstek. – O, tak.

Podniosła rękę.

– Wciąż mam zegarek.

– Ale już nie to. – Pokazał jej naszyjnik. – Ładny kamień księżycowy. Odwrócenie uwagi – wyjaśnił jej. – No i lekki, szybki dotyk.

Najpierw rozdziawiła usta, potem parsknęła śmiechem.

– To śmieszne, a ja wcale nie byłam rozkojarzona.

– Wystarczająco. Chcesz to prawdopodobnie odzyskać. – Włożył jej na szyję naszyjnik

i zapiął go od tyłu. Jego palce musnęły przy tym jej kark.

Jeśli pod wpływem tego doznania zamknęła oczy, tylko na chwilę, to wydawało się to naturalne.

– Tak, dzięki. To moja nowa ulubiona biżuteria.

– A co powiesz na to?

Odwróciła się i zobaczyła swój zegarek kołyszący się w jego palcach.

– Booth! W porządku, to już nie jest śmieszne, tylko tajemnicze. – Wzięła od niego zegarek i zatrzasnęła bransoletkę na nadgarstku. – Mógłbyś dawać pokazy magicznych sztuczek.

– Nie chowam niczego w rękawie. Prócz... – Wysunął stamtąd jej naszyjnik. – Tego.

Jej oczy błyszczały i rozbawieniem, i zdumieniem.

– Będę teraz na ulicy omijała każdego szerokim łukiem. Ciotka cię tego nauczyła?

– Tak, ale głównie podstaw fachu. – Dał jej palcem znak, by znowu się odwróciła, i uśmiechnął się, kiedy zakryła dłonią zegarek na swoim ręku. – Na jej obronę mogę powiedzieć, że była to dla niej zabawa, nie szkolenie. No, masz już wszystko. Kamień księżycowy i ten bardzo ładny Baume & Mercier. To zachowam jako honorarium za lekcję.

Pokazał jej kolczyki, a ona złapała się za uszy.

– Boże!

– Drut francuski. Łatwa zdobycz.

– Zapamiętam to – powiedziała i wyciągnęła rękę.

On jednak przysunął się do niej jeszcze bliżej i założył jej najpierw jeden, potem drugi kolczyk.

– Do twarzy ci w nich.

– Dzięki. – Poczowała, jak zamiera w niej serce i pojawia się tęsknota. – Zagradzasz mi drogę, Booth.

– Przepraszam. – Cofnął się i wsunął te swoje sprawne dłonie do kieszeni. – Dokończę sprzątanie. Zapakuję ci trochę jedzenia do domu, żebyś dała sobie spokój z chipsami.

Podszedł do wyspy i wziął pojemnik. Miranda nie ruszyła się z miejsca.

– To cały ty. To jeszcze jedna rzecz tak dla ciebie typowa. Akceptujesz odmowę i nie naciskasz. Nawet jeśli oboje wiemy w tej chwili, że odrobina nacisku dałaby ci przewagę.

– Nie chcę naciskać dla uzyskania przewagi. – Popatrzył na nią, jakby przenikał ją wzrokiem. – Nie z tobą.

– Nie mogę powtórzyć tamtego błędu.

Po jej słowach w nim nagle jakby rozpalila się iskra, a oczy złagodniały.

– To nie był błąd, Mirando, i niech mnie diabli, jeśli tak to określasz. Możesz powiedzieć, że błędem było to, jak załatwiłem sprawę, choć za Boga nie wiem, co innego wówczas mógłbym uczynić. Ale ten czas spędzony z tobą, te dwa ostatnie dni, to był najlepszy weekend w moim życiu, nigdy wcześniej ani później nie doświadczyłem niczego takiego. To było doskonałe. Nie jakiś cholerny błąd.

Jego gniew wywołał z kolei jej gniew.

– Mogłeś powiedzieć mi prawdę! To właśnie mogłeś uczynić.

– Czyżby? Więc w tym twoim scenariuszu mówię: „hej, Miranda”, i mówię tak do dziewczyny, która spędziła ze mną niesamowity weekend i której ojciec jest nie tylko jednym z moich ulubionych profesorów, ale też tym, który zaprosił mnie do swojego domu, więc mówię: „wiesz, poznaj pewien zabawny fakt dotyczący mojej osoby: jestem złodziejem, a te świadectwa, dzięki którym dostałem się na uniwersytet? Sfałszowane. A teraz jeszcze pewien stuknięty bogaty facet, dla którego wykonałem kilka lat temu pewną robotę, znowu wyskoczył jak filip z konopi. Chce, żebym wyciął dla niego następny numer, bo jak nie, to skrzywdzi moją ciotkę, może ciebie, może kilkoro moich przyjaciół”. Więc co teraz? – Odsunął pojemnik z jedzeniem i zaczął się przechadzać nerwowo po kuchni. – Zawiadomić policję? Pieprzone FBI? I co bym im powiedział? Ten facet chce, żebym ukradł jakąś figurkę? Och, dlaczego ja? Bo tym się właśnie zajmuję. Moje nazwisko? Och, no cóż, a które konkretnie?

– Może masz rację. Nie wiem. Może mogłabym pomóc. Ty też nie wiesz.

– Ty nie wiesz, ja nie wiem. Wiem jednak, że gdybym ci powiedział, to LaPorte miałyby jeszcze więcej powodów do skrzywdzenia cię. Z tego samego powodu nie powiedziałem nic Mags,

dopóki się wszystko nie uspokoiło.

Poczuła, jak jej żal znika bez śladu.

– Nie powiedziałaś swojej ciotce?

– Dopiero wtedy, kiedy się upewniłem, że jest okej, a ja byłem w drodze do Francji. Ona też nie okazywała zadowolenia, ale co było robić? Na szczęście nic jej już nie groziło.

Nie wiedziała, w jaki sposób zmienia to postać rzeczy choćby trochę. „Ale zmieniało, tak”, pomyślała, „bo kochał swoją ciotkę, zawsze obecną w jego życiu”.

– Jak mogłeś jej powiedzieć, skoro wyjechałeś?

– Były już komórki na kartę. Załatwiłem takie telefony jej i Sebastienowi. Żadnych mejli, listów, jakiegokolwiek komunikacji. Nie zobaczyłem jej przed upływem roku. Przyjeżdżała zawsze w tłusty wtorek do Nowego Orleanu, więc wsiadła do prywatnego samolotu, który dla niej wynająłem. Obiecaliśmy sobie kiedyś, że będziemy co roku spędzać ze sobą kilka dni, bez wyjątków. Pierwszego kwietnia albo parę dni wcześniej.

„Jego jedyna rodzina”, pomyślała. „Jedyny łącznik z domem”.

– I udaje wam się dotrzymywać obietnicy?

– Tak, udaje się. Dobra...

Podszedł znowu do wyspy, dokończył napełnianie pojemnika. Jego ton tchnął już teraz spokojem, jakby ten wcześniejszy gniew i wybuch emocji były tylko złudzeniem.

Uświadomiła sobie naraz, że Booth celowo się wstrzymuje. Nie chciał normalnie ujawniać swej prawdziwej natury.

A ona sama... czyż nie postępowała identycznie?

– Dość już chyba masz materiału do swojej książki – zauważył z przekąsem.

– Prawdopodobnie.

– Będzie nam obojgu łatwiej, jeśli skończymy z tymi niedzielami.

– Prawdopodobnie – powtórzyła.

Podał jej pojemnik. Wzięła go i odstawiła na bok. „Dość tego”, pomyślała. „Dość udawania, dość tych masek, dość zaprzeczania – z obu stron”.

– Dlaczego nie pytasz o to, czego ja chcę?

– A czego chcesz?

– Może chciałam, żebyś trochę bardziej się narzucał, nie ponosiłabym wówczas za to odpowiedzialności, tylko że... ta chwila już przeminęła.

To powiedziawszy, zbliżyła się do niego i położyła mu dłonie na policzkach, po czym dotknęła leciutko jego warg swoimi.

Jej serce drgnęło, kiedy popatrzył na nią tak, jak tamtego pierwszego dnia na zajęciach, tysiąc lat wcześniej.

Intensywnie, nieufnie, z odrobiną podenerwowania.

– Może chcę odzyskać, choćby tylko dzisiaj, to, co nam ukradł niegdyś LaPorte. Kochałem cię tak, jak się kocha w wieku dwudziestu lat. Bez ograniczeń, wszechogarniająco, z przyszłością, która jawi się tylko w pięknych barwach. Może chcę odzyskać odrobinę tego wszystkiego, choćby tylko dzisiaj.

– Myślę, że jesteś mi coś winien. Myślę, że chcesz mi wynagrodzić jakoś spłowienie tamtych pięknych barw. – Znowu go pocałowała i poczuła, jak Booth wstrzymuje się, a później go przyciągnęła. – Wynagrodź mi to... – wymamrotała.

Objęła go za szyję, po czym jednym ruchem podciągnęła się i oplótła go nogami w pasie.

– Zanieś mnie na górę. – Zakręciło jej się w głowie, jej pocałunki stały się niecierpliwsze. – Zabierz mnie do łóżka, bo inaczej zrobię to z tobą po swojemu, tu, na szafce kuchennej.

– Nie wolno ci tego potem żałować. Nie wolno ci tego nazwać błędem.

– Jesteśmy teraz dorośli. – Przyłgnęła ustami do jego szyi, kiedy wynosił ją z kuchni. – To tylko seks.

Zatrzymał się, odchylił głowę i popatrzył jej w oczy.

– Jesteśmy dorośli i to nie jest tylko seks.

Pokonana przycisnęła czoło do jego ramienia. Przyznanie się do tego nie było błędem, ale z pewnością ryzykiem. Postanowiła je podjąć.

– Nie, nie jest. – Robiła to, co pragnęła zrobić już od tygodni. Wsunęła mu palce we włosy.

– Chcę cię tylko prosić o jedno.

– Jestem skłonny przystać na twoją prośbę.

– Nie odchodź ponownie. Ja też nie odejdę. Jeśli nastąpi czas, by jedno z nas odeszło, nie odejdziemy. Nie na zawsze.

– Niech będzie. – W sypialni wypuścił ją z objęć, a kiedy znów stanęła na własnych nogach, rozpuścił jej włosy. – Jeśli zmienisz zdanie... znajdą moje pogruchotane kości na ziemi pod oknem.

– Nie mogę ponosić za to odpowiedzialności. – Podciągnęła mu koszulę, potem przesunęła dłońmi po jego piersi. – Zachowujesz formę, widzę.

– Brzuchaty złodziej to złodziej powolny. Boże... te twoje włosy. – Teraz, kiedy były rozpuszczone, zanurzył w nich z lubością twarz. – Tęskniłem za ich widokiem, za ich dotykiem. – Patrzając jej w oczy, zdjął z niej sweter. – Za twoim widokiem, za twoim dotykiem.

Przyciągnął ją do siebie i wreszcie przylgnął do niej ustami i pozwolił sobie brać.

To, czego chciał, wszystko, czego chciał. Marzenie ożyło, marzenie, które krążyło w jego zmysłach, aż wreszcie wypełniło je bez reszty.

Wraz z powolnymi, przepyszными pocałunkami, kiedy jej usta poddawały się jego ustom i czerpały z nich, przeszłość i teraźniejszość złączyły się w coś odrębnego, coś, co należało tylko do nich.

Kwiat, tak długo uspiiony, w końcu się otworzył.

Położył ją na łóżku, splótł z nią palce. By przedłużyć tę chwilę, obsypywał pocałunkami jej czoło, powieki, policzki. A potem, gdy jej wargi znów przywarły do jego warg, zatonął w niej.

Wszystko się w niej jakby obudziło, po kocjemu wyprężyło, zapragnęło. Przyszło jej naraz do głowy, że wcale nie spała. Miała swoje życie, kochanków, pracę. Ale wraz z tym jednym pocałunkiem zdało jej się, że jakaś jej część, coś żywiołowego ocknęło się znowu.

Trzymał jej dłonie w swoich, podczas gdy jego wargi błędziły po niej, a poczucie bezradności, które nią zawładnęło, które ją uwiodło, które drwiło z niej, zmusiło ją do uległości.

– Śniłem o tobie. – Jego język wśliznął się pod jej stanik, by ją odszukać i nią wstrząsnąć. –

O tobie, o tym, a potem budziłem się otoczony wonią twoich włosów. – Wodził wargami, zębami, językiem po jej szyi. – A teraz tu jesteś. Jak gdyby nigdy nic. Torturowałaś mnie, siedząc albo stojąc w mojej kuchni, zadając mi te wszystkie pytania.

– Wiem. – Pozbawiona teraz tchu, lecz w cudowny sposób. – Chciałam to robić.

– I udało ci się. – Uniósł jej dłoń, skubnął wargami jej kłykcie. – Mam prawo do małego rewanzu.

Jej biodra wygięły się w łuk, serce biło ogłuszająco.

– Nie krępuj się.

– Nie zamierzam.

Uwolniwszy jej dłonie, błyskawicznym ruchem rozpiął jej stanik. Wyciągnęła do niego ręce, kiedy go z niej ściągnął, ale on znów uwięził jej dłonie w uścisku. Tym razem przytrzymał jej ręce nad jej głową.

– Nie krępuję się.

Jej serce uderzało urywanym rytmem pod leniwą pieszczotą jego ust. Czy zapomniała... jak mogła zapomnieć, że potrafił brać i brać bez końca i jednocześnie obdarzać tak bolesną rozkoszą?

Rozkosz z wolna narastała, aż w końcu ona sama zaczęła drzeć, a potem jęczeć niepostrzeżenie. Doprowadził ją na szczyt – jak niegdyś – samymi ustami.

Poczuł, jak ona to wznosi się, to spada, krótko przed tym, jak uwolnił jej dłonie, by jego własne mogły dotykać. Całą tę ukochaną skórę, tak gładką, teraz lekko wilgotną od żaru, który dawali sobie nawzajem.

Wszystkie te słodkie, subtelne krągłości i nieprzytomnie długie kończyny, których mógł w końcu dotykać, zgłębiać i na nowo posiadać.

Jej dłonie przesuwają się po nim niecierpliwie, podczas gdy ciało poruszało się pod nim rytmicznie i ofiarowywało wszystko, czego chciał.

Wreszcie uklękli oboje na łóżku, rozbierając pospiesznie jedno drugie.

Uwolniła śmiech z krtani.

– Zdejmij te przeklęte buty! – zawołała. – I dokończ to, co zaczęłaś.

– Wciąż na ciebie patrzę.

– Popatrzysz sobie później, a teraz dokończ. Booth! Och, Booth! – powtarzała w uniesieniu, oplatając go tymi nieskończone długimi nogami, by wziąć go w siebie.

Kiedy jej głowa opadła do tyłu, paznokcie wbiły się w jego ramiona. A on wciąż patrzył jak zahipnotyzowany na jej rozsypane włosy, na żądzę malującą się w oczach, gdy brali się nawzajem.

Wszystko, czego pragnął, teraz go otaczało. To marzenie, które od tak dawna zdawało się być poza jego zasięgiem, teraz trwało ciepłe i wibrujące w jego ramionach. Bez względu na cenę, oddawał się temu, oddawał się jej.

Nie było w nim ani krzty żalu.

Nie tuliła się do niego jak kiedyś. Nie była już tą młodą, naiwną dziewczyneczką, a z pewnością nie kobietą, która wierzy, że miłość w jakiś czarodziejski sposób wytycza ścieżkę wiodącą ku wszystkiemu.

A on nie był już słodkim i nieśmiałym chłopcem, w którym zakochała się na zabój, tylko mężczyzną o wiele bardziej złożonym i skomplikowanym.

Leżąc obok niego w łóżku, musiała przyznać, że nadal ją fascynuje.

Ta szczerza ocena – ona zaś pragnęła szczerości – potęgowała podniecenie i powab. Jednak te reakcje nie oznaczały miłości, która, nawet jeśli wytyczała jakąś ścieżkę, to wciąż była wyboista i pełna przeszkód.

„Więc wszystko w porządku”, jak sobie powiedziała.

Splótł z nią dłonie. Zamknęła oczy, starając się polegać na swoich siłach obronnych, które zawsze miała na podorędziu.

– To nie jest tylko seks – powiedział. – I dobrze nam z tym.

– Nie szukam romansu, związku, żadnego „żyli długo i szczęśliwie”, Booth.

– W moim przypadku tego wszystkiego nie ma na liście. I mimo to wciąż jest nam z tym dobrze. Coś iskrzy między nami, Miranda, zawsze tak było. Co, nie wiem, ale jestem gotów wykorzystać to tu i teraz i cieszyć się tym. – Podniósł się, popatrzył na nią. – Nie uciekłem od razu, kiedy cię znów zobaczyłem, głównie z powodu dzieciaków, które uczę. Ale nie tylko. Nie poszłaś prosto do Lorny ani na policję, bo zależało ci na pewnych odpowiedziach, które mogłaś wykorzystać. Tylko że to nie był jedyny powód. Prawda?

Ona też teraz usiadła i wpatrywała się w nieprzeniknionej ciemności w jego tonący w mroku profil.

– Nie, nie był – odparła. – Zostanę tu tylko do lipca.

– Widzisz, to właśnie jest szklanka w połowie pusta. Rozumiem, że pozostały mi z tobą jeszcze trzy miesiące. Wykorzystajmy je.

– Zawsze uważałam, że jeśli szklanka jest do połowy pusta, to trzeba ruszyć tyłek i nalać do niej więcej. – „Dawanie nie jest tym samym, co poddanie się”, pomyślała, i musnęła dłonią jego włosy. – W porządku, Booth, nalejmy więc więcej.

Nachylił się i dotknął wargami jej ust.

– Zostań.

– Może to być równoznaczne z napełnieniem szklanki tak, że zacznie się przelewać na podłogę.

– Zaczniemy wolniej. Zostań chociaż na kawę i deser.

– Nie pijasz kawy.

– Napiję się latte.

– Jeśli chcesz to nazywać kawą. – Przekrzywiła głowę. – A deser?

– Uruczmy się deserem lodowym z gorącą polewą.

– Nie masz czegoś takiego w swojej zamrażarce.

– Nie, ale mam tam lody, słoik z polewą w spizarce, a w lodówce ubitą śmietaną. Połączmy to wszystko i będziemy mieć deser lodowy.

– Ubita śmietana. Dlaczego nie ograniczyć się do bitej śmietany ze sklepu, w aerozolu?

– Nie zaczynaj, proszę.

Nim zdążyła się ubrać, dał jej szlafrok, a sam włożył dres. Po chwili zastanowienia Miranda uznała, że jeśli ktoś wie, że został wmanewrowany, to na dobrą sprawę wmanewrowany nie został.

Zajęła się parzeniem kawy, podczas gdy Booth wyjął pojemnik z ubitą śmietaną. A potem wziął się do przygotowywania deseru. Kiedy połączył wszystkie składniki, podał jej.

Ona zasiadła przy kuchennej szafce, mając na sobie jego szlafrok, i zaczęła jeść deser lodowy.

– Pomyślałem, że zjawię się w przyszłym tygodniu na tym twoim wieczorze podpisywania książki.

– Nie musisz tego robić.

– Uczę literatury – przypomniał jej. – Gościmy tu autorkę bestsellerów. Jaki dałbym przykład młodzieży, gdybym to sobie darował? A ty mogłabyś się odwdzińczyć i przyjść na jedno z przedstawień *Bye Bye Birdie*.

– Już to planowałam. Wierz mi, nikt nie zauważy ani nie będzie się przejmował, jeśli zjawisz się na tym moim wieczorze.

Rozbawiony pomachał łyżeczką w powietrzu.

– I tu się mylisz po spędzeniu trzech miesięcy w Westbendzie. Nie przepadasz za tym, prawda? Za podpisywaniem swoich książek?

– Tego nie powiedziałam.

– Ale powiedziałaś to całym swoim ciałem. Dlaczego tego nie lubisz?

Westchnęła i nabrała na łyżeczkę lodów.

– Zawsze się wtedy czuję jak ktoś, kim nie jestem. Człowiek pisze w samotności, jesteś tylko ty i twoja opowieść. A później, kiedy to wszystko jest już skończone, ludzie chcą, żebyś się ujawnił i, no cóż, występował publicznie na scenie.

– Trema?

– Jak to ująć?... – Uniosła oczy do góry. – Nigdy się nie przejmowałam tym, że muszę wyjść na scenę. Lubiłam grać w szkolnych przedstawieniach. Ale w sztuce jesteś kimś innym, a tutaj sobą – i w tym cały problem.

– Każdy aktor używa roli coś z samego siebie. W tym przypadku twoją sceną jest księgarnia.

– Lubię spotykać się z czytelnikami. Jestem im wdzięczna za to, że poświęcają swój czas na przeczytanie czegoś, co napisałam. Tyle że pozbawia mnie to mojej przytulnej strefy komfortu.

– Gdzie jesteś tylko ty i twoja opowieść.

– Tak. I jednym z powodów, dla których tak dobrze się czuję w Westbendzie, jest powiększenie tej strefy komfortu. Możesz zapewnić sobie nadmiar tego komfortu, a wtedy twoja rutyna, a jestem jej fanką, staje się nałogiem. – Zlizwała bitą śmietanę z łyżeczki, po czym nią pomachała. – Rutyna nie jest dla ciebie problemem, ponieważ ją zmieniasz, tak jak miejsca pobytu, wszystko, kiedy tylko ci to odpowiada.

– Nie zawsze. Czasem to jest konieczność.

– Mój bohater jest zbyt zajęty swoją restauracją, żeby cokolwiek zmieniać. Hm. Okradasz kobiety, z którymi sypiasz?

– Nie. Nigdy! Jezu. – Zbulwersowany przesunął dłońmi po włosach. – Niezłe pytanie w sytuacji, kiedy siedzisz tu naga pod tym szlafrokiem.

– A on to robi. To główny wątek. Sypiał ze swoją ofiarą, a nie jest pierwszą, z którą poszedł do łóżka, a potem okradł. Ale jest pierwszą, którą zamordowano. Dlaczego ty tego nie robisz? Intymność jako metoda dostępu.

– Ponieważ, po pierwsze, to dość grubiańskie.

Roześmiała się szczerze, następnie odłożyła łyżeczkę i znowu zaczęła się śmiać. Ujęła jego twarz w dłonie.

– Tak myślisz i czujesz? I właśnie dlatego tak trudno ci się oprzeć. Z powodu tego twojego chwiejnego kodeksu moralnego.

– Chwiejnego – zgodził się.

– Chwiejnego, słabego, ale szczerego – uzupełniła. – A po drugie? Zawsze jest coś po drugie, jeśli najpierw jest coś po pierwsze.

– Po drugie, to oznacza bezpośredni związek. Jeśli nie zdążyłaś jeszcze zwać, gliny prawdopodobnie zadadzą ci kilka pytań.

– Tak, wykorzystuję ten motyw. – Znowu podniosła do ust łyżeczkę, uśmiechnęła się do niego. – Robisz cholernie dobry deser lodowy.

– Robię też cholernie dobry omlet z serem. Przekonasz się o tym, jeśli zostaniesz na noc. To

przesądzone, gdyż przyrządę go z jajek, które zmarnowałeś, robiąc glazurę.

Nie uniosła brwi, tylko je ściągnęła.

– Nie zmarnowałam aż tylu – powiedziała urażonym tonem.

– Mam jeszcze więcej jajek. – Uśmiechnął się przebiegle.

Przyglądała się przez chwilę łyżeczce pełnej lodów, potem je zjadła.

– Czy omlet będzie z bekonem?

– I francuskimi tostami.

– No cóż... W takim razie myślę, że będziemy mogli zetrzeć z podłogi to, co wyleje się z miski.

– Przypadkowo mam mop – zapewnił ją.

Została.

Rozdział 23

Została ponownie w środku tygodnia, po próbie, i stwierdziła, że to dziwnie odprężające móc siedzieć przy jego kominku i czytać, podczas kiedy on poprawiał wypracowania.

Żadna rutyna, jak przekonywała sama siebie, nawet nie oczekiwanie. Po prostu rzucone mimochodem zaproszenie, żeby przyjść po próbie na domową pizzę. I zostać.

Wieczorem, przed podpisywaniem swojej książki, włożyła prostą sukienkę o barwie miękkiej szarości i skórzaną kurtkę w mocnym odcieniu błękitu. Rozpuściła włosy i zdecydowała się na szpilki pod kolor kurtki.

Wyrafinowana, profesjonalna, jak oceniła, ale nie nudna.

Kiedy wyszła z sypialni, zamruwała ze zdziwienia, widząc istną tęczę tulipanów w prostym szklanym wazonie na blacie kuchennej szafki.

Wzięła do ręki karteczkę opartą o wazon.

„Połamania nóg”.

Booth, oczywiście. Wydawało się, że złodziej wkradł się i zostawił coś, zamiast zabrać coś innego.

Żałowała, że widzi w tym coś czarującego.

– Nie powinnam być oczarowana – mruknęła, wkładając karteczkę do portfela jako rodzaj talizmanu na szczęście.

Kiedy dojechała do miasta, skierowała się do tylnego wejścia księgarni, tak jak ją poinstruowano. Zastała tam Carolyn, dosłownie emanującą podnieceniem, i ladę ze stosem swoich książek.

– Powinnam była poprosić cię, żebyś zjawiła się tu godzinę wcześniej zamiast trzydziestu minut! Cały dzień gadaliśmy przez internet i odbieraliśmy zamówienia! Ludzie ustawiają się w kolejce, uwierzysz? Ma się zjawić ekipa telewizyjna z Waszyngtonu. Udzieliłam krótkiego wywiadu, rozmawiałam też z kilkoma klientami. Oczywiście, przede wszystkim chcą rozmawiać z tobą.

Miranda, zdobywając się na entuzjastyczny uśmiech, czuła koszmarnie ściskanie w dołku.

– Wspaniale – powiedziała.

– O nic się nie musisz martwić. Mamy doświadczenie, jeśli chodzi o takie imprezy. Pomogę ci się uporać ze wszystkimi wymaganiami. Czego chcesz się napić?

„Sporej porcji whiskey”, pomyślała.

– Wystarczy woda, dzięki.

– Masz to jak w banku! – oznajmiła śpiewnym głosem Carolyn. – Nie mogę wprost uwierzyć, że nasza księgarnia będzie w wiadomościach o jedenastej, a potem jeszcze w porannym serwisie.

Wciąż się uśmiechała, kiedy Carolyn podawała jej wodę, mówiąc: „Hura!”.

Andy określił ją jako „osobę nieomal miejscową”, biorąc pod uwagę jej związek z Cescą, i okazało się to skuteczne, podobnie jak jego intensywne działania w mediach społecznościowych.

Kiedy zjawiła się na miejscu, ujrzała imponujący tłum, łącznie z Boothem, który stał z Cescą i Lorną.

Sesja pytań i odpowiedzi nigdy nie sprawiała jej trudności. Wiedziała, co mówić, i starała się za wszelką cenę utrzymać odpowiedni poziom podczas – litościwie krótkiego – wywiadu z waszyngtońskim dziennikarzem.

Zauważyła, że Booth jak ognia unika obiektywu kamery, i była pewna, że nikt tego nie dostrzegł. Okazało się, że jest w tym równie sprawny jak Stipperowie w organizacji wieczoru.

Usiadłszy przy stoliku, zaczęła podpisywać książki, robiła sobie też zdjęcia z chętnymi, prowadziła rozmowy i w końcu dokuczliwy szum w jej uszach ucichł, a ona poczuła się prawie normalnie.

Kiedy zbliżyła się do niej Cesca, Miranda pokręciła głową.

– Już zdążyłam podpisać twój egzemplarz.

– I przekonasz się, że nie jest dla mnie, tylko dla mojej przyjaciółki. Ronda stale przechwala się swoją córką lekarką i synem prawnikiem. Niech jeszcze to zwieńczy książką z twoim autografem! Och, jestem z ciebie taka dumna. – Skinęła na Bootha. – Proszę, zrób mi zdjęcie w towarzystwie mojej słynnej córki chrestnej.

Kiedy to zrobił, wręczył Mirandzie jeszcze jedną książkę.

– Pomyślałam sobie, że ją przeczytałeś.

– Owszem. Wzbogaci mój zbiór książek podpisanych przez autorów. Świetnie sobie poradziłaś z pytaniami i odpowiedziami.

– To dla mnie najłatwiejsze. Zawsze.

– Cieszę się, że mogłem zobaczyć to na własne oczy. Czas na mnie. Mam dzisiaj próbę sceniczną.

Zrozumiała pytanie zawarte w tym stwierdzeniu.

– Idę później na imprezę w klubie czytelniczym. Myślę, że dotrę do domu mniej więcej w tym samym czasie.

– Miłej zabawy.

Rzeczywiście, bawiła się dobrze, i to zaskakująco dobrze. W normalnej sytuacji pojechałaby prosto do domu, przebrała się w dres albo piżamę, a potem zaległaby na godzinę czy dwie w łóżku, żeby się wpatrywać w milczeniu w sufit.

Zamiast tego pojechała do domu Bootha.

– Niezłe wyczucie czasu – zauważył, kiedy otworzył jej drzwi. – Dotarłem do domu jakieś pięć minut temu. – Wziął ją w ramiona. Pocałunek przywrócił jej równowagę skuteczniej niż wpatrywanie się w sufit. – Mam szampana.

– Cesca też miała, ale ograniczyłam się do jednego kieliszka.

– Teraz możesz wypić dwa. – Znów ją przyciągnął do siebie. – Wyglądałaś i wyglądasz nadal olśniewająco.

– Celem było nie sprawiać wrażenia nadętej.

– Udało ci się doskonale. Chyba uszczęśliwiłaś Carolyn. – Wziął ją za rękę i ruszył do kuchni, gdzie czekała już butelka, którą wyjął z lodówki i włożył do wiaderka z lodem. – Wiesz, mając Cescę w kieszeni, będzie cię tu prześladować.

– Już zaczęła to robić.

Zdjęła szpilki i wydała z siebie westchnienie ulgi, które może wydać tylko kobieta mająca na stopach takie obuwie godzinami.

– Usiądź. Otworzę butelkę.

– Już się nasiedziałam. Włamałeś się do mojego domu.

– Nigdzie się nie włamałem.

Przechodząc obok niego, trąciła go w ramię.

– Mogłeś zapukać.

– Nie miałoby to takiego efektu – odrzekł, wyjmując korek z butelki.

– Muszę się z tym zgodzić, a kwiaty są piękne. Dziękuję.

– Proszę bardzo. – Podał jej kieliszek, drugi wziął dla siebie. – Gratulacje z okazji udanego „Wieczoru z Mirandą Emerson”.

Napiła się, rozluźniła ramiona, westchnęła.

– I bardzo się cieszę, że jest już po wszystkim.

– Patrzyłem na ciebie w tym blasku reflektorów, w tym konkretnym momencie. Podobało mi się. Podniosło mnie na duchu.

– Mówisz serio?

– Dłaczego nie?

– Nie wiem, nie wiem. Myślę, że... podpisywanie książki w mieście takim jak Westbend nie powinno być dla ciebie czymś znaczącym.

– A jednak było. Mieszkam tutaj. I chodzi o ciebie. I może przez jeden wieczór przestałabyś się wreszcie rozwodzić nad tym, co robię.

– Myślę, że mam w tym wprawę. I nie było to zamierzone jako obraza czy przytyk. Bynajmniej. – Usiadła i łyknęła wina. – Ciebie też obserwowałam. I nie wydaje mi się, żebyś grał. Nie

udajesz, nawiązując bliskie relacje z ludźmi. Robisz to szczerze. Nie wykorzystujesz wiosennego musicalu jako przykrywkę. Naprawdę chcesz, żeby te dzieciaki błysnęły.

– Ponownie zapytam... dlaczego miałbym tego nie robić?

Zastanawiała się, jak mu wyjaśnić to, co dla niego było proste, a dla niej pokrętne?

– Dla ciebie to wszystko jest normalne. Niektórym z nas – mnie na przykład – zabiera trochę więcej czasu wykrzesanie takiej normalności. A kiedy cię po raz pierwszy spotkałam? Przyszło mi do głowy: Och, jest trochę nieśmiały. I oczywiście skłoniło mnie to do tego, by cię bliżej poznać. Tak właśnie postępuję. Lecz to, co postrzegałam jako nieśmiałość, stanowiło jedynie ostrożność, tak bardzo ci potrzebną. Mogę więc patrzeć wstecz i wiem, że to, co mi mówiłeś, było szczerze, ale przefiltrowane przez twoją normalność.

Nie mógł się z tym spierać. Pamiętał wszystko co do joty.

– Nie potrafię cofnąć czasu ani naprawić tego, co się stało.

– Nie o to mi chodziło, w żadnym razie. Widzisz... jesteś niewiarygodnie uczciwym facetem jak na kogoś, kto żyje w nieuczciwy sposób. I to, co mi wcześniej powiedziałeś o tym, jak aktor wzbogaca graną przez siebie postać o samego siebie? Rozumiem, że możesz zmienić nazwisko, nawet wygląd, kamuflaż, wszystko, ale to wciąż ty. I zaczynam się z tym godzić.

– Daj mi znać, kiedy pogodzisz się na dobre.

– W porządku. Może tymczasem usiądziesz i powiesz mi, jak ci poszło z próbą przedstawienia?

– Naprawdę chcesz tego posłuchać?

– Tak, no pewnie. Zwłaszcza że dzięki temu zyskam wymówkę, by wypić drugi kieliszek wina i się zrelaksować, nim cię zwabię na górę i uwiadę.

Wziął do ręki butelkę.

– Będę się zatem streszczał.

*

W czasie przerwy na lunch Booth zajrzał na chwilę do teatru. Dało się słyszeć walenie młotków i wwiercanie pistoletów do gwoździ, jak również wycie wiertarki. Idąc między rzędami krzeseł, czuł zapach świeżej farby w miejscu, gdzie kilkoro uczniów pracowało nad dekoracją do piosenki *We love you, Conrad*.

Jill Bester, matka jego ucznia sprawującego pieczę nad oświetleniem i jednocześnie scenografka, stała nad innym chłopakiem, który wkręcał śrubę w dolną część dekoracji do pierwszego numeru.

– Dobra robota, Chuck. Załatwione. – Następnie zawołała do Bootha, stukając się w daszek czapki: – Co myślisz?

Przyglądał się boksom o różnych rozmiarach i już widział oczami wyobraźni wykonawców, którzy stali, leżeli wyciągnięci jak długi i siedzieli z telefonami.

– Jest doskonale.

– Będzie doskonale, kiedy to pomalujemy. – Podeszła do rozkładanego stołu, żeby wziąć tablet i wyświetlić scenografię. – Sprawdzać, cały czas sprawdzać, prawda?

Popatrzył na ekran, na jasne i śmiałe kolory, pomyślał o odpowiednim oświetleniu, o reflektorach.

– Podwójnie doskonale. Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili, Jill.

– Uwielbiam pracować przy wiosennym musicalu.

– Nie przestaniesz mi pomagać, kiedy Tod ukończy szkołę?

– Tylko spróbuj się mnie pozbyć. Ci tutaj będą zajęci jeszcze przez dwadzieścia minut, ale Missy zaangażowała na następną godzinę kilkoro uczniów z klasy artystycznej. Będiesz mógł wykorzystać te boksy i kuchnię podczas dzisiejszej próby generalnej.

– Prawie się uporałaś z dekoracjami. Według harmonogramu.

– Tak jak lubimy to robić. Poświęciłaś temu mnóstwo czasu – dodała, podpierając się pod boki i przyglądając temu, co na pierwszy rzut oka przypominało chaos.

– Kurtyny powinny być gotowe przed końcem tygodnia. I doceniamy, że nie poświęciłaś temu swojego czasu.

– Kolejny przytyk pod adresem moich talentów artystycznych.

- W dziedzinie rysunku i malunku jesteś ich całkowicie pozbawiony.
- Brutalne, ale prawdziwe. Zrób sobie przerwę na lunch, Jill. Zajrzę tu później.

Wziął puszkę coli i jabłko z nauczycielskiego barku, rzucił okiem na kostiumy, a potem przygotował się do następnej lekcji. Nadchodzące tygodnie oznaczały ten sam szaleńczo napięty harmonogram. Nie przeszkadzało mu to.

Pomyślał o chwili, w której wszystko się trochę rozluźni, i zaczął się zastanawiać, co by Miranda powiedziała na piesze wędrówki i wyprawy kajakiem. Nigdy nie miał czasu, by się o tym przekonać.

Powinni się umawiać? Kolacja poza domem? kino? przejażdżka do Waszyngtonu na koncert? Jak mógł być w niej zakochany, skoro nie przychodziły mu do głowy tak proste rzeczy?

Postanowił, że o tym porozmawiają, kiedy rozbrzmiał ostatni dzwonek, a dzieciaki ruszyły z hałasem w stronę drzwi.

Z wyjątkiem Louisa, który zawsze miał jakieś pytania wraz z końcem lekcji.

– Panie Booth...

– Co jest, Louis?

Wystarczyło dziesięć minut, żeby zidentyfikować niepokój chłopaka co do zbliżającego się testu na temat Szekspirowskiego *Juliusza Cezara*. Louis, który przeniósł się ze szkoły w Pensylwanii i chodził do pierwszej klasy, nie znalazł jeszcze swojego kręgu przyjaciół, swojej strefy bezpieczeństwa ani pewnego gruntu pod nogami.

– Wiesz, Louis, przydałby mi się jeszcze jeden pracownik sceny.

– Och, nie mam o tym bladego pojęcia.

– Pokażemy ci co i jak. – W przekonaniu Bootha nie było to wcale jak teatr, chciał tym dodać odwagi nieśmiałemu, niepewnemu siebie chłopcu. – Może pogadasz z rodzicami, spytasz, czy mógłbyś obejrzeć próbę generalną.

Niepokój chłopaka wylewał się z niego wszystkimi porami jak woda z pękniętej szklanki.

– Tylko obejrzeć?

– Jeśli chcesz. Zaczynamy o czwartej. Właśnie tam idę. – Booth wstał i spakował swoją teczkę. – Możesz mi towarzyszyć. Nie przyjeżdżasz do szkoły autobusem? Chodzisz na piechotę?

„Jego rodzice pracują”, jak przypomniał sobie Booth. „Żadnego rodzeństwa”.

– Tak, to tylko kilka przecznic stąd.

Nauczyciel ruszył przed siebie, a chłopak, chcąc nie chcąc, podążył za nim.

– Wciąż pracujemy nad scenografią, ale dekoracje są w większości gotowe, podobnie jak rekwizyty.

– Czy zajmują się tym wyłącznie uczniowie?

– Tak. Pomocnicy sceniczni, technicy, fachowcy od rekwizytów, kierownik sceny, aktorzy.

Budują też i malują dekoracje.

– Skąd wiedzą, jak to robić?

Niepokój, niepokój, sączący się kropelkami.

– Szkolimy ich – niektórzy nauczyli się od swoich rodziców, ale to my nad wszystkim czuwamy.

Niektórzy uczniowie kręcili się po korytarzu, flirtując przy swoich szafkach albo pisząc esemesy do kogoś, kogo widzieli przed kilkoma minutami, ale szkoła, pozbywszy się na ten dzień większości swoich uczniów, sprawiała już wrażenie opustoszałej.

Skręcił w stronę teatru, pustego teraz przed nadejściem aktorów i obsługi technicznej. Booth zauważył, że Jill uporała się już z boksami i zostawiła je na środku sceny, jasne i kolorowe.

Zapalił światło.

– Uczniowie je zbudowali z pomocą pani Bester, mamą jednego z nich. Pokazała im, jak to zrobić.

– Po co to?

– Poczekaj, a zobaczysz. Zadzwoń do swojej mamy.

– Mogę jej przesłać wiadomość.

– Więc zrób to.

– Okej, ale czym się zajmuje pracownik sceniczny?

– Niektóre z tych rekwizytów są na rolkach. Blokowane, żeby się nie przesuwaly po sce-

nie. Obsługa techniczna zjawia się w przerwach między poszczególnymi aktami. Zabierają je i ustawiają następne na wyznaczonych miejscach.

– Wyznaczonych? W jaki sposób?

Booth pokazał mu i ruszył wzdłuż przejścia między rzędami krzeseł.

– Wyślij mamie wiadomość.

„W porządku”, pomyślał, kiedy chłopak zasypywał go pytaniami, stukając jednocześnie w klawiaturę telefonu.

O czwartej piętnaście zapędził wszystkich aktorów obecnych na scenie do boksów.

– Joley, oprzyj się o ścianę, na prawo od sceny. Wyciągnij nogę i podeprzyj przeciwległą ścianę stopą. Właśnie tak. Telefon w twojej drugiej ręce. Nie zasłaniaj twarzy.

Następnie wydał polecenia innym uczniom, a wreszcie się cofnął.

– Co myślisz, Louis? – spytał chłopca stojącego w pierwszym szeregu.

– Wygląda naprawdę dobrze.

– Też tak uważam. Kurtyna w górę. Zostańcie na miejscach, czekajcie na aplauz. Czekajcie do chwili, aż zacznie się muzyka i rozlegnie pierwszy dzwonek.

Dał sygnał, a potem obserwował próbę. Podniosło go to na duchu, i to solidnie.

Udzieliwszy kilku rad *à propos* głosów, skinął głową, kiedy dzieciaki zaczęły wykorzystywać swoje możliwości.

Gdy numer dobiegł końca, Louis zaczął entuzjastycznie klaskać.

– Jezu, przepraszam.

– Nikt na scenie nie ma nic przeciwko temu, chłopie.

Nim wybiła szósta trzydzieści, chłopak wyglądał tak, jakby zdobył klucze do królestwa niebieskiego.

– Czy naprawdę mógłbym być pomocnikiem scenicznym, panie Booth?

– Jeśli zgodzą się na to twoi rodzice. W lot chwytasz.

– To dobra zabawa.

– Owszem.

– Hej, Lou! Idziesz w tę samą stronę co ja, tak?

Louis popatrzył zdziwiony na chłopca, który do niego zawołał.

– Chyba tak.

– No to dawaj.

Kiedy już wszyscy wyszli i Booth pogasił światła, pomyślał, że nie ma to jak dzieciaki zafascynowane teatrem.

Jego kroki odbijały się głośnym echem, podkreślając pustkę panującą w budynku.

Na zewnątrz wiał porywisty marcowy wiatr, ale Booth dostrzegał zaczątki zieleni na drzewach i kilka pełnych nadziei żonkili, które zaczęły się już wychylać z ziemi. „Nadchodzi wiosna”, pomyślał, kiedy samochody z jego uczniami wyjeżdżały z parkingu. Odezwały się klaksony, a on im pomachał w odpowiedzi.

Szedł zatopiony w myślach, kiedy spostrzegł naraz obok swojego wozu sedana i mężczyznę, który z niego wysiadł, wyraźnie czekającego na jego przybycie.

Wprawdzie nie tego, którego zapamiętał sprzed kilkunastu lat, ale gościa w tym samym typie. Szerokie bary, kamienna twarz, nieprzeniknione oczy.

Po chwili z sedana wysiadł drugi mężczyzna – nieco starszy i nieco wyższy.

Booth uświadomił sobie, że niczego nie czuje. Paniki, żalu, niczego. Bądź co bądź, wiedział, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Musiał nadejść.

– Proszę wsiąść do samochodu – rzekł barczysty.

– Mam własny – odparł.

– Kluczyki. On poprowadzi pański wóz.

„Postaw się teraz”, pomyślał, „inaczej wszystko ruszy niczym walec i cię zmiażdży”.

– Zatrzymam kluczyki i sam poprowadzę swój samochód.

– Nie chce pan tu chyba żadnych kłopotów?

– Nie będzie kłopotów. Pański przyjaciel może się ze mną zabrać. Ale wrócę do domu własnym wozem. Proszę przekazać LaPorte’owi, że jedzie pan za mną. Dokąd miałbym zwać?

Po trwającym chwilę spojrzeniu w ziemię barczysty skinął swemu towarzyszowi głową.

Booth, wsiadłszy do samochodu, przekręcił kluczyk w stacyjce. Wyłączył radio, gdyż muzyka wydawała się czymś niewłaściwym w sytuacji, gdy obok niego siedział kościołamacz ze spluwą przy biodrze.

Jechał w milczeniu i rozważał różne możliwości. Miał ich trochę na podorędziu. Jak zawsze. Może Miranda zmodyfikowała je nieco, ale wciąż istniały.

Pierwszy nakaz. Trzymać ją z dala od LaPorte'a. Także Mags i Sebastiena, Dauphine i jej rodzinę. I wszystkich ludzi w Westbendzie.

Drugi nakaz? Unikać złamania kości i ran postrzałowych.

Co potem? Rozważał rozmaite scenariusze.

LaPorte czegoś chciał wyraźnie. Chciał jego ciała i duszy, ale chciał też, by mu coś dostarczyć.

Mógł to wykorzystać, cokolwiek to było i gdziekolwiek się znajdowało.

Nie spojrzął nawet w stronę domu Mirandy, przejeżdżając obok niego obojętnie, ale uchwycił kątem oka blask światła w oknach, kiedy zaczęło zmierzchać.

Obiecał jej wcześniej, że się z nią skontaktuje po powrocie do domu.

Musiało to poczekać.

Wjechał pod swoją wiatę i wysiadł bez słowa.

Zamiast wejść przez tylny przedsiónek – przyjaciele często z niego korzystali – zbliżył się do drzwi frontowych. Jego pasażer szedł tuż za nim.

Otworzył główne drzwi i usłyszał, jak drugi ochroniarz wysiada z samochodu. Ignorując ich obu, wszedł do środka i uaktywnił alarm. Wstukał też zapasową opcję, uruchamiając magnetofony i kamery, które zainstalował i sprzągnął z systemem alarmowym.

– Sprawdź dom, Angelo – zwrócił się ten pierwszy do pasażera Bootha.

– Nikogo tu nie ma.

– Sprawdź mimo to. Ma pan jakąś broń, panie Booth?

– Pański szef powinien być panu powiedzieć, że nigdy nie używam broni. Trzymam w kuchni jedynie komplet dobrych noży. Lubię gotować.

Mężczyzna wskazał fotel.

– Proszę usiąść.

– Zamierzam zdjąć płaszcz i powiesić go. Ooo, tam.

Kiedy wskazał garderobę, ochroniarz zbliżył się do niej, otworzył ją, po czym obmacał rzeczy w poszukiwaniu nieistniejącej broni.

Booth czekał, aż tamten się odsunie, następnie powiesił płaszcz. Usiadł i postawił swoją teczkę obok fotela.

Ochroniarz wziął ją, sprawdził, odstawił na miejsce.

Drugi w tym czasie zszedł z góry.

– Czysto – rzekł.

– Powiedźcie o tym panu LaPorte'owi, a później możecie poczekać na zewnątrz.

Jednocześnie Booth w tym czasie gorączkowo zastanawiał się, w jaki sposób LaPorte go odnalazł – i pomyślał, że coś mu świta. A jeśli chodzi o to, co miał ukraść – nie wiedział za Boga co.

Nieoczekiwanie do pokoju wszedł sam LaPorte. Odznaczał się niespiesznym władcym krokiem. Nosił szary garnitur w prążki, szarą koszulę o nieco głębszym odcieniu i krawat w niebiesko-szare paski.

Styl biznesmena, oczywiście.

Jego włosy wciąż falowały, wciąż miały barwę złota bez śladu siwizny. Ponieważ był po pięćdziesiątce, Booth domyślał się, że ją starannie kryje. Wiedział też, że podciągnął sobie w kilku miejscach skórę, by zachować tak gładką twarz.

Próżność, oczywiście. Wszystko wynikało z próżności.

– Upłynęło trochę czasu od chwili, kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni. – LaPorte, nim usiadł, rozejrzał się wokół. – Powiedziałbym, że nieco rustykalnie jak na człowieka o twoim doświadczeniu.

– Chwilowo mi to wystarcza.

– „Chwilowo” to teraz twoja specjalność, prawda? – Zaśmiał się złośliwie. – Prowadziłeś

życie wędrownego ptaka, a jednak jesteś tu teraz, odgrywając nauczyciela szkoły średniej w... średnim mieście, by tak rzec. Musisz być niewymownie tym znudzony.

– Jeszcze nie jestem. Podoba mi się ten przestój. Co mam ukraść?

– Och, dojdziemy do tego. Dałem ci spokój podczas twoich przygód w Europie i w trakcie tego dziwnego pobytu w tym miejscu i w tym życiu od kilku ładnych lat. Oczywiście, mogłem odwiedzić cię w każdej chwili, ale jestem cierpliwym człowiekiem.

„Kłamstwa”, jak uświadomił sobie Booth. „Facet pominął Amerykę Południową, Australię, Nową Zelandię, Nowy Jork i inne miejsca. Nie wiedział nic aż do tej pory”. I te kłamstwa – a także próżność – dodały mu siły.

– I uświadomiłem sobie, że bardziej mi się przydasz jako człowiek z większym doświadczeniem. Ponieważ spożytkowałeś ten czas, jak widzę, odpowiednio, możemy przedyskutować następny krok.

– Praca dla pana mnie nie interesuje.

Wciąż niewzruszenie pewien siebie LaPorte machnął lekceważąco ręką.

– Nie przejmuję się twoim brakiem zainteresowania. Ale wyobrażam sobie, że ty przejmujesz się losem swojej ciotki. I Sebastiena, być może, choć postanowiłeś nie spędzać z nimi czasu. Czyżbym ponosił za to odpowiedzialność?

Przynęta, ale Booth nie dał się na nią złapać.

– Byłem zajęty.

– Jak to się często dzieje w przypadku rodzin i przyjaciół. Wiem, że angażujesz się w sprawy swoich uczniów – edukowanie młodych umysłów i tak dalej. Takich młodych, takich nieskażonych, z tak wspaniałą przeszłością.

– Naprawdę? – Booth parsknął śmiechem, nie kryjąc obrzydzenia. – Teraz grozimy już dzieciom?

– Wypadki się zdarzają, nawet w spokojnych miejscinach, czyż nie?

– Powiedziałbym, że to poniżej standardów nawet takiego człowieka jak ty, ale widzę jednak, że nie.

– Mógłbym się udać od razu do tej kobiety. Cóż to za radość... znów odczuwać w swoim życiu obecność dawnej miłości.

Na to był jednak przygotowany i teraz to on patrzył niewzruszenie w błyszczące oczy LaPorte'a.

– Niezupełnie – odrzekł ze spokojem. – To, czego pragniemy w wieku dwudziestu lat, zmienia się z czasem. Po prostu mnie rozpoznała. Nic nie wiedziałem o jej cholernej matce chrzestnej. – Zbył własne słowa wzruszeniem ramion. – Wiem jednak, jak rozniecić wygasły płomień, kiedy jest to konieczne, i obrócić go na własną korzyść. Jest podatna na ckliwe opowiadki i lubi dobrą zabawę w łóżku.

Z satysfakcją dostrzegł u rozmówcy błysk zainteresowania i podejrzliwości.

– Nie wie, kim naprawdę jesteś?

– Za kogo mnie masz? Nie trzymałaby buzi na kłódkę, gdyby wiedziała. Moja ciotka, widzisz, była pechowo uzależniona od narkotyków, co spowodowało na nią kłopoty z policją. Musiałem jej wtedy pomóc, musiałem chociaż spróbować. Sprawy nie układały się najlepiej i tak dalej. Zmieniłem w końcu nazwisko, ukończyłem edukację i byłem zbyt zawstydzony, żeby znów skontaktować się z Mirandą.

– A twoja ciotka?

– No cóż, nie żyje – tragiczne przedawkowanie – wypadła z gry. A teraz moja stara miłość z czasów studenckich wraca do mojego życia i nagle te dawne uczucia odżywają. Jak na bystrą kobietę, a jest bystra, daje się łatwo wodzić za nos. – Krzywiąc lekko usta w ironicznym uśmiechu, Booth wzruszył ramionami. – Jak większość, jeśli się zna ich słabe punkty. Byłoby mi przykro, gdyby coś jej się przydarzyło – nie lubię przemocy. Jest odstręczająca. Ale Miranda to tylko jeszcze jedna kobieta, jeszcze jeden łatwy cel. Może w jakimś stopniu wyleczyłeś mnie ze skłonności do zawierania bliższych związków, ale jestem wyleczony.

LaPorte złączył palce. Zainteresowanie widoczne na jego twarzy nie wydawało się Boothowi szczególnie przyjemne. Przypominało raczej widok dziwnej smugi pod mikroskopem.

– Ale nie ukończyłeś swojej edukacji. Nie masz dyplomu ani żadnego dokumentu potwier-

dzającego wykształcenie. Wszystko to kłamstwa, wszystko falsyfikaty. Twoja przełożona w szkole, tutejsza społeczność, rodzice uczniów, przedstawiciele władz uznałyby to za szokującą wiadomość, gdybym zdradził im to i owo.

– Bez wątpienia, ale nie zrobisz tego.

– Nie?

– Chcesz czegoś, a ta przykrywka jest w tym wypadku bardzo przydatna, równie przydatna dla ciebie, jak dla mnie. Zniszcz ją, a gliniarze zaczną węszyć. – Rozluźniony Booth-złodziej wyciągnął nogi. – Potrzebujesz mnie, LaPorte, ponieważ postarałem się, by nie węszyli. Upewniam się w słuszności takich starań od dziewiętego roku życia. Są inni, do których mógłbyś się zwrócić, by zdobyć rzeczy, na których ci zależy. Ale żaden z nich nie powie tego, co ja. – Odprężony i trochę rozbawiony Booth rozsiadł się wygodnie. – Zawsze możesz nasłać na mnie gliniarzy, a oni mogą – jeśli zdołają mnie złapać – wsadzić do więzienia. Ale to ci nie zapewni tego, po co tu przyszedłeś. Więc skończmy już z tym bezsensownym gadaniem. Powiedz mi, co mam ukraść.

– Nie nauczyłeś się, widzę, jeszcze dobrych manier. – LaPorte zerknął na swojego ochroniarza.

– Uważaj! – rzekł bardzo cicho Booth, a LaPorte uniósł ostrzegawczo palec. – Masz nowego pitbula i możesz mu polecić, żeby mnie walnął tak, jak ten poprzedni, ale to mnie nie zachęci do zdobycia tego, czego pragniesz. A ty musisz mnie zachęcić. Nie dysponujesz już żadnymi narzędziami nacisku. – Wychylił się w fotelu, wzrok miał twardy i nieprzejednany. – Dopilnowałem tego.

– Chcesz zachęty? Trzy miliony dolarów. Tyle ci zapłacę.

Booth znowu się rozsiadł, krzyżując nogi.

– Nie jest to dla mnie tak oszałamiająca kwota jak wtedy, kiedy miałem dwadzieścia lat. Sam wyznaczę honorarium, a nie zrobię tego, dopóki się nie dowiem, o co chodzi.

– Chciałbym się napić brandy.

– A ja chciałbym, żeby czekały na mnie w sypialni dwie gorące blondynki. Powiedz mi, kurwa, co mam upolować, a będziesz miał większą szansę niż ja zdobyć to, czego chcesz dziś wieczorem.

– Czerwoną Boginię.

Na dźwięk tej nazwy z twarzy Bootha zniknęła maska znudzonej pogardy. Widząc tę pełną osłupienia reakcję, LaPorte się uśmiechnął.

– Teraz napiłbym się brandy.

– Większość ludzi uważa, że Czerwona Bogini to mit.

– Większość ludzi to idioci. Większość nie wie, gdzie dokładnie się ona znajduje. Ja nie jestem idiotą i wiem. Jeśli i ty chcesz wiedzieć, to przynies mi do cholery brandy.

Rozdział 24

Booth potrzebował chwili, może nawet kilku, by uporządkować myśli, wstał więc i poszedł do spiżarni, gdzie znajdował się jego barek. Choć wolał colę, napój ten nie pasował do postaci, w którą się teraz wcielał.

Nie chciał wyglądać jak zwykły złodziej, tylko złodziej twardy i cyniczny, człowiek wykorzystujący bez skrupułów innych ludzi. Pewny siebie, bezlitosny, opanowany.

Najpierw nalał brandy, a potem sobie whisky – trzy naparstki, bez lodu.

Czerwona Bogini. Źródło legend, krwi, śmierci i zdrady.

Nie było w jego fachu nikogo, kto by o niej nie marzył, włącznie z nim samym.

Jednak, jak sobie uprzytomnił, ludzie marzyli też o smokach i magicznych monetach. A nie stawały się przez to rzeczywiste.

Podał brandy LaPorte'owi, a sam usiadł.

– Skąd wiesz nie tylko to, że Czerwona Bogini naprawdę istnieje, ale też to, gdzie ją znaleźć?

– Bo została wystawiona na aukcji zeszłego roku. Zorganizowanej dla wybrańców.

„Musiało to być utrzymywane w tajemnicy”, jak przyznał w duchu Booth, ponieważ nic o tym nie słyszał.

– Potwierdziłeś autentyczność?

– Czy w przeciwnym razie uczestniczylibym w tej aukcji?

– A zatem widziałeś Boginię.

– Owszem. W okolicznościach obwarowanych surowymi restrykcjami. Trzymałem ją w rękach. – Mieszając brandy jedną dłonią, LaPorte wpatrywał się w drugą, jakby patrzył na ten kamień. – Otrzymała stosowne imię. Nie ma takiej drugiej. Nie ma niczego, co mogłoby się z nią równać. Jedyna w swoim rodzaju na całym świecie.

– Dlaczego jej nie kupiłeś?

Po twarzy mężczyzny przemknął cień gniewu. Łyknął brandy.

– Najwyższa oferta opiewała na trzy miliony za karat, a Bogini, największy czerwony diament, jaki kiedykolwiek wydobyto, waży więcej niż Moussaieff. Dziewiętnaście przecinek osiem karatów, doskonała czerwień. Absolutnie czysta, bez domieszki brązu, błękitu czy zieleni. – Znowu się napił. – Po co miałbym płacić sześćdziesiąt milionów za coś, za co mogę tobie zapłacić trzy miliony, żebyś to zdobył?

– Nie dostaniesz jej za trzy. – Zbył tę propozycję niespiesznym wzruszeniem ramion. – Może za pięć, to zależy. Kto go kupił? Gdzie się teraz znajduje?

LaPorte spojrział mu bystro w oczy.

– Istnieje możliwość, że mógłbyś zechcieć ją wziąć dla siebie. Zniknąć razem z tym kamieniem. Na twoim miejscu zastanowiłbym się nad tym mocno. Zabiję cię w najboleśniejszy sposób, jeśli mi jej nie dostarczysz.

Booth wpatrywał się w niego lodowatym wzrokiem.

– Jeśli biorę robotę, to dostarczam towar. Jest już i tak dostatecznie irytujące to, że zjawiasz się pod moimi drzwiami, kiedy ci się żywnie podoba, i wygrażasz mi. Nie chciałbym, żeby ten kamień mnie przygniótł, to pewne jak wszyscy diabli. Nigdy nie byłbym go w stanie sprzedać, za duże ryzyko. Jeśli wezmę tę robotę, to ty jesteś klientem. Tak pracuję i ty doskonale o tym wiesz. W przeciwnym razie nie przetrwałbym tak długo w branży. Ale nie przyjmuję zlecenia bez zapoznania się ze szczegółami.

To rzekłszy, upił w milczeniu whisky i czekał. Kiedy LaPorte odezwał się pierwszy, wyczuł subtelną zmianę układu sił.

– Jest w Georgetown – powiedział gangster. – W Waszyngtonie. Myślę o tym jak o zrządzeniu losu, ponieważ ułatwia ci to zadanie. Nabywcą jest niejaki Alan C. Mountjoy.

– To musiała być w takim razie ślepa aukcja – zauważył Booth. – Nikt nie zna tożsamości innych uczestników ani tego, kto dał najwięcej.

– Oczywiście. Ale są sposoby, by się o tym dowiedzieć.

– Kogo zabiłeś?

– Nie zabijam. Człowiek, który posiadał w przeszłości Boginię, zamordował dla niej swojego ojca. Zaaranżowanie wypadku wydawało się czymś w rodzaju aktu sprawiedliwości. A jego śmierć pomogła prowadzącemu aukcję dostrzec mądrość w spełnieniu mojej bardzo prostej prośby.

– Co się z nim stało?

– Okazuje się, że zaginął. – Upił łyk brandy. – Ludzie przepadają bez wieści. Tak się zdarza cały czas. Ty nie zaginiesz, jeśli spróbujesz mi odmówić, posiadając wszelkie informacje, obecny tu Edward zatłucze cię na śmierć, a potem razem z Anżelem upozorują włamanie. Będzie to tragedia w domu nad rzeką.

– Nie zamierzam odmawiać. Miałbym zrezygnować z okazji, jaką jest kradzież legendy? Nigdy. Ale honorarium wynosi pięć milionów. Nie proponuj mi groszy, LaPorte. Niewykluczone, że będę musiał nająć kogoś do pomocy. Połowa z góry.

– Jeden milion z góry.

– Nie. – To on musiał dyktować warunki i ton tej rozmowy. – Połowa. Jestem najlepszy, wiesz o tym. Jestem cholernym mistrzem wszech czasów, w przeciwnym razie nie byłoby cię tutaj. Połowa z góry, połowa po dostarczeniu towaru.

– Chcę ją mieć w ciągu sześciu tygodni.

– Nie – powtórzył Booth, uradowany widokiem lodowatego gniewu na twarzy LaPorte'a. – Wynajmujesz mnie i to ja ustalam warunki. Mam na głowie szkolny musical. – Podniósł rękę, nim tamten zdążył wstać z fotela. – Jeśli wyjadę wcześniej, przed końcem semestru, pojawią się pytania. Jeśli nagle zniknę, zaczną mnie szukać. Mieszkam tu od trzech lat, należę do tej społeczności. Nie tak jak kiedyś w college'u, parę miesięcy. Jezu, przyjaźnię się nawet z szefem policji i cholernym burmistrzem. Zaczną węszyć. – Obrócił podniesioną dłońią, jakby się zastanawiał. – Mogę prowadzić rozpoznanie na odległość, mogę też wybrać się w weekend na wycieczkę, jedną albo dwie, po przedstawieniu. Nikt tego nie zauważy. Mogę sobie zrobić wakacje po zakończeniu roku szkolnego. Nie będzie żadnych pytań, potem się zastanowię, jak zdobyć kamień. Do sierpnia, powiedzmy. I prawdopodobnie będzie lepiej, jeśli tu jeszcze wrócę i zaliczę jeden rok. Jeszcze jeden rok w tej miejscinie po wykonaniu skoku życia. A potem... – mruknął, nie kryjąc zadowolenia – ...potem będę mógł się stąd ulotnić. Warto wrócić teraz do Europy, będzie tam cudownie. Czy tam, dokąd zechcę się udać. – Sprawił, że w jego oczach pojawiła się ekscytacja. – To są moje warunki. Pięć milionów, połowa z góry, połowa po dostarczeniu diamentu. I trzymaj się ode mnie z dala, kiedy będę pracował. Nie chcę czuć na karku twojego oddechu. Mam do zrobienia legendarną robotę. – Pokręcił głową, łyknął sporo whisky. – Do sierpnia. Do sierpnia przekażę ten kamień w twoje chciwe ręce. To nie jest początek pięknej przyjaźni, LaPorte, tylko kontrakt, bardzo lukratywny dla obu stron. A teraz dopij swoją brandy i zabieraj się stąd. Mam mnóstwo do załatwienia.

– Myślisz, że twoja arogancja i nieuprzejmość są w jakikolwiek sposób czarujące?

– Myślę, że mylisz je z pewnością siebie. A ponieważ uprowadziłeś mnie z mojego obecnego miejsca pracy, groziłeś, że mi dołożysz albo nawet że zabijesz, mam w dupie to, że drażni cię moja nieuprzejmość.

Zaczekał, chcąc się przekonać, czy nie posunął się za daleko, czy Edward o kamiennej twarzy nie wytłucze z niego arogancji, ale LaPorte odstawił kieliszek.

– Przekażę ci, jak masz się ze mną skontaktować.

– Naprawdę? – Gestykułując szklanką, Booth postanowił posunąć się odrobinę dalej. – Oczekujesz, że ukradnę Czerwoną Boginię, ale uważasz, że nie potrafię zdobyć numeru twojej komórki? Dam ci znać, gdzie masz przelać pierwszą połowę. Nie wracaj tutaj. Ktoś cię zobaczy i zaczniesz zadawać pytania? Ktoś cię rozpozna? – koniec z umową. Pozwól mi zabrać się do pracy.

LaPorte niechętnie ruszył do drzwi, a jego ochroniarz otworzył mu je usłużnie.

– Jeśli schrzanisz robotę i uciekniesz, znajdę cię. I nie będę już taki cierpliwy ani wyrozumiały.

Booth czekał, aż posłyszycy odjeżdżający samochód i zobaczy migotliwy blask reflektorów, a potem poszedł na górę i przebrał się w czarny podkoszulek z długimi rękawami i czarne dżinsy;

na nogi włożył czarne buty.

Tak na wszelki wypadek.

Jeśli LaPorte kazał obserwować dom, ciekaw jego pierwszej reakcji, to niczego by się nie dowiedział.

Zapalił światło w gabinecie i spuścił rolety. Oznaczało to, że ktoś jest w środku, ale nic poza tym. Następnie sprawdził nagranie na laptopie, oglądając je uważnie, i utwierdził się w swoich podejrzeniach.

Wymknął się tylnym wyjściem jak cień i po kilku sekundach był już między drzewami.

Znał drogę, wędrował po tych lasach niezliczoną ilość razy w ciągu minionych trzech lat. Mizerny blask księżycy nie oświetlał dostatecznie drogi, ale nie było mu to potrzebne.

Trasy ucieczki od dawna miał już wyryte w pamięci. Może z czasem odprężył się na tyle – zbyt, jak przyznawał – by sądzić, że nie będzie zmuszony z którejś skorzystać, ale ta jedna, potrzebna mu teraz, rysowała się aż nadto wyraźnie.

Światło księżycy rozpraszało mrok panujący w niektórych miejscach, ale inne tonęły w nocnej czerni. Jakaś sowa zahuczała osobliwie, wydając z siebie dwutonowy dźwięk, a w rzece po jego lewej stronie coś plusnęło.

Przeskoczył przez długą, grubą gałąź, zerwaną przez porywiste marcowe wichury, nasłuchując warkotu silnika na drodze, jakiegokolwiek szelestu, który by świadczył o obecności człowieka, nie zwierzęcia.

Wreszcie zobaczył światła w jej oknach, jasne plamy w ciemności.

Zatrzymał się na skraju lasu i popatrzył na drogę. Nikogo.

Widział wyraźnie Mirandę przez okno kuchenne. Jej włosy, zaplecione i spływające na plecy obszernej szarej bluzy.

Odczekał dwie pełne minuty, ale na drodze nie pojawił się ani jeden samochód. Mimo wszystko, nim zbliżył się do tylnych drzwi, obszedł jej dom szerokim łukiem, chcąc się upewnić, że nikogo tu nie ma.

Słuchała muzyki – głośno; zobaczył, jak wyjmuje popcorn z mikrofalówki. Zamiast zapukać, nacisnął klamkę. Okazało się, że drzwi nie są zamknięte. Pokręcił głową i wszedł do środka.

– Miranda.

Nie krzyknęła, tylko wydała z siebie zduszony dźwięk, obróciwszy się na pięcie. Paczka popcornu wystrzeliła w powietrze.

Złapał ją i położył na blacie szafki. Następnie zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku.

– Booth! Co u diabła? – zawołała. – Wystraszyłeś mnie na śmierć.

– Musimy pogadać. Natychmiast. – Opuścił żaluzje. – Zajmij się salonem.

– Co?

– Żaluzje, Mirando. Opuść żaluzje. Nie sądzę, by kazał komuś obserwować twój dom, ale opuść je na wszelki wypadek.

– Kto? Co?

– LaPorte. Jeśli opuścisz te cholerne żaluzje, to wyjaśnię ci wszystko. Idź i zasłoń okna od niechcenia, tak jakbyś chciała się położyć.

Nigdy go takiego nie widziała – zimnego, groźnego, niecierpliwego. Jej serce wybijało nerwowy rytm.

– Jeśli próbujesz mnie przestraszyć, to gratuluję. Udało ci się.

– I dobrze. Upewnij się, że drzwi od frontu są zamknięte.

Poszła do salonu, spuściła drewniane rolety. Kiedy zbliżyła się do drzwi, a on usłyszał zgrzyt zamykanego zamka, powiedział:

– Później udzielę ci lekcji na temat niezabezpieczonego domu. Usiądź.

– Nie zrobię tego, póki mi nie powiesz, co się dzieje, do diabła. Co z tym LaPorte'em?

– Odnalazł mnie. Razem z dwoma swoimi bandziorami czekał na mnie pod szkołą, kiedy wychodziłem z próby.

– Och, Booth! – Irytacja przeszła w niepokój. – Zrobił ci coś?

– Nie. Nigdy od tego nie zaczyna. Na pierwszy ogień idą zastraszania, groźby, żądania. Chce mi dać niedwuznacznie do zrozumienia, że to on rozdaje karty, że on ma w ręku wszystkie

asy. Ale popełnił jeden błąd.

Przechadzał się nerwowo tam i z powrotem; świadomość, że nic jej już nie zagraża, tłumiała tłący się w nim niepokój. Postanowił, że później poradzi sobie z gniewem. Teraz należało spojrzeć chłodnym okiem na sytuację, ustalić kolejne kroki, opracować plan.

– Kłamał. Kłamał jak najęty, mówiąc mi, że przez cały czas wiedział, że tu jestem. To rozdęte ego, próżność, zabawa we władzę... i błąd. Szalony błąd.

– Skąd wiesz, że kłamał?

– Gdyby naprawdę wiedział, gdzie jestem, nie czekałby tak długo. Ta ekipa telewizyjna w księgarni... nakręcili materiał filmowy, w którym pokazali ścianę z tablicą lektur polecanych przez uczniów z Westbendu, a Carolyn wymieniła mnie tam z imienia i nazwiska. Musiał cały czas badać grunt, a może ma wtyczkę w TV. Nie wiem. Sebastian Booth – te dwa słowa. I ty. Dwa dodać dwa... i zaczął szukać głębiej. Uważam więc, że kłamał, bo wpadł na mój trop przypadkiem.

– Ponieważ zgodziłam się głupio, żeby podpisywać swoją książkę. Ponieważ...

– Nie, Mirando – przerwał jej w pół słowa. – Nie stało się to z powodu niczego, co zrobiłaś, tylko dlatego, że LaPorte jest niczym kot czatujący przy mysiej dziurze, a mnie postrzega jako mysz. Ale cholernie się myli.

– Czego chce? Co masz zrobić? Co...

– Odetchnij i usiądź. Proszę.

Usiadła, złączyła dłonie, odetchnęła. Czuła dotkliwie, jak ta zablizniona rana w jej sercu otwiera się ponownie.

– Musisz wyjechać, prawda? – spytała. – Znowu zniknąć. Tym razem chciałeś mnie o tym uprzedzić. Tak?

– Nigdzie się nie wybieram, Mirando. Mam na głowie wiosenny musical, a zaraz potem egzaminy końcowe.

– Nie rozumiem.

– Uciekałem kiedyś, bo nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić. On dysponował władzą, a ja się go bałem. Z powodu Mags, z powodu ciebie, z powodu siebie samego. Powtarza teraz ten schemat, nieomal identycznie, ale tym razem nie ma już do czynienia z tym samym człowiekiem. I kłamał. – Uśmiechnął się nieznacznie, wiedząc, że cały ten strach, z jakim dotąd żył, rozwiął się niczym dym. – Kłamał, żebym uginał się pod ciężarem świadomości, że może mnie w każdej chwili dorwać. Ale nie może, a ja jestem lepszym kłamcą od niego. – Usiadł naprzeciw niej na stoliku do kawy. – I tym razem zamierzam powiedzieć ci wszystko. Nie wie, że Mags i ja wciąż utrzymujemy ścisłą więź. O ile się orientuje, nie widziałem jej od lat – i wykorzystałem to. Powiedziałem mu, że ona nic dla mnie nie znaczy. Ani ty. Mój pech, że się tu zjawiłaś, jeszcze większy, że mnie spotkałaś i rozpoznałaś. Ale zagrałem na dawnych uczuciach, uraczyłem cię smutną historyjką. Mam to nagrane, więc sama możesz odsłuchać.

– Aha. Nagrane.

– Przycisk na mojej skrzynce od alarmu. Pilot uruchamia nagrywanie. Wszystko jest na moim laptopie. Teraz najważniejsze punkty. Powiedziałem ci, że Mags – moja jedyna bliska krewna – wpakowała się w kłopoty. Uzależnienie od narkotyków, policja, rozpacz. Musiałem się z tym uporać. Wstyd, potem problemy i tak dalej. Umarła.

– O mój Boże, Booth.

– Użalałaś się nade mną z tego powodu i kupiłaś moją bajeczkę o konieczności zmiany nazwiska. Tak czy siak, kiedy już to załatwiłem, zaciągnąłem cię do łóżka.

Miała istny mętlik w głowie, ale jedno nie dawało jej spokoju.

– Przedstawiłeś mnie jako idiotkę, kompletnie pozbawioną kręgosłupa moralnego.

– Zgadza się i guzik mnie to obchodzi. Było to w tym momencie użyteczne i poręczne.

Wkurzaj się, jeśli chcesz – dodał, kiedy wyraźnie zeszytniała, a w jej oczach pojawiła się twar- dość.

– Wkurzam się, wierz mi.

– Świetnie, ale pozwól mi skończyć. Kupił mój argument, że muszę dotrzeć do końca semestru, tak by nikt mnie nie szukał, nie zaczął węszyć. Sam powinien o tym pomyśleć. Mieszkam tu od trzech lat, nawiązałem trwałe znajomości. To nie to samo, co kilka miesięcy na uczelni. Więc zamiast nieprzekraczalnego terminu kilku tygodni, zyskałem miesiące.

– Termin na co?

– Na to, co mam dla niego ukraść. Czerwoną Boginię.

Zapatrzył się w dal jak człowiek patrzący na coś świętego.

– Co to takiego ta Czerwona Bogini? Posążek? Obraz? Co?

Przeniósł na nią spojrzenie.

– Nie. To czerwony diament, surowy, nieoszlifowany, ma niemal dwadzieścia karatów. I jest nieskazitelnie czysty. To pieprzony święty Graal dla kogoś takiego jak ja. I większość tych, którzy o nim słyszeli, sądzi, że tak jak Graal, jest tworem mitów i legend. Ale on go widział, potwierdził jego autentyczność, trzymał go nawet w ręku.

– Jeśli go ma, to po co mu jesteś potrzebny?

– Nie ma go. Został przelicytowany na aukcji, na nieoficjalnej aukcji. Wszystko jest nagrane. Bogini towarzyszy krwawa historia. To największy czerwony diament na świecie. Ludzie zabijali się dla niego. Niewykluczone, że i mnie zechce zabić, kiedy mu go dostarczę. I bez wątpienia zabije, jeśli tego nie zrobię.

Słyszając ton, z jakim mówił o morderstwie, zaschło jej w krtani.

– Musisz iść na policję albo do FBI czy jakiegokolwiek innej agencji, która zajmuje się takimi sprawami.

– To ostatnia rzecz, jaką zamierzam albo powinienem zrobić. Wylądowałbym w więzieniu, a potem stracił życie – już on by tego dopilnował.

– Więc musisz uciekać, wyjechać. Co innego możesz zrobić?

– To proste. Zamierzam ukraść Czerwoną Boginię.

– Zamierzasz ukraść ją dla niego?! Pozwolić, by znów cię wykorzystał?

Spojrzał na nią z tak bezgraniczną cierpliwością, że miała ochotę go walnąć.

– Nie zamierzam ukraść jej dla niego, Mirando. Zamierzam ją ukraść, a potem posłużyć się nią, żeby mi zapłacił. Zyskałem dość czasu, którego potrzebuję, by to rozgryźć, wykombinować, jak to zrobić. I wykombinuję. Nie jest tym razem moim klientem. Jest cholerną ofiarą. – Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. – Mogłabyś spędzić trochę czasu ze swoim tatą w Oxfordzie, Mirando. LaPorte myśli, że jestem taki sam jak on. Że na nikim mi nie zależy. Nie będzie zawracał sobie tobą głowy, jeśli wyjedziesz do Anglii.

– Nie wyjadę do Anglii.

– Wysłuchaj mnie...

– Nie, nie i jeszcze raz nie. – Podniosła się z miejsca. – Nie. Nie pozwolę, żeby ktoś, kogo na oczy nie widziałam, decydował o moim życiu, zmuszał mnie do zrobienia czegoś, czego zrobić nie chcę. Już wcześniej zniszczył mi życie. To się nigdy więcej nie powtórzy. Nigdy. A teraz chcę się napić. – Ruszyła do kuchni. – Nie jesteś tym samym człowiekiem – dodała, wyciągając korek z butelki sauvignon blanc. – Ja też nie. Chcesz wina?

– Owszem. Zostałabyś w Anglii tylko do sierpnia, może do września. Niewykluczone, że wróciłabyś wcześniej. Muszę coś wykombinować.

– Wykluczone. Nie wiedziałam nawet, że diamenty mogą być czerwone, a teraz ten chciwy drań i jakiś wielki czerwony kamień mają decydować o moim życiu? Nie ma mowy.

– Diamenty występują we wszystkich kolorach, czerwone są najrzadsze, więc cena za karat jest wyższa niż w przypadku pozostałych. Większość jest mała. Tak czy inaczej, ważne jest to, że facet się zafiksował na punkcie tego kamienia. Mogę to wykorzystać. I wykorzystam. A nie chcę, żebyś oberwała przy okazji.

– Niby dlaczego? – Odrzuciła warkocz do tyłu, potem łyknęła wina. – Przekonałeś go, że ci na mnie nie zależy. Posługujesz się mną jako przykrywką. Tak jak się posłużyłeś osobą Mags w tej opowieści, którą mnie kiedyś uraczyłeś. Nikogo nie potrzebujesz, zgadza się? Uwierzył w to czy nie?

– Tak, tak, uwierzył. Dlaczego miałby nie uwierzyć? – Napił się trochę wina, po czym odstawił kieliszek i znów zaczął chodzić tam i z powrotem. – Nie rozumie miłości. Nie kocha nikogo. Nie żywi wobec nikogo żadnych uczuć. Kieruje nim wyłącznie chęć posiadania, uczucia się nie liczą. On nawet nie kocha tego, co posiada. Zagrał przedtem na tym, co do ciebie czułem, na czymś, co postrzegał jako słabość. Myślał, że znów to może wykorzystać, ale teraz mu się już nie uda. Nie posłuży się tobą czy tym, co do ciebie czuję. Nigdy więcej. – Odwrócił się i zobaczył, jak

Miranda stoi w jasnym blasku kuchennych świateł i patrzy na niego szeroko otwartymi oczami. – Boże, musisz to wiedzieć. Nigdy do nikogo nie czułem tego, co czuję do ciebie. Ani przed tobą, ani po tobie. Zawsze byłaś tylko ty. Tylko ty.

– Skąd ci nagle przyszło do głowy, że możesz mówić mi coś takiego, że mogę słuchać, jak mi to mówisz, a potem jak gdyby nigdy nic spakuję się i polecę do Oxfordu?

– Nie mogę ci zaoferować niczego poza tym, co czuję. Oboje o tym wiemy. Teraz, w tej chwili, muszę wykombinować, jak rozwiązać ten problem, bo zanim to zrobię, nigdy nie będziesz do końca poza zasięgiem LaPorte'a. Tak jak Mags. Jesteście dla mnie dwiema najważniejszymi osobami na całym świecie, więc do diabła! zamierzam ten problem rozwiązać.

Jej serce nie wybijało teraz szybszego rytmu. Waliło jak młotem.

– I ten problem jest priorytetem?

– Tak, tak właśnie musi być.

Popatrzyła w swój kieliszek, potem skinęła głową.

– W porządku. Jak mogę dopomóc w jego rozwiązaniu?

– Nie...

– Nie mów mi, że nie chcesz mojej pomocy, że nie potrzebujesz mojej pomocy i że chcesz tylko, bym wyprawiła się kilka tysięcy kilometrów stąd jak jakaś bezradna, bezużyteczna, tchórzliwa księżniczka zamknięta w wieży. – Podeszła do niego i wbiła mu palec w pierś, jakby dla podkreślenia wagi swych słów. – Nie uważam, żebyś był bezradny, Booth, bezużyteczny czy tchórzliwy, i nigdy tak nie uważałam. Jesteś zdecydowany, zdeterminowany, bezpośredni. Zawsze taki byłeś, a ja nigdy nie odgrywałam księżniczki w wieży. I nie mów mi, proszę: będę się martwił, Miranda, i nie zaznam spokoju, póki się nie upewnię, że jesteś bezpieczna.

Nie zdołał się powstrzymać. Wyciągnął rękę, by przesunąć dłonią po jej warkoczu.

– Może widziałem w tobie księżniczkę w wieży.

– Moje uczucia też się liczą, poza tym mam mózg. Masz więc jeszcze jedną szansę. Jak mogę dopomóc w rozwiązaniu problemu?

– Pozwól mi tylko... – Przywarł czołem do jej czoła. – Dostosować się.

– Byle szybko!

Śmiech uwolnił jego ramiona od napięcia.

– Zaczniemy już tutaj. Teraz. Spakuj najpotrzebniejsze rzeczy. Twój dom nie jest zabezpieczony. Mogę się tym zająć, jeśli chcesz. Ale jeśli spakujesz teraz to, co dla ciebie jest nieodzowne, i zatrzymasz się u mnie na jakiś czas, to uwolni mnie to od niepokoju i będę mógł się odpowiednio skupić. Poza tym może uda mi się skorzystać z twoich pomysłów – dodał, nim zdążyła się sprzeciwić. – Wiesz, jak snuć fabułę.

– No, już lepiej. Mogę na to przystać. Będę potrzebowała miejsca do pracy.

– Możesz wykorzystać pokój gościnny, a jeśli nie będzie ci tam wygodnie, przeniosę swoje nauczycielskie graty na górę, a ty rozgościsz się w moim gabinecie.

– Wystarczy pokój gościnny. Daj mi piętnaście minut. – Ruszyła do drzwi, lecz naraz przystanęła i popatrzyła na niego chłodno tymi swoimi oczami morskiej czarownicy. – Będziesz musiał odtąd częściej się dostosowywać, Booth. A w tym konkretnym spektaklu? Nie grasz solo.

„Tym razem nie mógłbym”, jak przyznał w duchu, idąc do kuchni. „Zbyt wiele czynników, za dużo ryzyka, za dużo do stracenia”.

Kiedy Miranda się pakowała, wyjął telefon i skontaktował się z Sebastienem.

Gdy się już uporała ze wszystkim, a on poczynił wstępne kroki, umieścił jej dobytek – większy, aniżeli się spodziewał – w jej samochodzie.

– Odstawimy go tutaj rano – powiedział. – Dopóki się nie dowiem, komu polecił mnie śledzić, niech wygląda, że krążysz między jednym a drugim domem. Tak będzie pewniej.

– Tylko spotkania w celach erotycznych?

– Chwilowo tak.

– Pasuje mi. Jak się dowiesz, kogo tu przysłał na przeszpiegi? Jeśli rzeczywiście tak robi.

– Na pewno kogoś przyśle. Nie przewidział, że będę się upierał przy pozostaniu w mieście, więc na razie nikogo tu nie ma. Ale jutro, najpóźniej pojutrze... Identyfikacja nie powinna nastęrczać trudności. Kogokolwiek przyśle, ten ktoś będzie potrzebował lokum. Albo położonego blisko mojego domu, albo blisko szkoły. Kto zna wszystkich, którzy szukają jakiegoś domu w Westben-

dzie albo jego okolicach?

– Tracey. Oczywiście. – Zaparkowała obok jego samochodu. – Mogę się tym zająć. Rozmawialiśmy o wspólnym lunchu, więc załatwię to. Spytałam tak, żeby niczego się nie domyśliła.

Wiedział, że jego wahanie jest odruchowe, toteż je stłumił.

– Najprawdopodobniej będzie chodziło o wynajem, ale LaPorte może autoryzować też kupno.

– Poradzę sobie, Booth.

– Okej.

Wziął jej walizkę, etui z laptopem, dużą torbę na ramię i już sięgał po jej podręczną torebkę, ale go uprzedziła.

– Będę potrzebowała kluczy i kodu alarmu – oznajmiła, kiedy wnosili jej rzeczy do domu, a potem na górę.

„Dostosować się, dostosować”, upominał się w myślach.

– Mogę urządzić sobie stanowisko pracy dopiero rano – ciągnęła. – Laptop i torbę połóż tam. Będzie mi potrzebne twoje hasło do wi-fi. – W jej zachowaniu nie było ani krzty wahania. Weszła do jego sypialni, otworzyła walizkę. – I szuflada, zrób mi trochę miejsca w garderobie. Aha, i przynajmniej jedna szuflada w komodzie, a także w łazience. – Odwróciła się do niego z uśmiechem. – Jak? Dostosowujesz się?

– Tak.

– Boli?

– Odrobinę. Czy mieszkałaś wcześniej z kimkolwiek?

– Wyjąwszy ojca, nie, z nikim. Ale jest chyba jasne, że cechuję się pod tym względem elastycznością. Potrzebuję własnej przestrzeni, tak osobistej, jak i roboczej. Nie jestem niechlujem, ale nigdy nie będę tak obsesyjnie schludna jak ty.

– Nie użyłbym określenia „obsesyjnie”.

– Bo to ty masz obsesję na tym punkcie – prychnęła. – To dobra cecha, ale nie zamierzam dotrzymywać kroku twoim przerażająco wysokim standardom. Ty się dostosujesz, a ja postaram się przestrzegać twoich zasad. I kiedy już się uporamy ze stroną praktyczną naszego wspólnego bytowania, będziemy się mogli skupić na rozwiązaniu problemu.

Wysunął szufladę, wyjął z niej podkoszulki – mnóstwo starannie złożonych podkoszulków – i przełożył je do innej szuflady.

– Wystarczy? – Spojrzał na nią.

Z trudem, ale skinęła jednak głową.

– Chwilowo.

Wszedł do garderoby, poprzesuwał kilka rzeczy. Zawahał się, potem poprzesuwał jeszcze kilka.

– Jest tu mnóstwo miejsca – rzekł. – Pręty i wieszaki, półki. Poza tym korzystam tylko z dwóch szuflad w łazienkowej toalecie. A ona ma ich sześć.

– Świetnie. Będę używała czterech pozostałych.

Jeśli zastanawiał się, po co jej aż cztery, to nie spytał o to.

– Mam ci pomóc?

– Nie.

– Doskonale, świetnie. Przygotuję trochę jedzenia. Nie jadłem kolacji. Masz ochotę na coś konkretnego?

– Ja też nie jadłam kolacji.

– Przyrządziłaś popcorn.

– Na kolację.

Zamiast rozdziawić usta, zamknął na chwilę oczy.

– Nie potrafię tego nawet skomentować. Będę udawał, że nigdy tego nie powiedziałaś. Idę na dół.

Już w samotności, Miranda wypełniła pojedynczą szufladę swoimi rzeczami, skorzystała też z wieszaków w garderobie i wolnego miejsca na półkach. Rozpakowując przybory do makijażu, kosmetyki do skóry i do włosów oraz akcesoria związane z kąpielą, roześmiała się do siebie.

Była to absolutnie koszmarna sytuacja, owszem, ale też sytuacja bardzo rzeczywista i nie-

bezpieczna. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że będzie się jej podobać – już się jej podobała – pod wieloma względami.

„Och, jego twarz”, pomyślała, patrząc na własne odbicie w lustrze łazienkowym. Jej pełen osłupienia wyraz, kiedy wyliczała oczekiwania wobec swojej przestrzeni w „jego” przestrzeni.

Tak nawykły do tego, że ma ją na wyłączny użytek, nawykły do bycia na swoim, do określania własnego harmonogramu. A teraz musiał ustąpić jej miejsca, podzielić się z nią planami, przestrzenią i – przynajmniej chwilowo – swoim życiem.

– Niektóre rzeczy ulegają zmianie, Booth – mruknęła. – I tym razem nie tylko twoje imię.

Wyszła z garderoby i schodząc na dół, zerknęła w stronę wolnego pokoju – jej tymczasowego gabinetu. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak on musiałby się dostosować do tego, że jej miejsce pracy przemieniłoby ten pokój w chaos – według jego skali – w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

Więc, schodząc na dół, postanowiła, że nie będzie o to kruszyć kopii. Miał ważniejsze sprawy na głowie. Ona zresztą też.

Czy mu się to podobało, czy nie, uczestniczyła w tym wszystkim.

LaPorte zniweczył niegdyś jej nadzieje, jej szlachetne młodzieńcze marzenia. Nie zamierzała pozwalać mu na to po raz drugi. Nie zamierzali oboje – ona i Booth.

Kiedy weszła do kuchni, zobaczyła, że znów stoi przy piecyku ze ścierką przerzuconą przez ramię

Jej serce westchnęło, tak jak w wieku dwudziestu lat. Westchnęło, mimo że wiedziała teraz, kim i czym jest Booth.

Przyrzekła sobie, że tym razem upora się z tym. Upora się ze swoimi uczuciami i wszelkimi nadziejami i marzeniami, które z nich wynikały.

Po tym, jak już rozwiążą problem.

Weszła do kuchni.

– Co jest na kolację? – rzuciła.

Rozdział 25

Dokonał małego cudu z makaronem, pomidorami winogronowymi, fasolką cannellini, kilka oliwkami, odrobiną szpinaku. Wyłożył to wszystko na talerze i posypał parmezanem.

Kiedy usiedli, spróbowała potrawy.

– Nie wiem, jak to wszystko zdążyłeś upichcić, kiedy się rozpakowywałam.

– Szalone umiejętności.

– Żartujesz teraz, ale naprawdę je masz. A więc jakich to szalonych umiejętności potrzebujesz, żeby sobie poradzić z wiadomym problemem? Pomysły – przypomniała mu, kiedy się zawałał. – Nie jestem tu po to tylko, żeby jeść i uprawiać seks.

– To problem, by tak rzec, wielowarstwowy, ma się do czynienia z kolejnymi warstwami. Kiedy się już dowiem, kim jest i gdzie się znajduje osoba przysłana przez LaPorte'a – albo osoby, bo spodziewam się przynajmniej dwóch, prawdopodobnie pary, to znaczy udających parę – zdecyduję, jak sprawić, by ci ludzie odnieśli wrażenie, że robię, co trzeba.

– I tym samym La Porte uzna, że wygrał pierwszą rundę?

– Jasne. Może to oznaczać, że trzeba będzie któregoś wieczoru pojechać do Georgetown albo rankiem, w jakiś weekend, żeby mnie śledzili, jeśli chcą. – Już spokojniejszy, wiedząc, że Miranda pojmuje wszystko, jak należy, że jest bardziej skupiona na kolejnych krokach i etapach, napił się wina. – Pozwoli mi to też przyjrzeć się bezpośrednio celowi i jego otoczeniu. Będę musiał wyskoczyć na rekonesans ze dwa albo trzy razy, nawet dysponując schematem poszczególnych pomieszczeń.

– Możesz, ot, tak sobie, zdobyć plany prywatnego domu?

Nawinał na widelec odrobinę cieniutkiego makaronu.

– Szalone umiejętności hakerskie, a jeśli nie okażą się dostatecznie szalone, znam jednego faceta, który je ma. Skarbiec znajduje się zapewne blisko prywatnego gabinetu Mountjoya – człowieka, który jest teraz w posiadaniu Bogini.

– Naprawdę nazywa się Mountjoy?

– Alan C. Dziwnym trafem jego siedziba znajduje się na liście moich potencjalnych celów. – Dostrzegł jej spojrzenie. – Który został odłożony na później, ponieważ zawarliśmy układ. Tak czy inaczej, skarbiec jest usytuowany blisko jego domowego biura, gabinetu czy głównej sypialni. Jest na pewno dobrze zabezpieczony, muszę więc zdobyć schematy instalacji alarmowej i tak dalej. Na co mogę się tam natknąć? – ciągnął Booth, kiedy się posilali. – Na alarmy, kamery, może czujniki ruchu, automatyczne oświetlenie na zewnątrz i jakiś ludzki element. Strażników, którzy obchodzą teren. Czy ma psa? Nie miał w zeszłym roku, kiedy umieszczałem ten cel na swojej liście, ale wszystko się zmienia. Muszę się dowiedzieć, czy ma czworonoga. Domowego, obronnego. Zwykle rezygnuję w takiej sytuacji, ale jeśli trzyma psa, to sobie z tym poradzimy.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie zamierzasz go chyba skrzywdzić?

– W tej chwili to tylko domniemany zwierzak, Mirando, i jeśli zamieni się w rzeczywistego, to nie, nie zamierzam go skrzywdzić. Czerwone mięso. Pies to pies, a psy skuszą się na ładny kawałek steku. Jeśli sobie nie poradzę w ten sposób, znajdę jakiś inny. Ktoś będzie musiał go odciągnąć.

– Ktoś? Jedno z nas?

Popatrzył na nią kamiennym wzrokiem.

– W tym przypadku ciebie to nie dotyczy. Skontaktowałem się już z Sebastienem. Zacznie się zajmować następną warstwą problemu. LaPorte dysponuje czymś w rodzaju sieci – ciągnął Booth. – Ludźmi mojego fachu, tymi, którzy dokonują rozpoznania, zbierają informacje, cynglami. Własnymi ochroniarzami i tymi, którzy mogą się wybrać w drogę, jeśli trzeba kogoś zastraszyć, przycisnąć go. Albo gorzej.

Z pozoru posilała się spokojnie, ale wewnątrz aż zadrżała.

– Mówisz o zabójcach? Wynajętych mordercach?

– Zgadza się. Powiedzmy, że chce zdobyć coś w Lyonie, a właściciele nie zamierzają tego sprzedać – i z pewnością nie za proponowaną przez niego cenę. Więc wysyła kogoś, żeby ich przekonał. W taki czy inny sposób.

Zdradził jej wcześniej parę rzeczy o LaPorcie, ale ona nie pojmowała w pełni władzy i spaczony natury tego człowieka.

Uznał, że powinna ją poznać.

– Pożąda różnych rzeczy, zwłaszcza jeśli należą do kogoś innego. Ważnych rzeczy, rzadkich, unikatowych, bezcennych, a kiedy czegoś pożąda, nic nie może stanąć mu na przeszkodzie. Zabijanie – na zlecenie – to dla niego tylko usunięcie przeszkody.

– Jest uosobieniem zła.

Wzruszył ramionami.

– Myślę o nim bardziej jako o człowieku wynaturzonym, ale możemy przystać na to zło. Nie wie, że od lat analizuję jego metody i schematy postępowania. Znam też trochę tę jego sieć, a Sebastien zacznie działać na tym właśnie poziomie.

– A co to za poziom?

– Potrzebny mi jelen. Mam kogoś na myśli, ale musimy popracować nad logistyką.

– Jeleń? Nie co dzień słyży się to słowo. – Nadziała na widelec pomidora. – Po co ci jelen?

– Żeby wszystko poszło na jego konto i żeby był związany z LaPorte'em, a tym samym pociągnął go ze sobą na dno.

– Chwila, chwila. – Sięgnęła wcześniej po kieliszek, teraz odstawiła go z powrotem. – Zamierzasz kogoś wrobić, Booth? Jednego ze swoich własnych... współpracowników?

– Nie współpracownika. Kogoś mojego fachu, kto nie odznacza się, jak to mówisz, moją słabą moralnością. Kogoś, kogo bawi włamywanie się do czyjegoś domu i terroryzowanie jego mieszkańców. I hej, jeśli trzeba dołożyć żonie właściciela, żeby poznać szyfr do sejfu, to tym lepiej. Tacy skurwiele psują nam opinię. Więc owszem, zgadza się. – Nawinał na widelec jeszcze więcej makaronu. – Zamierzam wrobić faceta. LaPorte go najmie, żeby ukradł Boginię, poinstruuje, że to cicha robota. Czyli żadnej przemocy, żadnych śladów. A on pozostawi ślady, i to mnóstwo.

– Nie rozumiem. Po co LaPorte miałby go wynajmować, skoro ma ciebie?

– Jeleń będzie tylko myślał, że to LaPorte, ale to ja go wynajmę. – Booth uśmiechnął się do niej, a w jego głosie pojawiła się miękka, arogancka nuta rodem z Południa Stanów. – Milion dolarów powinno załatwić sprawę, plus dwa dodatkowe po dostarczeniu towaru.

– Nieźle. LaPorte rzeczywiście ma taki akcent?

– Możesz sama posłuchać na nagraniu. – Zastanawiał się w trakcie jedzenia i zaczął już snuć plany, jakby opracowywał jakiś przepis kulinarny. – Potrzebuję lokum w Lake Charles, czegoś porównywalnego z siedzibą LaPorte'a. Musimy znaleźć miejsce i czas – i sprawić, by właśnie w tym momencie LaPorte miał kiepskie alibi. Zwabię jelenia dokładnie w to miejsce i dokładnie o tej godzinie. – Popatrzył przed siebie, jakby widział to już oczami wyobraźni. – Będziemy potrzebowali czasu, żeby wszystko przygotować, dom musi być pusty od pięciu do dziesięciu godzin, żeby odpowiednio to zaaranżować. Ściągnąć faceta w nocy, zorganizować spotkanie w pokoju wyglądającym jak gabinet LaPorte'a, załatwić interes, a potem zwinąć dekoracje i wynieść się.

– Mówisz o tym tak, jakby to było bardzo łatwe. A nie jest.

– Owszem, nie jest. Warstwy, posunięcia, synchronizacja w czasie. Szczegóły. – Zmarszczył czoło, rozważając już te, które pojawiały się w jego głowie. – Dopracowanie będzie wymagało czasu.

– Ale czy ten jelen nie widział wcześniej LaPorte'a, nie był u niego w domu?

– Nie mogę na razie potwierdzić, czy był kiedykolwiek w Lake Charles, ale miał osobiście do czynienia z LaPorte'em. To akurat nie stanowi problemu. Nie bez powodu zasłużyłem na przydomek „Kameleon”. Będę musiał cały czas tkwić za biurkiem. Jestem o dobre siedem centymetrów wyższy od LaPorte'a, ale poradzę z tym sobie. Potrzebuję odpowiedniego miejsca i od pięciu do dziesięciu godzin. Popracuję nad tym. – Dołał jej wina. – Widziałas *Źądło*, prawda?

– Z Newmanem i Redfordem? Klasyk. Jasne.

– Nie będzie to tak wyrafinowane czy wymagające udziału aż tylu ludzi, ale oparte na tej samej koncepcji. No i wrobimy na końcu dwóch złych gości. Uda się. Dopilnuję tego.

„Niezachwiana pewność siebie”, pomyślała. Podziwiała ją, nawet jeśli sama jej nie podzielała.

– Wydaje się, jakbyś nie mógł się już doczekać.

– Bo nie mogę. Jeśli przyświeca mi jakiś cel od chwili wyjazdu z Chapel Hill, to odpłacić mu pięknym za nadobne, sprawić, by porządnie to odczuł. Mam w tej chwili jasną wizję tego celu. Wiem, jaka będzie końcówka naszej gry, muszę się tylko zorientować, jak dojsć do tego etapu.

– A jeśli ten twój jeleń skontaktuje się z LaPorte'em?

– Dopilnuję, żeby tego nie zrobił. Znam schemat. LaPorte nie lubi, żeby go niepokojono albo żeby zostawiać jakikolwiek ślad, który mógłby do niego doprowadzić. Bierzesz robotę, wykonujesz ją i nie kontaktujesz się z nim – chyba że on się z tobą kontaktuje. Mogą cię złapać, a niektórzy dają się złapać. Możesz podać policji jego nazwisko, bo chcesz iść na ugodę. Jakiś śledczy może zechcieć pogadać z LaPorte'em, ale na tym się kończy, bo nie ma żadnego powiązania, żadnego dowodu.

– Ale tym razem będzie?

– O tak. – Uśmiechnął się teraz nie tylko pewien siebie, ale też rozbawiony. – Wierz mi, będzie.

– Najwidoczniej ci wierzę. Ja też potrafię wyszukiwać potrzebne informacje. I zamierzam posłużyć się tymi umiejętnościami, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tym diamencie. I chciałabym zobaczyć to nagranie.

– Okej. Tylko musisz pamiętać, że go oszukiwałem. Rzeczy, które mówiłem...

– Nie myliłam się co do ciebie dwanaście lat temu. I nie myślę się teraz. Jeszcze tylko jedno pytanie. Co zamierzasz później zrobić z Czerwoną Boginią, kiedy już ją zdobędziesz?

– Mam kilka pomysłów... zastanawiam się. Ale na pewno nie zatrzymam diamentu ani go nie sprzedam.

– Jak dotąd w porządku. Umówię się z Tracey, sprawdzę, co wie o ofertach wynajmu czy kupna, powiem jej też, że przedłużę umowę do sierpnia.

– Miranda...

– Przez cały ten czas, pamiętasz? Siedzę w tym po uszy. Nie gdzieś z boku, nie gdzieś daleko, tylko w samym środku.

– Jeśli coś pójdzie nie tak, jeśli mnie złapią...

– Nie złapią. Czy nie powiedziałeś, że dasz radę? Jeśli jesteś taki pewny siebie, to zachowaj trochę tej pewności i dla mnie. Tym razem masz wsparcie. Masz zespół. Przywyknij do tego. –

Wstała. – Ty gotujesz, ja zmywam. Myślę, że to najlepsze rozwiązanie dla nas obojga. – Zniosła talerze do zlewu. – Och, nie zapomnij. Potrzebuję kluczy i kodu.

*

Żył po swojemu od bardzo dawna – własna przestrzeń, własny porządek dnia, własny rytm. Booth nie postrzegał się jednak jako ktoś, kto miałby problemy z ustąpieniem miejsca, dzieleniem się, wzajemnym przenikaniem. Więcej, pragnął jej tutaj – dla jej własnego bezpieczeństwa, dla siebie.

Chciał jej po prostu.

Mimo wszystko doznał krótkotrwałego, nieoczekiwanego wstrząsu na widok jej ubrań w swojej garderobie i szczoteczki na toaletce.

Urządziła sobie naprędce miejsce do pracy i w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin przemieniła porządek pokojowego gościnnego w twórczy chaos.

Ponieważ trochę go kusiło, żeby go posprzątać, zaczął się zastanawiać, czy ta nowa sytuacja nie stanowi jednak dla niego pewnego problemu.

Powiedział sobie, że nauczy się to ignorować i co ważniejsze, miał na głowie coś innego niż porozrzucane papiery i walające się filiżanki po kawie.

Jak zwykle starał się wszystko odpowiednio poszufladkować, jedyny sposób, w jaki mógł wieść te wszystkie rodzaje życia, które sobie wybierał.

Prowadził lekcje, oceniał wypracowania, zajmował się sporadycznie jakimś niesfornym uczniem czy, co gorsza, marudnym rodzicem.

Robił próby spektaklu, a ta najważniejsza, kostiumowa, już majaczyła na horyzoncie.

Rozmawiał z Sebastienem i porządkował uzyskane dane i materiały.

I planował co bardziej skomplikowane etapy swojej roboty.

Nade wszystko chciał odseparować Mirandę od tych wszystkich planów. Może rzeczywiście pragnął ją zamknąć w wieży jak księżniczkę – i co w tym było złego, do diabła?

Nie potrafił ustrzec matki przed rakiem i stracił ją.

Nie zamierzał tracić Mirandy.

Ona jednak obstawała przy swoim.

Omawiał z najmłodszą klasą *Burzę* – nowy wspaniały świat, czary, zdrada, romans. I myślał o jej lunchu z Tracey.

Powiedział sobie, że Miranda da radę, i odłożył to na bok w imię Prospera i Kalibana.

*

Miranda uważała, że sobie poradzi, kiedy zjawiała się w Water's Edg dziesięć minut przed czasem. Chciała posiedzieć przy ładnym stolczku na dworze, w przyjemnym delikatnym wiatku i z kieliszkiem Pinot Grigio, nim zjawi się Tracey.

„To łatwe zadanie”, jak przekonywała się w myślach, „i przyjemne”, lubiła Tracey. Mieszkając w rodzinnym domu, rzadko kiedy umawiała się na lunch z jakąś przyjaciółką, na ogół ściśle się trzymała pisarskiego harmonogramu. To tutaj stanowiło miły przerywnik – z czymś w rodzaju wisienki na torcie.

Niby-wymyślny lunch z przyjaciółką w rześkich powiewach wiosennego wiatru nad wodą. I jak na to liczyła, kilka pewnych informacji, które pomogłyby Boothowi.

Chciała mu pomóc – jeszcze jedna wisienka na torcie – chciała doznać podniecenia jako uczestniczka wielkiej kradzieży stulecia.

Co dziwne, nie odczuwała najmniejszych nawet wyrzutów sumienia. Ale to, co zamierzał Booth ukraść, zostało już wcześniej ukradzione i łączyło się z morderstwem dokonany z zimną krwią.

Nie była to w tym przypadku kradzież dla zysku; wiedziała, że jej własny kodeks moralny nie jest tak słaby. Traktowała to wszystko jako formę naprawienia zła.

Ponieważ zemsta stanowiła dla niej szarą i nieznaną strefę, uznała całą rzecz za wymierzenie sprawiedliwości.

Niezachwianie wierzyła w sprawiedliwość.

Zamówiła drinka i rozsiadła się wygodnie. Ubrała się odpowiednio na takie dziewczynskie spotkanie. Śmiała fioletowa kurtka sztruksowa, lniane spodnie i koszulka, seksowne wysokie buty, do tego wzorzysty szalik.

Zauważyła, jak Tracey, ubrana na czerwono i kremowo, spieszy spóźniona o dziesięć minut – dokładnie tak, jak się spodziewała Miranda.

– Przepraszam! – zawołała. – Och, tak przepraszam.

– Daj spokój! – Śmiejąc się, podniosła kieliszek. – Rozkoszowałam się widokiem i winem. Mam nadzieję, że też się napijesz, a ja nie będę się czuła jak popołudniowa pijaczka.

– Jeśli nie mam innego wyjścia... to samo – zwróciła się Tracey do kelnera. – Dzięki, Rod. Cudnie. Nie sądziłam, że uda mi się kiedykolwiek namówić cię na lunch.

– Naprawdę potrzebowałam chwili oddechu. I dziękuję za przedłużenie wynajmu.

– Zrobiłam to z radością. Nie mogę się już doczekać, kiedy przeczytam twoją książkę. To wszystko jest takie ekscytujące. Mam nadzieję, że znajdujesz trochę czasu, by cieszyć się domem, wodą, ogrodami. Wszystko zaczyna już pomału kwitnąć.

– Tak, i to jest niesamowite. Bałam się, że ktoś inny zarezerwował sobie ten dom i będę musiała się przenieść. Masz pewnie chętnych na okrągło, zwłaszcza jeśli chodzi o domy nad rzeką.

– Interes się kręci. Dzięki, Rod – powtórzyła, kiedy kelner przyniósł jej wino.

Wyrecytowawszy propozycje na lunch, dodał, żeby się nie spieszyły z zamówieniem.

– Musisz spróbować przystawki calamari. Może jedna porcja na nas obie?

– Świetnie.

– Od tego zaczniemy, Rod, a nad resztą się zastanowimy. – Tracey rozsiadła się wygodnie i łyknęła wino. – Ach.

Miranda kuła żelazo, póki gorące.

– Jesteś bardzo zajęta?

– Owszem, nie narzekam.

„Kuj dalej”, pomyślała.

– Zjawił się jakiś nowy klient?

– Szczerze mówiąc, sfinalizowałam właśnie trzymiesięczny wynajem domu, nieopodal twojego. Jest zwykle wynajmowany w sezonie na tydzień, ale ta akurat para chce w nim zamieszkać na trzy miesiące. Mili ludzie, jeśli będziesz miała okazję ich poznać. On pracuje w Waszyngtonie i jeśli nie może robić tego zdalnie, musi dojeżdżać. Ona jest fotografką, pracuje nad serią zdjęć przyrodniczych, dlatego zależało jej na tej lokalizacji.

– Doprawdy? To bardzo interesujące. Znam jej twórczość?

– No cóż, ja nie znam. Są z Waszyngtonu, a to miejsce to dla niej nowy teren. Przypuszczam, że traktuje swoje zajęcie bardziej jak hobby, albo przynajmniej tak było dotychczas, a on spełnia jej zachcianki. Dom jest raczej sezonowy – stoi zamknięty od późnej jesieni do wiosny i nie był odnawiany od dziesięciu lat, więc to gratka dla naszej agencji i dla właścicieli.

– Na to wygląda. – Miranda przełamała miękki, tłusty, ostro przyprawiony paluszek chlebowy i podała kawałek Tracey. – Czym się zajmuje jej mąż?

– To jakaś supertajna robota rządowa, bo mówił na ten temat wymijająco.

Ramiona Mirandy drgnęły nerwowo.

– Uwielbiam tajemnice. Sprawdzasz swoich klientów?

– Ma się rozumieć. Pracuje dla firmy o nazwie Legacy Consultants, brak bliższych informacji. Ona jest wolnym strzelcem, dziwię się, że traktuje to jak hobby. Tak czy inaczej, zdolność kredytową mają w porządku, uregulowali należność za pierwszy miesiąc i wpłacili prowizję, nie narzekali też na przestarzałą kuchnię i łazienkę. A trudno znaleźć chętnego na tę nieruchomość, nawet na tygodniowy pobyt. Myślałam, że dom będzie stał pusty przez większość sezonu, a tu nagle bum! Zainteresowali się kilka dni temu, jutro się wprowadzają.

– Gratulacje. – Miranda stuknęła się kieliszkiem z Tracey.

– Dzięki. Dość już o nieruchomościach. Co u ciebie?

Podzieliły się przystawką, zjadły sałatki i pochłonęły na spółkę wielką porcję ciasta czekoladowego z lodami waniliowymi.

„Łatwe zadanie”, rozmyślała Miranda, jadąc z powrotem do domu Bootha. „I bardzo przyjemne”.

Postanowiła, że następnym razem umówi się z Tracey na zasadzie przyjacielskiego spotkania.

Doszła do wniosku, że nie zaszkodzi obejrzeć przy okazji wynajęty dom nad rzeką.

*

Kiedy Booth zjawił się po długiej próbie przedstawienia, zastał Mirandę przy kuchennej szafce z tabletem i kieliszkiem wina. Fakt, że sprawiała wrażenie osoby całkowicie zadomowionej, wywołał w nim mieszane uczucia. Osobliwość sytuacji, w której ktoś tak bardzo usadowił się w jego prywatnej przestrzeni, klóciła się z przyjemnością, jaką dawała myśl, że tą osobą jest Miranda.

Wyczuł w powietrzu słodką i jednocześnie pikantną woń, kiedy odsunęła tablet i uśmiechnęła się do niego.

– Cześć. Jak ci poszło?

– Mogło być gorzej.

Skierował się do gabinetu i położył teczkę na biurku.

Wstała, żeby go pocałować; „dziwnie normalne”, pomyślał.

– Zajęłam się kolacją.

– Gotowałaś?

– Sprawiasz wrażenie zszokowanego i zaniepokojonego. Zajęłam się kolacją, a robię to tak, że zamawiam chińszczyznę. I mam nadzieję, że jesteś głodny, bo nie wiedząc, na co masz ochotę, zamówiłam po trochu wszystkiego. Nalej sobie wina i siadaj. Przyniosę jedzenie.

– Tylko cola. Muszę jeszcze popracować. Mirando... dziękuję ci.

– To się nazywa praca zespołowa, pamiętasz? – Czując się jak u siebie w domu, wyjęła

z piecyka ogrzane kartoniki i pojemniki, potem zaczęła napełniać miseczki i półmiski. – Może przyzwyczaiłeś się do gotowania co wieczór, ale nie musisz, kiedy masz za sobą dwunastogodzinny dzień w szkole, a po powrocie do domu czeka cię jeszcze zajmowanie się wiadomym problemem. – Poruszyła energicznie głowę, zarzucając na plecy warkocz, i postawiła jedzenie na stole. – Pomyślałam sobie, że jeśli nie masz nic przeciwko temu, to będę zamawiała coś czasem, przynajmniej do chwili, aż uporasz się z tym swoim przedstawieniem.

– Byłoby wspaniale.

– Uznaj, że sprawa jest załatwiona. Zajmę się tym.

Wyłączył piekarnik, gdyż zapomniała to zrobić. Wyjął colę, po czym usiadł z nią przy stole.

I wziął ją za rękę.

– Doceniam twoje starania.

– To tylko chińszczyzna na zamówienie, Booth.

– To jedzenie, o które nie musiałem się troszczyć. Nie pamiętam już, kiedy ktoś przygotował dla mnie kolację.

Nie bardzo wiedziała, dlaczego podskoczyło w niej serce, ale ścisnęła mu pospiesznie dłoń.

– Korzyści, jakie daje obecność gospodyni domowej. Och, i zauważyłam dzisiaj coś jeszcze.

Nie mam pojęcia, dlaczego umknęło mi to wcześniej.

– Co takiego?

– Masz kajak podczepiony do sufitu wiaty.

– Tak, trzymam go zazwyczaj na wodzie o tej porze, ale byłem ostatnio zajęty. Mogłabyś wypożyczyć taki, jeśli chcesz, a ja nauczę cię nim pływać.

– Zapominasz, że dorastałam nad jeziorem. – Zaczęła od kurczaka generała Tso. – Pływam kajakiem od czasów dzieciństwa. Może wybierzemy się razem na spływ w wolnej chwili.

„Coraz więcej normalności”, pomyślał. „Prostej, przyjemnej normalności”.

– Pogoda na weekend nieźle się zapowiada.

– Jeśli książka mi na to pozwoli, może wybiorę się jutro do miasta w sprawie tego kajaka. Tymczasem spotkałam się dziś z Tracey na bardzo miłym lunchu, jeśli cię to interesuje.

– Jezu, działasz jak błyskawica. Myślałem, że zaplanowałaś to na koniec tygodnia.

– Miała dziś wolną chwilę, więc skorzystałam. Trzeba ci wbić kilka informacji do mózgu, który i tak jest już zatłoczony. Po pierwsze, nie zdążyłam nawet wykorzystać swych przebiegłych sztuczek, by się przekonać, że miałeś absolutną rację co do ludzi LaPorte'a. – Westchnęła cicho, patrząc przez oszklone drzwi. Booth natychmiast zerwał się na równe nogi. – Przepraszam, to nic. Zobaczyłam kolibra. Błyszczał jak ruchliwy szafir przy twoim karmniku. Moje ulubione ptaki, a ten jest pierwszy, jakiego zobaczyłam tej wiosny.

– W porządku. O kim mówisz i skąd wiesz, że to właśnie LaPorte ich przysłał?

– Tracey nie powiedziała, jak się nazywają... może należało wykorzystać te przebiegłe sztuczki, żeby to z niej wyciągnąć, ale nie pomyślałam o tym. Małżeństwo, on pracuje rzekomo – na ogół zdalnie – w Waszyngtonie, dla firmy konsultingowej. Legacy Consultants. Ona, jak twierdzi, jest fotografką, wolny strzelec, chce się skupić na życiu przyrody. Znasz dom, który stoi jakieś osiemset metrów stąd? Taki mały, jeden z tych starszych? Tracey twierdzi, że wymaga solidnego odnowienia i jest zwykle wynajmowany w sezonie tylko na tydzień, w dodatku bardzo rzadko. A ci wynajęli go z miejsca na trzy miesiące. Dziś się wprowadzili.

– Znam go. – Od razu sobie przypomniał. – Właściciel przyjeżdża tam z kumplami na długie weekendy. Łowią ryby. Ten dom bardziej wymaga generalnego remontu niż odnowienia. Widok, jaki zapewnia, to żadna rewelacja, ale stoi na uboczu. Gwarancja prywatności.

– Na podejździe stoi mercedes g-wagon i dwumiejscowy kabriolet bmw. Tak, musiałam to sprawdzić w necie, bo nie odróżniam jednego od drugiego. Skoro mają takie wozy, to mogli sobie pozwolić na wynajęcie czegoś znacznie lepszego, więc moja detektywistyczna żyłka podpowiedziała mi, że chodziło o lokalizację. Odosobnione miejsce, w odległości niespełna kilometra. A uzbrojony w aparat i polujący na ciekawostki przyrodnicze fotograf, który wędruje po tych lasach i szlakach nadrzecznych, nie wzbudza podejrzeń, prawda?

– Teraz będzie wzbudzał. Jak się dowiedziałeś o tych samochodach?

– Mówiłam ci. Zajrzałam do internetu.

– Chodzi mi o to, skąd wiedziałeś, że to właśnie te samochody?

– Bo je widziałam i mogłam się zorientować w ich marce, kiedy tamtędy przejeżdżałam. To droga publiczna, Booth – wyjaśniła, nim zdążył się odezwać. – I droga, przy której teraz mieszkam. Jazda po niej to coś normalnego, naturalnego i spodziewanego. Zauważyłam samochody i to, że opuścili wszystkie rolety. Ta sama żyłka detektywistyczna mówi mi, że wprowadzając się, robią tam coś, co chcą ukryć przed wścibskimi oczami.

– Zakładają systemy bezpieczeństwa, szykują miejsce do pracy. Dobrym pomysłem byłoby zainstalowanie w lesie kilku kamer do obserwacji przyrody, skierowanych na mój dom. Myślę, żeby zrobić coś, co będą mogli przekazać LaPorte’owi, aby był z nich zadowolony.

– Mogłabym upiec kilka ciastek, a może lepiej wyciąć numer z fałszywymi ciastkami i położyć na talerzu kilka z miejscowej piekarni. Zanieść im pod hasłem „witajcie w sąsiedztwie”.

– Po pierwsze, nie. – Zjadł sajgonkę, popił colą. – Po drugie... jakie fałszywe ciastka?

– No wiesz, gdybym chciała naprawdę kogoś powitać, nie naraziłabym go na własne wypieki. To powszechny zwyczaj, zwłaszcza tam, skąd pochodzę. Odwiedziny z ciastem, niekoniecznie fałszywym. Wiesz, „cześć, witamy serdecznie”, tego rodzaju komunikat. Potem masz nadzieję, że powodowani grzecznością oni zaproszą cię do siebie, a ty wtedy się tam rozejrzysz.

– Ponownie nie. Ustalę, jak się nazywają, i sprawdzę, czego mogę się o nich dowiedzieć.

– Jak chcesz to zrobić, skoro ich nie spytasz? A właśnie do tego potrzebujesz ciasteczek.

– Nie, muszę tylko zhakować bazę danych w biurze Tracey. Mógłbym ją o to otwarcie spytać, gdybym na nią wpadł, ale tak będzie szybciej.

– Och.

Zdał sobie sprawę, że Miranda zastanawia się nad etyczną stroną hakowania.

– Gdyby Tracey wiedziała, mogłaby nam pomóc, ale nie możemy jej wtajemniczać, więc chyba nie ma innego wyjścia. Ale czy nie posługiwaliby się fałszywymi nazwiskami?

– Najprawdopodobniej i również najprawdopodobniej Tracey ma w swojej bazie informacje z ich podrobionych praw jazdy. Mogę zastosować technologię rozpoznania twarzy.

Zaskoczona i jednocześnie zaintrygowana znowu usiadła.

– Potrafisz to?

– Nie miałem z tym zbyt często do czynienia, ale owszem, potrafię. Albo może zrobić to Jacques, facet, którego znam. Albo Sebastien. – Mówił w zamyśleniu, patrząc na zewnątrz. – Jest już prawie ciemno. Za późno na przechadzkę po lesie – uznał. – Poza tym najprawdopodobniej nie zamontują kamer aż do jutra, kiedy będę w szkole. Chcę się przyjrzeć ich sprzętowi, tylko najpierw sprawdzmy, czego się możemy o nich dowiedzieć.

– Zamierzasz się tam zakraść, prawda?

– Owszem, ale nie określiłbym tego w ten sposób.

– A jak?

– Nazwałbym to pracą. Znajdziemy w ten weekend trochę czasu, żeby popływać kajakiem. To ładna trasa na tym odcinku rzeki. Okej, pozmywam naczynia.

– Nie, najwidoczniej twój zatłoczony umysł przebywa gdzieś setki kilometrów stąd. Ja się tym zajmę. Idź i hakuj.

Musiał przyznać, że nie jest do czegoś takiego przyzwyczajony.

– Dzięki. To powinno zająć tylko chwilę.

Zastanawiała się nad tym, kiedy wchodził na górę. Tylko chwila... czy było to coś złego, bo oznaczało, że Booth jest biegły w zdobywaniu prywatnych i biznesowych informacji? Czy coś dobrego, bo mógł się szybko dowiedzieć czegoś o ludziach, których wynajął LaPorte, by go śledzili – albo zrobili coś gorszego, gdyby nie spodobało im się to, co zobaczą?

Zapakowała pozostałości z kolacji – zamówiła o wiele za dużo – i włożyła naczynia do zmywarki. Poznała już wymagania swego współlokatora, więc wytarła starannie wszystkie powierzchnie.

A ponieważ chciała się przyjrzeć, jak hakuje, poszła na górę.

Rozdział 26

Usłyszała jego głos i nutę śmiechu, kiedy zbliżała się do sypialni. Siedział przy komputerze w swoim sekretnym pokoju, rozmawiając z człowiekiem widocznym na ekranie.

Dobrze wyglądający starszy mężczyzna, burza srebrzystoszarych włosów, mała bródka, żywe oczy. „Z pewnością Sebastien”, jak pomyślała. „Zwłaszcza sądząc po akcencie”.

Nagle ukazał się dziwny mały pies o wyłupiastych oczach i polizał ekran.

– *Mais*, kocha cię ponad wszystko, ten mój Wiluś.

– Dlaczego go poniżyłeś, zakładając mu obrozę z imitacji diamentu?

– Prezent od naszej Mags. Obroza mu się podoba. No dobra, jesteś pewien, że ten facet to Cannery?

– W stu procentach. Rozpoznałem go z czasów naszego nieudanego skoku w Calais. Minęło kilka lat, gość zapuścił brodę, ufarbował włosy na brązowo, ale nie zapominam twarzy.

– Ani niczego innego. Myślę, że LaPorte przysłał nie tylko szpiegów. Cannery to egzekutor.

– Nie dam mu powodu do wykazania się swoimi umiejętnościami. Muszę ustalić tożsamość tej kobiety. Przedstawia się jako Lori Slade, ale to bzdura. Aczkolwiek wiedząc, że ściągnął kogoś takiego jak Cannery, chcę, żebyś uważał. Nie spuszczaaj Mags z oka, Sebastien. Tak na wszelki wypadek.

– *Cher*, ani na chwilę nie spuszczaam naszej Mags z oka, całe moje ciało nie spuszcza jej z oka, kiedy tylko jest to możliwe.

– Jezu, Sebastien, wrzuć na luz, to wciąż moja ciotka.

Booth przesunął dłońmi po twarzy. Pies znowu podskoczył, trzymając w zębach małą pluszową mysz, jakby chciał ją komuś zaoferować.

– Wiluś chciałby się z tobą podzielić swoją *Coquette*.

– Następnym razem. Zamierzam przejechać się tam później, chcę się przekonać, czy uda mi się obejrzeć ich sprzęt. W weekend popatrzę sobie na to od strony rzeki. Jak już wszystko będzie sprawdzone, znajdę ci jakieś lokum w Georgetown.

– Nie, ja się tym zajmę. To moja robota. LaPorte prześladuje cię, bo to ja podsunąłem mu twój trop.

– Sebastien...

– To moja robota. *C'est tout!*

– W porządku, okej. – Podniósł w geście zgody dłoń. – Daj mi znać, kiedy już to załatwisz.

– Prześlij mi zdjęcia nowych sąsiadów. Sprawdzę tę kobietę. Mam nowy program. – Przesunął spojrzenie i uśmiechnął się, tym razem kokieteryjnie. – Aaa, więc to jest ta Miranda. Bardzo mi miło cię poznać. Wreszcie.

– Przepraszam, że się narzucam.

– Piękne kobiety nigdy się nie narzucają, tylko potęgują wrażenie. – Uśmiechnął się szeroko do Bootha. – *Ta rousse est glorieuse, mon ami.*

– *Merci beaucoup* – odparła Miranda. – *Je parle assez bien français.*

– Więc przyjedziesz do mojego Bayou, odbędziemy wiele rozmów. Możesz zabrać ze sobą mon *bon ami*, jeśli chcesz.

– Przyjedź na północ.

– *Bien sûr*, kiedy nadejdzie odpowiednia pora. Nie martw się, *ma belle*. On jest też mój, a ja nie pozwalam skrzywdzić nikogo takiego. Prześlij mi zdjęcia. Ustalę, jak ta kobieta się nazywa. Do rana się z tym uporam.

– Przesyłam. Miej oczy otwarte, Sebastien.

– Jak zawsze, *cher*. *À bientôt.* – Przesłał całusa Mirandzie i przerwał połączenie.

– Podśluchiwałam i nie zamierzam przeproszać.

– To nie podsłuchiwanie, jeśli wiedziałem, że tu jesteś. A wiedziałem.

– Powiedz mi coś o Cannerym i Calais.

– Za chwilę.

Stuknął w okienko – przesłał zdjęcie, jak się domyśliła – potem przywołał podzielony ekran z wizerunkiem mężczyzny i kobiety. Mężczyzna wyglądał na kogoś po czterdziestce, może trochę starszego, krótkie kasztanowe włosy, przycięta bródka, zimne piwne oczy. Kobieta, istna piękność, wyglądała na dziesięć lat młodszą, ostre rysy, duże orzechowe oczy, kruczoczarne włosy, krótko przycięte, z grzywką.

– Sąsiedzi – wyjaśnił Booth.

– I John Madison to w rzeczywistości ten Cannery.

– Lucius Cannery. LaPorte go wysłał z zadaniem wytropienia mnie we Francji. Zbliżył się, i to za bardzo, dlatego go dostrzegłem. Niedługo po tym, jak wykonywałem robotę w Paryżu i zobaczyłem LaPorte'a. Toteż postanowiłem wyjechać z Europy.

– To egzekutor, jak powiedział Sebastien. Co oznacza, że krzywdzi ludzi albo robi jeszcze gorsze rzeczy.

– Za określoną cenę, rzecz jasna. Ale LaPorte chce mnie żywego i całego, przynajmniej na razie. Cannery to zabezpieczenie. Kobieta to ta, która będzie mieć oko na wszystko. A ty musisz się trzymać z daleka. – Dostrzegł jej niewzruszone spojrzenie. – To znaczy musimy się oboje trzymać z daleka. Jeśli natkniemy się na nich przypadkiem, zachowamy się przyjaźnie.

– Cannery nie zorientuje się, że go znasz?

– Nie ma pojęcia, że zidentyfikowałem go we Francji. LaPorte nigdy by nie wysłał kogoś, kogo mógłbym rozpoznać. – Ujął jej dłoń. – Niczego przed tobą nie ukrywam. Wiedza to władza. To broń. Chcę, żebyś dysponowała jednym i drugim.

– Więc chciałeś mi powiedzieć, że zamierzałeś – nie przekraść się do ich domu – tylko przejechać się obok niego?

– Może – odparł po chwili. – Nie wiem. Ale powiedziałbym ci, gdybym się czegoś dowiedział.

– A gdybym obudziła się rano, a ciebie by nie było? Martwiłabym się, denerwowała.

– Masz rację. Nie jestem przyzwyczajony do przebywania z kimś, kto się martwi albo denerwuje. Może zastosujesz do mnie zaniżoną skalę ocen?

– Chwilowo. – Ujęła jego twarz w dłonie. – Ale pamiętaj, że skala ocen ma swoje granice.

– Rozumiem. – Wstał i objął ją. – Szybko się uczę.

– To dobrze, bo zamierzam cię poedukować. Teraz jednak myślę, że masz robotę do odwalenia.

– Kilka rzeczy, owszem.

– Możesz dodać jeszcze i to, jeśli się przyda. – Wyjęła z kieszeni pendrive. – Jest tu wszystko, co znalazłam na temat Czerwonej Bogini. Przypuszczam, że znasz tę historię na wylot. Wiesz, że wydobyto ów diament osiemdziesiąt cztery lata temu w zachodniej Australii, ile waży, ile był wart wtedy i teraz, i tak dalej. Wiesz o przedczesnym zgonie Carla Santisa, właściciela kopalni, zanim sfinalizował sprzedaż kamienia lady Jane Dubois, bogatej brytyjskiej arystokratce.

Znał tę historię, wszystkie jej szczegóły, ale nie przerywał Mirandzie.

– Wspólnik niefortunnego właściciela wystawił wówczas diament na aukcji – ciągnęła. –

A lady Jane, najwyraźniej zdeterminowana, zapłaciła w końcu blisko osiemset tysięcy funtów za karat czy też o około czterech milionów funtów więcej, niż wynosiła pierwotnie ustalona cena.

– Santis potrzebował pieniędzy i obniżył tę cenę.

– I został prawdopodobnie zamordowany przez swojego wspólnika, choć nigdy tego nie udowodniono. Podejrzewam, że ktoś zapłacił, żeby uwolnić gościa od podejrzeń.

Uśmiechnął się.

– Naprawdę to podejrzewasz?

– Jak najbardziej. Tak czy inaczej, zbrodniczy wspólnik zbiegł z pieniędzmi, porzucając kopalnię i pozostawiając rodzinę Santisa w dramatycznej sytuacji finansowej. Jego najstarszy syn popełnił samobójstwo, córka zmarła podczas porodu, młodszy syn uciekł do Ameryki, gdzie wszelki śluch o nim zaginął.

– Ofiary klątwy Czerwonej Bogini. Jeśli w to wierzysz.

– Mnóstwo tragedii jak na jedną rodzinę w ciągu zaledwie roku. A wspólnik krótko potem

skończył w nowojorskiej East River, pływając brzuchem do dołu.

– Niektórzy przypisują to młodszemu synowi, inni samej Bogini.

– Tak czy owak umarł – dokończyła Miranda. – Później przyszła pora na trwające cały tydzień przyjęcie w posiadłości lady Jane, którego zwieńczeniem miało być pocięciem diamentu przez ekspertów, których zatrudniła.

– Zorganizowała to jak teatr – dodał Booth. – Ludzie z prasy, znajomi arystokracji, służba, ochrona. Głupi, ekstrawagancki pokaz bogactwa i przywileju.

– Zapłaciła za to wysoką cenę, gdyż kamień zniknął, by nigdy więcej się nie pojawić, przynajmniej nie oficjalnie. Śledztwo zakrojone na szeroką skalę, oczywiście, i ani śladu. Wskazałabym ciebie – Miranda położyła dłoń na jego piersi – ale nie było cię jeszcze na świecie.

– Reinkarnacja?

– Zawsze istnieje taka możliwość. W każdym razie dorzuciłam tam mnogość teorii spiskowych, mitów, klątw, domniemych mistycznych mocy kamienia – zemsta Bogini między innymi. Liczne doniesienia, że widziano go w ciągu minionych siedemdziesięciu pięciu lat. I ciśnie mi się na usta pytanie.

– Nie mogę obiecać, że na nie odpowiem, ale wal.

– Nie ulega wątpliwości, że LaPorte widział ów diament i uzyskał potwierdzenie jego autentyczności. Dlaczego zatem przez osiem dekad, od czasu jego odnalezienia, nikt nie wziął tej dużej, paskudnej grudy i nie kazał jej pociąć na jasne, błyszczące, piękne kamienie?

Zatkało go na chwilę.

– Paskudnej grudy?

– No, tak. To tylko... – Wyciągnęła ręce dłońmi do przodu, udając, że trzyma w nich kamień. – Wielka, paskudna gruda.

Zatkało go dosłownie, kiedy to usłyszał.

– Nie ma na świecie drugiego takiego kamienia. Jest jedyne w swoim rodzaju.

– Jest tylko jedna Czerwona Tarcza, zgadza się? Czerwony diament o wadze pięć przecinek jedenaście karatów, wycięty z Moussaieffa. Zachwycający. Może nie podoba mi się jego osadzenie, ale to kwestia gustu. Ale ludzie zabijali dla Bogini, dla tej bryłki węgla i nigdy nie ujawnili, co skrywa w środku. To tak jakby pozostawić posąg Dawida w kamiennym bloku.

Uznał, że powinien usiąść.

– Tak głosi jedna szkoła.

– Z pewnością nie jesteś jej zwolennikiem. Więc którą wyznajesz?

– Ten kamień jest doskonale czysty, Mirando. Jest legendą. Jeśli zagłębiłaś się w nią, to wiesz, że według niej każdego, kto zamierzał albo próbował go pociąć, spotykał ten sam przykry, przedwczesny koniec.

– Parsknęłabym pełnym rozbawienia śmiechem i powiedziała, że nie wierzysz w to tak naprawdę, ale widzę, że jednak wierzysz. Ty, który szadzisz z osobników o parapsychicznych mocach.

– Nie szyczę i nie powiem, bym w to całkiem nie wierzył. Lady Jane zmarła na gripę trzy miesiące po tym, jak skradziono jej Boginię. Josh Stein, wynajęty przez nią ekspert, który miał pociąć kamień, zginął dwa tygodnie później w wypadku samochodowym – bez udziału drugiego kierowcy – pod Londynem. Dwaj jego asystenci, którzy byli z nim u lady Jane, dokonali żywota w ciągu roku. To istna seria nieszczęść, nie włączając tych, którzy zostali podobno zatrudnieni po kradzieży i też szybko zeszli z tego świata.

– A zatem w to wierzysz?

– Prawidłowość to prawidłowość. Szanuję prawidłowości.

– Ale nie niepokoi cię, że będziesz go kradł?

– Nie zamierzam go pociąć ani nikogo wynajmować w tym celu. Jeśli LaPorte planuje to – a ja w to wątpię – to i tak nie będzie go miał.

– Więc kto? Nigdy mi tego nie powiedziałaś.

– Domyślam się, że zanosi się na długą i rozwlekłą batalię między władzami a każdym, kto będzie twierdził, że jest spadkobiercą lady Jane. Kupiła go. Z drugiej strony spadkobiercy Santisa też mogą zgłaszać roszczenia. Nie moje zmartwienie.

– Należy do muzeum.

– I nie powiem, że też w to nie wierzę. To nie będzie moja decyzja.

– A gdyby była twoja?

– Wybrałbym muzeum. Myślę, i możesz powstrzymać ten pełen rozbawienia śmiech, że Bogini chce, by ją widziano, podziwiano, szanowano.

– Nie śmieję się i mam pomysł, jak moglibyśmy do tego teoretycznie doprowadzić. Znasz jakichś fałszerzy dokumentów?

Zaskoczony zmarszczył czoło.

– Może.

– A gdyby na łożu śmierci lady Jane dostrzegła niewłaściwość swojego postępowania i przekazała instrukcje dotyczące jej życzeń wobec losu Czerwonej Bogini? Jasne instrukcje, przekazane jej prawnikowi i uwierzytelnione przez niego? Na przykład kodycył do jej testamentu. I gdyby ten kodycył ujrzał nagle światło dzienne?

Może brzmiało to jak coś rodem z powieści gotyckiej, ale... lubił powieści gotyckie.

– Byłby to cholerny zbieg okoliczności.

– Prawda, ale i... nie nasze zmartwienie.

Obracał się na fotelu to w jedną, to w drugą stronę. „Szczegóły”, pomyślał. „Potrzeba więcej szczegółów”.

– Pozwól mi się nad tym zastanowić.

– Zrób to.

Położyła mu na biurku pendrive.

Postanowił, że o tym pomyśli. Gdyby zdołał tego dokonać, byłoby to coś, co mógł uczynić równie dobrze dla Mirandy, jak dla Bogini.

Każdy tego rodzaju dokument przeszedłby dokładne badania w celu potwierdzenia jego autentyczności. Papier, atrament, pieczęć, a ponad wszystko charakter pisma. Gdyby miał się tym zająć, sporo by go to kosztowało – czasu i pieniędzy. Lecz gdyby się udało, gra byłaby warta świeczki.

Rodzaj sprawiedliwości. Naprawienie zła.

Najpierw jednak musiał zdobyć ten kamień i potrzebował czegoś więcej aniżeli tylko planów domu. Musiał mu się przyjrzeć dokładnie od środka.

Miał kilka pomysłów i kręcąc się na swoim obrotowym fotelu, zaczął podlewać ziarna, które już zasadził.

*

Na pierwszym miejscu było przedstawienie, a on nie zamierzał sprawić zawodu swoim dzieciakom, więc odłożył wszystko na bok w tygodniu poprzedzającym premierę.

Nie oznaczało to, że nie mógł się wybrać w sobotni poranek na przechadzkę po lesie, i to z Mirandą, uparła się, że będzie mu towarzyszyć.

– Żadnych poważnych tematów – rzekł. – Wybraliśmy się na poranny spacer.

– Rozumiem, Booth. – Wzięła go za rękę, kiedy wyszli na zewnątrz, na chłodne kwietniowe powietrze. – Powinieneś sprawić sobie psa.

– Cały dzień pracuję.

– Wydaje się, że podczas przechadzki po lesie powinien ci towarzyszyć pies. Wielki, zwariowany pies. To twój typ.

– Wielki i zwariowany to mój typ?...

Nieźle go podeszła i zaskoczyła zarazem.

– Tak, w przypadku psów. Chodzi o takiego, który by lubił pływać, wiesz, taki, żeby mógł bawić się w wodzie. Zobacz, wszystko się zieleni. – Odetchnęła głęboko wiosennym powietrzem, kiedy ruszyli ścieżką między drzewami. – Twoje lilie są cudowne. Ptaki śpiewają. Podoba mi się, że masz karmniki na podwórzu. Też powinnam je powiesić w swoim domu.

– Możesz dostać je w mieście, są bardzo ładne – powiedział. Zdążył już dostrzec dwie kamery, a spodziewał się ich jeszcze więcej. – Ale będziesz tu tylko przez kilka miesięcy.

– Och, nigdy nie wiadomo. – Wypowiedziała to z werwą i posłała mu kokieteryjne spojrzenie.

Przyszło mu naraz do głowy, że pierwszy raz dostrzega na jej twarzy kokieterię. Była w tym

doskonała.

– Ostatecznie mogę pisać wszędzie, poza tym bardzo mi się tu podoba. Zwłaszcza sąsiedzi. Pocałował ją w czubek głowy i celowo przewrócił przy tym oczami na użytek kamery.

– Powinniśmy, to znaczy powinieneś tak na poważnie pomyśleć o wzięciu sobie psa. Czy nie widzisz tu szczęśliwego czworonoga, może labradora, biegającego po lesie i chlapiącego się w rzece?

– Przywlekającego błoto do domu i obszczekującego wiewiórki.

Roześmiała się i szturchnęła go łokciem.

– Och, ty!

– Och, ja.

Wyczuł to – kogoś, kto obserwował, i to nie za pośrednictwem kamery. I usłyszał – nieznaczny szelest, ciche kroki. Nie zareagował, tylko otoczył ramieniem barki Mirandy.

– Nie mam dziś zbyt dużo czasu. Czeka mnie po południu próba techniczna.

– Premiera w piątek. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, czego dokonałeś.

– Chodzi przede wszystkim o dzieciaki.

– Och, jasne, ale ty ich przez to wszystko prowadzisz, no nie? Cholernie mi się podoba, że jesteś taki oddany... Słyszałeś coś?

– To prawdopodobnie... – Urwał, kiedy z zarośli wyszła na ścieżkę jakaś kobieta.

Miała zawieszony na szyi aparat, a przez ramię przerzuconą torbę na sprzęt fotograficzny, podejrzewał jednak, że znajduje się w niej coś więcej niż tylko obiektywy. Szczupła tak bardzo, że cała jej postać sprowadzała się do mięśni i emanowała zwinnością; stała w butach trekkingowych, dżinsach i bluzie z kapturem w barwach ochronnych i czarnej bejsbolówce na krótkich czarnych włosach.

– Przepraszam. – Uniosła dłonie. – Czy przekroczyłam linię?

Booth uchwycił nieznaczny akcent ukrywający się w jej głosie. Nie wyzbyła się do końca swych korzeni rodem z Arkansas.

Uśmiechnął się do niej swobodnie, ale starał się też, by dostrzegła podejrzliwość w jego oczach.

– Jaką linię?

– Wyznaczającą granice pańskiej nieruchomości. Nie zwracałam uwagi. Przepraszam – powtórzyła. – Jestem Lori Slade. Wynajęliśmy ten bungalow. – Wskazała w dość nieokreślonym kierunku. – Jestem fotografką. Robiłam zdjęcia. Nie zamierzałam wchodzić na teren prywatny.

– Żaden problem, o ile robi pani zdjęcia. Nie przejmujemy się tak bardzo tymi liniami. Jestem Sebastian Booth.

– Miło mi pana poznać.

– A ja jestem Miranda Emerson. Chyba przejeżdżałam obok pani domu, kiedy się tam wprowadzaliście. Witamy w Rappahannock.

– Dzięki. Jest tu przepięknie. Tego właśnie szukałam do swojego najnowszego projektu. Słyszałam wcześniej dziecięcia, jak mi się zdaje, i od razu złapałam za sprzęt, ale go nie zobaczyłam.

– Niech sobie pani załatwi karmnik z łojem – poradził jej Booth, rzekłbyś, uosobienie przyjaznego sąsiada. – Od razu się zlecą.

– Z łojem? Okej. Sprawdzę to. Dzięki. Powinnam już wracać. Nawet nie powiedziałam mężowi, że wychodzę na spacer.

– Miłego weekendu! – zawołała Miranda, kiedy kobieta znów zniknęła w zaroślach. – Przestraszyła mnie.

Booth wzruszył tylko ramionami.

– Nie wiem, dlaczego ktoś, kogo stać na takiego nikona, wynajmuje taką rudę jak ten bungalow. No cóż, co kto lubi. My też powinniśmy już wracać. Mam jeszcze kilka obowiązków na głowie, muszę się nimi zająć przed pójściem do szkoły.

– Ty i te twoje sobotnie obowiązki. – Objęła go w pole, kiedy zawrócili w stronę domu. – Mógłbyś sobie wynająć kogoś do sprzątan.

– Chodzi mi o pracę, która oczyszcza umysł.

– Ale jutro popływamy kajakiem? Pojadę dziś do miasta, żeby sobie własny obstałować.

– Pewnie. To oczyszczająca umysł rekreacja.

– A nowa sąsiadka? Jest piękna. Nie miała chyba ani śladu makijażu. I wyglądała na tak szczupłą i sprawną. Prawda?

– Nie powiem, bym to zauważył. – Pocałował ją w czubek głowy. – Podobają mi się rudowłose.

Zachichotała i wtuliła się w niego, kiedy szli z powrotem do domu.

Gdy już zamknął za nimi drzwi, Miranda odwróciła się do niego.

– To była ona, to była...

– Selene Warwick. – Powiesił swoją lekką kurtkę w tylnym przedsiionku i skinął na Mirandę, by też mu podała okrycie. – Urodzona w Ozarks. Zaczęła karierę w handlu narkotykami, transport i dystrybucja, ale sama nie brała. Później wyspecjalizowała się w zabójstwach na zlecenie, zanim jeszcze osiągnęła wiek umożliwiający legalne spożywanie alkoholu. I jest w swym fachu cholernie dobra.

– Nie żartowałam, mówiąc, że jest piękna. Bo jest. Ale w jakiś bezwzględny sposób. – Zaczęła odruchowo pocierać zziębnięte ramiona i nagle znieruchomiała. – Wszystko w niej emanuje bezwzględnością. I trochę przeraża.

– Sama byłaś trochę przerażająca. – Poszedł do kuchni, wyjął dla nich colę. – Kokieteryjna, lgnąca do mnie, przesłodzona.

– A ponieważ wszystko to jest niezgodne z moją naturą, uważam, że nieźle sobie poradziłam.

– Owszem, zgadza się.

– Myślisz, że krąży po lesie regularnie, mając nadzieję, że się na ciebie natknie?

– Nie musi, skoro dzięki kamerom może się dowiedzieć, czy wyszedłem na spacer.

– Zauważyłeś kamery?

– Zauważyłem cztery, nim zdecydowała się wyjść na ścieżkę.

– Jestem spostrzegawcza, a żadnej nie widziałam. – Zmarszczyła czoło i napiła się coli. – To irytujące.

– Nie chodź tam sama. Trzeba zachować czujność, ale nie ma sensu ryzykować. Mam na głowie próbę techniczną – dodał. – I domowe obowiązki.

– Pomogę ci. To właśnie robi kokieteryjna, lgnąca do ciebie, przesłodzona kobieta, gotowa cię upolować.

– Wspaniale. Chodź, zdejmujemy pościel z łóżka. Możesz położyć świeże prześcieradło, kiedy ja zrobię pranie. Podczas sprzątania opowiem ci o spotkaniu, jakie mam za dwa tygodnie z panią Mountjoy.

– Co... masz spotkanie z ludźmi, których zamierzasz okraść?

– Opowiem ci o tym – powtórzył.

Kiedy wybrali się następnego dnia na wycieczkę kajakową, Booth dopilnował, by przepłynęli obok bungalowu. Zauważył Cannery'ego na podwórzu, pomachał do niego – ot, spontaniczny gest sąsiada. Cannery odpowiedział mu tym samym, wzbogacając to jeszcze o uśmiech.

Chwilę potem Booth wyrzucił to spotkanie z myśli, żeby móc cieszyć się dwiema godzinami spędzonymi z Mirandą na rzece.

Miała na głowie kapelusz o szerokim rondzie – dla osłony rudych włosów przed słońcem – i machała wiosłem mocno i z wprawą. Odprężył się, kiedy rzeka wiodła ich przez słońce i cień. „Jedno spokojne popołudnie”, pomyślał, „jelenie pasące się cicho w lesie, dwaj chłopcy siedzący na skale z żyłkami wędek zanurzonymi w wodzie, krążący w górze, nieskończenie cierpliwy jastrząb”.

– Tu naprawdę jest pięknie – odezwała się Miranda. – Byłam ostatnio taka zajęta... albo, no, nie wiem... po prostu spieszyłam się ze wszystkim. Nie siedziałam w kajaku od co najmniej roku.

– Ale nie wyszłaś z wprawy. Kiedy będziemy mieć więcej czasu, wybierzemy się na długi spływ, aż do samej zatoki. Mogę poprosić kogoś, żeby nas potem zabrał i odwiózł z powrotem.

Odwróciła się i spojrzała na niego z ukosa.

– Co? Uważasz, że nie potrafię zorganizować jazdy z powrotem?

– To daleki spływ – powtórzył. – Może... wynajmiemy gdzieś pokój, zafundujemy sobie wolny weekend.

– No, teraz mówisz bardziej do rzeczy.

- Kiedy już będzie po wszystkim. Pod koniec sierpnia, powiedzmy.
- Opuściła okulary przeciwsłoneczne.
- Trzymam cię za słowo. To interesujące, że cieszymy się tym uroczym interludium, jakbyśmy nie mieli nic innego do roboty i nie musieli się nad niczym głowić.
- Dobra, niech ten dzień tak wygląda. – Wyciągnął rękę nad wodą i ujął jej dłoń. – Zróbmy sobie wolne.

*

W dniu premiery za kulisami rządził chaos. Nerwy, nieomal graniczące z histerią, pozbywająca tchu (czasem dosłownie) ekscytacja, wszystko to składało się na oszalały koncert, kiedy nastolatki przebierali się nerwowo w kostiumy, malowali, układali włosy w stylu lat sześćdziesiątych.

Tancerze ćwiczyli mięśnie, śpiewacy bez końca wokalizowali.

Booth starał się za wszelką cenę być wszędzie naraz. Koił nerwy, otarł kilka łez niepokoju i przerażenia, omówił jeszcze raz wszystko z ekipą techniczną i kierownikiem planu.

Wyjrzał dyskretnie zza kulis i zobaczył, że widownia się zapełnia, i to tłumnie. Pośród znanych twarzy dojrzał Mirandę; trzymała w dłoni program spektaklu i rozmawiała z Lorną i Cesą.

Usłyszał zapowiedź: „Piętnaście minut do podniesienia kurtyny. Piętnaście minut”.

Ruszył jeszcze raz w obchód i zauważył Louisa – teraz znanego jako Lou – z resztą ubranych na czarno pomocników scenicznych. „Jeden z naszych”, pomyślał Booth. „Sprawdza kostiumy, makijaż, daszek akustyczny, oświetlenie, rekwizyty”.

Na koniec Booth zwołał do siebie całą ekipę; utworzyła krąg radosnego, nerwowego podniecenia.

– Okej, drużyna, posłuchajcie. Wykonaliście dobrą robotę, jestem dumny z każdego z was. Teraz pora na nagrodę. Nie tylko scena ma być wasza, ale też wieczór. Gotowi?

Gdy odpowiedział mu chór: „Tak! Jesteśmy gotowi! Jak diabli!”, wyciągnął rękę ku środkowi otaczającego go kręgu. Do jego dłoni przyłączyły się inne, zespolone w solidarnym uścisku.

– Gotowi?

Głośniejszy odzew, dłonie ściskające dłonie.

– Więc do dzieła! Trzy, dwa, jeden, start!

Dłonie wystrzeliły w górę przy akompaniamencie ogłuszających krzyków.

– Na miejsca! – polecił i stanął za kulisami.

Czekał i patrzył, jak dzieciaki zajmują wyznaczone pozycje na scenie.

– Przygaś światła. Zapowiedź, Marlie.

– Dobry wieczór, witamy wszystkich na szkolnej inscenizacji musicalu *Bye Bye Birdie* Michaela Stewarta, z muzyką Charlesa Strouse’a i słowami Lee Adamsa. Proszę, byście wyłączyli komórki i wstrzymali się przed robieniem zdjęć, w przeciwnym razie pani dyrektor Downey osobiście was ochrzani. Nie chcecie tego chyba. A teraz rozsiądźcie się wygodnie i bawcie się na naszym przedstawieniu.

– Kurtyna! – rzucił Booth i wiedział, że każdy z obsady i ekipy technicznej doznał dreszczu na dźwięk oklasków. Skierował światło na Kim i jej przyjaciela, stojących po obu stronach sceny ze staromodnymi telefonami w dłoniach, gotowych do wstępnego dialogu.

Dał się słyszeć dźwięk dzwonka telefonicznego, a zaraz potem środek sceny omiótł strumień światła. Znowu rozległy się oklaski, a ponad nimi popłynęły już słowa musicalu: „Co opowiesz, słodki dzionku? Co opowiesz ty, skowronku?”.

Booth pomyślał: „Dajcie czadu”.

W kulisach zapanował teraz kontrolowany chaos, kiedy dzieciaki przebierały się pospiesznie w swoje stroje, a pomocnicy sceniczni zmieniali dekoracje. Słyszał śmiech na widowni – w odpowiednich momentach. Po każdym numerze zrywała się burza oklasków.

Zdarzyły się ze dwa potknięcia, gdzieś tam też pomyłki w tekście, ale wiedział, że publiczność tego nie zauważy.

Nie odprężył się, dopóki Kim – która jaśniała niebywałym blaskiem – nie dokończyła ostatniego numeru przedstawienia, a publiczność nie podniosła się z miejsc.

Uszczęśliwiony patrzył na rozpromienione twarze swych podopiecznych, jak wychodzili na

scenę pojedynczo albo parami, a wreszcie jak utworzyli zwarty szereg przy ogłuszającym aplauzie.

Złączone dłonie, ukłon. Raz po raz.

Też wyszedł na scenę, wywołany przez zespół, i ukłonił się.

„Jedno przedstawienie z głowy”, pomyślał, pomagając przy układaniu kostiumów; zostały jeszcze dwa. Dopilnował, by wszystkie rekwizyty odpowiednio zabezpieczono, a potem zgasił światła i opuścił teatr tylnym wyjściem.

Miranda siedziała na niskim murku obok parkingu.

– Nie wiedziałem, że czekasz. Myślałem, że przyjechałaś tu swoim samochodem.

– Lorna mnie podrzuciła, poza tym nie miałam nic przeciwko czekaniu. Nie chodzi tylko o piękny wieczór. Wciąż przeżywam to przedstawienie.

Poczuł, że rozpiera go duma.

– Byli wspaniali, prawda? Naprawdę wspaniali.

– Zdumiewający. Widziałam w swoim czasie kilka szkolnych musicali, Booth, i brałam nawet w niektórych udział. Ale ten bije wszystkie na głowę.

– Harowali jak woły.

Położyła mu dłoń na ramieniu, kiedy otwierał samochód.

– To także twoja zasługa.

– Och, pewnie. Ja też harowałem jak wół. Warto było – dodał, kiedy wsiedli do wozu. – Bez dwóch zdań. Ale czekają nas jeszcze dwa przedstawienia.

– Ta dziewczyna, która grała Kim...

– Alicia...

– Snuje jakieś plany?

– Jej rodzice mają nadzieję, że zostanie nauczycielką.

– A czy ona ma taką nadzieję?

– Niezupełnie. Wspierają ją – lekcje tańca, szkolne przedstawienia. W lecie występowała w miejscowym teatrze amatorskim, podobało im się. Byłoby dobrze, gdyby to, co dzisiaj zobaczyli – a dziewczyna świetnie się spisała – przekonało ich do jej planów.

– Mam nadzieję, że się jej uda. Te dzieciaki cię kochają. Twoje teatralne dzieciaki. Kochają cię, widać to gołym okiem.

– Z wzajemnością.

Wjechał pod swoją wiatę, zerknął na drzwi przedsionka. Otworzył je, wyłączył alarm.

– Nie wiem jak ty, ale ja chętnie napiłbym się wina. Muszę tylko sprawdzić coś w gabinecie.

– Dobrze, zajmę się tym.

Kiedy przyniosła mu kieliszek, aż sapnęła na widok tego, co zobaczyła na ekranie.

– To mój dom, na zewnątrz. Wkoło kręcą się ludzie LaPorte'a, chcą tu wejść. Próbują przynajmniej – sprostował. – To nie prymitywni włamywacze. Mogliby raz dwa rozwalić drzwi, stłuc szybę w oknie, co sprowadziłoby policję, a ja bym się dowiedział, że ktoś chciał się dostać do środka. Mimo wszystko nasza sąsiadka jest jak najbardziej za tym. – Postukał palcem w ekran. – Dama się nudzi. Nie ma kogo pokiereszować, nie ma kogo zabić, i tak dzień za dniem. Można się załamać.

Poczuła, jak jej serce podchodzi do gardła.

– Jezu, Booth.

– Odezwał się alert w moim telefonie, kiedy próbowali sforsować drzwi, ale musiałem się skupić na przedstawieniu. Nawet gdyby dostali się do mojego domu – czego nie mogliby zrobić bez użycia siły – i tak nie znaleźliby niczego, co by mi się nie podobało.

– Nie jesteś zaskoczony.

Kiwnął głową, wziął kieliszek i popijając, znów przejrzał nagranie.

– Gdybym wiedział, że mój cel będzie przebywał poza domem trzy bite godziny, to też chciałbym pozwiedzać jego lokum, wczuć się w atmosferę, znaleźć wszystko, co się da.

– Mógłbyś pokazać to policji. To by pokrzyżowało ich plany i wkurzyło LaPorte'a.

– Mógłbym i nie miałbym nic przeciwko temu, żeby podstawić im nogę albo wkurzyć LaPorte'a. Ale Warwick jest dobra w swoim fachu, bo lubi zabijać i sprawiać ból. Jest przy tym inteligentna i wytrenowana, ale też chora i niezrównoważona. Mogłaby dojść do wniosku, że trzeba

zabić każdego, kto zjawi się z pytaniami dotyczącymi tej małej wizyty. – Booth obrócił się na fotelu i posadził sobie Mirandę na kolanach. – No i jak, zadowolona?

– Będę zadowolona, wysyłając tę kasetę LaPorte’owi z prośbą o wycofanie swoich głównianych obserwatorów, bo jak nie, to nici z umowy. Dodam kilka nieparlamentarnych zwrotów.

Pocałował ją w szyję.

– Będzie fajnie – mruknął. – Więc zrób to.

– Rozumiem, że sytuacja, w której ludzie lubiący zabijać i sprawiać ból próbują się włamać do twojego domu, sprawia ci radość i podsyca twój apetyt seksualny.

– Przedstawienie sprawiło mi radość, a próba włamania tylko usatysfakcjonowała. Podobało mi się to, że wyglądałem zza kulis i widziałem cię na widowni. – Przesunął dłonią po jej boku, muskając przy tym pierś. – Jutro też chciałbym wyglądać zza kulis i cię widzieć.

– Ponieważ nie chcesz, żebym tu była, jeśli znów spróbują się włamać.

– To też, ale lubię na ciebie patrzeć ukradkiem.

– Mogę oglądać przedstawienie razem z tobą? – Zdołał ją uspokoić i jednocześnie podniecić. – Lata całe nie doświadczałam tej scenicznej gorączki.

– Jasne. Muszę teraz odstawić kieliszek, bo to, co mi chodzi po głowie, wymaga użycia obu rąk.

– Och? Czyżby? – Odrzuciła do tyłu włosy, uniosła po swojemu brew. – A co ci chodzi po głowie?

– Pokażę ci.

Rozpiął jej koszulę w niespełna pięć sekund, tak jak haftkę stanika. Następnie posłużył się kciukami, ale tylko kciukami.

I zębami.

Musiała chwycić go jedną ręką za ramię, kiedy poczuła, jak ogarnia ją słabość.

– Myślę, że... Boże! Też muszę odstawić kieliszek.

– Dobry pomysł. – Rozpiął jej spodnie. – Bo właśnie zaczynam.

Nie zdjął z niej ubrania. Wydało mu się to niezwykle erotyczne, podniecające brać ją, kiedy oboje byli do połowy ubrani. Jej koszula, taka szeleszcząca i biała, zsunęła się z jej ramion i utknęła przy nadgarstkach, odsłaniając gładką skórę.

Westchnienia, które dobywały się z jej ust, podsycały ogień krążący w jego krwi, w jego trzewiach, w jego lędźwiach. Urywane, desperackie westchnienia, kiedy zmagala się z paskiem jego spodni.

Fotel kołysał się i przechylał pod ich ciężarem, kiedy Booth niecierpliwie ściągał jej spodnie z bioder. Obejmując ją jedną ręką, drugą zsunął niżej, a potem drażnił, głaskał, dręczył, aż w końcu jego palce wniknęły w wilgoć i ciepło.

Krzyknęła raz, dwa razy, drżąc, a zaraz potem jej głowa opadła bezwładnie na jego ramię.

– Już nie mogę – szepnęła. – Nie mogę.

„Roztopia się jak wosk na słońcu”, pomyślał. „Wciąż gorący, taki cudownie gorący i płynny”.

– Jasne, że możesz. Jeszcze trochę. – Jej oddech przyspieszył, a biodra zaczęły napierać na jego dłoń. – Daj mi jeszcze trochę.

Wbijał się w nią raz po raz, to unicestwiał ją, to wznosił na wyżyny. Rozkosz, bolesna i cudowna, narastała, a Miranda mogła tylko jej ulegać, ulegać jemu, mogła tylko pozwalać, by brał to, co chce, dopóki chciał.

Kiedy w końcu po długiej chwili wbił się w nią, mogła jedynie wtulić mu twarz w szyję i zgodzić się na to, by poprowadził ją na szczyt.

*

Kiedy Booth wyszedł na scenę wraz z końcem ostatniego przedstawienia, aktorzy i ludzie z obsługi technicznej wręczyli mu dla żartu kopię statuetki Oscara. Roześmiał się pomimo smutku na myśl, że to już koniec tej przygody.

Potem Kim wysunęła się przed szereg.

– Mamy dla pana coś jeszcze. Niektórzy z nas wrócą tu w przyszłym roku i będą oczekiwać, że kolejna grupa aktorów da oscarowe przedstawienie. I niektórzy z nas ukończą w przyszłym mie-

siącu naukę i pójdą dalej. Ale nikt z nas pana nie zapomni. Więc...

Zaczęła śpiewać *a cappella*, następnie rozbrzmiała muzyka i pozostali przyłączyli się do śpiewu.

– „Kochamy pana, Mister B., o tak, kochamy. Kochamy pana, Mister B., i o tym zapewniamy”.

Powaliło go to dosłownie, odebrało mu mowę. Wszystkie te głosy napełniły mu serce radością, tak że musiał teraz ze wszystkich sił zapanować nad sobą, kiedy umilkły, kiedy aplauz ucichł.

Gdy spojrział w ich twarze, dostrzegł miłość.

– Dziękuję – rzekł. – Dziękuję za prezent i nie mam tu na myśli tej statuetki Oscara. Jesteście dla mnie prawdziwym skarbem, każdy z was. Ukłońcie się po raz ostatni. Potem kurtyna.

Dużo później, po opadnięciu kurtyny, po świętowaniu, po przyjęciu dla obsady, leżał w łóżku obok Mirandy. I zastanawiał się w ciemności, czy będzie jednym z tych, którzy wrócą tu w następnym roku, czy jednym z tych, którzy ruszą dalej.

Rozdział 27

Musiał zajmować się końcowymi egzaminami, ale ponieważ robił to już wcześniej, mógł poświęcić więcej czasu na Boginię i zastanowić się, jak najlepiej ją ukraść.

Pozostało jeszcze kilka dni, nim przyszedłoby mu wykonać pierwszy krok w tej grze, a zamierzał zrobić to w pojedynkę. Miranda jednak podsuwała mu własne pomysły.

Zastanawiał się, jak ją przekonać – wiedział, że to daremne – czerpiąc jednocześnie przyjemność z ulubionego obowiązku wiosennego.

Koszenia trawy.

Pomyślał, że upiecze kurczaka na kolację i poda go z dzikim ryżem i szparagami.

Rozwinęły się liście w lesie, pojawiły się też azalie. Ludzie, korzystając z ciepłych wieczorów, spuszczali łodzie na wodę.

Trawa, którą kosił, pachniała już latem – była to jedna z jego ulubionych woni.

Zobaczył wynurzającą się z lasu Selene – bez aparatu tym razem. Szła zdecydowanym krokiem. Wyłączył kosiarkę i odpowiedział zimnym wzrokiem na jej twarde spojrzenie.

– Domyślam się, że otrzymałaś od swojego szefa jakąś wiadomość.

– Myślisz, że jesteś taki mądry, co?

– Nie myślę. Ja wiem. Jestem dość mądry, by wiedzieć też, że możesz mnie zabić na moim skoszonym do połowy trawniku tą swoją spluwą, którą chowasz pod bluzą. I kombinuję tak sobie, że jesteśmy oboje dość mądrzy na to, by wiedzieć, że jeśli to zrobisz, LaPorte będzie cię ścigał dopóty, dopóki ci ktoś nie wpakuje noża albo kulki. Co zatrzymałoby skutecznie rozwój twojej kariery.

– Kosztowałaś mnie pięćdziesiąt tysięcy dolców.

– Można i tak na to spojrzeć. – Oparł się swobodnie o kosiarkę. – Albo też inaczej. Nie będziesz tkwiła w tej zawilgoconej norze przez następne dwa miesiące, tak plus minus, w dodatku z palantem w rodzaju Cannery’ego.

– Pięćdziesiąt tysięcy – powtórzyła.

– No cóż, nie patrz tak na mnie. Dałaś się podejść. Zdarza się. Przełknij to.

Zbliżyła się do niego, nieomal go dotykając.

– Mogę zaczekać, aż zrobisz to, czego chce od ciebie LaPorte, a potem cię zabić – syknęła.

– A mogę też od razu załatwić tę beużyteczną rudowłosą zdzirę.

Gdy to mówiła, jej wzrok się zmienił – nic zaskakującego – podobnie jak jego wzrok. Nie cofnęła się na widok niemej groźby w jego oczach. Ale on też się nie cofnął ani o krok.

– Znasz mój repertuar równie dobrze, jak ja znam twój. Jeśli nie, to poszukaj informacji na mój temat. Jeśli ją skrzywdzisz, jeśli choćby draśniesz, to cię wytropię. Nigdy nie przestanę cię tropić, a ty nigdy mnie nie znajdziesz. Nie zabiję cię – to byłoby zbyt szybkie i zbyt ostateczne. Ale dopilnuję, żebyś resztę życia spędziła w celi. Nie w jakimś przytulnym amerykańskim więzieniu. Znam miejsca, w których pracowałaś, Selene, a w porównaniu z tamtejszymi więzieniami nasz system penitencjarny przypomina Disneyland.

– Nie boję się ciebie.

– Nie? – Kiedy odsunął się od niej, trzymając jej broń w swoim ręku, zrobiła wielkie oczy. –

A powinnaś. Mógłbym cię zabić tu i teraz, zakopać twoje ciało w lesie i tak wszystko spreparować, że każdy wskazałby palcem Cannery’ego. Albo możesz odejść, pogodzić się ze stratą pięćdziesięciu tysięcy i ruszyć w siną dal. Bo wierz mi, od tej chwili będę wiedział, gdzie jesteś i co robisz. Właśnie wyznaczyłaś mi taką misję. Poczytaj sobie o facecie, który nazywa się Frank Javier, i sprawdź, co się z nim stało, kiedy mi stanął na drodze. Pomoże ci to podjąć właściwą decyzję.

– Myślisz, że to koniec?

– Myślę, że celuję ci w bebechy twoją własną bronią i że mógłbym zakończyć to w ułamku sekundy. A teraz wynoś się z mojego trawnika.

Odwróciła się i ruszyła sztywno w stronę lasu.

– Frank Javier! Lima w Peru! – zawołał za nią Booth. – Poczytaj sobie o nim w internecie.

Gdy kobieta zniknęła wśród drzew, usłyszał, jak za jego plecami otwierają się drzwi.

– Zostań w domu – nakazał, nie odwracając się.

– Już sobie poszła. Trzymasz broń w ręku. Zastrześliłbyś ją?

– Nie, to moja wada. LaPorte nie odznacza się, niestety, podobną wrażliwością i pewnie się o tym nasłucha.

Na wszelki wypadek Booth wyjął z broni magazynki i upewnił się, że w komorze nie ma naboju. Nienawidził broni, to jednak nie oznaczało, że nie wie, jak się nią posługiwać.

Odwrócił się i zobaczył na patio Mirandę z tasakiem w ręku.

– Jezu, Miranda. Odłóż to.

– Co zamierzasz zrobić z tą bronią?

– Podrzucić ją do bungalowu, kiedy już stąd wyjadą. Teraz jednak chcę powiadomić LaPorte'a, że jego wynajęta zabójczyni będzie go kosztowała dodatkowy okrągły milion. Płatny z góry.

– Czy ty... – Urwała, by spytać po chwili: – Zabiłeś tego Javiera, Booth?

– Nigdy nikogo nie zabiłem ani nie planuję nikogo zabić. – Ruszył w stronę szopy, gdzie schował broń i magazynki. Oddzielnie. – Siedzi w gównianym peruwiańskim więzieniu.

– Co takiego zrobił, że odpłaciłeś mu w ten sposób?

Odwrócił się i spojrzał na nią twardo.

– Próbował zrobić to, co próbowała zrobić ona. Stał mi na drodze. Odłóż to teraz – dodał już łagodniejszym tonem. – Muszę do kogoś zadzwonić.

Odłożyła tasak na miejsce i zauważyła – jakby patrząc na ręce innej osoby – że jej dłonie nawet nie drżą. Czują jednak przyspieszone bicie serca.

Wcześniej, kiedy już skończyła tego dnia pisanie, zeszła do kuchni napić się wody i usłyszawszy docierające z zewnątrz głosy, zerknęła przez okno. Akurat w chwili, gdy zdejmowała z butelki nakrętkę.

I zobaczyła Bootha stojącego twarzą w twarz z wynajętą zabójczynią.

Chwyliła tasak. Nie bardzo wiedziała, jak zamierza go użyć, ale kilka sekund później Booth trzymał w dłoni pistolet.

Pistolet tej kobiety. Odebrał go zawodowej zabójczyni z taką samą łatwością, z jaką ona zerwałaby kwiat na łące.

Jak się z tym czuła? Pomyślała, że się zastanowi, kiedy serce przestanie tłuc się o żebra.

Napiła się wody, potem znowu, przyglądając się Boothowi, który stał na wąskim pomoście i rozmawiał przez swoją komórkę.

Wzięła drugą butelkę i wyszła na zewnątrz.

Spojrzał przez ramię, kiedy się do niego zbliżała; sprawiał wrażenie lekko zirytowanego. Jednak ta łagodna irytacja kłóciła się z jego zimnym, warkliwym głosem.

– Powiedziałem ci, żebyś ze mną nie pogrywał, LaPorte. A pograłeś, przysyłając do mojego cholernego domu tę stukniętą zabójczynię. Gówno mnie obchodzi, czy to zrobiłeś, czy nie – dodał po krótkiej pauzie. – Pograłeś ze mną, naruszyłeś warunki umowy i będzie cię to kosztowało kolejny milion. Zapłać albo szukaj sobie kogoś innego, jeśli chcesz dostać ten kamień. Wiesz, gdzie masz przelać pieniądze. Sprawdzę to za dwadzieścia minut. Jeśli pieniędzy nie będzie, zrywam umowę. Aha, i jeszcze jedno, jeśli ta wywłoka tu wróci, to znajdą jej ciało pod twoim pieprzonym progiem. Możesz być tego pewien jak tego, że jutro wszędzie słońce. – Przerwał połączenie, po czym schował telefon do kieszeni i wziął od niej butelkę z wodą. – Nie mogłaś posiedzieć w domu przez dziesięć minut?

– Jeśli tu wróci, żeby cię zabić, to na nic się nie zda ukrywanie w domu.

– Nie tknie cię nawet palcem.

– Tylko ciebie, tak?

– Nie wróci. Jest tu już spalona.

Ptak za jego plecami zniżył lot nad rzeką, potem znów poszybował w niebo. Na jego podkoszulku rozlewała się plama potu. Pomyślała, że to nie efekt strachu, a nawet nie gniewu.

Wyłącznie następstwo prostej domowej czynności, jaką jest koszenie trawnika w słoneczne

popołudnie.

– Skąd wiesz, że jest spalona?

– Bo satysfakcja, jaką dałaby jej moja śmierć, nie jest warta tego, by LaPorte wynajął kogoś, kto z kolei ją zabije. I kiedy uporamy się z naszą robotą, ona wyląduje w więzieniu.

– Skąd wiesz?

– Dopilnuję tego, jeśli LaPorte nie wykończy jej wcześniej.

– Tak jak zrobiłeś to z Javierem?

– Owszem, identycznie. A teraz muszę skosić trawnik.

Miranda położyła mu dłoń na ramieniu.

– Opowiedz mi o Javierze. Mam w tym żywotny interes, Booth. Gdybyś nie zabrał tej broni, mogłaby jej użyć. Powiedziałeś, że stanął ci na drodze. Jak?

– To trzeciorzędny złodziej, który próbował mnie zrobić w jeden ze swoich numerów. Kiepska robota, jak większość, które odwalał, posłał do szpitala faceta, którego nie miało być tamtej nocy w domu. Powiedział temu człowiekowi, tłukąc go niemal na śmierć, że jest Kameleonem, i zwiędził to jeszcze anonimowym cynkiem. – Urwał na chwilę i napił się wody. – Beznadziejny pomysł, bo kiepska robota i przemoc to nie w moim stylu, ale trochę mi to zaszkodziło. Więc go zatrudniłem.

– Zatrudniłeś go.

– Bogaty Peruviańczyk... jakim mianem się posłużyłem? No tak, Lejandro Vega, nabyłem też dwunastokaratowy diamentowy soliter, który ukradł pobitemu człowiekowi. Podłożyłem go wraz z kilkoma innymi przedmiotami w jego mieszkaniu i zawiadomiłem władze o dokonującym się włamaniu, które sam mu zleciłem. Dorwali go i rozwiązały dwie sprawy naraz. Teraz odsiaduje bardzo długi wyrok w bardzo niegościnnym peruviańskim więzieniu. Przekradłem się tam kiedyś, żeby wiedział, kto mu to załatwił i dlaczego.

Zaschło jej w krtani, ale opróżniła już swoją butelkę.

– „Przekradłeś się” do peruviańskiego więzienia?...

– Nie było to aż takie trudne, a z mojej perspektywy konieczne. Chciałem, żeby rzecz się rozniosła. – Przesuwał spokojny, zimny wzrok po wodzie i patrzył tam, gdzie zniknęła Selene. – Wyrównuję swoje rachunki. – Dopił wodę i wręczył Mirandzie pustą butelkę. – Muszę skończyć koszenie z tyłu domu. Jutro skoszę trawę od frontu. Mamy pieczonego kurczaka na kolację i chcę go zamarynować na godzinę.

Powstrzymała go znów, tym razem kładąc dłoń na jego policzku.

– Jesteś taki wściekły.

– Cholerna prawda, że jestem wściekły. Zjawiła się tutaj, uzbrojona po zęby. Byłaś w tym czasie w domu.

– Miałam tasak.

Parsknął śmiechem, po czym ujął jej dłoń i pocałował ją.

– Nie wróci. Już LaPorte tego dopilnuje. Co więcej, w ostatecznym rozrachunku wszystko to obróci się na naszą korzyść.

– Jakim cudem?

– Był wytracony z równowagi. Słyszałem to w jego głosie. Nie potrafił kontrolować Selene. To ja ją kontrolowałem. I teraz kontroluję jego. Kosztuje go to dodatkowy milion.

– Zapłaci?

Booth wyjął telefon i sprawdził.

– Już to zrobił.

Uświadomiła sobie, patrząc na to ze swego punktu widzenia, że Booth może zrobić wszystko, poradzić sobie ze wszystkim. Skinęła głową.

– Dobrze. Idź i dokonaj cudu z kurczakiem. Ja dokończę koszenie. Mam bardzo ładne podwórce w swoim własnym domu – wyjaśniła, kiedy się zawahał. – Sama o nie dbam. Lubię o nie dbać.

– Okej. W porządku. Przykro mi z powodu tego wszystkiego.

Oddała mu butelkę z wodą.

– Jak głupie jest przepraszenie za to, że ma się dość odwagi i umiejętności, żeby pogonić zawodową zabójczynię?

– Miałem w odwodzie rudowłosą kobietę z tasakiem.

Wszedł z powrotem do domu i umył ręce.

Pomyślał, że gniewny telefon do LaPorte'a – i żądanie dodatkowego miliona – nie tylko usunęło Warwick z tego terenu i uwolniło Mirandę od niebezpieczeństwa, ale też oznaczało wyrok śmierci dla zabójczyni.

Patrząc, jak Miranda kosi trawnik, pomyślał, że zrobił to, co musiał zrobić. I mógł z tym żyć.

*

Po kolacji, kiedy już zapadł zmrok, Miranda weszła z nim do bungalowu. Wybrał trasę przez las, gdyż chciał się upewnić, że zdemontowali kamery.

Zrobili to rzeczywiście.

Miranda postukała palcem w torbę, którą niósł na ramieniu.

– Nie uświadamiałam sobie, że potrzebujesz aż tylu narzędzi, żeby dostać się do tego domu.

– Nie potrzebuję. Światło się nie pali. Wejdziemy od tyłu.

– Co jest w tej torbie, Booth?

– Kilka rzeczy, które zabrałem podczas poprzedniej wizyty.

– Poprzedniej wizyty? Kiedy?

– Po tym, jak próbowali się do mnie włamać. Zostawiłem ci karteczkę na wypadek, gdybyś się obudziła. Żebyś się nie martwiła.

– Jakie to rozważne.

Zignorował ten złośliwy ton, ponieważ uznał, że jest on usprawiedliwiony.

– Tak myślałem. Posłuchaj, nigdy mi nie przyszło do głowy, że będę musiał podrzucić jej pistolet, kiedy już stąd wyjadą. Potrzebowałem niejakiego zabezpieczenia.

Oba samochody zniknęły, jak zauważył, sprawdził też, że pojemniki na śmieci są puste. Byli na tyle inteligentni, że je opróżnili.

Wyjął z torby parę rękawiczek chirurgicznych.

– Włóż je.

– Naprawdę? Dlaczego ktoś miałby szukać tu odcisków palców?

– Bo chcę temu komuś dać po temu powód. – Też wciągnął na dłonie rękawiczki i spróbował dostać się przez tylne drzwi. – Nie zawracali sobie głowy, żeby je zamknąć.

– Och. – W jej głosie pobrzmiwało rozczarowanie. – Chciałam zobaczyć, jak się włamujesz.

– W tym przypadku otwieram po prostu drzwi.

Uczynił to, po czym zapalił światło w kuchni.

Niemal podskoczyła.

– Zapaliłeś światło! – zawołała.

– To mniej podejrzane niż myszkujący po ciemnym domu błysk dwóch latarek. – Zaczął spuszczać rolety w oknach od frontu; rozejrzał się. – Naprawdę powinni tu trochę odnowić ściany. Chyba schowam pistolet do szuflady.

– Są na niej twoje odciski palców.

– Wytarłem je, tak jak oni zapewne wytarli swoje, zanim się stąd wynieśli. Ale na magazynku są odciski Warwick. Postępowałem z nim ostrożnie.

Otwierał szuflady, w jednej znalazł żaloszny komplet plastikowych przyborów kuchennych i umieścił w głębi niej pistolet, za łyżką cedzakową. Potem położył torbę na stole.

– No więc, co mogą zostawiać mimowolnie ludzie, którzy wyprowadzają się w pośpiechu? Wyjąłem kilka rzeczy z ich koszy na śmieci, kiedy już wystawili je wieczorem przed wywózką.

Butelka po piwie powędrowała pod zlew, nie do kosza, tylko obok, magazynek znalazł swoje miejsce pod zapadającymi się poduszkami w salonie. Butelkę po tequili wcisnął w zakurzony kąt szafki wiszącej.

Wyjął pojedynczą czarną skarpetę i ruszył w stronę łazienki.

– Znalazłeś to w śmieciach?

– W koszu na brudne rzeczy, który stoi w pralni. Podczas poprzedniej wizyty.

Wrzucił ją pod łóżko.

Następnie wyjął jasnoczerwony sportowy stanik, wsunął go stopą pod toaletkę w drugiej

sypialni, na koniec wyciągnął z torby poszewkę i wcisnął ją między pralkę i suszarkę.

– Byli tutaj i spali, kiedy wszedłeś.

– Tak właśnie postępuję, Mirando. Cofnij się.

Wyjął drugą butelkę po piwie i stłukł ją, uderzając o brzeg stołu. Potem podniósł jedno z kuchennych krzesel i rozwalił je o blat szafki. I skinął z zadowoleniem głową na widok niewielkiego wgniecenia w starej laminowanej powierzchni.

– Nie chcę połamać sobie ręki – wyjaśnił, po czym owinął dłoń grubym ręcznikiem, i dopiero wtedy wpakował pięść w drzwi ze sklejk.

– Ma wyglądać to tak, jakby się pokłócili... i pobili.

– Czyniąc przy tym dostatecznie dużo szkód dla wzbudzenia podejrzeń. Na dobrą sprawę wyświadczam właścicielom przysługę. Ubezpieczenie pokryje to wszystko i będą mogli wyciągać nieco więcej z wynajmu odnowionego domu.

– Nie dlatego robisz to wszystko.

Chciał się uciec do jakiejś wymówki, ale się powstrzymał. Zasługiwała na prawdę.

– To powinno dać gliniarzom powód do działania. Miejmy nadzieję, że ustalą ich tożsamość i zainteresują się przeszłością. Może ją dopadną, zanim LaPorte to zrobi. Kosztowała go milion dolarów. On też wyrównuje swoje rachunki.

– Wolałbyś ją widzieć w więzieniu zamiast w ziemi.

Stał przed nią wysoki i szczupły w swoich podniszczonych dżinsach i wiekowych butach do koszykówki.

– Owszem, ale wybrała, by tak rzec, swoją własną ścieżkę, tak jak ja wybrałem swoją.

– Zabiłaby cię, mnie także. I... nawet by później o nas nie pomyślała. Nie ponosisz odpowiedzialności za to, co się z nią teraz stanie.

– Nie, ale tak czy inaczej, inscenizuję to wszystko, żeby ściągnąć na nią i Cannery'ego kłopoty.

– W porządku. – „Wziąwszy wszystko pod uwagę”, jak pomyślała Miranda. – Co dalej?

– Zabierzemy większość szkła i drewna, jakby próbowali to ukryć. Ale trochę zostawimy.

Przypuszczam, że dokładnie wysprzątaли wnętrze i wszystko powycierali, ale jest szansa, że ominęli kilka miejsc. Zapłacili z góry, nie zalegali, kto więc będzie się martwił tym, że wyjechali wcześniej? Nie masz się czym przejmować.

– Ale Tracey, właściciele i gliniarze będą się przejmować, kiedy zobaczą te zniszczenia, ślady fizycznej walki i naładowaną broń.

– Właśnie o to chodzi. Mam jeszcze kilka rzeczy, które tu porozrzucam, potem się pozbiemy i wrócimy do domu. Byliśmy ich sąsiadami, więc możemy spodziewać się kilku pytań. Powiemy prawdę – do pewnego stopnia. Natknęliśmy się na Selene pewnego ranka, jak spacerowała po lesie między bungalowem a moim domem. Miała aparat fotograficzny, mówiła o zdjęciach i tak dalej. Wpadła do mnie wieczorem, kiedy akurat kosiłem trawę, bez aparatu, wydawała się zdeenerwowana, ale powiedziała, że wyszła na przechadzkę.

– Blisko prawdy.

*

Pytania pojawiły się pod koniec tygodnia wraz z pukaniem do drzwi. Miranda poszła do siebie, żeby spakować się przed weekendem w Georgetown – Booth nie chciał, żeby wybrała się w tę podróż.

Pukanie przerwało jej rozważania na temat stroju, w jaki miałyby się ubrać na spotkanie z jego ciotką i człowiekiem, który poniekąd zastępował mu ojca. A następnie wybrać się z nim – czy to mu się podobało, czy nie – w celu przeprowadzenia rekonesansu.

Choć nigdy nie spotkała osobiście miejscowego szefa policji, rozpoznała go od razu, gdy tylko otworzyła drzwi.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panno Emerson. Jestem Greg Capton, szef policji.

– Och, oczywiście. Witam.

Wyciągnęła do niego rękę, mając nadzieję, że jej dłoń nie robi się lepka od potu.

– Może mi pani poświęcić kilka minut?

– Jasne. Proszę wejść. Coś się stało?

– Niewykluczone. Chodzi o pani sąsiadów, tych z domu kawałek dalej.

– Sąsiadów? Och, przepraszam, oczywiście, proszę usiąść. Może kawy?

– Dziękuję, nie. Nie zabiorę pani dużo czasu. – Usiadł i uśmiechnął się rozbijając. – Proszę mi powiedzieć, kiedy ostatni raz widziała pani tę parę, która wynajęła bungalow? Ten nieduży domek niedaleko posesji Sebastiana Bootha. Zna pani Bootha, prawda?

– Tak, owszem, znam go. – Nie omieszkała się roześmiać. – Wyobrażam sobie, że jako szef policji zdaje pan sobie sprawę, że się spotykamy. Ale jeśli chodzi o tych ludzi z bungalowu, to cóż... trudno mi cokolwiek pewnego o nich powiedzieć. Jego nigdy nie spotkałam. Ją spotkaliśmy, ja i Booth. Spacerowaliśmy pewnego ranka po lesie. Nie jestem pewna kiedy... może ze dwa albo trzy tygodnie temu. Robiła zdjęcia. Czy coś się stało?

– Jeszcze nie wiem. Tracey... zna pani Tracey... zaniepokoiła się, kiedy się dowiedziała, że w tym tygodniu dwa razy nie wystawili śmieci. Wygląda na to, że się spakowali i wyjechali nagle.

– Och? Doprawdy? To dziwne, czyż nie? Sprawiała wrażenie podekscytowanej, że ma okazję robić zdjęcia – zdjęcia przyrody, jak nam zdradziła. Ale wie pan, byłam u Bootha jakieś dwa dni temu. Chyba w nocy w poniedziałek? to znaczy wieczorem – poprawiła się. – Zjawiała się, kiedy kosił trawę na tyłach domu. Zobaczyłam ją przez okno i zastanawiałam się, czy nie zaproponować jej czegoś do picia, ale po chwili się oddaliła. Booth wspomniiał potem, że wyglądała na zdenerwowaną. Nie uprzedzili Tracey, że się wyprowadzają?

– Na to wygląda. I nie rozmawiała z nią pani osobiście w tamten poniedziałek?

– Nie. Właśnie kończyłam pisać, zeszłam na dół po wodę i przy okazji zauważyłam, że rozmawia z Boothem. Potem skierowała się w stronę bungalowu, na przełaj przez las. Kiedy wyszłam na zewnątrz, mój przyjaciel powiedział, że po prostu mimowolnie tu zawędrowała, chcąc się przejść czy zaczerpnąć świeżego powietrza, czy coś takiego... nie pamiętam dokładnie, przykro mi.

– Niewykluczone. No cóż, dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas.

„Nic nie wspomniiał o broni ani zniszczeniach wewnątrz domu”, pomyślała Miranda, zamykając za nim drzwi. Wyjęła komórkę. Spodziewała się usłyszeć coś więcej od Tracey. Pakując się, włączyła głośnik.

– A kiedy nie odbierali telefonów, pojechałam tam. Dasz wiarę? Ani śladu samochodów, rolety opuszczone. Poszłam na tyły, okazało się, że drzwi nie są zamknięte! Kiedy weszłam do środka, od razu się zorientowałam, że coś się tam stało. Wyglądało tak, jakby się pożarli. I to na całego.

– O mój Boże.

Miranda zdecydowała, że najodpowiedniejsza będzie czarna sukienka, gdyby zdarzyło im się wybrać na kolację.

– Brakowało jednego krzesła w kuchni, znalazłam jego połamane kawałki pod stołem. I potłuczone szkło. W drzwiach schowka na miotły zieje wielka dziura, jakby ktoś w nie walnął pięścią!

– Och, to okropne. Myślisz, że coś jej zrobił?

– Nie wiem, po prostu nie wiem. Ale powiem ci, że chyba nie spali razem. Wydaje mi się, że zajmowali osobne sypialnie. Kto tak robi? Zabrali ze sobą swoje śmieci, ale kilka rzeczy przeoczyli. Butelki po piwie, butelkę po tequili, wszyscyutkie puste. Myślę, że jedno z nich popijało po cichu.

Pozwalała Tracey dawać upust złości, kończąc jednocześnie pakowanie.

– Mam nadzieję, że ustalisz, co się tak naprawdę wydarzyło, i mi powiesz.

– Możesz być tego pewna.

– Teraz wyjeżdżam. Wybieramy się z Boothem na weekendowy wypad.

– Romantyczne!

– Mam nadzieję. Dam ci znać po powrocie, czy moje oczekiwania zostały spełnione. Powodzenia w sprawie nieobecnych lokatorów.

– Baw się dobrze!

Miranda włożyła do samochodu walizkę, laptop i torebkę. Postanowiła poczekać na Bootha u niego w domu. Trudniej by mu było podawać jakieś powody, dla których powinna zostać, gdyby postawiła go przed faktem dokonanym.

Próbował ją przekonać.

– Zaczynam podejrzywać, że nie chcesz, bym spotkała się z twoją ciotką czy Sebastienem.

– Pojedziemy do Nowego Orleanu już po wszystkim. Wtedy się z nimi spotkasz.
– Są tylko o kilka godzin drogi stąd, a ja nie mogę się doczekać, kiedy ich wreszcie poznam.
I kiedy odegram jutro swoją rolę.
– Nie ma potrzeby, żebyś...
– Taki człowiek... Zaraz, jak się nazywasz? – Roześmiała się, kiedy zamknęła oczy. – Monsieur Henri Dubeck, wielce ekscentryczny i rozchwytywany projektant wnętrz o trudnym charakterze. Jesteś dyskretny, nigdy nie ujawniasz niczego o swoich klientach, a już na pewno o nich nie rozmawiasz. A ja to mademoiselle Marguerite Gavier, twoja wierna i anielsko cierpliwa asystentka.
– Wskazała walizkę, potem drzwi. – Już wcześniej się dogadaliśmy, Booth.
– Byłem osłabiony po winie i seksie.
– Umowa to umowa, poza tym zyskasz jeszcze jedną parę oczu.
Wyszedłszy z torbą na laptop i torebką, czekała, kiedy pakował do bagażnika jej walizkę.
Zachował coś na koniec jako ostatnią – płonną – nadzieję.
– Zauważasz pewnie, że w przeciwieństwie do ciebie wzięłem niewiele rzeczy.
– W tych torbach są Dubeck i Gavier.
Wsiadła do samochodu i uśmiechnęła się, zapinając pasy.
– Widzisz? Wiedziałeś, że z tobą pojedę.
– Najwidoczniej.
– Możemy jeszcze raz przeanalizować moje nowe wcielenie, ale najpierw ci przypomnę, że nigdy mi nie powiedziałeś, w jaki sposób nakłoniłeś Regal – co za głupie imię! – Regal Mountjoy, najnowszą żonę na pokaz Alana C., by dała się złapać na przynętę Dubecka.
– Nowe żony na pokaz, zgodnie z logiką, chcą odcisnąć swoje piętno na pomieszczeniach, które wcześniej urządziły ich poprzedniczki. Mam we Francji koneksje z niezwykle ważną kobietą, a ta ma koneksje z koneksjami naszej Regal. Przygotowała mi grunt. Ot i wszystko.
– Dawna kochanka?
– Nie, była klientka.
Miranda rozsiadła się wygodnie przed podróżą i obojętna na to, jak to o niej świadczyło, już się nie przejmowała. Uwielbiała jego opowieści.
– Kradłeś dla tej Francuzki.
– Odzyskałem coś, co do niej należało. Jej prababka była artystką, i to znaną. Naziści ukradli portret babki mojej klientki, przedstawiający ją w młodym wieku. Babka przeżyła Holocaust. W przeciwieństwie do pozostałych członków rodziny.
– To straszne. Po prostu straszne.
– Moja klientka chciała odzyskać ten portret i wykorzystwała w tym celu wszystkie dostępne możliwości, a potem zatrudniła mnie. Przyjąłem zlecenie pro bono, dlatego, że... no po prostu dlatego.
Miranda dotknęła jego dłoni.
– Dlatego.
– Powiedziała, że jeśli będę kiedykolwiek potrzebował jakiejś przysługi, jakiegokolwiek... więc dała cynk przyjaciółce przyjaciółki Regal, że do Waszyngtonu przyjeżdża Dubeck w celu spotkania się z pewnym klientem. Sławnym klientem, i że zamierza pozostać w mieście kilka dni. Dubeck uległ namowom, by spotkać się z Regal i rozważyć obdarzenie jej swym wielkim talentem.
– Pojawia się teraz pytanie – jak zamierzasz odstawiać z przekonaniem snobistycznego francuskiego dekoratora wnętrz?
– Ooo, to nic trudnego. Zajmowałem się tym już wcześniej, i to kilka razy. Aczkolwiek postanowiłem, że Dubeck przejdzie po tym numerze na emeryturę.
– Naprawdę projektowałeś wnętrza?
– Bywałem w wielu niezwykłych domach, bogatych w zdobienia, minimalistycznych, retro, ultranowoczesnych. To kwestia wysondowania klienta, czego chce w gruncie rzeczy – albo czego oczekuje. Mówić przekonująco, bawić się w matematykę.
– W matematykę.
– Trzeba wszystko mierzyć, Mirando. Jakies osiem lat temu zajmowałem się urządzaniem pewnego domu w Prowansji. Nowoczesny wystrój z elementami lokalnego kolorytu. Chwyciło. Dostałem za to sowite wynagrodzenie i odszedłem z naszyjnikiem ze szmaragdów o wadze trzy-

dziestu trzech karatów i osadzonymi w platynie białymi diamentami o wadze dwudziestu karatów.

O, tak, uwielbiała te jego opowieści.

– Urządziłeś ich dom, a potem rąbnałeś im biżuterię?

– Nigdy nie okradam klientów. To, co zamierzamy zrobić, to wyjątek, i dlatego Dubeck właśnie przejdzie na emeryturę. Wziąłem to z sąsiedniej willi, a potem nadzorowałem instalację lazurowych lnianych zasłon w głównym apartamencie klienta. Byliśmy zszokowani i przerażeni.

– Nie wątpię.

Pomyślała – jak często się jej to ostatnio zdarzało – że zakochała się w fascynującym, skomplikowanym człowieku.

Nigdy wcześniej nie była w Georgetown, więc cieszyła się na zmianę otoczenia. Wysokie, wzniesione z cegły domy, gwarne ulice i mnóstwo samochodów, sklepy i restauracje.

– To jak miasto w mieście, prawda? Ma swoją godność, historię i energię. Może chciałabym spędzić tu trochę czasu, kiedy już zrobimy nasz przekręt.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Przekręt?

– To dobre słowo, w dodatku opiera się upływowi czasu. A jak byś ty to nazwał?

– Pracą – odparł po prostu i zatrzymał się pod niewielkim garażem obok uroczonego, dwupiętrowego domu z cegły. Po obu stronach wykładanego kostką podjazdu ciągnął się dywan kwiatów. Ścieżka prowadziła do niskich schodków i drzwi wejściowych.

Otworzyły się na oścież i ze środka wybiegła kobieta z rozwianym włosom w kolorze jeżyny, jak oceniła Miranda. Za nią wybiegł mały piesek, który zaczął podrygiwać na swoich krótkich, grubych łapkach.

Kobieta zarzuciła Boothowi ramiona na szyję, a kiedy ten ją objął, Miranda poczuła łzy w oczach. „Miłość”, pomyślała. „Absolutna i niepodważalna”.

– Tęskniłam za tobą, dziecinko. Strasznie tęskniłam.

– Ja też za tobą tęskniłem. – Cofnął się i musnął dłonią jej włosy. – Co to za kolor?

– Kolor drinka. Jack Hornet.

– Bo...?

– Bo dodaje się do niego jeżyny – wyjaśniła Miranda i zaskarbiła sobie łzawy uśmiech ze strony Mags.

Śmiejąc się szaleńczo, ciotka Bootha przygarnęła ją do siebie. Pachniała perfumami Chanel, różami i świeżym chlebem.

– A więc to ty... – mruknęła, po czym uwolniła Mirandę z objęć. – Jestem Mags.

– Miranda.

– Wchodźcie, wchodźcie. Niech panowie zajmą się bagażami i winem, które pooddycha na barku. A to jest Wiluś – dodała, kiedy zbliżyli się do schodków.

Pies wskoczył z impetem w objęcia Mirandy, a potem popatrzył na nią wyłupiastymi i pełnymi miłości oczami.

– O Boże, jesteś uroczy.

– Prawda? – rozanieliła się Mags, prowadząc Mirandę do środka, podczas gdy Booth przyglądał się temu w zdumieniu.

Podszedł do nich swoim niespiesznym krokiem Sebastien ze ścierką tradycyjnie przerzucaną przez ramię; włosy miał związane z tyłu głowy w kuca tak grubego jak nogi jego psa.

– Och, *ma belle amie, bienvenue!*

Miranda została nie tylko uściskana, ale też ucałowana w oba policzki.

– Booth potrzebuje pomocy przy bagażach. Sebastien przygotował ucztę – ciągnęła Mags, prowadząc Mirandę korytarzem w stronę wielkiego pokoju ze szklanymi drzwiami, które otwierały się na wybrukowany dziedziniec z fontanną pośrodku.

Powietrze pachniało jak niebiański moszcz.

– Przyglądam się, kiedy coś przygotowuje. Czasem coś mieszam. Przy szczególnych okazjach mogę kroić, a nawet siekać.

– Też tak robię.

Mags spojrzała na nią rozpromieniona.

– Czyż nie jesteśmy obie mądrymi dziewczynami? Napijmy się wina.

Rozdział 28

Wino płynęło szerokim strumieniem, a na stole wciąż lądowało jedzenie. Cały czas toczyły się rozmowy, non stop, kiedy Miranda kosztowała kiełbasek nowoorleańskich. Nie wiedziała, co to takiego, pomijając fakt, że były pyszne.

Temat LaPorte'a nie pojawił się ani razu, podobnie jak Czerwonej Bogini ani czegokolwiek, co planowali. Gadali o jedzeniu, Nowym Orleanie, Westbendzie, książkach Mirandy i znowu o jedzeniu, kiedy przenieśli się z przepastnej kuchni do salonu ze stołem przystrojonym czarująco kwiatami i świeczkami.

Sebastien, bawiąc się wyśmienicie, postawił na stole półmisek pięknie ułożonych ciastek krabowych na zieleninie serwowanej z zimnym sosem francuskim swojego autorstwa.

Mirandzie wystarczył kęs, by wznieść kieliszek w geście toastu.

– To zdumiewające – powiedziała. – Wiem teraz, od kogo Booth zaczerpnął swoje umiejętności kulinarne.

– Oszlifowałem surowy diament – wyjaśnił Sebastien. – Dziś wieczorem przynosimy ci w darze Nowy Orlean.

– Nie wydaje mi się, bym mogła zjeść coś lepszego na Bourbon Street.

– Gdyby moje serce nie należało do twojej ciotki... – Sebastien poklepał się bojowo po piersi. – To skradłbym inne, *mon ami*. Odwiedzisz mnie w Bayou, *cher*, zafundujemy sobie *fais-dodo*.

– Chciałabym zobaczyć te mokradła. – I postanowiła, że zobaczy. – Booth mówi, że masz trzy córki.

– Moje trzy klejnoty. I teraz jestem już dziadkiem. Mam czworo wnucząt, a kolejne jest w drodze.

– Co sprawia, że jestem honorową babcią – wtrąciła Mags. – Nazywają mnie Magma. Czas płynie – dodała, mrugając do Sebastiena. – Ale mądrzy ludzie to akceptują i cieszą się tym.

Cel wizyty pojawił się dopiero wtedy, kiedy usiedli przy puddingu chlebowym z karmelowym sosem.

– *Mais...* – zaczął Sebastien. – Jutro.

– Jutro – powtórzył Booth. – Spotkanie jest o drugiej, więc wyruszymy o tej właśnie godzinie. Dubeck każe im na siebie czekać. Załatwiłeś transport?

Sebastien skinął głową.

– *Bien sûr*. Za kogo mnie masz.

– Przypuszczam, że półtorej godziny powinno wystarczyć, a ja przekażę klientce wizytówkę – albo zrobi to Miranda – z numerem telefonu na kartę. Dauphine go ma?

– Jest przygotowana. – Mags kiwnęła głową. – Asystentka monsieur Dubecka do spraw administracyjnych.

– Ocenę zabezpieczenia, elektroniczne i osobowe, sprawdzę też słabe punkty, zlokalizuję teren działania i zdobędę harmonogram klientki na następne trzy miesiące.

– I uwiniesz się z tym wszystkim przez półtorej godziny?

Booth spojrział z pobłażaniem na Mirandę.

– Uwinąłbym się szybciej, ale półtorej godziny wywrze odpowiednie wrażenie. Cóż, Dubeck jest bardzo zajęтым człowiekiem. Jeśli potrwa to dłużej, to dlatego, że wymaga ode mnie więcej, niż się spodziewałem.

– To wieczna gaduła. – Wyraźnie z siebie zadowolona Mags napiła się kawy. – Poszłam do salonu na manicure i pedicure, kiedy się akurat zjawiła. Nie uwierzylibyście, ile tam sobie liczą za zrobienie paznokci.

– Będziesz musiała wystawić mi rachunek.

– Och, dajże spokój. – Machnęła lekceważąco na Booth'a. – Dali mi kieliszek szampana

i czas, żebym przyjrzała się dokładnie twojej ofierze. Nie wspominając już o cholernie dobrym pedicurze. No więc przechwała się, rzuca nazwiskami i gada cały czas z przyjaciółkami przez telefon. Jeśli tego akurat nie robi, przegląda magazyny poświęcone modzie. Wydaje mi się dość płytka, jak kałuża po deszczu, nieszkodliwa i niepoważna. Jej aura to mieszanina delikatnego brązu i różu. Kocha swego męża, ale jego pieniądze jej w tym nie przeszkadzają.

– Chwileczkę! – Miranda podniosła dłoń. – Widzisz aurę?

– Madame Magdelaine widzi to, co widzi – oznajmiła Mags teatralnym tonem. – A twoja? Czerwień, odrobina pomarańcza i żółcienia. Pewność siebie, bezpośredniość, kreatywność. Musisz, moja droga, jak najwięcej czerpać z doświadczenia.

– Mógłbym ci powiedzieć to samo bez odczytywania aury – wtrącił kwaśno Booth, a Mags spiorunowała go wzrokiem, trzepocząc przy tym wymownie rzęsami.

– Mogłabym dodać, że jesteś szczęściarzem, dziecinko. To pomarańczowe światło oznacza bowiem tak seksualną, jak i kreatywną energię.

– Kontynuując – rzekł Booth, kiedy Miranda parsknęła śmiechem. – Nasza ofiara? Mów dalej.

Mags mrugnęła do Mirandy.

– Pogadamy sobie później.

– Och, z chęcią.

– Więc... żeby zagaić rozmowę, wyraziłam podziw dla jej kolczyków – ciągnęła Mags. –

Diamantowe ćwieki w kolorze kanarkowym, od Graffa, około dwóch karatów każdy. Dostała je od swojego męża na walentynki, gdy byli oboje na romantycznym weekendzie w Paryżu. Jest lalunią. Jej własne słowa.

– A ty byłaś...

– Nie spytała mnie o imię ani o nic innego, co dotyczyłoby mojej osoby. Rozmawialiśmy tylko przez kilka minut, a mimo to udało jej się wspomnieć, że konsultowała się ze słynnym dekoratorem wnętrz Dubeckiem w sprawie urządzenia jej głównego apartamentu. Byłam pod odpowiednim wrażeniem. – Jej oczy zdradzały rozbawienie, kiedy wpatrywała się w łyżkę. – Co więcej, zainteresuje cię pewnie fakt, że robi to wszystko dla swojego męża z okazji trzeciej rocznicy ślubu. Wybrał się w tej chwili na golfa do Hilton Head.

– Tym lepiej – rzekł Booth i zwrócił się do Sebastiena: – A jak z namierzaniem Lake Charles?

– Mamy dom, jeden z tych, które wskazałeś. Dobry wybór, jak sądzę. Zgramy to z harmonogramem LaPorte'a, a potem pozbędziemy się rodziny i służby.

– I jak to załatwicie? – zainteresowała się Miranda.

– Może się nam poszczęści, kiedy rodzina wybierze się na wakacje. Następnie trzeba się będzie zająć tylko służbą – powiedział jej Booth. – Albo znaleźć powód, dla którego należałoby się wynieść z domu na jedną noc.

– Inwazja szkodników? – zaproponował Sebastien. – Albo wyciek gazu.

Booth skinął głową.

– Szybko i skutecznie. Stawiam na wyciek gazu, jeśli zdarzy się w odpowiedniej chwili. Jeśli nie, to może kilka szczurów, kilka myszy. Czas wezwać kogoś z dezynsekcji. A tym kimś będzie jeden z nas – wyjaśnił Mirandzie. – Powiemy, żeby wszyscy się wyprowadzili, ludzie i zwierzęta, a rozwiążemy problem w ciągu dwudziestu czterech godzin. – Znów spojrzał na Sebastiena. – Planuję to – najkorzystniejszy scenariusz – na połowę czerwca.

– Na tym się skupimy.

– Chodzi o iluzję i zgranie w czasie.

– Czy nie chodzi też o kradzież wielkiego diamentu?

Booth poklepał Mirandę po dłoni.

– Jeszcze nie, ale dojdziemy do tego.

Przypuszczała, że przygotowania do jutrzejszego rekonesansu oznaczały początek tej drogi.

Po wyszukanym brunchu usiadła z Mags na podwórzu, podczas gdy Wiluś drzemał pod stołem po codziennym spacerze.

– Nie chciałam wtykać nosa w nie swoje sprawy – zaczęła Mags. – Ale chcę powiedzieć, że dajesz mojemu chłopcu szczęście.

– Mam nadzieję, że tak jest.

– Zznał w swoim życiu wiele smutku, szaleństwa i zła. Były szczęśliwe chwile, ale nie może się to równać z tobą.

Te słowa zapadły Mirandzie głęboko w sercu.

– To naprawdę niezwykle... słyszeć coś takiego.

– Kiedy powiedział mi o tobie po raz pierwszy, jeszcze na studiach... mogłam dosłyszeć w jego głosie szczęście, szczęście bezgraniczne, i pomyślałam: Oho, mój chłopak jest zakochany. Utracił cząstkę serca, kiedy od ciebie odszedł. I odszedł przeze mnie.

– Nie, Mags. To nie tak. – Miranda, bezpośrednio, zdecydowana, zdeterminowana, wyciągnęła rękę do kobiety. – Nie. Odszedł z powodu LaPorte'a. Chciałam jednak winić Bootha... i cóż... winiłam go – przyznała niechętnie.

– Oczywiście, że tak – odparła cicho Mags. – Bo chciał, żebyś go winiła.

– Teraz jednak znam prawdę. Wiem, że w całej tej sprawie jest tylko jeden złoczyńca. Wtedy czułam się zdruzgotana, nie będę zaprzeczać. To mnie zmieniło, moją postawę, moje poglądy. Ale... czy ty wierzysz w przeznaczenie?

– Och, kochanie. – Mags parsknęła śmiechem. – Jakżeby inaczej?

– No cóż, oboje byliśmy wtedy tacy młodzi i kto wie, jak byśmy sobie na dłuższą metę poradzili z uczuciami. Ale teraz jesteśmy starsi. Mądrzejsi, dojrzałsi, bardziej doświadczeni życiowo. A w ciągu kilku ostatnich miesięcy poznałam Bootha lepiej niż kiedykolwiek wtedy, gdy się w nim zakochiwałam. – Zerknęła w stronę domu i okien pokoju, gdzie spędzili noc. – Powiedział ci o Selene Warwick?

– Tylko tyle, że LaPorte odwołał ją i Cannery'ego.

– Tak, ale dopiero wtedy, kiedy Booth mu zagroził. I sam przepędził Selene.

Kiedy opowiedziała jej wszystko, Mags dołała do szklanek słonecznej herbaty Sebastiena.

– Siostrzeniec nigdy nie mówi mi o takich rzeczach. – Westchnęła. – Nie wydaje mi się też, by mówił za często Sebastienowi.

– Wątpię, czy i mnie by powiedział, ale sama to widziałam. I zobaczyłam człowieka, który potrafi sobie poradzić. Zabrał jej broń, przepędził ją, zagroził LaPorte'owi... do diabła! sterroryzował go – sprostowała. – I wydusił z niego jeszcze jeden milion dolarów. Później zainscenizował wszystko w tamtym domu, który wynajmowali, żeby ich zidentyfikowano i wszczęto poszukiwania. Czy uda się ich znaleźć, to inna rzecz... ale zabrał się do tego wszystkiego tak... sprawnie, tak gładko. Odbębnił to wszystko tak, jakby oddychał, no i to, co robi teraz, ucząc na pełnym etacie i wystawiając musical, który naprawdę wzbudził podziw. Myślę, że umiałby zrobić cokolwiek, co tylko by zechciał.

– Nie musisz mi tego mówić. Kochasz go, jak widzę. I nie jest to pytanie, bo widzę to, co widzę. Sama zdecydujesz, co z tym robić.

– Och, już zdecydowałam. – Miranda znowu powiodła spojrzeniem w stronę okien. – To musi poczekać do chwili, aż będzie po wszystkim.

Pojawił się Sebastien, nim Mags zdążyła o cokolwiek spytać. Położył sobie dłoń na sercu.

– Och! *Les belles femmes!*

Słyszając jego głos, Wiluś zerwał się na równe nogi i zaczął tańczyć na tylnych łapkach. Sebastien wziął go na ręce i trącił psiaka nosem.

– Booth jest gotowy, *cher*.

Miranda weszła do domu i wspięła się schodami na górę, a tam skręciła w lewo.

Drzwi sypialni stały otworem, weszła więc do pokoju i zobaczywszy wewnątrz mężczyznę, cofnęła się gwałtownie.

Facet, który stał i przeglądał się w wysokim lustrze, miał dwubarwne włosy zaczesane do góry, mniej więcej w stylu lat pięćdziesiątych – stalowoszare i u góry zwieńczone śnieżną bielą. Do tego kozią bródkę, też stalowoszara, ostro zakończoną w szpic.

Pod szarym garniturem o najbledszym z odcieni i kobaltową kamizelką prezentował szerokie bary i równie szeroką pierś.

Na małych palcach obu dłoni migotały pierścionki. W kłapie marynarki połyskiwała wyszukaną szpilka w kształcie feniksa.

Nie dostrzegła w owym mężczyźnie Bootha, dopóki się nie odezwał.

– Dobrze – rzekł. – Teraz kolej na ciebie.

– Dobry Boże... minęłabym cię na ulicy bez słowa. Wyglądasz starzej i... jakoś tak pełniej. Masz brązowe oczy.

– To szkła kontaktowe. – Mówił szybko, zgodnie z rolą, jak sobie uświadomiła. – Zdejmij ubranie i włoż szlafrok. Muszę cię uczesać i umalować.

– Dzięki, ale robię to sama od dwunastego roku życia.

– Nie w ten sposób. To będą twoje włosy.

Wskazał krótką, prostą perukę z grzywką.

– Okej. Wygląda jak ta, którą Julia Roberts nosiła na początku *Pretty Woman*.

– Chyba tak.

Zamknęła drzwi, nim zaczęła się rozbierać.

– Rozumiem, że nie przyprawisz mi zarostu.

– Nie tym razem.

Zdjął marynarkę, położył ją na łóżku, kiedy włożyła szlafrok i usiadła. Przekreślił krzesło obrotowe plecami do lustra. Próbowała natychmiast wrócić do pierwotnej pozycji.

– Chcę patrzeć!

– Nie. Kiedy skończę, obejrzysz efekt końcowy. – Zaczął układać jej włosy na czubku głowy. – Nie mogą przeszkadzać, kiedy będę robił ci twarz. Zamierzam wykorzystać to, co już na niej masz.

– Potrafisz zrobić pieprzyk? Zawsze mnie ciekawiło, jak bym z nim wyglądała. – Nagle dosłownie podskoczyła na krześle, kiedy otworzył kuferek. – O mój Boże, te wszystkie pędzelki. Palety cieni! Pozwól mi...

Trzepnął ją w dłoń.

– To moje. Później się tym z tobą podzielę. Mam tu wszystko odpowiednio poukładane.

– Twoja twarz jest pełniejsza także wokół szczęki.

– Uhm.

– Moja też taka będzie?

– Nie... – mruknął, nie przerywając pracy. – Tylko mocniejszy makijaż, zwłaszcza oczy.

Odważna czerwień na wargach.

– Nie do twarzy mi z wściekle czerwoną szminką.

– Dziś będzie do twarzy.

Sprawnie operował pędzelkami, nakładał, podkreślał i pudrował. Wprawił ją w zdumienie, aplikując jej sztuczne rzęsy – i zignorował argument, że wyglądają tanio i tandetnie.

Zmienił jej też kolczyki i naciągnął na głowę perukę, aż wreszcie przyjrzał się jej zmrużonymi oczami, by po chwili włożyć jej jeszcze okulary w czarnych oprawkach.

Kiedy próbowała się odwrócić i popatrzeć na siebie, ściągnął ją z krzesła i odsunął od lustra.

– Jeszcze nie. Musisz najpierw to włożyć.

Pokazał jej body i patrzył, jak otwiera szeroko usta.

– To ma być niby mój tyłek? Wciskasz na mnie jakieś monstrum, a to są moje... – Położyła obronnym ruchem dłoń na piersiach. – Będę miała wielki tyłek, szerokie biodra i ogromne cycki.

– Nie są ogromne. Raczej proporcjonalne do reszty. Jeśli nasza klientka będzie kiedykolwiek podawała komuś twój rysopis, to nie powie „wiotka”, nie powie „patykowata”, tylko „krągła”.

– Może krzepka.

– Też się sprawdzi. Chciałaś tej roli, Mirando – przypomniał jej. – To twój strój służbowy.

Mruknęła coś niezrozumiale pod nosem, ale odrzuciła szlafrok i pozwoliła, by pomógł jej włożyć body.

– Jest trochę ciasne i podnosi moje piersi.

– Ma być ciasne i ma je podnosić. Tu jest reszta.

Przyglądała się krótkiej spódniczce, marynarce, jedwabnemu białemu topowi.

– To naprawdę krótka spódniczka.

– Mirando...

– W porządku, w porządku. Nie wiem tylko, czy mój nowy tyłek się w nią zmieści.

Zmieścił się oczywiście, wszystko idealnie pasowało, podobnie jak czarne szpilki. Po zawiązaniu na szyi szalika w kolorze czerwono-czarno-złotym, z supłem na jednym boku, cofnął się

i pokazał placem, żeby się obróciła.

– Dobrze. Bardzo dobrze... – mamrotał. – Teraz możesz się przejrzeć w lustrze.

Podeszła posłusznie do lustra i popatrzyła na siebie zdumiona.

Pomyślała, że też by minęła siebie na ulicy bez słowa. Jej oczy jawiły się ogromne i dziko umalowane. Zamiast wydawać się tanie i tandetne, rzęsy wyglądały na egzotyczne w opozycji do niewyszukanych okularów. Czerwone wargi sprawiały wrażenie francuskich, z tym nieco głębszym rowkiem w górnej wardze.

– Nie wyglądam jak ja – orzekła. – To nie wygląda jak peruka. A w tym body mogłabym nieźle zarabiać jako tancerka na rurze. Czy sypiam z Dubeckiem?

– *Mais non!* – rzucił z przeciągłym akcentem. – Jesteś dla niego tylko jeszcze jednym narzędziem, niewiele ważniejszym niż taśma miernicza.

– Okej. Czyżbym wyczuwała w głosie Dubecka cień Poirota?

– *Soupçon.*

Wciąż zafascynowana obracała się to w jedną, to w drugą stronę.

– Był Belgiem.

Nie dostrzegła pełnego zadowolenia uśmiechu Bootha.

– Tak, ale mimo wszystko się sprawdza. Posłuchajmy teraz ciebie.

Ćwiczyła wcześniej w samotności.

– Jestem do dyspozycji monsieur, który nie zwraca na mnie szczególnej uwagi. Wciąż jednak mam nadzieję...

Miękko, powoli, trochę na przydechu, z subtelnym akcentem.

Pomyślał, że jest to lepsze niż zbytnia przesada.

– Ujdzie. Dasz radę wytrwać w roli?

Popatrzyła z niejaką zawziętością na swoją twarz w lustrze.

– No pewnie, że dam.

– Kiedy zwrócę się do ciebie po francusku, odpowiadaj po francusku. Jeśli po angielsku, to po angielsku. Zresztą nie będziesz miała wiele do powiedzenia, podążaj po prostu za mną.

– Wiem, przerabialiśmy to.

– Powtórzenia pozwalają wszystko utrwalić. Zdejmij zegarek, nie stać cię teraz na taki. Przymierz te trzy bransoletki. Możesz nosić tę torebkę. Jest w niej twój tablet do notatek, taśma miernicza, ołówki, notes, etui na wizytówki – wizytówki Dubecka – i inne przyrządy. Popatrz na mnie, nie uśmiechaj się.

Kiedy posłuchała, zrobił jej zdjęcie.

– Musisz się bliżej zapoznać z zawartością torebki. Zmień ułożenie rzeczy, jeśli chcesz, tylko pamiętaj, co gdzie leży. Zaraz wrócę.

– Okej. Jestem trochę zdenerwowana. Ale wydaje mi się, że pasuje to do mojej osobowości.

Usiadła i otworzyła torebkę, chcąc przejrzeć jej zawartość, zobaczyła, że wszystko jest tak ułożone, jak sama by to zrobiła. Włączyła tablet, spróbowała sporządzić kilka notatek po francusku.

Czekając, wstała i obejrzała jego zestaw do makijażu; uznała, że jest niesamowity.

– Oto twój portfel – oznajmił Booth, gdy znów się pojawił. – Jest tam dowód tożsamości, karta kredytowa, trochę gotówki. Euro i dolary amerykańskie.

Otworzyła go i zrobiła wielkie oczy.

– Mam francuskie prawo jazdy ze zdjęciem, na którym wyglądam tak jak teraz.

– Szybka robota. Tak na wszelki wypadek. Karta kredytowa jest tylko na pokaz – i znów na wszelki wypadek. Powinniśmy się już zbierać. Pamiętaj, żeby nie przesadzać. Trzymaj się z tyłu.

– Wyglądając w ten sposób?

– Słyszałaś, jak Mags ją opisywała? Liczy się tylko ona i ten, kto w jakiś sposób jest ważny. Nie będzie się tobą przejmowała – ty nie jesteś ważna. Zobacz młodą Francuzkę o blond włosach, z przywoitą torebką i tanimi butami...

– Jak Clarice Starling z *Milczenia owiec*.

– Jezus, nic dziwnego, że szaleję na twoim punkcie. Tak, dokładnie jak Clarice. Ale ty jesteś wysoka, dobrze zbudowana i odzywasz się tylko wtedy, kiedy ktoś się do ciebie zwraca.

– *Oui, monsieur* – mruknęła, opuszczając wstydliwie oczy o grubych rzęsach. – *Je ne suis pas personne.*

– *Exactement.*

Ucałował jej dłoń i wyprowadził ją z pokoju.

Stojąca u podnóża schodów Mags podparła się pod boki.

– Dobra robota, dziecinko. Wyglądasz cholernie dobrze jako blondynka, kochanie. Jesteś rudowłosa, ale teraz wyglądasz cholernie dobrze. Połamania nóg.

– Połamię jej sobie na pewno w tych szpilkach. – Chwyciła dłoń kobiety. – Myśl o mnie, proszę. To mój debiut.

– Masz to jak w banku. Sebastien już czeka na was na zewnątrz.

Stał w szarym garniturze i klasycznej czapce szofera obok czarnej limuzyny. Przewrócił oczami na widok Mirandy i wykrzyknął:

– O la la!

Roześmiała się i wsiadła do samochodu.

– Limuzyna?

– *Bien sûr.* – Booth czy też Dubeck, jak sobie uświadomiła, wsunął się do samochodu za nią. – Jestem Dubeck. Jak bym miał podróżować? Przybiorę odpowiedni akcent i będę się go odtąd trzymał. Wniknę w tę tożsamość i nie popuszczę.

Wyjęła małą puderniczkę z torebki i przyjrzała się w lusterku swojej nowej twarzy. I odcisnęła ją w umyśle.

Dom rzeczywiście robił wrażenie, nie dało się temu zaprzeczyć. Wznosił się, masywny i elegancki, w samym sercu Georgetown, ze swymi trzema kondygnacjami i olśniewająco białymi stiukami wokół okien i drzwi na tle najbledszego odcienia żółci. Ogrody od frontu przepęłniała wiosenna zieleń.

– Nie jest otoczony murem, nie ma też bramy – zauważyła swoim nowym miękkim akcentem. – Spodziewałam się ściślejszej ochrony.

– Jest. O tam. Widzisz ten budynek po lewej? To siedziba ochrony, funkcjonuje tu dwadzieścia cztery godziny siedem dni w tygodniu.

Sebastien zwolnił i zatrzymał się na ceglany podjeździe naprzeciwko białego portyku, który strzegł podwójnych drzwi frontowych, potem otworzył Boothowi drzwi samochodu. Obszedł limuzynę i to samo uczynił dla Mirandy.

Ona, zgodnie z wyznaczoną funkcją, trzymała się w odległości dwóch kroków od Bootha, kiedy wszedł po schodach i nacisnął dzwonek.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Ubrana w służbowy strój kobieta w średnim wieku sprawiała wrażenie wyjątkowo sprawnej. Booth domyślał się, że jej obowiązki gospodyni obejmują też ochronę.

Miranda wyjęła z torebki wizytówkę swego szefa.

– Monsieur Dubeck – oznajmiła melodyjnie. – Jest umówiony z madame Mountjoy.

– Proszę wejść.

Gospodyni zaprosiła ich do okazałego holu o niebotycznym suficie. Podłogi lśniły pod doskonale spłowiałym dywanem od Aubusona. Na ścianach wisiały antyczne lustra, między nimi zaś obrazy, jako uzupełnienie mebli z wypolerowanego mahoni i stonowanych barw.

Powietrze pachniało nieco zbyt intensywnie różami i gardeniami.

– Proszę się rozgościć w salonie. – Wprowadziła ich do dużego pokoju z luksusowym kominkiem, trzema wysokimi oknami, kolejnymi dziełami sztuki i kolejnym morzem stonowanych barw. – Pani Mountjoy zaraz państwa przyjmie. Czy mogę coś tymczasem zaproponować?

– Kawę, mocną i czarną – odparł Booth, po czym zaczął przechadzać się po pokoju, oceniając go ze zmarszczonym czołem.

Miranda, nie podnosząc wzroku, skinęła głową.

– Tak, dla mnie proszę to samo.

Nie ruszyła się z miejsca, ręce trzymała złożone na podolku, podczas gdy gospodyni kiwnęła głową i wyszła, a Booth dalej krążył po pokoju i taksował wszystko uważnym wzrokiem.

Nagle zaczął mówić szybko po francusku, rzucił jej niecierpliwe spojrzenie, wykonując równie niecierpliwy gest. Miranda wyjęła z torebki tablet i starała się za wszelką cenę sporządzić notatki, dokonując gorączkowych interpretacji w swej głowie.

„Ze smakiem, ale bez przesady, wartościowa sztuka, dostojeństwo i szacunek wobec archi-

tektury domu. Piękna stolarka. Oryginalny tynk na ścianach”.

Kiedy skończył, usłyszała pospieszny stukot obcasów – prawdopodobnie tak wysokich jak jej.

Nowa żona, wystrzałowa blondynka ubrana w śmiałą czerwoną sukienkę od Versace, wkroczyła dumnym krokiem do salonu. Jej radość migotała równie olśniewająco jak diamenty w jej uszach, na nadgarstku i na palcach.

– Monsieur Dubeck! – zagadkała, co zabrzmiało jak „monszur”. Wyciągnęła rękę. – Witam. Bardzo dziękuję za przybycie.

– Madame. – Booth ujął delikatnie jej palce i ucałował dłoń. – Dysponuję, niestety, ograniczonym czasem, jak się pani zapewne domyśla.

– Wiem, wiem. Jestem doprawdy pod wrażeniem, że zechciał mi go pan poświęcić.

Inna kobieta w służbowym stroju, młodsza tym razem, wtoczyła wózek z filiżankami.

– Mam nadzieję, że znajdzie pan chwilę, by usiąść i napić się kawy.

– Z chęcią.

Usiadł, czekając, aż zostanie obsłużony. Miranda przycupnęła obok ze złączonymi kolanami na brzeжку krzesła. Nie odzywała się, rozumiejąc, że stanowi w tym wnętrzu jeszcze jeden mebel, nic więcej.

– Ten dom... ma, widzę, swój wiek... – zaczął Booth i dodał, zanim Regal zdążyła go za to przeprosić: – Ale świetnie się trzyma. Emanuje wprost pięknem.

– Och, dziękuję bardzo!

– To jego dar, nie pani – rzekł lekceważąco, popijając kawę. – Wydaje się jednak, że jest dość zadbany i szanowany. Muszę obejrzeć całość, nim zgodzę się popracować nad pani głównym apartamentem i poprawić jego wystrój.

– Oczywiście. Z radością pokażę panu cały dom. Tak bardzo się cieszę, że zgodził się pan zaprojektować ten pokój na nowo. Czuję po prostu, że nie odzwierciedla mojej osobowości czy też naszej, to znaczy mojego męża i mojej. Jest tam... zbyt wiele jego byłej żony, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Wszyscy, którzy zamieszkują jakiś dom, zostawiają po sobie pewien ślad. *Mais oui*, pragnie pani... wypędzić stąd swoją poprzedniczkę.

– O tak! – Jakby w geście modlitwy Regal złączyła dłonie. – Dziękuję za zrozumienie.

Booth odstawił filiżankę.

– Przystąpmy więc do rzeczy.

Po czym skinął na Mirandę. Regal ledwie raczyła zaszczyścić ją spojrzeniem.

Miranda tymczasem sporządzała notatki. Od czasu do czasu Booth rzucał pod jej adresem jakieś polecenie po francusku, ale poza tym szła za nimi krok w krok przez kolejne pokoje: gabinet, wielki salon z fortepianem, oranżerię, gdzie powietrze wypełniał aromat pomarańczy, cytryn, limet i ich kwiecica.

Obeszła bibliotekę, czytelnię (po co komu jedno i drugie?), jadalnię ze stołem, przy którym pomieściłoby się ze trzydzieści osób, wreszcie ranny pokój z widokiem na rozległe ogrody za oszklonymi ścianami, basen, przebieralnię, drugi garaż.

Zwiedziła też kuchnię, skrupulatnie nowoczesną i urządzoną w stylu klasycznym, pokoje dla służby, strefy wypoczynkowe.

Ciągnęło się to bez końca, dopóki nie dotarli do schodów, które prowadziły do kina domowego z barkiem, rzędem szerokich skórzanych foteli i dwóch toalet z umywalkami.

Jakieś podręczne magazynki i pomieszczenia gospodarcze. Potem wspięli się jeszcze wyżej, po stopniach okazałych schodów weszli na piętro.

Regal trajkotała cały czas jak najęta. Booth – Dubeck – odzywał się z rzadka, pomijając rzućany mimochodem jakiś komentarz albo polecenie pod adresem swej wiernej asystentki. Wreszcie powstrzymał Regal, zanim zdążyła otworzyć podwójne drzwi do głównego apartamentu.

– *Mais non*. Rzucę okiem na wyższe piętro, zanim obejrzę apartament. Zostawię go sobie na koniec.

Weszli na górę i zobaczyli coś w rodzaju sali balowej z triem żyrandoli od Waterforda, kuchnię większą od tej w domu Mirandy, dwie w pełni wyposażone łazienki, dwie damskie toalety, salony.

I zamknięte drzwi. Nie oryginalne, ale robione tak, by sprawiały wrażenie oryginalnych, jak sobie uświadomił Booth. Postukał je odruchowo i potwierdził swoje przypuszczenie, że to drewniana okładzina stali.

– A to?

– Och, prowadzą na poddasze. Mój mąż lubi się tam zaszywać, by tak rzec. Zamyka to pomieszczenie na klucz i nie pozwala nikomu tam wchodzić.

– Może czai się tam obłąkana kobieta? – Kiedy Regal popatrzyła na niego tępo, wzruszył ramionami na modłę francuską. – *Maintenant*, mężczyzna musi mieć swoje sekrety, nieprawdaż? A teraz proszę mi pokazać, co dokładnie zamierza pani zmienić.

Niemal podskoczyła w swoich szpilkach od Louboutina.

Główny apartament w domu składał się z sypialni z wysokimi oknami, kasetonowym sufitem, masywnym łóżem baldachimowym, dwóch przyległych łazienek, dwóch pomieszczeń na ubrania, salonu.

Miranda uznała, że wyposażenie i wystrój są na wskroś urocze, aczkolwiek nieco zniewieściałe z tymi motywami kwietnymi i odrobiną pudrowego różu.

Booth oglądał wszystko fachowym okiem, łącznie z wykonanymi na zamówienie garderobami. Przechadzał się jak lord, spacerował, przystawał, dotykał, podczas gdy Regal, wreszcie milcząca, stała z dłońmi złożonymi na brzuchu.

– Ta przestrzeń jest dobrze wykorzystana – warknął po francusku do Mirandy, która notowała wszystko sumiennie. – Ale to nie pani osobowość. Wyczuwa się tu elegancję, ale brak jest romantyczności, seksualności. Lubi pani dobry seks, prawda?

Regal zamrugnęła zdziwiona.

– No cóż, owszem. Mój mąż i ja... tak.

– Myślę, że kiedy ten pokój był odnawiany ostatnim razem, nie pojawiła się myśl o seksie, ale jedynie o stylu. Styl zaś... och, odznacza się smakiem. Konserwatyzmem. Nie to widzę w pani przypadku.

– Pragnę naprawdę czegoś nowocześniejszego – wyznała Regal. – Więcej koloru i... – Urwała pod wpływem twardego spojrzenia, jakim obrzucił ją Booth.

– ...nowoczesnego? Ach! Nowoczesność to błąd! – Machnął ręką w powietrzu, jakby ciał siekierą drewno. – To potworność w tej przestrzeni, w tym domu. Ma pani wielowiekową siedzibę i powinna to pani uszanować. *Mais*, będzie pani doznawała tu romantyczności i seksualności jednocześnie. Kolory muszą być wyblakłe, miękkie, jak sen, jak pierwszy pocałunek. Najdelikatniejszy odcień szarości, niczym miłosne objęcia w letnim deszczu, stonowane zielenie i błękitny morza o zmierzchu. To łóżce, to wspaniałe łóżce... czy pani mąż sypiał w nim z poprzednią żoną?

– Tak, sypiał.

Machnął lekceważąco dłonią, ale tym razem prawie niedostrzegalnie.

– Musi więc zniknąć. Niech sobie żyje w innej przestrzeni. Będzie pani miała własne.

– Już samo to, monsieur Dubeck, już samo to sprawia, że wypełnia mnie bez reszty szczęście.

– Będzie pani szczęśliwa, już ja się o to postaram. A ten dom... cóż, też się postaram, by był szczęśliwy. – Strzelił palcami na Mirandę i zażądał po francusku, żeby zmierzyła zasłony. – Muszą natychmiast zniknąć. Są zbyt ciężkie, a ich kolorystyka zbyt śmiała. Miętkość, wszędzie ma być miętkość. Chodniczek... och nie! Obicia trzeba zmienić, i tutaj, i w całym apartamencie. – Popatrzywszy na żyrandol, zmarszczył czoło. – Tutaj, jak sądzę, będzie pani mogła pozwolić sobie na szept nowoczesności. Dla większego napięcia, dosłownie nieznaczny ślad. Pomyślę o czymś. Zobaczymy.

Przechadzał się, marszcząc wciąż czoło.

– Zobaczymy – mruknął. – Gzyms kominka jest w porządku... dąb. Tak. Ten, kto go pomalował na białe, powinien zostać publicznie rozstrzelany. Obnażymy to drewno, przywracając mu pierwotną urodę.

Niby to w zamyśleniu przemierzał każde pomieszczenie, każdą przestrzeń, przedstawiając swoją wizję, Miranda zaś okazywała zachwyt i niezmordowanie mierzyła.

Regal, dosłownie ze łzami w oczach, raz po raz wyrażała swą wdzięczność i nawet okiem nie mrugnęła, kiedy podał jej astronomiczną cenę za sam projekt. Do tego dochodziły robocizna

i materiały; kosztowałyby tyle, ile by kosztowały.

Przekazawszy jej instrukcje dotyczące przelania połowy wynagrodzenia, opuścił dom, zostawiając ją zalaną łzami szczęścia w drzwiach wejściowych.

Miranda nie ośmieliła się otworzyć ust, dopóki nie wyjechali z posesji.

– To trwało dłużej niż półtorej godziny.

– Tak, trochę dłużej. Duży dom. Dość, musisz przyznać, bajkowy.

Prychnęła.

– Jedyne, co wzbudziło moją zazdrość, to oranżeria. Pierwsza, jaką w życiu zobaczyłam, i teraz zorganizowanie sobie takiej samej będzie stanowiło cel mego życia. Drzwi na poddasze, tak?

– Zgadza się. Stalowe, to robota dla Sebastiena. Ładna drewniana okleina, ładna imitacja pozostałych drzwi w całym domu.

– Aha. Zmiana dyżuru ochrony następuje o trzeciej. Dwaj ludzie wychodzą, dwaj przychodzą.

– Dobrze wiedzieć. Nie ma wewnętrznych kamer – to niespodzianka. Zewnętrzne ściany wychodzą na północ, południe, wschód, zachód; jest mnóstwo martwych punktów. Zlokalizowałem centra systemu zabezpieczeń, jedno w sprzęcie kuchennym, jedno w piwnicy. Ma tam dość inteligentny zestaw. Zdołałem poradzić sobie z nim zdalnie, obejść alarmy i czujniki ruchu. – Rozmyślając na głos, głaskał się machinalnie po dwubarwej bródce. – Zorientuję się, jak go podtrzymywać ze względu na strażników. Kiedy już wejdę do środka, pozostanie tylko kwestia sforsowania drzwi. Mają znakomity zamek, ale nie przyciąga uwagi, zgodnie z zamiarem właściciela. Nie jest wpuszczany ani cyfrowy. Mógłbym go sprawdzić za pomocą skanu, czy jest wyposażony w alarm, ale facet uważa chyba, że nikt tak daleko nie dotrze. Poza tym widać, że kocha ten dom, kocha jego wiekowość i architekturę. Wyczuwa się to, gdy się chodzi po tym wnętrzu. – Obrócił się do Mirandy z uśmiechem. – Świetnie ci poszło.

– Nic szczególnego nie zrobiłam.

– Zrobiłaś dokładnie to, co miałaś zrobić. Wykonywałaś bez szemrania moje polecenia, a poza tym stapałaś się idealnie z otoczeniem.

– Rzeczywiście. Chyba nieźle mi to wychodziło. Na dobrą sprawę w ogóle mnie nie zauważała.

– Wręcz przeciwnie. Ze dwa razy dokładnie ci się przyjrzała, zadając sobie w duchu pytanie, czy wzięłam cię już do łóżka. Zazdrościłaś jej oranżerii, a ona zazdrościła ci nóg. Ale jesteś tylko dziewczyną do wynajęcia. Nie będzie sobie zawracała tobą głowy, jeśli jeszcze w ogóle kiedykolwiek o tobie pomyśli.

– Będzie zdruzgotana, kiedy ty... kiedy Dubeck nie do końca odnowi to wnętrze.

– Nie, nie będzie zdruzgotana, ponieważ zdruzgotany będzie jej mąż. Spodoba jej się to. Notowałaś wszystko, tak?

Zaskoczona Miranda zbladła.

– Owszem, próbowałam, ale...

– Żartowałem. – Nachylił się i pocałował ją. – Pamiętam wszystko, co widziałem i co mówiłem. Będę się świetnie bawił.

– Płaci ci za tę zabawę – właśnie tobie – około pół miliona.

– Dostajesz to, za co płacisz – rzucił wesoło. – Daj nam trzydzieści minut, Sebastien, żebyśmy mogli się przebrać, a potem weźmiemy się do roboty.

– Tyle czasu zajmie mi odstawienie limuzyny.

Booth sięgnął do drzwi po stronie Mirandy, kiedy się zatrzymali pod domem.

– Napijemy się może koktajli na podwórzu i obgadamy to wszystko? – podsunął Sebastien.

– Taki jest plan. – Zmierzając do drzwi, Booth ujął dłoń Mirandy.

– Muszę ci coś wyznać – powiedziała.

– Co takiego?

– Świetnie się bawiłam. Naprawdę mi się to podobało, wszystko bez wyjątku. Z przyjemnością odgrywałam tę głupią rolę, zwiedzałam ten niezwykły dom, przyglądałam się, jak wyrzucasz z siebie polecenia, inwektywy, pochwały. Powinny mnie właściwie dręczyć wyrzuty sumienia... ale nic mnie nie dręczy.

Kiedy weszli do domu, ujął ją za ramiona i przyciągnął do siebie, chcąc pocałować.

– Naprawiamy w ten sposób wyrządzone zło. Nie twierdzę, że zawsze tak postępuję, ani nawet, że z reguły tak postępuję. Ale tym razem chodzi właśnie o to.

– Było mi jej żal. Okazywała tyle zapału, Booth, i nie zorientowała się, że przywołałaś postać szalonej kobiety z *Jane Eyre*. Gdybyś jej powiedział, że potrzebuje groszków w kolorze tęczowy, fioletowobrazowych aksamitnych zasłon i łóżka wspartego na ceglach, to też by na to entuzjastycznie przystała.

– Nigdy nie stosuj fioletowobrazowego aksamitu – powiedział surowo, prowokując ją do śmiechu.

– Zapamiętam to. Chodzi mi tylko o to, że... była taka zachwycona. I naprawdę zrobiło mi się jej żal, tak trochę, bo nikt nie powinien jej zmuszać do spania w tym samym łóżku, w którym jej mąż sypiał z byłą żoną. Pragnie tylko, by ta prywatna przestrzeń należała wyłącznie do niej. Po prostu.

– Owszem. To dodatkowa korzyść. – Pogłaskał ją po ramionach. – Zapewnimy jej to. Dostanie wszystko, czego chce, a jej mężowi zabierzemy coś, czego mieć nie powinien. I każemy za wszystko zapłacić LaPorte'owi. A jeśli zrobimy to jak trzeba, wszyscy na tym dobrze wyjdą.

– Okej. – Odetchnęła. – Zróbmy to zatem jak trzeba.

Rozdział 29

Kiedy rok szkolny upływał z wolna, Booth dzielił czas między różne zajęcia. Oceniał wypracowania, przygotowywał egzaminy końcowe. Poza tym ślęczał nad doborem farb, próbkami obić i konsultował się z Sebastienem w sprawie systemu zabezpieczeń i kwestii jego obejścia.

Znalazł idealny żyrandol do sypialni, bajeczny wprost, ociekający niebieskim szkłem z rdzawymi elementami stalowymi, i także łóżko, o jakie mu chodziło – jedno i drugie przysłano z Francji.

Odbył jeszcze dwie podróże do Georgetown, jedną jako specjalista od malowania, a drugą, wraz z Mags, jako tapicer. W obu przypadkach Regal przeszmuglowała ich do siebie, kiedy męża nie było akurat w domu.

Pracował intensywnie przez cały maj, podczas gdy jego wizja – w różnych aspektach – nabierała pomалу konkretnych kształtów.

W piątek, w weekend Dnia Pamięci, zapowiedział Mirandzie, że wróci trochę później.

Kiedy się pojawił, stała w kuchni, układając w wazonie jego róże.

– Cześć. Wyglądasz na bardzo zadowolonego.

– Bo dobrze się czuję. Ładne te kwiaty.

– Też tak uważam. – Cofnęła się, by móc lepiej podziwiać swoje dzieło. – Świąteczny weekend. Czas się napić wina na patio. Może popływamy jutro kajakami? Ma być słonecznie i gorąco.

– Nie wiem, czy starczy czasu.

Położył torbę na stole i otworzył ją, a następnie umieścił obok niej wielki czerwony kamień.

Zobaczywszy go, drgnęła gwałtownie, omal nie przewracając wazonu ze starannie ułożonymi różami.

– O mój Boże! – zawołała. – Czyżby to było właśnie to? Już to zrobiłeś? Kiedy? Jak... O Boże, Booth. – Trzepnęła go żartobliwie, potem wzięła kamień do ręki. – Sporo waży. Nie powiedziałeś mi! Do diabła.

– To nie Bogini, tylko replika, którą kazałem zrobić. Odebrałem ją dziś wieczorem. Dlatego przyjechałem tak późno. Ten sam rozmiar, kształt, waga, barwa. Cholernie dobra robota.

– To falsyfikat? Po co ci falsyfikat? Nie zamierzasz przecież wręczyć LaPorte'owi podróbki. Przecież sprawdzi autentyczność kamienia, prawda? Jezu, to tylko wielka, brzydka czerwona bryła.

– Wygląda jak autentyk. – Wzruszył ramionami. – Przynajmniej na pierwszy rzut oka. A ja potrzebuję falsyfikatu w miejsce prawdziwego kamienia, kiedy będę go zabierał... jutro wieczorem.

– Co takiego? – Przełknęła z trudem. – Jutro?... Mówiłeś przecież o czerwcu, o końcu czerwca. Dopiero po roku szkolnym. Kiedy...

– Mountjoyowie wybierają się w weekend do Kennenbunkportu na przyjęcie u jednego z przyjaciół. – Spojrzał na zegar kuchenny. – Ich prywatny odrzutowiec wysuwa właśnie podwozie. Zrobiłbym to jeszcze dzisiaj, ale jutro bardziej mi odpowiada. Musiałem się upewnić, że replika jest w porządku. Jest. I będzie. Chwila też jest odpowiednia.

Nie okazała paniki – nie była kobietą, która jej ulega, jak zapewniła samą siebie. I uległa jej.

– Nie rozumiem, dlaczego chwila jest odpowiednia. Nie rozumiem niczego. Myślałam, że jest na to jeszcze dużo czasu. Powinieneś jeszcze poczekać.

– Nie potrzebuję go więcej, a ty masz go mniej, żeby się zamartwiać. – Pogłaskał ją po ramionach. – Wiem, co robię. Odetchnij. I zaufaj mi.

Odwrócił się i wyjął ze stojaka w spiżarni butelkę Pinot Grigio. Pomyślał, że trunek będzie w sam raz pasował do ryby, którą planował przyrządzić na grillu.

– Napijmy się tego wina na patio, a wszystko ci wyjaśnię.

– Nie wiem, czy dam radę chociaż usiąść. Naprawdę nie wiem. A jeśli...

– Chodź na zewnątrz, widok rzeki uspokaja. LaPorte spodziewa się, że zdobędzie Boginię dopiero w sierpniu. Dałem mu jasno do zrozumienia, że nie zacznę poważnie szykować kradzieży aż do końca roku szkolnego. Że nie pozbędę się swojej przykrywki. Regal nawet słówkiem nie wspomni o Dubecku, ponieważ doskonale zdaje sobie sprawę, że jeśli jej mąż się dowie, to może się nie zgodzić na to całe odnawianie domu.

– Mów dalej.

Wziął butelkę wina i kieliszki i skierował się w stronę drzwi.

– Potrzebuję repliki – ciągnął – ponieważ Mountjoy zamierza spędzić trochę czasu w swoim skarbcu, zanim wyjadą do Europy. Dopóki będzie się tam znajdował falsyfikat, wszystko powinno być w miarę okej. – Nalał wina i usiadł, wyciągając przed siebie długie nogi. – W przyszłym miesiącu, pod koniec roku szkolnego, wydaję coroczne przyjęcie na świeżym powietrzu dla uczczenia...

– Przyjęcie?! – „Szaleństwo”, pomyślała. „Zakochałam się w szaleńcu”. – W takiej sytuacji wydajesz przyjęcie...?

– To tradycja, wiesz... coś oczekiwanego. Więc robimy to, czego się po nas oczekuje. Jednocześnie Mountjoyowie ruszą do Europy, a wszyscy podwykonawcy, których zatrudnił Dubeck, zabiorą się do pracy. Pojawi się osobiście kilka razy. I w tym czasie ja – jako LaPorte – wezwę Russela, naszego jelenia. Spotkamy się wieczorem w domu w Lake Charles. Zlecę mu kradzież Bogini i przekażę dostatecznie wiele szczegółów, by robota poszła gładko.

– Ale ukradnie falsyfikat.

– Tak albo będzie próbował to zrobić.

– Nie rozumiem. – W końcu usiadła i sięgnęła po swój kieliszek wina. – Nie pojmuje.

– Russell jest na tyle sprawny, żeby dostać się do środka dzięki informacjom, które mu przekażę. I upewnię się co do tego – albo zrobi to Sebastien. Nie tylko znajdzie Boginię, ale też na pewno nie opuści tego domu czy skarbcza bez wzbogacenia się o coś jeszcze. I nie zwieje, gdyż uruchomimy alarm zdalnie, co sprawi, że na miejscu pojawią się tłumnie ochroniarze Mountjoya i policjanci.

– Chcesz, żeby schwymano twojego jelenia.

– To główny szczegół. – Wyraźnie rad z siebie Booth popatrzył z uwielbieniem na rzekę. – Kiedy go dorwą z tym, co zgarnął, wsypie LaPorte’a.

– A jeśli tego nie zrobi?

– Jeśli nie, to i tak bez trudu podążą śladem wielkiej forsy na koncie Russella i po nitce do kłębka dotrą do LaPorte’a.

Nie kryjąc frustracji, Miranda złapała się za głowę.

– Ale przecież LaPorte nie zapłacił temu Russellowi. Tobie zapłacił.

– Naprawdę? – Booth uśmiechnął się, łyknął wina, czerpiąc radość z wiosennego wiatru, kwiatów, bzyczenia pszczół. – LaPorte przelał trzy miliony dolarów na konto, które założyłem na nazwisko Russella, z jego danymi. Pół miliona, które przekazał Russellowi, zniknie z niego, to samo będzie dotyczyć kilku innych podejrzanych transakcji.

Teraz zaczynała rozumieć, znów sięgnęła po kieliszek.

– Wrabiasz go za pomocą jego własnych pieniędzy. To genialne.

– Dzięki. Podoba mi się. I za pomocą czegoś więcej niż tylko jego pieniędzy. Ale to crescendo. Muszę zamarynować tuńczyka i przygotować papryki, które zamierzam ugrilować.

– Nie każesz mi chyba domyślać się reszty.

– Wszystko ci powiem.

Wstała, kiedy się podniósł.

– Jadę jutro z tobą.

– Tak, jedziesz i zostaniesz z Mags. Nie weźmiesz udziału w robocie. Plan tego nie przewiduje.

– Bo będę przeszkadzać.

– Kocham cię, Mirando. To najszczerza prawda. I owszem, będziesz przeszkadzać. Ale powiem ci, co i jak.

Wszystko to wydawało się nieprawdopodobnie skomplikowane i jednocześnie śmiesznie proste. Przez następne dwadzieścia cztery godziny odwoływała się bezustannie do swojego sumie-

nia.

I wciąż, kiedy została z Boothem, Mags, Sebastienem i małym psem w Georgetown, nie wiedziała dokładnie, co czuje.

Zastanawiała się, co pomyślałby sobie jej ojciec, gdyby wiedział, w czym postanowiła wziąć udział. Co rzekłby. Nie miała najmniejszego pojęcia.

Wiedziała jedynie, że jest za późno, by się wycofać.

– Kocham kamienie – wyznała Mags, kiedy wszyscy przyglądali się fałszywej Bogini leżącej na stole. – Nieobrobione, polerowane, fasetowane, każde; mają w sobie życie, które mnie fascynuje. A ten tu tylko sobie leży.

– Bo to nie kamień. To kompozyt.

– I to niezły. – Sebastien wziął go do ręki i obejrzał dokładnie ze wszystkich stron. – Wygląda jak na zdjęciach, których jest niewiele. *Mais, mon ami*, nie możesz być pewien, że zwiedzie człowieka, który trzymał go w ręku, głąskał, napawał się jego widokiem.

– Jeśli nie zwiedzie, to nastąpi zmiana planów. Będziemy mieć oczy i uszy otwarte i dowiemy się, czy teren jest czysty, zanim Mountjoyowie wybiorą się do Europy. Jeśli zajdziemy tak daleko, będziemy odhaczać kolejne etapy aż do zakończenia sprawy. – Wzruszył ramionami. – Sprawdzę sprzęt, potem się przebiorę.

– Najpierw posiłek – zaproponował Sebastien. – Podtrzymuj energię.

– Dobrze, ale coś lekkiego i bez alkoholu.

Miranda zjadła trochę, ale głównie dziobała w talerzu, udając, że się posila. Oczekiwała, że będzie się zamartwiać. I na pewno nie oczekiwała, że zrobi jej się niedobrze ze zmartwienia, choć Booth wydawał się oazą spokoju.

Kiedy poszedł na górę z Sebastienem, pomogła Mags przy zmywaniu.

– Martwić się to nic złego – zaczęła ciotka. – Normalna rzecz.

– A ty się martwisz?

– Zawsze się trochę martwię – przyznała. – Martwiłam się, kiedy wymykał się z domu jako mały dzieciak. Kiedy Dana się rozchorowała, rachunki sięgały sufitu. Żądali pieniędzy za hipotekę, za leczenie, za wszystko. Martwiłam się, że handluje narkotykami albo co gorsza sobą, był słodkim chłopcem. Ale tego nie robił.

– Och, Mags. Dźwigałaś taki ciężar.

Kobieta pokręciła głową.

– Dana nie była ciężarem ani też Booth nie był ciężarem. Byli – i są, oboje – światłem mojego życia. – Dotknęła kryształku z celestynu, który nosiła na łańcuszku, jakby czcząc pamięć swojej siostry. – Kiedy przyłapałam Bootha na tym, co robił, zmartwiłam się. Ale on tylko pilnował, by matka miała dach nad głową i jedzenie na stole. Nie zapewnilibyśmy tego, prowadząc wyłącznie ten interes ze sprzątaniami. Było tego wszystkiego za dużo. – Zamknęła zmywarkę. – Martwiłam się o Sebastiena, ale jest teraz na emeryturze. Jego dziewczyny dorosły i się ustawiły. Niczego mu nie brakuje. Mój biznes z Dauphine się kręci, a on nam pomaga od czasu do czasu. Dzięki temu ma się czym zająć.

– Ale martwiłaś się o nich obu dziś wieczorem.

Mags ścisnęła dłoń Mirandy.

– Czekanie wkurza, prawda? Zapalimy świece. Dobra biała magia.

– Nie wiem, czy wierzę w ten rodzaj magii.

– Och, ja wierzę dostatecznie za nas obie. – Uśmiech na twarzy Mags przygasł i przemienił się w zimną furję. – Gdybym nie wierzyła, to spaliłabym na popiół cholerną laleczkę wudu, czyli podobiznę LaPorte'a. Nie wiedziałby nawet, co go dorwało.

– Naprawdę wierzysz, że mogłabyś to zrobić?

– Gdybym nie mogła, to znam parę osób w Nowym Orleanie, które by mogły. Ale nie tędy droga.

– Tak mówi Mandalorianin, wiesz, z tego serialu, *The Mandalorian*.

Śmiejąc się jak wariatka, Mags objęła Mirandę i cmoknęła ją hałaśliwie.

– Booth musi szaleć na twoim punkcie jak klaun cyrkowy.

– Znasz jakichś klaunów cyrkowych?

– Chodziłam z jednym. Kapryśny to był drań. – Mags obrzuciła kuchnię ostatnim spojrze-

niem. – Okej. Więc zapalimy świece i będziemy czekać, aż wróca.

Kiedy Booth zszedł na dół, Miranda uświadomiła sobie, że pasuje do jej wyobrażenia włamywacza wspinającego się po ścianach. Wysoki, szczupły, patykowaty w tych czarnych dżinsach i podkoszulku z długimi rękawami, a także czarnych butach za kostkę.

Postanowiła, że nie będzie dociekać, jak o niej świadczy fakt, że wydaje jej się niesamowicie seksy.

– Nie wybierasz się tam chyba w tej chwili. Jest ledwie dziesiąta.

– Zapada zmierzch, w domu nikogo nie ma. Nikt się tam nie kręci prócz pracowników ochrony. Nie zmieni się to, jeśli będę czekał. – Położył dłonie na jej ramionach. – Spokojnie. Niedługo wrócę.

„Nie panikuj, nie panikuj”, powtarzała w myślach.

Za późno.

– Nie wiem już, co mam robić. Co odczuwać.

– Pomyśl o tym tak, jakby wezwano mnie do roboty na kilka godzin. – Pocałował ją, lekko i od niechcenia, po czym przeniósł spojrzenie na Mags. – Przyprawdę z powrotem twojego chłopaka.

– Dopilnuj tego.

– Ja będę prowadził, więc sam to zrobię. *À bientôt, ma belle* – wyjaśnił Sebastien i pocałował Mags – nie lekko i nie od niechcenia.

Potem wyszli z domu, dwaj mężczyźni w złodziejskiej czerni, i odjechali czarnym SUV-em.

– O Boże, to się naprawdę dzieje.

Pod wpływem nagłej paniki Miranda pokonała w okamgnieniu dwa stopnie schodów, jakby chciała pobic za samochodem.

Mags zacisnęła palce na jej ramieniu.

– Grywasz w scrabble?

– Co? Co proszę? – Zbita z tropu popatrzyła na Mags dzikim wzrokiem. – Co?

– Zapalimy świece, a potem pokażę ci, jak się w naszej rodzinie gra w scrabble. Potrzebne do tego jest wino.

*

Sebastien przejechał obok posiadłości. Zewnętrzne lampy paliły się jasnym światłem. Inne odbijały się w oknach zewnętrznych budynków. Te po obu stronach drzwi emanowały jasnym złotem.

– No i jest. – Sebastien wskazał brodą. – Facet i jego wieki kudłaty pies.

– Rasy labradoodle.

– Kierują się teraz do domu. Wyprowadza psa co wieczór o tej samej porze. Poza tym mało ruchu, co? Ale tam?

Booth pobiegł oczami w głąb ulicy.

– Ktoś wydaje przyjęcie. Mogą się pojawić przechodnie, kiedy już się skończy. Skręć tu w lewo. Cofnę się. Dam ci sygnał, kiedy będę gotów zgarnąć towar.

– Bogini czeka na ciebie, *cher*. Przyzywa cię. Chce, żebyś ją wziął.

– Mam nadzieję, że jest już spakowana i gotowa do drogi.

– Nie, nie, mówię poważnie. Czuję to w kościach. Wykorzystywano ją dla chciwości, zazdrości, dla krwi i śmierci. A teraz dla czegoś na kształt sprawiedliwości albo też spóźnionej zapłaty. Tak czy siak, jest odpowiedzią i myślę, że zawsze nią była w twoim przypadku. Czeka na ciebie.

Zwlekając chwilę, Booth zdobył się na wyznanie.

– Chcę żyć po swojemu, Sebastien. Wszystko, czego zawsze pragnąłem, to życia z własnego wyboru.

– Więc idź i ją weź.

Booth wysunął się z samochodu. Kawalek dalej jakaś para wyszła z restauracji i wsiadła do czekającej taksówki. Szedł przed siebie lekkim krokiem, kiedy go mijala, niby człowiek, który wybrał się na spacer w ładny wiosenny wieczór.

W nozdrza uderzył go dobiegający z czyjś ogrodu zapach róż, a potem heliotropu; dał

się słyszeć basowy łoskot muzyki dochodzący z otwartego okna samochodu, który przejechał obok.

Nie myślał o niczym, nic się dłoń nie liczyło, tylko następny krok.

I oto w cieniach pomiędzy blaskiem latarni ulicznych, w wąskim przesmyku między kamerami monitoringu, uczynił następny krok.

Ujrzał w swej głowie – tak dokładnie, jakby to było na mapie, którą wcześniej sporządził – światła, kamery. Trzymał się od nich z dala, wykorzystywał osłonę drzew, krzewów, chwycił woń kwitnącego nocą jaśminu, kiedy przekradał się przez kolejną szczelinę.

Pokonał biegiem krótki dystans, przykucnął i zastygł w bezruchu, widząc otwarte drzwi do dyżurki.

Ze środka wygramolił się jakiś mężczyzna i kiedy zapalił papierosa, Booth dostrzegł przypięty przy jego biodrze pistolet kalibru dziewięć. Przez oszalałymi woń róż i jaśminu uchwycił fetor dymu, gdy tamten się zaciągnął.

Przechadzał się tam i z powrotem, pałac. Był to dobrze zbudowany mężczyzna z krótko przyciętymi jasnymi włosami. Wojskowy, ale nie na patrolu, jak doszedł do wniosku Booth. Nad wszystkim czuwały kamery. To tylko przerwa na papierosa, żeby rozprostować nogi.

I krótka zwłoka w ustalonym harmonogramie.

Czekał. Raz czy dwa strażnik przeszedł obok Bootha tak blisko, że ten mógłby złapać go za nogę.

Następnie facet ścisnął papierosa między dwoma palcami, wytrząsając z niego popiół i resztki tytoniu, po czym schował filtr do blaszanego pudełeczka po miętówkach, tak jak każą robić żołnierzom w wojsku, i skierował się z powrotem do dyżurki.

Booth odczekał jeszcze pełną minutę, nim znów rzucił się przed siebie biegiem.

Teraz ukucnął przy ścianie domu dalej, pod japońskim klonem. „Chytre”, pomyślał. Choć strażnicy nie widzieli go teraz – chyba że na monitorach – on ich też nie widział.

Widział jednak drogę, którą wybrał – boczne drzwi prowadzące do oranżerii – i wyjął pilota. „Siedem sekund”, pomyślał. „Przerwać zasilanie”, jak miał nadzieję, „na siedem sekund”. Trochę trzasków, ot drobna awaria, to wszystko, czego w tej chwili potrzebował. W środku – dziesięć sekund na wyłączenie alarmu. Miał na to prawdopodobnie, jak w przypadku większości alarmów, jakieś góra trzydzieści sekund. Ale przypuszczał, że każda przerwa powyżej dziesięciu sekund mogła – powinna! – sugerować strażnikom włamanie się do systemu.

Gdyby przekroczył czas, miał – może – pół minuty na ucieczkę.

„Pieprzyć to”, pomyślał.

Czekała na niego Bogini. Czekała na niego Miranda. Czekają na niego życie – z własnego wyboru.

Ucieczka nie wchodziła tym razem w rachubę.

Włączył pilota i odliczywszy sekundy, skoczył do drzwi. Zamek nie stanowił problemu. Byle nie zostawić żadnych śladów włamania – tylko o to chodziło.

Uporał się błyskawicznie z zamkiem, następnie wszedł do oranżerii i uruchomił swój wewnętrzny zegar. Zdjąwszy obudowę skrzynki alarmowej, przytwierdził cyfrowy czytnik.

Odliczał, odliczał, kiedy na wyświetlaczu migąły kolejne cyfry.

Ostatnia z sześciocyfrowego kodu pojawiła się dokładnie po dziesięciu sekundach.

Stał więc otoczony aromatami pomarańczy, cytryn i kwiatów, z zamkniętymi oczami, starając się odzyskać orientację.

I nagle pojawił się, wzmógł się w nim ten charakterystyczny dreszcz głęboko w trzewiach. Upłynął już blisko rok od ostatniego zlecenia. Jedna robota minionego lata, zorganizowana tak tylko dla zachowania wprawy. A potem znów do szkoły.

No i była jeszcze Miranda.

I teraz, przemierzając dom, czuł ten dreszcz całym sobą. Nie używał latarki, trzymał się też z dala od okien, nie tylko dlatego, że ktoś mógł dostrzec w nich jego sylwetkę, ale by uniknąć ryzyka uruchomienia czujników ruchu.

Gospodyni i pracownicy ochrony wewnętrznej mieli swoje pomieszczenia służbowe przy kuchni, ominął więc tę część domu. Wiedział, że gospodyni nie śpi – paliło się u niej światło. Znalazł się dostatecznie blisko, by usłyszeć pomruki za drzwiami. Śmiech.

Telewizja, jak się domyślił. Jeden z późnonocnych programów rozrywkowych.

Tym lepiej. Zrobiłby to, po co się tu zjawił, a ona nie zgłosiłaby żadnych niepokojących sygnałów.

Pozostali pracownicy służby zajmowali osobne kwatery na posesji – widział tam światła, dostrzegał ruch postaci za szybami.

Wiedział, że opuszczając to miejsce, będzie musiał mieć oczy szeroko otwarte.

Wszedł po głównych schodach na pierwsze piętro, potem na drugie.

Przemierzał tę przestrzeń tak, jak robił to wraz z Mirandą i panią tego domu, unikając starannie dwóch stopni, które skrzypiały, jak zauważył przy pierwszej wizycie.

Od razu skierował się do zamkniętych drzwi. Nie martwił się tym, że zostawi nieznaczące ślady manipulowania przy zamku. Na dobrą sprawę zamierzał zostawić ich więcej niż zazwyczaj, drobnych, ale wciąż dostatecznie wyraźnych, by mógł je znaleźć każdy uczciwy gliniarz.

Wiedział, że Russell zostawi ich jeszcze więcej.

Dostawszy się do środka, zamknął za sobą drzwi. I czekał, nasłuchując jakichkolwiek dźwięków, czekał, aż jego oczy ponownie przywykną do mroku.

Było tu ciemniej, niż się spodziewał, a przekłete schody skrzypiały głośnie. Mimo wszystko prawdopodobieństwo, że dotarło cokolwiek do służby i ochroniarzy na głównej kondygnacji, było nieomal zerowe.

Na szczycie schodów wypatrzył dwa okna – oba ze spuszczoneymi roletami. Wyjął małą latarkę, omiół jej snopem otoczenie – duże, wielokształtne i sufity nachylone pod różnymi kątami.

I kamera.

– No tak, do diabła – zaklął pod nosem.

Zastanawiał się nad tym, kiedy stał poza zasięgiem obiektywu, i znowu zaczął kalkulować prawdopodobieństwo. Wykluczone, by Mountjoy udostępnił podwładnym widok swej prywatnej kolekcji. Była przeznaczona wyłącznie dla jego oczu.

Mógł oglądać obraz z kamery, kiedy nie przebywał akurat w domu, albo nagrywać samego siebie pośród tych skarbów.

Booth wiedział, że tak czy inaczej, musi wyłączyć to urządzenie, by zrobić to, po co się tu zjawił.

Znowu posłużył się pilotem i odetchnął przeciągle, kiedy zielone światełko przy kamerze zapłonęło na czerwono.

Nie tracąc dalej czasu, zaryzykował, nacisnął kontakt i rozświetlił pomieszczenie blaskiem lampy.

Widział już takie miejsca wcześniej, ale musiał przyznać, że Alan C. Mountjoy urządził sobie bardzo okazałe sanktuarium. Zabytkowe meble, rozmieszczone z artystycznym wyczuciem, małe, ale dobrze zaopatrzone barek. I oczywiście dzieła sztuki. Naliczył osiem znakomitych płócien, dwa razy tyle rzeźb. Oraz błysk biżuterii w szklanych gablotach.

I niezwykła, naprawdę niezwykła kolekcja kamieni – surowych i oszlifowanych.

A najważniejsze dzieło spoczywało na złotej kolumnie ze zwieńczeniem w kształcie otwartej dłoni, która jakby je obejmowała.

Bogini. Była wspaniała. Pierwotna, żywiolowa, czysta. Jedyna w swoim rodzaju.

Zapierała dech w piersiach.

Wszystko, co znajdowało się w tym pokoju, bledło w jej obecności. Degas, Rodin, śnieżnobiałe diamenty, krwistoczerwone rubiny, wszystko w porównaniu z nią zdawało się niczym.

Kiedy jej dotknął, wziął ją do ręki, byłby przysięgł, że słyszy jej oddech.

Jednym ruchem umieścił na jej miejscu replikę. Idealnie pasowała do tej złotej otwartej dłoni.

Usłyszał bicie własnego serca, gdy wkładał oryginał do aksamitnej torby, a torbę do skórzanego plecaka.

Wycofując się stamtąd, zgasił światło i ponownie włączył kamerę.

– Myślę, że na mnie czekałaś – mruknął pod nosem, schodząc na dół. – I mam nadzieję, że zabieram cię tam, gdzie chciałybyś się znaleźć.

Przyszło mu naraz do głowy, że jeśli tak nie jest, to zgodnie z legendą Bogini da mu to do zrozumienia w jakiś fatalny, złowrogi sposób.

Dotarłszy na pierwsze piętro, zobaczył światła na parterze. I żywił szczerą nadzieję, że owa

fatalność właśnie się nie zmateriałizowała.

Uskoczył w zacienione miejsce.

Gospodyni robiąca porządki, jak sobie uświadomił. Czy wejdzie na górę? Jeśli tak, mógłby się przed nią schować, przeczekać.

Usłyszał, jak kobieta nuci pod nosem, uchwycił melodię. Okej, fanka Lady Gagi. Nie była chyba taka zła. I gdyby go teraz przyłapała, skopałaby mu tyłek albo zastrzeliła. Wolał uniknąć jednego i drugiego.

Dostrzegł, że przemierza hol w stronę drzwi wejściowych. Krótki szlafrok, lekko obwisłe kieszenie. Niezłe nogi, gołe stopy.

Sprawdziła drzwi frontowe i alarm.

Następnie wyjęła komórkę.

– Tu Rena, wszystko w porządku. Kładę się spać.

– Przyjąłem. Wszystko w porządku. Prowadzimy nadal obserwację.

Schowała telefon do kieszeni. Booth podejrzewał, że druga kieszeń opadała z powodu ciężaru broni.

Zniknęła z pola widzenia; światła zgasły.

Odczekał, dając jej czas, dostatecznie dużo czasu, by mogła wrócić do swojej kwatery. Potem odczekał jeszcze chwilę, tak na wszelki wypadek, nim przemknął przez ciemność spowijającą schody, i skierował się ku oranżerii.

Dla zabawy zerwał z drzewka dojrzałą pomarańczę i schował ją do torby.

Uporał się z alarmem i drzwiami, po czym wypadł na zewnątrz, by ruszyć z powrotem po własnych śladach.

Nie czuł jeszcze żadnej euforii, jeszcze nie. Nie dopuszczał jej do siebie. Przesłał Sebastienowi wiadomość, kiedy oddalał się od posiadłości – ku barom, restauracjom, ludziom, nocnemu życiu.

Cztery przecznice dalej jego partner podjechał wolno do krawężnika.

– *C'est fini?* – spytał, kiedy Booth usadowił się obok niego.

– Możesz się założyć o własny tyłek.

– Potrwało to dłużej, niż początkowo planowałeś.

– Ale zmieściłem się w czasie.

Odchylił głowę. „Żadnej euforii”, pomyślał znowu, „dopóki wszystko, łącznie z tą fazą, nie dobiegnie końca”.

Do diabła! może jednak odrobina euforii.

– Właśnie ukradłem Czerwoną Boginię. Nikt się nigdy o tym nie dowie prócz ciebie, Mags i Mirandy. No i LaPorte'a.

– *Mon ami*, ty jeszcze będziesz wiedział.

– Tak. Cholera. Tak. – Przesunął dłońmi po twarzy. – Nie mogłem złapać tchu, dosłownie dzwoniło mi w uszach, kiedy ją zabierałem. Może nie powinieneś nikomu o tym mówić.

Sebastien podjechał pod dom.

– Jestem z ciebie dumny. Dokonałeś czegoś, czego nikt przed tobą nie dokonał.

– Ukradzono ją wcześniej.

– Kosztem krwi, bólu i śmierci. I po mojemu, *cher*, uwolniłeś ją. A to zupełnie inna historia.

– Też tak czuję. – Wciąż nieco roztrzęsiony Booth wysiadł z samochodu. – Klnę się na Boga.

Drzwi otworzyły się na oścież. Na progu, tonąc w blasku światła docierającego z wewnątrz, stanęła Miranda z Mags za plecami. Położyła dłoń na sercu i uśmiechnęła się.

– Witajcie. Jesteś cały i zdrowy. Obaj jesteście cali i zdrowi.

– Wszystko w porządku. – Booth podszedł do niej, żeby ją pocałować, i poczuł, jak cała drży. – Przykro mi, że się martwiłaś. – Sięgnął do torby i wyjął z niej pomarańczę. – Przyniosłem ci prezent.

Spojrzała na owoc i zaczęła się śmiać. Potem wyjęła go z jego dłoni i przysunęła do twarzy, żeby odetchnąć jego aromatem.

– Dzięki.

– Nie było żadnych kłopotów? – Mags wyciągnęła rękę i dotknęła oboje. – Żadnych proble-

mów?

– Jeden ze strażników wyszedł na papierosa i na spacer, gospodyni zrobiła obchód głównego piętra, a Mountjoy zainstalował kamerę w swoim skarbcu. Potrzebowałem więcej czasu, żeby się z tym uporać.

– Na litość boską albo na litość Bogini – sprostowała Mags. – Obejrzyjmy ją.

Booth zaniósł torbę do kuchni, wyjął z niej kamień i położył go na szafce. Czysty, czerwony, szerszy niż dłuższy, spoczął niczym wielka pięść na granitowym blacie.

– Wygląda tak samo jak falsyfikat – oznajmiła Miranda po chwili. – Ale... dziwna rzecz, nie sprawia takiego samego wrażenia.

Jak zahipnotyzowany Booth przesunął palcem po kamieniu.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Może dlatego, że to nie falsyfikat. Wydaje się, że działa silniej. To właśnie przychodzi mi do głowy.

Sebastien wziął kamień do ręki i podniósł go. Wydał z siebie długie, ciche „ach”, potem uśmiechnął się do Mags.

– Gdybym mógł, oddałbym ci ją.

Dotknęła jego dłoni, w której trzymał Boginię.

– Wybieram ciebie zamiast niej. Ty działasz silniej. – Mags skinęła Mirandzie głową. – To odpowiednie słowo.

– Mógłbyś ją zatrzymać. – Miranda w geście solidarności położyła dłoń na dłoni Mags. – Musiało cię niezłe kusić, Booth.

– Nie. – „Nawet odrobinę”, pomyślał. „Nawet trochę”. – Ma swój cel – powiedział i też położył rękę na dłoniach ich wszystkich. – Kiedy go osiągnie, będzie należała do świata. Już nigdy więcej nikt jej nie ukryje.

Skinąwszy głową, Miranda cofnęła się, czekając, aż Booth włoży kamień z powrotem do aksamitnej torby.

– Co dalej?

– Końcowe tygodnie planu.

Objęła go ze śmiechem i uściskała mocno.

Rozdział 30

Tygodnie egzaminów końcowych zostały szybko zwieńczone uroczystą promocją. Jak zawsze Booth czuł się podniesiony na duchu, kiedy na podium wkraczali jego uczniowie ostatnich klas w tradycyjnych togach i czapkach.

I też jak zawsze zastanawiał się, co będą teraz robić, dokąd się udadzą, jaki ślad pozostawią po sobie w świecie.

Rok szkolny upływał szybko jego pozostałym uczniom – jemu też.

I jak to nieodmiennie czynił przed ostatnim dniem, przechadzał się po korytarzach, po sali teatralnej i po kulisach. Albowiem nigdy nie mógł być pewien, że tu jeszcze powróci.

Tego roku bardziej niż kiedykolwiek przedtem wszystko wisiało na cienkim włosku.

Pozostało mu ledwie dziesięć dni do corocznego przyjęcia – i mnóstwo roboty w tym czasie.

Kiedy wrócił do domu, Miranda czekała na niego w drzwiach ze swoją walizką – i jego własną.

– Powiedziałaś, że chcesz wyjechać, jak tylko to będzie możliwe.

– Tak. – Poglaskała ją po ramionach. – Chciałbym...

– Nie ma sensu do tego wracać. Ustaliliśmy, że jadę. I mam rolę do odegrania.

– Ty ustaliłaś – sprostował Booth, po czym ścisnął jej ramiona. – Nie, wydaje się, że odpowiedniejszym słowem jest „nalegałaś”.

– Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Nowy Orlean, Bayou Sebastiena, Lake Charles. Jestem tylko rekwizytem, tak jak wcześniej, to rozumiałe. Ale mam tę rolę do odegrania i też wyczekuję jej z niecierpliwością. – Poza tym to ty wszystko przyspieszyłeś – dodała.

– Ponieważ LaPorte po otrzymaniu wiadomości o końcowych przygotowaniach nie będzie przez kilka dni opuszczał domu. – Starając się za wszelką cenę stłumić niepokój, machnął ręką. – I dzięki Sebastienowi rodzina Morenów zamierza do jutra opuścić wraz ze służbą teren swojej posiadłości. Niebezpieczny wyciek gazu.

– A więc wszystko już ustalone.

Ponownie przyciśnięty przez nią do muru – potrafiła to robić – rzucił po raz ostatni okiem na dom, a potem pojechał na lotnisko, skąd mieli się udać wyczarterowanym samolotem do Nowego Orleanu.

*

– Wiesz, mogłabym do tego przywyknąć. – Miranda rozsiadła się wygodnie w skórzanym fotelu i łyknęła szampana. – Może i dorastałam, ciesząc się pewnymi przywilejami, ale nie obejmowały one prywatnych odrzutowców.

– To praca.

– Denerwujesz się?

– Nie. – Nie mógł sobie na to pozwolić. – Próżność LaPorte’a wszystko nam w dużym stopniu ułatwiła. Dopóki Russell będzie się trzymał ściśle rozkładu jazdy – a za bardzo się boi LaPorte’a, za bardzo chce skorzystać z tej okazji, żeby to spieprzyć – wszystko dobrze pójdzie. – Skupiając się na kolejnych krokach i etapach, poklepał ją odruchowo po dłoni. – Tym razem nie mogę pokazać ci Nowego Orleanu. Musimy się przebrać i później pojechać do Lake Charles. Harmonogram będzie napięty, a musimy wyjść stamtąd i ruszyć z powrotem do domu w ciągu czterech godzin. – Spojrzała na zegarek. – Jacques spotka się z nami na lotnisku i zawiezie nas do Sebastiena. Tam wcielimy się w swoje role, podczas gdy Sebastien i Mags przygotowują rzekomy gabinet LaPorte’a.

– Dlaczego nie możemy się przebrać już w Lake Charles?

– Synchronizacja, większe prawdopodobieństwo popełnienia jakiegoś błędu.

– Okej, potem jedziemy do Lake Charles.

– Jacques nas zawiezie. On też ma swoją rolę do odegrania. Russell zjawia się o jedenastej, ubijam z nim interes. Potem usuwamy dekoracje, jedziemy z powrotem do Nowego Orleanu, przebieramy się. Rano będziemy w domu.

– Podczas gdy Regal i jej mąż są w Europie – a ekipa Dubecka jest zajęta wystrojem wnętrza – Russell włamuje się, żeby ukraść Boginię, bierze falsyfikat i zostaje złapany.

„Synchronizacja”, pomyślał, „jeden element zachodzący na drugi. Po kolei”.

– Taki jest plan.

– Bo zamierzasz uruchomić alarmy, żeby policja otoczyła dom. Następnie podrzucisz autentyczną Boginię do domu LaPorte’a i zawiadomisz władze, co tym bardziej pomoże, jeśli Russell zacznie sypać.

– Nawet jeśli nie zacznie...

– Nawet jeśli nie zacznie – ciągnęła Miranda – zostawiłeś ślad pod postacią przelewu. Jedna rzecz tylko nie daje mi spokoju. Co będzie, jeśli LaPorte powie o twoim udziale?

– Może spróbować, ale musiałby się przyznać do różnych przestępstw, a ja jestem tylko nauczycielem w szkole średniej. – Wzruszył ramionami. – Historia, jaką stworzyłem, powinna trzymać się kupy, chyba że zaczną grzebać w niej głębiej. A ponieważ Kameleon wykręcił w tym roku dwa numery – we Francji i we Włoszech – a ja nie opuszczałem kraju – to dlaczego miałby mnie prześwietlać?

– Jak zdołałeś to zrobić, skoro nie wyjeżdżałeś w tym roku do Francji ani do Włoch?

Odpręż się, nakazał sobie w myślach, i zdobył się na uśmiech.

– Zadzwoiłem do dwóch... kolegów po fachu. Poprosiłem ich, żeby posłużyli się przy najbliższej robocie moim podpisem. Jedną odwalili pod koniec marca, kiedy organizowałem spotkanie kółka dramatycznego, a drugą podczas ostatniej inscenizacji musicalu. LaPorte może próbować mnie wrobić, ale to tylko przysporzy mu więcej kłopotów.

– Powiem ci, co myślę. LaPorte spróbuje cię wrobić – jeśli do tego dojdzie – z mojego powodu.

Odwrócił się do niej i utkwił w niej nieruchome spojrzenie.

– Co ty masz z tym wspólnego?

– Spotkałam go przelotnie, kiedy byliśmy oboje w Nowym Jorku.

– Nie. Miranda...

– Wysłuchaj mnie do końca. Podałam Sebastienowi kilka miast i dat, a on w to wszystko wejrzał, dowiedział się, że kilka lat temu ja i LaPorte przebywaliśmy jednocześnie w Nowym Jorku przez trzy dni, w moim przypadku cztery. – Najwidoczniej zadowolona ze swojego pomysłu i zde-terminowana ciągnęła: – Zapomnieliśmy się, oboje, czego bardzo żałuję, gdyż żądał ode mnie paskudnych rzeczy, a ja mu odmówiłam. Potem kontaktował się ze mną kilka razy, ale wciąż odmawiałam, bo czułam, że wysuwa zawołowane pogrożki. Nic szczególnego, ale przyprawiało mnie to o niepokój. Wydawało się, że ma na moim punkcie obsesję – jakby chciał mnie posiadać na własność.

– Nie ma mowy.

Łyknęła szampana.

– Uważasz, że mężczyzna nie może mieć obsesji na moim punkcie?

– Może, to akurat kupuję, ale...

– Jeśli kiedykolwiek będę musiała zeznawać, to świetnie sobie poradzę. Nie byłam w prawdziwym związku, dopóki ty... a tamta chwila zapomnienia właśnie z tego wynikała. – Popatrzyła na niego, mrugając nerwowo, nie kryjąc ogromnego wzruszenia i emocji. Błysnęły łzy, ona sama zaś drżała. – Musiał się o nas dowiedzieć i to z mojego powodu wysłał tych dwóch strasznych ludzi, żeby mnie obserwowali, i przy okazji ciebie. To wszystko moja wina. Nie mówiłam ci o tym wcześniej, bo... bo... – Po jej policzku spłynęła gruba, samotna łza, kiedy obróciła się ku niemu i chwyciła go za ramię. Z trudem stłumiła szloch. – Bałam się. Bałam się tego człowieka, bałam się powiedzieć ci o tym... bałam się, że cię skrzywdzi albo że ode mnie odejdziesz. Och, Booth, wybac mi!

Musiał przyznać, że jest przekonująca.

– Nieźle ci to wyszło.

Odrzuciła do tyłu włosy.

– Przećwiczyłam to z Mags. Jeśli trzeba będzie, wyśpiewam tę historyjkę jak Szekspirowski

sonet.

Po prostu... go olśniła.

– Myślę, że dałabyś radę.

– Och, z pewnością, a ty powinieneś mi na to pozwolić, bo i tak to zrobię. Odsunie od ciebie podejrzenia, wszystko skupi się na mnie. A ja nie mam nic do ukrycia.

– Okłamywanie policji...

– Już się tym nie przejmuję. Było dawno i nieprawda. – Machnęła lekceważąco dłonią. –

Wiem, kim jesteś, czym się zajmujesz. Uczestniczę w tym. Postarałam się o to. – Pewna siebie strzepnęła pojedynczą łzę z policzka. – Nie wydałam cię. LaPorte skrzywdził też mnie, a wiesz, jak się z tym czuję. Jeśli cię przycisną, to okaże się, że chodzi wyłącznie o mnie i błąd w ocenie sytuacji cztery... prawie pięć lat temu, kiedy to pewien czarujący starszy mężczyzna zdołał mnie uwieść. – Dopięła szampana i odstawiła kieliszek. Kiedy obróciła na niego te oczy morskiej wiedźmy, nie było w nich już rozbawienia. – Nie chcę diamentów, Booth, ani obrazów wielkich mistrzów. Chcę tego, co tu i teraz, i pragnę, byś mi to dał. I tak bym opowiedziała policji to, co sobie wymyśliłam, ale wiele by dla mnie znaczyło, gdybyś chętniej akceptował moje propozycje.

– Skupmy się na następnym kroku, okej? Wszystko po kolei. – Podniósł jej dłoń do ust. – To dobry plan.

Jacques zgodnie obietnicą oczekiwał ich na lotnisku. Miranda ujrzała chudego jak szczapa mężczyznę mniej więcej w swoim wieku, w podartych workowatych dżinsach i podkoszulku z emblematem New Orleans Saints. Miał krótkie loczki, a w jednym uchu nosił maleńki srebrny kolczyk.

Uśmiechnął się szeroko, kiedy dostrzegł Bootha.

– Mój facet. – Przybili sobie piątkę, potem stuknęli się piąstkami, wreszcie objęli się mocno.

– Dobrze wyglądasz. A ta pani wygląda jeszcze lepiej.

– Miranda Emerson, Jacques Xavier.

– *Bienvenue*. – Jacques ujął jej dłoń i złożył na jej palcach czarujący pocałunek. – Przygotowaliśmy wszystko, więc pakujcie się do środka. – Otworzył przednie drzwi po stronie pasażera. – Usiądziesz obok mnie i opowiesz mi swoją historię.

– Jeszcze się nie skończyła – odparła Miranda, sadowiąc się z przodu. – Ale opowiem ci ją, jeśli ty mi opowiesz swoją.

Booth siedział z tyłu, kiedy oni oboje rozmawiali jak starzy przyjaciele; po chwili wyjął telefon, by sprawdzić postęp prac w Lake Charles.

„Synchronizacja działań”, pomyślał znowu. „Wszystko sprowadza się do odpowiedniej synchronizacji”.

Miranda widziała przelotnie – i tylko w taki sposób – Nowy Orlean, ale ani skrawka dzielnicy francuskiej, bo Jacques ruszył z lotniska wprost w stronę Bayou i domu Sebastiena.

– Och, to jest wspaniałe! – Obracała się na wszystkie strony, stojąc obok samochodu. Żar lał się uparcie z nieba, woda poruszała się leniwie, mech zwieszał się jak koronki. – To jest piękne, egzotyczne i jednocześnie takie jakieś pierwotne. I ten dom. Jest czarujący.

– Sebastien bardzo się ucieszy, że tak myślisz. Musimy...

Urwał, kiedy drzwi domu się otworzyły i ze środka wyszła ciężarna Dauphine.

Ubrana w długą sukienkę w kolorze maków, która podkreślała jej – trzeci już – wydatny brzuszek ciężowy, wyszła na ganek i położyła dłoń na biodrze.

– A więc to ona. – Przyjrzała się uważnie Mirandzie. – Dziewczyna, którą zostawiłeś.

– Próbował w każdym razie – sprostowała Miranda.

– Jestem Dauphine. Stara przyjaciółka.

– Wiele masz takich starych przyjaciółek, które są absolutnie olśniewające, Booth?

– Nie takich jak ta tutaj. – Podeszedł do Dauphine i wziął ją w objęcia. – Gdzie dzieciaki?

– Z babcią i dziadkiem.

– A Luc?

– W Lake Charles. Pomaga przy robocie.

– Nie musiał...

– Żadne „nie musiał”, pomaga i już. Sama bym tam poszła, gdyby nie to. – Położyła sobie dłoń na brzuchu. – Ale pomagam tutaj. Jacques’owi.

– Jesteśmy rodziną – przypomniał ten ostatni Boothowi i zarzucił sobie na ramię pokrowiec z garniturem. – Mam tu swój wyszukany strój.

– A ja mam lemoniadę i wino, też trochę jedzenia. Nie jest takie dobre jak twoje czy Sebastiena. Stęskniłam się za tobą – powiedziała i pocałowała Bootha. – Ciebie też chciałam zobaczyć.

Wyciągnęła do Mirandy dłoń, a ta ją uściśnęła.

– Miło cię poznać.

– Wejdźcie, odsapnijcie chwilę. Tak, tak, harmonogram, wiem – zwróciła się Dauphine do Bootha. – Ale zróbcie sobie chwilę przerwy. Pomogę przy przebieraniu.

Może nie pasowało to idealnie do jego przygotowań i kolejnych kroków – jeden z powodów, dla których pracował w pojedynkę w trakcie swojej złodziejskiej kariery – ale patrzył zafascynowany, jak łatwo Miranda znajduje wspólny język z dwójgiem jego starych przyjaciół.

Napili się lemoniady – ani kropli wina, jak zalecił – i zjedli cholernie dobre krewetki po kreolsku.

Potem Booth przyniósł strój Mirandy.

– Żaden wielki tyłek tym razem, więc to plus. – Stuknęła w sztuczne piersi i stanik. – Tylko gigantyczne cycki.

– Nie gigantyczne, rzekłbym... uwydatnione. Widocznie uwydatnione.

– Jesteś absolutnie doskonała – zapewnił Jacques. – Ale to na potrzeby przedstawienia. Przedstawienia z moim udziałem w wyszukanej garniturze i z twardym spojrzeniem twardego gościa.

Zmienił odpowiednio wyraz twarzy, a Miranda musiała przyznać, że istotnie pojawiła się na niej twardość.

Zmierzyła wzrokiem bezduszny czarny kostium – bezduszny, ale i doskonale skrojony. Wąski taki. Także kaburę pod pachą.

– Mam nosić broń.

– Rekwizyt. Atrapę. Pilnujesz bezpieczeństwa i jednocześnie sprawujesz nadzór nad domem. Była pracownica MI6.

– Coś w rodzaju agentki? Wspaniale. Jestem twardzielką.

– Przyrowadzisz Russella do gabinetu i oddalisz się. Potem go wyprowadzisz i nie odezwiesz się słowem.

– Jestem wyłącznie statystką – zwróciła się Miranda do Dauphine.

– Teraz makijaż.

– Poradzimy sobie, ja i Miranda – zapewniła Dauphine. – Mam zdjęcie osoby, którą musi odgrywać.

– Okej. Nie martwcie się o staranność. – Zawsze mógł wszystko potem poprawić. – Tu jest peruka. – Wyjął z pudełka długi splot pokryty idealnymi pasemkami złotawego brązu. – Nie stosuj żadnego bronzera. To Brytyjka. Lily Cross – a prawdziwa Lily Cross ma mały tatuaż w kształcie motylka. Załatwiłem ci taki, zmywalny.

– Och, zrobię sobie tatuaż!

– Tymczasowy. Wiesz, jak go przykleić?

– Poradzimy sobie, *cher*. – Dauphine poklepała go po policzku. – Gdzie powinna go nosić?

– Pośrodku lewego nadgarstka. Biżuteria...

– Mam wszystko. – Francuzka wzięła czym prędzej kasetkę i garderobę. – Chodź, Miranda, bo nas tu zagada na śmierć.

Poszły do sypialni Sebastiena i zamknęły drzwi. Kilka sekund później Booth usłyszał gromki wybuch śmiechu.

– Znalazłeś chyba prawdziwy klejnot – zauważył Jacques.

Wciąż patrząc na drzwi, Booth skinął głową.

– Tak, jest klejnotem i bezustanną niespodzianką. Doceniam twoją pomoc, Jacques.

– Będę nosił ekskluzywny garnitur, prowadził ekskluzywny samochód i wyglądał na wrednego i twardego gościa. – Znowu uśmiechnął się szeroko. – Już mi się podoba ta robota.

– Trzeba ci będzie zaczesać włosy do tyłu – zdecydował Booth. – Dodam ci też trochę zarostu. I musisz się chwilowo pozbyć tego kolczyka.

„Mamy opóźnienie”, pomyślał Booth, kiedy już uporał się z wizerunkiem Jacques'a. Kiedy

ten przebierał się w garnitur, on zajął się przemianą siebie w Cartera LaPorte'a.

Przez następną godzinę jego uszu dobiegało jeszcze więcej salw śmiechu, kilka gromkich okrzyków, mnóstwo pomruków i mamrotania. Starał się za wszelką cenę to ignorować, kiedy nakładał na twarz specjalny krem w celu jej pogrubienia, dodał nieco koloru do odsłoniętych fragmentów skóry – tylko subtelna opalenizna bogatego uprzywilejowanego człowieka. Dorzucił jeszcze trochę zsinienia wokół brody i oczu, tak by sugerowały przebytą niedawno operację plastyczną.

– Nie jesteś już taki ładny – rzekł Jacques, popijając lemoniadę. – Te jego zabiegi na gębie tego nie zmieniają. I wyglądasz też starzej. Masz do tego wszystkiego cholerny talent.

– Przydaje się czasem.

Wiedział, że w peruce, barwnych szklach kontaktowych, z wypełnieniem pod garniturem, ujdzie od biedy. Przy dobrym świetle, z bliska – nie bardzo, ale liczył się z tym.

W tym momencie z sypialni wyłoniła się Dauphine. Zamurowało ją w sposób klasyczny, potem się roześmiała.

– Na pierwszy rzut oka wyglądasz jak on. Ale jesteś ciut za wysoki.

– Będę siedział za biurkiem. Ujdę w tłoku.

– Też tak myślę. No i przekazuję ci Lily Cross.

Na scenie pojawiła się Miranda; twarz miała równie bezduszną jak kostium.

Jej nos wyglądał na nieco dłuższy, odrobinę węższy – dobra robota, jak Booth musiał przyznać. Wystylizowały perukę w zgrabny i niewyszukany warkocz. Marynarkę miała rozpiętą, widać było zarys broni.

– Dobra robota – rzekł. – Cholernie dobra.

Jej oczy błyszczały lodowatym jasnym błękitem.

– Zdołałaś włożyć szkła kontaktowe. I jak ci poszło?

– Okej. Przyzwyczajam się do nich.

Brzmienie jej nieznacznego, soczystego akcentu wywołało na jego twarzy uśmiech.

Tak, bezustannie go zaskakiwała.

– Nieźle. Absolutnie.

– Widziałam swój dowód tożsamości, zapoznałam się z życiorysem. Lily pochodzi z Londynu. Wykształcona, zdolna do ryzyka, twardzielka.

– Wszystko w porządku, ale pamiętaj, że jesteś tylko ozdobnikiem.

– Jasne, kapuję. Nie podoba mi się to, jak wyglądasz.

– Już niedługo. Zaoszczędziłaś mi czasu, Dauphine.

– Zrobiłabym więcej, gdybym mogła. – Zwróciła się do Mirandy i ujęła jej dłonie. – Wróć, poznaj resztę mojej rodziny, a my pokażemy ci Nowy Orlean.

– Wróć. Dziękuję, Dauphine. Za wszystko.

– Ach, *c'est rien*.

– Jesteśmy trochę spóźnieni. Miranda, bierz tę czarną torebkę. Są tam zapasowe szkła i przybory do makijażu, gdybyś musiała się podpicować.

– Jasne.

– Możemy podrzucić cię do domu... – zaczął Booth, ale Dauphine machnęła ręką.

– Rodzice po mnie przyjadą. Mam uroczę pół godziny, żeby posiedzieć na ganku i napić się lemoniady. W spokoju. Powiesz mi, jak już będzie po wszystkim?

– Powiem. – Zwlekał jeszcze chwilę, lecz zaraz wziął ją w ramiona. – Jesteś wielką miłością mojego życia.

– A ty mojego.

Wyszła razem z nimi, potem obróciła się do Mirandy.

– Ty jesteś tą właściwą miłością. Wiesz o tym.

– Wiem. Cieszę się, że miał ciebie. I teraz ja też cię mam.

Tym razem Booth i Miranda usiedli z tyłu; Booth wręczył jej teczkę.

– Kodycyl lady Jane Dubois... rozporządzenia dotyczące Bogini.

– Naprawdę? Sądziłam, że nie znajdziesz na to czasu. Nigdy nic więcej na ten temat nie powiedziałaś.

– Nie ja to załatwiłem, tylko Jacques. Jest cholernie dobrym fałszerzem.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko w lusterku wstecznym.

Miranda otworzyła teczkę i przebiegła wzrokiem tekst dokumentów w plastikowej koszulce.

– Rany! – jęknęła. – Wygląda na stary, to znaczy papier, i na autentyczny. Nie muszę chyba pytać, czy te autografy odpowiadają jej podpisowi albo podpisowi prawnika i świadków.

– Ujdą – zapewnił ją Jacques. – Booth dał mi mnóstwo czasu na tę robotę. I żeby postarzyć odpowiednio papier, atrament. Miałem frajdę, ale płaci więcej, niż powinien.

– LaPorte płaci – przypomniał mu Booth.

– Dlatego wziąłem te pieniądze.

Miranda oddała teczkę Boothowi i pochyliła się w stronę przedniego siedzenia.

– Więc tym się zajmujesz?

– To jedna z wielu rzeczy.

Ponieważ gawędził zadowolony, dowiedziała się, że pracuje w tej chwili jako programista komputerowy – na sto procent legalnie! Bierze trochę roboty na boku, to tu, to tam, zwłaszcza dla dobrych przyjaciół albo dobrych pieniędzy. Miał dziewczynę, grała w kapeli wykonującej kreolską muzykę zydeco. Dodał, że może się pobiorą. Może.

Przyjechali do Lake Charles w blasku półksiężyca, który migotał na wodzie.

Booth wskazał przez okno.

– To dom LaPorte’a.

– Niezły – przyznała, kiedy blada poświata oblała ogrody, mury i bramy, a także masywny dom i budynki zewnętrzne.

– Jesteś pewien, że tam siedzi.

– O, tak. I to sam, pomijając ochronę i służbę. – Booth poklepał się po lekkiej opuchliznie na twarzy. – To próżność. Poprawia się tak co kilka lat i zamyka potem wszystko na dwa dni... co najmniej. Żadnych gości, żadnych odwiedzin, żadnych ingerencji. – Uśmiechnął się, wyobrażając sobie samotnego LaPorte’a w jego wielopokojowym apartamencie. – Lubi wierzyć, że nikt poza jego personelem medycznym nie wie, że robi sobie lifting.

– Jak to wszystko odkryłeś?

– Wyznażyłem sobie cholerną misję – dowiedzieć się o nim przez ostatnie dwanaście lat absolutnie wszystkiego. – Oczy Booth’a – piwne oczy LaPorte’a – wlepiały spojrzenie w przestrzeń. – Znam go na wylot. Przygotowywałem się do tej roboty bardzo, bardzo długo. Wszystko zawsze prowadziło wyłącznie do tego.

Jacques nic nie rzekł, prowadził w milczeniu, pokonując ostatnie osiemset metrów dzielące ich od następnej ogrodzonej posiadłości. Tym razem brama rozsunęła się bezszelestnie.

Miranda poczuła, jak zamiera w niej serce, kiedy do samochodu zbliżył się barczysty mężczyzna.

Jacques opuścił szybę.

– Cześć, kuzyn, co słychać? – rzucił niemal wesoło.

– Wszystko w porządku. – Luc wycelował palcem w Booth’a. – Pomyślałbym, że to on we własnej osobie.

– Jeśli światło będzie przyćmione, to damy radę. Miranda, to jest Luc, Luc od Dauphine. Zapoznajcie się później, teraz musimy wejść do środka.

– Czekają na was.

Odsunął się, a Jacques ruszył wolno wzdłuż podjazdu. Brama zamknęła się równie bezgłośnie, jak się otworzyła.

Miranda poczuła, jak przyspiesza jej serce pod sztucznymi piersiami.

– Nie wydaje się to do końca realne.

Booth dotknął jej dłoni.

– Niedługo będzie po wszystkim.

Zgasili zewnętrzne światła zgodnie z planem, jak zauważył. Budynki i teren, choć wielkie, eleganckie i rozległe, nie mogły się równać z posiadłością LaPorte’a. Musiał liczyć na to, że Russell nie będzie zwracał zbytnej uwagi na otoczenie i brak iluminacji.

To, co udało mu się ustalić, wskazywało niezbicie, że LaPorte spotkał się z Russellem w jego posiadłości w Lake Charles, i to osiem lat wcześniej.

Poza tym, jak Booth wiedział z doświadczenia, ludzie widzieli zazwyczaj to, co spodziewali się zobaczyć.

Drzwi domu otworzyły się, kiedy pod nie podjechali.

„Jeszcze jeden mężczyzna w garniturze”, pomyślała Miranda. „Tyle że tym razem żyłasty, ze stalowoszarą szczeciną włosów na głowie i wydatnym nosem”.

Nie rozpoznała Sebastiena, dopóki się nie odezwał.

– Trochę się spóźniliście, kurczaczki – rzekł.

– Wiem – odparł Booth. – Nadrobimy to.

Skinąwszy głową, Sebastien uśmiechnął się do Mirandy.

– Wyglądasz groźnie. Nie wchodzę w drogę takim jak ty.

– Mogę powiedzieć to samo o tobie. Słowo daję, nie poznałam cię.

– Russell też mnie nie pozna. Jak ci się podobają moje mokradła?

– Są wspaniałe. Magiczne. Nie miałam jeszcze okazji zobaczyć cocodrila.

– Następnym razem.

– Dam ci znać, jeśli będziesz musiał zaczekać – zwrócił się Booth do Jacques'a. – Poradzisz sobie.

– Jasne.

Zasalutował i odjechał.

– Wejdźmy do środka.

Wielki hol miał wysokie sufity i trzy żyrandole. Ich światło padało na wyszukaną wykładzinę i masywny stół.

Wielka kondygnacja schodów dorównywała tym z *Przeminęło z wiatrem*.

– To... robi wrażenie... – zawyrokowała Miranda. – Russell się nie zorientuje, że to nie jest wejście do domu LaPorte'a?

– Był u niego tylko raz, ale właśnie dlatego wprowadzisz go do gabinetu przez boczne drzwi. Mags wskaże ci drogę. Gdzie ona jest?

– Musiałem poświęcić jej trochę czasu... – Sebastien pomachał dłonią wokół twarzy i włosów.

– Rodzina i służba odesłane?

– Wyjechali, jakby ich kto gonił. Wewnętrzny wyciek gazu to niebezpieczna sprawa. Ale ci z gazowni będą pracowali całą noc, zabezpieczą wszystko. Nie ma tu tylu ludzi, co u LaPorte'a. Rodzina pojechała do Nowego Orleanu, do hotelu. Powiedziałem recepcjoniście, żeby przekazywał właścicielowi domu na bieżąco wszelkie informacje. Kontaktowałem się z nim pół godziny temu, przekazałem, że znaleźliśmy przyczynę problemu i że powinniśmy się z tym uporać przed drugą. Spytałem, czy mam wtedy zadzwonić. Powiedział, że nie, żeby zadzwonić rano, jeśli nie pojawi się jakiś inny problem.

– Dobrze. Chcę się stąd wynieść przed pierwszą. Obejrzyjmy gabinet.

– Jego widok cię uszczęśliwi.

Poprowadził ich przez hol, potem przez szerokie wejście, przez coś w rodzaju ekskluzywnego salonu, obok pokoju muzycznego, jak domyśliła się Miranda – pomieszczenia z lśniącym białym fortepianem koncertowym. Po chwili zbliżyli się do drzwi.

Sebasatien otworzył je i oznajmił:

– *Et voilà!*

Booth uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Jest doskonały. Mniejszy, nieco mniejszy niż gabinet LaPorte'a, kolor na ścianach też trochę inny, ale to bez znaczenia. Biurko, fotele, ściana za biurkiem. Doskonale. Cholernie dobra robota.

– Podziękujmy za to Lucowi.

– Podziękuję.

Booth krążył po pokoju, w którym dominowało ozdobne biurko. Ponieważ wiedział, czy raczej patrzył uważnie, dostrzegał podrobione fasady, rekwizyty, przemyślną replikę oszklonej witryny LaPorte'a.

– Wprowadź go przez te drzwi. Światło ma być przyćmione, niech skupia uwagę na mnie. Pójdzie gładko. Nie będzie miał powodu wątpić, że jest tam, gdzie ma być.

Odwrócił się, kiedy do gabinetu weszła Mags.

Była ubrana w czarny uniform i nosiła brzydkie praktyczne buty. Włosy o mysim odcieniu

upięła na czubku głowy, na podobieństwo korony krótkich loków.

– Tylko dla ciebie przybrałam taki wygląd – zastrzegła.

– Pasujesz doskonale i jesteś piękna.

– Zamknij się. Wyglądam jak ta cholerna ciotka Lidia z *Opowieści podręcznej*. A ty za bardzo przypominasz tego drania. No a ty? – Wskazała Mirandę. – Wyglądasz jak twarda sztuka.

– Mam broń i tatuaż. Są atrapami, jak one. – Poklepała się po piersiach. – Ale mam je.

– Może pokażesz Mirandzie, którą ma wprowadzić, a potem wyprowadzić Russella? – poprosił Booth.

– Chodź ze mną, zabójczynie. – Mags wyszła z Mirandą przez boczne drzwi na zewnątrz, gdzie powietrze pachniało gardeniami. – Jak idzie mojemu chłopcu?

– Jest skupiony. Bardzo skupiony, ale sama to pewnie zauważyłaś. Niewiele ostatnio sypiał, ale wydaje się opanowany. Jest jak skała.

– A ty?

– Czasem odnoszę wrażenie, że to jakaś wielka przygoda, a czasem, że to czyste szaleństwo. Naprawdę chcę, żeby już było po wszystkim, i jednocześnie wiem, że będę wspominać każdą tę chwilę.

– Nie widzę w tym nic dziwnego. Okej, przejdźmy się po twojej trasie. Cholernie mi się nie podoba, że te buty są takie wygodne.

– Są rzeczywiście okropne.

– Tak, i dlatego się wkurzam, bo czuję, jakbym stąpała po chmurach. Więc Jacques przywozi Russella od strony jeziora. Będiesz na niego czekała na końcu podjazdu.

– Booth przerabiał to ze mną kilkanaście razy, ale dobrze zobaczyć to na własne oczy.

– Kiedy go wprowadzisz, nasz LaPorte będzie siedział przy biurku. Ja w tym momencie ulotnię się przez wewnętrzne drzwi. Zamknę je, a ty, kiedy Booth skinie ci głową, zamkniesz swoje.

Dotarły na koniec ścieżki biegnącej przy jeziorze skąpanym w blasku księżyca. I tu gardenie, tym razem w towarzystwie róż, wypełniały powietrze swą odurzającą wonią. Miranda wyobrażała sobie, że pergola obrosnięta pnączami winorośli obsypanej jasnoczerwonymi kwiatami tworzyła w słoneczny dzień coś w rodzaju żaluzji dla widoku jeziora.

– Niespełna dwie minuty w obie strony. Dasz radę?

– Tak. Bez problemu.

Mags ścisnęła jej ramię.

– Nie każdy, a prawdopodobnie mało kto, dałby radę. Nie masz pojęcia, ile dla mnie znaczy, że z nim jesteś.

– Jestem z nim – odparła zwyczajnie Miranda. – I nie tylko Booth oczekuje spłaty. LaPorte zasłużył na wszystko, co go spotka, a kiedy dostanie za swoje, będę wiedziała, że mam w tym swój udział. – Wzięła głęboki oddech. – To dla mnie wiele znaczy, Mags.

Siedząc w swoim gabinecie, Booth porządkował papiery. Składanie poszczególnych elementów, analizowanie wszystkich pozostałych kroków, każdej opcji, gdyby coś poszło nie tak. Każdego działania i jego potencjalnych konsekwencji.

Ustalił trasę ucieczki z myślą o Mirandzie, gdyby wszystko wzięło w łeb, i liczył, że Mags i Sebastien przekonają ją, by z niej skorzystała.

Bo gdyby zawiódł, to poszedłby na dno, ale nie zamierzał pociągać jej za sobą.

Sebastien postawił na podkładce na biurku kryształową pękatą szklankę z mocną herbatą – w kolorze bourbona.

Booth, przesunąwszy ją o dwa centymetry, przechylił zabytkowy kałamarz pod odpowiednim kątem.

– Martwisz się, *mon ami*?

– Opracowałem to pod każdym możliwym względem i widzę, że wszystkie elementy wskoczyły na swoje miejsce. Ale jest Miranda. Jeśli jeden z tych elementów wypadnie z układanki, to muszę wiedzieć, że dopilnujesz, by wyszła z tego bez szwanku.

– Miłość przysparza nam trosk. Po kolei, wszystko po kolei.

– Z uwzględnieniem nieprzewidzianych okoliczności – dodał Booth. – Jeśli się nie uda, zrobisz to, co musisz. Przekonasz ją, żeby zaprzeczała, jakoby wiedziała o czymkolwiek. Była tylko pionkiem, fortem, przykrywką – tak jak powiedziałem LaPorte'owi na nagraniu. Dopilnujesz

tego. Miałem cały czas na podorędziu inną kobietę, tę, którą tu przywiozłem i która odgrywała moją asystentkę. Uwierzą jej. Dlaczego mieliby nie uwierzyć?

– Tak o mnie myślisz? – spytała Miranda, stając w bocznych drzwiach. – Uważasz, że cię porzucę, żeby ratować własną skórę?

– Miranda...

– Wykaż się inteligencją i zamknij się. Ani słowa więcej. – Zbliżyła się do niego zdecydowanym krokiem i wbiła mu palec w ramię. – To ja wybieram moje życie. Sama decyduję o swoim losie. I wybieram ciebie. Jesteś głupi, jeśli chcesz mnie odrzucić, ale nawet wtedy wybieram ciebie.

– Ja też podejmuję własne decyzje i dawno temu zdecydowałem o swoim losie. Jeśli nam to nie wyjdzie, odrzucę cię. Powiem im, że cię w to wciągnąłem i okłamywałem na każdym kroku, na każdym etapie.

– A komu zamierzasz to powiedzieć? – Znowu dźgnęła go palcem. – Glinom, FBI, Interpolowi? Zajmujesz się tą robotą od czasu, jak chodziłeś do choleryjnej podstawówki, ty idioto, i nagle chcesz spieprzyć wszystko z mojego powodu? To bzdura. Więc daj sobie spokój. Skup się – nakażała. – Zrób następny krok, potem następny. Odwal robotę i przestań podejmować ze mną walkę. Bo walczę bardziej nieczysto niż ty.

– Nie masz o tym pojęcia.

Chwyliła go mocno za twarz, ignorując maskę LaPorte'a, i pocałowała z całej siły.

– Tu się mylisz. A teraz ustalamy, co dalej.

– Dobra, dobra. Muszę sprawdzić pewne rzeczy.

– Jestem zakochany. – Sebastien położył sobie dłoń na serce, kiedy Booth wyszedł z gabinetu. – Myślę, że mam teraz cztery piękne córki.

– To cudowne, że tak mówisz. – Podeszła bliżej, westchnęła, przytuliła się do niego. – Nie chcę mu tego utrudniać.

– Nie utrudniasz. Ale podbijasz stawkę. Przedtem, gdyby coś zawalił, mógł uciec. Teraz nie ucieknie.

– Nie zawali tego.

– Nie, *ma chère amie*, nie zawali. Jest zmęczony i martwi się – o ciebie. To mu nie daje spokoju.

– No cóż, to dobrze. LaPorte też będzie zmęczony i zmartwiony po tym swoim plastycznym zabiegu.

– *Mais oui*, mam teraz cztery piękne dziewczyny.

Wyszła, by znów przemierzyć swoją trasę – przeciwzyć chód – stawiać długie, pewne kroki. I znalazła Bootha na końcu ścieżki; stał obrócony twarzą do jeziora.

Schował trzymany w dłoni telefon.

– Jacques wraca tu z Russellem.

– Dobrze.

– Nie próbuję pozbawiać cię twoich wyborów.

– Nie?

– Nie. Nie chcę tylko, byś zapłaciła cenę za wkroczenie na drogę, którą podążam przez większość życia.

– Więc nie schrzań tego.

– Nie zamierzam tego schrzań, ale...

– Najlepiej przestań o tym mówić. – Narastała w niej frustracja, grożąc przelaniem. – Znasz przesady. Nie wypowiadasz słowa „Makbet” przed spektaklem w teatrze ani nie życzysz aktorowi powodzenia przed wyjściem na scenę. I, do cholery, nie powinieneś gadać o tym, że stanie się coś strasznego, kiedy akurat pracujesz. – Miała ochotę pozbyć się przeklętych szkieł kontaktowych, ale ciągnęła tym samym rzeczowym tonem: – Mówisz „szkocka sztuka”. Mówisz „połamania nóg” albo *merde*. Zamknij się i przestań gadać o tych wszystkich „a jeśli”. I nie każ mi się czuć tak, jakbym była ci kulą u nogi, a nie twoją partnerką w łodzi, z drugim wiosłem.

– Nie jesteś kulą. – Obrócił ją ku sobie. – Nie jesteś. Nigdy wcześniej nie musiałem się o nikogo martwić, więc...

– Och, bzdura! Chyba sam siebie nie słyszysz. – Odepchnęła go. – Stoisz teraz w tym miejscu, bo jako mały chłopiec martwiłeś się o swoją mamę. Martwiłeś się o Mags. Martwiłeś się

o mnie. Martwiłeś się o Dauphine, jej rodzinę i dzieci, o przyjaciół.

Wyrzuciła ręce w górę, a potem mimowolnie położyła dłoń na kolbie broni.

I wyglądała tak, jakby naprawdę mogła skopać komuś tyłek.

– Oto, kim jesteś, i tak właśnie wykorzystał cię LaPorte. Wie, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy, żeby chronić ludzi, którzy się dla ciebie liczą. Ale nie wie – bo nie może wiedzieć – że miałeś wiele lat na to, by się przygotować i mu odpłacić, albo że nie tylko chętnie, ale wręcz skwapliwie ci w tym dopomogę. Więc skończ z tym proszę i załatwmy drania.

Chciał coś rzec, ale wycelowała w niego palec.

– Szkocka sztuka, Booth. Nie wywołuj wilka z lasu. Nie kuś losu.

Ponieważ nie przychodził mu do głowy żaden logiczny argument, powiedział to, co rysowało się najwyraźniej w jego umyśle.

– Kocham cię.

– Więc zacznijmy to przedstawienie.

Krótko przed północą stali razem – Booth, Miranda, Mags, Sebastien – w domniemanym gabinecie LaPorte’a.

Booth spojrzął na komórkę.

– Luc otwiera im bramę. Bierzmy się do roboty.

Sebastien wyszedł, żeby zająć swoje miejsce na zewnątrz – jako strażnik na służbie.

Miranda podeszła do bocznych drzwi i zerknęła przez ramię.

– *Merde* – rzuciła i zniknęła.

– Jest jedna na milion – skomentowała Mags, po czym zbliżyła się do drzwi gabinetu i też zajęła wyznaczone miejsce.

– Jedyna w swoim rodzaju. Myślę, że mogę ją śmiało nazywać moją Czerwoną Boginią.

Usiadł i stał się LaPorte’em.

Czekając, włączył komputer i uruchomił nagrywanie.

Kilka chwil później ktoś zapukał do gabinetu.

– Tak.

Miranda otworzyła boczne drzwi.

– Pan Russell, sir.

Booth skinął tylko dłonią.

Miranda odsunęła się na bok, żeby przepuścić Russella, zerknęła po raz ostatni na Bootha i wyszła z gabinetu.

Oddaliła się – zamaszystym i zdecydowanym krokiem. Potem stała po prostu w wonnym powietrzu i patrzyła niewidzącym wzrokiem na jezioro. I czekała.

Booth tymczasem wziął do ręki pękata szklankę z herbatą.

Russell, mężczyzna tyjący w pasie, starający się ukryć swój wiek pięćdziesięciu lat, nosił krótki brązowy warkoczyk. Miał zapadłe niebieskie oczy, kwadratową szczękę i usta pełne koronek prostych jak klawisze fortepianu.

Znał LaPorte’a dostatecznie dobrze, by włożyć garnitur, choć materiał – w tym przypadku bawełniana tkanina o wytłaczanej fakturze – stanowił raczej wątpliwy wybór.

W przyćmionym świetle, przy zaciągniętych zasłonach, Booth wskazał mu fotel po drugiej stronie biurka.

– Dobrze pana widzieć, panie LaPorte – rzekł gość. – Jak się pan miewa?

– Zafundowałem sobie kilkudniowe wakacje. Mam jednak dla pana pracę, która nie może czekać.

– Interesy z panem to przyjemność.

– Podam nazwisko i adres tego człowieka, także lokalizację pewnego miejsca. Przechowuje tam coś, co chciałbym mieć. Zdobędzie pan to dla mnie.

– Brzmi zachęcająco.

– Zamierzałem zatrudnić kogoś innego do tego konkretnego zadania, ale po zapłaceniu za wstępne... rozpoznanie terenu ten osobnik okazał się niekompetentny. Skorzysta pan z ustaleń, jakie poczynił, a także z faktu, że za kilka dni człowiek, którego dane za chwilę podam, będzie przebywał w Europie. – Booth przyglądał się Russellowi podkrążonymi oczami LaPorte’a. – Ma pan trzy tygodnie, by zdobyć dla mnie to, czego chcę. Miejsce to Waszyngton, konkretnie George-

town. Zapłacę dziesięć tysięcy na poczet niezbędnych wydatków. Przeleję tytułem zaliczki milion dolarów, a kiedy dostarczysz mi pan to, co pragnę uzyskać, przeleję drugi milion. Te warunki nie podlegają negocjacji. Więc tak albo nie.

– Robiliśmy w przeszłości udane interesy – pospieszył z zapewnieniem Russell.

– I nie jest pan moim pierwszym kandydatem do tego zadania, gdyż w przeszłości nie wykonał pan w sposób satysfakcjonujący pewnej roboty.

Słyszając to, Russell poruszył się niespokojnie, a Booth zorientował się, że dotknął właściwej struny.

– Wiem, że nie był pan w pełni usatysfakcjonowany naszym ostatnim biznesem dotyczącym porcelanowego pawia.

– I dlaczego? – spytał Booth sucho.

– Ze względu na lekkie wyszczerbienie, ale, jak wyjaśniłem, figurka była już uszkodzona, kiedy ją zabierałem. Choć obciął mi pan o połowę moje honorarium... – Urwał, kiedy Booth podniósł rękę.

– Nie chcę żałować, że daję panu drugą szansę, panie Russell. Trzy tygodnie od tej chwili, żeby dostarczyć mi tutaj towar.

– Co to ma być?

– Obejdzie pan system bezpieczeństwa – zarówno elektroniczny, jak i osobowy – w lokalizacji, którą podam. Tak jak już wspomniałem, znaczna część pracy w tej sprawie została wykonana przez kogoś innego. Wejdzie pan do prywatnego pomieszczenia na strychu tego domu i zdobędzie dla mnie Czerwoną Boginię.

Te zapadłe oczy zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Czerwoną... jaja pan sobie ze mnie robi?

Booth zacisnął usta, przymykając groźnie powieki.

– Pański język nie świadczy o panu najlepiej.

– Przepraszam. Słyszałem pogłoski o tym kamieniu, ale większość ludzi nie daje im wiary.

– Milion z góry, dziesięć tysięcy na wydatki. Jeden milion po dostarczeniu towaru. Przyjmuje pan zlecenie albo nie. Pogłoski okazały się prawdziwe. Widziałem ten kamień na własne oczy. Trzymałem go w dłoniach. Pragnę go mieć. Jeśli zależy panu na dalszej współpracy, zdobędzie go pan dla mnie.

– Trzy tygodnie to niezbyt dużo czasu.

– Dysponuję planami domu, posiadam wszelkie dane na temat zabezpieczeń. Znam dokładne miejsce, w którym kamień jest przechowywany. Z wyjątkiem pracownicy ochrony w domu nie będzie nikogo. Bierze pan to albo nie. Nie marnuję czasu i nie mam ochoty go marnować.

– Biorę.

Booth skrzywił twarz w typowym dla LaPorte'a złośliwym uśmiechu wyższości.

– Mądry wybór. Proszę mi podać stosowne informacje, a pieniądze znajdą się rano na pańskim koncie. Nie życzę sobie żadnych kontaktów. Na wypadek gdyby musiał mi pan coś przekazać, podam numer awaryjny. I proszę nawet nie myśleć o ucieczce. Wytropię pana, tak jak wytropiłem innych. Wie pan, jaki spotkał ich los.

– A co, u diabła, miałbym z tym kamieniem począć? Co innego dwa miliony. Wiem doskonale, co z nimi począć. A jeśli będę musiał unieszkodliwić osobę z ochrony?

– Niech pan robi to, co uzna za stosowne. Najważniejsze to zdobyć kamień. Proszę mi podać informacje dotyczące przelewu i wziąć to. – Podsunął Russellowi papiery i dał sygnał Mirandzie. Po zanotowaniu przez tamtego numeru konta ponownie podniósł szklankę. – To wszystko na dzisiaj, jeśli chodzi o nasz biznes.

– Nie pożaluje pan. – Przybysz podniósł się z miejsca. – Zobaczymy się za trzy tygodnie, może nawet prędzej.

Kiedy wychodził z gabinetu, Miranda czatowała już przy drzwiach, żeby go odprowadzić do samochodu. Booth wyłączył nagrywanie.

Potem odchylił się na fotelu i przez chwilę oddychał z ulgą.

„Góra trzy tygodnie”, pomyślał. „Należy wszystko przyspieszyć”.

Niebawem pojawiła się Miranda.

– Odjeżdża. Jak poszło?

– Kupił to bez zastrzeżeń. Zlecić mu kradzież Bogini? Niczego innego nie dostrzegął i o niczym innym nie potrafił myśleć.

– Więc się z tym uporaliśmy. Udało się.

– Musimy tu posprzątać i wynosić się, ale owszem, udało się. Posłuchaj, przykro mi z powodu tego, co było wcześniej.

– Mnie nie. – Podeszła do niego i usiadła na brzeżku biurka. – Jesteśmy tym, kim jesteśmy, oboje. I będziemy się spierać – na poważnie – znowu. Może damy sobie na razie spokój, dopóki to wszystko się nie skończy.

– Najwyżej trzy tygodnie. Prawdopodobnie mniej, bo kiedy Russell zobaczy, co zostało już załatwione w sprawie kradzieży, zechce działać. Myślę, że sobie poradzimy. Dobra, rozbieramy dekoracje.

– A potem jedziemy do domu?

– Tak. – Wstał i przytulił ją. – Jedziemy do domu.

Rozdział 31

Booth spędził dzień przed corocznym przyjęciem jak zwykle: w kuchni, przyrządzając przystawki, sosy, marynaty. Tego roku jednak mógł liczyć na pomoc Mirandy, która siekała i mieszała.

Siedziała przy szafce kuchennej z zaczesanymi do tyłu włosami i zmarszczonym czołem, obierając ziemniaki do jego sałatki w stylu cayun.

– Nie mam pojęcia, jak dajesz z tym wszystkim radę – zauważyła.

– Pomagasz mi z podstawową robotą, co doceniam. Szykowanie tego wszystkiego w tak dużej ilości – jak dzisiaj tej sałatki ziemniaczanej – pozwala wzbogacić smaki. Poza tym jutrzejszy dzień jest przeznaczony na zabawę.

– Chodzi mi o to, że nie wiem, jak możesz gotować i wydawać przyjęcie dla setki ludzi, wzięwszy pod uwagę to, co cię jeszcze czeka.

– Jeśli nie zorganizuję przyjęcia, będą się zastanawiać dlaczego. A kiedy będzie już po wszystkim, tym bardziej rzuci się w oczy, że tego nie zrobiłem.

Zdjął z kuchni muszelki – al dente – i przerzucił do durszlaka w zlewie, żeby je odcedzić przed dodaniem do sałatki krewetkowej.

– Muszę cię poprosić o przysługę.

– Prócz obierania miliona ziemniaków?

– Wykonujesz naprawdę porządną robotę.

Uniosła po swoim brew, potem rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Wiem, kiedy jestem traktowana protekcyjnie. O jaką przysługę chodzi?

– Zanim ci wyjaśnię, zapewniam, że nie o to, by pozbawić cię możliwości podejmowania decyzji czy o ochranianie twojej osoby. Chodzi bardziej o ochranianie mnie, jeśli...

– Szkocka sztuka, Booth.

– Nie takie „jeśli”. Inne. Jeśli LaPorte spróbuje mnie zrobić. To, co powiedziałaś wcześniej – że chodzi o ciebie, o tę żalostną chwilę w Nowym Jorku. Wykorzystuję to. Mam dokumentację, którą sporządziłem, ze wszystkimi informacjami na mój temat jako nauczyciela szkoły średniej, a także paru innych osobników, którzy mieli powiązania z jego kobietami.

Usiadła i potarła się w zamyśleniu po nosie.

– Och, rozumiem. Gromadził papiery dotyczące innych mężczyzn. Powinieneś dorzucić tam informacje o kobiecie, może dwóch, na wypadek gdyby któraś z jego byłych wołała kobiety albo zakochała się w takowej.

– To niezłe. – Sam powinien był o tym pomyśleć. – Okej.

– Zbierał tę dokumentację, śledził innych, gdyż odznacza się obsesyjną i mściwą osobowością. I jeśli będzie próbował cię wmieszać, to wtedy całe to dossier potwierdzi moją historię.

– Właśnie. I jeszcze jedna przysługa z twojej strony. Chcę, byś dostarczyła mi alibi.

– A konkretnie?

– Muszę pojechać do Lake Charles, a ty zostaniesz tutaj.

– Chwila...

– Moje alibi, Miranda. Muszę się tam udać, włamać do jego domu, podrzucić Boginię i całą tę dokumentację, a także parę innych rzeczy. Jednocześnie będę tutaj. W tym miejscu. Przysięgniesz w razie czego, że tu wtedy byłem.

– Więc osoba zapewniająca ci alibi nie może się tam znaleźć z tobą, żeby odplacić draniowi?

– Mnie też tam nie będzie. Będę tutaj. Ale muszę mieć trochę czasu, żeby pojechać do Waszyngtonu, polecieć do Nowego Orleanu, udać się samochodem do Lake Charles, zrobić, co trzeba, i wrócić. Potrzebuję dwudziestu czterech godzin i proszę, żebyś mi je dała.

– To ci pomoże.

– Bardziej niż obieranie tych ziemniaków.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Sebastien i Mags obserwują Russella. Facet zarezerwował sobie ekskluzywny apartament w Georgetown, a Sebastien zajął tam dwa razy. Dziś rano, kiedy nasz włamywacz przebywał na siłowni. Sprawdził jego laptop. Gość planuje dokonać skoku jutrzejszej nocy.

Przerzucił makaron do miski, dodał cebulę, seler, czarne i zielone oliwki, które miał już przygotowane, na koniec krewetki, już wcześniej obrane i ugotowane.

– Zaraz po twoim przyjęciu? Ale...

– Więc muszę wyjechać, kiedy już wszyscy sobie pójdą. Zostawię cię z całym bałaganem i jest mi z tego powodu przykro. Synchronizacja zadziała. Wszystko zadziała. Jeśli się zjawi ktoś niespodziewanie albo zadzwoni, powiesz, że śpię albo że mam kaca, albo że wybrałem się na spacer. Nieważne. Zresztą nikogo się nie spodziewam. Wrócę w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– Nigdy mi nie powiedziałaś, jak zamierzasz się włamać do jego domu.

– To akurat jest proste. Nocna robota, którą planowałem od blisko dwunastu lat.

– Opowiesz mi o tym, żebym mogła sobie wyobrazić, jak się to odbywa? Żebym mogła sobie wyobrazić, jak to robisz?

– Mogę na to przystać.

– No to zawieramy kolejną umowę. Zaczynj od samego początku, dobrze? Zaczynj od tego, jak chcesz się upewnić, że Russell zostanie schwytyany z fałszywym kamieniem i wszystkim, co jeszcze zgarnie.

Skinąwszy głową, Booth przystąpił do siekania ziół ze swojego ogrodu.

– Okej. To będzie tak...

*

Uważała, że nie najgorzej poradziła sobie podczas przyjęcia, odgrywając rolę gospodyni, podczas gdy wszystko wokół niej zdawało się tracić kontury. Rozmawiała, jadła, serwowała dania, dokładała gościom. Patrzyła, jak Booth smaży na grillu żeberka, kurczaki i burgery – kolejne letnie przyjęcie w sobotnie popołudnie.

Grała w cornhole i bocce, dokładała piwo i wino do pojemników z lodem. Unikała w miarę możliwości aluzji i bezpośrednich pytań dotyczących jej związku z Boothem.

Wreszcie zrobiła sobie przerwę w zacienionym miejscu z Tracey i mrożoną margaritą.

– Nie ma to jak letnie party u Bootha.

– Fakt. Ludzie przynieśli tyle jedzenia, że starczyłoby dla pułku wojska, prócz tego, co sam przyrządził. I tym też można by nakarmić parę pułków. Nigdy w życiu nie spędziłam tylu godzin w kuchni.

– Tworzycie zgraną parę. Nie, nie, o nic nie pytam – zastrzegła Tracey, kiedy Miranda spojrzała na nią z ukosa. – Stwierdzam tylko fakt. Wiem, że ludzie pytali albo udawali, że nie pytają. Wszyscy tu kochają Bootha. Jesteś pierwszą kobietą, która urządziła z nim tę imprezę, pierwszą, z którą jest tak długo. Przedłużyłaś wynajem, ale...

Miranda popatrzyła na Bootha, który rzucał akurat podkrową. Taki odprężony, taki spokojny, przybijał piątki ze swoim partnerem, ilekroć trafiał w dzwonek.

– Ustalamy jeszcze pewne rzeczy. Mam wrażenie, że jutro będziemy leżeć jak nieprzytomni, a potem ponownie ustalać pewne rzeczy.

– Bardzo lubię was oboje, więc tak szczerze, mam cholerną nadzieję, że wam wyjdzie.

Miranda pomyślała, że świetnie sobie ze wszystkim poradziła – nawet jeśli ostatni maruderzy wyszli dopiero po dziesiątej. I radziła sobie, dopóki Booth nie zszedł na dół w blond peruce, z kosią bródką i torbą w ręku.

– Mags będzie tu za minutę, żeby mnie zabrać. Dwadzieścia cztery godziny, Mirando.

– Nie spóźnij się. – Objęła go mocno. – Proszę, nie spóźnij się.

– Będzie najlepiej, jak zostaniesz w domu. I tak ma padać. Nie wychodziliśmy przez cały dzień, spaliśmy długo, sprzątaaliśmy – przepraszam, że cię z tym zostawiam.

– Nieważne. Ludzie upierali się, że mi pomogą, a ja tylko chciałam, żeby czym prędzej sobie poszli.

– Nie wychodziliśmy, spaliśmy, uprawialiśmy seks – nie miałbym nic przeciwko temu. Oglądaliśmy filmy, ucinaliśmy sobie drzemkę. Co jedliśmy?

– Resztki z przyjęcia. – Odniosła wrażenie, że oddech utkwił jej w płucach. – Ani razu nie wyszedłeś z domu, ja też nie. Nie martw się o to.

– To Mags – rzekł, kiedy zerknął na komórkę. – Czeka na mnie kawałek dalej. Muszę się zbierać. – Pocałował ją, potem przesunął dłonią po jej warkoczu. – Prześpij się. Widzimy się jutro wieczorem.

– Dobrze. Okej. Połamania nóg. *Merde*. Nie spóźnij się.

– Rozumiem – odparł i wyszedł.

Popatrzyła na zegarek i zaczęła odliczanie.

*

Przebrał się w mieszkaniu Mags w strój roboczy i był już w drodze do Lake Charles, kiedy Sebastien zadzwonił na bezpieczną komórkę.

– Russell pokonał pierwszą barierę.

– Trzymaj się harmonogramu i daj mi znać, kiedy uruchomisz alarm.

– Jak blisko jesteście?

– Jeszcze dwadzieścia minut.

Booth popatrzył na Jacques'a, chcąc usłyszeć potwierdzenie.

– Około. Trzymam się limitu prędkości. Jadę jak stara dama w okularach dwuogniskowych.

– Dam ci znać, jak przyjdzie czas na ciszę w eterze.

Kiedy się rozłączył, Jacques spojrzał na niego.

– Jesteś pewien, że ten facet poradzi sobie z włamaniem?

– Przygotowałem mu wszystko. Chce pieniędzy. Poradzi sobie.

Zaczął się jednak odrobinę denerwować, kiedy Jacques zatrzymał się w wyznaczonym miejscu.

– Od tej pory obowiązuje cisza. Objedź okolicę, jeśli musisz. Wyślę ci sygnał, kiedy już wyjdę na prostą.

– Nie martw się o mnie. W porządku.

Właśnie zamierzał skontaktować się z Sebastienem, kiedy ten akurat zadzwonił.

– Dzięki, Jezu.

– Mnie dziękuj, *mon ami*. Słyszysz to?

W telefonie rozbrzmiewało wycie alarmu, zawodzenie syren. Booth zamknął oczy.

– Tak, słyszę.

– Szkoda, że nie możesz tego zobaczyć. Światła, mnóstwo światła. Dom się świeci jak w Boże Narodzenie.

– Gdzie on jest?

– Udało mu się prawie wydostać z domu. Prawie. Kobieta obezwładniła go, kiedy wybiegał za drzwi, a teraz leży na ziemi z pistoletem przyłożonym do głowy. Policja zaraz tu będzie. A ty?

– W miejscu podwózki. Przechodzę na ciszę. Odezwę się.

– Załatw tę świnię – rzucił Jacques, kiedy Booth wysiadał z samochodu.

– Taki jest plan.

Miał przed sobą dziesięciominutową wędrówkę; ruszył lekkim truchtem. Widział każdy szczegół w głowie, przesuwając się przeróżne scenariusze, według których planował to latami. I udoskonalając, pokonując tę samą trasę, ilekroć odwiedzał Nowy Orlean.

„Tym razem nie dla zysku”, jak pomyślał. „Nie dla przetrwania. Teraz chodziło wyłącznie o piękny konglomerat rewanżu i sprawiedliwości”.

I cokolwiek miało się potem wydarzyć, gdyby ten ostatni etap skończył się fiaskiem, był gotów zapłacić każdą cenę, jakiej wymagało stworzenie tego konglomeratu.

Kiedy dotarł do posiadłości, wyłączył czujniki ruchu i wspiął się na mur w miejscu poza zasięgiem kamer. Zawsze istniało takie miejsce – jeśli wiedziało się, jak je znaleźć.

Uaktywnił ponownie czujniki i puścił się dalej biegiem, poruszając się szybko i miarowo.

Zatrzymał się i przykucnął przy pierwszym budynku – magazynie sprzętu ekipy zajmującej się pielęgnacją ogrodów; zjawiała się dwa razy w tygodniu. Światła zewnętrzne rzucały blask, który oblewał zarośla i trawę. Fontanna szemrała melodyjnie, a z pobliskiego zagajnika dobiegało pohukiwanie sowy.

Skierował spojrzenie w stronę wartowni przy bramie. Palilo się tam – strażnicy widać monitorowali teren za pośrednictwem kamer w czasie sześciogodzinnych dyżurów.

Na zewnątrz i wewnątrz domu – z wyjątkiem pomieszczeń o bardziej prywatnym charakterze.

Zwłaszcza sypialni LaPorte’a, jego pokoju ze skarbami.

Pokonał następny odcinek, mając w głowie mapę z lokalizacjami kamer, a potem zza zasłony drzew obserwował solidny trejaż porośnięty bugenwillą. Znów krótki sprint.

Odczekał chwilę, następnie uruchomił pilota, który spowodował trwającą dwie sekundy przerwę w zasilaniu.

Zaczął się wspinać.

Słaby punkt. Taras na pierwszym piętrze. Drzwi rozsuwane, zamknięte, sześciocyfrowy kod alarmu. Najpierw uporał się z zamkiem wpuszczanym, zaraz potem z drugim. Podejrzewał, że LaPorte tak go zaprogramował, że dezaktywacja alarmu mogła trwać tylko trzydzieści sekund – alarmu, którego kod zmieniano co sześć dni, o czym Booth wiedział. Był jeszcze alarm zapasowy, włączany czterocyfrowym kodem. By się z nim uporać, miał jeszcze dziesięć sekund.

Zabrał się do roboty, skupił na migających liczbach, później zajął się drugim alarmem.

Jak zwykle stał przez chwilę nieruchomo, rozkoszując się tą chwilą.

Ciemny, pogrążony w ciszy dom. LaPorte śpiący w swoim luksusowym łóżu, pewnie z równie luksusową partnerką.

„Jutrzejszy dzień nie będzie dla ciebie udany”, pomyślał. „Absolutnie”.

Ruszył przed siebie, zlustrował korytarz, przestąpił nad czerwonymi wiązkami emitowanymi przez czujniki ruchu i skierował się na dół.

Wiedział, że gabinet będzie oczywiście zamknięty i że przyjdzie mu poradzić sobie z kamerami. Ale ich obraz nie pojawiał się na monitorach w dyżurce. Te kamery przeznaczone były dla LaPorte’a.

Poradził sobie z zamkiem, otworzył ostrożnie drzwi, wyłączył kamery. Jeśli pan domu cierpiał na bezsenność i sprawdzał teraz nagranie ze swojego gabinetu, to wszystko diabli by wzięli.

Przeszukał biblioteczkę za biurkiem, wypatrując mechanizmu otwierania drzwi i ignorując stróżkę potu, która spływała mu po plecach. Ten mechanizm musiał się gdzieś do diabła znajdować. Ponieważ za tym pokojem znajdował się drugi i wchodziło się do niego tylko tędy.

„Za długo, za długo”, myślał, wciąż gorączkowo szukając. Musiał lada chwila włączyć kamery.

Zerknął na biurko, potem przykucnął za nim.

– Idiota – mruknął i nacisnął guzik.

Biblioteczka przesunęła się na bok, odsłaniając drzwi skarbcza.

– Okej, jeszcze tylko chwila.

Ponownie przystąpił do pracy. Zmagał się z zapadkami, z ryglami.

„Skomplikowane, skomplikowane”, pomyślał. Przerwał na chwilę, rozprostował kark, kręcąc głową, i znów wziął się do roboty.

Trwało to dłużej, znacznie dłużej, niż się spodziewał. „Ponad godzinę w środku”, pomyślał. „Muszę się stąd wynosić”. Wciąż jeszcze mógł uciec. Z powrotem do Mirandy, poprosić ją, by uciekła wraz z nim. Dokądkolwiek.

I znów LaPorte zabrałby mu życie, własne wybory, los.

Nie. Nie tym razem.

Dwie godziny do świtu, a on był blisko, zbyt blisko, by zrezygnować.

Kiedy ostatnia zapadka ustąpiła, otworzył drzwi.

Ze wszystkich tego rodzaju pomieszczeń, jakie widział, to było najokazalsze. Pałac zaprojektowany dla jednego człowieka, jednego władcy, jednego tyрана.

W pokoju krzyżowały się czerwone wiązki.

Booth wyjął telefon i zaczął nagrywać wszystko bez wyjątku, każdy centymetr kwadratowy tego wnętrza. Złoto, kość słoniową, porcelanę i marmur. Klejnoty, dzieła sztuki. Bezcenne antyki, wyszukane lampy. Wazy z epoki Ming, figurki wycięte w alabastrze.

Spoglądał na obraz, który ukradł, na wspaniałość tego Turnerowskiego zachodu słońca. Sfo-tografował go, także posążek, który kosztował go utratę tych wszystkich lat z Mirandą.

Rozpoznał inne przedmioty zabrane z muzeów, z prywatnych apartamentów, pokoi takich jak ten. Niektóre kosztowały kogoś życie; o tym też wiedział.

Przemykał tanecznym ruchem nad czerwonymi wiązkami, pod nimi, obok nich, zbliżając się do pustego cokoliku.

Zauważył pojedynczą lampę w suficie, która miała oświetlać postument. Zastanawiał się, czy LaPorte kazał ją zaprojektować w oczekiwaniu na swoją zdobycz.

Booth wyjął Boginię i postawił na marmurowym postumencie.

– Tylko na krótką chwilę – mruknął. – Nie będzie cię tu przechowywał. Przysięgam. Nie będzie przechowywał żadnego z was.

Zrobił jeszcze jedno zdjęcie.

Wreszcie wyszedł do gabinetu, zamknął skarbiec, zasunął biblioteczkę na swoje miejsce i włączył nagrywanie.

Ruszył po swoich śladach, cień przemykający przez pogrążony w mroku dom. Kiedy zsunął się na ziemię, włączył pilota na czas szybkiego sprintu.

Gdy wylądował po drugiej stronie muru, sprawdził czas.

Dwie godziny czterdzieści trzy minuty. Całe czterdzieści trzy minuty dłużej, niż planował. Pomyślał, że mimo wszystko trochę się spóźni.

Dał sygnał Jacques'owi i ruszył biegiem, kiedy słońce przełamywało noc i rozkwitało różowo na wschodzie. Budziły się ptaki, by śpiewać ku świetlistej tarczy.

Kiedy skontaktował się z Sebastienem, dowiedział się, że Russell śpiewa razem z ptakami.

– Nie spieszyłeś się, *cher* – zauważył Jacques, kiedy Booth wsiadł do samochodu.

– Wystąpiły drobne komplikacje, ale poza tym w porządku. – Położył telefon między siedzeniami. – Wszystko tu jest. Możesz rzucać swoje zakłęcia.

– Mogę i rzucę. Wiesz co, poprowadź, a ja zacznę od razu?

– Potrafisz zrobić to z samochodu?

– Myślę, że zanim dotrzemy do domu, policja i FBI dostaną ładny prezent w ozdobnym opakowaniu i przewiązany wielką, błyszczącą wstążką.

– Zjedź na bok.

*

O północy Miranda krążyła nerwowo na piętrze. Spóźniał się, do diabła. Już o całą godzinę. Mags zapewniła ją, że nic mu nie jest, że już wsiadł na pokład samolotu lecącego z Nowego Orleanu do Waszyngtonu i że nie siedzi w areszcie.

Ona jednak była sobie w stanie wyobrażać tylko to, jak wyciągają go z maszyny na lotnisku, a potem zakuwają w kajdanki i przedstawiają zarzuty.

W przeciwnym razie dawno by już tu był. Powiedzieli, że wszystko poszło zgodnie z planem, ale spóźnienia nie uwzględniało.

Wreszcie usłyszała, jak otwierają się drzwi. Zbiegła na dół i oto stał tam, trzymając w ręku bardzo smutny bukiet kwiatów w celofanie.

– Spóźniłeś się – rzuciła, następnie usiadła na schodach i nieoczekiwanie zanosła się płaczem.

– Przestań, proszę. Tak mi przykro. A kwiaty są naprawdę marne. Mags powiedziała ci, że się udało, tak?

– Ale nie było cię tutaj. Daj mi te cholerne kwiaty. – Chwyciła je gwałtownie, a potem ukryła w nich twarz i znów zaczęła szlochać. – Policja w drodze?

– Nie jedź tutaj – zapewnił, uśmiechając się i ocierając jej łzy. – Wszystko w porządku. Wszystko poszło jak trzeba. Nie tylko Russell zaczął śpiewać, ale jest jeszcze trop pod postacią przelewu i anonimowy cynk – nagranie ze skarbcem LaPorte'a i Boginią. Jest jeszcze jeden przelew na inne konto i wierz mi, nie zdołają go wyśledzić. Wygląda mi to na robotę Kameleona. Zatrudnił go, prawda? Ale z umowy nic nie wyszło, więc zatrudnił Russella.

– Ale to Kameleon podłożył fałszywy kamień, a później wrobił La Porte'a. To on przesłał nagranie.

– Nie dotrzymujesz warunków umowy, to płać – oznajmił wesoło Booth. – Naprawdę mam ochotę na colę. Napiję się, a potem ci wszystko opowiem.

– Nie jesteś nawet zmęczony.

– Nabuzowany adrenaliną. Cholernie nabuzowany. – Mógłby pokonać tanecznym krokiem drogę na księżyc i z powrotem. – Może i prześpię tydzień, jak już się zwałę na łóżko, ale chwilowo jestem nabuzowany. Napijmy się coli.

– Wolę wino. Nie chciałam wcześniej pić na wypadek, gdybym musiała wpłacić za ciebie kaucję albo upiec ciasto – pierwsze w moim życiu – z pilnikiem do krat.

Kiedy weszli do kuchni, otworzył drzwi, żeby wypuścić do domu nocne powietrze.

– Musiałem się upewnić, że wszystko zadziało. U LaPorte’a, w Waszyngtonie. Mnóstwo wątków, Miranda.

– Nie wiem, o czym mówisz. Nie wychodziliśmy w ogóle z domu. Padało przez cały ranek aż do popołudnia.

Nalał jej wina, dla siebie otworzył puszkę coli.

– Ktoś dzwonił, ktoś cię odwiedził? – spytał.

– Cesca zadzwoniła w południe, żeby powiedzieć, jak bardzo była zachwycona przyjęciem. Powiedziałam jej, że zasnąłeś, oglądając *Casablancę*, i że też się zdrzemnęłam.

– Jakoś sobie nie wyobrażam, bym mógł zasnąć na *Casablance*.

– Byłeś zmęczony po całym tym seksie.

Uśmiechnął się.

– Niech będzie. Niewykluczone, że zjawi się tu policja. Nie sądzę, by chodziło o coś więcej niż tylko luźny związek ze sprawą. Wszystko jest na swoim miejscu, każdy jego krok, także dokumentacja na mój temat, na twój, na temat innych. Widniejemy tam jako najnowszy obiekt jego zainteresowań, co tłumaczy dlaczego – jeśli będzie próbował zwalić to na mnie – wybrał właśnie nas.

– Nie martwię się o to. Naprawdę. Zamierzam teraz włożyć te smutne i słodkie kwiaty do wody.

– LaPorte miał tam pierścionek ze szmaragdem, który wyglądałby wspaniale na twoim palcu – nieco krzykliwy, około dziesięciu karatów. Oparłem się pokusie.

– Słuszna decyzja.

– Byłem w tym domu dwukrotnie.

– Wiem.

– Nie, nie wiesz. Byłem w tym domu dwukrotnie pod jego nieobecność. Przekonać się, czy mogę się dostać do środka, sprawdzić co i jak. Nie miał ostatnim razem skarbcza ani guzika przy biurku, ale od tamtej pory upłynęło kilka lat. Więc trwało to dłużej, niż przewidywałem.

– Włamałeś się wcześniej do jego domu?

– Praktyka popłaca. – Napił się coli. – I naprawdę wzbogacił swoje prywatne muzeum. Jest tam rosyjski diament... biały, piękny wisior z kamieniem w kształcie łyży. Nie wiem, kto dla niego odwalił tę robotę, nie jestem pewien, ale wiem, że kobieta, do której należał, została pobita na śmierć.

– I uważasz, że był to Russell. – Ponieważ rozumiała teraz, rozumiała w pełni, skinęła głową. – Dlatego go wybrałaś.

– Zimna kalkulacja. Zakapował LaPorte’a, LaPorte odpłaci mu pięknym za nadobne. I obaj spędzą wiele lat za kratkami.

Przyglądała mu się teraz uważnie. Nabuzowany, jak powiedział, co było widać gołym okiem. Ale adrenalina przestawała działać.

– Wystarczy ci już, Harry?

Otworzył zdumiony usta, lecz zaraz je zamknął.

– Mags mi powiedziała – wyjaśniła.

– Nie jestem Harrym już od bardzo dawna.

– A dla mnie jesteś Boothem. Zawsze nim dla mnie będziesz. Ale teraz pytam Harry’ego: masz dosyć?

– Tak. – Odetchnął i popatrzył jej prosto w oczy. – Mam dosyć. Bardziej niż dosyć. I uważam, że to słuszne.

– Dobrze. Ja też tak uważam. A teraz chcę, żebyś mi wszystko opowiedział, wszyściutko od początku do końca, ale najpierw mam ci coś do zakomunikowania.

– Następnym razem, kiedy się spóźnię, przyniosę lepsze kwiaty.

Dotknęła bardzo mokrego nosa.

– Mam nadzieję, ale nie o to chodzi. – Usiadła i obróciła się do niego na kuchennym taborecie. – Nigdy nie rozumiałam, dlaczego niektórzy ludzie mówią, że kogoś kochają – myślę, że mówią to szczerze – i chcą budować sobie z tym kimś życie, i też traktują to poważnie. Ale potem starają się zmienić tego kogoś, tego, kogo kochają. Jeśli kogoś kochasz, to kochasz go po prostu. Zgadzasz się ze mną?

– Jasne.

– To dobrze. Bo nie zamierzam cię pytać, czy chcesz kontynuować swoją nocną robotę. Oczekuję, że będziesz ze mną uczciwy w tej kwestii.

– Czekał...

– Nie skończyłam jeszcze.

– Ale...

– Nie skończyłam. Mój ojciec wraca za tydzień lub dwa i oboje, on i Deborah, planują zatrzymać się w Waszyngtonie i zobaczyć się ze mną. Muszę mu powiedzieć.

– Co musisz mu powiedzieć?

– Wszystko. Nie skończyłam jeszcze – oznajmiła zdecydowanie, zanim zdążył się sprzeciwić. – Nie okłamuję taty, koniec kropka. Z pewnością nie wyda swojego jedyne dziecko policji. Ale żeby przypieczętować umowę, załatwić wszystko jak trzeba, musisz się ze mną ożenić.

– Chwila. Co...?

– Będę nalegała, żebyś mi kupił, nie ukradł, pierścioneł, ale to moje jedyne żądanie. I to też koniec kropka. – Zadowolona z siebie podniosła kieliszek. – Wyjdźmy na zewnątrz. Kisiłam się w domu cały dzień.

– Miranda...

Wstał i pospieszył za nią.

– Piękna noc. A więc... nie chcę wystawnego ślubu na pokaz. Chcę najbardziej bajecznej sukni, ale sama się tym zajmę. Uważam, że powinniśmy pobrać się tutaj, ponieważ właśnie tutaj ludzie cię kochają, a ja bardzo przywiązałam się do tego miejsca. Możemy załatwić to w czasie ferii wiosennych. Albo zimowych, jeśli ci się spieszy. Potrafię się dostosować. Zamierzasz dalej uczyć, zgadza się?

– Miranda...

– Oczywiście, że tak. – Załatwiła to z taką samą łatwością, z jaką proponowała mu kawę między zajęciami na studiach. – Kochasz to. Mówię o dzieciach.

Nerwowy ucisk, którego doznał w żołądku, sięgnął jego piersi.

– Ach... Dzieci.

– Oboje jesteśmy jedynakami, a ja chciałabym zerwać z tą niemiłą tradycją. Nalegam na dwoje. Zobaczmy, jak nam pójdzie z tą dwójką, potem jestem gotowa mieć trzecie, jeśli się oboje na to zgodzimy. Ale dwójka to mus. – Obróciła się nieznacznie, spoglądając na ich wspólną siedzibę, po czym skinęła głową. – Pewnie będziemy musieli kiedyś powiększyć dom, ale to na razie melodia przyszłości. Tymczasem potrzebuję o wiele więcej miejsca na swoje ubrania i rzeczy osobiste. Myślę, że to załatwia na razie sprawę. Powinnam sporządzić listę.

– Możemy się cofnąć? I to ładnych parę zdań wstecz? – wtrącił, gestykulując zamasyście. – Do momentu, kiedy powiedziałaś, że jeśli się kogoś kocha, to nie próbuje się go zmieniać.

– Mam to wszystko powtórzyć?

– Nie, nie, zacznijmy od tamtego. Kochasz mnie?

– Oczywiście, że cię kocham. – Uniosła po swojemu brew. – Co, nagle stałeś się głupi?

Teraz to nie był już ucisk w piersiach, tylko osłupienie.

– Nigdy mi tego nie mówiłaś. Po tym, jak my... jak ja ci powiedziałem, że cię kocham, ty mi tego nie powiedziałaś.

– Synchronizacja, Booth, chodzi o synchronizację. Teraz nadeszła chwila, by ci powiedzieć.

Wszystko, co złe, już za nami. Zaczynamy od teraz.

Kochała go. A to w jego przekonaniu było jak alfa i omega.

– Nie martwi cię, że jestem złodziejem?

– Kocham cię. – Położyła mu dłoń na policzku, pogłaskała po zaroście. – Bez względu na wszystko.

Chwycił jej dłoń, przytrzymał.

– Nie muszę już tego więcej robić. Zamierzałem ci o tym powiedzieć, poprosić, żebyś dała mi szansę. Nie potrzebuję tego, kiedy mam ciebie. Puste przestrzenie, zagubione miejsca... ty je wypełniasz. To była moja ostatnia robota. Nie powiedziałaś: to po raz ostatni, bo w przeciwnym razie koniec z nami. Ale ja mogę tak powiedzieć, gdy jest już po wszystkim. Skończyło się. Skończyłem z tym.

– Też mi pasuje.

– A dom, ten twój i rodzinny?

– Spodziewam się, że ojciec i Deborah spędzą tam wiele szczęśliwych lat. Dziś po południu zadzwoniłam do agencji w sprawie sprzedaży mojego szeregowca. Jak już omówiliśmy to i owo, oczywiście, jak już uprawialiśmy cały ten seks.

– Jasne, właściwa kolejność.

– Pewnego dnia może zechcemy przeprowadzić się do tego wielopokoleniowego rodzinnego domu albo i nie. Dla mnie to nieważne. Ale obstaję twardo przy małżeństwie, przy dwójce, może trójce dzieci i większej przestrzeni dla swoich rzeczy. Aha, będę też nadal kroić i siekać, zamawiała jedzenie, ale nie spodziewaj się niczego więcej. Więc ożenisz się ze mną czy nie?

„Miranda”, pomyślał. „Moja Miranda”. I nic nie mógł na to poradzić.

– „Także, i z radością większą niż radość więźnia, co wyszedł na wolność. Weź moją dłoń”⁶
– zacytował słowa, jakie Ferdynand skierował do Mirandy w Szekspirowskiej *Burzy*.

W jej oczach błysnęły łzy, kiedy ujęła jego rękę.

– To moja, a w niej serce.

– Możemy się pobrać podczas ferii zimowych? Akurat minie rok, jak do mnie wróciłaś.

– Wróciliśmy do siebie oboje. Owszem, byłoby wspaniale. A teraz powinienes zacząć mnie do utraty tchu.

– Zamierzam tak właśnie zrobić. Chciałabys mieć oranżerię?

Roześmiała się.

– Tak!

– Moglibyśmy też dobudować jeszcze jedno piętro. Miałabys niesamowity widok ze swojego gabinetu, a ponieważ chcę otworzyć teraz garderobę, będziesz miała więcej miejsca na swoje rzeczy.

– Coś mi się zdaje, że to ja będę musiała cię zacząć do utraty tchu. – Odstawiła kieliszek z winem i objęła dłońmi jego twarz. – Powiedziałaś mi kiedyś, że zawsze byłam tylko ja. Po prostu ja. A przed chwilą powiedziałaś, że wypełniłam wszystkie puste przestrzenie i utracone miejsca. Zawsze byłeś tylko ty, Booth. Po prostu ty. I teraz nie ma już dla żadnego z nas pustki i straty.

Całowali się nad rzeką w świetle księżyca. Tulili się do siebie i znowu całowali.

– A jeśli chodzi o to, czy powiedzieć twojemu ojcu...

– Poza dyskusją, Booth.

– Okej, okej.

Przyciągnąwszy ją do siebie, przywarł czołem do jej czoła. I wiedział, że podczas gdy Czerwona Bogini znajdzie teraz swój dom, jego bogini wróciła do niego.

Epilog

Rok później

Splatając z Mirandą palce, Booth stał w wielkim londyńskim muzeum. „Człowiek w tłumie”, pomyślał, „jeden z wielu, którzy przyszli zobaczyć niezwykły diament znany jako Czerwona Bogini”.

Spoczęła – dzięki hojności lady Jane Dubois – na marmurowym piedestale za grubą szybą.

Wiedział oczywiście, że cokolwiek jest okablowany, a szkło kuloodporne.

Przypuszczał też, że znalazłby sposób, by obejść to wszystko – gdyby wciąż działał w wiadomym biznesie.

Lecz Bogini znalazła wreszcie swój dom, swoje miejsce, swój cel, tak jak on je znalazł.

– Pasuje tutaj – zauważyła Miranda. – I jest tu szczęśliwa, muszę dodać.

Kiedy się o niego oparła, skinął głową.

– Tak, to prawda.

– Cieszę się, że przyszliśmy ją zobaczyć. I cieszę się, że tylu innych ludzi to robi i będzie robić. Nie żałujesz?

Podniósł do ust jej dłoń z pierścieniem zaręczynowym – kupionym uczciwie, za pieniądze – i pocałował.

– Ani trochę.

Pożegnał się z kamieniem i doszło jego uszu, jak ktoś zauważa tonem głębokiego rozczarowania:

– Nawet się nie błyszczy. Wygląda jak wielka czerwona gruda.

Kiedy Miranda się roześmiała, Booth pokręcił głową i oddalił się ze swoją własną czerwoną boginią.

– Może znajdziemy jakąś przyjemną knajpkę i coś zjemy?

– Booth, dziecko jest wielkości ziarenka grochu. Nie muszę siadać co dziesięć minut ani jeść co godzina.

– Ale wciąż tam jest.

Był to prawdziwy cud.

– I oboje jesteście gotowi na naszą pierwszą podróż do Florencji. Zboczyliśmy tu z drogi i zamknęliśmy jedne drzwi. Otwórzmy następne.

Mógł to uczynić. Ale najpierw należało otworzyć jeszcze inne.

– LaPorte zwolnił kolejny zespół obrońców.

Uśmiechając się, Miranda odrzuciła do tyłu niesforne włosy.

– To musi być dla niego frustrujące. Nikt nie daje mu tego, czego chce.

– Nawet śpiąc, Russell nigdy nie wyjdzie z więzienia. Większość aktywów LaPorte’a jest zamrożona, jego skarbiec opróżniony, a na kostce do czasu rozprawy musi nosić elektroniczną obręcz. – Uśmiechnął się. – Mówi się podobno o cofnięciu kaucji.

– Och.

Objął Mirandę ramieniem, kiedy wychodzili z muzeum wprost w pochmurny londyński dzień.

– Mam wrażenie, że i tak już dostał za swoje. – Westchnęła. – Ale jakoś nie mogę się zbyt-
nio egzaltować swoim koszmarnym błędem w Nowym Jorku.

– Mają go w garści. – Czyż nie dopilnował tego? – Byliśmy tylko ubocznymi wątkami.

Nie powiedział jej i miał nadzieję, że Miranda nigdy się tego nie dowie, że znaleziono ciało Selene Warwick – to, co z niego pozostało – wyrzucone przez morze na plaży w Cannes, kilka dni po tym, jak podrzucił kamień LaPorte’owi.

Nie uciekła dostatecznie daleko albo nie zrobiła tego dostatecznie szybko.

„Drzwi zamknięte”, pomyślał. „Czas o nich zapomnieć”.

– Jesteś pewna, że nie chcesz usiąść, zjeść czegoś?

– Całkowicie. Zamierzasz mnie tak męczyć przez następne osiem miesięcy?

– Prawdopodobnie. Jesteś moją pierwszą żoną, a tam przebywa moje pierwsze dziecko. –

Góry Smokie, ocean. Nowy Orlean. Rudowłosa dziewczyna na zajęciach z Szekspira. – Zawsze daję się uwieść temu, co w moim życiu pierwsze.

– Jestem twoją ostatnią żoną i nie zapominaj o tym. Wracajmy na lotnisko. Może Pan Prywatny Samolot zabierze swoich pasażerów i wystartuje trochę wcześniej.

– Zrobi się.

Nim zdążył złapać taksówkę, odciągnęła go na bok i popatrzyła na niego tymi swoimi oczami morskiej czarownicy.

– Cieszę się, że najpierw zatrzymaliśmy się właśnie tutaj. Cieszę się, że czekają nas dwa cudowne tygodnie we Włoszech, gdzie mój bywały w świecie mąż pokaże mi wszystko, nim wrócimy do domu i zafundujemy sobie jakiegoś szczeniaka.

– W sytuacji, kiedy spodziewamy się dziecka...

– Och, będą się razem wychowywać, a pies dotrzyma mi towarzystwa, kiedy usiądę do pracy, a ty pojedziesz do szkoły. Bez dyskusji, Booth. Miałam rację co do ojca i mam rację w przypadku szczeniaka.

Nie mógł zaprzeczyć prawdziwości pierwszej części tego zdania, ponieważ Ben go nie zabił ani nie okaleczył.

– Nim zaczniemy z tym wszystkim, zamierzam ci powiedzieć, że cię kocham i że jestem z tobą wręcz głupio szczęśliwa – ciągnęła. – A teraz wycałuj mnie za wszystkie czasy.

– To akurat mogę zrobić.

I zrobił.

A kiedy wsiadali do taksówki, żeby wyruszyć w następny etap podróży, pomyślał o swojej matce, o tych wszystkich życiach, jakie prowadził. Pomyślał o dreszczu emocji i zwykłej satysfakcji, jakie dawała mu świadomość, że nocna robota oznacza teraz Mirandę, dziecko i psa.

Pomyślał, że jest to życie, jakie sobie wybrał, i splótł palce z jej palcami.

Cenniejszymi niż diamenty.

Przypisy

1. William Szekspir, *Wiele hałasu o nic*, akt I, scena I, przeł. Stanisław Barańczak. [[wróć](#)]
2. William Szekspir, *Hamlet*, akt I, scena V, tłum. Stanisław Barańczak. [[wróć](#)]
3. „Zbądź obawy; nikt nie jest dość silny, / Aby nam bruździł, gdy Bóg wolność daje”. Pieśń VIII, wers 104–105. Przeł. Edward Porębowicz. [[wróć](#)]
4. * Warto obejrzeć tę scenę na YouTube: <https://youtu.be/rS38PiZ2-RA>. [[wróć](#)]
5. Odnosi się do słów piosenki. [[wróć](#)]
6. William Szekspir, *Burza*, akt III, scena II, tłum. Stanisław Barańczak. [[wróć](#)]